

ANNA BERDECKA, IRENA TURNAU

ŻYCIE CODZIENNE W WARSZAWIE OKRESU OŚWIECENIA

ŻYCIE CODZIENNE

82778

K W 32287

ANNA BERDECKA, IRENA TURNAU

W WARSZAWIE OKRESU OŚWIECENIA

BIBLIOTEKA PUBLICZNA M.S. WARSZAWY
ul. Koszykowa 26/28
BPW00002487

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

39:930,85](438.111)„17":943.811.1„17"

D 21/63
1335

Recenzenci
BARBARA GROCHULSKA
ROMAN KALETA
ZOFIA LEWINÓWNA

Materiał ilustracyjny opracowała
ANNA BERDECKA

Na obwolucie fragment obrazu B. Bellotta Canaletta: Krakowskie Przedmieście w stronę placu Zamkowego. — Fragment dekoracji drzwi kutych z r. 1754 przy ul. Freta 14.

Na okładce kołatka warszawska z I połowy XVIII w.

Na wyklejce Zamek królewski. Fragment obrazu B. Bellotta Canaletta: Widok Warszawy od strony Pragi 1774 r. — Odpust na Bielanach. Fragment rysunku J. P. Norblina.



W 32287

Copyright by Anna Berdecka, Irena Turnau, 1969
Warszawa Poland

PRZEDMOWA

Nasza książka jest trzecią pozycją „Życia codziennego" z zakresu historii Polski. Autorki dziejów Krakowa i Gdańska miały jednak inne nieco zadanie, operując w większym niż my stopniu nowym materiałem źródłowym i dłuższymi okresami paru wieków. O Warszawie czasów Oświecenia pisano już wiele. Najwięcej zainteresowań badawczych wzbudziła architektura, sztuka, teatr, bogata spuścizna literacka, wielkie wydarzenia polityczne, reformy wychowawcze, a także barwne obyczaje i anegdoty dworu Stanisława Augusta i potężnych magnatów. Te dziedziny posiadają dziś wiele wnikliwych opracowań. Ze względu na tradycyjną już tematykę serii z zakresu życia codziennego należało dokonać trudnego wyboru. Świadomie zdecydowałyśmy się pierwszą i obszerniejszą partię książki poświęcić kulturze materialnej Warszawy czasów Oświecenia, ramom, w jakich przebiegało życie codzienne jej mieszkańców. Sądzimy, że zapoznanie się z zabudową i organizacją życia miejskiego, jego komunikacją, wyposażeniem wnętrz, ubiorami i pożywieniem, rzemiosłem i handlem, ułatwi zrozumienie funkcjonowania innych instytucji — wychowawczych, naukowych, administracyjnych czy leczniczych. Na tym szerokim tle starano się ukazać dzień świąteczny mieszkańców, ich wypoczynek w gronie rodziny, zabawy i uroczystości, wreszcie zaś najważniejsze wydarzenia polityczne, rzutujące na życie warszawskiej ulicy. Luki w materiałach źródłowych nie zawsze pozwoliły na bardziej szczegółowe przedstawienie niektórych stron tak codziennego, jak świątecznego życia różnych warstw ludności, zwłaszcza zaś biedoty miejskiej. Niekiedy także zdecydowałyśmy się rezygnować z tylekroć już przytaczanych anegdot czy opisów literackich na rzecz źródeł archiwalnych, które w większym stopniu wprowadzają nas w atmosferę epoki. Należy stale pamiętać, że Warszawa w ostatnich latach przed upadkiem dawnej Rzeczypospolitej przodowała w aktywności politycznej i społecznej oraz że reprezentowała ona interesy całego narodu. Dzięki temu jej historia jest najważniejszym wycinkiem dziejów Polski w czasach Oświecenia.

Na zakończenie pragniemy serdecznie podziękować Panu Profesorowi Stanisławowi Herbstowi za łaskawe przejrzenie części maszynopisu, Panu Docentowi Romanowi Kalecie i Pani Doktor Barbarze Grochulskiej za cenne recenzje wydawnicze naszej książki, Pani Doktor Barbarze Król-Kaczorowskiej za wnikliwe uwagi do rozdziału o teatrze, Pani Ewie Koczorowskiej-Pielińskiej za wskazanie ważnych źródeł i wreszcie Pani Zofii Lewinównie za trzecią recenzję wewnętrzną.

ANNA BERDECKA, IRENA TURNAU

Warszawa, w sierpniu 1967 roku

Położenie i obszar Warszawy

W wieku XVIII Warszawa była miastem znanym w Europie jako stolica kraju przyciągającego uwagę innych narodów. Cudzoziemcy przybywali do niej chcąc poznać życie państwa pełnego kontrastów, często zwabieni łatwością zarobków i barwnością życia. Lecz przede wszystkim Warszawa była ośrodkiem zainteresowania całego kraju. Mieszkańcy prowincji, małych miasteczek i wsi, ulegając powszechnemu nałogowi, kierowali się ku stolicy. Bo też było to miasto ze wszech miar godne uwagi. Poświęcono mu w wielkiej *Encyklopedii* Diderota obszerny artykuł pióra Louisa de Jaucourta, który szczegółowo opisuje jego położenie geograficzne oraz znaczenie dla kraju. Stwierdza, że na stolicę wybrano Warszawę, „ponieważ ma dobrą temperaturę powietrza, leży w środku kraju oraz może sprowadzać żywność ze wszystkich stron — dzięki Wiśle. Główny pałac, gdzie Rzeczpospolita umieszcza swych królów i naznacza obrady z wysłannikami innych państw, jest po prostu zamkiem z cegły, dość marnej architektury. Położenie tego miasta, zbudowanego u krańca rozległych równin wznoszących się tarasami nad Wisłą, tworzy piękny widok. Otaczają je kręgiem przedmieścia, gdzie panowie mają swe pałace, a mnisi klasztory. Ulice są tam szerokie, równo wytyczone, ale w zimie wskutek braku bruków zmieniają się w otchłań błota. Miasto — to zwykła dziura, zamieszkana przez kupców i rzemieślników. Choć jest stolicą, nie posiada nawet kurii biskupiej. Znajduje się tu za to starostwo, znaczne zarówno ze względu na dochody, jak na jurysdykcję. Oblicza się, że w mieście i na przedmieściach jest 50 000 mieszkańców". [1]

Jest to obraz Warszawy z początku panowania Stanisława Augusta, gdyż tom *Encyklopedii* wydano w 1765 r. Opis jest chaotyczny, niezupełnie wierny, ale nie można odmówić panu Jaucourt trafnego uchwycenia ogólnego charakteru naszej stolicy.

W drugiej połowie XVIIII wieku Warszawa obejmowała obszar wynoszący około 1500 ha. Rozpościerała się wzdłuż Wisły na płaskowyżu wznoszącym się do wysokości 35 metrów nad poziom Wisły. Płaskowyż ten opadał ku niej ostrą, bogato ukształtowaną skarpą, przeciętą licznymi, głębokimi wąwozami, którymi spływały strumienie i rzeczki. Malowniczość zielonej skarpy i położenie nad Wisłą stanowiły rzeczywiście ważny element pięknego usytuowania miasta. Zabudowa osiemnastowiecznej stolicy wydłużyła się już na przestrzeni prawie czterech kilometrów wzdłuż Wisły od dawnej ul. Książęcej na południu do Półkowa i rzeczki Drny na północy. Zasięg jej ku zachodowi osiągnął prawie trzy kilometry w najbardziej odległym od brzegu Wisły punkcie półkola. Cały płaskowyż poprzecinany był, jak wspomniano, wstążkami licznych strumieni. Wiele z nich znikło z powierzchni ziemi, zabrukowane w swych wąwozach, ale ślady ich istnienia można dostrzec jeszcze w naszych czasach. Przez północną część miasta (dzisiejszy Żoliborz)

[1] *Encyklopedia albo słownik rozumowany nauk, sztuk i rzemiosł [...] wydany przez pana Diderota...*, przeł. E. Rzadkowska, Wrocław 1952, s. 263.

spływały Pólkówka, Rudawka i Drna, nieco bliżej Nowego Miasta wartka Bełcząca i strumień bez nazwy, płynący przez późniejszą ul. Zakątną. Na Starym Mieście strumień Dunaj wpuszczony został w fosę miejską biegnącą wzdłuż ul. Mostowej. Przepływał też mały strumyczek przy północnej nawie kolegiaty Św. Jana. Z południowego obszaru płaskowyżu wąwozem ul. Książęcej spływała Żurawka. U podnóża skarpy biły liczne źródła w pobliżu ul. Bednarskiej, Karowej, Topiel, Ordynackiej, Tamki i wąwozu Agrykoli. Na bagnistych zastoiskach mało przepuszczalnych gleb o glinianym podłożu w okolicach dzisiejszej dzielnicy Czyste znajdowały się źródła Potoku Służewieckiego i wspomnianej Drny. Liczne wody stanowiły nie tylko urozmaicenie pejzażu miejskiego, ale także były ważnym elementem w rozwoju miasta, ułatwiając jego mieszkańcom życie codzienne.

Za malowniczymi wąwozami skarpy rozpościerał się prawie równy płaskowyż z lekkim garbem przechodzącym wzdłuż zachodniej połaci miasta, za którym tworzyło się nieckowate zagłębienie, rozciągające się pomiędzy dzisiejszymi dzielnicami Wolą i Czystem. W wieku XVIII Warszawa nie graniczyła bezpośrednio z lasami. Dawna puszcza mazowiecka, która ją niegdyś otaczała, oddalała się coraz bardziej w miarę postępu osadnictwa i rozwoju wsi leżących w pobliżu miasta. Od zachodu i północy powiększały się tereny pól uprawnych zbóż i ogrodów, na południu ciągnęły się podmokłe, krzewiaste pastwiska aż po łąki wilanowskie.

Założone przy starym trakcie wiodącym z Czerska na północ do Zakroczymia prawdopodobnie na przełomie XIII i XIV wieku miasto, zamknięte pierścieniem wałów ziemnych, a potem potężniejszych murów obronnych, obejmowało około 11 ha, do których dodać należy kilkadziesiąt hektarów przedmieść położonych na południowy zachód od miasta. Na tych terenach rozpościerały się pola miejskie, na których uprawiano zboże, a także warzywniki i sady. Wśród nich bogatsi mieszczanie budowali na przedmiejskich siedliskach spichrze, stodoły, a także browary, które ze względu na niebezpieczeństwo pożaru przenoszono poza obręb ciasno zabudowanego średniowiecznego miasta. W sto lat później, gdy już w obrębie murów wypełniło się ono osadnikami, na gruntach położonych na północny zachód od Starego Miasta założono miasto nowe, nazwane Nową Warszawą. Obejmowało ono teren nie mniejszy od Starej Warszawy, ale było biedniejsze. Miało charakter rzemieślniczy i nie posiadało ponadto żadnych umocnień ziemnych ani też murowanych. Lecz i ono stało się zbyt ciasne dla licznie napływających nowych mieszkańców. W roku 1569 Warszawa została uznana za miasto godne, ażeby w nim odbywały się sejmy, a po upływie pół wieku, w 1611 r. awansowała do godności miasta rezydencjonalnego Jego Królewskiej Mości. W istocie stała się stolicą Korony i Litwy. Nie wiadomo właściwie, czemu czy komu ten awans zawdzięczała. Różne podawano powody. Jedni twierdzili, że zdecydowały o tym nie jej własne zasługi, ale przypadek, którym miało być spalenie zamku wawelskiego w Krakowie, inni podawali, że król Zygmunt III chciał być bliżej swej rodzinnej Szwecji. Po cichu szeptano, że nuncjusz papieski namówił polskiego władcę, ażeby przeniósł stolicę do Warszawy, gdyż przebywała tam stale pani serca wysokiego dostojnika Kościoła. Niezależnie od mniej lub bardziej prawdopodobnych przyczyn wielkiego awansu Warszawy, jakie podawali współcześni pamiętnikarze i późniejsi historycy, nowa stolica wzrastała w siłę i bogactwa.

Nowe dzielnice — jurydyki

Magnaci przybywali ze swych dóbr do stolicy, na dwór królewski, w nadziei zrobienia kariery politycznej. Dlatego też chcąc podnieść swoje znaczenie dążyli do stworzenia odpowiednio okazałych rezydencji. Ponieważ większość działek miejskich była zabudowana, a ich ograniczona wielkość nie sprzyjała tym zamiarom, zagarniali tereny leżące na peryferiach i przedmieściach. Obszerne grunty dawały im możność wybudowania dworów i zamków na wzór siedzib wznoszonych w dobrach wiejskich, z pięknym parkiem lub ogrodem oraz całym zapleczem gospodarskim. Wykupując grunty od mieszczan czy też starostwa szlachta uzyskiwała specjalny przywilej, który uwalniał je od prawa miejskiego i wyodrębniał w samodzielną jednostkę administracyjną, zwaną jurydyką. W ramach tych jurydyk magnaci zakładali niekiedy nawet małe miasteczka, czerpiąc z nich dochody do własnej szkatuły. W ręce magnaterii i szlachty przeszły grunty położone wzdłuż południowego odcinka traktu czerskiego przebiegającego przez Krakowskie Przedmieście, jak również tereny północne przy trakcie zakroczymskim wybiegającym z Nowego Miasta. Nowe jurydyki powstały także w zachodniej części miasta.

Najbliższym śródmieścia wolnym obszarem był w tym czasie kompleks posiadłości marszałka wielkiego koronnego Franciszka Bielińskiego, który w 1757 r. założył miasteczko nazwane od jego nazwiska Bielino. W trosce o stworzenie jednolitych bloków budowlanych nadano mu kształt szachownicy, przez co przypominało założenia średniowiecznych miast, ale nie posiadało ich dostosowanego do potrzeb mieszkańców rozwiązania urbanistycznego. Rynek, dzisiejszy Plac Dąbrowskiego, położony był na uboczu, a osią miasteczka stała się ulica Bielińska — nazwana w niedługim czasie Marszałkowską — do której biegły prostopadle mniejsze uliczki. Tereny mieszkalne podzielone były na działki mniej więcej dwukrotnie większe od wąskiej posesji średniowiecznej, nadające się najlepiej na budowę jednorodzinnych dworków z niegłębokim dziedzińcem. Dla ludności Bielina założono na tyłach pałacu marszałka (położonego przy ul. Królewskiej) „lasek do promenady".

Bielino rozrastało się. W miarę napływu nowych mieszkańców przekazywano mu dalsze grunty, mianowicie wymierzono działki na wykupionej od magistratu dawnej włóce miasta Starej Warszawy, położonej przy ul. Hożej i Wilczej. Przedłużono ul. Marszałkowską, która prowadząc do Mokotowa połączyła się z traktem czerskim i krakowskim, wiodącym ku Rakowcowi. Awansowała ona wówczas na główną arterię komunikacyjną miasta, prowadzącą z Warszawy na południe. Następnie Marszałkowska rozwijała się przez wytyczenie nowych ulic, przecznic wzdłuż całego jej biegu, co stało się podstawą do regularnego, szachownicowego rozplanowania południowych terenów miasta, położonych na dawnych rolach warszawskich.[2] Kariera tej ulicy miała więc początek w założeniu miasteczka Bielina.

Mieszkańcy stolicy byli stałymi świadkami jej rozbudowy, powstawania nowych osiedli, pałaców i ogrodów. W kilka zaledwie lat po założeniu Bielina powstały nowe jurydyki na Powiślu, gdzie znajdowała schronienie gwałtownie wzrastająca

[2] St. Herbst, *Ulica Marszałkowska*, Warszawa 1949, s. 18 i n.

ludność stolicy. Od dawien dawna przy przeprawie na drugi brzeg praski osiedlali się mieszkańcy. Dotykani klęskami powodzi, w drugiej połowie XVIII w. na skutek osuszania nadbrzeża, naniesienia i ustalenia iłów rzecznych, znaleźli nowe tereny pod założenie domów mieszkalnych. Na gruntach ciągnących się od Krakowskiego Przedmieścia do Wisły, a stanowiących własność rodziny Potockich, starosta tłomacki i urzędowski Eustachy Potocki założył w 1762 r. miasteczko Mariensztat posiadające własny magistrat, którego władze mieściły się w ratuszu przy ul. Garbarskiej, na rogu Mariensztatu. Jurydyka założona była na planie szachownicowym. Pośrodku znajdował się rynek, z którego naroży wybiegały ulice Mariensztat, Źródłowa, Boczna, Białoskórnicza i Garbarska.

W pobliżu, na gruntach Poniatowskich, ograniczonych do trzech bloków zabudowy przy ul. Leszczyńskiej, Radnej, Lipowej i Wiślanej, w 1768 r. Stanisław August założył jurydykę nazwaną od jego imienia — Stanisławów. Obie jurydyki przeszły na własność miasta Warszawy w 1784 r. w zamian za Solczyk, oddany królowi. [3]

Na terenie Powiśla odżyły dawne jurydyki, Aleksandria i Tamka. Zabudowały się też inne, powstałe w ciągu XVII i XVIII wieku, Leszno, Grzybów, Wielopole, Bożydar i Tłomackie.

Władze miejskie chciały udostępnić również dalsze tereny pod parcelację. Posuwając się wzdłuż dawnych dróg narolnych ku zachodowi, uporządkowały i wyznaczyły, a także wyregulowały dawniej już istniejące drogi i ulice. Z ramienia Komisji Brukowej prace nad wyznaczeniem ulic Ceglanej, Ciepłej, Solnej, Ogrodowej, Wolność, Żytniej, Kaczej, Nowolipki, Dzielnej, Pawiej i Gęsiej wykonał geometra miejski, Maciej Deutsch. [4]

Jurydyki powiększyły wielokrotnie obszar dawnego miasta. Były one bardzo różnorodne zarówno co do wielkości, jak sposobu rozplanowania. Jedne tworzyły małe miasteczka, jak Leszno, Grzybów czy Mariensztat, inne ograniczały swój zasięg do jednej ulicy, kilku posesji, bądź tylko jednego domu. Rozplanowanie dużych jurydyk, których było ponad dwadzieścia, nie liczyło się z dawnym układem przestrzennym, zabudową i przebiegiem komunikacji w mieście, co utrudniało władzom miejskim scalenie wszystkich terenów w jeden organizm. Polityka panujących pozornie sprzyjała miastu, chętnie bowiem wydawano przywileje znoszące jurydyki na gruntach stolicy. Z drugiej jednak strony udzielano jednocześnie osobistych zezwoleń na uchylenie się od prawa miejskiego, co umożliwiało zakładanie nowych jurydyk.

Pierwszym etapem zbliżającym sprawę scalenia Warszawy stało się usypanie wałów przed zarazą w 1770 r. Określiły one zasięg i granice miasta, które objęły około 1496 ha.

W ten sposób narzucony został Warszawie kształt półkola opartego o Wisłę. Pomimo dość bezładnego w ciągu wieków narastania nowych dzielnic, wyłonił się nowy plan wielkiego miasta. Kośćcem jego był odwieczny trakt czerski biegnący z południa na północ, równolegle do Wisły. Na nim narosły kolejno powstające organizmy miejskie Starej i Nowej Warszawy, stanowiąc jądro zabudowy mieszczańskiej. Od niego w kierunku południowym i północnym, w pobliżu dawnych

[3] E. Szwankowski, *Warszawa*, Warszawa 1952, s. 115—117.
[4] Tamże, s. 114—115.

bram miejskich, usadowiły się pierwsze posiadłości szlacheckie i duchowne. Posuwając się coraz dalej łączyły dawne przedmieścia z centrum. Z traktu tego wybiegały pionowo wytyczone ze wschodu na zachód ulice, powstałe na dawnych drogach narolnych, dzieląc dalsze tereny na długie pasma gruntów. Początkowo zajęte przez warzywniki, sady i pola zbóż, ustępowały pod naporem nowej parcelacji jurydyk i dzielnic mieszkalnych. Poważny wyłom w tym rytmicznym podziale pionowym i naruszenie równowagi, powstałej jeszcze przy średniowiecznym zaplanowaniu miasta wraz z jego zapleczem rolniczym, nastąpił w pierwszych latach XVIII w.

August II w czasie swego pobytu w Warszawie, nie chcąc zamieszkać w Zamku, dawnej siedzibie królów polskich, wzniósł nową, monumentalną rezydencję na obszarze dawnych gruntów starościńskich, leżących na zachód od Krakowskiego Przedmieścia w kierunku Woli. Powstało wówczas reprezentacyjne założenie urbanistyczne, zwane później Osią Saską. Wybrany przez króla teren był częściowo zabudowany przez dwory i pałace magnackie. Dlatego też August zmuszony był wykupić od właścicieli pałac Morsztynów, leżący w głębi Krakowskiego Przedmieścia, oraz otaczające go grunty wraz z dworami szlacheckimi, które się na nich znajdowały, aby po ich wyburzeniu stworzyć należytą oprawę pałacowi. Wstępne prace nad uporządkowaniem terenu i zniesieniem istniejącej na nim zabudowy ciągnęły się długo, bo od 1713 do 1728 r. W tym czasie zaczęto też budowę samej rezydencji, której nie ukończono za życia Augusta II, ale dopiero w połowie XVIII w. W wyniku tych prac powstało wspaniałe założenie reprezentacyjne, które przez długie lata oddziaływało na twórczość architektów i urbanistów polskich.

Oś Saska powstała przez stworzenie wielkiego zespołu, okalającego pałac królewski. Składała się ona z przestrzennego dziedzińca przedpałacowego, przy którym wzniesiono szereg pomocniczych budynków, jak kordegardy, oficyny dla służby itp. Zamykała go monumentalna brama od strony wschodniej, czyli od Krakowskiego Przedmieścia, i druga zachodnia poza ogrodem pałacowym, zwana Żelazną Bramą, na wprost której w przedłużeniu założenia wzniesiono koszary, tzw. Mirowskie, dla przybocznych oddziałów wojsk króla, czyli Regimentu Gwardii Konnej Koronnej. W centrum tego monumentalnego zespołu znajdował się pałac królewski z rozbudowanymi bocznymi skrzydłami i pawilonami. Od strony ul. Królewskiej wzniesiono teatr i ujeżdżalnię. Zabudowano również zachodnie obrzeże ogrodu, sam zaś ogród uformowano według obowiązującej mody francuskiej, w kształcie trapezu, i otoczono murem z bastionami. Rezydencja elektora saskiego zajęła 17 ha. Całość założenia rozciągała się w kierunku zachodnim na długość około 1650 m, największa zaś szerokość wynosiła 450 m. Wielu było znakomitych twórców tego dzieła urbanistyczno-architektonicznego, wśród nich Jan Krzysztof Neumann i Mateusz Daniel Pöppelmann. W opracowaniu poszczególnych budowli brali udział również Karol Fryderyk Pöppelmann, Jan Zygmunt Deybel i Joachim Daniel Jauch. [5]

Założenie Osi Saskiej scaliło rozproszone fragmenty urbanistyczne dawnego chaotycznego rozplanowania i było w stolicy pierwszym przedsięwzięciem regula-

[5] Z. Bieniecki, *Oś barokowa Warszawy*, „Kwartalnik Architektury i Urbanistyki", t. V, 1960, z. 4, s. 470 i n.

cyjnym na dużą skalę. Przyczyniło się ono również do rozwoju dzielnicy zachodniej, zbliżając ją do centrum przez prowadzącą ku niej środkową drogę założenia i jej przedłużenie na Woli, czyli ul. Chłodną i Wolską, które przekształciły się niebawem w główne arterie miejskie.

Panorama i krajobraz miejski

Pejzaż miejski Warszawy oglądany z drugiej strony Wisły, czyli z miasteczka Pragi, był rozległy i malowniczy. Zwartą i strzelistą zabudową wybijało się Stare Miasto. Za częściowo zniszczonym już murem obronnym z czerwonej cegły wyrastały wysokie bryły kamienic mieszczańskich, których fasady, powleczone jasnymi tynkami, a dachy łamane, z latarniami, schowane wśród grzebieni attyk, tworzyły mozaikę wszelkich odcieni czerwieni, brązu i ciepłych tonów brunatnych. Ponad nimi górowały wieże kościołów: strzelista kolegiaty Św. Jana, baniasta kościoła Jezuitów, w głębi czworoboczna ceglana przy kościele Św. Marcina na Piwnej oraz wysoka wieża Marszałkowska, strzegąca dawniej miasta od strony Wisły. Za gotyckimi i renesansowymi szczytami kamienic Kanonii wznosiła się potężna bryła zamku z wieżą zegarową, a poniżej pięknie rozplanowane ogrody opadały tarasami ku Wiśle.

Na północ od Starego Miasta rozciągała się niższa panorama Nowej Warszawy. Zwarta zabudowa kamienic widoczna była tylko na przestrzeni Rynku i jego najbliższego otoczenia. Na skarpie przewyższały je kościoły nowomiejskie, przy ul. Freta kościół i klasztor Dominikanów, którego późnogotyckie prezbiterium wspierały mocne skarpy. Nad dachami kamienic rynkowych wznosiła się kopuła świątyni Sakramentek, a za nią nikła wieża Św. Benona. Powyżej na skarpie rysował się potężny korpus średniowiecznego kościoła parafialnego N. Marii Panny z wolno stojącą masywną wieżą. Stanowił on monumentalny akcent w tej części krajobrazu miasta.

U podnóża skarpy nowomiejskiej zieleniły się ogrody i sady, a poniżej ciągnęły się ubogie domki nadbrzeża, dawnej osady zwanej Rybakami. Poza Nowym Miastem rozpościerała się wzdłuż dawnych dróg narolnych, rozrzucona wśród niewielkich ogrodów i warzywników, luźna zabudowa dworków mieszczańskich i uboższej szlachty, a także niepozorne i brzydkie domy drewniane. Wśród nich błyszczało kilka wielkopańskich pałaców o reprezentacyjnym założeniu, ustalonym modą francuską, a zwanym *entre cour et jardin*, co oznacza, iż budynek poprzedzony jest reprezentacyjnym dziedzińcem, ujętym w ozdobne ogrodzenie z monumentalną bramą, a na tyłach pałacu znajduje się ogród.

Na peryferiach krajobraz niewiele różnił się od wiejskiego — pola warzywne, sady, łany zbóż, a wśród nich, na monotonnej płaszczyźnie, rozrzucone domostwa drewniane i nieliczne dwory. Bardziej uprzywilejowana była malownicza skarpa wiślana. W pobliżu jej zielonych wąwozów z toni drzew wynurzała się dzielnica willowa magnatów i bankierów na Faworach, a za nią w oddali zabudowania Marymontu, który był niegdyś własnością królowej Marysieńki Sobieskiej.

W kierunku przeciwnym, południowym, idąc od Starego Miasta, znajdowało się

centrum osiemnastowiecznej Warszawy, w którym rytm życia miejskiego pulsował najmocniej. Było nim Krakowskie Przedmieście. W pobliżu dawnego rynku Bernardyńskiego, nazwanego tak od bliskości znajdującego się tam kościoła i klasztoru, ulica zachowała jeszcze swój mieszczański charakter. Obudowana długim ciągiem wysokich, wąskich kamieniczek, tworzyła tak zwane Wąskie Krakowskie Przedmieście, które rozszerzając się w kierunku Nowego Światu stało się główną ulicą miasta. Przy nim wznosiły się wspaniałe, a także i bardziej skromne pałace z ogrodami opadającymi na skarpie aż do nabrzeży Wisły. Przy zbiegu z ul. Bernardyńską stała rozłożysta Dziekanka, wzniesiona na miejscu skromnego drewnianego dworu proboszcza kolegiaty warszawskiej. Za nią znajdował się pałac Radziwiłłów, budowany przez włoskiego architekta Tencallę, twórcę kolumny Zygmunta, a następnie pałace Potockich i Kazimierzowski z szeregiem pawilonów (obecnie Uniwersytet). Po przeciwnej stronie Krakowskiego Przedmieścia, tuż przy Nowym Świecie, wzniesiono pałac Zamoyskich, obok niego — Czapskich (dzisiejsza Akademia Sztuk Pięknych), a następnie pałac Czartoryskich pomiędzy ludną ulicą Trębacką a ul. Ossolińską. Ponad barokową zabudową pałacową od strony Wisły dominowały w panoramie miasta strzeliste bryły i wieże kościołów, powtarzając rytmicznie akcenty pionowe. Nad wąwozem za Zamkiem wznosiły się wieże kościołów Św. Klary, Św. Anny, pękata kopuła Karmelitów i smukła bryła Wizytek, wreszcie wieża kościoła Dominikanów Obserwantów (gdzie obecnie znajduje się pałac Staszica), a nad nimi wzbijały się dwie wysokie wieże kościoła Św. Krzyża w lśniących, baniastych hełmach barokowych. Podnóże zielonej skarpy kryło nędzę ubogiej zabudowy Powiśla. Na Solcu pewne ożywienie wprowadzały sylwety rozłożystych magazynów i spichrzów, które tu skupiły się w znacznej ilości. Za nimi, na skarpie, niewidoczne prawie, rysowały się Łazienki, wówczas willa podmiejska, zanim Stanisław August przebudował ją na swoją letnią, ulubioną rezydencję, dalej dwór w Belwederze. A na horyzoncie parki i ogrody podmiejskie łączyły się z grząskimi łąkami i zarośniętymi łoziną brzegami Wisły na polach wilanowskich.

Panorama miasta od strony zachodniej płaskowyżu wolskiego nie była malownicza i urozmaicona. Wśród chaotycznie rozrzuconej zabudowy drewnianej i zieleni ogrodów wyłaniały się nieliczne wysepki zwartych domów jurydyk Leszna, Grzybowa i Wielopola. W dali rysowały się wysokie wieże kościołów i potężne bryły pałaców. Ale na pierwszym planie wyrastały nieforemne rudery i walące się stare zabudowania, położone przy krętych, nie brukowanych uliczkach, ubogie domki pośród błotnych bajor i bagienek.

W krajobrazie warszawskim połowy XVIII w. mieszały się elementy rozplanowania i zabudowy zarówno miejskiej, jak i wiejskiej. Te ostatnie występowały szczególnie intensywnie na przedmieściach, podkreślane przez rozległe ogrody i pola uprawne, wśród których rozrzucone były małe domki, w spisach nieruchomości określane zgodnie z prawdą jako chaty i chałupy, bo istotnie niczym się od nich nie różniły. Pomimo wielu zmian, jakie nastąpiły w latach późniejszych, ta cecha charakterystyczna utrzymała się.

Jeden z licznie przybywających do Warszawy podróżników cudzoziemskich tak określił charakter krajobrazu miejskiego Warszawy: „Miasto zajmuje bardzo dużą przestrzeń, w jego bowiem obręb wchodzi wiele, i to bardzo dużych ogro-

dów, nie zabudowanych placów, a nawet pól, jak również bardzo rozległe przedmieścia. Warszawa [...] dzieli się na wiele części, a całość ma kształt półkola." Tak pisał Johann E. Biester w lecie 1791 r., wysyłając swą korespondencję do niemieckiego pisma „Berlinische Monatsschrift".[6] Nie wspomina on o Wiśle, o której brzeg oparło się wielkie miasto i która stała się przecież nierozłączną częścią jego malowniczego krajobrazu. Rozlana szeroko, płynęła z wolna. Tuż przy niej skupiły się młyny wodne, na nabrzeżu pękate spichrze, a na samym, niezbyt czystym, żółtawym lustrze wody wyrastały złociste łachy i zielone kępy.

[6] J. E. Biester, *Kilka listów o Polsce pisanych latem 1791 roku (Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców*, opracował i wstępem poprzedził W. Zawadzki, Warszawa 1963, t. II, s. 208).

Rezydencje królewskie — Zamek, Ujazdów, Łazienki

Zamek królewski był budowlą interesującą i wybitną pod względem architektonicznym, a zarazem najważniejszą dla mieszkańców Warszawy i całego kraju. Okazały ten gmach przeznaczony był na stałą rezydencję panującego, a także na siedziby najwyższych władz i urzędów państwowych, sejmu, kancelarii koronnej, urzędu marszałkowskiego, sądów sejmowych, referendarskich, nadwornych oraz innych.

Minęły dwa wieki od czasu, gdy Zygmunt III przystąpił do przebudowy dawnego Zamku Książąt Mazowieckich, położonego na wysuniętym cyplu skarpy nad Wisłą. Prace podjęte zostały w 1598 r. przez Jakuba Rodonto i Mateusza Castello, którzy przebudowali Zamek pod kierunkiem równie słynnego architekta królewskiego, Jana Trevano. Budowa trwała ponad dwadzieścia lat. W wyniku jej powstało założenie rezydencji na planie pięcioboku z główną fasadą zwróconą ku zachodowi, zaakcentowaną wspaniałą wieżą zegarową. Zamek był budowlą dwupiętrową, surową i prostą, którą zdobiły jedynie boniowania na narożnikach tynkowanych elewacji oraz kamienne obramienia okien i bram wjazdowych. Lecz właśnie surowość monumentalnej bryły odróżniała Zamek warszawski od innych budowli tego typu w Polsce i innych krajach Europy. Natomiast wnętrze urządzone było z wielkim bogactwem i okazałością.

Zamek został zniszczony i ograbiony niemal doszczętnie w czasie najazdu szwedzkiego w 1655 r. Za czasów saskich, w latach czterdziestych XVIII w., zaczęto pracę nad jego uporządkowaniem i przebudową. Ale Warszawa, będąc stolicą kraju, nie była jednocześnie siedzibą dworu panującego Augusta III, który stale przebywał w Dreźnie. Tam skupiało się życie dworskie, którego błyszczącą oprawę stanowiły rozkwitające sztuki plastyczne i muzyka. Dopiero klęski wojny, które zmusiły Wettyna do opuszczenia Drezna i pozostania przez siedem lat wraz z dworem w Warszawie, wzmogły ruch budowlany i rozwinęły życie artystyczne stolicy. Niewiele w nim było nowych ożywczych prądów. Sztuka nawiązywała do dawnej tradycji, do rokokowo-barokowej mody dyktowanej przez Paryż i Drezno. W tym też stylu, po pożarze Zamku w 1740 r., Gaetano Chiaveri przygotował generalny projekt odbudowy i modernizacji siedziby monarszej. Przebudowa postępowała powoli. Przekształcono nieco projekt Chiaveriego według nowych inwencji Jana Krzysztofa Knöffla. Ale dopiero po elekcji Stanisława Augusta sprawa Zamku nabrała rumieńców życia. Król miał własne plany i politykę artystyczną. Dwór panującego skupiał wokół siebie ludzi sztuki. Przedtem głównym celem ich działalności artystycznej było podniesienie splendoru osoby monarchy, teraz inną wyznaczono im rolę. Król rozumiał funkcję społeczną sztuki. Rozwój jej, jak również nauk i przemysłu, według poglądów filozofów wieku Oświecenia z Wolterem na czele, prowadzić miał poprzez osiągnięcie dobrobytu ekonomicznego do potęgi politycznej państwa. Działalność króla ogniskowała się w Warszawie. Miasto miało więc wszelkie dane, aby mogło się w nim rozwinąć życie artystyczne, toczące się wartkim i bogatym w zdarzenia nurtem. Warszawa przyciągała najlepszych

i najzdolniejszych, interesujących ludzi, a wśród nich artystów, którzy pod opieką mądrego i niezwykle czułego na sprawy sztuki władcy znajdowali nie tylko podstawę ustabilizowanego bytu, ale także szansę rozwoju swego talentu i poczucia własnej ważności oraz przydatności dla społeczeństwa.

Zainteresowania osobiste Stanisława Augusta objęły szeroki zasięg sztuki, co wypływało również z cech jego umysłowości, nie skłonnej do specjalizacji. W działalności artystycznej król posługiwał się zaufanymi doradcami. Należał do nich August Moszyński, wielki kolekcjoner i zwolennik realizacji wspaniałych projektów urbanistyczno-architektonicznych, następnie Michał Mniszech, gorący wyznawca kierunku społecznego oddziaływania sztuki, a wreszcie malarz Marcello Bacciarelli, królewski *directeur de bâtiment*. Pod ich wpływem, jak również pod wpływem innych znakomitych mecenasów, w atmosferze wielkiego świata, kształtowała się polityka artystyczna króla.

Wielką wagę przywiązywał Stanisław August do sprawy rezydencji własnych, a przede wszystkim Zamku. Sejm konwokacyjny hojną ręką przeznaczył na kontynuację robót, podjętych jeszcze przez Augusta III, niebagatelną sumę 1 255 780 złp. Okazały ten gmach przeznaczony był na stałą rezydencję panującego. W nim król udzielał audiencji przedstawicielom obcych mocarstw we wspaniałej sali tronowej, w nim także wydawał przyjęcia uświetnione koncertami, przedstawieniami teatru i baletu lub opery, niekiedy kończące się olśniewającym zaproszonych balem.

Suma, którą przeznaczono na przebudowę, była znaczna. Oczywiście, miała ona służyć także na pokrycie kosztów wyposażenia wnętrz. Projekty architektów saskich ustaliły główną linię przebudowy. Zespół zamkowy składać się miał z dwóch trzonów: dawnego Zygmuntowskiego, pięciobocznego Zamku barokowego oraz nowego korpusu głównego, powstałego z przebudowy dawnego skrzydła wschodniego. Korpus ten, zwrócony w stronę Wisły, otrzymał wówczas piękną, rokokową fasadę. Natomiast za czasów Stanisława Augusta zajęto się przede wszystkim wnętrzami. Pracowało nad ich zdobieniem wielu artystów pod ścisłą kontrolą króla, który niejednokrotnie własnoręcznie poprawiał projekty.

Wielka bryła Zamku, surowa w swej prostocie, nie podobała się wielu cudzoziemcom, którzy zgodnie z duchem mody uważali ją za zbyt skromną. Od strony Wisły zachwycała co prawda niektórych bogato rozczłonkowana fasada, ozdobiona pogodnymi ornamentami rokoka saskiego. Poniżej opadał ku rzece ogród. Na jednym z tarasów znajdował się plac stanowiący ulubione miejsce zabaw, przechadzek, gier dworzan i gości królewskich. Sąsiadował on z dawną rezydencją Lubomirskich, tzw. pałacem Pod Blachą, który król nabył od tej rodziny i powiązał z Zamkiem niewielkim skrzydłem. Znalazła w nim pomieszczenie zasobna i piękna biblioteka zamkowa.

Stanisław August zamierzał również przebudować Zamek i jego otoczenie. Przygotowano setki plansz i projektów, z których niejeden wyszedł spod ręki Jakuba Fontany. Najśmielsze, choć obce duchowi sztuki polskiej były rysunki Wiktora Louisa.[1] Wszystkie one nie miały jednak tyle szczęścia co projekty Łazienek i nie doczekały się realizacji.

[1] Wł. Tomkiewicz, *Budowa Zamku królewskiego w Warszawie za panowania Zygmunta III*, „Rocznik Warszawski", t. II, 1961, s. 5 i n.; tenże, *Zamek Warszawski*, hasło w „Słowniku Historycznym Sztuk Plastycznych", zeszyt dyskusyjny, Warszawa 1951, s. 82—95.

Na dziedzińcu zamkowym dniem i nocą panował ruch. Spieszyli do urzędów urzędnicy i petenci, krążyli żołnierze z gwardii królewskiej, której odwach mieścił się początkowo na Zamku, a później w zbudowanych w 1770 r. koszarach u podnóża skarpy. Na dziedziniec zajeżdżały karety wielmożów i szlachty, którzy przybyli na posłuchanie u króla lub na obrady sejmowe.

Stanisław August chętnie uciekał od zgiełku obrad sejmowych, debat nad sprawami wielkiej wagi państwowej oraz intryg dworskich do swej ulubionej rezydencji zwanej Łazienkami. Przedtem, co prawda, zajął się przebudową zamku na Ujazdowie. W 1766 r. po długich pertraktacjach monarcha doprowadził wreszcie do kupna Ujazdowa i rozpoczął przebudowę starego zamku na nowoczesną rezydencję. Prace prowadził August Moszyński, stolnik wielki koronny, doradca króla w sprawach artystycznych, architekt, a także mecenas sztuki. Kiedy prace przy zamku w dwa lata po ich rozpoczęciu były zaawansowane, przystąpiono do rozplanowania otoczenia. Według panującej wówczas mody założeń pałacowych, zaznaczono oś urbanistyczną, która otworzyła widok na zamek przez perspektywę szerokiej drogi, skręcającej na Wolę. „Droga królewska", bo tak się wówczas zwała, to późniejsza ulica Nowowiejska. Znaczenie jej polegało nie tylko na estetycznym rozwiązaniu widokowym, ale również na dogodnym dojeździe do rezydencji. Na przecięciu „drogi królewskiej" z Aleją Ujazdowską stworzono okrągły placyk, zwany dziś Na Rozdrożu, skomponowany jako pęk promieniście rozchodzących się sześciu alei, i wysadzono go drzewami lipowymi i kasztanami, tworzącymi zielone ściany. Prace przerwała nadciągająca w 1770 r. do Warszawy epidemia dżumy, przed którą starano się zabezpieczyć między innymi wałami usypanymi dokoła miasta. [2]

Na projekty różnych architektów i pierwsze prace wydano wielkie sumy. Rezultaty były natomiast mizerne, jak pisał Natan W. Wraxall: „Jest to zadziwiające zbiorowisko budynków przypominające raczej klasztor niż pałac, niewykończonych i zrujnowanych." [3] Król stracił serce dla Ujazdowa, porzucił myśl o stworzeniu w nim swej rezydencji i podarował go Starej Warszawie na koszary dla Gwardii Litewskiej i pułku piechoty.

Po wieloletnich pracach doczekała się urzeczywistnienia budowa nowej monarszej rezydencji letniej, Łazienek, jednego z najpiękniejszych założeń architektoniczno-parkowych w Polsce. Król nabył od Lubomirskich Ujazdów wraz z rozległym lasem, zwanym Zwierzyńcem. Od znajdującego się w nim pawilonu, mieszczącego za panowania Wazów łaźnię królewską, a przebudowanego w końcu XVII w. na łazienkę, znajdującą się w grocie i stanowiącą wzorem starożytnych miejsce spotkań towarzyskich, nazwano całą posiadłość Łazienkami. Król Stanisław August upodobał sobie malowniczo położony teren i przeznaczył go na miejsce budowy swej rezydencji. Trwała ona przez cały okres jego panowania, a w jej tworzeniu brali udział najlepsi artyści architekci, malarze, dekoratorzy i rzeźbiarze, tacy jak Dominik Merlini, Jan Ch. Kamsetzer, Franciszek Pinck, Andrzej Le Brun, G. Staggi, Tommaso Righi oraz malarze Marcello Bacciarelli, Jan Bogumił Plersch i Antoni Dąbrowski. W rozległym parku wzniesiono wiele budynków, a wśród nich siedzibę

[2] St. Herbst, *Ulica Marszałkowska*, s. 23—25.

[3] N. W. Wraxall, *Wspomnienia z Polski, 1778* (*Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców* t. I, s. 515).

króla — Pałac na Wodzie. Wnętrze jego zdobiły znakomite sztukaterie i freski, płaskorzeźby, posągi królów polskich, cezarów i bogów greckich. Oprócz pałacu powstał m. in. Biały Domek przeznaczony na mieszkanie dla rodziny królewskiej, Pałac Myślewicki, Wielka Oficyna i Wschodnia Kordegarda. Dla kabalarki króla, pani Lhuillier, przebudowany został dawny Ermitaż Lubomirskich. Wzniesiono też dwa teatry. Jeden z nich, którego piękne wnętrze możemy podziwiać jeszcze dzisiaj, mieścił się w Pomarańczarni, a drugi, wybudowany w 1790 r., to Teatr na Wyspie.

Wszystkie te budynki znajdowały się, jak wspomniano, w parku, którego urok podnosił piękno architektury i stanowił dla niej naturalne tło. Park powstał z części dawnego Zwierzyńca i części ogrodu włoskiego, opasującego łazienkę. Już August II powziął myśl jednolitego rozwiązania obu terenów ogrodowo-parkowych. Na osi zamku zbudowano wówczas wielki kanał, zwany Saskim. Obecnie po obu stronach pałacu założono dwa nieregularne lustra wody, tworząc nową oś ogrodu. Wycięto spróchniałe już łęgi olchowe dawnego Zwierzyńca i zastąpiono je nowym, bogatym drzewostanem, liściastym i iglastym, grającym kształtami drzew, koronką liści, a także tonacjami kolorów zieleni. Park ten wzbogacono o elementy pejzażowo-sentymentalne, naśladujące naturalne ukształtowanie krajobrazu. W grupach zieleni, rozdzielonej wielkimi alejami i rozległymi widokami perspektywicznymi, znajdowały się mniejsze wnętrza, bardziej intymne, a także niewielkie budynki ogrodowe. Powiązano je z sobą arabeskami wijących się dróg, ścieżek i kanałów, nad którymi przerzucono według ówczesnej mody lekkie mostki chińskie. Przed pałacem i w ogrodzie, zgodnie z gustem barokowym, ustawiono szereg rzeźb kamiennych. Od strony południowej, poprzez staw otoczony łąkami, park łączył się widokowo z podmokłymi łąkami Wilanowa. Od strony zachodniej poszerzono go o pobrzeże skarpy, przenosząc osiadłą tam ludność do wzorowej osady, zwanej Nowa Wieś.

W Łazienkach przyjmował Stanisław August znakomitych uczonych i literatów na prywatnych przyjęciach. Gościł też często dyplomatycznych i kulturalnych przedstawicieli obcych mocarstw, m. in. szambelana dworu pruskiego, Ernesta Ahaswera Henryka von Lehndorffa, który w czasie swego pobytu w Warszawie obracał się w kołach arystokratycznych. Jemu zawdzięczamy malowniczy opis życia tych sfer. To szambelanowi ofiarował król piękne tureckie żurawie z parku Łazienkowskiego, kiedy dowiedział się, że te egzotyczne ptaki niezmiernie mu się podobały.[4] Zwiedzał Łazienki, podziwiając ich piękną architekturę i park angielski, William Coxe, który zaopiniował, że wille, „chociaż zbudowane są w różnych stylach, każda z nich jednak odznacza się wielkim smakiem i elegancją".[5] Pałac służył również skłonnemu do romansów królowi za miejsce intymnych spotkań z wybrankami serca.

Wszystkie budowle królewskie, zarówno zrealizowane, jak i projektowane, utrzymane były w stylu klasycyzmu. Wczesne dzieła nosiły jeszcze reminiscencje francuskiego rokoka, natomiast późniejsze śmiało nawiązywały do wzorów włoskiego palladianizmu i antyku. Było to zgodne z teoriami o prymacie sztuki klasycznej, głoszonymi na zachodzie Europy. Stanisław August świadomie wprowadzał nowy

[4] E. A. Lehndorff, *Dzienniki* (tamże, t. II, s. 37).
[5] W. Coxe, *Podróż po Polsce, 1778* (tamże, t. I, s. 658).

styl jako wyraz swoich poglądów oświeceniowych przeciwstawiając go sztuce baroku, którą utożsamiano z sarmatyzmem konserwatywnego społeczeństwa.

Ponieważ król nie dysponował w kraju wykwalifikowanymi architektami, sprowadzał ich z zagranicy, jak również rzeźbiarzy, sztukatorów, meblarzy-ebenistów, a więc mistrzów intarsji, i innych. Dla podniesienia poziomu sztuki rodzimej wysyłał artystów na wojaże zagraniczne, na tak zwane stypendia królewskie, ażeby przebywając najbliżej źródła przejęli się sztuką klasyczną i po powrocie do kraju tworzyli dzieła w tym duchu. Kilkuletnią podróż odbył architekt królewski, Jan Ch. Kamsetzer, poznając Włochy, Francję, Anglię, Niemcy, a także Bliski Wschód, który zwiedził towarzysząc w 1776 r. posłowi Karolowi Boscamp Lasopolskiemu. W Akademii Św. Łukasza w Rzymie studiował architekt Stanisław Zawadzki. Jako stypendysta został również wysłany do Włoch inny architekt królewski — Jakub Kubicki.

Jednakże nie same tylko blaski towarzyszyły działalności królewskiej. Ażeby prowadzić pracę na tak szeroką skalę, potrzebne były mocne podstawy finansowe, których brakowało. Stanisław August zapożyczał się na wszystkie strony i w przedsięwzięciach artystycznych niejednokrotnie bezużytecznie topił miliony. Przyczyna tego stanu rzeczy leżała w chwiejności charakteru króla. Do jednego dzieła, np. przy urządzaniu wnętrz zamkowych, wykonywano nieraz setki projektów, a potem już wybrane i wykonane spośród wielu zmieniano po kilku czy kilkunastu latach. Zaczęte budowle nie były kończone, chociaż prace przy nich pochłonęły już małą fortunę, czego przykład stanowił Ujazdów. Budowa Łazienek też trwała latami. Nic dziwnego, że marnotrawstwo budziło krytykę i to nie tylko w kręgach konserwatywnych, ale także w obozie ludzi reform Oświecenia. Jednym z przejawów tej krytyki był obraz alegoryczny stanowiący satyrę na prowadzenie budowli królewskich. Oto Stanisław August, siedzący w powozie, sypie pieniędzmi na ulicę. Woźnica, którym jest dawny kamerdyner, zaufany króla, Franciszek Ryx, kieruje powozem w kierunku jakiejś budowli. Dopędza ich jeździec-architekt na koniu z teczką kontrprojektów w ręku. W głębi widoczny jest klasztor Bonifratrów, w którym mieścił się szpital dla obłąkanych. Była to czytelna chyba satyra na ograniczenie działalności Dyrekcji Budowli Królewskiej tylko do terenu Warszawy, na bezplanowość jej poczynań, niedbalstwo, marnotrawstwo pieniędzy, pracy i talentów.[6]

Pałace magnackie

Najzamożniejsi mieszkańcy stolicy mieszkali we własnych lub też odnajmowanych pałacach. W połowie XVIII wieku było ich w mieście kilkadziesiąt (w 1750 r. — 48), w końcu stulecia liczba ta prawie się potroiła (w 1784 r. — 128). Już za Sasów wielkie rody magnackie miały ambicje posiadania nie tylko rezydencji w dobrach wiejskich, ale również okazałego pałacu w stylu drezdeńskiego rokoka w stolicy. Moda ta w drugiej połowie XVIII w. stała się tak

[6] M. Mrozińska, *Satyra na Dyrekcję Budowli Jego Król. Mości Stanisława Augusta*, „Biuletyn Historii Sztuki", R. XIII, 1951, nr 4, s. 138 i n.

powszechna, że wznoszono nowe lub przebudowywano dawne siedziby z ubiegłych stuleci. Stare dwory murowane, flankowane wystającymi obronnymi alkierzami w narożach, nie były już modne. Na te cele magnaci wyciskali sumy ze swych latyfundiów lub też wydawali swe zasoby, ażeby dorównać najbogatszym i najwspanialszym rezydencjom. Ceny stale wzrastały i jak notował Fryderyk Schulz w r. 1791: „pałac w Warszawie, z prostej cegły, kosztuje więcej niż w Genui podobny z rzezanej *pietra di Lavagna* [łupku], niż taki w Rzymie z trawertynu [tufu wapiennego]. Cegielnie i wapielnie pod Warszawą nie mogą, przy umiarkowanym budowaniu, dosyć żądanego dostarczyć materiału. Użyci do budowy przedsiębiorcy nie mają pod dostatkiem czeladzi, a żądanego robotnika niepodobna przysposobić w kraju, gdzie najliczniejsza klasa ludu do rzemiosł i rękodzieł przechodzić nie ma prawa". Ponieważ materiał — jak kamień, wapno czy drzewo — trzeba było nieraz sprowadzać z dalszych okolic, a i samych budowniczych z zagranicy, podnosiło to koszty inwestycji. Do pomocy w budowie używano także kobiet i dzieci, które z braku znajomości zawodu mogły wykonywać tylko najprostsze roboty. Wnętrza natomiast wymagały zręcznych rzemieślników, dlatego: „Wszystko, czego wymaga ozdoba wschodów, okien, gzymsów, trzeba za granicą zamawiać i obrobione lub z gruba ociosane z daleka przywozić [...]; wymaga wewnętrzne urządzenie i ozdoba nowych a kosztownych przyborów, których tysiączne części składowe albo same, lub z rękami, co je wyrabiają, przypasowują i umieszczają, z zagranicy ściągane być muszą." [7]

W budowie rezydencji wzorowano się przede wszystkim na poczynaniach największego mecenasa sztuki i znawcy o subtelnym smaku, jakim był Stanisław August. Działalność króla w dziedzinie sztuki przyczyniła się do wyrobienia gustu i obudziła zainteresowania artystyczne sfery magnackiej. Wpłynęła również pośrednio i na szerokie rzesze mieszkańców Warszawy, którzy ulegli nowej modzie. Nikt prawie, kto dysponował odpowiednimi funduszami, nie mógł się jej oprzeć. Magnaccy mecenasi potrafili również dobrać odpowiednich wykonawców. Najwybitniejsi architekci tej epoki, Kamsetzer, Merlini, Zawadzki, Fontana, Szreger, Zug, Lessel, Aigner, wznosili pałace i wille podmiejskie dla Potockich, Mniszchów, Sapiehów, Radziwiłłów, Lubomirskich, Czartoryskich, a także dla rodów bankierskich — Tepperów, Blanków, Kabrytów, Łyszkiewiczów. Większość pałaców zbudowana została w miejscach, gdzie już z dawien dawna osiadła szlachta, a więc przy Senatorskiej, Miodowej, Długiej, Krakowskim Przedmieściu, a następnie na terenach bardziej odległych, jako że w śródmieściu trudno było nabyć działkę, a właściwie kilka działek na wzniesienie rezydencji. Budowano na Faworach, na terenie zachodnich jurydyk, a także na Nowym Świecie i na gruntach przedmiejskich, położonych na południe od miasta. Największa ilość pałaców przypadała na śródmieście, gdzie w 1784 r. liczba ich sięgała sześćdziesięciu. W dzielnicy południowej i zachodniej było ich kilkanaście, a w innych tylko kilka.[8]

Pałace te były różnej wielkości i stylu, ale wyodrębnić w nich można przede wszystkim dwa typy. Pierwszy miał charakter wielkiej reprezentacyjnej rezydencji,

[7] F. Schulz, *Podróże Inflantczyka z Rygi do Warszawy i po Polsce w latach 1791—1793* (*Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców*, t. II, s. 551—552).

[8] A. Gieysztor, St. Herbst, E. Szwankowski, *Kształty Warszawy*, „Biuletyn Historii Sztuki", R. IX, 1947, nr 1/2, s. 208.

drugi odznaczał się wyglądem skromnym, miejskim i wznoszony był wśród zwartej zabudowy ulicy. Rezydencje reprezentacyjne, przeznaczone na siedzibę wielmożów, budowano przeważnie na terenach oddalonych od centrum, na których architekt nie był ograniczony rozmiarami działki miejskiej. Były to zespoły budynków projektowanych w wielkiej skali, wzorowanych na wiejskich zamkach i pałacach magnackich. Obszerny dziedziniec, zamknięty ozdobnym ogrodzeniem z wielką bramą wjazdową na osi, poprzedzał stojący w głębi posesji pałac. Zazwyczaj był on dwupiętrowy, o wielkich oknach pierwszego piętra, zwanego *bel étage*, przeznaczonego na pomieszczenia reprezentacyjne, nad którym niewielkie okna należały do niskiej kondygnacji, zwanej z włoska *mezzanino*. Środkowa część korpusu pałacu, zazwyczaj wydzielona pilastrami lub nieco wysunięta z lica fasady i bogato ozdobiona, zwieńczona była trójkątnym szczytem. Pole tympanonu wypełniano płaskorzeźbą figuralną lub też ulubionymi wówczas emblematami, panopliami itp. Budynek zwieńczony był dachem czterospadowym lub łamanym mansardowym, krytym dachówką. Z jego głębi wysuwały się wdzięczne okienka mansardowe, prostokątne lub w kształcie wolich oczu. Do korpusu głównego pałacu przytykały skrzydła boczne, oficyny jednopiętrowe lub wyższe o skromniejszej architekturze i dekoracji. W drugiej połowie XVIII w. przerabiano je nadając im bardziej reprezentacyjną szatę, godną pychy magnatów, właścicieli tych siedzib, a także powiększano ze względu na stale wzrastającą liczbę dworzan i sług.

Wnętrze pałacu miało układ dwutraktowy z sienią pośrodku. Pokoje zaplanowane były amfiladowo lub też wieńcowo wokół wielkiej sali, co ułatwiało urządzanie zebrań towarzyskich. Otwierano wówczas drzwi łączące komnaty i uzyskiwano wielkie przestrzenne wnętrze, po którym goście mogli swobodnie krążyć. Właściciele na swój osobisty użytek zajmowali zazwyczaj część pomieszczeń parteru oraz pokoje znajdujące się w tylnym trakcie pierwszego piętra. Okna ich wychodziły na ogród rozciągający się na pozostałym terenie. Ogrody utrzymane były w stylu francuskim, z krótko strzyżonymi trawnikami we wzory dywanowe i arabeski. Urozmaicenie stanowiły solitery, czyli samotne drzewa lub krzewy, którym ręka ogrodnika nadawała odpowiedni kształt kuli, stożka itp. Szukając ochłody przed promieniami słońca przechadzano się zacienioną alejką bersa, czyli tak poprowadzonych drzew, ażeby stykające się gałęzie tworzyły dach liściasty nad ścieżką. Podobny efekt uzyskiwano przez pnące rośliny, rozpięte na delikatnych drewnianych bramkach. Pośrodku urządzano małą fontannę ze zbiornikiem wody. Wśród parterów kwietników ustawiano rzeźby kamienne, przedstawiające postaci alegoryczne i mitologiczne, lub też kamienne wazony z bukietami kwitnących kwiatów.

Do najwspanialszych rezydencji tego typu należał Pałac Błękitny przy ul. Senatorskiej, wzniesiony jeszcze przez króla Augusta II, należący potem do rodziny Czartoryskich, która miała ambicje sięgające tronu królewskiego. W siedzibie tej odbywały się nie tylko wspaniałe towarzyskie zebrania, ale także i narady polityczne, którym przewodniczył wojewoda ruski książę Aleksander August Czartoryski. Naprzeciw położony był pałac Mniszchów, zamieszkały przez marszałka nadwornego koronnego, właściciela licznych starostw, Jerzego Mniszcha, i przebiegłą intrygantkę jego żonę, Marię Amelię Brühlównę, córkę wszechwładnego za czasów saskich Henryka Brühla. Przy ul. Senatorskiej było jeszcze kilka pałaców

magnackich, Jabłonowskich, Ogińskich, Pociejów, a także rezydencja bankiera Blanka. Znacznie okazalszy był pałac drugiego słynnego bankiera, Piotra Teppera, przy ul. Miodowej, przy której również rozsiadły się pałace magnackie Czartoryskich, Lubomirskich, Branickich oraz kapituły krakowskiej.

Zarówno mieszkańcy Warszawy, jak i przyjeżdżający z dalekich wojaży cudzoziemcy za najokazalszy uznali Pałac Rzeczypospolitej przy ul. Długiej. Tak nazwano dawną rezydencję Krasińskich, nabytą przez Komisję Skarbową w 1764 r. Pałac, wzniesiony w XVII w. przez znakomitego architekta Tylmana z Gameren, przebudowany został przez Jakuba Fontanę w celu przystosowania gmachu do potrzeb instytucji, które w nim znalazły siedzibę. Gdy w 1782 r. zniszczył go straszliwy pożar, nowe projekty wykonał Dominik Merlini, który stworzył znakomite, w stylu klasycystycznym utrzymane wnętrza, a przede wszystkim wspaniałą klatkę schodową. Niegdyś przed pałacem tym znajdowała się brama wjazdowa, zamykająca obszerny dziedziniec, który stał się placem publicznym. O wielkiej skali zaprojektowanego założenia świadczy ogród rozprzestrzeniający się szeroko po drugiej stronie pałacu, podzielony symetrycznie na kwatery. W niedalekim sąsiedztwie znajdował się piękny pałac Piotra barona de Riaucourt zwany „Pod Osobami" lub pod „Czterema Wiatrami". Za nim rozpościerał się ogród parterowy.

Najwięcej pałaców typu *entre cour et jardin* zostało wybudowanych na Krakowskim Przedmieściu i w jego bliskim sąsiedztwie. Najpiękniej położone były rezydencje na wysokim brzegu skarpy wiślanej, w dół której opadały tarasami ku rzece malownicze ogrody, tak jak w pałacu Radziwiłłowskim, Kazimierzowskim, przebudowanym przez Merliniego na Szkołę Kadetów w 1765 r., i Czartoryskich (na miejscu dzisiejszego hotelu Bristol). Dawny Zamek Ostrogskich wyróżniał się malowniczym położeniem i smukłą sylwetą, górującą w panoramie Powiśla.

W dzielnicy północnej, na Nowym Mieście, najokazalszym pałacem była siedziba kasztelana trockiego Jana Fryderyka Sapiehy, wzniesiona w pierwszej połowie XVIII w. (przed r. 1734), przebudowana w latach czterdziestych tegoż stulecia przez Jana Zygmunta Deybla. Korpus główny budynku cofnięty był nieco w głąb ulicy, a dwa przytykające do niego skrzydła wytyczały niewielki dziedziniec, zamknięty bramą. Bryła architektoniczna i dekoracja elewacji pałacu była późnobarokowa. Od strony Wisły na attyce wznosiły się ku jego ozdobie rzeźby figuralne. Z tyłu pałacu aż do ulicy Przyrynek rozciągał się wielki, utrzymany w stylu francuskim ogród. Od strony południowej oparty był on o pozostałości wału Zygmuntowskiego, usypanego w latach 1621—1624 i wyzyskanego jako element wzniesienia w rozplanowaniu ogrodu. Podobnie wykorzystano odcinek wału we wspomnianym już ogrodzie pałacu Mniszchów przy ul. Senatorskiej.

Drugą grupę pałaców, i to liczną w okresie drugiej połowy XVIII w. w Warszawie, stanowiły pałace przyuliczne, które nazwiemy miejskimi. Funkcje mieszkalne przeważały w nich nad reprezentacyjnymi. W zasadzie były one podobne do barokowych kamienic w powiększonej skali architektonicznej. Wyróżniały się jednak długością fasady, wznoszono je bowiem na kilku, a przynajmniej dwóch połączonych działkach. Pierwsze lub drugie piętro było wyższe, zaakcentowane wielkimi i ozdobnymi oknami *bel étage*'u, a następne niższe i oświetlone małymi oknami *mezzanina*. Dekoracja, detal architektoniczny był staranniej i bogaciej opracowany

niż w kamienicy mieszczańskiej. Pałace te nie miały reprezentacyjnego podjazdu i ogrodu, choć czasem starczało miejsca na mały dziedziniec i reminiscencję założenia ogrodowego, zredukowanego do miniaturowego ogrodu.

W ostatnich latach panowania Stanisława Augusta Warszawa zyskała prawdziwą perłę architektury klasycystycznej. Była nią wzniesiona w latach 1786—1796 rezydencja Ludwika Tyszkiewicza na Krakowskim Przedmieściu (obecnie Uniwersytet Warszawski, Gabinet Rycin). W nim J. Chr. Kamsetzer, nieskrępowany kontrprojektami zleceniodawcy, wypowiedział się najpełniej. Przepiękne wnętrza, szczególnie sale pierwszego piętra, które możemy oglądać w siedzibie Gabinetu Rycin, utrzymane były w stylu klasycystycznym. Pracowali przy nich znakomici rzeźbiarze, jak Andrzej Le Brun, sztukatorzy Giuseppe Amadio i Paulo Casasopra, którzy także zdobili Salę Rycerską na Zamku Królewskim, oraz Jan Michał Graff i in. Wnętrza malował według rysunków projektanta M. Jasiński. Wykwintną stolarkę wykonali Mateusz Szeps i Ksawery Deibel.[9]

Pałace miejskie nie zawsze przeznaczano na rezydencję rodziny magnackiej. Czasami budowano je też z myślą o wynajmowaniu lokali i do tego dostosowywano. Dla tych powodów rozplanowanie wnętrza nie było jednolite. Przeważał układ dwutraktowy z amfiladowym rozwiązaniem pokoi, przynajmniej na pierwszych dwóch kondygnacjach, natomiast w pałacach z góry przeznaczanych na czynszowe wydzielano poszczególne mieszkania z kuchniami do wynajęcia. Na parterze mieściły się sklepy i magazyny. Pierwsze piętro wynajmowano bogatym lokatorom i stanowiło ono właściwie apartament, natomiast wyższe dzielono na szereg małych lokali. Im wyższe piętro, tym lokale były mniejsze i skromniej wyposażone w wygody mieszkaniowe.

Do bardziej znanych pałaców tego typu należała siedziba rodu Małachowskich przy ul. Senatorskiej, przebudowana w r. 1750 z dawnej rezydencji wójta Starej Warszawy, Józefa Benedykta Loupiego, dla kanclerza wielkiego koronnego Jana. Już w r. 1784 pałac został sprzedany kupcom czeskim braciom Roeslerom i Gasparowi Hurtigowi, którzy wybudowali od strony Krakowskiego Przedmieścia, na dawnym dziedzińcu, wielką kamienicę zwaną do dzisiejszego dnia Roeslerowską, z przeznaczeniem na dom towarowy i wynajem lokali. Architekt Szymon Zug zaprojektował ją w modnym stylu klasycystycznym.[10] Fragment dawnej magnackiej rezydencji znany nam jest z obrazu Canaletta.

Inne pałace miały wygląd mieszczańskiej kamienicy. Tak m. in. prezentował się pałac Mokronowskich, usytuowany przy zbiegu ulic Zakroczymskiej i Kościelnej, od strony Rynku Nowego Miasta. Bardziej okazała była jego fasada od ul. Zakroczymskiej. Na ambicje pałacowe budowli wskazuje reprezentacyjne drugie piętro oraz zmniejszona skala następnych, aż do niskiego, o małych, kwadratowych otworach okiennych czwartego piętra, a także skromna, ale utrzymana w dobrym guście dekoracja architektoniczna. W tym pałacu już w 1765 r. handlowano i szynkowano jak w karczmie, a poszczególne pomieszczenia wynajmowano różnym lo-

[9] Z. Batowski, *Pałac Tyszkiewiczów w Warszawie*, „Rocznik Historii Sztuki", t. I, 1956, s. 312 i n.

[10] St. Lorentz, *Architektura wieku Oświecenia w świetle przemian w życiu gospodarczym i umysłowym*, „Biuletyn Historii Sztuki", R. XIII, 1951, nr 4, s. 15; P. Bohdziewicz, *O kilku kamienicach na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie*, „Biuletyn Historii Sztuki", R. XIX, 1957, nr 4, s. 337 i n.; St. Szenic, J. Chudek, *Najstarszy szlak Warszawy*, Warszawa 1954, s. 147—150.

katorom. Tym celom służyły również wybudowane w drugiej połowie XVIII w. przy ul. Świętojerskiej pałace Morantych i Wendorfa. W tym ostatnim mieszkał w 1792 r. Hugo Kołłątaj, a także ks. Franciszek Ksawery Dmochowski.[11] Jeżeli przejrzymy protokoły „Rewizji miasta wolnego Warszawy" z 1792 r., przekonamy się, jak niewiele pałaców tych czasów pozostało rezydencją mieszkalną jednej rodziny magnackiej. Większość z nich była odnajmowana nieraz bardzo licznym komornikom. W dawnym pałacu zwanym Murano, wybudowanym przez Józefa Szymona Bellottiego przy dzisiejszej ul. Muranowskiej (nr hip. 2191), a w 1792 r. należącym do wdowy po metrykancie koronnym Słomińskim, mieszkało 113 osób. Można sobie wyobrazić, jak zmienione zostało dawne zaplanowanie wnętrza, ażeby piękną rezydencję znanego architekta przerobić na malutkie i tanie pomieszczenia. Budynki o dużej kubaturze traktowano jako źródło pewnych i dobrych dochodów. Tam mieściły się też sklepy i szynki, a także przybytki dla szukających rozrywek panów.

Zdarzało się, że nowo wzbogaceni i świeżo uszlachceni mieszczanie budowali piękne pałacyki. Położenie ich w centrum współczesnej Warszawy umożliwiało załatwianie spraw handlowych, a ich modna i okazała szata architektoniczna wzbudzała podziw i zaufanie klientów. Taką wspaniałą kamienicę-pałac wystawił w 1773 r. bankier Piotr Tepper starszy przy ul. Miodowej, w najbliższym sąsiedztwie wspaniałego pałacu kapituły krakowskiej, zwanej przez mieszkańców Warszawy pałacem biskupa krakowskiego. Budowla miała postać bardzo ozdobnej skrzyni kasowej, którą nadał jej Efraim Szreger. Bernoulli, zachwycając się jego wnętrzem, pisze: „Dom, w którym pan Tepper mieszka, to wspaniały gmach, z którym się żaden warszawski pałac nie może równać." W pałacu tym mieściły się nie tylko kantory bankowe. Reprezentacyjne pierwsze piętro zajmował dyplomata austriacki, poseł nadzwyczajny, Karl Emerich von Reviczky vel Revitzky.[12]

Młody Piotr Tepper mieszkał wraz z rodziną w pałacu urządzonym z wielkim przepychem przy ul. Długiej nr 556, „Pod Osobami". Od 1775 r. zajmował go ambasador Otto Stackelberg, który co środa wydawał w czasie sejmu wspaniałe przyjęcia. Bywał na nich król i najświetniejsze towarzystwo.[13] Bale i zebrania odbywały się w olbrzymiej sali otoczonej kolumnadą, wzorowanej na wspaniałej sali balowej Zamku królewskiego. Rzeczpospolita płaciła Tepperowi za tę wytworną siedzibę ambasadora dwa tysiące dukatów czynszu rocznie.

W uboższej dzielnicy zachodniej miasta wyróżniała się tzw. kamienica Fryderyka Jacobsona, właściwie będąca pałacykiem przyulicznym, wybudowana przez słynnego jubilera królewskiego na Lesznie pod nr nr 723—724. Na wąskiej działce stanęła niewielka trzypiętrowa budowla, której środkowa partia fasady wydzielona została przez cztery przebiegające na wysokość trzech kondygnacji pilastry. Balkon, wsparty na rzeźbionych, kamiennych konsolach, podkreślał reprezentacyjność piętra. Na osi budynku brama prowadziła do pięknych, zachowanych do dnia dzi-

[11] A. Berdecka, *Ożywienie gospodarcze i reformy okresu Oświecenia* (*Szkice nowomiejskie*, Warszawa 1961, s. 102).

[12] St. Lorentz, *op. cit.*, s. 7 i n.

[13] J. Bernoulli, *Podróż po Polsce, 1778* (*Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców*, t. I, s. 367, 416—417).

Przyięcie Prawa Mieyskiego Konstytucyą na Seymie teraznieyszym iednomyslnością uchwaloną y do Akt Grodu Warszawskiego na dniu dwudziestym pierwszym Miesiąca Kwietnia Roku bieżącego przez Oblatę podaną przepisane, ktore każdy osiadły Obywatel z przystępuiących do Prawa Mieyskiego w obecności Magistratu wyznać y one podpisać obowiązany. = Ja N: Nayiasnieyszemu Krolowi y Rzeczypospolitey wiernym „będę, posłuszeństwo Prawom y ustawom Seymowym za nayscisleyszy biorę obowiązek. Zwierzchnosci Miasta N: w ktorym do „Obywatelstwa przyłączony iestem podległym być chcę y obowiązki „wszelkie zachowam, co wszystko zaręczam tak za siebie iako y Na„stępców moich. =

Jakoż Jasnie Wielmożny Stanisław Małachowski Referendarz Koronny Marszałek Seymowy y Konfederacyi iako w szczególności na Miasta ku ich polepszeniu sytuacyi łaskawy y względny chcąc aby Prawo to swoią iak nayprędszą miało Exekucyą iako pierwszym był do silnego w Nayiasnieyszych Rzeczypospolitey Stanach poparcia ku zapadnieniu Konstytucyi tak też pierwszy Akcess do Prawa Mieyskiego uczynił w słowach następuiących =:

Ja Stanisław Nałęcz Małachowski Referendarz Wielki Koronny Seymowy y Konfederacyi Prowincyi Koronnych Marszałek Orderow Orła Białego y Swiętego Stanisława Kawaler Nayiasnieyszemu Krolowi y Rzeczypospolitey wiernym będę, posłuszeństwo Prawom y Ustawom Seymowym za nayscisleyszy biorę obowiązek, Zwierzchności Miasta tuteyszego Jego Krolewskiey Mosci Rezydencyonalnego Warszawy, w ktorym do Obywatelstwa przyłączony iestem, podległym być chcę y obowiązki wszelkie zachowam, co wszystko zaręczam tak za siebie iako y Następcow moich. y takowy Akcess Tenże Jasnie Wielmożny Małachowski Marszałek Seymowy y Konfederacyi własnym swey ręki podpisem w tey Xiędze stwierdził.

Stanisław Nałęcz Małachowski Ref. W. K. Leg. Kons. Marsz.

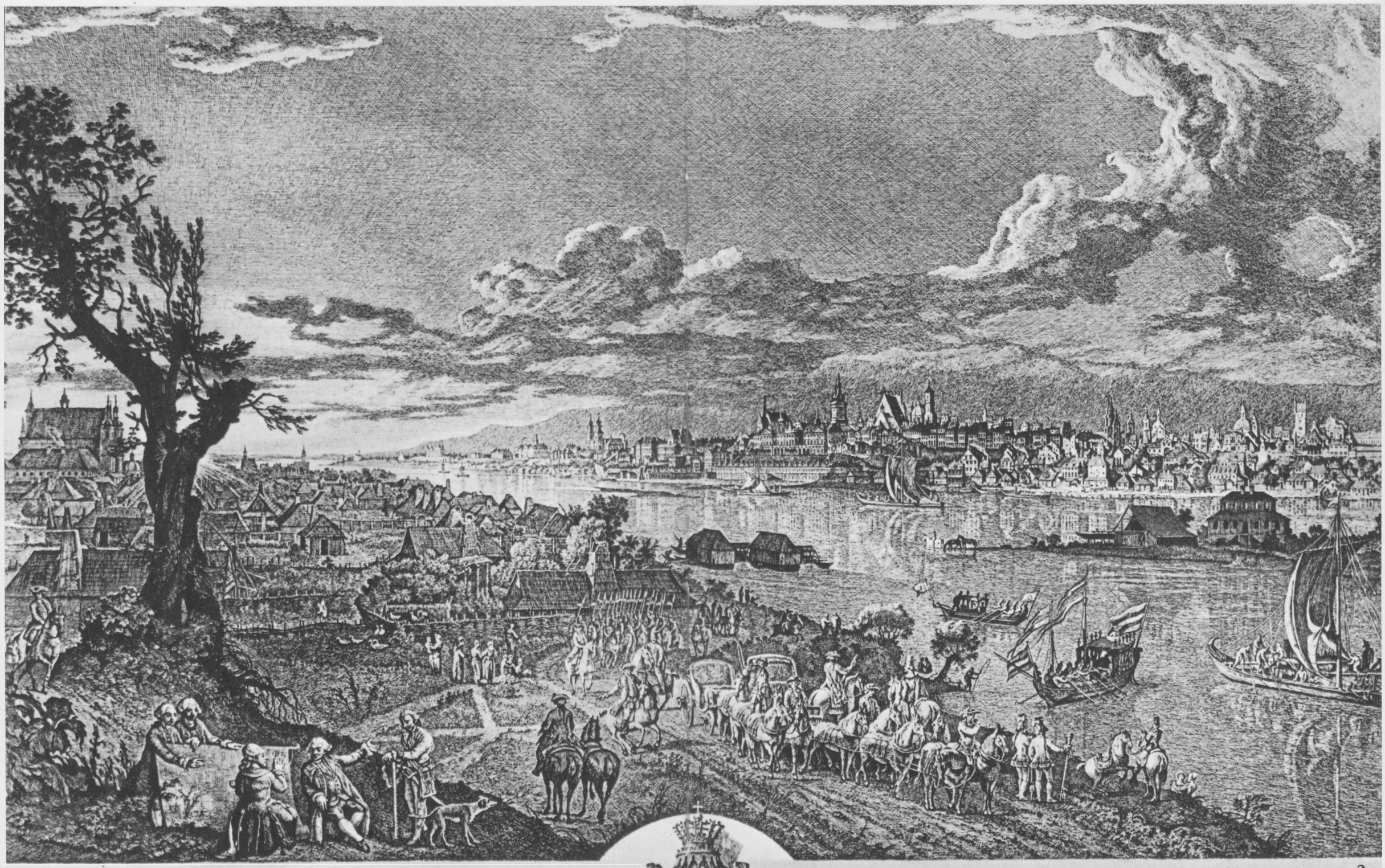

WIDOK WARSZAWY ZACZAWSZY OD PALACU SAPIEZYNSKIEGO
aż na Koniec Szolca, daley aż do Zamku Wilanowskiego z Częścią
Miasta Pragi po drugiey stronie Wisły malowany w Roku 1770
przez Bernardo Bellotto de Canaletto y przez niego Sztychowany w Roku 1772

VUE DE VARSOVIE PRISE DEPUIS LE PALAIS SAPIEHA
jusques au bout de Szolec et par de la jusques au Chateau de Vilanova
avec une partie de la Ville de Prague située de l'autre Cote de la Vistule Peint en 1770
par Bernardo Bellotto de Canaletto et grave par lui meme Ao 1772

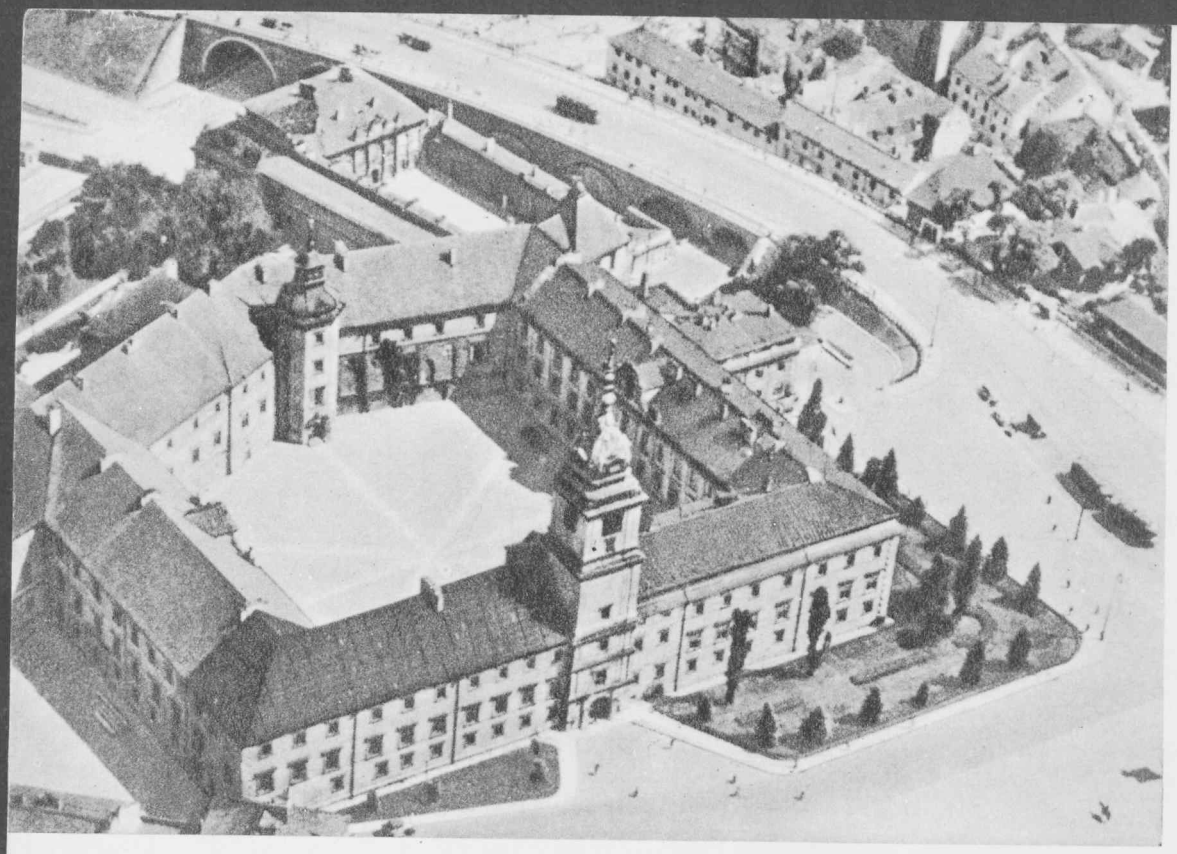

3



4

siejszego wnętrz pałacyku, utrzymanych w tzw. stylu stanisławowskim. Dom, zajmowany przez rodzinę świetnego jubilera, stanowi świadectwo jego znakomitego smaku artystycznego.

Wille podmiejskie — warszawskie maisons de plaisance

Magnaci i bankierzy nie tylko zamieszkiwali pałace, ale również — zgodnie z modą przybyłą z Francji, Anglii i Włoch, a nakazującą posiadanie również ustronnej rezydencji podmiejskiej — budowali wśród zieleni przedmieść Warszawy swoje *maisons de plaisance,* gdzie chętnie spędzali wolny czas. Według obowiązujących konwencji wykwintne osiemnastowieczne wille wzorowano na architekturze antycznej. Nowa dzielnica powstała na Faworach wśród zieleni rozległych ogrodów, w pobliżu poprzecinanych wąwozami, malowniczych skarp wiślanych. Piękno jej tak chwalił Piotr Celestyn Tyszyński:

W górę opodal wdzięczne Fawory,
Na dole flisów pracownych wrzawa,
Cóż gdy swe Wisła wznosi kędziory,
Jak miły widok w oczach mi stawa! [14]

Posiadał tu podmiejski dom, oprócz pałacyku na Senatorskiej, bankier Blank. W pobliżu dla Adama Ponińskiego, marszałka sejmu rozbiorowego, wystawił w latach 1774—1775 piękną willę Efraim Szreger. Pałacyk położony był przy ul. Czujnej, a prowadziła do niego bardzo szeroka aleja, wysadzana drzewami. Po bankructwie Ponińskiego willa przeszła na własność bankiera Fryderyka Kabryta, pochodzącego z Królewca. Schulz pisze, że obaj panowie, Kabryt i Blank, przyjmowali u siebie na obiadach najznakomitsze towarzystwo szlacheckie, a urządzenie pałacyku za jego czasów dorównywało najwykwintniejszym wnętrzom magnackim.

Ogród przy willi Ponińskiego był otwarty na pobliski Marymont, gdzie na terenie rozległego Zwierzyńca stał dawny pałac myśliwski króla Jana III, który niechętnie przebywał w stolicy. Przy pałacu znajdowały się również budynki drewniane, a u podnóża tej królewskiej rezydencji, nad wielkim stawem, mieściły się zabudowania folwarczne i młyn pamiętający czasy Sobieskiego. Po śmierci ostatniego króla saskiego wydzierżawiono Marymont posłowi angielskiemu Tomaszowi Wrougthonowi, który uporządkował lasek wraz z ogrodem i udostępnił go mieszkańcom Warszawy, tworząc na tarasie od zachodniej strony rodzaj amfiteatru dla widoku na gościniec. [15]

Również i na południowych przedmieściach stolicy, niedaleko królewskich Łazienek, wyrosły nowe pałacyki-wille na wysokim tarasie skarpy. Tzw. Królikarnię zbudowano według projektu Merliniego w latach 1786—1789 dla hrabiego Karola Tomatisa, dworzanina Stanisława Augusta i dyrektora teatru królewskiego.[16] W Warszawie dorobił się wielkiego majątku. Niewątpliwą zasługę miała w tym jego żona, tancerka Katarzyna Catai, za którą szalała warszawska młodzież i po-

[14] *Warszawa wieku Oświecenia,* oprac. J. Kott i St. Lorentz, Warszawa 1954, s. 116.
[15] A. Król, *Marymont,* „Rocznik Warszawski", R. I, 1960, s. 36 i n.
[16] Wł. Tatarkiewicz, *Dominik Merlini,* Warszawa 1955, s. 131.

ważniejsi wiekiem panowie z królem na czele. Królikarnia była niewielką, wytworną willą dwupiętrową, założoną na planie kwadratu, wzorem renesansowych willi palladiańskich. Pośrodku na okrągłym, dość wysokim bębnie zamykała ją okrągła kopuła. Wejście prowadziło poprzez czterokolumnowy portyk zwieńczony tympanonem. Wnętrze posiadało oryginalne rozwiązanie. W centrum znajdowała się okrągła sala, którą otaczały wieńcem pokoje. Dekoracja fasady utrzymana była w stylu klasycystycznym, nawiązującym do elementów antycznych, wchodzących coraz bardziej w modę. Wykwintna była również elewacja ogrodowa, ozdobiona tarasem, z którego schodziło się do romantycznego parku. Rozplanowanie jego dawało efekty malarskiego pejzażu. W parku znajdował się budynek o kształcie okrągłym, z dwukolumnowym portykiem, żywo przypominający antyczny grobowiec Cecylii Metelli w Rzymie. Była to po prostu kuchnia, wybudowana zgodnie z modą epoki, wzorującą się na sztuce starożytnej.

W bliskim sąsiedztwie Królikarni Efraim Szreger, na zlecenie księżnej Izabeli Lubomirskiej, wystawił w latach 1772—1774 modną willę w Mokotowie. Położony z dala od drogi, ażeby uniknąć zgiełku i kurzu, na wysokim tarasie pałacyk był niewielkim, dwupiętrowym budynkiem, założonym na planie kwadratu. Elewacje posiadały skromną dekorację, jedynie wschodnia od strony Wisły podwyższona została przez attykę nadbudowaną nad wysuniętym do przodu trzyokiennym ryzalitem. Wzdłuż pierwszego piętra wschodniej elewacji przebiegał taras, z którego, jak i z każdej strony willi, prowadziły schody do górnego ogrodu i parku. Willa przykryta była czterospadowym dachem, zwieńczonym wazonem antycznym. Na pierwszym piętrze mieściły się pokoje pani i jej *dame de compagnie* oraz wielka sala jadalna, której okna wychodziły na pola mokotowskie. Z drugiej strony roztaczał się widok na górny i dolny ogród, położony u podnóża skarpy. Zmienna w gustach artystycznych księżna zaangażowała w 1776 r. do ukończenia budowy rezydencji innego architekta, Szymona Bogumiła Zuga, który pracował do 1786 r. Wjazd do pałacu ozdobił on wieżą bramną z zegarem. Budowla ta pełniła w rzeczywistości rolę gołębnika i nad oknem jej pierwszego piętra umieszczone były w sześciu rzędach otwory dla ptactwa. Ogród górny, zwany kuchennym, przeznaczony na warzywa, a także ogród fruktowy, czyli sad, zostały regularnie rozplanowane. Przy nim budynki gospodarcze zbudowano w kształcie kamiennych ruin, zgodnie z tendencjami romantyzmu i gustem właścicielki do starożytności. Również pejzażowy park dolny pełen był antycznych niespodzianek.[17] Stok i podnóże skarpy pokrywała poplątana sieć alejek tworząc dziką promenadę, którą poetycznie opisał pijar Kajetan Skrzetuski:

I zaraz dzikie promenady, z miny
Gęste, chcą ukryć przed okiem krzewiny,
A ścieżka krętym wijąc się nawrotem
Nieraz obfitym nabawi cię potem.
Sama pochyłość tak miła, tak składna,
Żeby się mieniać chciała Aryjadna.
Lecz co najbardziej te zdobi struktury,
Że są najprostszym wyrazem natury.[18]

[17] M. Zakrzewska, *Mokotów. Pałacyk i założenie ogrodowe*, „Kwartalnik Architektury i Urbanistyki", t. VII, 1962, z. 1, s. 45 i n.

[18] K. Skrzetuski, *Mokotów* (*Poezja polskiego Oświecenia*, oprac. J. Kott, Warszawa 1956, s. 212).

U podnóża skarpy szeroko rozlewał się staw, na którym usypano trzy małe wysepki połączone lekkimi, przerzuconymi mostkami. Na wyspie wysuniętej najbardziej na wschód urządzono pasiekę. Dla uzyskania efektu złudzenia spaceru w otoczeniu antycznym księżna Lubomirska wystawiła w parku typową egzedrę koryncką. Na okrągłym podmurowaniu wznosiło się siedem kolumn korynckich podtrzymujących ruinę belkowania. Przy murze kamienna ława zapraszała gości do spoczynku, jak przy rzymskim domu starożytnym. Oranżerię zbudowano na planie wydłużonego prostokąta. Wieńczący ją gzyms dźwigało sześć wykutych w kamieniu niewiast z koszami na głowach. Zgodnie z gustem epoki była jeszcze rybaczarnia, chatka pustelnika, grota obrośnięta zielonymi pnączami i wodotryski.[19] Wszystko to miało zaćmić nie tylko pałacyki na Faworach, ale przede wszystkim Powązki, dzieło innej Izabeli — Czartoryskiej, groźnej rywalki w dziedzinie wznoszenia najmodniejszych wówczas budowli. Pomimo wielkich ambicji Izabela Lubomirska nie osiągnęła chyba swego celu, chociaż wielu gości podziwiało Mokotów. Jednym z zaproszonych był w 1781 r. Ernest A. Lehndorff, który tak oto wspomina swój pobyt w opisywanej rezydencji: „Cudowny wieczór spędziłem w Mokotowie u księżnej marszałkowej. Miejscowość wspaniała, ale obfitość świątyń, grot, namiotów, wiejskich domków itp. działa nużąco. Jednak wszystko, co się tu widzi, jest aż do najdrobniejszych szczegółów gustownie wykonane. Dom odznacza się przesadnym przepychem".[20]

Zmienna w sentymentach, jak wiele dam polskich tego czasu, Lubomirska zwróciła swe uczucia w stronę ulubieńca towarzystwa warszawskiego, przybyłego z Francji w r. 1768 byłego oficera wojsk francuskich, Józefa de Maisonneuve, kawalera maltańskiego. Elżbieta vel Izabela, jak się z hiszpańska nazywała, ofiarowała swemu faworytowi zbudowany również na skarpie w r. 1776 niewielki pałacyk w otoczeniu ogrodu, daleko od miasta położony, zwany Rozkosz. Późniejszy jego właściciel, Julian Ursyn Niemcewicz, nadał mu nazwę Ursynów. Złośliwa plotka szybko obiegła Warszawę. Uwiecznił ją w wierszu o pięciu Elżbietach Kajetan Węgierski.

Mówią, że miłosierna; radem wierzyć temu:
Wyświadczyła niemało Domowi Nowemu.

Była to przejrzysta aluzja do nazwiska jej kochanka, który otrzymał w darze posiadłość w r. 1783, by w następnym roku szybko ją odsprzedać Joannie z Sułkowskich Sapieżynie.[21]

Wśród rezydencji zaplanowanych przez kobiety najsłynniejsze były jednak Powązki młodej Izabeli z Flemingów Czartoryskiej. Założenie ich nawiązało zarówno do pejzażowo-sentymentalnych ogrodów, jak i antycznej mody. Wykwintny smak Izabeli zadecydował niewątpliwie o ich niezwykłej jednolitości. Księżna urządzała na Powązkach wspaniałe *fêtes champêtres*, na które zjeżdżał tłum zaproszonych. Jednym z nich był w 1778 r. William Coxe, guwerner młodego lorda Pembroke, z którym przybył do Warszawy. Zachwycony przyjęciem na Powązkach, opisuje rezydencję dokładnie: „Położone są niemal na równinie, tu

[19] M. Zakrzewska, *op. cit.*, s. 52 i n.
[20] E. A. Lehndorff, *op. cit.*, s. 31.
[21] St. Lorentz, *Działalność St. K. Potockiego w dziedzinie architektury*, „Rocznik Historii Sztuki", t. I, 1956, s. 473—474; AGAD, Metryka Koronna, nr 85, k. 127, r. 1785.

i ówdzie jednak trafia się łagodna pochyłość, stwarzając miłe urozmaicenie. Posiadłość ta urządzona jest w stylu angielskim, z przepyszną mieszaniną trawników i lasu, przez teren przepływa rzeka, tak że spacery odbywać można albo lasem, albo wzdłuż brzegów rzeki. Dom stojący na lekkim wzniesieniu ma wygląd chaty zbudowanej na wzór chłopskiej, z belek drzewa położonych jedna na drugiej i pokryty jest słomianą strzechą. Oprócz głównego budynku, który zajmuje księżna wraz z księciem, znajdują się tu jeszcze dla dzieci i służby oddzielne domki, z których każdy ma własne ogrodzenie i swój niewielki ogródek [...]. Inne budynki, takie jak altany, pawilony, ruiny i wiejskie szopy, rozsiane są po całej posiadłości. Stajnie wzniesiono na wzór częściowo zburzonego amfiteatru. Kilka romantycznych mostków skleconych z najzupełniej surowego materiału — to znaczy ze zwykłych belek i połamanych gałęzi drzew — podkreśla sielankowość scenerii." Największym zaskoczeniem dla Coxe'a były jednak wnętrza: „Spodziewaliśmy się wchodząc, że również i wnętrze urządzone będzie w prostym stylu wieśniaczej chaty, zdziwiliśmy się jednak widząc, że każdy szczegół w domu był tak elegancki i wspaniały, jak tylko można wyobrazić sobie w bardzo bogatym i z niezwykłym gustem urządzonym mieszkaniu." Następnie wraz z całym towarzystwem odbyto spacer dokoła ogrodu utrzymanego w stylu angielskim, aż do chwili kiedy nadeszła noc. I „wtedy księżna zaproponowała nam powrót i poprowadziła nas na niewielkie wzniesienie, gdzie nagle oczy nasze olśniła cudowna iluminacja. Wiejski most, który tworzył jeden jedyny łuk ponad szeroko rozlaną wodą, obstawiony był cały kilku tysiącami lamp w najrozmaitszych barwach. Odbicie w wodzie tego jaśniejącego mostu było tak silne, że zmylone nim oczy doznawały złudzenia, jak gdyby całość tworzyła ogromne, lśniące koło zawieszone w przestrzeni. Wrażenie było wprost nie do opisania wspaniałe, zwłaszcza że zjawisko to występowało na tle posępnej czerni znajdującego się w głębi lasu. Podczas gdyśmy tak stali podziwiając ten rozkoszny widok, nagle dały się słyszeć dźwięki ukrytej gdzieś niedaleko orkiestry, racząc nas przewybornym koncertem". Po czym goście wzięli udział w wykwintnej kolacji, obejrzeli jeszcze jedne iluminacje i wysłuchali jeszcze jednego koncertu. Oczarowany urokiem Powązek i jego gospodarzy Coxe pisze: „Gdybym tam nie był, nie umiałbym wyobrazić sobie nawet tak wykwintnego *fête champêtre* i jestem przekonany, że nie zdarza się, aby jedna osoba mogła dwa razy w życiu uczestniczyć w równie wspaniałym przyjęciu." [22]

Nie udało się Izabeli Lubomirskiej zaćmić czaru Powązek, choć usiłowała uczynić Mokotów równie miłym i zadziwiającym dla swych gości. Dopiero królewskiej urody Helena z Przezdzieckich Radziwiłłowa zdystansowała swą przyjaciółkę, a zarazem rywalkę, Izabelę Czartoryską. Zaprzągłszy najznakomitszych artystów stworzyła romantyczną Arkadię, usytuowaną niedaleko jej siedziby w Nieborowie. W tym okresie Powązki opustoszały. Czartoryscy opuścili Warszawę przenosząc się do Puław.

W tym czasie powstał jeszcze jeden *maison de plaisance*. Był nim Pałacyk na Górze księcia podkomorzego Kazimierza Poniatowskiego, starszego brata Stanisława Augusta. W latach 1772—1780 przy budowli założono wspaniały ogród, który ciągnął się od Nowego Światu i Trzech Krzyży, wzdłuż Książęcej, aż do

[22] W. Coxe, *op. cit.*, s. 661—664.

Solca. W nim znajdowały się groty, zrujnowane kolumnady, a w dole na łące kilka chałup krytych słomą, posiadających wewnątrz dwa pomieszczenia, salon i gabinet, bogato ozdobione w „stylu powązkowskim", jak to nazywa Bernoulli. Opisał on niektóre osobliwości dziwacznego ogrodu, które nie świadczyły o subtelnym smaku gospodarza: „W szopie znajduje się mały okrągły salon, ozdobiony sztukaterią. [...] Dalej widać duży gotycki, nieco zrujnowany kościół, w którym mieści się ładny teatr. Teatr jest bardzo długi. Parter, tak jak w Poczdamie, wznosi się amfiteatralnie, nad parterem zaś jest jeszcze galeria."[23] Były tam ponadto groty ze sztucznego kamienia, minaret turecki, bo i na to przyszła moda po pobycie posła tureckiego w Warszawie, a także ananasarnia. Książę podkomorzy założył nawet na sztucznej wyspie rezerwat z hodowlą małp, które topiły się w stawie i zdychały, źle znosząc klimat.

Ogród ten nie podobał się Schulzowi, natomiast Coxe, będąc gościem podkomorzego wraz z Stanisławem Augustem, zachwycał się sztuczną scenerią ogrodu. Po koncercie w parku nastąpiła kolacja i oczarowany gościnnością polskich magnatów Coxe wyznaje: „Nigdy nie przeżyłem przyjemniejszego wieczoru, wśród rozmowy błyskotliwej i rozumnej, w atmosferze wykwintu i swobody, którą zdawał się tchnąć każdy ze współbiesiadników..." [24]

Pałacyk podkomorzego był miejscem niewybrednych często rozrywek i przyjemności, o czym wiedziała cała Warszawa. Właściciel znany był z zepsucia i rozpusty. Niemcewicz wspomina ze zgorszeniem, że „Był to najlekszy na umyśle i najrozwiązlejszy w obyczajach człowiek [...] i aż do śmierci trwał w nich, nic dobrego nie uczyniwszy w życiu." [25] Nic dziwnego, że niedyskretny Bernoulli w czasie wizyty u księcia zauważył w jednym z pawilonów chińskie płaskorzeźby, przedstawiające sceny lubieżne. Po drugiej stronie płyciny umieszczone były również dość frywolne obrazy. Całość, wykonana z barwionej kości słoniowej i perłowej masy, odpowiadała ówczesnej modzie na chińszczyznę, turecczyznę i inne orientalia. Wesołe przyjęcia odbywały się w pawilonach ogrodowych. Zachwycał się nimi jeden z gości podkomorzego, Celestyn Czaplic, w wierszu pt. *Na Solec*:

Domie rozkoszny, co się w tobie mieści,
Wszystko to ciągnie, wabi, bawi, pieści.
Tu miłość, chcąca dla zabawy chodzić,
Ma się czym zagrzać, ma się czym ochłodzić.
Chce skakać, może; a chce z wolna stąpać,
Wszędzie ją cieszy; chce, może się kąpać.
Wierne kochania różną postać mienią,
Gżą się, weselą, drżą, bledną, rumienią.
Takowe rzeźby, takie malowidła
Miłe wejrzeniu podają pieścidła.[26]

[23] J. Bernoulli, *op. cit.*, s. 435.
[24] W. Coxe, *op. cit.*, s. 660.
[25] J. U. Niemcewicz, *Pamiętniki czasów moich*, oprac. J. Dihm i Z. Lewinówna, Warszawa 1957, t. I, s. 151.
[26] *Poezja polskiego Oświecenia*, s. 208.

Siedziby królewskie stanowiły wzór idealny, godny naśladowania dla magnatów i bankierów warszawskich, którzy starali się dorównać monarsze w artystycznych poczynaniach. Przewagę w Warszawie stanowiły jednak nadal wysokie kamienice mieszczańskie, rozłożyste dworki murowane i drewniane, wzorowane na skromnych siedzibach szlachty wiejskiej, oraz drewniane domy.

Zabudowa miejska Warszawy u progu okresu Oświecenia skupiała się w obrębie Starego i Nowego Miasta, skąd długimi mackami zaczęła rozprzestrzeniać się wzdłuż dawnych traktów i dróg narolnych w stronę Ujazdowa na południe, Woli na zachód i Żoliborza na północ. Te kierunki rozwoju miasta zostały zainicjowane już w wiekach poprzednich, ale przerwał je okres tragicznych dla stolicy wojen szwedzkich, najazdu Rakoczego, a potem wojny północnej, gdy gnębieni ciągłymi kontrybucjami, zubożali mieszczanie, rażeni głodem i zarazami morowymi, z trudnością usiłowali się opłacać nieproszonym Szwedom.

W latach czterdziestych XVIII wieku widoczne były jeszcze w Warszawie bolesne ślady długotrwałej i wyniszczającej kraj wojny północnej. Domy mieszkalne i gmachy publiczne uległy zniszczeniu nie tylko wskutek działań wojennych czy klęsk żywiołowych, ale w dużej mierze z braku funduszów, zarówno prywatnych jak i publicznych, na prace zabezpieczające czy też na większe, kapitalne remonty. Zasoby tak bogatego, jak i uboższego mieszczaństwa zostały wyczerpane przez nękające miasto długotrwałe opłaty kontrybucyjne, wyciskane przez wojska szwedzkie. Dlatego też dawne kamienice i dworki mieszczańskie chyliły się ku ruinie. Najjaskrawiej te skazy w pejzażu architektonicznym miasta występowały w dzielnicach zamieszkałych przez ludność uboższą, na rozległych przedmieściach, w rozlicznych jurydykach magnackich i duchownych, a także na Nowym Mieście. Tutaj mieszczaństwo doszło do takiego stopnia ubóstwa, iż sprzedawało działki i grunty od wieku nieraz pozostające w rękach jednej rodziny. Wykupywała je szlachta i burząc dawne, drewniane przeważnie domostwa, na obszernej parceli, powstałej nieraz ze scalenia kilku wąskich działek mieszczańskich, wznosiła okazałe rezydencje w otoczeniu rozległych, ozdobnych ogrodów.

Dopiero w ostatnich latach panowania Augusta III rozpoczął się wzmożony ruch budowlany. Wiązał się on z ożywieniem gospodarczym i stabilizacją kraju, a także z napływem nowych ludzi do stolicy, zwabionych blaskiem przebywającego w niej króla i dworu oraz łatwością zarobków. Najbogatsza warstwa mieszczaństwa, która oparła się ciężkim doświadczeniom losowym, tradycyjnie mieszkała nadal na Starym Mieście, w swych dawnych, pochodzących niejednokrotnie z XV w., średniowiecznych kamienicach.

Staromiejskie kamienice zajęły już w połowie XVII w. wszystkie posesje. Oficyny były przeważnie murowane, gdzieniegdzie tylko jeszcze kryły się wstydliwie w głębi podwórek drewniane komórki, szopy i chlewiki. Wzniesione na wąskich, średniowiecznych działkach kamienice murowane były z cegły i tynkowane. Przeważnie posiadały sklepione, głębokie piwnice, nieraz dwukondygnacjowe, w których kupcy przechowywali towary, a przede wszystkim wino i piwo w beczkach. W piwnicznych pomieszczeniach znajdowała się kuchnia. Stanowiły też one czasami przytułek dla służby domowej i biedoty miejskiej. Również przyziemie było prze-

sklepione, a zwłaszcza sień znajdująca się na osi budynku. Od frontu mieścił się kantor kupiecki lub warsztat rzemieślniczy, nad którego oknem zwisał okapowy daszek. Przed niepożądanym gościem chroniły dom kraty okienne, pięknie kute w zawiłe esy. W dzień drzwi do sieni stały gościnnie otwarte. Wiodły nie tylko do pomieszczeń kantoru czy warsztatu, ale także do mieszkania samego właściciela, który zwykle zajmował pierwsze piętro kamienicy. Jeśli był bardzo bogaty, zachowywał na własne potrzeby cały dom. Ale zwykle, wobec natłoku nowo przybyłych ludzi, posesjonaci chętnie wynajmowali pomieszczenia wyższych pięter, których kamienica liczyła trzy lub cztery. Nawet te u samego szczytu, na poddaszu lub w latarni, znajdowały chętnych. Nie zrażali się oni, że latem prażące słońce stwarzało duchotę nie do wytrzymania, a w zimie wiatry i deszcze przynosiły wilgoć na zmianę z lodowatym zimnem styczniowych i lutowych mrozów.

Wieczorem, gdy stróże miejscy zaczynali obchód miasta, gospodarz domu zawierał drzwi, umocowywane w obramieniu portali. Bogactwo ich opracowania świadczyło o zamożności właściciela. Dla wzmocnienia obijało się je blachą żelazną, którą zdobiono różnymi wzorami. Niekiedy, np. na drzwiach kamienicy w Rynku Starego Miasta nr 38, przebiegały ukośnie pasy z płaskiego żelaza tworzące kratownicę. Innym razem, np. w domu przy ul. Piwnej nr 35, zwijały się jak wstęgi w woluty, między którymi umieszczono niewielkie rozetki. Nad drzwiami nadświetla wypełniały półkoliste lub prostokątne zamknięcia łuku portalu. Przeważnie były to kompozycje spiralne. Z ich powyginanych, żelaznych pędów wyrastały nikłe listki lub też smukłe sylwetki smoków. Wariantów było dużo, bo każde nadświetle miało inne rozwiązanie. Portal i drzwi należały do elementów najbardziej dekoracyjnych w fasadzie kamienicy i w nich wyżywała się inwencja twórcza rzemieślnika. Drzwi zamykane były na zamki skrzynkowe. Otwierano je naprzód z klucza, a potem klamką w formie wybrzuszonego liścia lub też stylizowanego grzybka, osadzonego na końcu grubego żelaznego pręta. W nocy, ażeby dać znać o swoim przybyciu, należało postukać o blachę drzwi kołatką, która miała kształt młotka, wianuszka splecionego z dwóch łodyg lub ucha (na Rynku Starego Miasta nr 36).[27]

Nad portalem kamienicy wznosiła się jasna, tynkowana fasada, niejednokrotnie zdobiona polichromią, sgrafittem lub rzeźbami na grzebieniu wieńczącej ją attyki. Elewacja była wąska, o trzech lub czterech niewielkich prostokątnych oknach z małymi szybkami, oprawionymi niekiedy w ołów.

Kamienice w wieku XVIII nie posiadały już przeważnie gotyckich szczytów, a kalenicą zwrócone były w stronę ulicy. Dachy miały spadziste, połamane. Gdzieniegdzie zachowały się jeszcze renesansowe szczyty, jak w domach kanoniczych na placyku Kanonii. Przetrwała attyka domu Książąt Mazowieckich z delikatną dekoracją sgrafittową na fasadzie. Przez renesansowo-barokową szatę przezierały relikty średniowiecznej Warszawy. Widoczne były w gotyckich portalach o skromnym profilowaniu, w wysmukłych wnękach i wysokich oknach elewacji wspomnianej kamienicy Książąt Mazowieckich od strony Wąskiego Dunaju. Przejawiały się w gotycko-renesansowych, wewnętrznych portalach ze skromnym, typowym dla

[27] M. Sulimierska, *Kowalszczyzna staromiejska XVII i XVIII*, „Ochrona Zabytków" R. VI, 1953, nr 2—3, s. 119—123.

tego okresu, rodzimym laskowaniem. Dobre oświetlenie posiadały tylko pomieszczenia frontowe i wychodzące na mały, tylny dziedzińczyk. Natomiast te, które mieściły się w tak zwanym środkowym trakcie, były ciemne.

Wydzielona część środkowa domu powstała na skutek dążenia do najbardziej intensywnego wykorzystania jego powierzchni, a także odpowiadała założeniom symetrii, wymaganym w okresie baroku i klasycyzmu. Przedtem kamienica dzieliła się na część przednią i tylną, czyli posiadała dwa trakty, potem wydzielono jeszcze trzecią, środkową część, która mieściły schody i kuchnie za drewnianymi ściankami przepierzeń, czyli forsztowań, jak się wówczas mówiło. Pośrednio światło dochodziło do tych pomieszczeń jedynie ze świetlika latarni i otwartych drzwi sieni i ganku. Przedtem kuchnia mieściła się w oficynie lub w specjalnie do tego przeznaczonym budynku na podwórzu. Niewiele osób stale żywiło się w szynkach, karczmach czy innych jadłodajniach. Gdy zamiast jednej gospodyni pojawiło się w domu kilka, posiadanie własnej, oddzielnej kuchni stało się najbardziej żywym problemem. Wydzielenie trzeciego traktu pozwoliło do mieszkań przyłączyć to skromne pomieszczenie, a niekiedy jeszcze uzyskać komórki na składy, gdyż właściciel zazwyczaj niechętnie wpuszczał komorników do piwnic.

Nie wszystkie kamienice przebudowano w okresie baroku. Wielu właścicieli nie miało koniecznych sum nie tylko na modne zdobienie, ale nawet na niezbędny remont domu. Inni dorobili się niemałych fortun, jak np. posesor kamienicy przy ul. Świętojańskiej nr 11. Nad portalem umieścił on płaskorzeźbę okrętu płynącego po spienionych falach. Symbol ten mówił o dalekich podróżach utrzymującego kantor kupiecki warszawskiego mieszczanina i wabił zapowiedzią wyboru towarów z egzotycznych krajów. Sklepioną, długą sienią wychodziło się również na podwórko otoczone wąskimi oficynami, zazwyczaj jednopiętrowymi, do których, na obiegające je galerie drewniane, prowadziły zewnętrzne schody.

W niektórych posesjach stały jeszcze drewniane oficyny, ale już w drugiej połowie XVIII stulecia większość ich była murowana. Napływ ludności, zwiększenie popytu na wyroby rzemiosła, a także ożywienie handlu wpłynęły korzystnie na wzbogacenie ubogiego skarbca staromiejskiego mieszczanina. Prawie wszystkie oficyny, stojące w tyle posesji równolegle do kamienicy frontowej, otrzymały już formę odrębnego domu barokowego. W sporadycznych przypadkach, jak na przykład w kamienicy Fukierowskiej przy Rynku Starego Miasta, przez rozbudowę w XVII wieku powstał zespół małej, mieszczańskiej rezydencji z pięknymi, murowanymi krużgankami, obiegającymi elewacje od strony cichego dziedzińczyka.

Kamienice stojące dalej od Rynku, przy murach obronnych, były niższe i miały skromniejszy wystrój elewacji. Czasami tworzyły nawet zlepek dwóch domów o nieudolnie nadbudowanych kondygnacjach. Niewielkie rozmiarami, przystosowywały swój kształt do biegu murów. Stanowiły własność mniej zamożnego mieszczaństwa i przeważnie przestały być siedzibą jednej rodziny, zmuszonej do podziału własności trudnymi warunkami ciężkich lat poprzedniego okresu.

Sąsiadujące ze Starym Nowe Miasto, choć złączone nierozerwalnym węzłem spraw gospodarczych oraz dolą i niedolą przeżytych wspólnie trzech wieków, posiadało jeszcze ambicje zaznaczenia swej niezależności administracyjno-prawnej.

8



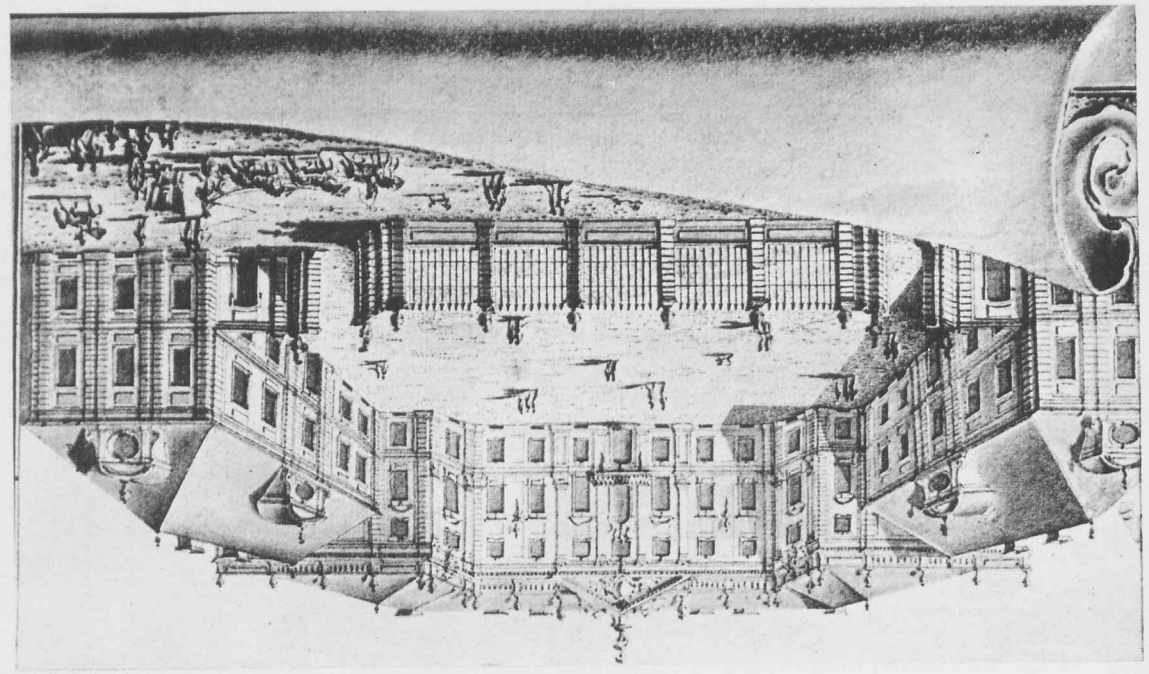

7

9

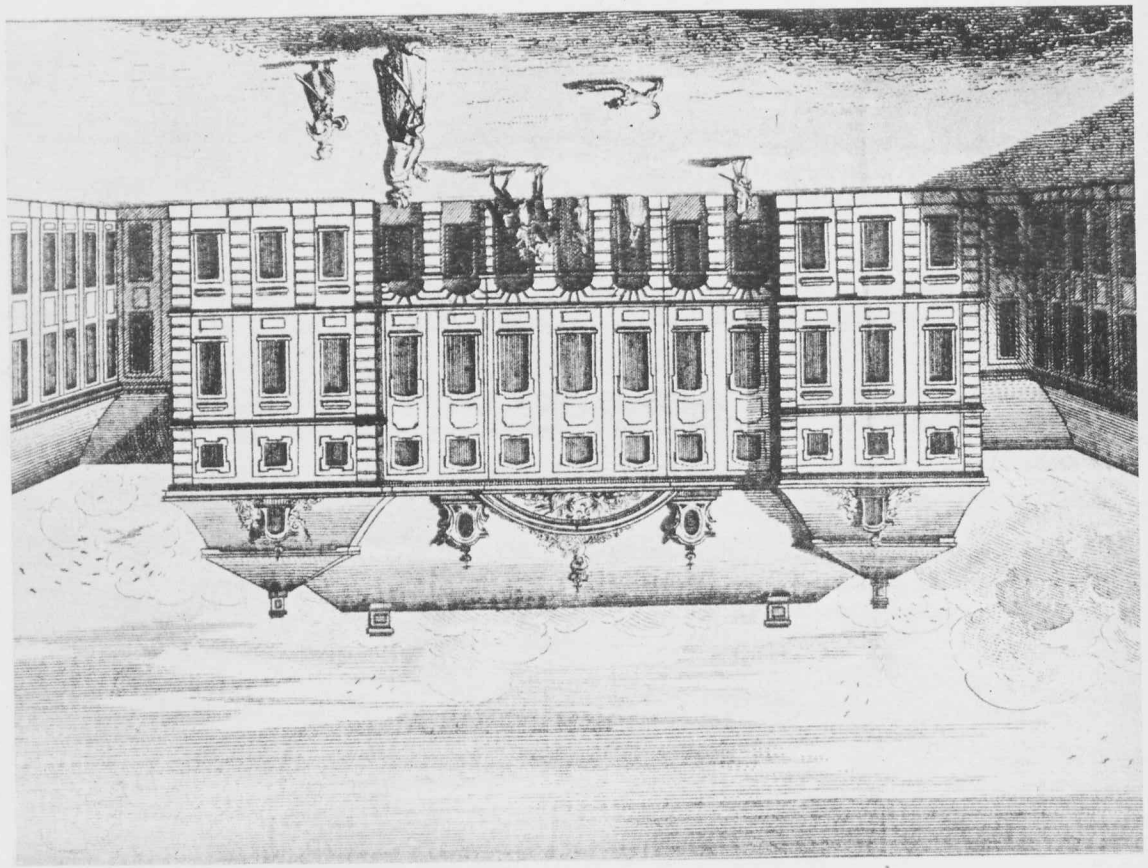



9



10

BIBLIOTEKA PUBLICZNA M. ST. WARSZAWY

11



12

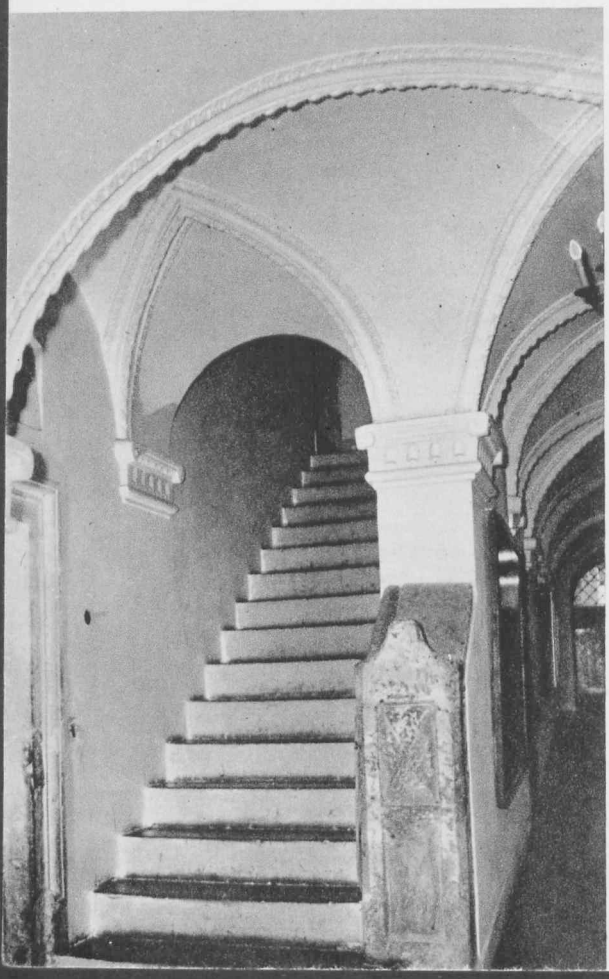

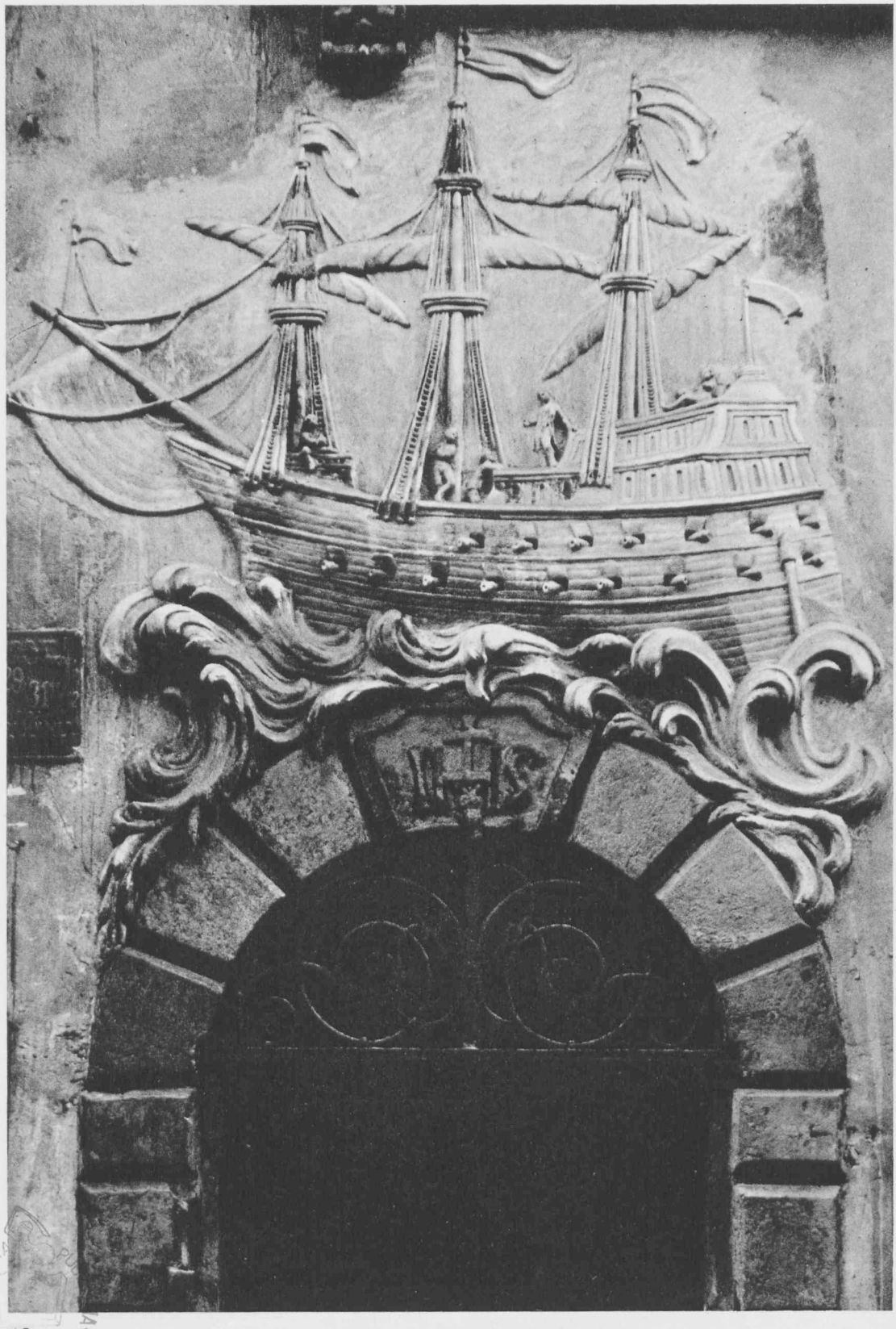

BIBLIOTEKA UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO

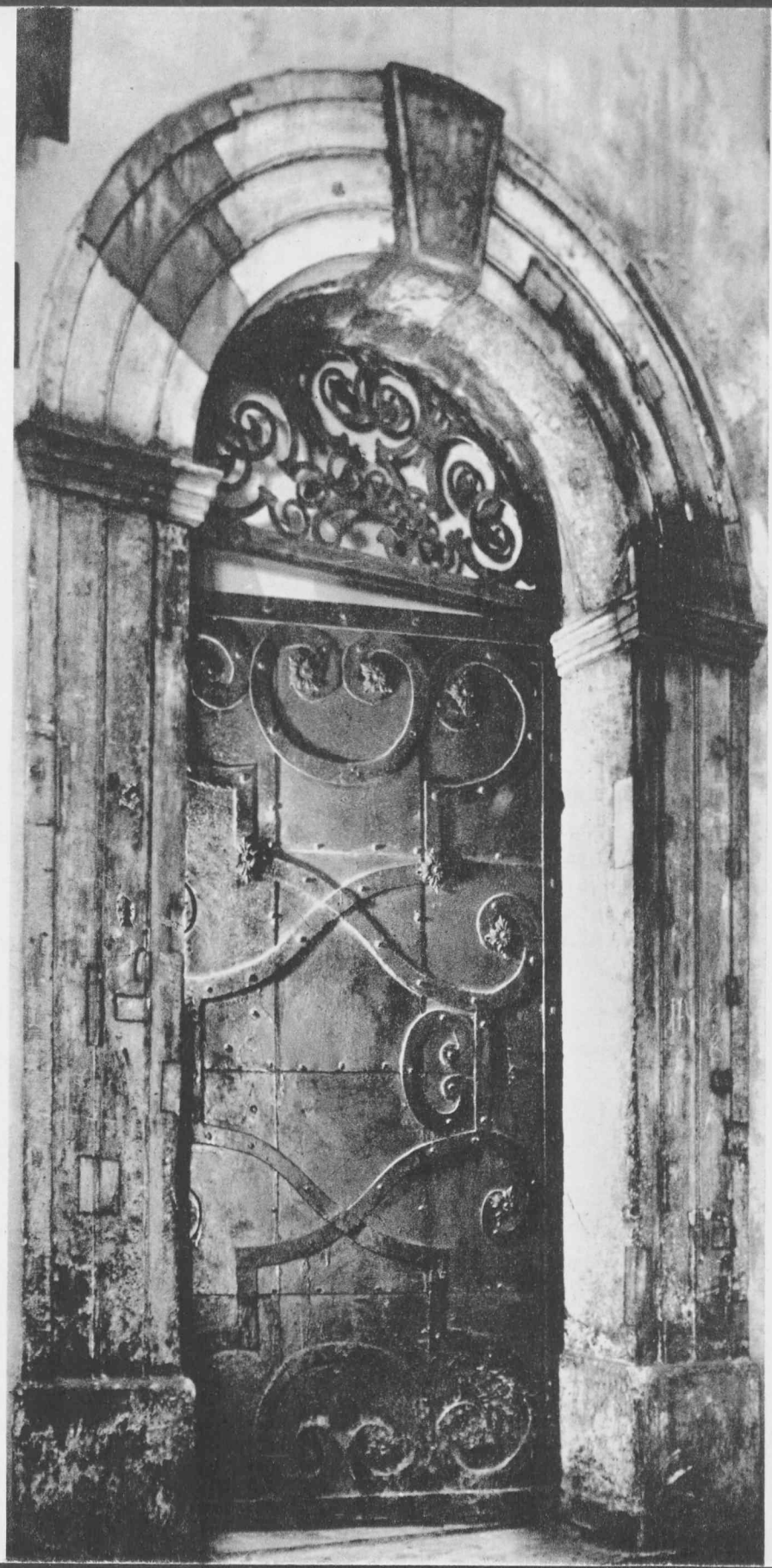

Charakter zabudowy wskazywał także na odrębność położenia ekonomicznego jej mieszkańców. W 1734 r. zabudowa ta była niemal drewniana, tylko przy ul. Freta i Rynku Nowej Warszawy skupiały się niewysokie, trzykondygnacjowe kamieniczki. Reszta liczyła 196 domków drewnianych, 32 większe dwory i dworki oraz kilka pałaców magnackich. Kamienice stanowiły wówczas zaledwie 5% zabudowy mieszkalnej. Ale już od połowy XVIII w. ruch budowlany stale wzrastał. Dobrodziejstwo ożywionego rozwoju ekonomicznego okresu Oświecenia spłynęło na peryferyjnie położoną Nową Warszawę. Wzbogaceni i spokojni o los swych nowo uzyskanych funduszów mieszczanie wznosili kamienice, które zwartym ciągiem zajęły ulicę Freta i otoczyły prawie cały Rynek. Pojedyncze domy wyrosły w jego środkowym bloku przy ratuszu, a także pomału zaczęły pojawiać się przy ul. Przyrynek, w pobliżu kościoła parafialnego Najświętszej Marii Panny. Zabudowa drewniana, wypierana z centrum, przesuwała się na boczne ulice i dalsze peryferie przedmieścia.

W 1770 r. Nowe Miasto liczyło już 78 kamienic, a w czternaście lat później liczba ich prawie podwoiła się i sięgała 153. Zabudowała się również dalsza, nie tylko frontowa część posesji. Najlepiej określają charakter zabudowy opisy znajdujące się w protokole rewizji miasta Warszawy z 1792 r.: „Od frontu kamienica murowana, w tyle oficyna drewniana." Nie tylko oficyny mieszkalne, ale także zabudowania gospodarcze, liczne stajnie, komórki, chlewiki i drwalnie były drewniane. Charakterem swym przypominały czasy, kiedy na Starym Mieście dwieście lat wcześniej przeważała zabudowa murowano-drewniana. [28]

Nowe kamienice wznoszone były przeważnie przez miernych budowniczych. Tylko nieliczni właściciele mogli sobie pozwolić na zaangażowanie dobrego architekta. Korzystali też z usług ogłaszających się w gazecie osobników, którzy reklamowali swe zdolności w dziedzinie budownictwa, jak następuje: „Matematyk, który przy umiejętności języków niemieckiego, polskiego i francuskiego doskonały jest w wymierzaniu gruntów i do przeniesienia tych rozmiarów z dokładnym wymiaru regestrem na mapę, przy znajomości architektury cywilnej, doskonały jest także w hydraulice." [29]

Kamieniczki nowomiejskie miały swój odrębny charakter. Najwcześniej budowano wąskie, przeważnie o trzyokiennej fasadzie na wytyczonych jeszcze w Średniowieczu działkach. Wysokość tych domów sięgała przeważnie trzech pięter. Rozplanowanie nawiązywało do tradycyjnego podziału barokowego wnętrza na trzy trakty, jak w kamieniczkach staromiejskich. Ponieważ większość z nich wzniesiono w okresie napływu ludności do stolicy, z góry przewidywano możliwość wydzierżawiania poszczególnych lokali komornikom, jak wówczas nazywano najemców. Dlatego też kuchnie budowano i w przednim, i w tylnym trakcie, a każdą kondygnację dzielono tak, aby mieściły się w niej dwa osobne lokale do wynajęcia. Z czasem mieszkania te raz jeszcze dzielono na mniejsze. Chęć zysku i głód mieszkaniowy skłaniały właścicieli do trwalszego zabudowywania tylnej części działki, dotychczas przeznaczonej tylko na cele gospodarcze. Stawiano tu oficyny, niekiedy browary, wozownie, stajnie, w których trzymano konie, co dawało nowe źródło dochodów. Ażeby ułatwić komunikację, budynki łączono z kamienicą drewnianym zazwyczaj gankiem. Tylko

[28] A. Berdecka, *op. cit.*, s. 97 i n.
[29] „Gazeta Warszawska", Suplement do nru 51 z 27 VI 1781 r.

BIBLIOTEKA PUBLICZNA M. ST. WARSZAWY
II. 32287

w nielicznych oficynach ganek był murowany i sklepiony, a pod nim mieściły się przeważnie komórki i kloaki.

Fasady nowomiejskich domów mieszczańskich nie posiadały bogatych zdobień. Elewacje ich były raczej wąskie, smukłe, o skromnej dekoracji. Przyziemie traktowano jako cokół, nad którym zaznaczano podziały pionowe za pomocą długich, wąskich płycin, zwanych pilastrami, biegnących przez wszystkie kondygnacje, co podkreślało charakterystyczne, smukłe proporcje całości. Okna, nieco większe niż w staromiejskich kamieniczkach, ujęte były niekiedy w lekko profilowane obramienia. Dekoracja elewacji nosiła charakter linearny. Stosowano pilastry wysunięte nieco przed lico, a między oknami umieszczano prostokątne płyciny, zdobione delikatnymi motywami roślinnymi.

Kamienice czynszowe, które wznoszono w drugiej połowie XVIII w., różniły się od wcześniejszych przede wszystkim bardziej monumentalnym założeniem. Budowano je niejednokrotnie na kilku dawnych działkach średniowiecznych, jak np. kamienicę zwaną Samsonowską przy ul. Freta nr 7. Zgodnie z nakazem mody pojawiają się już na nich motywy dekoracji klasycystycznych, mianowicie wieńce, owale, podwieszone draperie. Silnie zaznaczono teraz podziały poziome i pionowe fasad za pomocą wyraźnych pilastrów i bogato profilowanych gzymsów. Również profilowania okien zostały wzbogacone o nowe elementy dekoracji sztukatorskiej.

Na Nowym Mieście, jak i w innych częściach miasta, a właściwie na jego przedmieściach, pojawił się też odmienny typ kamienic. Właściwie były to skromne domy murowane, dwukondygnacyjne z facjatą, charakterystyczne dla budownictwa małomiasteczkowego. Powstały one na przełomie XVIII i XIX w. na miejscu dawnych domów drewnianych. [30]

Oprócz bogatych kupców nowomiejskich, którzy stanowili około 2% całej ludności, rzemieślników i drobnych kupców w kamieniczkach tych mieszkali urzędnicy miejscy, aktorzy, muzycy i tancerze, artyści i literaci. Było tu ciszej, spokojniej. Za mieszkania w tej dzielnicy płacono taniej niż na Starym Mieście czy Krakowskim Przedmieściu.

To ostatnie było już zwarto zabudowane kamienicami na odcinku tzw. Wąskiego Krakowskiego Przedmieścia. Już w XVII wieku mieszczanie staromiejscy chętnie się tutaj budowali na wąskich, płytkich działkach, posiadających — przy zachodniej stronie Krakowskiego Przedmieścia, graniczącego od tyłu z ul. Kozią — miejsce na malutkie podwórko. W 1784 r. na Krakowskim Przedmieściu było tych domów 84 na ogólną liczbę 214 kamienic znajdujących się w śródmieściu.[31] Na Krakowskie przenosili swoje sklepy i składy bogaci kupcy staromiejscy, którzy w porę spostrzegli, że najstarsza dzielnica Warszawy zaczyna po trosze zamierać z dala od nowo powstałego śródmieścia stolicy. W 1792 r. przy Krakowskim mieściło się aż 68 sklepów. Tu także znajdowały się wielkie domy handlowe Roeslera, Hurtiga i Hampli, zatrudniające po kilkunastu pracowników. [32]

Pierwsze kamienice, poczynając od naroża Podwala i placu Zamkowego, wyglądem zewnętrznym i układem wnętrza nie ustępowały niektórym pałacom magna-

[30] A. Berdecka, *op. cit.*, s. 97 i n.
[31] A. Gieysztor, St. Herbst, E. Szwankowski, *op. cit.*, s. 201.
[32] E. Szwankowski, *op. cit.*, s. 91.

ckim. Na początku stała rozłożysta kamienica należąca w połowie XVII w. do metrykanta koronnego Ignacego Nowickiego (obecnie zwana Johna), dwupiętrowa, z poddaszem krytym czterospadowym dachem, zdobiona wdzięcznymi ornamentami rokokowymi. Dwutraktowy układ wnętrza dostosowany był do funkcji domu czynszowego. Kamienica sąsiednia, wzniesiona zapewne przez Jakuba Fontanę, należała do Piotra Bizestiego, kupca z Mediolanu, handlującego tytoniem i tabaką, właściciela kilku nieruchomości w Warszawie. Była ona smukła, trzypiętrowa, z malutkimi, pięknymi balkonikami, zawieszonymi niczym misterne koszyczki, plecione z żelaznych wiklin. Po bokach, ponad bogato profilowanym gzymsowaniem, ustawiono wazony, pośrodku zaś elewacji, na wzór pańskich siedzib, znajdowały się różne figury.

Do piękniejszych należała kamienica architekta królewskiego, Jakuba Fontany (nr hip. 450), widoczna przy bramie pałacu Małachowskich na obrazie Canaletta. Możliwe, że Fontana był nie tylko jej właścicielem, ale i budowniczym. W r. 1783 nabył ją Paschalis Jakubowicz, uszlachcony właściciel słynnej manufaktury pasów słuckich w Lipkowie.[33] Dalsze kamienice za pałacem Małachowskich nie odznaczały się ciekawą architekturą ani interesującym rozplanowaniem wnętrza. Były przeważnie wąskie, trzyokienne, dwu- lub trzypiętrowe. Czasem tylko zdarzały się jednopiętrowe z poddaszem.

Ponieważ Krakowskie Przedmieście, położone w pobliżu rezydencji królewskiej, stało się nie tylko najruchliwszą arterią komunikacyjno-handlową, ale i trasą przejazdów króla z Zamku do Łazienek, było dla tych osobliwości najbardziej pożądanym miejscem zamieszkania. Najmniejsze klitki miały wielką cenę. Mieszkali tu znani ludzie nauki, jak kartograf Jego Królewskiej Mości, Karol Perthées, który wynajął mieszkanie w 1772 r. w nowej kamienicy czynszowej konsyliarza Józefa Seweryna Wasilewskiego.[34] Dom zbudowany został około 1769 r. według planów architekta Franciszka Hiża. Dużą, czteropiętrową kamienicę, przypominającą raczej miejski pałac, wzniesiono w stylu klasycystycznym. Wynajmowali w niej całe piętra możniejsi, jak na przykład bankier Fryderyk Kabryt czy pani Elżbieta Grabowska, którą odwiedzał potajemnie sam król. Na parterze mieściła się w 1770 r. księgarnia Jana Augusta Posera, a później, gdy przeniesiono ją na ul. Trębacką, jedną stronę zajął sklep fajansów fabryki belwederskiej, a drugą poczta nadworna, która w 1780 r. znalazła siedzibę w niedalekim sąsiedztwie, w dawnym pałacu Wesslów przy ul. Trębackiej. Tutaj też mieszkał biskup Ignacy Krasicki, a także Hugo Kołłątaj.[35]

Przy Bramie Krakowskiej wynajmował apartament dla swej rodziny znakomity architekt królewski, Dominik Merlini, a także dworzanie królewscy. W kamieniczce na terenie dzisiejszego skwerku Hoovera lokatorką była słynna kabalarka, zwana przez ludek warszawski „mamsele Lulli". Prawdziwe jej miano brzmiało Henrieta Zofia de Puget Lhuillier. Powierniczka króla, oddawała mu nie tylko kabalarskie usługi, za które podobno otrzymywała wysokie ekwiwalenty pieniężne, gdyż doszła do znacznej zamożności.[36] Niedaleko od kamienicy pani Lhuillier biegła

[33] P. Bohdziewicz, *op. cit.*, s. 337 i n.
[34] AGAD, Zbiór Popielów nr 238, List z dnia 26 X 1772 r.
[35] St. Szenic, J. Chudek, *op. cit.*, s. 169—172.
[36] Tamże, s. 167; W. Przyborowski, *Z przeszłości Warszawy*, Warszawa 1903, s. 170 i n.

ulica Trębacka, przy której mieszkały i przyjmowały otwarcie gości panny lżejszego prowadzenia i łatwiej dostępne. Kamienice Krakowskiego Przedmieścia prezentowały się wcale okazale i stanowiły konkurencję dla wąskich kamienic staromiejskich, w których oprócz mieszczan z dawien dawna tam osiadłych mieszkali ludzie poszukujący spokoju.

W peryferyjnie położonych dzielnicach niewielkie skupienia kamieniczek pojawiły się na terenie jurydyk Leszna, Wielopola i Grzybowa, ale przypominały one raczej piętrowe lub dwupiętrowe, murowane domy. W przeznaczonych do zamieszkania przez uboższą ludność, jak rzemieślnicy i pośledniejsi kupcy, budynkach wydzielono kilka lub nawet kilkanaście niewielkich lokali czynszowych. Skromne, niewyszukane elewacje i tandetna budowa różniły tę grupę domów od omówionych poprzednio kamienic mieszczańskich. Nie zasługują jednak na to, ażeby się nad nimi dłużej zatrzymywać.

W r. 1784 było w Warszawie 881 kamienic na ogólną ilość 2884 budynków mieszkalnych [37], a zatem stanowiły one jedną trzecią ogólnej zabudowy miasta. Nowe, wzniesione w drugiej połowie XVIII w., tym się przede wszystkim różniły od wcześniejszych, że nie były przeznaczone na siedzibę jednej rodziny, ale od razu budowano je z myślą o najemcach. Ich forma architektoniczna i rozplanowanie wnętrz były różne, zależnie od przeznaczenia kamienicy. Z myślą o majętnych najemcach wznoszono domy okazałe, o bogato zdobionych elewacjach i reprezentacyjnych wnętrzach. Dla ubogich budowano tandetne, wielolokalowe domy czynszowe.

Dwory i domy drewniane

Większość ludności Warszawy, szlachta, mieszczanie i rzesze najuboższych — służba i ludzie luźni — zamieszkiwali dworki i domy drewniane, których wówczas było w stolicy 1875. [38] Trzeba przypomnieć, że w drugiej połowie XVIII w. przeważało budownictwo drewniane. Pałaców było 128, kamienic zaś w 1784 roku 881.

Drewno było o wiele tańsze, a cegła stale drożała. Zresztą ceny wszystkich towarów były niezmiernie wysokie i dziwiły cudzoziemców, nie mówiąc już o mieszczanach, którym ciągły ich wzrost, w miarę napływu nowych mieszkańców do stolicy, bardzo dawał się we znaki. Dlatego średnio zamożna szlachta i mieszczaństwo budowali domy drewniane lub z muru pruskiego. Wznoszenie tych ostatnich było co prawda zabronione przez Komisję Brukową, a to dla trudności gaszenia pożaru, co motywowano następująco: „drewniany budynek podczas ognia łatwiejszy jest do rozerwania bosakami jak z pruska murowany. Przy ratowaniu pruskiego budynku ludzie są podlegli większemu niebezpieczeństwu jak przy drewnianym, albowiem w drewnianych ścianach palących się same tylko sztuki drewna ze ścian walą się, od których snadno uchraniać się można. W pruskich zaś wiązaniach nie tylko sztuki drzewa palące się, ale i cegły spomiędzy drzewa wypadające ludzi

[37] A. Gieysztor, St. Herbst, E. Szwankowski, *op. cit.*, s. 201.
[38] Tamże.

ratujących kaleczą, a przez to do ratowania trudniejszy przystęp czynią".[39] Pomimo zakazów budowano wiele domów z muru pruskiego, najwięcej jednak powstawało drewnianych domów i dworków, które położone były w dzielnicach peryferyjnych.

Dworki zaczęły się pojawiać w mieście w drugiej połowie XVI w., gdy przybywa na sejmy i osiedla się w nim jeszcze nieliczna szlachta. Na przełomie XVI i XVII w., kiedy dwór królewski przenosi się tu z Krakowa, coraz więcej szlachty osiada w Warszawie. Zwiększa się wówczas liczba dość okazałych dworów drewnianych, których właścicielami byli przedstawiciele magnaterii i bogatej szlachty — urzędnicy dworu królewskiego. Gdy możne rody wzrosły w bogactwo i znaczenie polityczne, nie wystarczały ich ambicjom drewniane dwory i dworki. Wzbogaceni wielmoże wznosili reprezentacyjne pałace, a dawny dworek drewniany, często pozostawiony w obrębie wielkiej posesji, stawał się miejscem zamieszkania służby.

W drugiej połowie XVIII w. ilość dworków wzrasta. Były one sosnowe, znacznie rzadziej modrzewiowe. Wznoszone również przez mieszczan, stają się ulubioną formą siedziby mieszkalnej czasów stanisławowskich. Budowano je na dużych działkach. Otoczone zazwyczaj niewielkim ogrodem, chowały się wśród drzew. Najwięcej powstawało ich na peryferiach Nowego Miasta, a także na dalszych przedmieściach, np. na Polkowie (obecnie teren Cytadeli), przy ul. Szymanowskiej i Zielonej, gdzie liczba ich sięgała aż dwunastu, przy Śmiałej, Pólkowskiej i Wygonie. Budowano je na założonej w r. 1762 na Powiślu jurydyce Mariensztat. Znacznie mniej było ich na przedmieściu północno-zachodnim, a więc przy ul. Muranowskiej, Stawki, Pokornej, Niskiej — w dzielnicy nędznych, choć obszernych domów drewnianych. Natomiast znaczną liczbę, bo dwadzieścia jeden, wzniesiono przy nowo wytyczonej Marszałkowskiej, i to tylko na jej odcinku pomiędzy ulicami Królewską a Widok.[40] Liczba ich wydaje się duża, ale dworkami nazywano wówczas różne domy drewniane. Dowiadujemy się o tym czytając w księdze miejskiej z 1785 r. pełen wymowy opis małego domku, w źródle nazwanego dworkiem drewnianym. Należał on do zmarłego Mikołaja Bulińskiego. „Przy ulicy Rycerskiej domeczek na gruncie miejskim przy murze o trzech ścianach przystawiony [...], który to domeczek o jednej izbie i komórce z jednym kominem nad dach wyprowadzonym i z jednym piecykiem starym i kominkiem lepiastym, z trojgiem drzwiami starymi prostą robotą, z jednym okienkiem w izbie, a drugim w komórce o jednej szybie z dwiema przegródkami, na górze o jednym dachu gonczanym i ze wszystkim ogólnie złp 220,52." Wykaz sprzętów domowych obejmował stół z szufladą, skrzynkę z zamkiem, trzy stołki „ordynaryjne" i balię do prania wartości złp 6.[41]

Domy drewniane rozrastały się w miarę upływu lat. Do najstarszego budynku, przeważnie dwu- lub czteroizbowego, w miarę rozrostu rodziny czy też przyjmowanych lokatorów przystawiano dobudówki, tworząc niekształtną bryłę. W domach takich podnajmowano zazwyczaj nawet najmniejsze i najprymitywniejsze pomieszczenia, znajdując na nie nabywców, a to z racji głodu mieszkaniowego, jaki

[39] AGAD, Warszawa Ekonomiczne, nr 863, plik R.
[40] AGAD, Warszawa Ekonomiczne, nr 17, Protokół rewizji miasta wolnego Warszawy z r. 1792.
[41] AGAD, Stara Warszawa, nr 327, k. 200.

panował w Warszawie w ostatnich latach panowania Stanisława Augusta. Przeważnie te na pół rozwalone domy czy też rudery skupiały się na przedmieściach. W domu np. przy ul. Szymanowskiej (nr hip. 2052), stanowiącym własność krawca Bruszniakowskiego i balwierza Szymona Bogdanowicza, mieściło się dwudziestu czterech lokatorów. W bliskim sąsiedztwie dworku przy ul. Zielonej (nr hip. 2083), należącym do Murzyna JKMości Le Doux, zwanego Ledą, dwudziestu pięciu mieszkańców, a w budynku stanowiącym własność generała Wielkiego Księstwa Litewskiego Trobenoffa przy ul. Bonifraterskiej (nr hip. 2159) — aż pięćdziesiąt dziewięć osób.[42] Przykładów takich można by podać setki. Mieszkańcy tych domów zajmowali nie tylko izby, ale gnieździli się na poddaszach, po piwnicach, loszkach, komórkach, cierpiąc z powodu zimna czy też braku powietrza i upału w lecie. Malownicze, przedstawione na obrazach Canaletta domy nie stanowiły jednak obiektów architektonicznych godnych bliższego zainteresowania. Ich ubogie wnętrza nie posiadały nie tylko jednolitego wyposażenia, ale nawet niejednokrotnie najpotrzebniejszych przedmiotów codziennego użytku.

Najbliższe otoczenie tonęło w błocie i śmieciach. Podwórze rzadko było brukowane, zazwyczaj pozbawione ścieków kanalizacyjnych, a studnie płytkie. Oto warunki higieniczne, na jakie skazani byli mieszkańcy tych domów. Właściciele nie inwestowali w nie, nie byli bowiem zainteresowani osobiście podniesieniem wyposażenia posesji, a lokatorzy — żyjący z dnia na dzień lub też utrzymujący się z chwiejnych zarobków — nie wysuwali żądań. Oczywiście, budynki zajmowane przeważnie przez jedną rodzinę mieszczańską czy też szlachecką i ich służbę odznaczały się większą schludnością otoczenia domu, co było dowodem starań jego gospodarzy.

Przeciętne drewniane dworki warszawskie były niewielkie, parterowe, przeważnie z izdebkami na poddaszu. Do obu stron sieni, znajdującej się na osi budynku, przylegały zazwyczaj po dwie izby z wydzielonymi w ich narożach małymi pomieszczeniami, tzw. alkierzami. Niekiedy te ostatnie występowały poza linie elewacji, co wskazywało na dalekie powinowactwo z alkierzami obronnych dworów renesansowych. Jednak w warszawskich dworach alkierze wznoszone były tylko ku ozdobie i wygodzie mieszkańców. Dla wzmocnienia budynku drewnianego osadzano go niekiedy na podmurówce z kamieni i cegieł. Dwory budowano z desek sosnowych, rzadko z drogiego drewna modrzewiowego. Kryto je czterospadowym dachem gontowym, niekiedy dachówką. Przed dworkiem rozciągało się niewielkie, porządnie wybrukowane podwórze. Na nim, nieco na uboczu, stawiano budynki gospodarcze, jak stajnie, wozownie, szopy i *loca secreta*. Niekiedy na terenie mieszczańskiej posesji znajdowała się także słodownia, niewielki browar. W tyle działki zakładano nieduży ogród. Oprócz tych przeważnie skromnych dworków budowano niekiedy okazalsze, o bardziej skomplikowanym układzie wnętrza.

Do tych ostatnich należał dwór pułkownika JKMości Jakuba Bonafusa, wzniesiony w pierwszej połowie XVIII w. przy ul. Franciszkańskiej, a zburzony prawdopodobnie przy przebijaniu ul. Nowiniarskiej. Był to rozłożysty, piętrowy dwór sosnowy, mający około 24 m długości i 10 m szerokości. Jego elewacje, frontowa i ogrodowa, zwieńczone były ogzymsowanymi szczytami. Na nich ku ozdobie usta-

[42] AGAD, Warszawa Ekonomiczne, nr 17.

wiono drewniane wazony, wzorując się zapewne na kamiennych dekoracjach warszawskich pałaców. Dwór Bonafusa miał łamany, kryty gontami dach, a ponad nim wyrastały dymniki, po trzy z każdej strony. Elewacja frontowa w środkowej części wysunięta była o jedno piętro w górę. Wnętrze obejmowało na parterze cztery pokoje i dwa gabineciki mieszczące się w narożnych alkierzach od strony ogrodu. Środek budynku zajmowała wielka, dwukondygnacyjna sala, którą w górze obiegała galeria. Była zapewne przeznaczona na wystawne przyjęcia i wieczory taneczne. Ogrzewały ją dwa szafiaste w kształcie kominki. Zarówno sala, jak i poszczególne pokoje wykończone były nader starannie, zwłaszcza pod względem stolarki — drzwi dębowe pięknie fazowane, posadzki również z klepek dębowych, ułożone we fryzy. Na parterze mieściła się kuchnia, a na poddaszu pokoiki dla służby i liczne schowki.[43]

W bliskim sąsiedztwie przy ul. Franciszkańskiej (nr hip. 1804) znajdował się innego typu dwór. Taksatorzy sporządzili długi i bardzo drobiazgowy jego opis. Budynek, zwany w dokumencie *curiola*, podobny był do kilkuset innych, skromnych dworków, o których wspomniano powyżej. Pośrodku miał sień, po bokach izby z wydzielonymi małymi, narożnymi alkierzykami i obszerną kuchnią. Z sionki wiodły schody drewniane na poddasze wylepione gliną. Przy domu nie było ogrodu, tylko zabudowania gospodarcze i browar. Natomiast właściciel, mieszczanin warszawski, Józef Wrzesiński, posiadał w pobliżu duży sad i warzywnik położony przy zbiegu ulic Śmiałej i Fawory.[44] Sądząc z opisu posiadłości, który przetrwał do naszych czasów i znajduje się obecnie w archiwum, Wrzesiński należał do warstwy średniozamożnych obywateli nowomiejskich. Dochody jego nie były na pewno mniejsze od dochodów niejednego szlachcica, pozostającego w służbie JKMości. Szlachta i mieszczaństwo miały podobne, charakterystyczne dla epoki, upodobania i gusty. Nie rozgraniczały tych warstw dawne, surowo stosowane prawa, dotyczące ścisłego określenia sposobu życia, a przede wszystkim zajęć, strojów i stanu posiadania.

Znacznie mniej wznoszono w stolicy dworków murowanych, ale już w czasach Oświecenia stały się one ulubionym typem budynku mieszkalnego, i to zarówno wśród szlachty na wsi, jak i wśród mieszczaństwa w miastach. Najpopularniejszy był dworek, którego fasadę zdobił ganek wsparty na kolumnach. Była to reminiscencja portyków klasycznych, stosowanych w architekturze monumentalnej, reprezentacyjnej, mianowicie w kościołach, pałacach i okazałych gmachach publicznych, a także willach podmiejskich. Za tym pośrednictwem przeniosły się portyki do skromnego budownictwa mieszkalnego okresu Oświecenia i lat późniejszych. Stosowano je nie tylko w dworach drewnianych, ale również i murowanych, przeważnie zresztą parterowych. Część środkowa budynku, wysunięta w formie ryzalitu, niekiedy podwyższona o jedno piętro, ujęta była w kolumny lub pilastry i zwieńczona trójkątnym szczytem. Taki „klasyczny", jak byśmy powiedzieli, dla czasów stanisławowskich dwór murowany wzniesiony został przed 1771 r. dla Antoniego Małachowskiego, późniejszego wojewody mazowieckiego, przy ul. Marszałkowskiej nr 125/127, w pobliżu ul. Królewskiej. W przeszło sto lat później został rozebrany. Zwano go „dworkiem pod filarami", pałacykiem, a nawet pałacem. Był

[43] A. Berdecka, *op. cit.*, s. 103—104.
[44] AGAD, Stara Warszawa, nr 329, k. 178v—181v, 333—336.

to rozłożysty, parterowy budynek, oddzielony bramami wjazdowymi od bocznych oficyn. Umieszczony na jego osi ganek wspierał się na podwojonych kolumnach jońskich. Po obu stronach drzwi wejściowych znajdowały się owalne okna. Nad budynkiem górowała wysoka, ciężka bryła dachu. Był on łamany, czterospadowy, kryty dachówką holenderską i nadawał dworkowi swojski charakter. W dolnej połaci dachu wysuwały się symetrycznie umieszczone trzy okna-lukarny, z których środkowe zostało bardziej bogato ozdobione. Nie tylko dworkowi Małachowskiego, ale wielu innym nadawano nazwę pałacyków lub kamienic. Tak było z budynkiem położonym przy tejże ulicy Marszałkowskiej, w pobliżu Chmielnej, który stanowił własność starosty wratelskiego, Teofila Dzierzbickiego, tak z budynkami przy ul. Świętokrzyskiej.[45]

Jak już wspomniano, nie tylko szlachta, ale również i mieszczanie budowali dworki w stylu klasycyzmu. M. in. bogaty rzeźnik staromiejski, Feliks Szubski, na obszernej parceli przy Rybakach wystawił obok dwóch starych, drewnianych dworków, jeszcze jeden nowy.

Gmachy publiczne

Pomyślny dla mieszczan okres Oświecenia przyniósł im pomnożenie zasobów finansowych, a także umocnił ich w walce o wprowadzenie w życie nowych idei. Świadomość konieczności przeprowadzenia reform społecznych, centralizacji urzędów miejskich i uzdrowienia ich gospodarki wyraziła się również we wznoszeniu budynków użyteczności publicznej, których monumentalna architektura miała podkreślić ich wagę w życiu miasta.

Ratusz Starej Warszawy służył zarówno do celów administracji, jak i do reprezentacji. Wystawiony został w początku XV w. na Rynku. Zniszczony w czasie wojen szwedzkich, doczekał się w r. 1781 przebudowy i rozbudowy. Miała ona na celu powiększenie powierzchni użytkowej, nie naruszyła jednak dookolnych murowanych kramów Tylmana z Gameren. Ratusz mieścił izbę posiedzeń magistratu, archiwum, skarbiec, podręczny arsenał i więzienie przejściowe. Otoczony był licznymi kramami. W ważnych dla miasta chwilach odbywały się tam uroczystości gromadzące przedstawicieli kupiectwa i cechów oraz tłumy gawiedzi. Na Rynku Starego Miasta w dniu 26 listopada 1764 r. Stanisław August odbierał hołd, składany mu przez delegatów miast polskich, oraz złocone klucze Warszawy. Ratusz i Rynek były świadkami nie tylko podniosłych i przyjemnych uroczystości. Tracono na nim złoczyńców, karano publicznie, piętnowano, trzymano w klatce nieuczciwe przekupki, a podczas Insurekcji powieszono zdrajców Rzeczypospolitej.

Magistrat Nowej Warszawy, jeszcze przed uchwałą o zniesieniu jurydyk, posiadał stary ratusz, który przebudowano w 1785 r. według projektu Tomasza Schmitta, architekta miejskiego. Był to skromny, utrzymany w stylu klasycystycznym, jednopiętrowy budynek, kryty czterospadowym dachem, z niewysoką wieżyczką, symbolem niezawisłości gminy miejskiej. Nie różniły się wiele od niego nowo wystawione ratusze jurydyk magnackich. Na trójkątnym placyku Grzybowa wzniesiono

[45] St. Herbst, *op. cit.*, s. 34—35.

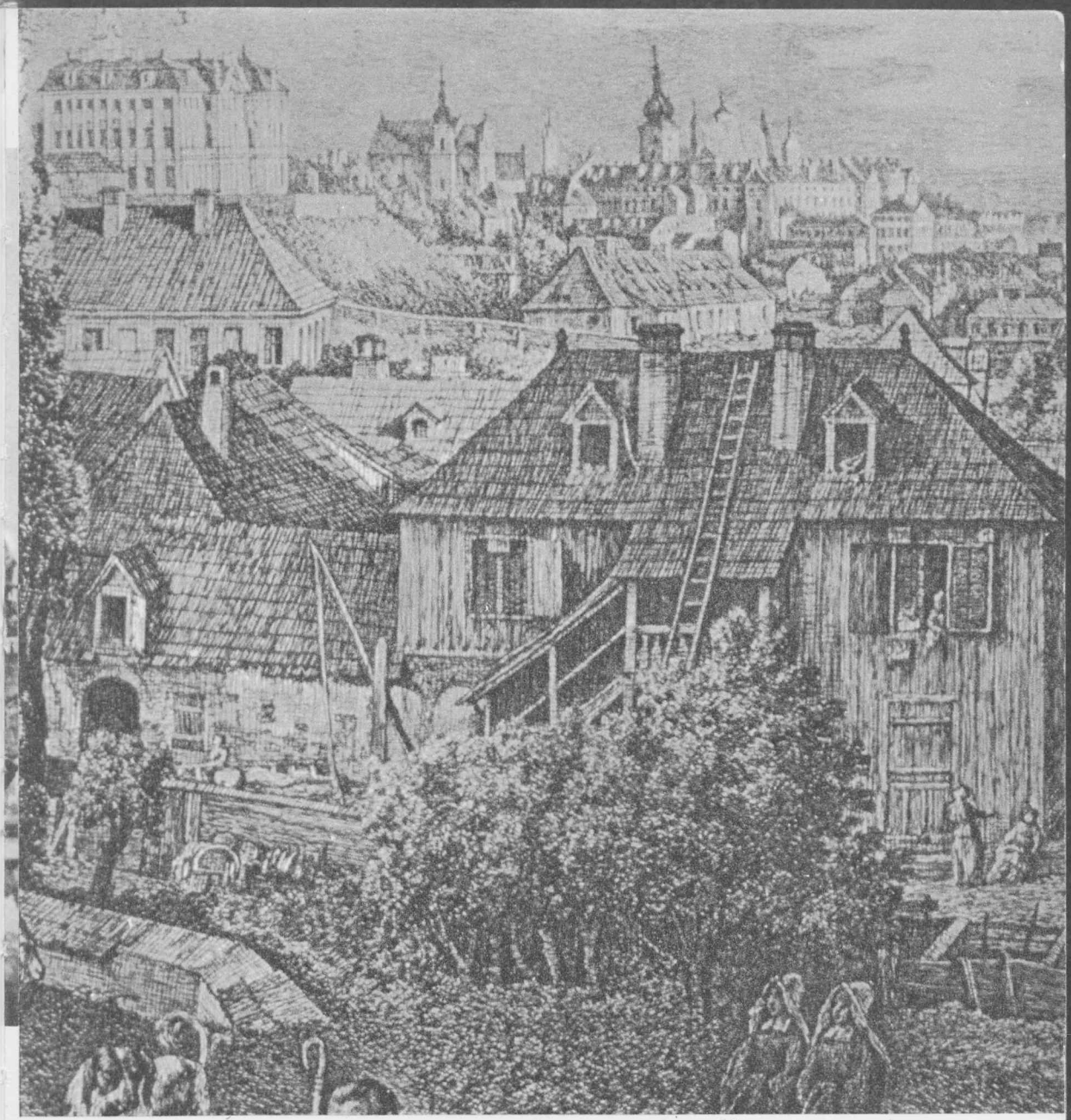

15

BIBLIOTEKA PUBLICZNA M. ST. WARSZAWY 1907



16



17



18

BIBLIOTEKA
1967
WARSZAWA



19

w 1786 r. na miejscu dawnego drewnianego nieduży, o klasycystycznej fasadzie ratusz projektowany przez Karola Bogumiła Schütza. Na Lesznie, gdzie dysponowano jedynie wąską, długą parcelą pomiędzy pałacykiem Fryderyka Jacobsona a pałacem Jana Stefana Giedroycia, w 1785 r. zbudowano długi, wąski budynek, sięgający w głąb działki, dwutraktowy, oraz oficynę na pomieszczenia biurowe i mieszkania urzędników. Dla zaznaczenia odmiennego od domów mieszkalnych charakteru budowli, przed fasadą, wspartą na kolumnowym portyku, wzniesiona została wysmukła wieżyczka.[46] Nie wszystkie ratusze warszawskich jurydyk, których było wiele, mieściły się w specjalnie wznoszonych dla nich budynkach. Niekiedy, jak np. na Mariensztacie, przeznaczano na siedzibę władz jurydyki zwykły dom.

Magistrat warszawski nie był fundatorem wielkich gmachów użyteczności publicznej. Całą swoją działalność skupił na sprawach dotyczących uporządkowania miasta i założenia koniecznych urządzeń komunalnych — takich jak kanały, wodociągi i studnie — a także regulacji i wybrukowania ulic. Pracami kierowała Komisja Brukowa. Władze miejskie miały też i wiele innych ambitnych zamierzeń, ale brak koniecznych funduszy na inwestycje, a następnie upadek Rzeczypospolitej, przekreślił plany warszawskich mieszczan.

Dużą wagę przykładano wówczas do sprawy zakładania i budowania szkół, co łączyło się z reformą programu nauczania podjętą przez Oświecenie. Jednak z braku funduszy niewiele wzniesiono nowych gmachów. Przeważnie adaptowano do tych celów dawne kolegia zakonne. Podobnie działo się w Warszawie. Założona z inicjatywy Stanisława Augusta Szkoła Rycerska, zwana też Korpusem Kadetów, nie otrzymała nowego gmachu, ale przeznaczono na jej użytek dawny Pałac Kazimierzowski, wykupiony przez króla w 1765 r. z rąk rodziny Sułkowskich. Wnętrza budynku, jak i w innych szkołach, dostosowano do potrzeb programu i metody nauczania.[47]

Kształcenie i oświecanie obywateli wywarło wpływ na ich zamiłowania i zrozumienie konieczności nauki. Wzmożony ruch wydawniczy, zamiłowanie do gromadzenia różnych zbiorów, również bibliofilskich, postawiło grupę uczonych przed koniecznością stworzenia zasobnej, umożliwiającej studia biblioteki. Dotychczas zbiory książek mieściły się przy szkołach parafialnych, kościołach i klasztorach, przy kolegiach jezuitów, pijarów i innych, a także w niewielu bibliotekach magnackich i ludzi nauki. W Warszawie z inicjatywy dwóch uczonych, Józefa Załuskiego i jego brata Andrzeja, biskupa krakowskiego, w 1747 r. powstała z rozbudowanego Pałacu Daniłowiczowskiego pierwsza nowoczesna na owe czasy biblioteka. Niestety, budynek nie był przystosowany architektonicznie do roli, jaką miał pełnić.

Drugim gmachem była biblioteka królewska, mieszcząca się w skrzydle łączącym Zamek z pałacem Pod Blachą. Autor jej, Dominik Merlini, w latach 1779—1782 stworzył przestrzenne wnętrze, podzielone parami kolumn na trzy części. Pomiędzy oknami stały szafy z książkami, a pośrodku stoły dla czytelników. Pokoje za wielką salą czytelniano-magazynową mieściły królewskie zbiory gemm i monet.

[46] Z. Bobrowski, *Budynki użyteczności publicznej w Polsce wieku Oświecenia*, „Studia i Materiały do Teorii i Historii Architektury i Urbanistyki", t. III, 1961, s. 40, 54.

[47] Tamże, s. 82—83.

Warszawa otrzymała również kilka świetnie pod względem architektonicznym rozwiązanych teatrów. Stanowiły godne tło dla wielkich artystów tej epoki. Do czasów Stanisława Augusta istniał tylko dawny, królewski teatr saski, tzw. Operalnia, zbudowany w 1748 r. Już w 1772 r. teatr ten został rozebrany, a jego wyposażenie możliwe iż zostało przeniesione do teatru Poniatowskiego na Solec. Przed przedsiębiorcami teatralnymi zarysowała się konieczność zbudowania oddzielnego gmachu, przystosowanego do każdego rodzaju imprez. W 1767 r. August Sułkowski wzniósł teatr na Nowym Świecie według projektu Merliniego. Budynek był jednak tak niedbale wykonany, że właściwie nie nadawał się do użytkowania.

Król Stanisław August, zwolennik i entuzjasta sztuk pięknych, przyczynił się wydatnie do powstania pierwszego publicznego teatru w Warszawie. Gmach ten zbudowany został w 1779 r. przez miernego architekta, Bonawenturę Solariego, na placu Krasińskich.[48] Architektura była prosta i surowa, pozbawiona piękności i lekkości. Cechy te, których zabrakło pierwszemu teatrowi publicznemu, olśniewały natomiast widza w dwóch teatrach królewskich. Oba znajdowały się na terenie Łazienek. Pierwszy, zwany Pomarańczarnią, powstał z połączenia budynku oranżerii z teatrem, który umieszczono w jego skrzydle (zespół taki znany był z teatru Mniszchów w Dęblinie czy Sułkowskich w Rydzynie). Zaprojektowany został przez Dominika Merliniego (projekt Zuga odrzucono) w latach 1776—1788. Budynek wzniesiono na skraju parku, u stóp skarpy, która tworzyła dla niego malownicze tło. Architektura utrzymana była w surowym stylu klasycystycznym. Drugim był teatr Na Wyspie, wybudowany w ostatnich latach panowania Stanisława Augusta w formie amfiteatru, według projektów Kamsetzera. Położony był nad stawem, naprzeciwko Pałacu na Wodzie. Widownia, uformowana w kształcie półkola, oddzielona od sceny podłużnym lustrem wody, wznosiła się w górę wielkimi, kamiennymi stopniami. Zamiast balustrady otaczały ją rzeźby i posągi przedstawiające dramaturgów czasów antycznych i nowożytnych. Scena otrzymała stałą dekorację w kształcie starożytnych ruin, co było przejawem nowego stylu w sztuce — romantyzmu, chociaż sam teatr wzorowano na amfiteatrach antycznych. Również połączenie architektury z krajobrazem i umieszczenie sceny na wyspie odpowiadało tym gustom. Był to ulubiony teatr króla. Przedtem, wkrótce po objęciu rządów, w latach 1766—1767, urządził on salę do przedstawień na Zamku, zwaną „Komedialną", podobną do tych, jakie znajdowały się w pałacach magnackich, w kolegiach czy Szkole Rycerskiej. Następnie pragnął zbudować na Zamku wspaniały teatr, który miał się mieścić w części budowli od strony placu Zamkowego. Zamierzenia królewskie, które stanowiły inspirację dla projektów przebudowy Zamku, wykonywanych przez najznakomitszych architektów, Louisa, Fontanę, Szregera i Merliniego, nie doczekały się realizacji.[49]

Do wielkich inwestycji państwowych należała rozpoczęta w 1784 r. budowa koszar garnizonu Gwardii Pieszej Koronnej, Gwardii Litewskiej, Gwardii Konnej Koronnej i Korpusu Artylerii. Poza ostatnimi, wszystkie powstały na murach dawnych lub też całkowicie przebudowanych budowli. Architektem projektującym był znany już wówczas Stanisław Zawadzki, który osiągnął sławę w tej dziedzinie,

[48] Tamże, s. 105 i n. [49] Tamże, s. 113.

wznosząc znakomicie usytuowane i rozwiązane koszary twierdzy Kamieńca Podolskiego. Zewnętrznie wszystkie budynki koszarowe miały kształt ogromnych czworoboków o surowej bryle i oszczędnej dekoracji. Główną elewację zdobił i podkreślał wysunięty portyk wsparty na kolumnach, zwieńczony trójkątnym szczytem, na którym umieszczone były emblematy wojskowe lub narodowe. Ponad gzymsem wieńczącym fasadę wisiały, dla podkreślenia powagi państwowej budynku, pęki sztandarów.

Stanisław Zawadzki zbudował od nowa koszary Artylerii Koronnej przy ul. Dzikiej, wkładając w nie całą swą inwencję twórczą. Zamknął budowlę w czworoboku, w którym korpus główny wyróżnił monumentalnym rozwiązaniem. Natomiast koszary Gwardii Pieszej Litewskiej były tylko przebudową i częściową adaptacją nieszczęsnego zamku w Ujazdowie. Położone na wysokiej skarpie, od strony Wisły sprawiały wrażenie monumentalnego pałacu, składającego się z trzech czworobocznych pawilonów, z których środkowy, wysunięty i flankowany bocznymi ryzalitami, stanowił ciekawe rozwiązanie architektoniczno-przestrzenne. Koszary Gwardii Konnej Koronnej powstały na miejscu zbudowanych przez Jaucha za Ogrodem Saskim za panowania Augusta III. Zwano je Mirowskimi. Sześć pawilonów w dwóch rzędach tworzyło przedłużenie widokowe osi Ogrodu Saskiego. Również koszarom żoliborskim Gwardii Pieszej Koronnej nadał Zawadzki bardziej monumentalną i zwartą w czworobok bryłę. Pawilony były jednopiętrowe, tylko korpus główny wyższy, trzykondygnacyjny, akcentował potężny portyk kolumnowy, wsparty na ciężkich arkadach.

Rozplanowanie wnętrz koszarowych było dobrze przystosowane do organizacji życia zbiorowego. Z dużą dozą praktyczności, jasno i czytelnie rozwiązał Zawadzki układ pomieszczeń, zapewniając niektórym z nich właściwą komunikację, a inne pozostawiając zgodnie z ich przeznaczeniem — izolowane. Koszary były nieomal samowystarczalne. Posiadały dziedziniec dla musztry, lazaret, stajnie i wozownie, magazyny, wydzieloną kuchnię i pomieszczenia gospodarcze, sypialnie dla żołnierzy i mieszkania dla oficerów.[50]

Budziły one uznanie u zwiedzających je podróżników cudzoziemskich. Poświęcili im uwagę Fortia de Piles i Boiseglin de Kerdu oraz Schulz: „...koszary [...] wyglądają na zewnątrz bardzo wspaniale; a jedne z nich, świeżo wzniesione ujazdowskie, są może najpiękniejszymi koszarami na świecie". Nie omieszkał dodać, że wewnątrz są bardzo nędzne, podobnie jak warszawskie szpitale.[51] Co prawda, dla oficerów przeznaczono mieszkania w specjalnych pawilonach, a w koszarach żoliborskich niektórym z nich, obarczonym rodziną, przydzielono dworki z ogródkami, pobudowane w obrębie koszar. Niestety, nie wykopano tam studni, wodę trzeba więc było nosić z oddalonej o 200 m Wisły. Pomimo wielkich zespołów koszarowych, istniejących w Warszawie, w dalszym ciągu brakowało miejsca dla stacjonującego wojska. Radzono sobie doraźnie rozmieszczając żołnierzy po kwaterach prywatnych, co niewątpliwie było wielkim utrudnieniem w przeszkalaniu żołnierza i utrzymaniu koniecznej dyscypliny. Wszystkie budowle koszar finansowano ze

[50] I. Malinowska, *Stanisław Zawadzki*, Warszawa 1953, s. 25 i n.

[51] Fortia de Piles i Boiseglin de Kerdu, *Podróż dwóch Francuzów (Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców*, t. II, s. 694—95); F. Schulz, *Podróże Inflantczyka z Rygi do Warszawy i po Polsce w latach 1791— 1793* (tamże, t. II, s. 413).

skarbu państwa i dorywczych składek mieszczan warszawskich. Czasami, lecz rzadko, wspomagały je hojne datki magnatów.

Wielką bolączką Warszawy była sprawa szpitali miejskich. Stolica posiadała w końcu XVIII w. jedenaście szpitali i przytułków dla starców. Były one niewielkie, przeważnie zbudowane w ubiegłych stuleciach, nie przygotowane na przyjęcie wzrastającej wciąż liczby kandydatów. Konieczne stało się przeprowadzenie reformy lecznictwa i szpitalnictwa w celu stworzenia godziwych warunków chorym, starcom i niedołężnym, a przede wszystkim fundacja nowych gmachów szpitali. Ukończono jednakże tylko rozpoczętą jeszcze w 1709 r. budowę szpitala Św. Rocha przy Krakowskim Przedmieściu oraz wzniesiono — bardziej dzięki ofiarności społeczeństwa niż funduszom państwowym — nowoczesny na owe czasy szpital pod wezwaniem Dzieciątka Jezus. Dokładny opis jego architektury i wnętrza zostanie podany przy omówieniu stanu lecznictwa i szpitalnictwa.

W okresie Oświecenia znacznie osłabło życie religijno-dewocyjne społeczeństwa. Wpłynęło to zapewne na zmniejszenie nowych fundacji kościelnych. Na terenie Warszawy nie powstały w tym czasie większe budowle sakralne, chociaż w kościołach, zgodnie z tradycją, ogniskowało się nie tylko życie religijne wraz z jego obrzędami, ale również odbywały się uroczystości cechowe i rodzinne, zwłaszcza niezwykle pompatyczne pogrzeby, a wreszcie uroczystości o charakterze politycznym.

W drugiej połowie XVIII w. ukończono budowę kościołów fundowanych jeszcze w czasach saskich lub nawet dawniej: w r. 1757 Św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu (jego fasada z monumentalnymi wieżami była dziełem znakomitych architektów Jakuba i Józefa Fontanów) oraz — w pięć lat później — Dominikanów Obserwantów, który znajdował się w jego pobliżu. W r. 1763 kościół Wizytek upiększono wdzięczną fasadą rokokową i w tym samym stylu utrzymano jego wnętrze. W latach późniejszych, w 1782 r., E. Szreger zwieńczył okazałą fasadę kościoła Karmelitów baniastą kopułą, która budziła podziw mieszkańców stolicy. Jeszcze jeden kościół na Krakowskim Przedmieściu, mianowicie dawny bernardyński pod wezwaniem Św. Anny, otrzymał klasycystyczną fasadę w 1788 r. Była ona dziełem Piotra Aignera oraz znanego mecenasa sztuki, Stanisława Kostki Potockiego.[52]

Król Stanisław August nie zdradzał wielkiego zainteresowania architekturą kościelną. Z jego inicjatywy, dla uczczenia rocznicy Konstytucji 3 Maja, postanowiono wznieść na terenie Pałacu Ujazdowskiego kościół Opatrzności, a właściwie Świątynię Sławy Narodowej. Nagrodzony projekt Jakuba Kubickiego mało uwzględniał kultowy charakter budowli. Brak było na niej nawet krzyża, natomiast architektura budynku przywodziła na myśl świątynie antycznego Rzymu. W rocznicę Konstytucji Majowej po podniosłych uroczystościach, które odbyły się w kościele Św. Krzyża, pochód wraz z królem ruszył w kierunku Ujazdowa, gdzie założono kamień węgielny pod budowę świątyni, której nigdy nie wzniesiono.

Po długich staraniach różnowierców Warszawa uzyskała kościół ewangelicki. Szerokie masy szlacheckie zwalczały dysydentów, których pozbawiono udziału w sejmach, a także senacie. Zgodzono się jednak na budowę kościołów bez dzwo-

[52] A. Gieysztor, St. Herbst, E. Szwankowski, *op. cit.*, s. 198.

nów, własnych szkół i seminariów. Wkrótce po uchwaleniu tej ustawy, w 1779 r., ukończono piękny kościół wzniesiony według planów architekta królewskiego, Szymona Bogumiła Zuga. I tej budowli przyświecał wzór starożytnego panteonu, a wnętrze jej z amfiteatralnie spiętrzonymi galeriami niewiele różniło się od sal teatralnych. Gmach wzbudzał nawet pewne zgorszenie swoją nowoczesną formą, w której tak mało uwidoczniony był program liturgiczny kościoła.[53] Zbór ten miał obsługiwać wiernych zarówno kalwińskiego, jak i augsburskiego wyznania, którzy zjednoczyli się unią sielecką w r. 1777. Dotychczas, zanim wzniesiony został kościół, odprawiano w Warszawie nabożeństwa w domach prywatnych, mianowicie u rezydenta pruskiego, a następnie duńskiego. Wiele zawdzięczano bankierowi Piotrowi Tepperowi, seniorowi oraz ofiarnemu działaczowi grupy dysydenckiej w Warszawie. Wzniesiona świątynia jest jedną z najpiękniejszych i najwcześniejszych budowli okresu klasycyzmu w Polsce.

Wielkomiejskie kontrasty — pałace i rudery

Ludność mieszkała nie tylko w pałacach, kamienicach, dworkach, skromnych domach czy też w przedmiejskich willach. Najubożsi gnieździli się w chałupach, ruderach i szopach. Te kontrasty były charakterystyczną cechą wszystkich wielkich miast europejskich. W Warszawie rysowały się bardzo ostro również dlatego, że miasto dźwigało obciążenia losowe poprzednich lat. Po długim okresie wojen szwedzkich, klęsk, zaraz morowych i głodu czasy panowania elektorów saskich nie przyniosły znacznej poprawy ekonomicznej. Polepszenie warunków życiowych osiągnęły najwyższe warstwy społeczeństwa. Również w zakresie budownictwa inicjatywa nowych projektów urbanistycznych i zabudowy miejskiej połączona była ze wznoszeniem rezydencji królewskich. Ruch budowlany objął przede wszystkim warstwy magnackie i wyższych urzędników dworskich, którzy wznosili okazałe pałace i dwory. Także panowanie Stanisława Augusta, przypadające na okres reform Oświecenia, nie przyniosło znacznej poprawy stanu budownictwa miejskiego dla ludności najuboższej.

Stali mieszkańcy nie zwracali uwagi na kontrast przepychu i krańcowej nędzy przejawiającej się w sposobie życia, a także w charakterze zabudowy miasta. Natomiast spostrzegły je czujne oczy pisarzy i artystów, poetów i malarzy, a także obcych przybyszów. Jednym z nich był przebywający kilkanaście lat na dworze Stanisława Augusta znany malarz Bernardo Bellotto Canaletto. W wielu panoramach i widokach miasta pozostawił on wspaniałą malarską dokumentację owoczesnej Warszawy, nie tylko ciekawą artystycznie, ale i wierną. Znakomicie przekazał architekturę epoki i życie warszawskiej ulicy. Wśród wspaniałych pałaców, dworów, kamienic i rozległych ogrodów z dokładnością maluje tak zwane wówczas „czarne domy". Budowała je ludność tam, gdzie grunty były najtańsze, a to z racji odległości od centrum miasta, jak również z powodu zagrożenia terenów niebezpieczeństwem powodzi w czasie wiosennych roztopów. Rudery i chaty skupiały

[53] St. Lorentz, *Architektura wieku Oświecenia*, s. 37.

się u podnóża Pałacu Ordynackiego na Tamce i pod dawną letnią rezydencją królów — Pałacem Kazimierzowskim. Kryły się pośród wysokich spichrzów, na zboczu skarpy, poniżej obronnych, średniowiecznych murów Starego Miasta. Podchodziły aż pod Bramę Nowomiejską, która strzegła niegdyś jego północnego wjazdu. Obsiadły nie tylko peryferyjne dzielnice, lecz znajdowały się również w samym śródmieściu stolicy. Nawet na ruchliwym Krakowskim Przedmieściu, gdzie wspaniałe pałace rywalizowały z powagą wyniosłych fasad kościołów, malownicze zapewne dla oka malarskiego rudery przetrwały pomiędzy świątynią ojców Karmelitów a rezydencją księcia Radziwiłła. Duże ich zbiorowisko znajdowało się przy ul. Długiej, w najbliższym sąsiedztwie siedzib magnackich, a także w pobliżu placu Krasińskich i niedawno zbudowanej Żelaznej Bramy, zamykającej Ogród Saski. Dla terenów jurydyk, małych miasteczek, jakimi były Leszno, Grzybów, Mariensztat i inne, nie zostawił nam Canaletto swej znakomitej inwentaryzacji. Wiemy jednak z innych przekazów, że i tam biedota miejska gnieździła się w lochach, chatach i ruderach.

Liczna musiała być zabudowa tego typu, jeśli piszą o niej często w swych pamiętnikach podróżnicy cudzoziemscy, zwiedzający w czasie swych dalekich wojaży również Warszawę. Wzmianka Anglika Nathaniela W. Wraxalla, który przebywał w Warszawie w 1778 r., nie jest zbyt przychylna, ale uzupełnia opis współczesnego miasta, wyraźnie wydobywając jego kontrasty: „Pałace i budy, budynki możnych i lepianki biedaków składają się łącznie na większą część tego miasta. Przywodzi to na myśl współegzystencję panów i niewolników, lordów i wasali, taką jaka mogła istnieć w ciemnych wiekach Średniowiecza, kiedy panowała niepodzielnie tyrania feudalna, ale jakiej na szczęście dla ludzkości nie znajdziesz dziś nigdzie poza Polską [...]. Idąc ulicami Warszawy nie mogłem się uwolnić od wrażenia, że znajduję się w jakimś podupadłym i na wpół zrujnowanym miasteczku." [54]

A były to lata działalności Komisji Brukowej, która następnie, w czasach stanisławowskich, związana z Komisją Dobrego Porządku, wpłynęła na usunięcie wielu ruder. Akcja ta przebiegała nie bez oporów ze strony właścicieli gruntów, którzy czerpali zyski z wydzierżawiania izb potrzebującym, a także i nie bez oporu lokatorów, którzy nie mieli możliwości znalezienia innych pomieszczeń. Wzrost ludności stolicy spowodował tak wielką ciasnotę mieszkaniową, że nawet najnędzniejsze chałupy i walące się rudery były zamieszkane.

U schyłku okresu Oświecenia pomimo wzrostu zamożności miasta i jego mieszkańców — co przyczyniło się w dużej mierze do wzmożenia ruchu budowlanego — jak również pomimo działalności komisji dążących do regulacji i uporządkowania oraz rozwiązania wielu problemów życia stolicy Warszawa nadal pozostawała miastem kontrastów, może jednak już nie tak jaskrawych i bolesnych, jak na początku czasów stanisławowskich.

Oto jak widzi miasto Fryderyk Schulz w okresie Sejmu Czteroletniego: „Stolica kraju taką mającego konstytucję jak Polska składać by się musiała z samych pałaców, ale też ktoś je budować musiał i ręce do tego były potrzebne. Toteż obok pałaców stawały chaty dla robotników, co te mury wznosili. Nie można ich było zbyt daleko odsadzić, gdyż raz wraz byli potrzebni. Tak samo działo się z za-

[54] N. W. Wraxall, *op. cit.*, s. 492.

spakajającymi inne wymagania. Wszyscy musieli tu mieszkać, bo powinni byli dla panów pracować. Były to zwierzęta do noszenia ciężarów, które najmowano, ale stajnię i paszę dać im należało. Tak wyrosły pałace i chaty, książęta i żebracy — fizyczna i moralna podstawa bytu Warszawy." [55]

W ostatnich latach XVIII w. chałupy i rudery nie występowały już co prawda w obrębie Starego Miasta, Rynku Nowego Miasta czy też przy Krakowskim Przedmieściu, lecz „im dalej od najstarszego środka miasta, tym budowy te są gęstsze i nędzniejsze. Dach podziurawiony, porwany, pogarbiony ledwie osłania wnętrze od deszczu, śniegu i wiatru, a łachmany połatanej odzieży okrywają źle biednego, co się tu chroni — to właśnie stanowi charakter najwydatniejszy miasta tego, że największe bogactwo ociera się tu o najostatniejszą nędzę i najwykwintniejszy zbytek o niedostatek najdolegliwszy". Nędzne te domki stoją przy ulicach niebrukowanych i „w czas słotny tworzą one jedno zwierciadło błota, ulice tylko boso przebrnąć można lub z pomocą wysokich wozów i remiz, które się tu zabłąkują. W gorąca i dnie słoneczne to błoto zmienia się na pył, którego żadne oczy, gdy wiatr nim powionie lub uderzy weń podkowa, znieść nie potrafią. Może stąd pochodzi, że się na nędzę tyle oczów zakrywa i widzieć jej nie chce." [56]

[55] F. Schulz, *op. cit.*, s. 412. [56] Tamże, s. 413—414.

PLACE I OGRODY

Rynki i place targowe

Wielka, stutysięczna Warszawa niewiele miała placów reprezentacyjnych czy targowych. Istniejące nie zasługiwały na to miano. Były nie uregulowane, nie brukowane ani nie wysypane żwirem, pełne na przemian to kurzu, to błota. Dlatego też handlowano przeważnie na ulicach, zajmując miejsca przy domach, a towar rozkładano w budach, straganach, koszach, stołach itp., narażając go na stałe zanieczyszczanie. Handel grupował się przeważnie według rodzajów towarów. Na Długiej sprzedawano książki i sztychy, w kwartale żydowskim na Tłomackiem starzyznę, pod kościołem Św. Krzyża produkty spożywcze itp.[1] Nieliczne place handlowe znajdowały się na dwóch rynkach staro- i nowomiejskim, gdzie w kramach i jatkach przy ratuszu oferowano różne towary. Na placyku Szerokiego Dunaju od 1631 r. mieścił się targ rybny, na którym rybaczki i śledziarki zachwalały ryby, ale tylko solone, bo sprzedaż świeżych przysługiwała wyłącznie przekupkom handlującym na Starym Rynku. Na targu dunajskim znajdowały się również od XVII w. jatki rzeźnicze i kramy szewskie.[2] W pobliżu, przy Rzeźnickiej Bramie, mieścił się ponadto targ na jarzyny. Schulz wymienia jeszcze placyk przed Wizytkami, który stanowił część Krakowskiego Przedmieścia, gdzie — jak i na nędznym targowisku za Żelazną Bramą — wystawiano na sprzedaż siano, owies i mąkę.

W latach siedemdziesiątych zrealizowano budowę dwóch placów gwiaździstych, których modny kształt ronda nie tylko stanowił element kompozycji plastyczno-przestrzennej, ale również ułatwiał organizację zmiany kierunku ruchu przy krzyżowaniu się ulic czy traktów. Do takich należał plac Na Rozdrożu, powstały na przecięciu Al. Ujazdowskich z nową Aleją Wolską. Na skrzyżowaniu tej ostatniej z przedłużoną ulicą Marszałkowską skomponowano Rotundę (obecnie plac Zbawiciela). Plac ten i łączące go drogi, obsadzone zielonymi ścianami drzew, już z oddali skupiały spojrzenia jadących.[3]

Warszawa cierpiała na brak placów targowych i reprezentacyjnych, a także placów broni. Wiele ich jednak projektowano, gdyż rozumiano funkcję, jaką pełniły nie tylko w urbanistyce, ale i w życiu mieszkańców. Prawie wszyscy teoretycy urbanistyki Oświecenia zostawili w swych dziełach liczne wzory placów. Najpełniejsze ich realizacje nastąpiły w Anglii i Francji. W Warszawie zaplanowano utworzenie bądź też regulację kilkunastu placów, z których większość miała przeznaczenie handlowe. Umiejscowienie ich projektowano przeważnie w odleglejszych od centrum miasta dzielnicach, na przedmieściach. Kształty ich miały być różnorodne: kwadratowe, prostokątne i owalne. Między innymi projektowano utworzenie placu Złotych Krzyży (obecnie Trzech Krzyży) w dwóch wariantach, z których bogatszy przewidywał otoczenie prostokątnego placu kolumnadą. Wzorowano

[1] F. Schulz, *Podróże Inflantczyka z Rygi do Warszawy i po Polsce w latach 1791—1793*, (*Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców*, t. II, s. 424—425).

[2] A. Berdecka, O. Puciata, J. Rutkowska, H. Szwankowska, *Ulice Starego Miasta* (*Szkice staromiejskie*, Warszawa 1955, s. 54).

[3] St. Herbst, *Ulica Marszałkowska*, s. 28.



20

BIBLIOTEKA PUBLICZNA M. ST. WARSZAWY
1987





BIBLIOTEKA NARODOWA 1907 WARSZAWA



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W WARSZAWIE



24

25



26



BIBLIOTEKA MUZEUM WARSZAWY



się na elementach urbanistyki francuskiej, wytyczając kwadratowe place z krzyżującymi się prostopadle alejami, np. na Powiślu przy zbiegu ul. Karowej i Dobrej. W 1782 r. Kubicki zaprojektował plac w kształcie koła pomiędzy ul. Przejazd a Nalewki, przeznaczając go na centrum handlu targowego. Myślano również o założeniu placów na Powiślu, Żoliborzu i Woli. Niestety, piękne te zamierzenia pozostały niezrealizowane. Niektóre z nich, mianowicie place śródmieścia: Grzybowski, Żelaznej Bramy i Muranowski założono dopiero w dobie Królestwa Kongresowego.[4] Natomiast na Starym Mieście, na miejscu zlikwidowanego cmentarza parafialnego na Kanonii, powstał jako jeden z pierwszych mały plac miejski. W 1780 r. wybrukowano go, a pośrodku ustawiono barokową figurę Madonny.

Przedmiejskie warzywniki i sady

Jeżeli potrzeby handlowe ludności miejskiej nie zostały należycie zaspokojone, to możliwość znalezienia odpoczynku wśród zieleni parków i ogrodów osiągalna była prawie dla każdego jej mieszkańca, nawet najbiedniejszego. Warszawa była miastem ogrodów. Wpłynęło na to zapewne nie tyle zrozumienie potrzeby higieny i konieczności odpoczynku od zgiełku życia miejskiego, ile w znacznej mierze sam rodzaj zabudowy stolicy. Na ogólną ilość posesji w 1790 r. — 2671 — przeszło połowę — 1353 — stanowiły domy z ogrodami. Najmniej, bo tylko 17, znajdowało się wobec ścieśnienia zabudowy na Starym Mieście.[5] Natomiast większość domów i dworków nowomiejskich miała już małe ogródki. Tak działo się również na przedmieściach północnych i zachodnich Warszawy, a więc na Faworach, Żoliborzu, Woli, Lesznie, Grzybowie, a następnie — podążając na południe — na Bielinie i Nowym Świecie. Niewielkie ogródki posiadały także domy i dwory mieszczańskie. W miarę zbliżania się do granic miasta powiększał się obszar ciągnących się pasami warzywników i sadów, które dostarczały Warszawie warzyw, owoców, a także kwiatów. Do takich obiektów należał ogród wspomniany już przy opisie dworku pana Wrzesińskiego, a położony przy ul. Śmiałej. Rosło w nim kilkaset dorodnych owocujących drzew: grusz, jabłoni, wiśni, moreli, brzoskwiń, śliw w kilku odmianach — francuskich, węgierskich, a także tzw. admirabel — oraz berberys i morwy. Hodowano tam także agrest i winną latorośl. W warzywniku znajdowała się szparagarnia, a w niewielkiej kwaterze kwiatowej hiacynty, tacety, narcyze, tulipany, róże i lilie. W ogrodzie stała altanka kryta gontami oraz kamienny stół i ławeczki. Było też tam niewielkie stare domostwo, mieszczące jedną izbę i sionkę, a przy nim piwnica z bali na skład warzyw i porządnie ocembrowana studnia z pompą.[6]

Najwięcej ogrodów uprawiano na potrzeby własnego gospodarstwa, niewielką tylko część uzyskanych płodów przeznaczając na sprzedaż. Ogrody takie zakładano nie tylko przy domach mieszczańskich, ale czasem i przy skromniejszych pałacach magnackich. Obok pięknych francuskich ogrodów czy angielskich parków znajdowały się przy rezydencjach także warzywniki i sady, których zbiory przeznaczano dla

[4] E. Szwankowski, *Warszawa*, s. 130—133.
[5] S. Szymkiewicz, *Warszawa na przełomie XVIII i XIX w.*, Warszawa 1959, s. 264 (tablica III).
[6] AGAD, Stara Warszawa, nr 329, k. 333—336.

siebie. Tak było w willi Izabeli Lubomirskiej na Mokotowie, która to posiadłość miała też ogród użytkowy, opisany przez Wojciecha Wincentego Wielądko:

Wyszedłszy z tej równiny, są z owocem sady,
Dalej inspekta, na nich ogórków gromady.
Tamże rzodkiew miesięczna, harbuzy, melony,
W szparagi, groch, sałatę obfite zagony.
Obsadzone lawendą, bukszpanem rabaty,
Zapachu pełno dają rozmaite kwiaty.[7]

Podobny ogród istniał przy pałacyku Józefa Ankwicza, kasztelana sądeckiego, położony przy zbiegu ulic Dzikiej i Śmiałej. Suchy opis, jaki pozostawili taksatorzy magistraccy, drobiazgowo ukazuje sposób jego zagospodarowania: „Po lewej stronie tego ogrodu kwatera pierwsza na kwiatki dwiema stronami różą obsadzona, na której drzewa owocowego sztuk 11, przy wozowniach sztuk 2 pigwów, 2 sztuk brzoskwini, 3 sztuki wina. Druga kwatera wychodząc z oranżerii — na niej sztuk drzewa owocowego 22, pietruszką, marchwią i szparagami zasiana. Trzecia kwatera na tejże stronie drzewa owocowego mająca sałatą i szparagami zasiana. Czwarta na tejże stronie drzewa owocowego 19 sztuk mająca, zasiana pietruszką, grochem jeden zagon, szkółka..." W środku tego ogrodu znajdowała się drewniana altanka obrośnięta różą jerychońską. „Z tej altanki wychodząc środkiem po prawej ręce jedna kwatera 19 sztuk drzewa owocowego, zaflancowana selerami i porami. Druga naprzeciwko studni sztuk drzewa owocowego 26 mająca, zasiana pietruszką. Trzecia kwatera sztachetami obwiedziona, w niej inspekta. Po obydwu stronach altanki szpalery lipiną obsadzone [...], wychodząca na drugą ulicę kwatera, na której sztuk drzewa owocowego 8, szparagami zaflancowana. Druga, na niej sztuk drzewa owocowego 10, zaflancowana truskawkami, trzecia, na której stara altanka, naprzeciw niej Treybhaus [cieplarnia, w której hodowano róże i inne kwiaty]. Na tej kwaterze sztuk drzewa owocowego 9 [...]. Przy tejże kwaterze kręglarnia [...], przy niej altanka murowana gontami pokryta." Za kuchnią, która znajdowała się w podwórzu, uprawiano jeszcze: „Cztery kwatery małe, porzeczkami obsadzone, drzew owocowych 28. Orzeszyna włoska [...], brzoskwiń 9, morela 1, winogron 12 i jeden migdał, 2 laury, 2 mniejsze. Wprost z altanki zielonej wychodząc, ulica z obu stron szpalerem lipowym wysadzona, a przy końcu porzeczkami. [...] Po prawej stronie wchodząc do ogrodu oranżeria murowana [...], przy schodach orzeszyna i brzoskwinia." [8]

Suchy, urzędowy opis przekazuje nam intencje właściciela, który chciał urządzić swój ogród jako przyjemny zakątek wypoczynkowy, nie rezygnując jednak z wykorzystania każdego miejsca dla uprawy niewątpliwie w celach dochodowych.

Ogrody pejzażowe — moda orientalna

W zakładaniu ogrodów i parków w czasach Oświecenia ulegano różnym modom. Na terenie płaskim i stosunkowo niewielkim urządzano regularnie rozplanowane ogrody parterowe wzorem mody francuskiej z pierwszej połowy XVIII w., jak

[7] *Warszawa wieku Oświecenia*, s. 109.
[8] AGAD, Stara Warszawa, nr 329, k. 221v—223v.

w wypadku wspomnianego już pałacu Sapiehy przy ul. Zakroczymskiej i większości pałaców przy Krakowskim Przedmieściu. Gdy jednak okoliczności sprzyjały, to znaczy gdy dysponowano rozległym terenem, o urozmaiconej rzeźbie, zakładano najmodniejsze w Europie ogrody pejzażowo-sentymentalne zwane również angielskimi. Zdawały się one w sposób artystyczny naśladować naturę, a nawet ją upiększać i udziwniać. Taki charakter miał wspomniany Mokotów, Powązki, Park Ujazdowski, niewielkie założenia ogrodowe na Faworach czy też księcia podkomorzego Poniatowskiego na Solcu. O ogrodach pejzażowych złośliwie wypowiadał się Franciszek Zabłocki w *Fircyku w zalotach*, w perorze Pustaka:

Przywidziało się panu z natury brać wzory:
Kazał pokopać wilcze jamy, lisie nory,
Drzewo zwalać umyślnie, siać chwasty i zielska...
Miała to fantazyja być niby angielska.[9]

Parkomania i ogrodomania święciły triumfy. Tracono na nie istne fortuny. Warszawa nie była w tym szaleństwie odosobniona. W okresie tym, jak pisał Kraszewski opierając się na sądach współczesnych: „Jedną z fantazyj wieku stały się te kosztowne krajobrazy Arkadii pod Sochaczewem i ruin rzymskich na piaskach Polesia. Ks. Czartoryscy stworzyli Puławy i Powązki, ks. podkomorzy nie chcąc im ustąpić wyprawiał szaleństwa na Solcu, kopiąc pieczary i na wyspach zaprowadzając małp kolonie. Panie Kochanku zakładał morze w Nieświeżu. — Takim oszalałym parkomanem był Borch, wojewoda bełski, którego sławny był *Jardin moral et emblématique* w Warklanach. Były w nim przybytki poświęcone przyjaźni, małżeństwu, śmierci..., był ołtarz wieczności, świątynia prawdziwej sławy, a między popiersiami sławnych mężów obok Sobieskiego Borch, przy Koperniku Borch, przy Kromerze Borch itd." [10]

Obok gustów sentymentalnych, stylizowanych na antyk nastała też moda na chińszczyznę, która w Polsce wystąpiła już w XVII w. Trzeba przypomnieć, że Chiny były ojczyzną ogrodów naturalnych, zgodnie z zasadami: „1. Wesołej, śmiejącej się przyrodzie błoń i łąk tonących w słońcu należy przeciwstawić sceny dzikie i groźne, jak poszarpane, nagie skały, z których urwisk rzuca się w przepaść z szumem woda. 2. Należy znaleźć i wyznaczyć taki punkt, z którego można oglądać cały ogród i jego główne scenerie; zwykle w takim punkcie umieszcza się dom lub główny pawilon. [...] 3. [...] Trzeba bowiem bardzo umiejętnie tworzyć sztuczne wyniosłości i doliny i trzeba umieć poradzić sobie z wodą, wyznaczając jej urozmaicony bieg; trzeba z doskonałą znajomością materiału i perspektywy rozmieścić rośliny, a zwłaszcza drzewa." [11] Na urok chińskich ogrodów zwrócono uwagę już w XVII w., ale dopiero w połowie następnego stulecia w Anglii, Saksonii, Italii i Francji założono wiele tego typu obiektów, umieszczając w nich delikatne domki chińskie, pagody i mostki. W Carskim Siole pod Petersburgiem założono nawet wieś chińską, teatr chiński i wiele innej cudacznej chińszczyzny.

Oczywiście, Warszawa nie mogła pozostać w tyle. Ambicje możnych mecenasów

[9] Fr. Zabłocki, *Fircyk w zalotach*, tekst ustaliła, wstępem i objaśnieniami opatrzyła J. Pawłowiczowa, Wrocław 1961, s. 97, BN I 176.

[10] J. I. Kraszewski, *Polska w czasie trzech rozbiorów, 1772—1779*, t. II, Poznań 1874, s. 269.

[11] E. Jankowski, *Dzieje ogrodnictwa*, t. I, Kraków 1938, s. 226—232, cyt. za: J. Reychman, *Orient w kulturze polskiego Oświecenia*, Warszawa 1964, s. 162—163.

sztuki usiłowały nadrobić opóźnienia. Przede wszystkim sam król w Łazienkach ozdobił założony niedawno park mostkami chińskimi przerzuconymi przy chińskiej alei, a Brama Chińska połączyła Pałac na Wodzie (przy którym wzniesiono ganki chińskie) z Białym Domkiem. Architektura tych niewielkich budynków opierała się na wzorach podanych przez Williama Chambersa w cieszącej się ogromnym powodzeniem książce *Designs of Chinese Buildings Furniture, Dresses etc.* wydanej w Londynie w 1757 r. Dzieło Chambersa było źródłem natchnienia nie tylko dla współczesnych, ale i dla następnych pokoleń architektów. Poza Łazienkami zbudowano jeszcze na terenie Warszawy altanki i pawilony chińskie w rozległym parku brata królewskiego na Solcu, a także we wspomnianym Mokotowie.[12]

W sztuce zakładania ogrodów wzorowano się nie tylko na odległych Chinach. Natchnieniem był też bliższy Wschód. Na rozkwit od dawna już przenikających do Polski gustów orientalnych wpłynął pobyt posła tureckiego Numana-beja w r. 1777 i 1778 w Warszawie. Zainteresowania dalekim, kuszącym Wschodem szerzyli ponadto Stanisław Kostka Potocki, Adam Kazimierz Czartoryski, jak również poseł austriacki Karl Emerich von Revitzky vel Reviczky, przebywający w Warszawie w związku z rokowaniami rozbiorowymi, które to powinności dyplomatyczne spełniał z niechęcią. Wywarł natomiast wielki wpływ na środowisko warszawskie jako znakomity orientalista, rozwijając w nim ten typ upodobań, a nawet kształtując wiedzę o Wschodzie. Revitzky podejmował w pałacu Teppera słynnego posła tureckiego Sejida Numana-beja, którego uroczysty wjazd do Warszawy, według z góry przewidzianego ceremoniału, odbył się 14 sierpnia 1777 r. Sam poseł mieszkał w Pałacu Czerwonym przy ul. Mazowieckiej (nr hip. 1349), przystosowanym specjalnie dla jego potrzeb przez Merliniego. Ażeby umilić gościowi pobyt, wybudowano na tyłach pałacu altano-łazienkę, w której egzotyczny gość odbywał ablucje przepisane rytuałem, oraz wystawiono mały meczet z minaretem, aby mógł odprawiać modlitwy.[13] Po jego pobycie w stolicy w ogrodach magnackich powyrastały minareciki. Jeden z nich wzniesiony został u księcia podkomorzego przez S. B. Zuga wraz z domkiem imama, służącym prozaicznie za kuchnię. W Łazienkach Kamsetzer zbudował w 1786 r. jeden z wielu zaprojektowanych orientalnych pawilonów — dom turecki. Architektura jego jednak, poza elementami dekoracyjnymi, tzw. *ornément à la Turque,* niewiele miała wspólnego z oryginalnymi budowlami tureckimi.

Z wszystkich tych ogrodów i rozległych parków, znajdujących się przy pałacach i podmiejskich willach magnatów oraz bankierów, korzystali wyłącznie właściciele, a nieraz również licznie zaproszeni goście. Natomiast nie były one, poza małymi wyjątkami, dostępne dla szerokiej publiczności.

Ogrody publiczne w mieście i na przedmieściach

Pierwszy ogród otwarty został dla ludności Warszawy w r. 1727 przy Pałacu Saskim. Stał się on ulubionym miejscem odpoczynku i rozrywki całego miasta. Korzystać mógł z niego każdy, byle by był porządnie ubrany. Zmęczonych kusiły do odpoczynku ławki ustawione wzdłuż alei wysadzanych żywopłotami. Dla szu-

[12] J. Reychman, *op. cit.* s. 163—164. [13] Tamże, s. 27, 33.

kających ochłody, a tych było wielu, ogród — utrzymany w stylu francuskim — zbyt mało miał drzew dających upragniony cień w słoneczne, upalne dni lata. W niewielkich domkach znajdujących się po jego zachodniej stronie można było jednak znaleźć wytchnienie jedząc lody lub pijąc zimne napoje. Mali sprzedawcy roznosili także bułki i świeżą wodę do picia. W czasie Sejmu Czteroletniego Ogród Saski był ulubionym miejscem spotkań towarzyskich — „o niektórych godzinach można tu było spotkać zebranym wszystko, co najpiękniejszego, najbogatszego, najwytworniejszego, a politycznie najznakomitszego Warszawa miała w murach swoich. Nie przypominam sobie w żadnym z wielkich miast, które zwiedzałem, tak licznych obojga płci zgromadzeń ludzi odznaczających się w społeczeństwie — jak w tym ogrodzie. Zwykle ruch też panował tu niezmierny. Patriotyzm i miłość własna zarówno tu były czynne, miłość i zalotność, radość i smutek objawiały się równie głośno i jawnie, jak zwykle w Polsce, gdzie uczucia ukrywać się nie zwykły" — pisze Schulz.[14] Potwierdza to Biester, wspominając, że spotkał w Ogrodzie Saskim różne osobistości ze świata politycznego, Sapiehę, Małachowskiego, Potockich i wielu innych.[15]

Ludność miasta korzystała również z Ogrodu Krasińskich. Bernoulli nazywa go wielkim zielonym placem, niegdyś jednym z najwytworniejszych ogrodów stolicy. Otwarty został dla publiczności 1 kwietnia 1768 r.

W dnie świąteczne i niedziele mieszczanie tłumnie udawali się w dalsze okolice, do Parku Ujazdowskiego, a właściwie na teren położony pomiędzy Alejami i Łazienkami. Niewielki tu był ruch, więc chętnie spacerowano, a w dni, w których król urządzał festyny i uroczystości, korzystano również z przepięknego Parku Łazienkowskiego, otwartego wówczas dla wszystkich. Od strony Solca znajdowała się w nim obszerna gospoda, gdzie zawsze można się było pożywić. Na wcześniejsze zamówienie przyjmowano i większe towarzystwo. Najczęściej z gościny tej korzystał wesoło bawiący się stan średni.[16]

Jeszcze dalej jeżdżono do Wilanowa, gdzie wypoczywano i bawiono się w parku położonym w pobliżu Wisły, która przy wielkim wezbraniu wód na wiosnę niejednokrotnie go zalewała.

Mieszkańcy północnych dzielnic korzystali chętnie z udostępnionego im przez posła angielskiego Thomasa Wrougthona lasku i ogrodu przy dawnym pałacyku króla Jana Sobieskiego. Dla pięknego widoku na Wisłę i skarpy poprzecinanej wąwozami, u podnóża których biły liczne źródła, oraz niezwykłego drzewostanu Marymont stał się ulubionym miejscem wycieczek w lecie.[17] W dobie Sejmu Czteroletniego zameczek myśliwski wynajmował przedsiębiorca, który „ugaszcza przybyłych, towarzystwa i pojedyncze osoby, począwszy od książąt, a skończywszy na czeladzi rzemieślniczej. Dla książąt jest wielka sala na piętrze, zajmująca je całe, ozdobiona wielkimi zwierciadłami, mogąca pomieścić i liczne zebrania przybywające na śniadania, obiady, kolacje i baliki, dla reszty są pokoje na parterze i drewniane ławy a stoły pod gołym niebem w lasku, który za zameczkiem się rozciąga,

[14] F. Schulz, *op. cit.*, s. 541.

[15] J. E. Biester, *Kilka listów o Polsce pisanych latem 1791 r.* (*Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców*, t. II, s. 215).

[16] F. Schulz, *op. cit.*, s. 545.

[17] A. Król, *Marymont*, „Rocznik Warszawski", R. I, 1960, s. 49—50.

poprzecinany szerszymi i węższymi uliczkami, miłe, cieniste stanowiąc dla przechadzających schronienie".[18]

Od dawnych już czasów korzystano z Lasku Bielańskiego, do którego urządzali wycieczki możniejsi i najubożsi. Do szczególnie ulubionych należały wycieczki trzydniowe na odpusty bielańskie i Zielone Święta. Bawiono się na nich bardzo swobodnie.

Co za tłok nieprzeliczony
Z każdej, widzę, leci strony:
Lichwiarze z dużymi nosy,
Z dziewczęty gołe młokosy,
Wojciechowa z swą drużyną,
Z mostu panny z podczaszyną
I ta w poszóstnej karecie,
Co mieszka na Nowym Świecie;
Co zdarł innych, sam wyzuty
Z wszystkiego, jedzie z bankruty.

I dowcipni intryganci,
Cudzej fortuny liwranci,
Alchemik, co robi złoto,
Z jakimże siedzi niecnotą!
Gonią swe żonki rogale,
A za nimi tuż rywale.[19]

Cały ten długi korowód powozów i kolasek przejeżdżających przez miasto opisał barwnie Tomasz Kajetan Węgierski, zawiedziony, że przypadek zatrzymał go w tym dniu w domu.

[18] F. Schulz, *op. cit.*, s. 547—548.
[19] *Poezja polskiego Oświecenia*, s. 195—196.

Liczba mieszkańców stolicy

Warszawa — bez Pragi — liczyła w połowie XVIII wieku około 25 000 mieszkańców. Najliczniej zaludnione były dzielnice staro- i nowomiejska oraz Krakowskie Przedmieście, Długa i Senatorska. W miarę oddalania się od śródmieścia zmniejszało się zagęszczenie ludności przypadające na hektar, co wcale nie było jednoznaczne ze zmniejszeniem się liczby mieszkańców w poszczególnych domach, luźno bowiem zabudowane przedmieścia posiadały mniejszą ilość budynków mieszkalnych. W latach późniejszych następował stały wzrost liczby mieszkańców. Przyczyna tego stanu rzeczy leżała nie tylko w przyroście naturalnym — gdyż mimo okresu pokoju i względnej stabilizacji gospodarczej nie był on większy niż w innych okresach — ale również w napływie przybyszów. Była wśród nich można i uboższa szlachta, która myślała o karierze politycznej przy dworze królewskim lub wstępowała w szeregi służby urzędniczej. Stolica wchłaniała też znaczną ilość biednej szlachty i chłopów przybywających z pobliskiego Mazowsza i Podlasia w poszukiwaniu pracy czy też służby w formacjach wojskowych stacjonujących w Warszawie. Oprócz ludności rodzimej znaczną grupę wśród nowych przybyszy stanowili rzemieślnicy i kupcy sascy, pruscy, a także Włosi, Francuzi i Ormianie.

Około roku 1770 Warszawa posiadała blisko 40 000 mieszkańców.[1] W ostatnim dwudziestoleciu Rzeczypospolitej nastąpił dalszy wzrost ludności, która według przeprowadzonego w r. 1792 spisu, czyli tzw. Rewizji, osiągnęła liczbę około 100 000 mieszkańców w lewobrzeżnej Warszawie. Ten wielki, bo prawie czterokrotny wzrost w stosunku do stanu z połowy wieku, kiedy to obliczenia dokonano na podstawie tzw. Lustracji Dawidsona w 1754 r., nie wypływał bezpośrednio z przyrostu naturalnego i migracji ludności. Spis z roku 1792 objął znacznie większy teren miasta niż poprzednio sporządzone. Lustracja przeprowadzona w roku 1754 ograniczyła się do obszarów jurysdykcji miejskiej, następne, z lat 1770 i 1784, sięgnęły po tereny ograniczone okopami miejskimi, natomiast spis z roku 1792 wykroczył nawet poza te okopy. A zatem liczba 100 000 mieszkańców obrazuje nie tylko wzrost rzeczywisty ludności stolicy, ale również proces powstawania aglomeracji wielkomiejskiej, na którą składały się dawne ośrodki Starej i Nowej Warszawy, ich posiadłości, przedmieścia oraz liczne jurydyki, rozrzucone w różnych dzielnicach.[2] Legitymując się tą liczbą ludności w końcu XVIII w. Warszawa zaliczona została do grupy wielkich miast europejskich, wśród których pierwsze miejsce zajmował milionowy Londyn, następnie Paryż, a za nim nieco mniejszy Wiedeń. Stolica Polski znalazła się wśród miast tej wielkości co Lyon, Marsylia czy Bordeaux.

Nagły wzrost liczby ludności przy jednoczesnym rozwoju terytorialnym zmienił układ Warszawy. Jedne dzielnice awansowały w hierarchii miejskiej, a inne traciły

[1] E. Szwankowski, *Warszawa*, s. 133.

[2] B. Grochulska, *Problem wzrostu ludności Warszawy w drugiej połowie XVIII wieku*, „Rocznik Warszawski", t. VII, 1966, s. 183, 184.

swe znaczenie. Tak np. dawne śródmieście, Stare i Nowe Miasto, obniżyły swą rangę do niewielkiej dzielnicy, zamieszkałej przez 20 000 osób, czyli 20% ogólnej liczby ludności.[3]

Oprócz stałych mieszkańców przebywali w stolicy wojskowi z garnizonu warszawskiego, polskiego, którego stan liczbowy szacowano na 5000 osób. Garnizon rosyjski liczył około 10 000. W okresie powstania 1794 r. w Warszawie, jako mieście frontowym, stacjonowało ogółem około 30 000 żołnierzy.[4]

Z powodu napływu różnych przybyszów i obieżyświatów, a także zwiększenia się ilości stacjonującego w mieście wojska, które szukało pomieszczeń i rekwirowało kwatery w prywatnych domach, stali mieszkańcy stolicy znaleźli się w trudnej sytuacji lokalowej. Przeciętna ich liczba, przypadająca na jedną posesję, wynosiła, według obliczeń dokonanych w r. 1792, ponad 30 osób [5], ale były również takie domy i dwory, które zajmowało kilkudziesięciu, a nawet przeszło stu lokatorów. Jeśli się przyjmie, że niewielkie budynki mieszkalne stanowiły około 2/3 zabudowy całego miasta, stwierdzić należy, że większość ludności żyła w mieszkaniach o nadmiernym zagęszczeniu. Zjawisko to nie było charakterystyczne jedynie dla Warszawy, ale dla wszystkich wielkich miast europejskich tego okresu.

Mieszczanie, szlachta, cudzoziemcy, Żydzi

W końcu XVIII w. przewagę liczebną miało mieszczaństwo, stanowiące około 64% ogółu mieszkańców stolicy. Na szlachtę przypadało 26%, na duchowieństwo wszystkich wyznań, świeckie i zakonne, oraz służbę kościelną 2%, a na Żydów tylko 8% ludności.[6]

Stan mieszczański, do którego należała większa część mieszkańców, był niejednolity. Dzielił się na warstwy, których członkowie niejednokrotnie tak dalece różnili się od siebie pod względem zawodowym i majątkowym, jak dawniej mieszczanie od szlachty czy magnatów.

Nieliczna grupa bankierów i przemysłowców, przeważnie przybyszów obcego pochodzenia, tworzyła mieszczańską arystokrację. Należała do niej rodzina Tepperów spokrewniona z angielskimi Fergussonami, Fryderyk Kabryt z Królewca, Karol Schultz, Jan Meysner, Piotr Blank, Andrzej Kapostas, oraz ormiańskie rodziny Jędrzejewiczów, Łyszkiewiczów i Jakubowiczów. Wielu z nich ubiegało się i otrzymało nobilitację, koligaciło ze szlachtą, a w domach ich, czy właściwie pałacach, panował zbytek i wykwint nie ustępujący dworom magnackim.

Średnią warstwę tworzyli kupcy i właściciele większych warsztatów rzemieślniczych. Żyli oni na poziomie zamożniejszych rodzin szlacheckich. Nieliczni przedstawiciele tej warstwy wywodzili się z dawnego patrycjatu warszawskiego. Zniknęły już rodziny zamożnych Baryczków, Dzianotów, Drewnów czy Gizów. Pozostałe

[3] J. Rakowski, Z. A. Wójcik, *Ludność Nowej Warszawy u schyłku Oświecenia*, „Przegląd Historyczny", t. XLIX, 1958, s. 315.

[4] T. Rawski, *Warszawa a wojsko w dobie Oświecenia*, „Rocznik Warszawski", t. VII, 1966, s. 213.

[5] S. Szymkiewicz, *Warszawa na przełomie XVIII i XIX w.*, s. 126.

[6] Tamże, s. 152.

zubożałe rody, do których należeli Fukierowie, Barszczowie, Zembrzuscy, Walterowie oraz kilka innych, tradycyjnie trzymały się dzielnicy staromiejskiej. Średnia warstwa mieszczańska wchłonęła wiele nowych rodzin obcego pochodzenia, które wraz z dworem saskim napłynęły do Warszawy i zasymilowały się szybko.

Niższą warstwę stanu mieszczańskiego stanowili drobni rzemieślnicy wraz z czeladzią, sklepikarze, kramarze i przekupnie tworzący gmin miejski. O ile górna warstwa mieszczaństwa reprezentowała obcy element etniczny ze słabym udziałem polskiego, o tyle wśród gminu przeważało pochodzenie rodzime. Była to najliczniejsza warstwa mieszkańców miasta, dość zróżnicowana pod względem majątkowym. Najzamożniejsi jej przedstawiciele zajmowali własne, choć skromne domostwa lub też wynajmowali większe mieszkania. Mogli sobie pozwalać na drobne luksusy życia codziennego. Natomiast najbiedniejsi gnieździli się na poddaszach, w ruderach i piwnicach, niepewni jutra.

Mieszczanie warszawscy trudnili się przede wszystkim rzemiosłem i handlem. Największa ich liczba pracowała w zawodach, które w sposób masowy zaspokajały zapotrzebowanie dnia codziennego ludności stolicy. Do tej grupy w r. 1792 należało 621 szewców, 523 krawców, 180 rzeźników, 149 piekarzy, 127 pasamoników i szmuklerzy, 99 kuśnierzy, 91 kowali. W zestawieniu tym wymienieni zostali oczywiście sami mistrzowie, nie licząc czeladników, terminatorów i uczniów. Wielu też pracowników wchłaniały zawody związane z rozwijającymi się rzemiosłami budowlanymi, które stale potrzebowały nowych kandydatów, ażeby sprostać szybkiej rozbudowie stolicy. Spis z r. 1792 podaje liczbę 517 cieśli, 366 murarzy, 150 malarzy, 160 stolarzy, 32 strycharzy i ceglarzy oraz 34 szklarzy. Była to grupa rzemieślników bardzo poszukiwana na warszawskim rynku pracy.

Najmniejszą grupę tworzyli przedstawiciele rzemiosł związanych ze złotnictwem i zegarmistrzostwem. Złotników było 55, jubilerów 20 (wśród nich znakomity Fryderyk Jacobson), zegarmistrzów 30. Nie była to liczba mała, gdyż mistrzowie ci pracowali dla wąskiego kręgu odbiorców przedmiotów zbytku.[7]

Nie tylko mieszczanie, ale i niewielki odsetek (około 1,8%) ludności szlacheckiej parał się rzemiosłem. Prawie czwarta część pracowników pochodzenia szlacheckiego zatrudniona była przy produkcji odzieży i wyrobów pokrewnych branż. Nieliczni zajmowali się pędzeniem gorzałki i piwa. Natomiast w handlu stanowili już znaczniejszą grupę, liczącą 7,6%. Przeważnie trudnili się szynkarstwem.[8]

W drugiej połowie XVIII wieku pracowała w Warszawie zawodowo spora już liczba szlachty. Natomiast magnaci stanowili odrębną grupę mieszkańców. Nie przebywali stale w stolicy, lecz dzielili swój czas pomiędzy pobyt w rezydencji wiejskiej i w mieście. Opuszczali kraj udając się na modne wówczas zagraniczne wojaże, zależnie od swych osobistych czy też nieraz politycznych planów. Tworzyli oni grupę złożoną z kilkudziesięciu rodów spokrewnionych i skoligaconych z sobą. Należeli do niej Radziwiłłowie, Lubomirscy, Czartoryscy, Potoccy, Sapiehowie, Jabłonowscy, Mniszchowie i inni. Część z nich, dla wyrażenia swego poparcia dla polityki mieszczan po ustawie kwietniowej r. 1791, która zniosła jurydyki i oddała władzę nad wszystkimi mieszkańcami miasta w ręce Starej Warszawy, za przykładem marszałka Sejmu Wielkiego, Stanisława Małachowskiego, złożyła swe

[7] Tamże, s. 208—210 (tablica 62).
[8] Tamże, s. 198, 213.

podpisy w *Album Civile*, potwierdzając przyjęcie prawa miejskiego.[9] Po upadku Rzeczypospolitej większość rodzin magnackich opuściła Warszawę powracając do swych dóbr lub też wyemigrowała do obcych krajów.

Natomiast przedstawiciele szlachty, którzy również po wspomnianej ustawie roku 1791 wpisywali się licznie do Księgi Prawa Miejskiego, w większości pozostali w stolicy i w dość szybkim czasie zasymilowali się z mieszczaństwem warszawskim. Stan szlachecki dostarczył największej liczby kandydatów na urzędników państwowych i miejskich, funkcjonariuszy i oficjalistów prywatnych, a także ludzi wolnych zawodów, jak prawników, lekarzy, aptekarzy itp. (około 11% ludności zatrudnionej w wymienionych zawodach). Dość często szlachta próbowała swych umiejętności w szkolnictwie, jak świadczy przeszło 20 nauczycieli wywodzących się z tej warstwy na ogólną liczbę 150 warszawskich pedagogów. Natomiast zaledwie 12 osób pochodzenia szlacheckiego zajmowało się muzyką i teatrem na zarejestrowaną w r. 1792 liczbę 326 muzyków, śpiewaków, tancerzy i aktorów.[10] Wydaje się, że liczba ta jest zaniżona. Być może, w obawie przed opinią ludzi swego stanu tajono niejednokrotnie prawdziwy zawód, uważany wówczas za poniżający.

W drugiej połowie XVIII w. napłynęło do stolicy, jak już wspomniano, wielu nowych mieszkańców, a wśród nich liczne rodziny cudzoziemskie. Jeszcze za panowania Sasów przybyli tu niemieccy rzemieślnicy z rodzinami i czeladzią. Osiedlali się w Warszawie pomimo przeszkód, jakie prawodawstwo miejskie stawiało niekatolikom, a byli przeważnie ewangelickiego wyznania. Do wybitniejszych przedstawicieli mieszczan obcego pochodzenia należał drukarz Michał Gröll, snycerze Chrystian Stubenrauch i Jan Jerzy Kruckel, aptekarz Chrystian Ebert i również aptekarz Jan Fryze, pochodzący z rodziny niemieckiej od dawna, bo już w XVII w., w Warszawie osiadłej. Apteka ostatniego z wymienionych mieściła się w wąskiej kamieniczce przy ul. Świętojańskiej, prawie naprzeciw Fary. Zasymilowali się nie tylko Friesowie, ale również i inne stare rodziny niemieckie. Niektórzy ich przedstawiciele osiągnęli najwyższe godności miejskie, jak Witthoffowie, Lobertowie, Dulfusowie czy Hurtigowie.

Liczna była również kolonia francuska. Już w czasach saskich przybyło do Warszawy wiele rodzin hugonockich. Osiedli przy starych, poważanych, francuskich rodzinach Latourów, Riaucourtów, Sacresów, Gautierów i in. Stworzyli grupę bogatych kupców i bankierów. I oni dostąpili zaszczytu piastowania najwyższych urzędów miejskich. Trudnili się prawie wszystkimi zawodami. Byli spowinowaceni z polskimi rodami mieszczańskimi i szlacheckimi. Najbogatsi uzyskali także indygenat, za którą to godność bankier Piotr Riaucourt na sejmie koronacyjnym w 1764 r. zapłacił 100 000 tynfów.

Znacznie mniejsza była kolonia Włochów. Chociaż na dwór królewski już od XVI w. napływali do Warszawy artyści włoscy, nieliczni tylko pozostali w niej z rodzinami na stałe. Do z dawna osiedlonej i bardzo rozgałęzionej rodziny należeli pochodzący z księstwa mediolańskiego Fontanowie. Trudnili się przede wszystkim kupiectwem, a niektórzy z nich byli przedsiębiorcami budowlanymi. Z tego rodu pochodził architekt Jakub Fontana, który wielu pięknymi budowlami ozdo-

[9] AGAD, Warszawa Ekonomiczne, nr 751.
[10] S. Szymkiewicz, *op. cit.*, s. 180, 190—191.

bił Warszawę. On również został nobilitowany na sejmie koronacyjnym. Do bardziej znanych rodzin należeli Bellottowie, budowniczowie, Campioniowie, Maionowie, Morantowie (z których Jakub został sekretarzem królewskim, a Teodor kanonikiem warszawskim), Merlini i inni.

Z Czech przybyli nieliczni mieszczanie, z których najbardziej znany był Wacław Chałuppa, długoletni prezydent miasta Nowej Warszawy.

Znaczną grupę w średniej warstwie mieszczańskiej stanowili kupcy ormiańscy i krajów Wschodu. Napływali oni do Warszawy już od XVI w. i zawierali związki z domami polskimi. Do takich rodzin należeli Łazarewicze, Minasowicze, których ród wydał wielu kanoników kolegiaty warszawskiej, a także znanego doktora medycyny, laureata wszechnicy rzymskiej, Jakuba. Z Persji przybyli Bogdanowicze, którzy już w XVII w. posiadali w Warszawie sklep turecki. Z ormiańskiego rodu pochodził Józef Michał Łukaszewicz z Kamieńca, prezydent Starej Warszawy. Jego syn, Józef Kazimierz, został lekarzem króla Stanisława Augusta. Równie znaczne były w Warszawie rody Andrychiewiczów, Jędrzejewiczów, Rafałowiczów i Makarowiczów. Kolonia Ormian zyskała wybitnego przedstawiciela w Paschalisie Jakubowiczu, który przybył do Warszawy w 1761 r. Prowadził różne interesy kupieckie, doszedł do godności ławnika i stał się właścicielem wielu nieruchomości, a także posesji w mieście. Założył w Warszawie, a potem w Lipkowie manufakturę wyrabiającą pasy kontuszowe i doszedł do znacznej fortuny i wpływów wśród warszawskiego kupiectwa.[11]

Nie wszyscy przybysze znaleźli środki do życia w wielkim mieście, nie wszyscy wzbogacili się i zrobili zawrotne, jak na ówczesne możliwości, kariery. Wielu z nich nie tylko wegetowało, ale spadło na samo dno nędzy. Ta ogromna rozpiętość położenia społecznego i ekonomicznego ludności Warszawy, ujawniająca się w jaskrawych, bolesnych kontrastach, była charakterystyczna nie tylko dla stolicy Polski, ale dla wszystkich wielkich miast okresu rozwijającego się kapitalizmu.

Do najbardziej upośledzonej grupy mieszkańców Warszawy należała wówczas ludność żydowska. W pierwszej połowie XVIII wieku była ona jeszcze nieliczna. Zatrzymywały ją przed napływem do miasta ustawy zakazujące Żydom pobytu i surowe represje marszałka Bielińskiego wobec śmiałków łamiących te przepisy. Sytuacja zmieniła się, gdy w 1768 r. Żydzi uzyskali prawo pobytu na Mazowszu. Również szybki awans stolicy do roli największego ośrodka gospodarczego kraju, w którym była możliwość względnie łatwiejszego niż w innych miastach zdobycia zarobku, wpłynęła na zwiększenie infiltracji ludności żydowskiej w życie Warszawy.

Żydzi usiłowali wszelkimi sposobami osiedlić się w stolicy. Sprawę ich pobytu częściowo uregulowała ustawa z r. 1784, „Ordynacja dla miasta Warszawy względem Żydów". Ażeby móc przebywać i pracować w Warszawie, obowiązani byli do wykupienia biletu upoważniającego do czasowego pobytu w mieście na okres trwania obrad sejmowych. Zazwyczaj samowolnie przedłużali czas przebywania w mieście, za co nie karano ich zbyt surowo, gdyż przynosiło to dodatkowe dochody w wysokości pobieranego od nich srebrnego grosza za każde dalsze pięć dni pobytu.[12] Wielu Żydów usiłowało przemycić się do jurydyk, w których zwykle znaj-

[11] Wł. Smoleński, *Mieszczaństwo warszawskie w końcu wieku XVIII*, Warszawa 1917, s. 3—43.
[12] J. I. Kraszewski, *Polska w czasie trzech rozbiorów 1772—1779*, t. II, Poznań 1874, s. 318.

dowali zatrudnienie i opiekę szlachty. Znaczna część nieustabilizowanej ludności żydowskiej stanowiła biedotę miejską, wegetującą na pograniczu żebractwa. Ścigani jak przestępcy przez straż marszałkowską, żyli w ciągłym lęku przed syndykiem i jego pomocnikami, tzw. szkolnikami, sprawującymi z ramienia marszałka nadzór nad Żydami warszawskimi. Urzędnicy ci, posługując się metodą szpiegowską, wykrywali współwyznawców nie posiadających żadnej lub też nieważną kartę pobytu. Często wymuszali od nich łapówki albo też szantażowali swe ofiary.[13] Świadczą o tym liczne zeznania oskarżonych, m. in. tandeciarza Szmula Abramowicza. Został on zatrzymany przez syndyka pod zarzutem kradzieży. Pomimo iż okazało się, że nie popełnił tego przestępstwa, syndyk zabrał mu pieniądze i bilet pobytu w stolicy.[14] Syndycy rozszerzyli potem zakres swej działalności również na ludność nieżydowską. Byli oni powszechnie znienawidzeni i pogardzani przez lud warszawski.

Pomimo tak wielu trudności związanych z uzyskaniem prawa do zamieszkania w Warszawie liczba Żydów stale wzrastała i według spisu z roku 1792 wynosiła 6750 osób. Było ich na pewno znacznie więcej. Mieszkali we wszystkich dzielnicach, ale największe ich skupisko, bo sięgające 3000 osób, znajdowało się w Pociejowie, w dawnym przebudowanym pałacu Warszyckich, następnie w gmachu Marywilu, wybudowanym niegdyś przez królową Marysieńkę Sobieską i przeznaczonym dla kupców cudzoziemskich, oraz w domach na przyległych ulicach: Senatorskiej, Daniłowiczowskiej, Bielańskiej i Długiej.[15] Prawie połowa ludności żydowskiej znalazła tu swe miejsce zamieszkania i liczne źródła dochodów. W końcu XVIII w. Żydzi osiedlali się też w kolonii zwanej Nową Jerozolimą, która w XIX w przekształciła się w Aleje Jerozolimskie.

Ludzie wykolejeni — żebracy, złodzieje, prostytutki

Niepełny byłby obraz ludności Warszawy, gdybyśmy nie wspomnieli o tych, których w dokumentach miejskich nazwano „złymi i podejrzanymi", a którzy trudnili się żebractwem, złodziejstwem, szulerstwem, prostytucją itp. Liczba „ludzi wykolejonych" według spisu z 1792 r. wynosiła tylko 149 osób, a wraz z zapisanymi przy nich — 227. Niewątpliwie było ich znacznie więcej, tylko po prostu nie przyznawali się do wykonywanych „zawodów". W wielkiej obławie, która miała miejsce w listopadzie 1791 r., liczba zatrzymanych żebraków wynosiła 502 osoby.[16] Uprawiali oni swój proceder na terenie całego miasta. Byli wśród nich bogatsi i biedniejsi. Jedni posiadali swoje stałe kwatery w domach, inni, najbiedniejsi, pozbawieni byli elementarnych warunków życia. Marianna Kamińska na przykład, dawna służąca, wyznała: „I sypiam w cegielni pustej za Wolskimi rogatkami już czwarty rok. [...] I tam nas siedmioro w tej cegielni sypia, to jest dwóch dziadów, a nas

[13] Z *rontem marszałkowskim przez Warszawę*, oprac. Z. Turska, Warszawa 1961, wstęp, s. 30—31.
[14] Tamże, s. 41—44.
[15] S. Szymkiewicz, *op. cit.*, s. 139, 141.
[16] Tamże, s. 227—229.

5 babów i tam sobie jeść gotujemy, lecz nikomu nic nie ukradlim ani żaden złodziej między nami nie jest i żadnej złej rzeczy między nami nie znajduje się, bo każde z nas osobno sypia." [17] Najchętniej chodzili gromadnie, żebrali przed kościołami i pałacami wielmożów. „Ulice napełnia wrzask żebrzących kalek, na co jednak rzadko kto zwraca uwagę. Są to prawdziwi mistrzowie w swoim zawodzie!" — notował Jan G. Fichte w 1791 r.[18] Tworzyli oni znakomitą galerię typów.

Żebracy sporadycznie zajmowali się też złodziejstwem, nie stwarzając jednak konkurencji zawodowym rzezimieszkom. Tych ostatnich było wielu. W spisie z r. 1792 wymieniony został właściciel posesji, który „złodziejstwem się bawił".[19] Złodzieje działali w całej Warszawie. Zazwyczaj rekrutowali się z ludności nie posiadającej żadnego zawodu. Część z nich jednak stanowili ludzie wykolejeni, pozbawieni wskutek przypadków losowych możliwości pełnienia swego dawnego zawodu. Czasami byli to przybysze z prowincji, zagubieni w wielkim mieście. Niektórych blask stolicy tak oślepił, że szybko chcieli korzystać z przyjemności, które jeszcze nie mogły być ich udziałem. Dlatego imali się też pokątnie złodziejstwa. Do wykolejeńców stolicy należał przybyły z Prus Chrystian Brzeski, terminujący u kupca Grzegorza Manugiewicza na Krakowskim Przedmieściu. Z kantorka pańskiego wybierał za pomocą dobranego kluczyka po kilka złotych, ze sklepu zaś wziął materiał na spodnie, a także „dezabilków dwie pary i darowałem je u podczaszyny na Trębackiej ulicy, jedną parę w kwiatki dla nierządnicy Tekli, u której bywałem z Klemensem, który dawniej był u pana mego. Bywałem także i z kapelusznikiem u niej, który nad panem moim mieszka, tamoj straciłem do 15 zł, z którą miałem sekret poprzez razy cztery [...]. Drugą zaś parę dezabilków dałem nierządnicy na Krakowskim Przedmieściu u rękawicznika, naprzeciw pana Kabrego, wpodle tureckiego sklepu [...]. Dodaję i to, że także z kradzionych pieniędzy bywałem po różnych spacerach, najmowałem koni i powozów, chodziłem po różnych ogrodach, grywałem w krygle, a najwięcej przegrywałem na ulicy Trębackiej w ogródku maleńkim; także ze sklepu pańskiego wziąłem kawy z półtora funta i dałem ją nierządnicy tejże samej, o której wyżej zeznałem. Także wziąłem był tureckich patynków [pantofelków szytych z tkaniny jedwabnej] parę i wstążki czarnej do włosów kilka łokci..." [20] Ofiara modnego sposobu życia stanęła za swe młodociane przewinienia przed groźnym sądem wójtowskim Starej Warszawy.

Wielu też było szulerów, którzy z łatwością uprawiali swój nieuczciwy proceder, gdyż wszelkie gry stały się wówczas nałogiem opanowującym ludzi różnych środowisk społecznych. Do najbardziej znanych należała „antrepryza szulerska" Szultza mieszcząca się w kamienicy Dulfusa na ul. Długiej, niejakiego Bera przy ul. Podwale i Domagalskiego na Nowym Mieście.[21]

Plagą miasta byli nie tylko żebracy, złodzieje, szulerzy i inne rzezimieszki, ale również pokaźna ilość prostytutek, których spisy ujawniły tylko 59.[22] Było ich o wiele więcej. Wzrost prostytucji w Warszawie zaznaczył się już w czasach sa-

[17] Z *rontem marszałkowskim przez Warszawę*, s. 135.
[18] J. G. Fichte, *Podróż do Polski* (*Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców*, t. II, s. 785).
[19] S. Szymkiewicz, *op. cit.*, s. 227.
[20] AGAD, Stara Warszawa, nr 820, k. 374v—375.
[21] J. I. Kraszewski, *op. cit.*, t. III, Poznań 1875, s. 48.
[22] S. Szymkiewicz, *op. cit.*, s. 227.

skich, ale w końcu XVIII wieku osiągnął niepokojące rozmiary: „Sławne naprzód bezwstydną lubieżnością Nalewki i Trębacka ulica w Warszawie, dziś już na ich miejscu ta sama stolica zmieniona w Nalewki." [23] Prostytucja uprawiana była zupełnie otwarcie i nie gorszyło to specjalnie mieszkańców stolicy. Natomiast nie tylko na jawność, ale i rozmiary tego zjawiska zwracali uwagę cudzoziemcy.

Opisując prostytucję w Warszawie Schulz podzielił kobiety trudniące się tym zawodem na kilka klas oraz wymienił rejony, w których uprawiały one swój proceder. Do klasy pierwszej należały metresy bogaczy posiadające własne mieszkania, przy czym „lokal wybiera się przy ulicy główniejszej, ożywionej, dlatego, aby pana, gdy w oknie u niej zasiądzie, wszyscy widzieli i żeby ona, zostawszy samą, miała rozrywkę; trzeba dla panny utrzymywać powóz osobny lub najmować remizę, świeżą, wytworną i mogącą się pokazać przed ludźmi bez wstydu; trzeba posprawiać suknie i klejnoty, ażeby tam, gdzie ona nie jest znaną, mogła uchodzić za osobę przyzwoitą; trzeba postarać się o stół, mieszkanie przystroić wspaniale, tak żeby w nim godnie można przyjmować przyjaciół zaproszonych". Na pewno metresy nie znalazły się w spisie w rubryce kobiet wykolejonych. „Druga klasa panien — pisze Schulz — mieszka o własnym koszcie i rachuje na znajomych i odwiedziny. Wybierają one zwykle lokal na Krakowskim Przedmieściu, w najbardziej ożywionej jego części między pocztą [na rogu Trębackiej] a wnijściem do Saskiego Pałacu. Są tu domy niektóre i piętra całe po domach, które od lat wielu dla tego rodzaju mieszkanek wyłącznie zdają się przeznaczone. [...] Nikt o zachowanie przyzwoitości nie dba, a na dowód tego lekceważenia przytoczyć mogę, że w dzień obchodu rocznicy Konstytucji, gdy król w stroju uroczystym, prymas *in pontificalibus*, wszyscy biskupi, senatorowie, posłowie przez Krakowskie Przedmieście ciągnęli, okna tych panien pełne były oficerów i różnych ich znajomych, chociaż w pochodzie znajdowali się naczelnicy, jenerałowie ich, ojcowie, krewni".[24]

Dla wykwintniejszych gości czynne były łazienki kasztelana łukowskiego, Jacka Jezierskiego, znajdujące się nad Wisłą przy ul. Bednarskiej. „Obie płci przyjeżdżają się tu często kąpać, a nie potrzebuję mówić nawet o tym, że się nikt nie sprzeciwia, jeśli dwie osoby płci różnej do jednego wchodzą gabinetu." [25] Obsługa w łazienkach była żeńska, dziewczęta zwano „kasztelankami". Lud Warszawy nie miał żadnych wątpliwości co do właściwego charakteru tych łazienek, o czym świadczy lapidarny wierszyk anonimowego autora:

Przy wiślanym moście
Traktuje francą goście;
Za Sasa był kapitanem,
Dziś ostatnim kasztelanem.[26]

Najwięcej prostytutek pochodziło z grupy najbiedniejszych dziewcząt, które usługiwały w szynkach znajdujących się przy ul. Trębackiej, Żabiej, Świętojerskiej, Wałowej i Nalewkach: „nie uczęszcza tu sama gawiedź uliczna, często zachodzą

[23] J. I. Kraszewski, *op. cit.*, t. III, s. 49.
[24] F. Schulz, *op. cit.*, s. 534—536.
[25] Tamże, s. 528.
[26] S. Bukar, *Pamiętniki z rękopisu po raz pierwszy ogłoszone*, wyd. J. I. Kraszewski, Drezno 1871, s. 181.

ludzie lepszego towarzystwa, gdy po pijanemu lub w rozpustnym kółku tracą wszelkie uczucia godności i wstydu. Pospolitymi jednak gośćmi są mieszczaństwo, służący, czeladź rzemieślnicza itp., głównie w niedziele i święta". Do najnędzniejszych schronień tego typu należały ustawione za Ogrodem Saskim tzw. dworki albo drewniane budy generała Czapskiego „o jednej izbie i alkierzu oddzielonym od niej brudną firanką". Obsługiwały te prymitywne szynki młode dziewczęta, zwabione przez właścicielki bud, które trzymały je tam w formalnej niewoli. Było to istne dno nędzy i zepsucia. Schulz uważa, pełen oburzenia, że dla dobra biednego ludu należy je usunąć z Warszawy.[27] Policja jednak nie interweniowała w te sprawy. Dopiero lud Warszawy w czasie Insurekcji 18 kwietnia 1794 r. zniszczył „budy" całkowicie.[28]

[27] F. Schulz, *op. cit.*, s. 539—540.
[28] W. Tokarz, *Insurekcja warszawska 17 i 18 kwietnia 1794*, Warszawa 1950, s. 270.

PORZĄDKI W MIEŚCIE

Zadania i budżet Komisji Brukowej

Miasto posiadało wiele pięknych zespołów architektury, gmachów i uroczych ogrodów, ale życie w nim na skutek braku najelementarniejszych nieraz urządzeń higienicznych i komunikacyjnych, jak również nie zapewnionego bezpieczeństwa osobistego nie należało do najłatwiejszych. W okresie Oświecenia w Europie nie tylko teoretycy architektury i urbanistyki, ale również myśli społecznej i ekonomicznej zwracali uwagę na palącą potrzebę uporządkowania miast. Większość z nich bowiem, założona jeszcze w odległych czasach Średniowiecza, niepomiernie się rozbudowała i zaludniła. Nadszedł czas przystąpienia do działań uzdrawiających strukturę i społeczność miejską. Rozumiano przez to zarówno konieczność uporządkowania administracyjno-prawnej dziedziny życia miejskiego, a więc wprowadzenie nowych zarządzeń zapewniających wygodę i bezpieczeństwo mieszkańców, jak i potrzebę regulacji urbanistycznej miasta.

Nie wiadomo, czy na poczynania władz miejskich w Polsce wpłynęły głosy dochodzące z Francji i Anglii, czy też zatrważający przeważnie stan miast był wystarczającym bodźcem do podjęcia prac zmierzających w kierunku ich uporządkowania i uregulowania. Pierwsza podjęła tę akcję Warszawa w 1743 roku. Przyczyniła się do tego nie tylko inicjatywa władz miejskich, ale również przedstawicieli magnaterii, którzy przebywając przez wiele miesięcy w stolicy cierpieli z powodu braku dogodnej komunikacji, złego stanu ulic w mieście, niemożliwości należytego zaopatrzenia w wodę, wreszcie wadliwej kanalizacji. Inicjatywę ujął w swoje ręce marszałek wielki koronny Franciszek Bieliński i przywrócił do życia po półwiecznym letargu Komisję Brukową. Instytucję tę znano w Warszawie z działalności w ubiegłym stuleciu, powstała bowiem jeszcze w 1685 roku.

W ramach jej krótkotrwałego istnienia znany architekt Tylman z Gameren rozpoczął pracę nad dokładnym pomiarem Warszawy, co miało ułatwić akcję brukowania ulic. Komisję reaktywowano na krótko w 1710 r., na mocy reskryptu Augusta Mocnego. Ale dopiero rok 1743 rozpoczął jej chlubną i owocną dla stolicy działalność. Na czele Komisji stanął marszałek wielki koronny Franciszek Bieliński, którego wielkiej energii zawdzięczała ona swe pierwsze osiągnięcia.[1] Warszawa miała wówczas wszelkie cechy przysłowiowej stajni Augiasza. Należało zacząć od prac pomniejszych, ale koniecznych dla zamierzonej głównej akcji, jaką było „plantowanie", tj. regulacja, i wybrukowanie ulic. W dalszych etapach pracy planowano realizację nowych, niezbędnych dla rozwoju stolicy założeń urbanistycznych. Przede wszystkim trzeba było oczyścić miasto z gnoju i śmieci, zaprowadzić kanalizację, nie tylko w celu odprowadzenia nieczystości, ale i osuszenia rozległych, podmokłych terenów. Komisja zamierzała też polepszyć zaopatrzenie Warszawy w wodę, gdyż stare wodociągi były w ruinie, a studni nie starczało. Po tych wstępnych przygotowaniach miała przystąpić do równego wytyczenia i brukowania ulic dla

[1] A. Przybylski, *Ulice i mosty Warszawy*, Warszawa 1936, s. 83 i n.; E. Szwankowski, *Warszawa*, s. 101.

wygodnego i bezpiecznego poruszania się po nich, zaprowadzić oświetlenie i wzmóc czujność straży miejskiej nad bezpieczeństwem w mieście, a także uczulić ją na przestrzeganie przepisów porządkowych w stolicy. Do wykonania tych niełatwych zadań należało również przyzwyczaić niechlujnych mieszkańców, nie poczuwających się do obowiązku utrzymywania stałego porządku i ponoszenia odpowiedzialności za czystość w mieście i za całość urządzeń publicznych powstałych z grosza wspólnego, a przynoszących ich użytkownikom jakże istotne ułatwienie życia codziennego.

Do tej wielkiej akcji, którą zamierzała podjąć Komisja Brukowa, było potrzebne nie tylko uświadomienie obywateli i wyrobienie w nich poczucia odpowiedzialności za porządek i bezpieczeństwo w mieście, ale przede wszystkim — podstawy finansowe. O te ostatnie było bardzo trudno, a inwestycje wymagały ogromnych sum. Zaczęto od próby obliczenia zdolności płatniczych miasta. W tym celu, jak również z myślą o opracowaniu planu miasta, o czym będzie mowa później, dokonano pomiaru Warszawy, ustalając w łokciach długość ulic i placów, a także znajdującej się na nich zabudowy, jak kamienic, domów, kościołów itp. Po czym nałożono na każdego właściciela posesji podatek liczony od długości frontu jego budynku, mierzonej w łokciach. Stąd nazwa podatku „łokciowy". Zarządzenie Komisji pociągnęło za sobą sprzeciw wielu właścicieli, a przede wszystkim szlachty i duchowieństwa, którzy w wielu przypadkach usiłowali zasłaniać się uzyskanymi przywilejami dla swych nieruchomości czy też jurydyk. Jednak zwolniono z opłat tylko prywatną własność królewską oraz zakony żebracze. Taksa wynosiła za łokieć od 6 gr do 1 zł (floren), mogła jednak być powiększona zależnie od wysokości budynków i znajdujących się w nich sklepów.[2]

Przypuszczalny dochód z „łokciowego" obliczono na sumę 28 000 zł. Dla odbierania tej kolekty wyznaczono dwóch skarbników, którzy otrzymywali za swą pracę jeden grosz od każdego uzyskanego złotego, a to w celu pokrycia wydatków na strawne i na papier.[3] Wysokość taryfy łokciowego zmieniała się dwukrotnie w latach 1756 i 1765. Podatek ten pobierany był do końca istnienia Rzeczypospolitej, a uzyskane z niego sumy obracano na utrzymanie Magazynu Karowego zwanego tak od kary, czyli wozu służącego do wywozu śmieci. Instytucja przypominała swoją działalnością dzisiejszy zakład oczyszczania miasta. Sumariusze poborów i wydatków, czyli percepty i ekspensy, łokciowego i składek ogłaszano drukiem, by nikt nie miał wątpliwości, na co zostały zużyte. Cel podawania ich do wiadomości wszystkich mieszkańców tak wyjaśnia na wstępie sam marszałek Bieliński: „Może oraz kto znajduje się mający opaczne o wspomnianych prowentach i ekspensach mniemania, należy temu w szczególności uwiadomienie, aby się zreflektował, iż nie są drudzy takiego charakteru, jakiego się sam u siebie znajduje, albowiem człowiek nie inaczej zwykł rozumieć o innych, tylko jakowym się sam poznawa." [4]

Jednakże widać z rocznych zestawień dochodów Komisji, że mieszczanie i szlachta bardzo opornie uiszczali podatki do kasy, np. w 1744 r. wpłynęło do niej tylko

[2] *Źródła do dziejów Warszawy, rejestry podatkowe i taryfy nieruchomości 1510—1770*, Warszawa 1963, s. 290—291.

[3] A. Przybylski, *op. cit.*, s. 87 i n.

[4] AGAD, Warszawa Ekonomiczne, nr 863. *Summariusze percepty i expensy łokciowego* [...] *dysponowanych od r. 1743 do początku roku niniejszego 1762*, druk ulotny, 1762.

ok. 2500 zł. Musiano zatem szukać jeszcze innych źródeł dochodów. Najpoważniejsze dotacje uzyskał marszałek Bieliński ze skarbu państwa. Przeciętnie za jego rządów otrzymywano około 20 000 złotych rocznie. Poza tym czerpano też pieniądze nakładając obowiązujące składki na cechy rzemieślnicze i konfraternię kupiecką.[5]

Warszawa przedstawiała smętny widok oczom codziennego przechodnia. Oto jak maluje go Józef Dulski, autor panegiryku napisanego na cześć energicznego marszałka Bielińskiego:

Chałupy z drewna widok mój szpeciły,
Drugie upadkiem mieszkańcom groziły,
Każdy, gdzie i jak chciał, tak się budował,
Ulic porządek nierządem swym psował.
I w wielu miejscach wioski pozór miałam,
A przecież polską stolicą się zwałam.[6]

Jak już wspomniano, w 1743 r. Komisja Brukowa podjęła pierwsze prace porządkowe, poczynając od spraw zdawałoby się małych, codziennych.

Sprzątanie ulic i posesji, śmietniki miejskie

Najpilniejszą rzeczą było utrzymanie czystości w mieście. W zakres czynności z nią związanych wchodziło usuwanie śmieci z miasta, a także odprowadzanie nieczystości. Wywiezienie nieraz metrowych skupisk śmieci i błota z ulic umożliwiało dopiero podjęcie prac nad ich brukowaniem, co było jednym z naczelnych zadań, jakie sobie postawiła Komisja. Problem sprzątania oparty był przeważnie na tradycyjnej, dyktowanej przez życie zasadzie, że każdy oczyszcza ulicę przed swoim domem. Komisja Brukowa postanowiła uregulować tę sprawę. Było to nie tyle kosztowne, co bardzo trudne przedsięwzięcie, gdyż nikt nie poczuwał się do obowiązku sprzątania ulic i posesji. Dopiero w 1743 r. ustalono zasadę, istniejącą do dziś dnia, że właściciele posesji nie mogą wyrzucać śmieci i innych nieczystości na ulicę, natomiast obowiązani są do zgarniania błota i śniegu, których wywózką zajmowało się miasto. Jedynie jesienią i w okresie roztopów wiosennych właściciele domów winni byli dopomóc miastu w wywózce.[7] Tak wyglądały założenia idealne, natomiast w praktyce ulice pełne były błota i wszelakich nieczystości, o czym stale czytamy w protokołach Komisji, a także w barwnych, lecz jakże dla dzisiejszego czytelnika przykrych opisach różnych podróżników cudzoziemskich. A przecież magistrat jeszcze przed wznowieniem działalności Komisji Brukowej nakazywał, „aby wszyscy obywatele tak miasta Starej, jako i Nowej Warszawy, tudzież gospodarze pałaców, dworów i kamienic, domów, tak miejskich, jako i szlacheckich, i duchownych, błota, gnoje, ziemie sprzed tych pałaców, dworów i dworków, kamienic, domów i ogrodów jako najprędzej, niż dwie niedziele wyjdą od publikacji tego dekretu, wywozić, drzewa, którymi ulice są zawalone, uprzą-

[5] A. Przybylski, *op. cit.*, s. 93 i n.
[6] *Warszawa wieku Oświecenia*, s. 13.
[7] Fr. Giedroyć, *Warunki higieniczne Warszawy w wieku XVIII*, Warszawa 1912, s. 27.

tać kazali i na potem tychże ulic publicznych błotem, gnojem, ziemią i śmieciami, także drzewem zawalać się nie ważyli i ono co tydzień każdy przed swoją kamienicą rynsztoki chędożyć kazali".[8]

Jak można się domyślać, wiele niedziel minęło od ukazania się tego dekretu, a nie tylko nie sprzątano ulic, ale jeszcze chyłkiem, korzystając ze sprzyjających ciemności nocy, podrzucano na ulicę i przed cudze posesje śmieci i nieczystości. Na tych ulicznych śmiałków czatowali stróże miejscy, którzy mieli obowiązek schwytanych na gorącym uczynku odprowadzić do aresztu. Było to jednak działanie pasywne, na którym nie poprzestano. Ponowiono mianowicie akcje, które by pomogły w oczyszczaniu miasta z brudu. Podzielono Warszawę na dzielnice, tak ażeby każdego dnia w innej jej części czynić porządki. W ten sposób każda dzielnica sprzątana była dwa razy w tygodniu. Takie zarządzenie wydał magistrat, natomiast Komisja Brukowa nie zważała na podział dzielnicowy i nakazała posesjonatom sprzątanie ulic ze śmieci i błota w każdą środę i sobotę. Tak więc i w tej sprawie nie było jedności działania, a co za tym idzie, wyniki akcji były niewielkie. Zgarnianie błota i śmieci nie rozwiązywało problemu. Trzeba je było wywieźć z miasta.

Już w 1743 r. Komisja założyła przy ul. Bednarskiej tzw. Magazyn Karowy, czyli budynek, w którym przechowywano wozy miejskie i sprzęt używany do uprzątania miasta. Był on jednak nieliczny, dlatego też powołując się na uchwałę magistratu z 1644 r., w której powiedziano, że furmani trudniący się zawodowo przewożeniem winni są raz lub dwa razy w miesiącu wywozić z miasta błoto i śmiecie, Komisja nakazała dwa razy na miesiąc wpisanym w rejestr furmanom stawiać się do rozporządzenia i czyścić ulice. W razie odmowy miano im zabrać konie, pozbawiając ich w ten sposób środków zarobkowania.[9] I to zarządzenie niewiele pomogło, prawie wszyscy bowiem obywatele zlekceważyli je i w dalszym ciągu wyrzucali śmieci i różne inne nieczystości po prostu na ulicę, na której często spotkać można było oprócz wałęsających się psów również nierogaciznę. Najbardziej jednak dokuczyły mieszkańcom świnie, dlatego sprawa ta poruszona została w wydanym przez marszałka Bielińskiego w 1766 r. rozporządzeniu, którego fragment przytaczamy: „... ludzie tu w Warszawie świnie chowają, które, puszczając po ulicach, nie tylko bruki ryciem psują, ale zgarniane na kupy błoto rozrzucają. Przeto takowe chowanie świń powtórnie podwolnym od kogożkolwiek na ulicy samopas chodzących świń i błoto rozkopujących zabiciem i sobie zabraniem zakazuje się. Nadto, gdy ochędostwo nie tylko na błotach i posesjach zawisło, ale i zdechlin żadnych po ulicach znajdować się nie powinno, skąd obrzydliwość i niezdrowie pochodzi. Przeto i w tych stosując się do dawnych dyspozycji, zaleca się i rozkazuje, aby nikt takowych zdechlin psów, kotów i innych z kamienic i pałaców na ulicę wyrzucać nie ważył pod karą." [10]

Znacznym ułatwieniem w utrzymaniu porządku byłoby szybkie wybrukowanie ulic. Wprawdzie inicjatywę taką Komisja podjęła, ale sama akcja trwała długo i z wieloma przerwami, uzależniona z konieczności od wpływających na nią nieregularnie funduszów. Toteż przynajmniej przez połowę roku Warszawa tonęła w błocie i brudzie.

[8] Tamże, s. 29. [9] Tamże, s. 33—34. [10] A. Przybylski, *op. cit.*, s. 116.

Usiłowano również usunąć z miasta wysypiska śmieci, zwane Górami Gnojowymi. Jedna z nich znajdowała się na Starym Mieście u wylotu ul. Celnej, przedtem zwanej Gnojną. Od czasów Średniowiecza wywożono tam nieczystości, nie bacząc na bliskość miasta, co było niewątpliwie wygodą dla mieszkańców, ale co również groziło niebezpieczeństwem zatrucia wód znajdujących się w pobliżu, a także rozprzestrzenieniem okropnego smrodu. Już w wieku XVII Góra Gnojowa przybrała monstrualne rozmiary i groziła zawaleniem budynków gospodarczych mieszczących się u jej podnóża. W 1700 r. usiłowano zbierać składki na ratuszu, „aby zniesiona była, jako przyczyniająca się do nieprzyjemnych wyziewów". Niestety, zarządzenie o składkach nie dało przewidzianych rezultatów finansowych. W następnych latach znów podejmowano próby zmierzające do usunięcia tego wysypiska, ale także bezskutecznie. Dopiero za rządów Stanisława Augusta, z jego osobistego rozkazu w 1774 r. obłożono Górę Gnojową darnią i nadano jej bardziej estetyczną i modną wówczas nazwę Góry Zielonej.[11] Nazwa nie przyjęła się, może dlatego, że mieszkańcy Starego Miasta nadal z uporem używali Góry jako wysypiska wszelkich nieczystości. Znacznie łatwiej zniesiono śmietnik ogólny na Nowym Mieście, zwany również Górą Gnojową. Znajdował się on na skarpie przy ul. Zakątnej i już w 1785 r. został zlikwidowany.

Kloaki i usuwanie nieczystości

Nie tylko walczono z zaśmiecaniem Warszawy, ale również usiłowano usunąć nieczystości, które zalegały i zalewały miasto. Większość mieszkańców stolicy trzymała w obrębie swych posesji poza drobiem nierogaciznę, a także krowy i konie, których odchody zalegały przeważnie podwórza i ulice. Już od wieków, bo od XVI stulecia, magistrat Starej Warszawy nakazywał urządzanie kloak w domach, co nie było ściśle przestrzegane. Gdy w końcu XVII w. (w 1696 r.) władze magistratu przeprowadziły wizję lokalną, stan sanitarny okazał się zatrważający. Oto co zanotowano w księgach po obejrzeniu posesji i domu przy ul. Krzywe Koło, należących do pisarza miejskiego: „Widzieliśmy w sieni błoto wielkie i w komorze pod murem wodę od sukcesorów Łyszczewskich śmierdzącą, z *fecibus* [gnojami] zmieszaną..." Co skonstatowawszy władze przystąpiły do obejrzenia następnych posesji. W niektórych, jak np. w kamienicy Łętowskiej, nie było kloaki, tylko zobaczyli „beczką wielką oliwną *fecibus ad praesens* próżną, *pro cloaca* postawioną, w którą z góry potrzebność mają, kloaki zaś mieć nie mogą głębiej w ziemi w tym miejscu, gdyż jest to uliczka publiczna".[12]

Nie łudźmy się, że w kilkadziesiąt lat później sytuacja się zmieniła. Zazwyczaj kloaki mieściły się w sieniach lub piwnicach. Czasami też zakładano przy kamienicach szamba, jak to na przykład miało miejsce na terenie Dziekanii, zamieszkiwanej przez duchownych kolegiaty warszawskiej. Odkryto je podczas prac budowlanych w latach pięćdziesiątych XX wieku na Starym Mieście. Pomimo zimy wydawały jeszcze bardzo nieprzyjemną woń, a znaleziono w nich też liczne butelki

[11] Fr. Giedroyć, *op. cit.*, s. 35—36. [12] Tamże, s. 47—48.

po winie i nalewkach. Tylko najzamożniejsi posesjonaci, do których należeli i kanonicy, mogli urządzać szamba. Wszyscy właściciele, jak i dzierżawcy obowiązani byli do wypróżniania kloak. Wywózką zajmowali się przedsiębiorcy, zwani od pory swej pracy „nocnymi", gdyż pod osłoną ciemności wywozili nieczystości za miasto. Ale zazwyczaj, aby się nie utrudzić, zwalali zawartość beczek na Gnojową Górę, która, jak wiemy, służyć miała jedynie za wysypisko śmieci i nawozu końskiego, lub też wyrzucali je przy samym brzegu do Wisły. Ażeby uniknąć fetoru, który unosił się z brzegów rzeki, w 1765 r. dla nocnych wozaków wyznaczono plac nad samą Wisłą i nakazano wyrzucać nieczystości z pływających pomostów w wartki nurt. „Nocni" nie przestrzegali jednak przepisów i powracali do dawnych praktyk.[13]

Właściciele i lokatorzy domów stosowali się najchętniej do zwyczaju wspólnego mieszkańcom wszystkich miast europejskich i — jak już wspominaliśmy — pod osłoną nocy wylewali nieczystości na ulicę. Pomyj, mydlin, fusów i innych „błoto i fetor pomnażających" płynów mogli się wszak pozbywać wlewając je do otwartych rynsztoków, mających połączenie z kanałami miejskimi, które prowadzone były przez ulice śródmieścia.

Kanały przechodziły pod ziemią. Najszersze, zbiorcze, tzw. główne, murowano z cegły, natomiast ich rozgałęzienia poboczne budowano z drzewa dębowego, utrwalonego smołą, dno zaś dla wzmocnienia wykładano jeszcze cegłą. Sieć ich została rozbudowana w drugiej połowie XVIII w. Prace nad przeprowadzeniem robót kanalizacyjnych podążały równolegle z akcją brukowania. Kanały miały na celu nie tylko odprowadzanie nieczystości i wód deszczowych, lecz także osuszanie licznych jeszcze wówczas w Warszawie podmokłych i bagnistych terenów, położonych na zachodnich peryferiach miasta. Tereny te występowały w okolicy dzisiejszych Stawek, Muranowa, wygonu nowomiejskiego, bagnistej niecki koło Grzybowa (od której pochodziła nazwa ulicy Bagno), wielu glinianek i błot w pobliżu Wareckiej, Aleksandrii, Dynasów, Tamki, Topieli i innych.

Kanałami ujęto również bieg dawnych rzeczek i strumieni przepływających przez teren miasta, jak np. Żurawka, strumień przy Zamku królewskim, Dunaj wpuszczony w fosę ul. Mostowej, czy rzeczka Bełcząca na przedmieściu nowomiejskim. Niejednokrotnie tandetne wykonanie kanału, spowodowane brakiem wiedzy technicznej u prowadzących roboty, było przyczyną wielu utrapień mieszkańców, którym wadliwe jego przeprowadzenie lub użytkowanie utrudniało w przykry sposób codzienne życie.

Kanały przeznaczano wyłącznie do odprowadzania wód deszczowych i odchodów płynnych, wszelkie zaś ich zanieczyszczanie gnojem i śmieciami było zakazane. Niestety, nie przestrzegano tego przepisu i bardzo często spory wynikłe z zatkania kanałów znajdowały swój tragikomiczny finał w księgach sądowych.

Fakt taki miał miejsce między innymi na Faworach, gdzie zabrano się do osuszenia glinianek pozostałych po cegielni miejskiej w okolicy ul. Wygon i Inflanckiej. Postanowiono odwrócić bieg kanału przeprowadzonego z centrum miasta przez ul. Franciszkańską i Zakroczymską, a dalej przez Bonifraterską oraz wspomniane glinianki i doły. Miał on z nich odciągać wody i odprowadzać do rzeczki Drny,

[13] Tamże, s. 36, 47—48.

którą ujęto kanałem aż do ujścia jej do Wisły. Ścieki zanieczyściły Drnę, z której rozchodził się potworny fetor, co szczególnie dawało się we znaki bogatym właścicielom pięknych willi, niedawno zbudowanych na Faworach. Wystąpili oni z prośbą o skierowanie kanału w inną stronę. Obciążając zamożnych petentów obowiązkiem dobrowolnej składki Komisja Brukowa zbudowała nowy kanał, wykonany wzorowo. Zmieniono kierunek jego biegu począwszy od ulicy Bonifraterskiej przez Wygon do Zakroczymskiej, a potem ulicą Spadek wpuszczono go do Wisły. Okazało się, że nowy kanał sprowadził tym razem nieszczęście na inną dzielnicę, znajdującą się w pobliżu Domu Poprawy. Mieszkańcy ul. Kłopot, Wesołej i Suchej skarżyli się, że „woda teraz tak jest śmierdząca, że trudno jest nie przyzwyczajonemu przechodzić nawet wedle dołów nią napełnionych". Przyczyną było niewłaściwe użytkowanie kanałów. Adams piwowar, który hodował wiele świń przy browarze i gorzelni, odchody ich wpuszczał wraz z wodą z browaru rynsztokiem w doły. Jego sąsiedzi, Celner i mistrz (kat), zanieczyszczali kanały wpuszczając do nich zawartość kloak, a także wrzucając w nie padlinę.[14] Komisja Brukowa znalazła radę i na to nieszczęście. Doprowadziła kanał znowu do Drny, uprzednio go oczyszczając i zabraniając surowo wlewania i wrzucania do niego wszelkich nieczystości. Wybudowała też nowy, murowany, solidny kanał, za który zapłacili właściciele posesji, obciążeni także obowiązkiem jego konserwacji.

Osuszono również topieliska znajdujące się w pobliżu zbiegu ul. Zielonej i Szymanowskiej. Ale, niestety, nie wszystkie mokradła można było osuszyć przeprowadzając budowę porządnych kanałów. Mniej szczęścia niż przedmieścia miało Nowe Miasto. Kanał przeprowadzony od pałacu Krasińskich poprzez ul. Franciszkańską, a potem Bonifraterską zawalił się już w 1795 r. Ten sam los spotkał kanał zbudowany sumptem prywatnym, a biegnący od klasztoru pp. Sakramentek w dół na Rybaki i do Wisły.[15] Nie tylko zwykli mieszczanie warszawscy skarżyli się na smród płynący z rynsztoków i kanałów. Jeden z podróżników zanotował, że nawet przed Zamkiem królewskim, mianowicie „przed samym frontem pałacu Stanisławowskiego kanały ściekowe są do tego stopnia zaniedbane, że smród wprost obezwładnia".[16] Nie bardzo byli wrażliwi nasi przodkowie, jeżeli na przykład na Dunaju przez kilka lat rynsztoki i spływ do kanału zatkane były przez gnój wyrzucany ze stajni, których wiele mieściło się przy murach miejskich, tak że zawartość kanałów wylewała się nie tylko na ulice, ale docierała również do piwnic, na co właściciele domów podnosili wielki lament.[17]

Nie należy myśleć, że tylko Warszawa, nie wspominając już o prowincjonalnych miasteczkach, była tak zaniedbana. Większość stolic europejskich (a wśród nich i Paryż, którego mieszkańcy spokojnie załatwiali swe tzw. pilne potrzeby na ulicy przy kupach śmieci i gnoju) nie znajdowała się w lepszym stanie. Były to bolączki ogólne i dopiero w okresie Oświecenia na dobre zajęto się sprawą porządkowania miast.

[14] T. Jabłoński, *Północny trakt Warszawy*, Warszawa 1959, s. 55—57.

[15] A. Berdecka, *Ożywienie gospodarcze i reformy okresu Oświecenia* (*Szkice nowomiejskie*, s. 96).

[16] N. W. Wraxall, *Wspomnienia z Polski, 1778* (*Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców*, t. I, s. 493).

[17] Fr. Giedroyć, *op. cit.*, s. 29—30.

Zaopatrzenie w wodę — wodociągi, studnie i zdroje

Na mniejsze trudności natrafiali mieszkańcy Warszawy przy korzystaniu z wody. Począwszy od XVI w. stolica miała własne wodociągi. Wodę do nich czerpano z posesji przy ul. Długiej, którą zwano „na rurach". Wodociąg, zbudowany z rur wypalonych w grubych pniach drzewa sosnowego, położony był pod ziemią wzdłuż ul. Długiej. Dalej ciągnął się do ul. Wąskiej, a następnie poprzez krótki odcinek ulicy Podwale do Wąskiego Dunaju i tą uliczką na Rynek Starego Miasta, gdzie zasilał dwie studnie. Była jeszcze druga linia, prowadząca wodę ze źródła „na rurach" przez ogrody położone równolegle do ul. Długiej. Następnie rozgałęziała się, po czym jedna odnoga biegła do Zamku królewskiego, a druga na ulicę Podwale. Oprócz wodociągów znajdowały się w mieście liczne studnie. Nie wszystkie jednak zawierały czystą i dobrą wodę. Były czasem zbyt płytkie lub też wykopane w pobliżu kloak, które je zanieczyszczały. Christian Heinrich Erndtel, znany uczony niemiecki, który w 1730 r. opisał szczegółowo Warszawę, a także jej warunki fizjograficzne, uważał, że woda z Wisły była najczystsza.

Wojny szwedzkie XVII i XVIII w. zniszczyły większość urządzeń wodociągowych. Warszawa stanęła wobec konieczności zdobycia funduszów na wybudowanie nowych linii i konserwację starych, co było sprawą pilną, gdyż z roku na rok zwiększała się liczba mieszkańców, a wraz z nią wzrastało spożycie wody. Dlatego też w 1767 r. nałożono specjalny podatek na wszystkich posesjonatów w celu wybudowania dwóch studni na Rynku Starego Miasta, a właściwie sprowadzenia do nich rurami wody ze źródeł. Pobierano również opłaty od pewnych mieszkańców z przeznaczeniem na budowę nowych studni w mieście, między innymi od licznie praktykujących wówczas perukarzy i fryzjerów, którzy nie należeli jednak do cechu. Widocznie władze miejskie uważały, że z racji swego zawodu zużywali oni więcej wody niż inni rzemieślnicy.[18]

Do warsztatów przemysłowych, a przede wszystkim licznych browarów znajdujących się na terenie całego miasta, czerpano wodę z Wisły i strumieni lub też dowożono ją z Nalewek, gdyż do celów przemysłowych nie wolno jej było brać ze studni miejskich i wodociągów. Poza tym można było wodę kupić od wozaków, którzy transportowali ją do dzielnic odleglejszych pobierając za beczkę 15 groszy.

Może najlepiej byli zaopatrzeni w wodę mieszkańcy Starego Miasta, którzy oprócz studni znajdujących się na Rynku mieli jeszcze do dyspozycji studnie na Kanonii, na terenie Zamku, a także korzystali z Wisły i strumieni przepływających u podnóża skarpy.

Komisja Brukowa ze względów higienicznych planowała także budowę studni przy jatkach rzeźniczych. Plany te częściowo zrealizowano wystawiając studnie przy ul. Franciszkańskiej i na Rynku Starego Miasta. Pojawiły się też wówczas pierwsze pompy ssące, które ułatwiały szybkie wydostawanie wody, co odgrywało niepoślednią rolę przy akcjach gaszenia pożaru.

Wody pitnej dostarczały także mieszkańcom Warszawy liczne bijące źródła. Do najpopularniejszych należał tzw. Zdrój Królewski. Znajdował się on na małym

[18] H. Szwankowska, *O wodociągach Starego i Nowego Miasta*, „Ochrona Zabytków" R. VI, 1953, z. 2—3, s. 128—131.

placyku przy zbiegu ulic Zakroczymskiej i Sapieżyńskiej. Czerpana z niego woda odznaczała się znakomitym smakiem, czystością i przyjemnym chłodem. Król Stanisław August, który sam należał do zwolenników Zdroju, nakazał usunąć dawne otaczające go ogrodzenie i zbudować nowy zbiornik, dziś znany z planu pomiarowego Deutscha z 1777 r. Był to niewielki budynek założony na planie kwadratu, kryty kopułką, do którego wnętrza prowadziło arkadowe wejście.[19] Warszawiacy często odwiedzali Zdrój, obierając to miejsce za cel swych świątecznych przechadzek. Z wzgórza zwanego Górą Spacerową, położonego w pobliżu źródła, roztaczał się piękny widok na Wisłę i okolicę. Latem i jesienią 1777 r. mieszkańcy stolicy codziennie przyglądali się dziwnemu „orszakowi", grupie wielbłądów zdążających przez miasto do Zdroju, skąd zwierzęta te wracały objuczone skórzanymi bukłakami, napełnionymi wodą źródlaną. To służba posła tureckiego Numana-beja przewoziła najlepszą w Warszawie wodę do Pałacu Czerwonego, w którym rezydował orientalny dyplomata.[20]

Brukowanie ulic

Jak już wspomniano, najważniejszą akcją porządkową było splantowanie starych ulic i wymierzenie nowo wytyczonych, a to w celu naniesienia ich na plan miasta, co miało ułatwić przeprowadzenie batalii podjętej przez Komisję. Marszałek Bieliński największą wagę przykładał do brukowania, ponieważ bez bruków nie było możliwe utrzymanie czystości na ulicach i placach Warszawy. Wniósł on w r. 1764 osobiście memoriał do króla, przypominając uchwały konstytucji z roku 1685 i z lat następnych 1744, 1748 i 1758, w których rada senacka uchwaliła wypłacenie znacznych sum ze skarbu państwa, przeznaczając je na te prace.[21] Bezpośrednią pieczę nad całą akcją Komisja przekazała prowizorowi brukowemu. Skupował on materiały, kontrolował sposób ich przechowywania, osobiście doglądał kładzenia nowych bruków, był obowiązany do natychmiastowych napraw zepsutych odcinków ulicy, a także kanałów oraz wypłacał pobory majstrowi i jego pomocnikom. Bardzo często dla obniżenia kosztów robocizny nie zrywano pozostałych starych bruków, tylko kładziono na nie nowe. Jako podkładu używano ziemi i piasku, mocno je ubijając. Następnie w pogodne dnie, gdyż w deszczowe było zbyt wiele błota, osadzano ściśle w piasku kamienie. Kamienie te nie tylko zakupywano, ale również uzyskiwano w pokaźnej ilości na mocy zarządzenia nakazującego, ażeby każdy chłop przyjeżdżający do Warszawy wozem zostawiał kamień określonej wielkości na rogatkach. W razie nieuiszczenia tego podatku w naturze płacono karę w wysokości 6 gr. Brukowano tylko środkowy pas ulicy szerokości 10 do 14 metrów. Jezdnia miała spadek ku obu stronom dla łatwiejszego spływu wód deszczowych do rynsztoków. Następnie wysypywano nowo wybrukowaną ulicę grubo piaskiem, który miał chronić kamienie przed naruszeniem.[22] W latach osiemdziesiątych wzo-

[19] A. Berdecka, *op. cit.*, s. 95.
[20] J. Reychman, *Orient w kulturze polskiego Oświecenia*, s. 27.
[21] A. Przybylski, *op. cit.*, s. 112—113.
[22] Tamże, s. 117—121.

rem wielkich stolic europejskich zaczęto kłaść chodniki po obu stronach jezdni, „ścieżki wyższe wybrukowane", jak je zwano wówczas. Ale było ich jeszcze w mieście niewiele.

Komisja podjęła przede wszystkim brukowanie najważniejszych arterii, dawnych szlaków komunikacyjnych przebiegających przez miasto oraz jezdni Starego Miasta, Nowego Miasta (w obrębie Rynku i jego najbliższego otoczenia), następnie Krakowskiego Przedmieścia, Senatorskiej, Długiej i Miodowej. Większość ulic jednak, nawet położonych w centrum Warszawy, ale stanowiących boczne, mniej znaczące przecznice głównych arterii, pozostawała niebrukowana lub też bruk na nich znajdował się w bardzo złym stanie. Mieszkańcy jurydyk Grzybowa, Mariensztatu, Bielina, części Leszna i innych przedmieść wiele cierpieli z powodu niewygód wypływających z trudności poruszania się po mieście. Także Powiśle poza kilkoma uporządkowanymi ulicami, jak Rybaki, Bugaj, Boleść, tonęło w błocie. Nawet jezdnia Nowego Światu wymagała natychmiastowej naprawy, a Aleje Ujazdowskie nie były w końcu XVIII w. w ogóle brukowane.

Dlatego też, wobec ogromu prac porządkowych i niemożności szybkiego działania, zachęcano właścicieli posesji, ażeby zajęli się sprawą porządku z własnej inicjatywy i na własny koszt. W zamian za to Komisja zwalniać ich miała od podatku brukowego. Warunkiem otrzymania ulg podatkowych było „wychędożenie", czyli oczyszczenie i wybrukowanie własnym nakładem przypadającego na właściciela posesji terenu ulicy przed domem.

Podjęli się takich prac mieszkańcy jurydyki Mariensztat, jednakże nie mogli sprostać potrzebie ciągłego oczyszczania i reperacji ulic. Zadanie przerosło ich siły, a to z przyczyny licznych pojazdów, które zjeżdżały ku Wiśle nie tylko do przeprawy, czy w kilka lat później wystawionego mostu, ale dla wywożenia nad rzekę śmieci i gnojów. Zwrócili się przeto z prośbą do ówczesnego marszałka, Lubomirskiego, ażeby Komisja własnym kosztem doprowadziła ulice do porządku, a ich zwolniła od wziętych na siebie zobowiązań, ponieważ w ciągu roku nazbyt często musieliby je reperować i oczyszczać. W 1746 r. również obywatele miasteczka Leszna zwrócili się do marszałka Bielińskiego i za obietnicę zwolnienia ich z podatków podjęli się wybrukowania ulicy Leszno. Prace te ukończono szczęśliwie w 1753 r. i zadowoleni mieszkańcy jurydyki rozpoczęli nawet dalsze porządkowanie przecznic ul. Leszno.[23]

Często mieszkańcy Warszawy skarżyli się na niesprawiedliwe rozłożenie podatku łokciowego, dlatego też za marszałkostwa Mniszcha przeprowadzono w 1784 r. nowy pomiar, który stał się podstawą wymierzenia podatku w nowych normach. Obliczano go według położenia posesji w mieście oraz wielkości zabudowy, przy czym brano pod uwagę wysokość i szerokość frontu oraz ilość sklepów znajdujących się w budynku, a więc podobnie jak w 1743 r. Mieszczanie płacąc podatek chcieli jednak widzieć szybkie i niecierpliwie przez nich oczekiwane rezultaty działalności Komisji Brukowej. Wysyłali liczne prośby i żądania pod jej adresem, myśląc, że w ten sposób wpłyną na przyśpieszenie prac. Tak też uczynili mieszkańcy ulicy Wareckiej, którzy zniecierpliwieni wnieśli w 1786 r. skargę, donosząc, iż zgodnie z podziałem podatku zapłacili całą należność, proszą zatem o rychłe wy-

[23] Tamże, s. 126, 129

brukowanie ulicy, gdyż przez siedem miesięcy w roku ani przejść, ani przejechać nią nie można. Stale gromadzące się błoto i stojące wody, które nie mają odpływu, mogą spowodować ponadto zapadnięcie się kanału podziemnego, nie tak dawno wielkim kosztem wybudowanego przez szpital Dzieciątka Jezus.[24] Wiele też próśb mieszkańców innych dzielnic Warszawy, przede wszystkim zachodnich, wpływało do Komisji Brukowej. Sami mieszkańcy nie byli w stanie utrzymać czystości niebrukowanych ulic, szczególnie wobec istniejących, jak np. na ul. Dzikiej, sadzawek i błot.

W niektórych deszczowych latach niemożność swobodnego poruszania się po mieście i niedomogi kanalizacyjne szczególnie utrudniały życie codzienne jego mieszkańców, a nawet wpływały na tok poważniejszych spraw państwowych. Tak np. zdarzyło się w listopadzie 1789 r., gdy rajcowie miast Korony i Litwy, którzy przybyli do stolicy, aby obradować nad sprawami miejskimi, rozjechali się przed zamknięciem debat w końcu roku wskutek „słabości z smrodliwej aury".[25]

Budowa mostu na Wiśle

Dla ułatwienia komunikacji pomiędzy Warszawą a położoną na przeciwległym brzegu Pragą Komisja Brukowa podjęła uchwałę wybudowania stałego mostu, który by połączył oba te miasta i wprowadził udogodnienie w komunikacji krajowej. Przedsięwzięcie to było nader kosztowne. Najlepszy dowód, że od czasu mostu Zygmuntowskiego, postawionego w 1572 r. sumptem królewskim, a zniesionego przez olbrzymie kry wiosną 1603 r., Warszawa nie miała stałego mostu. Roboty przygotowawcze musiały objąć uporządkowanie obu stron rzeki, czyli należało, jak się to wówczas mówiło, wyplantować i wybrukować ulice zjazdowe, i to zarówno od strony Krakowskiego Przedmieścia, jak i Pragi.

Prace podjęto jeszcze za czasów Augusta III w 1756 r., zaczynając od przygotowania naprzeciwko wylotu ul. Bednarskiej grobli i pomostu drewnianego, na którym można było wyładowywać kamienie brukowe. Urządzono tam również basen portowy długości 140 m, przeznaczony na łodzie pontonowe, na których miano ustawić most. Wobec niedostatku funduszów prace wlokły się w wolnym tempie. W 1768 r. obradujący sejm, zdając sobie sprawę ze znaczenia i konieczności budowy mostu, uchwalił w budżecie na jego wzniesienie sumę 40 000 zł. Prace jednak nadal przebiegały w ślimaczym tempie i nie wróżyły szybkiego zakończenia. Znalazł się jednak kandydat, który zaproponował, że własnym sumptem sfinansuje budowę w zamian za prawo pobierania przez dziesięć lat dochodów z przejazdu i przejścia, czyli tzw. mostowego. Tym kandydatem był podskarbi wielki koronny Adam Łodzia Poniński, człowiek o niezwykłym sprycie. Wykorzystując stosunki, które posiadał zarówno na dworze carycy Katarzyny, jak i króla Stanisława Augusta, otrzymawszy urząd podskarbiego i pensję z ambasady rosyjskiej doszedł nieuczciwą drogą do wielkich bogactw, grabiąc bez żadnych skrupułów dobra prywatne i państwowe. Wielkiej, rozrastającej się z każdym rokiem Warszawie most był coraz bardziej potrzebny i dlatego umowa ta przynosiła obustronne korzyści. W 1775 r. stanął most konstrukcji łyżwowej z pomostem ułożonym z równych,

[24] Tamże, s. 132—133. [25] Fr. Giedroyć, *op. cit.*, s. 9.

luźnych dylów, które poruszały się przy przejeździe pojazdów. Na zimę przed pierwszymi mrozami most rozbierano, ażeby nie uległ zniszczeniu pod naporem pękających lodów, kry czy też wiosennej powodzi. Na moście ludzie ze straży podskarbiego pobierali wysokie opłaty.[26]

Mówiono również, że za wydanie przywileju cłowego Ponińskiemu sam król Stanisław August otrzymywał sekretnie część dochodów. Jeżeli było to prawdą, nie trwało długo. Pan podskarbi, człowiek młody i ujmującej powierzchowności, lubił i umiał cieszyć się wszystkimi przyjemnościami życia, które wówczas były dostępne dla posiadających odpowiednie zasoby pieniężne. Wyjechał, jak było w modzie, za granicę i tam w krótkim czasie przepuścił swój majątek, licząc widocznie na to, że po powrocie do kraju dochody znowu wielką falą zaczną płynąć do jego prywatnego skarbca. Tymczasem w czasie nieobecności Ponińskiego pokrzywdzeni przez niego i oszukani klienci — wśród których znajdowali się i bogaci, wpływowi szlachcice wydziedziczeni nieprawnie ze swych majątków, a także mieszczanie — wszczęli przeciw nieuczciwemu dygnitarzowi proces. Spraw było wiele i hałasu przy tym co niemiara. Kiedy uchwałą sejmu były podskarbi wielki koronny Adam Poniński został skazany na banicję z kraju i pozbawiony klejnotu szlacheckiego oraz wszelkich tytułów, dochody, które pobierał, przeszły na rzecz skarbu koronnego.[27]

Budowa mostu na Wiśle była sprawą wielkiej wagi. Ale Komisja Brukowa zajęła się również małymi strumyczkami i potokami płynącymi w mieście. Niektóre uregulowano i przerzucono przez nie mostki do przejścia lub przejazdu. Trzy z nich postawiono już w latach pięćdziesiątych, mianowicie w północnej dzielnicy Warszawy na rzeczce Bełczącej przy końcu ul. Zakroczymskiej, oraz dwa na Drnie, niedaleko koszar i w pobliżu Cuchthauzu. Były one drewniane. Natomiast mostek na Żurawce przepływającej przez Nowy Świat był murowany i podsklepiony.[28]

Plany miasta

W czasie swojej kilkadziesiąt lat liczącej działalności Komisja Brukowa wymierzyła, splantowała i wybrukowała wiele ulic, których ogółem było wówczas w Warszawie 222. Oczywiście, najpierw uporządkowano główne arterie i jezdnie śródmiejskie, a na słupach przybito tabliczki z nazwami ulic. Pod koniec XVIII w. na podaną w wykazie liczbę 197 ulic nie brukowanych było 98, a 28 częściowo brukowanych.[29] W pracach tych wielce pomocny okazał się ukończony wreszcie pomiarowy plan Warszawy. Już w latach 1744—1752 architekt miejski Jakub Fontana zajmował się sporządzaniem dokładnych pomiarów ulic, działek i zabudowy, co miało służyć nie tylko do określenia wysokości podatku łokciowego. Pracę tę Fontana traktował również jako podstawę do skonstruowania planu miasta. Na jego wynikach oparł się inżynier Pierre Ricaud de Tirregaille, który w 1762 r. wykonał

[26] A. Przybylski, *op. cit.*, s. 98 i n.; E. Szwankowski, *op. cit.*, s. 104—105.

[27] [L. Cieszkowski], *Pamiętnik anegdotyczny z czasów Stanisława Augusta*, wyd. J. I. Kraszewski, Poznań 1867, s. 100 i n.

[28] E. Szwankowski, *op. cit.*, s. 104.

[29] S. Szymkiewicz, *Warszawa na przełomie XVIII i XIX w.*, s. 87.

plan Warszawy. Ażeby uzyskać potrzebne fundusze na jego sztychowane wydanie, podpisano subskrypcję, którą ogłoszono w dniu 9 maja 1761 r. w „Kurierze Warszawskim". We wstępie tak uzasadniano potrzebę tego rodzaju inicjatywy: „Planty miast wszelkich nie tylko samym ichże mieszkańcom, nie tylko podróżnym i cudzoziemcom jakie z nimi społkowanie mającym, ale też najodleglejszym narodom i potomności są potrzebne. I stąd pochodzi, iż skoro się miasto które nad inne wzbije czy to dla obszerności swojej, czyli też dla liczby i wspaniałości gmachów tak pospolitych, jako też i prywatnych, zaraz się znalazły osoby z pilnością osobliwą onych planty i prospekta rysujące, równie dla pożytku jednegoż z niemi wieku żyjących ludzi, jak dla zachowania tychże miast w pamięci następców [...]; nic nad planty doskonale odrysowane pożyteczniejszego miastom większym być nie może, jako też dla dochodzenia ludności, ułatwienia ozdób, zabiegania pożarom i utrzymania skutków doskonałego porządku tyczących się. Tymi pobudkami nakłoniony IMć Pan Marszałek W. Koronny postanowił odrysować geometrycznie plantę miasta Warszawy." [30] Z dalszego tekstu dowiadujemy się, że aby otrzymać sztychowany plan na czterech arkuszach należało wpłacić 2 czerwone złote w mieszkaniu inżyniera Ricaud przy ul. Długiej nr hip. 541, w domu stanowiącym własność pana Paulin.

Inżynier Rzeczypospolitej i kapitan regimentu pieszego hetmana wielkiego koronnego, Ricaud, dotrzymał terminu i już w 1762 r. subskrybenci otrzymali plan Warszawy i Pragi, ozdobiony wokoło rysunkami siedemnastu najznakomitszych gmachów Warszawy. Autor zadedykował swoją pracę królowi Augustowi III.

W następnych latach opracowano i rozpowszechniono dalsze plany miasta. W 1771 r. Franciszek Hiż, pułkownik Gwardii Pieszej Koronnej, z zawodu architekt i kartograf, ukończył plan regulacyjny Warszawy. Ukazał w nim potrzebę korekty planu przestrzennego stolicy. W niespełna rok później słynny geograf i kartograf włoski, Antonio Rizzi-Zannoni, wydał w Londynie plan Warszawy. W 1779 r. w Dreźnie ukazał się następny, opracowany przez wykładowcę Korpusu Kadetów, inżyniera Piotra Hennequina. Oba były naśladownictwem doskonałego pomiarowego planu Tirregaille'a, który długie lata służył władzom miejskim.

Komisja Boni Ordinis, ostatnie prace

Z pracami Komisji Brukowej współdziałała powołana reskryptem królewskim z dnia 1 czerwca 1765 r. Komisja Boni Ordinis. Miała ona za zadanie przejrzenie praw, przywilejów i ordynacji Starej Warszawy, zrewidowanie jej dochodów i wydatków, czyli tzw. percepty i ekspensy, oraz zbadanie spraw bezprawnych poczynań władz miejskich. Po opracowaniu sprawozdania Komisja poinformowała o wszystkim Sąd Asesorski JKMości. Następnym jej zadaniem było sądzenie wyżej wymienionych spraw spornych, drugi bowiem reskrypt królewski upoważniał członków Komisji do unieważnienia kontraktów emfiteutycznych, tj. umów dzierżawnych, które były zawarte ze szkodą kasy miejskiej, oraz nakazywał zrewido-

[30] A. Przybylski, *op. cit.*, s. 105—106.

wanie praw właścicieli dóbr miejskich, zniesienie wszelkich nadużyć i wprowadzenie zmian organizacyjnych, które by uzdrowiły gospodarkę miejską. Kontrola Komisji wykazała niesłychany bałagan w sprawach administracyjno-prawnych. Powstał on ze złej woli funkcjonariuszy miejskich, ich niezaradności lub niedbalstwa.

Na początku swej działalności Komisja zabrała się z wielką energią do porządkowania i sporządzenia nowego szczegółowego inwentarza dóbr i prowentów Warszawy, a także do regulacji spraw własnościowych. Były to w istocie prace syzyfowe, polegające na rozplątaniu i uregulowaniu spraw własnościowych, do których od wielu lat nagromadziły się w archiwum ratuszowym tomy dokumentów. Konieczne było rozstrzygnięcie z pozoru drobnych, błahych sporów właścicieli posesji o tereny graniczne czy też ustalenie wątpliwych praw własności, ponieważ uregulowanie tych spraw nie tylko umożliwiało zwiększenie dochodów miejskich, co było głównym celem działania, ale niejednokrotnie stanowiło też obok finansów podstawę do podjęcia prac projektowanych od dawna przez Komisję Brukową. Przede wszystkim takich, jak plantowanie ulic, brukowanie i wielu innych.

W dwa lata po rozpoczęciu swej działalności Komisja Dobrego Porządku przedłożyła Sądowi Asesorskiemu do aprobaty projekt ordynacji postulującej zniesienie wszystkich jurydyk na terenie miasta Starej i Nowej Warszawy. Była to chyba najcięższa ze spraw załatwianych przez Komisję, jako że od wielu lat władze miejskie nie były w stanie uporządkować zagmatwanych problemów jurydyk magnackich i kościelnych. Źródło sporów tkwiło bowiem nieraz w wypadkach o dwieście lat wcześniejszych.

Jurydyki broniły się przed ingerencją w ich sprawy, ale i władze magistratu usiłowały nie dopuścić do kontroli Komisji, a także nie godziły się na przyjęcie nowego projektu ordynacji wyborczej dla połączonych miast Starej i Nowej Warszawy. Starały się również ograniczyć działalność powołanego przez Komisję Dobrego Porządku Urzędu Ekonomicznego. Różne były drogi tego sprzeciwu. Na przykład pod pretekstem, że magistrat potrzebuje dla swego pracownika sklepu, tj. składu piwnicznego, znajdującego się pod ratuszem, w którym mieściły się dotychczas księgi ekonomiczne i skarbu publicznego, wyłamano drzwi do archiwum, wyrzucono z niego znajdujące się tam regestry oraz pieniądze i nakazano odnieść je do ówczesnego prezesa Urzędu Ekonomicznego, Loberta.

Pomimo tych przeszkód Komisja urzędowała nadal, regulując sprawy jurydyk, cechów, finansów miejskich itp. Jeden z jej aktywnych członków, Michał Swiniarski, propagował sprawę reformy miejskiej na Sejmie Wielkim, ogłaszając w 1789 r. broszurę pt. *Wiadomość o pierwiastkowej miast zasadzie w Polszcze, ich szczególnych przywilejach i wolnościach, oraz o przyczynach upadku tychże.*[31]

Komisja Dobrego Porządku istniała do 1789 r., natomiast Brukowa prowadziła swą działalność do czasu tragicznej kapitulacji Warszawy w 1794 r. Po upadku Rzeczypospolitej została reaktywowana na krótki, bo liczący półtora roku okres przez zarządcę Warszawy, komendanta generała majora wojsk rosyjskich, Buxhövdena.

Powołał on Komisję, która zastąpiła dawną Komisję Brukową. W czasie krótkiej działalności pod kierownictwem generała Jana Augusta Hiża miała ona nawet

[31] Wł. Smoleński, *Komisja Boni Ordinis Warszawska (1765—1789)*, Warszawa 1914.

w tak ciężkich czasach pewne osiągnięcia. Wybrukowano Tamkę na odcinku od Solca do Dobrej, częściowo przebrukowano Rymarską i Senatorską, reperowano ulicę Twardą od Grzybowa do traktu Krakowskiego oraz podjęto przebrukowanie ulicy Chłodnej od Wroniej ku rogatkom wolskim. Działalność Komisji zakończyła się wraz z nastaniem okupacji pruskiej.[32] Długoletnia, bo półwieczna działalność Komisji Brukowej wyrażała się nie tylko pracami nad uporządkowaniem miasta. Znaczenie jej podnosił fakt, iż stanowiła pierwszą szkołę społecznego wychowania obywateli, przyuczającą do utrzymywania czystości i porządku w stolicy.

Osiągnięcia Komisji Brukowej przypisywano zazwyczaj osobie marszałka Bielińskiego, podnosząc ponad miarę jego zasługi:

Z inszym już cale pozorem Warszawa
W oczach całego dzisiaj świata stawa.
Tyś nowe domom przepisał granice,
Tyś prawie wszystkie ważniejsze ulice
Gdy pięknym pokryć kamieniem kazałeś,
Nowych mi ozdób i wygód dodałeś.
A chcąc i tego dokazać koniecznie,
Bym w ochędóstwie trwała długowiecznie,
Kazałeś kopać głębokie kanały,
Które by Wiśle błoto podawały.
I to z twojego mam, marszałku, daru,
Że chcąc mnie wyrwać z przypadków pożaru,
Drewniane odtąd zakazałeś domy,
Które pożerać zwykł ogień łakomy.
Słowem, twa łaska tego dokazała,
Żebym dzisiejszy stan mój uważała.
Widząc mnie w nowej, kwitnącej ozdobie,
Ledwiem poznała sama siebie w sobie.
I mniemam, jeślić Bóg przedłuży lata,
Jednym z miast będę najpiękniejszych świata.[33]

Wzruszające zakończenie panegiryku Józefa Dulskiego jest jednak mało prawdziwe. Bieliński umarł już w 1766 r., nie należy zatem odmawiać zasług również jego następcom, marszałkom Lubomirskiemu i Mniszchowi. Komisja bowiem nadal prawie przez trzydzieści lat prowadziła swe prace przynosząc miastu wielkie korzyści, a dla potomnych stanowiąc wzór nowożytnej instytucji miejskiej.

Bezpieczeństwo mieszkańców — straż marszałkowska, patrole wojskowe

Straż zwana marszałkowską miała zapewnić ludności całej Warszawy bezpieczeństwo. Pobór żołnierzy dokonywany był przez instygatora, czyli urzędnika służby bezpieczeństwa. Do obowiązków jego, między innymi, należało obchodzenie w nocy

[32] A. Przybylski, *op. cit.*, s. 166—172.
[33] *Warszawa wieku Oświecenia*, s. 13.

wraz z patrolem żołnierzy ulic, domów szynkowych, zajazdów i innych bardziej podejrzanych spelunek dla zabezpieczenia porządku, pilnowania moralności ludu warszawskiego, uśmierzania burd, pijatyk itp. Obchody straży zwano nocnymi rontami. Ciężka to była służba i dlatego wybierano do niej ludzi silnych, krępych i zwinnych, ażeby mogli dać sobie radę w rozbrajaniu zwaśnionych czy też w pościgach za złodziejami. Żołnierze straży nosili opięte mundury granatowe, z czerwonym kołnierzem, na głowie czapkę, czyli giwer, na nogach kiepskie buty, dla których zwano ich kurpikami (kurpik, czyli łapeć pleciony z łyka), lub też węgrami, bo tworzyli chorągiew pieszą węgierską. Liczyła ona 150 żołnierzy. Podczas obchodu z rontem często napotykali domy, z których dochodziły odgłosy burd i pijatyk, a gdy mieszkańcy pomimo dobijania się straży nie wpuszczali jej, instygator wypisywał na drzwiach kilka słów, które zwano „kredą marszałkowską". Napisu tego nie wolno było zetrzeć pod groźbą wielkiej kary.[34]

Złapanych w nocy złodziei, rzezimieszków, szulerów oraz innych filutów straż zabierała ze sobą i osadzała w tzw. „kozie marszałkowskiej", czyli w więzieniu mieszczącym się przy ul. Mostowej, tuż przy Bramie Nowomiejskiej. Było to więzienie śledcze, w którym trzymano aresztowanych do czasu wydania wyroku, po czym odstawiano ich do Wieży Marszałkowskiej lub też właściwego więzienia marszałkowskiego przy ul. Mostowej, mieszczącego się w gmachu przebudowanym w r. 1769 i adaptowanym do tego celu z dawnej prochowni miejskiej. Na klasycystycznej fasadzie budynku widniał umoralniający napis: „Na poprawę złych miejsce od sądu wyznaczone." Krótką uliczkę, przy której stało więzienie, nazwano dlatego Poprawą, ale lud warszawski zignorował nazwę urzędową i przezwał ulicę Boleść lub Bolesna, a to dlatego, iż rodzina i najbliżsi odprowadzali nią przestępcę do więzienia.[35] Skazanych na dożywotnie więzienie odsyłano do twierdz w Kamieńcu Podolskim lub — znacznie rzadziej — do Częstochowy. Kobiet wówczas nie trzymano w więzieniach, ale w ratuszu Starej i Nowej Warszawy od wieków wydzielone były izby przeznaczone również na areszt dla kobiet.

Przestępcy karani byli nie tylko więzieniem, ale także wymierzano im plagi przy „wniściu" i „wyniściu" od 10 do 100 razów. Oprócz tego przydzielani byli do wykonywania robót przymusowych. Kasa jurysdykcji marszałkowskiej czerpała stąd dochody na utrzymanie swych więziennych pensjonariuszy. Na przykład w r. 1784 wpłynęło do kasy z prac przymusowych 23 000 złp. Poza tym powiększano dochody, korzystając z datków społeczeństwa. Do tego celu w kordegardzie wystawiano z więzienia worek na kiju, do którego przechodnie wrzucali monety. Potem jego zawartość opróżniał jeden z podoficerów i zdobytą sumę przeznaczał na rzecz aresztowanych. Zasadniczo każdy więzień był zobowiązany opłacić koszt swego pobytu w areszcie. Po odsiedzeniu kary wielu z nich odprowadzano poza granice miasta bez prawa powrotu. Ale zazwyczaj była to tylko czysta formalność. W rzeczywistości delikwenci powracali do stolicy i proceder ten uprawiali nieraz wielokrotnie, mimo dalszych aresztowań i skazań na ponowne wydalenie z miasta. Straż marszałkowska konwojowała świeżo wypuszczonego więźnia za okopy, czyli

[34] *Z rontem marszałkowskim przez Warszawę*, wstęp Z. Turskiej, s. 30; A. Magier, *Estetyka miasta stołecznego Warszawy*, Wrocław 1963, s. 262.

[35] A. Berdecka, O. Puciata, J. Rutkowska, H. Szwankowska, *Ulice Starego Miasta* (*Szkice staromiejskie*, s. 82).

wysokie wały otoczone źle utrzymanym rowem. Zamiast bram ustawione tam były szlabany, za które wyprowadzano byłego więźnia z sakramentalnym rozkazem, „aby się do Warszawy nie powracał". Zwykle jeszcze tego samego dnia dawny aresztant wkraczał spokojnie do stolicy przez inną bramę czy rogatkę, ażeby zacząć od nowa bujne życie, które kończyło się zazwyczaj ponownym aresztowaniem, odbyciem kary więziennej itd.

Dla wzmożenia bezpieczeństwa, którego straż marszałkowska nie umiała zapewnić miastu na dłuższy okres, komisja wojskowa oddawała co pół roku do dyspozycji laski marszałkowskiej po dwie chorągwie lekkie dla objeżdżania w nocy rozległych przedmieść. Wówczas przy współdziałaniu ze strażą marszałkowską odbywały się wielkie obławy na różnego rodzaju rzezimieszków, hultajów, włóczęgów itp.[36]

Jednak nawet przeprowadzanie wspólnych akcji oczyszczających miasto z niepożądanych elementów nie zapewniało ludności bezpieczeństwa. Dowiadujemy się o tym z codziennej prasy warszawskiej, która ze zgrozą donosiła o napadach nocnych na spokojnych przechodniów, kradzieżach itp. W czasie akcji rzezimieszków nikt nie przychodził poszkodowanym z pomocą, bojąc się o własną skórę. Do niebezpiecznych miejsc, których trzeba było się wystrzegać, należały zaułki staromiejskie, ulice przymurne, np. Brzozowa koło cmentarza, ul. Podwale, Rycerska, a także szerokie Krakowskie Przedmieście, jak również wąskie, ciemne przejścia w bramach miejskich. Obrabowani i pobici, zwykle w godzinach nocnych, leżeli w błocie lub gruzach do rana, kiedy to pierwszy świt ośmielał ludzi do udzielenia im pomocy. Niekiedy zabierał ich wózek straży i odwoził do Wieży, gdzie dopiero rano zjawiały się niespokojne rodziny, aby zasięgnąć wieści o zaginionych i zaopiekować się poturbowanymi. Trzeba podkreślić, że straż marszałkowska była nieliczna. Nad bezpieczeństwem stolicy czuwały również patrole warszawskiego garnizonu wojskowego, których zadaniem była ochrona indywidualna osoby króla, co znaczniejszych dostojników oraz siedzib takich, jak urzędy państwowe, Zamek, koszary, składy amunicji itp. Natomiast niewielki był z nich pożytek dla zapewnienia bezpieczeństwa mieszkańcom odległych przedmieść. Patrole wojskowe, piesze i konne, pochodziły z rozmaitych formacji stacjonujących w Warszawie, jak Gwardia Konna Koronna, Gwardia Piesza Wielkiego Księstwa Litewskiego, Komenda Przedniej Straży, Batalion Fizylierów i inne. Ilość patrolujących w nocy wynosiła na podstawie wykazu z 1787 r. 96 osób, w tym dla „eskorty Jego Królewskiej Mości" przydzielono chorągiew laski marszałkowskiej.[37] Nie zapewniało to bezpieczeństwa ludności, tym bardziej że część żołnierzy skupiała się wokół roznieconych ognisk lub też przesiadywała w pobliskim szynku.

W 1792 r., chcąc polepszyć stan bezpieczeństwa w Warszawie, wydano szereg zarządzeń, nakazujących meldowanie mieszkańców w policji. Obowiązkiem tym obciążono właścicieli domów. Na odleglejszych i peryferyjnych dzielnicach miasta miały krążyć konne patrole. Wyznaczono także miejsca dla stałych straży. Ale, niestety, zarządzenia nie zostały całkowicie wprowadzone w życie. W Warszawie można było pod osłoną nocy okraść mieszkańców i popełnić najbardziej nawet okrutną zbrodnię.

[36] *Z rontem marszałkowskim przez Warszawę*, wstęp Z. Turskiej, s. 27—30.
[37] AGAD, Warszawa Ekonomiczne, nr 863.



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W WARSZAWIE 1907

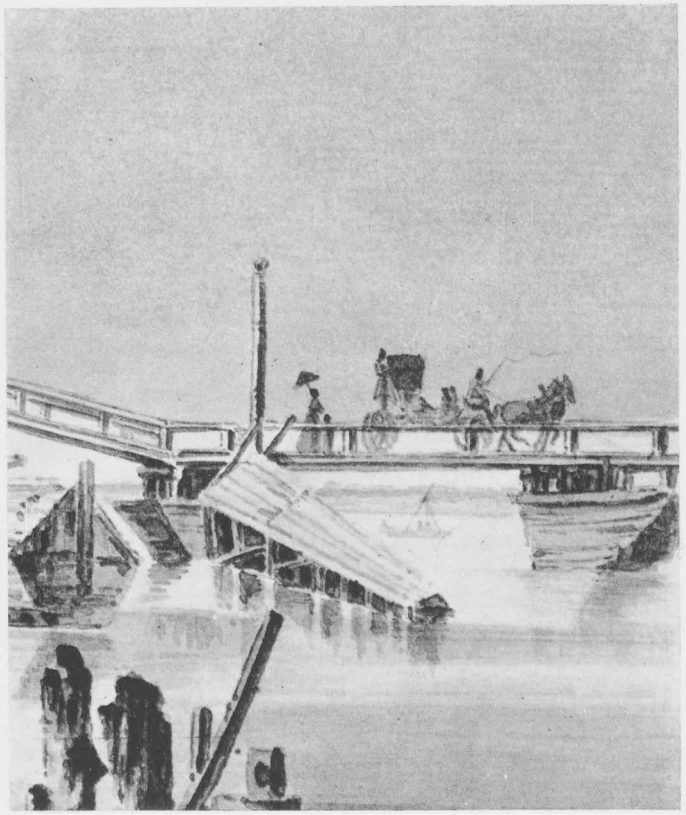

29

30

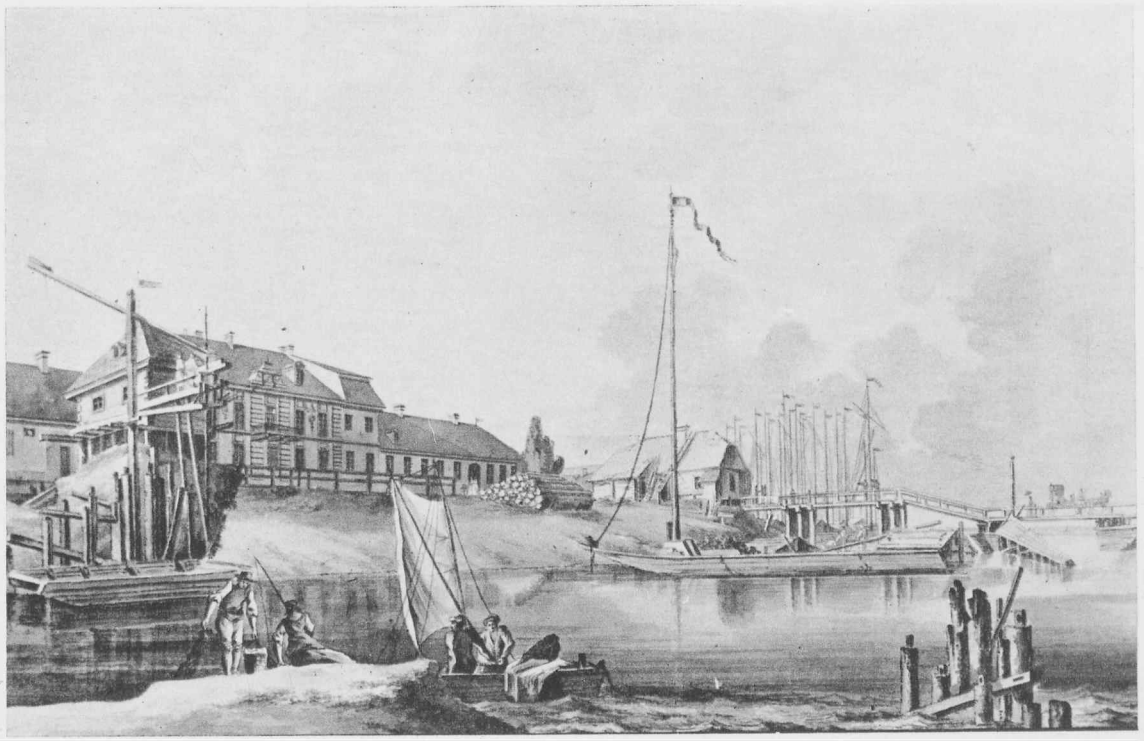

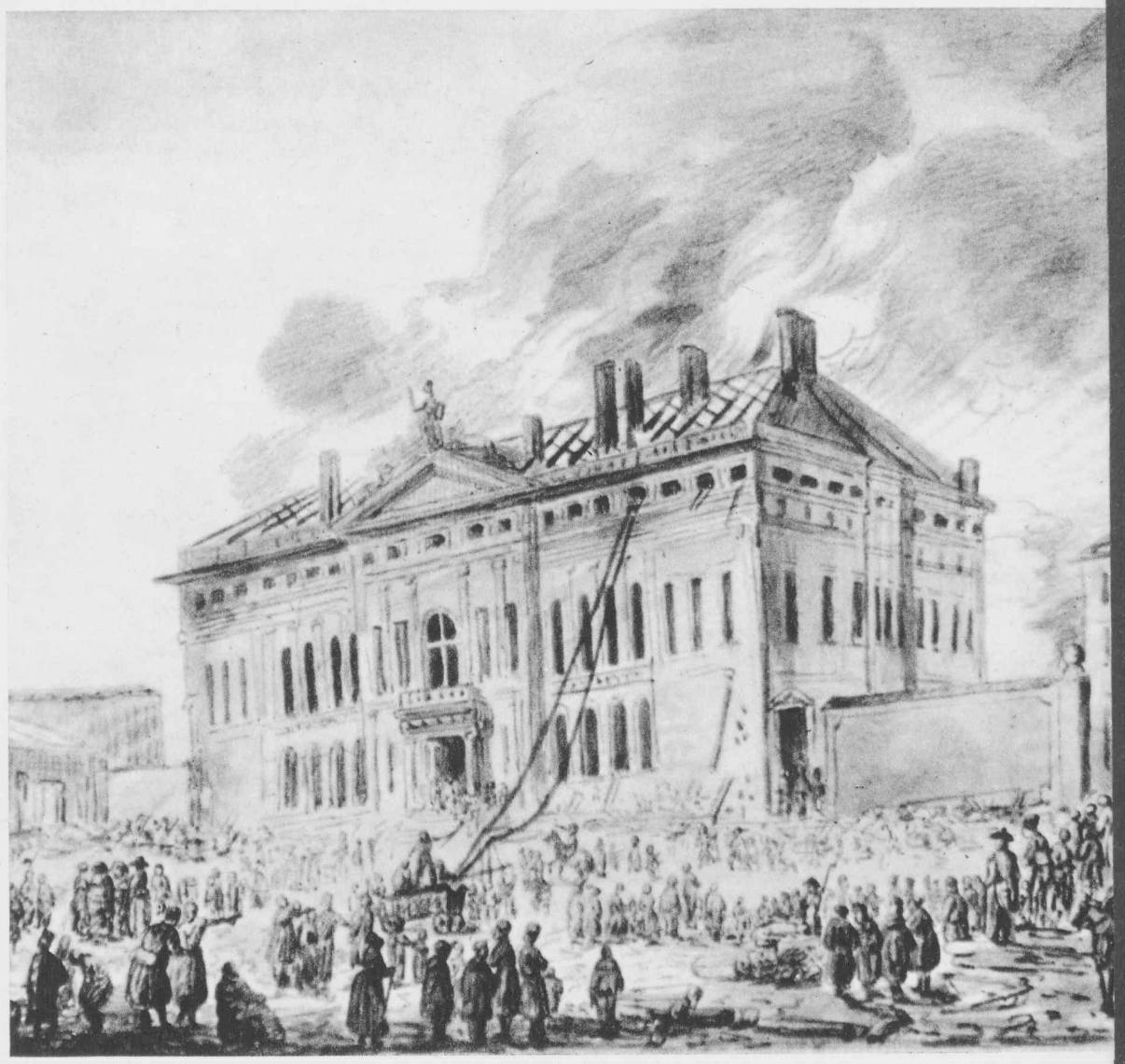

31

BIBLIOTEKA PUBLICZNA M. ST. WARSZAWY

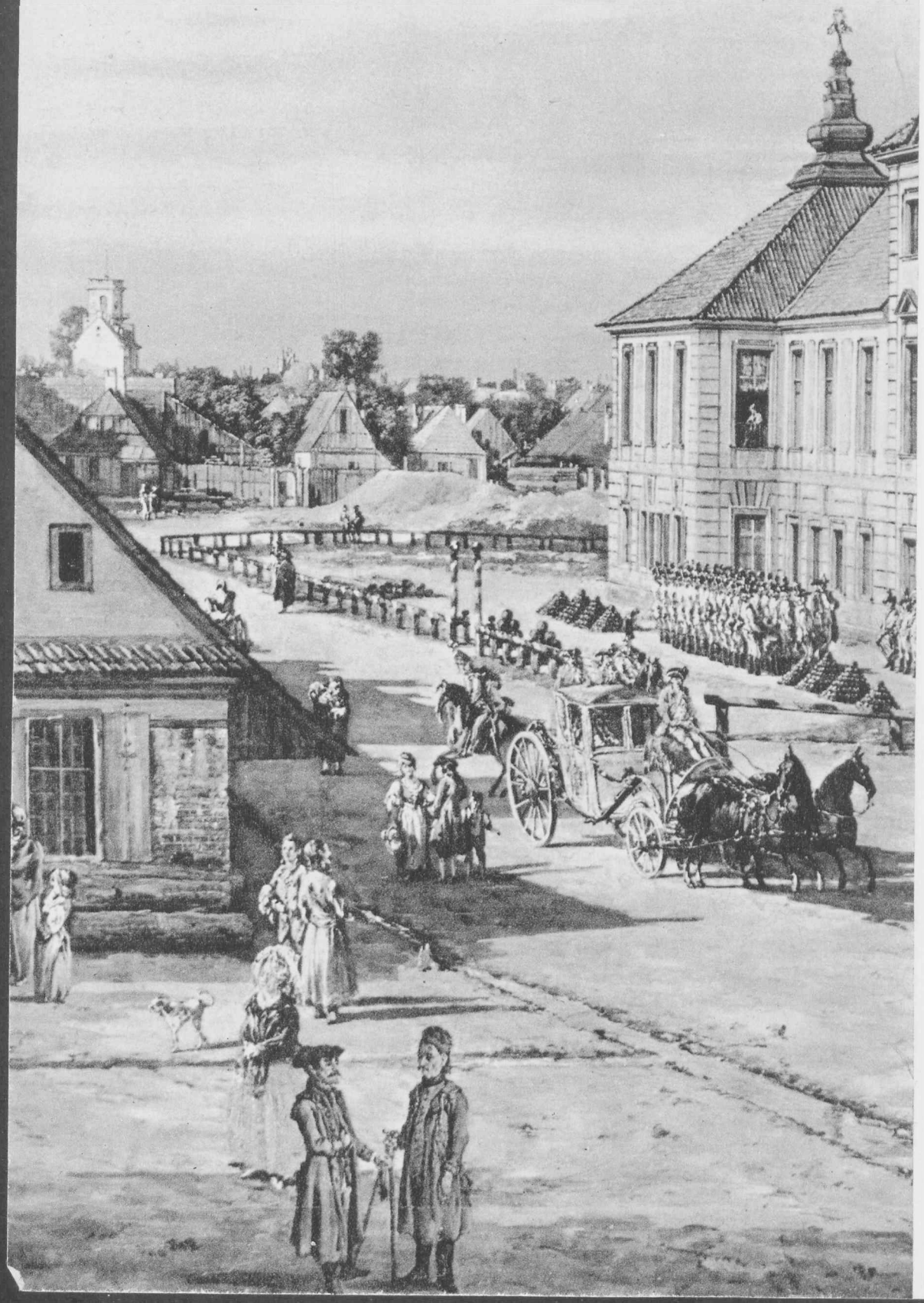

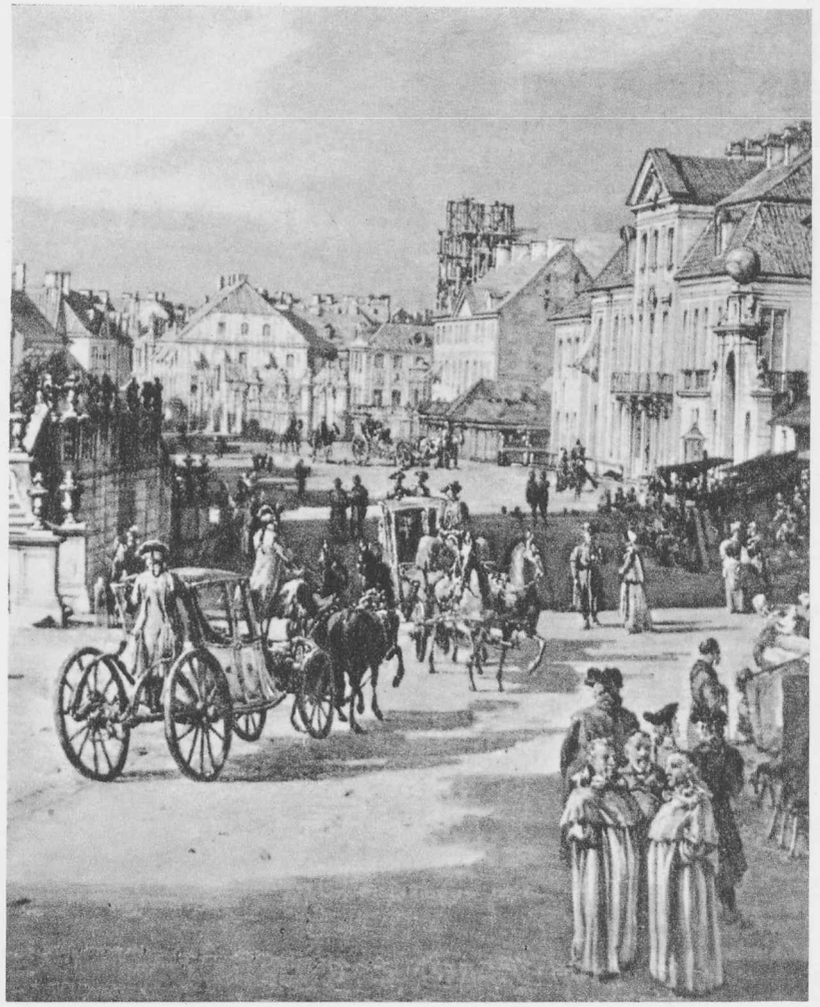

BIBLIOTEKA PUBLICZNA M.ST. WARSZAWY

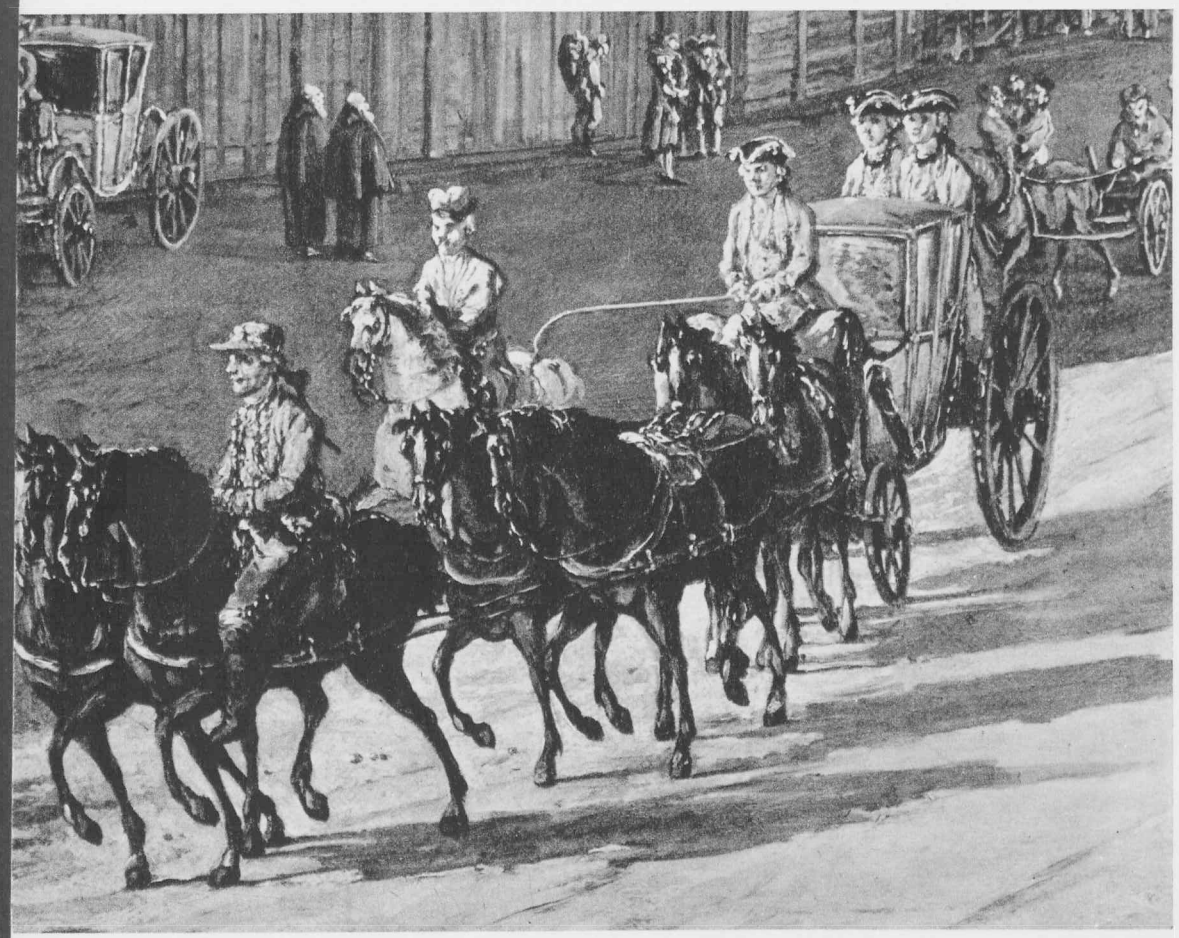

34

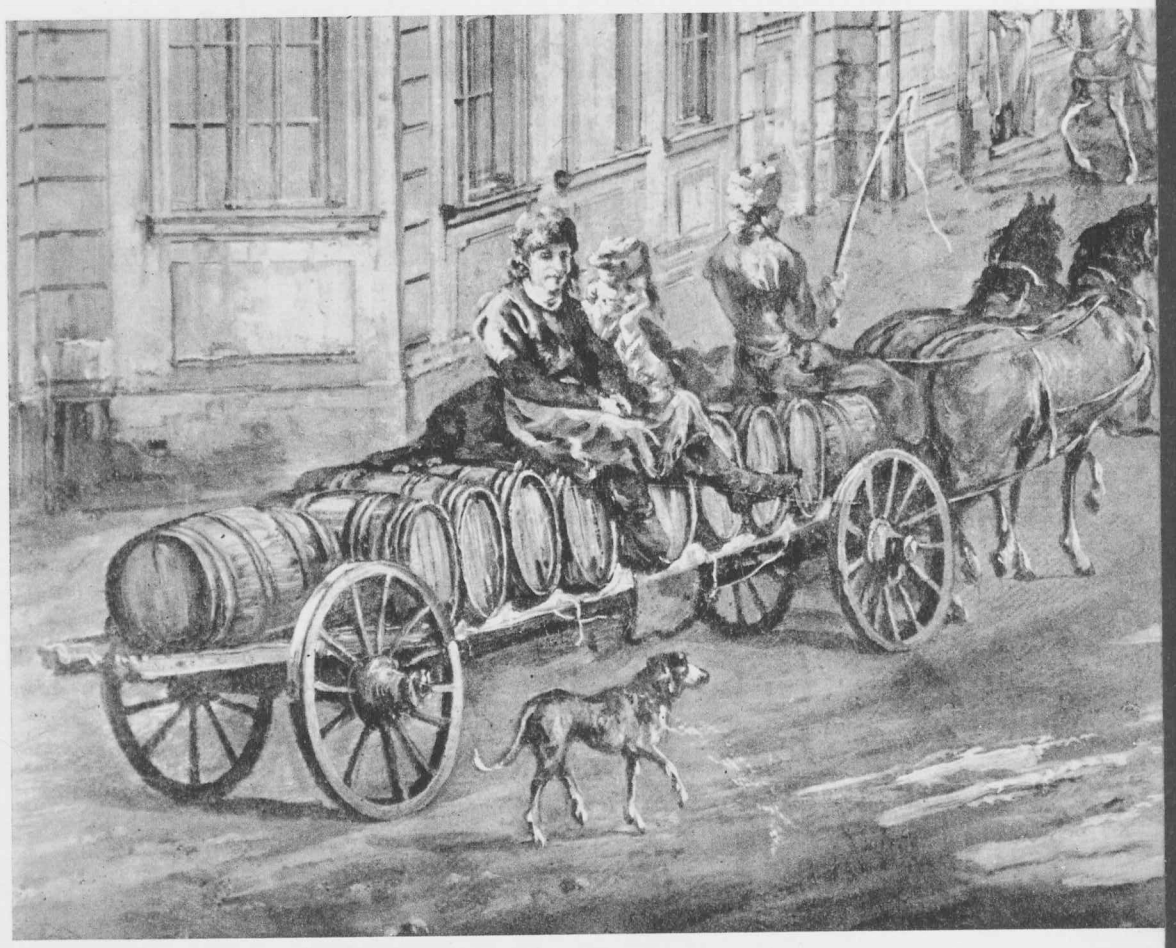

35

BIBLIOTEKA PUBLICZNA m.st. WARSZAWY

36

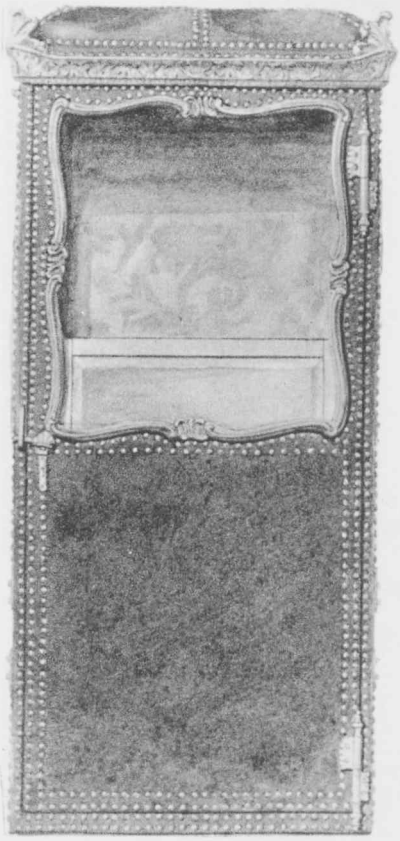

37

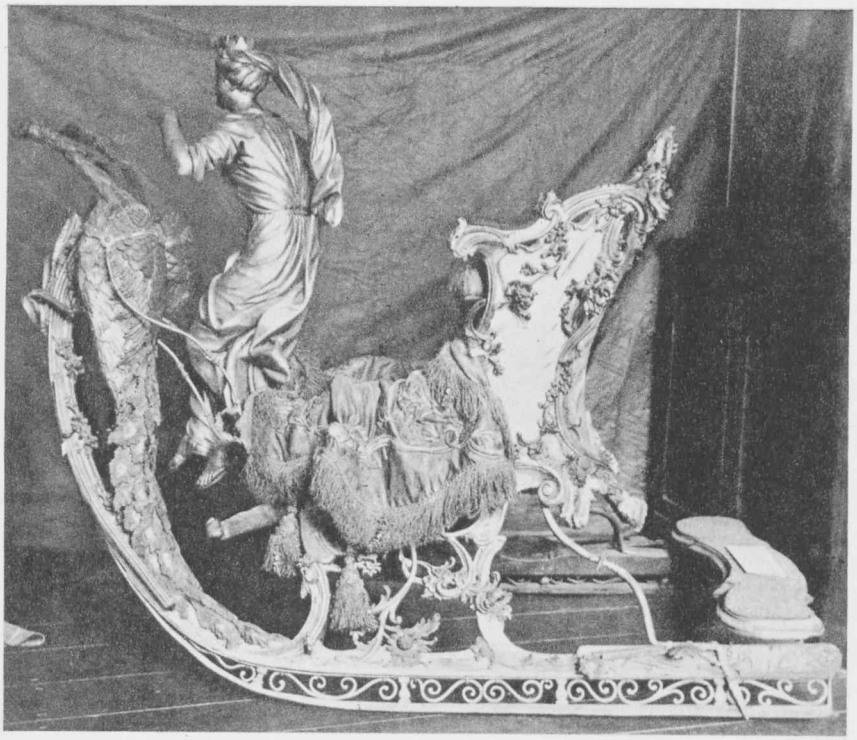

„Warszawa znowu zdana jest na samą siebie. Żebracy włóczą się kupami po ulicach i kościołach, straży i patrolów nie ma, a rząd nic nie wie o przybyłych cudzoziemcach, którzy dłuższy lub krótszy czas w Warszawie przebywają. Ten brak osobistego bezpieczeństwa dotykalnie mi się zwiastował przed samą Warszawą. Na palu stojącym nad drogą samą wisiała ćwierć człowieka, który z drugim jakimś zamordował na moście przechodnia dla kilku dukatów, które ów miał przy sobie. Po moim wyjeździe trafiło się jeszcze zabójstw kilka." [38] Oto ponury obraz przekazany przez znanego nam już, bystrego obserwatora, Fryderyka Schulza. Dlatego też w kamienicach i dworach często zakładano gęste kraty w oknach znajdujących się na niższych kondygnacjach. Przy pałacach magnackich trzymano w kordegardach własną straż, a także armatki i ręczną broń do obrony przeciw napaściom. Poza tym w każdym prawie domu znajdowała się tajna skrytka w murze dla schowania najcenniejszych rzeczy lub też zapasu pieniędzy. Na przedmieściach nie otoczonych wałem nieostrożnemu przechodniowi w każdej chwili groziła nie tylko napaść, ale i śmierć, dlatego — jak pisze Magier — „kto sam szedł w nocy przez ulicę, trzymał goły pałasz przed sobą dla przecięcia stryczka, jeżeli mu złodziej na szyję zadzierzgnął".[39] A winne temu były także zalegające miasto nieprzeniknione ciemności.

Oświetlenie

Warszawa cieszyła się złą sławą najgorzej oświetlonego miasta u Europie. Ulice tonęły w ciemnościach. Iluminacje urządzano jedynie podczas uroczystości dworskich czy też w związku z fetami w pałacach magnatów. Niekiedy pochodnie tzw. laufrów, czyli sług biegnących przed powozami panów, rozświetlały ulice. Stan ten nie uległ zmianom na lepsze pomimo nakazu wydanego już dawniej, w 1754 r., przez prezydenta Starej Warszawy, Jana Dulfusa. Oświetlano wtedy lampami olejnymi ratusz i bramy miejskie, natomiast w dalszym ciągu właściciele prywatnych domów pozostawali głusi na wszelkie zarządzenia. Dopiero od 1771 r., kiedy to porwano króla i w mieście zapanowało wielkie poruszenie, władze policyjne zarządziły oświetlenie główniejszych ulic. Co trzeci dom powinien był mieć w nocy zapaloną latarnię, a także wszelkie gospody, traktiernie, bilardy, siedziby cechów, klasztory, szpitale itp. Zarządzenie to nie obowiązywało właścicieli pałaców. Paliwa do latarń mieli dostarczać posesorowie domów. Nie przestrzegano jednak tych nakazów, a nieliczne w mieście latarnie „swawolni ludzie albo [...] tłukli, albo całkiem zabierali".[40]

23 grudnia 1785 r. odbyła się na ratuszu miasta Starej Warszawy narada nad nowym projektem oświetlenia Warszawy. Przypomniano wówczas, iż „stosując się do woli Najjaśniejszego Króla Imci Pana Miłościwego i Prześwietnego" wydano już w 1778 r. zarządzenia, „aby co trzecia kamienica latarnia przybitą została i dziedziców do opalania onych obowiązywały. [...] Po którym stwierdzeniu latarnie spra-

[38] F. Schulz, *Podróże Inflantczyka z Rygi do Warszawy i po Polsce w latach 1791—1793* (*Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców*, t. II, s. 441).
[39] A. Magier, *op. cit.*, s. 262.
[40] Fr. Giedroyć, *op. cit.*, s. 36—38.

wiono i co trzecia kamienica ustawione zostały, szło tylko o to, że obywatele kondycji miejskiej posłuszni takowe latarnie opalali, dziedzice zaś i duchowni, i stanu szlacheckiego, z mocy prawa do znoszenia różnych ciężarów obowiązani, temu rozporządzeniu ulegać nie chcieli, stąd dzieło to skutku swego nie wzięło". Inni obywatele, ubożsi rzemieślnicy i kupcy, złożyli prośby o zwolnienie ich od obowiązku oświetlenia.

Magistrat chcąc ulżyć obciążeniom mieszczan ustalił na naradzie nowy projekt, według którego w samym mieście oraz na drogach publicznych, jak Krakowskie Przedmieście, Senatorska, Wierzbowa, Podwale, Miodowa, Kapitulna, Długa, Freta, Mostowa i Świętojerska, ustawiono latarnie co 15 łokci (ok. 8 m). Na odleglejszych ulicach każdy posesor obowiązany był do oświetlania swego domu w ciągu ośmiu miesięcy w roku jedną latarnią. Bowiem od maja do sierpnia nie widziano potrzeby oświetlania ulic, jako że „nocne zorze prawie całą noc świecą, tak światło zdaje się być niepotrzebne".[41] W zimowe noce wszyscy podróżnicy zwiedzający Warszawę, a także jej mieszkańcy skarżyli się na egipskie ciemności panujące w mieście oraz na hałasy wzniecane przez pijaków, które przeplatały się z krzykami napastowanych.

Pożary

Ciemności nie tylko sprzyjały złodziejom, ale utrudniały również gaszenie pożarów, zaprószanych zazwyczaj przez nieostrożność. Rozprzestrzeniały się one szybko, brak zaś zorganizowanej służby pożarniczej utrudniał akcję ratunkową. W Warszawie paliło się często, a to z powodu pozostawienia drewna i innych łatwopalnych materiałów w pobliżu ognia, czy też zaniedbania urządzeń kuchennych, zwłaszcza przewodów kominowych, znajdujących się w pożałowania godnym stanie.

W drugiej połowie XVIII w. nie było stałej straży pożarnej, którą zorganizowano dopiero w 1800 roku. Od wieków natomiast mieszkał na wieży ratuszowej trębacz, opłacany przez magistrat. Pilnował on zegara miejskiego i trąbił o każdej pełnej godzinie. Oprócz tych obowiązków pełnił rolę strażnika pożarowego i spostrzegłszy w mieście ogień żałosnym głosem trąby dawał znać o nieszczęściu. W nocy zaś wywieszał jeszcze latarnię z płonącą świecą po tej stronie wieży, po której paliło się w mieście, a także przez długą rurę blaszaną dawał dokładne objaśnienia lokalizujące pożar. Wówczas posterunek straży głównej, mieszczący się na Zamku, wysyłał dobosza na miasto, aby bił w bęben na alarm. Na wieść o nieszczęściu ludzie zbierali się na ratunek i organizowali akcję pożarniczą.[42] Do straży pożarnej należeli przede wszystkim członkowie poszczególnych cechów, ale w gaszeniu pożarów brała też udział gawiedź uliczna. Pomoc ta była jednak powolna, ślamazarna i mało skuteczna.

Dlatego tak łatwo spłonął w październiku 1760 r. pałac Pod Blachą, a południowe, przylegające doń skrzydło Zamku królewskiego przez dwa dni trawił

[41] AGAD, Warszawa Ekonomiczne, nr 7, k. 33 i n.
[42] A. Magier, *op. cit.*, s. 148.

ogień, zanim go ugaszono.[43] Próbowano ulepszyć pogotowie pożarnicze i w końcu lat siedemdziesiątych XVIII w., oprócz straży zorganizowanej przez cechy na wypadek pożaru, obowiązane były również spieszyć z pomocą oddziały regimentu Gwardii Konnej Koronnej. Gdy tylko usłyszano donośny głos bębna dający znać o nieszczęściu, żołnierze na tak zwanej „ogniowej pikiecie", jeden unteroficer oraz ośmiu gemeinów, podążali spiesznie na miejsce pożaru. Inni żołnierze pozostawali w swoich rewirach na pikiecie, ale na powtórny odgłos trąby lub bębna ruszało do akcji dalszych 3 oficerów i 50 gemeinów. Również i z regimentu Gwardii Pieszej Koronnej wyznaczano codziennie pikietę złożoną z 3 oberoficerów, 3 unteroficerów, 1 dobosza i 30 gemeinów. Z tych ostatnich 10 przeznaczonych było do broni, 10 do bosaków, którymi ściągali grożące zawaleniem części płonących budynków, oraz 10 do siekier, ażeby rąbać bardziej zagrożone partie. W 1769 r. w dniu 26 stycznia król wydał szczegółowe zarządzenie, jak oddziały te mają postępować w razie pożaru. Do gaszenia ognia oprócz bosaków i siekier używano wiader skórzanych, którymi czerpano wodę. Do jej pompowania straż marszałkowska naganiała gawiedź nieraz i za pomocą kijów. W akcji używano także sikawek, ale niewiele ich było, skoro wypożyczano je z jednego pogotowia ogniowego do drugiego. Czytamy pokwitowania mówiące, iż „sikawka kołowa wielka wężowa z Pałacu Rzeczypospolitej Krasińskich do Pałacu Rzeczypospolitej Szkoły Rycerskiej dla ratunku *in casu* nieszczęścia ognia w tychże budynkach Rzeczypospolitej dana". Do tej wspaniałej sikawki nie miano jednak koni, o które zwracano się z prośbą do laski marszałkowskiej.

Znaczniejsze gmachy w razie pogotowia ogniowego znajdowały sprzęt we wspomnianym pałacu Krasińskich. Sprzęt ten w 1779 r. składał się z dwu sikawek (zapewne dużych), dwunastu ceberków skórzanych, sześciu wiader skórzanych i czternastu sikawek mosiężnych.[44] Ale nawet doskonały, jak na owe czasy, stan pogotowia nie uratował pałacu, który w 1782 r. uległ znacznemu zniszczeniu w wielkim, trzydniowym pożarze. Nawet sam król przybył na miejsce akcji. Była ona jednak utrudniona przez to, że ratujący nie mieli dobrego dojścia do budynku, gdyż z dachu spływał roztopiony ołów, co zagrażało bezpieczeństwu straży, a z okien wyrzucano rozmaite rzeczy i sprzęty. W następnym roku budynek ten — mieszczący tzw. Komisje Wielkie: Skarbu, Wojska i Edukacji Narodowej, sądy, m. in. marszałkowskie, i archiwa — został odnowiony z zasobów skarbowych. Palił się też dom zgromadzenia teatynów przy ul. Długiej. Ogień przeszedł aż na ul. Freta, gdzie strawił kilka kamienic.[45]

Najbardziej jednak wstrząsnął ludem staromiejskim inny pożar, upamiętniony później we wzruszającym wierszu księdza Ksawerego Zubowskiego.[46] Wybuchł on w niedzielę 6 stycznia 1787 r. po południu w mieszkaniu introligatora przy ul. Piekarskiej. Obraz tragicznych wypadków przedstawił nam Antoni Magier: „Trzecie tej kamienicy piętro straszliwy widok sprawiło. Mięszkająca tam jednego ubogiego rzemieślnika młoda, lat 20 mająca żona, dniem pierwej o godzinie dziewiątej wieczorem w sobotę porodziwszy córkę, w połogu leżała, a mąż właśnie

[43] Fr. Kurowski, *Pamiątki miasta Warszawy*, t. III, Warszawa 1949, s. 4.
[44] AGAD, Warszawa Ekonomiczne, nr 859, lit. C, k. 73, 80, 87, 93.
[45] A. Magier, *op. cit.*, s. 197—198.
[46] Tamże, s. 199.

przed tym przypadkiem wyszedł do miasta dla uczynienia przygotowania do chrztu swej nowo narodzonej córki, zostawiwszy przy położnicy służącą lat czternaście mającą. Gdy dym izbę napełnił i płomień już zaczynał do mięszkania wpadać, porwała się z łóżka nieszczęśliwa położnica i naprzód ratując od dymu swe dziecię schowała je do skrzyni, a nie widząc tam bezpieczeństwa, chciała oknem wyrzucić, lecz ludzie na ulicy stojący wołać zaczęli, aby tego nie czyniła, a tymczasem ratunku dać nie można było, bo drabiny do trzeciego piętra nie dosięgały [...]. Wzięła zatem [dziecko] z poduszką i przystąpiwszy do okna [...] z zamachem na dal od siebie rzuciła tak dalece, że osobno poduszka, a osobno dziecko spadało. Dziwnym zdarzeniem dziecię, przed kilkunastu tylko godzinami urodzone, z trzeciego piętra gwałtownie wyrzucone, gdy już miało upaść na ziemię, pochwycił je stojący lokaj na ulicy nie tylko żywe, ale bez najmniejszego uszkodzenia na zdrowiu." Natomiast matka, skacząc, „głowę [...] sobie aż do kości zraniła, rękę wykręciła i kark straszliwie stłukła". Dramatyczne sceny odgrywały się też i na czwartym piętrze kamienicy, z którego żona stangreta wyrzuciła przez okno dwoje maleńkich dzieci. Jedno z nich zabiło się, a drugie zostało kaleką. A matka ich „już się zabierała [...] rzucić się oknem na dół, alić przyszła jej myśl schronić się przez dachy. Wysunęła się dymnikiem na dach i z dachu na dach z wielkim niebezpieczeństwem na kolanach czołgając się, wsunęła się przez dymnik do jednej kamienicy i tym sposobem przecie ocalała. Na tymże czwartym piętrze trzyletnie kuśnierza dziecię, w izbie zostawione, razem z izbą i z kamienicą zgorzało. Przyległej także kamienicy część większa spłonęła, a na trzeciej dach zniszczony został." [47]

Pożarów było bardzo wiele, ale nie o wszystkich pisano w warszawskiej prasie, nie wszystkie też posiadały tak dramatyczny przebieg. Po pożarze na ul. Piekarskiej sam król zainteresował się stanem sprzętu pożarniczego, o czym donosiła „Gazeta Warszawska": „po obiedzie u Imci Pana Gurowskiego, marszałka WXLit., [król] raczył oglądać sikawkę nowo inwentowaną dla prędszego zalania ognia, tudzież drabinę z Anglii zapisaną, żeby z każdego piętra mogli się ludzie w pożarze [...] przez okna bezpiecznie salwować; oraz inne do porządku bronienia pożaru potrzebne statki".[48] Pomimo osobistego i zapewne krótkotrwałego zainteresowania króla sprawą pożarniczą miasto nie doczekało się za jego rządów dobrze zorganizowanej straży przeciwogniowej.

[47] Tamże, s. 198—199.
[48] „Gazeta Warszawska", nr 72 z dnia 8 września 1787 r.

ŻYCIE WARSZAWSKIEJ ULICY

Ruch uliczny

Pomimo regulacji arterii miejskich, kładzenia bruków, przeprowadzania kanalizacji i zakładania oświetlenia większość ulic, zwłaszcza na przedmieściach, przynajmniej przez kilka miesięcy w roku była niezdatna do wygodnego pieszego przejścia czy przejazdu. W stolicy, jak w prowincjonalnym miasteczku, nie tylko wysypywano na ulicę śmieci, ale także wszędzie magazynowano w stosach drewno na opał, co znacznie utrudniało poruszanie się, a także stanowiło niebezpieczeństwo dla ruchu ulicznego z jego szybkim, wielkomiejskim tempem, tłumem niesfornych przechodniów, znaczną liczbą konnych i pojazdów. Dlatego władze miejskie wydały szereg przepisów regulujących ruch uliczny w Warszawie. Przede wszystkim dotyczyły one właścicieli mniej wykwintnych pojazdów, którym grożono karą pieniężną za zbyt szybką i nieostrożną jazdę.

W r. 1784 ukazało się szczegółowo opracowane obwieszczenie marszałka Mniszcha dotyczące przepisów ruchu, które obejmowało zarówno przechodniów, konnych, jak i wszelkie pojazdy. Konnym zakazywano jazdy cwałem, a stangretom polecano, aby „z wolna środkiem ulicy jeździli, ludzi piechotą chodzących nie potrącali [...] i na ludzi piechotnych o umknięcie się z drogi wcześnie wołali". Dla bezpieczeństwa pieszych nie wolno było jeździć blisko domów ani urządzać postojów karet na wąskich ulicach. Zabroniono pojazdom mijać się w pędzie, stangretom zaś zostawiać pośrodku ulicy fury i karety, by nie zagradzały drogi. Należało umieszczać je na obszerniejszych miejscach czy placach. W obwieszczeniu marszałkowskim widniało też wiele innych wskazań zgodnych ze zdrowym rozsądkiem, którym tylko w pewnej mierze odznaczali się osiemnastowieczni przechodnie. Zdarzało się wiele wypadków przejechania i potrąceń, dlatego też wzywano do oznaczenia miejsca dla pieszych, których pouczano z kolei, ażeby chodzili po bokach ulicy i „nadjeżdżającym powozom lub konnym wcześnie z drogi umykali się". Wzywano, aby rodzice czy też opiekunowie nie pozostawiali dzieci samych na ulicy, gdyż im „z naturalnej żywości śpieszno, a niebacznie na przejeżdżających powozami i konno po ulicach biegając, przypadkowi roztrącenia lub przejechania podpadają".[1]

Obraz ten wydaje nam się szary i nieco smutny. Nic błędniejszego! Ulice Warszawy, ruchliwe i kolorowe, tętniły życiem. Wśród przechodniów byli, spostrzega Schulz, „mnichy, żołnierze, najdziwaczniejsze figury i stroje, nadające tłumowi pozór najrozmaitszy. Do tego łączą się osoby klas wyższych, możniejszych, które raczą chodzić piechotą mimo godności swojej, ale ubierają się już staranniej i czyściej. Za tym idzie publiczność konna i powozowa, a ta czasów sejmowych jest tak świetna, jak i w innych wielkich, europejskich miastach. Począwszy od zamożnego kupca nikt już nie chodzi pieszo, najmniej zaś kobiety, chyba pogoda bardzo piękna, droga krótka, a bruk bardzo czysty. Stąd wypływa, że ledwie w którym

[1] AGAD, Warszawa Ekonomiczne, nr 860, druk ulotny wydany 3 lutego 1784 r.

mieście europejskim spotyka się tyle powozów w ruchu co w Warszawie, tak iż bez przesady liczyć można, że jednego dnia czasu sejmu lub wielkiego balu więcej ekwipażów widzi się w Warszawie niż w przeciągu czterech tygodni w Berlinie. Toż samo z konnymi. [...] Na ulicach tyle się spotyka konnych, co powozów. Przypuściwszy, iż każdy jeździec możny lub mający kredyt nie ruszy się bez jednego lub dwóch pachołków konnych — co się zawsze trafia — można sobie wystawić tumult i wrzawę uliczną. Bezzawodnie Paryż, Londyn, Neapol i Wiedeń są najhałaśliwszymi miastami Europy. Bardzo bym był skłonnym Warszawę po nich postawić. Niektóre części miasta mogłyby z tymi stolicami iść o lepszą. Stare Miasto, Nowe Miasto, Krakowskie Przedmieście i wszystkie bliższe ich ulice wytrzymują porównanie".[2] Życie ulicy trwało i nocą. „Niemniej nocna pora, szczególnie zimowa, nadawała im ożywienie przez ciągły turkot karet i migające się pochodnie, używane do oświecenia ciemnych ulic stolicy, a sklepy dostarczające zbytkowych do wesołej, późnej zabawy towarów po północy nie bywały jeszcze zamykane" — wspomina lata swej młodości Antoni Magier.[3]

Modne pojazdy — karety, kabriolety, sanki, lektyki, fiakry

Pojazdy zapełniały warszawskie ulice. Najwięcej znajdowało się wśród nich lekkich, ozdobnych, wychodzących już z mody karet drezdeńskich. Całe pudło zwężającego się ku górze pojazdu, jak i schodki, zawieszone było na rzemieniach, dlatego niegdyś nazywano je kolebką. Niektóre pojazdy posiadały resory. Kareta wymagała najczęściej zaprzęgu sześciokonnego, gdyż jeżdżono zwykle w licznej asyście ubranych w barwy swego pana hajduków lub kilku pajuków, którzy umieszczali się na stopniu zawieszonym z tyłu karety, oraz pazia stojącego na desce za kozłem i trzymającego się stangreta. Pudła karet wykonywane były snycerską, bardzo wykwintną robotą. W zdobieniu ich stosowano jeszcze dawne wzory rokoka drezdeńskiego. Partie, bogato rzeźbione, złocono. Dolna część pudła posiadała malowany herb i barwy właściciela, niekiedy też ozdobne medaliony, górna natomiast była prawie cała przeszklona, tylko ściankę tylną zasłaniano tkaniną przed oczami ciekawych. Wnętrze pojazdu obijano bogatymi materiami, np. adamaszkiem, trypą czy też aksamitem o żywych barwach, przy czym najmodniejszy był karmazyn, błękit lub kolor popielaty. Rumaki dobierano z najlepszych stajni. Zazwyczaj były to konie wysokiej krwi, przybrane w strojną uprząż. Zaprzęgano sześć koni, niekiedy również cztery, często też używano małej karety dwuprzężnej. Jeżdżono nie tylko dla wygodnego przenoszenia się z miejsca na miejsce. Przejażdżki należały do ulubionych zabaw wielkiego świata.

Warszawskie pojazdy uwiecznił na swoich obrazach Canaletto, ukazując różne rodzaje karet, odmalowanych tak precyzyjnie, że widoczny jest każdy ich szczegół. Bogactwo i przepych przejawiają się w scenie wjazdu karety z ul. Senatorskiej na plac Zamkowy. Pojazd otacza asysta konnych jeźdźców, tworzących tzw. kawal-

[2] F. Schulz, *Podróże Inflantczyka z Rygi do Warszawy i po Polsce w latach 1791—1793* (*Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców*, t. II, s. 428—429).
[3] A. Magier, *Estetyka miasta stołecznego Warszawy*, s. 102.

kadę. Równie wspaniała jest kareta przejeżdżająca ul. Miodową czy też przez plac Żelaznej Bramy. Malarz wydobył przejmujący kontrast bogactwa i przepychu możnych na tle okalających pałace ruder i ich ubogich mieszkańców.

Prawdziwe rewie najwykwintniejszych i skromniejszych pojazdów odbywały się na Zielone Święta, kiedy długie szeregi zaprzęgów posuwały się w kierunku Bielan, a także w dni świąteczne przed kościołem Bernardynów na Krakowskim Przedmieściu, do którego wielki świat jeździł na mszę. Plac i dziedziniec zamkowy był również miejscem karetowych parad. Stały tam liczne pojazdy dostojników udających się na dworskie pokoje.

W końcu XVIII w. wszedł w modę lekki, otwarty, wysoko zawieszony powóz zwany kabrioletem, a w Niemczech *whisky*. Zasługę wprowadzenia nań mody w ówczesnej Warszawie przypisuje się księciu Józefowi Poniatowskiemu. Na początku zaprzęgano do tego pojazdu cztery konie, a potem osiem, parami jedna za drugą. Sam książę, stojąc w asyście dwóch przyjaciół, powoził kabriolką, a miał najpiękniejsze konie w Warszawie. Przejażdżki te budziły zachwyt w damach, gorących jego wielbicielkach, które przyrównywały go do woźnicy rzymskiego, biorącego udział w igrzyskach cyrkowych. Nie minął miesiąc od czasu pierwszego spaceru księcia Józefa, gdy w Warszawie ukazały się liczne kabriolety, przeznaczone na trzy osoby. Nawet panie nie oparły się tej modzie i sześć najpiękniejszych elegantek stolicy, sprawiwszy sobie dwie wykwintne *whisky*, w asyście dwóch przyjaciół, wybrały się na spacer po mieście. Zwykle towarzyszyły najpiękniejszemu kabrioletowi, którym powoził książę. Po czym nastąpiła mała zmiana, po której widywano trzy kabriolety razem udające się na przejażdżki w podmiejskie okolice, a każdym z nich powoził kawaler mający po obu stronach dwie damy. Wkrótce już nie tylko arystokratyczne towarzystwo zażywało przyjemności przejażdżki kabrioletem. Panie z warszawskiego środowiska mieszczańskiego, żony bankierów i kupców, gdy nie umiały same powozić, brały na woźniców przyjaciół lub braci i też dołączały się do barwnego tłumu warszawskich ulic. A w niedługim czasie ukazały się kabrioleciki z trzema dziewczętami, o których Schulz łagodnie mówił: „nie należące do żadnej klasy społeczeństwa wyłącznie, bo żyjące ze wszystkimi w stosunkach".[4]

Nie tylko karetami, kabrioletami i innymi wykwintnymi powozami jeżdżono po ulicach Warszawy. O każdej porze dnia ciągnęły przez miasto zwykłe wozy chłopskie, zaprzęgnięte w mizerne szkapy, a załadowane towarem przywiezionym na targi. Dostawcy zboża, mąki, krup, nabiału, warzyw, owoców i siana, pochodzący z bliższych czy też odleglejszych wsi, stanowili główne źródło zaopatrzenia w żywność ludnej stolicy.

Czasami, zazwyczaj jesienią, zaobserwować można było długie sznury pojazdów, załadowanych koczów, kolas, landar i zwykłych wozów, którymi z odległych wiosek czy też wielkich włości zjeżdżała szlachta i możni na sejmy, zimowe zabawy i inne przyjemności życia miejskiego.

W okresie zimy chętnie jeżdżono saniami. Przejażdżki te zwano wówczas szlichtadami. Do nich używano pięknych, bogato zdobionych sań o rozmaitych, nieraz bardzo oryginalnych kształtach. Towarzystwo, złożone z kilku lub kilku-

[4] F. Schulz, *op. cit.*, s. 522.

nastu osób, wsiadało do sanek wykonanych przeważnie z metalu snycerską robotą, niekiedy posrebrzanych, najczęściej o kształcie łabędzia z wysmukłą szyją. Przód pojazdu zdobiły niejednokrotnie figury zrobione z drzewa, np. Bachus siedzący na beczce, strzelec mierzący z fuzji do zwierzyny czy inne. Używano też sań drewnianych, gładko lakierowanych, przystrojonych ozdobami z brązu lub srebra. Do pojazdu zaprzęgano parę ozdobnych rumaków, bogato przybranych, z wysokimi czubami z piór na głowie, pokrytych skórami wilczymi lub lamparcimi, a przy szorach przymocowywano malutkie dzwoneczki, które ciągłym dźwiękiem oznajmiały, że jedzie kulig.[5] Z wielkim zdziwieniem Schulz zauważył, że konie niekiedy miały u boku umocowany długi, wąski pas kolorowej, jedwabnej materii, przytwierdzony z drugiej strony do boków sani. Materia ta wyglądała jak rozpięte na wietrze barwne żagle, a służyła do ochrony jadących przed śniegiem i błotem, które rozpryskiwały się spod końskich kopyt.[6] A oto jak opisuje Naruszewicz jedne z najpiękniejszych sań, stanowiące własność czarującej Izabeli Czartoryskiej:

Twój powóz wszystkie zgasił: cały złotem błyska;
Siedzi Kupid na dyszlu i grot z łuku ciska.
Wkoło lotnych Amorków płochy tłum się wije,
Siejąc róże szkarłatne i mleczne lilije.
Dzielny rumak pod ciężar chyli kark z ochotą,
Toczy z ust białe piany, żuje czyste złoto.
Z wysmukłej szyi cudny zaplot na pierś spływa.
Ozdobny szor od pereł raźny grzbiet okrywa.
Pełno dzwonków po bokach brzęk wydaje mnogi,
Ostrzegając, by każdy ustępował z drogi.[7]

W sankach siedziały damy, które nie zważając na mróz ubrane były w strojne, wygorsowane suknie, a na nie narzucały tylko lekkie futro. Ręce chowały w mufkę wyłożoną piórami, zwaną „rękawkiem kapłonim". Głowy, na których wznosiły się nader kunsztowne fryzury, pozostawały odsłonięte. Nogi trzymały elegantki w woreczku futrzanym. Ich kawalerowie siedzieli lub stali z tyłu powożąc ogniście i z wielką wprawą. Często towarzyszyli sannie także pięknie ubrani masztalerze na koniach. Barwny i hałaśliwy orszak udawał się na dalsze spacery w podmiejskie okolice, do Wilanowa czy Mokotowa, lub w przeciwnym kierunku — na Marymont. W oznaczonym miejscu przygotowywano już dla uczestników szlichtady podwieczorek albo też wstępowano do jednej z licznych kawiarń na gorącą kawę, którą piła wówczas cała modna Warszawa.

W r. 1777, ku zdziwieniu mieszkańców stolicy, pojawiły się na ulicach Warszawy lektyki. Przywilej na ich wyłączne posiadanie wydano dwom francuskim spryciarzom, którzy otrzymali również koncesję na trzymanie fiakrów. Byli to pan de Clair i *chevalier* d'Ossudy. Ten ostatni przedstawił memoriał zatytułowany *Plan de l'établissement des chaises à porteurs dans la ville et les faubourgs de Varsovie*. Sam marszałek wielki koronny, Lubomirski, przejął notę w sprawie lektyk od Departamentu Policji, dodając do niej wiele własnych, interesujących

[5] A. Magier, *op. cit.*, s. 125—126.
[6] F. Schulz, *op. cit.*, s. 523.
[7] A. Naruszewicz, *Na sanie księżny Izabeli Czartoryskiej, Generałowej Ziem Podolskich* (*Liryki wybrane*, wybór i wstęp J. W. Gomulicki, Warszawa 1964, s. 62).



I

uwag, wyraził jednak zastrzeżenie co do bezpiecznego używania tych środków transportu w mieście: „Lektyki sprawują wygody *publico*, lecz podobne ustawy zwykle bywają w miastach pomniejszych, gdzie nacisk karet, powozów i konnych, ulice zaludniających, zwykle nie jest wielki, lecz w mieście stołecznym, a osobliwie w czasie sejmów i zjazdów publicznych przy codziennym nacisku powozów transportowych obawiać się potrzeba, by lektyki nie podlegały przypadkowym *ea inde* nieszczęściom i nie sprawiały zawady i *incommoda* przejeżdżającym." [8]

Pomimo tych zastrzeżeń wydano pozwolenie na przeciąg dziewięciu lat na używanie lektyk. Kontrakt zobowiązywał do trzymania pięćdziesięciu lektyk, porządnych, ponumerowanych, a także opatrzonych dwiema latarniami. Drążnicy, bo tak nazwano tragarzy, mieli być jednolicie ubrani i oznaczeni numerami. Lektyki znajdować się miały w składach na Nowym Mieście na Rynku, na Krakowskim Przedmieściu, przed Bernardynkami i Wizytkami. Opłatę należało uiszczać kasjerowi przed kursem, ażeby uniknąć kłótni. Płacono za kurs godzinny w dzień 1 zł i gr 15, natomiast w nocy 2 zł. Przewidując, iż niektórzy mieszkańcy zechcą udać się tym środkiem lokomocji w dalszą nieco drogę, ustalono, że „gdyby kto kazał nieść się z jednego na drugi koniec miasta, przez wzgląd dalekiej drogi i złego bruku wolno będzie drążnikom wypocząć przed pierwszym po drodze przypadającym składem raz jeden, skąd inni drążnicy, zastępując pierwszych, lektykę na miejsce wyznaczone zaniosą." [9]

Magistrat miał nadzieję na znaczne dochody z tej imprezy i wyznaczył kontrahentom sumę 1000 złotych polskich, płatnych w czterech ratach. Postawiono również warunek w kontrakcie, że zarobki swe panowie Ossudy i de Clair muszą wydawać w kraju, a w ciągu dwóch lat Ossudy jest zobowiązany do nabycia na własność posesji w Warszawie czy innym mieście. Niestety, lektyk używano nader krótko. W r. 1779 była już tylko jedna.[10] Nie tylko przeszkadzały w ruchu ulicznym, jak przewidywał marszałek Lubomirski, ale ponadto dyspozytor dobierał nieodpowiednich ludzi na tragarzy. Ci, będąc często w stanie nietrzeźwym, upuszczali laski do niesienia, w zimie zaś ślizgali się na oblodzonej, nierównej jezdni i upadając narażali na szwank podróżującego. Co gorsza, okradali również klientów, przeważnie tych, którzy nocną porą wracali z komedii i redut. Fakt taki przydarzył się m. in. dostatnio ubranej niewieście, którą „zanieśli [...] pod Cekauz i tam do koszuli obdarłszy porzucili".[11] Ale moda, jak zwykle w swych początkach, była wszechwładna. Ulegli jej i magnaci. Sam książę Radziwiłł używał lektyki wytwornej, ozdobionej herbami haftowanymi, obitej pąsowym aksamitem, ze złotymi galonami i bogatymi firankami, które zasłaniały okna.[12]

W r. 1777, w maju, zjawiły się też w Warszawie, wzorem Paryża i innych większych miast europejskich, pierwsze fiakry. Przedsiębiorstwo wynajmujące te pojazdy zostało założone, jak już wspomniano, przez panów de Clair i Ossudy. W kontrakcie zawartym z magistratem zobowiązali się oni do wystawienia pięćdziesięciu numerowanych czteroosobowych fiakrów. Woźniców miano dobrać „w przy-

[8] AGAD, Warszawa Ekonomiczne, nr 859, lit. D. Czynności *in ordine* lektyk i fiakrów.
[9] Tamże. [10] Tamże.
[11] Bibl. PAN w Krakowie, rkps 993. Gazetka pisana z Warszawy 17 IX 1777. Za J. Jacklem *Teatr Stanisławowski w prasie współczesnej*, „Pamiętnik Teatralny", R. XVI, 1967, z. 1, s. 36.
[12] AGAD, Archiwum Radziwiłłów XVIII, nr 379, k. 124.

stojnym ubiorze, numerowanych, trzeźwych, wiernych, umiejętnych jeździć". Ponieważ ten nowy sposób lokomocji mógł stanowić konkurencję dla karet wynajmowanych dotychczas, wprowadzono więc następujące rozróżnienie ich czynności. Dawne karety nazwane zostały „karetami do najęcia" na cały dzień lub na pół. Natomiast pojazdy pochodzące z przedsiębiorstwa dwóch Francuzów nazwane zostały fiakrami i mogły być wynajmowane tylko na kursy. Oznaczono miejsca ich postoju. Odtąd, ażeby nająć fiakra, udawano się na Krakowskie Przedmieście pod kaplicę Moskiewską lub pod pałac Radziwiłłowski. Mieszkańcy Starego Miasta szukali ich pod kolumną Zygmunta albo na Rynku Starego Miasta, na tyłach ratusza. Na Nowym Mieście znaleźć je można było na Rynku w pobliżu narożnej kamienicy Fontany przy ul. Zakroczymskiej. Na ul. Długiej czekały fiakry przed Pałacem Rzeczypospolitej naprzeciw Pijarów, na ludnej ul. Senatorskiej były dwa postoje, mianowicie przy Marywilu i naprzeciw Pałacu Błękitnego.

W pobliskim sklepie lub budce chętny przejażdżki uiszczał opłatę za kurs. Otrzymywał wtedy blaszkę z numerem fiakra. Ile płacono za kurs? Z Zamku do kościoła Św. Krzyża, do Pałacu Błękitnego lub kościoła Franciszkanów opłata wynosiła 1 złoty polski. Jadąc nieco dalej, na ulicę Chmielną, na koniec ulicy Królewskiej pod Koszary Wielopolskich, Leszno, Bielino czy też na ulicę Gęsią, płacono 1 i 1/2 złotego. Za kurs na przedmieścia, np. Fawory, Ujazdów czy Grzybów, liczono 2 zł. Spacerowicze udający się na dłuższą promenadę do Łazienek, Mokotowa czy Woli musieli się umawiać co do zapłaty osobno, jak również ci, którzy wybierali się na Pragę. Można było fiakrem wyjechać dalej poza miasto, np. milę za Okopy, czyli wały Lubomirskiego, pod warunkiem, że najmujący wówczas „ostrzec ma o tym kontrahentów, którzy mu za tęż samą sumę, co i w mieście, cztery konie przystawić powinni będą. Wyjeżdżający zaś dalej niż o milę od Okopów godzić się mają z kontrahentami o cenę kursu, nocleg i żywność koni". Fiakry winny były jeździć bardzo ostrożnie, by nie zawadzać karetom oraz powozom, na placach zaś publicznych nie wolno im było zajmować miejsca przeznaczonego dla magnackich pojazdów.

Za uzyskany od władz miejskich przywilej panowie Ossudy i de Clair zobowiązali się wpłacać do kasy miejskiej po 60 zł rocznie od każdego pojazdu. Pieniądze te miały być zużyte na wyreperowanie na Pradze ulicy, która wiodła do mostu. Obowiązani też byli w razie pożaru stawać do pomocy w akcji ogniowej. Poza tym miejsca postoju dwa razy w tygodniu „z gnoju i paskudztwa oczyścić mają i one wywieźć swymi końmi na miejsce najbliższe, od jurysdykcji wyznaczone". Nie wszystkie jednak punkty umowy zostały dotrzymane. Nie było przede wszystkim pięćdziesięciu fiakrów. Właściciele przedsiębiorstwa zalegali z opłatami podatkowymi, a także nie stawiali się na wypadek pożaru.[13] Niemniej jednak fiakry stały się popularnym środkiem komunikacyjnym w ostatnich latach przed upadkiem Rzeczypospolitej.

Przedsiębiorstwo wynajmowania fiakrów na kursy prosperowało bardzo dobrze. Konkurowały z nim wspomniane karety do wynajęcia na cały dzień. W 1781 r. osoby prywatne uprawiające ten proceder zagrożone zostały przez grupę mieszczan, która przedstawiła Departamentowi Policji dwa projekty stworzenia „Entrepryzy

[13] AGAD, Warszawa Ekonomiczne, nr 859, lit. D. Czynności *in ordine* lektyk i fiakrów.

karet dziennych i sanek". Autorzy jej chcieli przechwycić w swoje ręce dochody, które były dotychczas rozproszone. Uzyskiwała je mianowicie duża liczba osób wynajmujących karety, a wynajmować je mógł, praktycznie biorąc, każdy właściciel podobnego pojazdu. Propozycję dwóch konkurujących z sobą przedstawicieli projektów przedłożono nawet królowi, Stanisław August odmówił im jednak wydania pozwolenia uzasadniając swą decyzję faktem, że przedsiębiorstwa takie stworzyłyby „monopolium". W miesiąc po tej odpowiedzi wydano ustawę, ogłoszoną drukiem 28 czerwca 1781 r., według której każdy właściciel mógł wynajmować karetę na pół albo na cały dzień pod warunkiem, że „zgłosić do dozorcy jurysdykcji marszałkowskiej koronnej karetę, konie wraz z zaprzęgiem i stangretem przed tymże dozorcą prezentować ma", a to w celu zbadania stanu pojazdu. „Kareta ma być pięknie lakierowana, trypą lub suknem pięknym wybita, konie maściste w dobrym ciele, szory z mosiądzem wychędożone, a stangret porządnie i czysto ubrany, trzeźwy, pilny i jeździć umiejętny." Taksa wynosiła 16 zł za dzień, poza tym właściciele karet obowiązani byli wpłacić do Kasy Brukowej na potrzeby miasta 4 zł na rok, a w zamian za to otrzymywali kwit i pozwolenie na wynajem.[14]

Projekt uporządkowania warszawskiej ulicy

Barwne i tętniące życiem ulice nie zawsze cieszyły oczy i uszy zamieszkałej przy nich ludności. Dokuczał jej często hałas i wrzawa, kurz i błoto w miesiącach cieplejszych, a ślizgawica i nieuprzątnięte śniegi w zimie. Nie zadowalały mieszkańców Warszawy wysiłki władz miejskich. Sarkali na opieszałe tempo prac porządkowych, niekiedy składali skargi i petycje do urzędu. Niektórzy z nich wysuwali nawet własne projekty usprawnienia ruchu, podniesienia bezpieczeństwa, a także estetyki ulic Warszawy. Do nich należał nieznany autor pracy pt. *Myśli patrzącego przez okno na ulicę w Warszawie 1791*. Przedstawił on kilka pomysłów mających na celu m. in. usprawnienie i bezpieczeństwo ruchu na ulicach: „Dwa łokcie usunąwszy od domów, dałbym wciąż ulicy barierę, w tym miejscu przerywaną, gdzie wjazd albo i wniście tylko znajduje się. W tej barierze miejscami zamiast balów mogą być słupy [...], na których latarnie osadzone będą. Dwa łokcie odstępu od domów daje się, aby się dwóch pieszych wygodnie minąć mogło. Pokażą się tym sposobem w Warszawie londyńskie trotoary, a żadna panna Marcjanna o wóz spódnicy walać nie będzie. [...] Pomiarkowawszy potrzebę przekupniów, powyznaczać place i miejsca, gdzie by się wygodnie mieścić mogli. Na ulicach ciasnych wcale się znajdować nie powinni [...]. Miejsca takowe oznaczone, czyli place, nowym barier okrążeniem zabezpieczone być powinny. Żadna nigdy tam kareta ani wóz lokować się nie może, ale jedynie rzeczy do pożywienia przedające się. [...] W takowych barierami ogrodzeniach, zamiast straganów i daszków wyższych i niższych, dziś na kształt straszydeł wyglądających, powinno być raz uczynione jednostajne zabudowanie słupów i daszku ciągłego, zrobione nieco gruntowniej, aby go lada wicher wywrócić nie mógł. [...] W takowym zabudowaniu stoły, czyli

[14] Tamże, lit. E. Czynności *in ordine* karet do najęcia.

stragany, podzielić potrzeba między rozmaite gatunki rzeczy przedających się. [...] Żaden wóz przejeżdżający z piwem do domu, gdzie szynk jest, ani z towarami, gdzie jest sklep, dłużej nad pół kwadransa przy domu bawić nie ma. Podobnież kareta na ustroniu pana swego czekać powinna i wtedy dopiero przed dom zajeżdżać, gdy państwo wsiadać ma. Drzewo do rżnięcia rzucone tak być powinno, aby przejeżdżającemu drogi nie zawalać, a dwa razy 24 godzin na ulicy leżeć nie ma. Przy brukowaniu nowym ulic uważać się odtąd będzie, aby co pięćset kroków, a przynajmniej w miejscach pryncypalniejszych, dla przechodu łatwiejszego największym kamieniem wyścielać ścieżkę w poprzek ulicy dla przechodzących z jednej strony na drugą." Następnie anonimowy autor słusznie żąda wprowadzenia dużej liczby dozorców dla uspokojenia swawolnych ludzi, po czym stwierdza: „Za pomnożeniem dozorców koniecznie następuje porządek lamp, czyli światła utrzymywanie. Czy to rzecz podobna, aby jeden strażnik czwartą część Warszawy codziennie obszedł, aby dopilnować światła, aby nawet trafił wśród ciemności?" Autor uważa, że proponowane przez niego udogodnienia życia codziennego uszczęśliwią wszystkich mieszkańców Warszawy, którzy cierpią niewygody, chociaż od kilkudziesięciu lat płacą podatki. Irytuje go marnotrawstwo, jakim jest wydawanie wielkich sum na iluminacje ratusza czy też innych gmachów, proponuje więc umieścić nad ratuszem dwadzieścia lamp z napisem: „20 000 na wygodę i porządek miasta Urząd wyłożył".[15]

Aby rozpowszechnić słuszne swe projekty, autor wydał je drukiem. Chętni czytelnicy mogli druk ten nabyć w składzie u pijarów lub też u pana Netto. Urzeczywistnienie wszystkich postulatów rozsądnego anonima, zresztą w większości zgodnych z programem Komisji Brukowej lub program ten uzupełniających, nie było już możliwe w czasie, gdy społeczeństwo w szybkim tempie zbliżało się ku katastrofie. Prace nad uporządkowaniem warszawskiej ulicy podjął wiek XIX.

[15] *Myśli patrzącego przez okno na ulicę w Warszawie 1791*, [Warszawa 1791].

WNĘTRZA MIESZKALNE

Zakupy a moda

Wielka była różnorodność warszawskich mieszkań. Zależnie od możliwości finansowych i tradycyjnych przyzwyczajeń zajmowano wspaniałe apartamenty mieszczące się na reprezentacyjnych piętrach i w bogato wyposażonych pałacach albo kilkupokojowe mieszkania w przebudowywanych lub specjalnie wznoszonych w celu odnajmowania lokali kamienicach, albo też skromniejsze dwu- czy tylko jednoizbowe pomieszczenia bez kuchni.

Rozkład wnętrza zależny był od rodzaju architektury budynku. W pałacach pokoje i sale miały układ amfiladowy. Na osi przyziemia znajdowała się wielka sień, a nad nią, na pierwszym piętrze, sala o charakterze reprezentacyjnym. Natomiast w kamienicach parter przeznaczony był na pomieszczenia warsztatowe, sklepy i kantory. Piętra posiadały układ wnętrza powtarzający się z małymi odmianami na wszystkich kondygnacjach: po dwie izby od frontu i tyłu, przedzielone ciemną klatką schodową, przy której znajdowały się równie mroczne kuchnie czy komórki. Odbiegały od tego układu rozplanowania niewysokich kamienic budowanych na szerokich działkach, gdzie, podobnie jak we dworach, po obu stronach sieni umieszczano symetrycznie po dwie izby. Niekiedy w narożach dworu wydzielano niewielkie alkierze. Niskie, małe, parterowe domki drewniane mieściły zazwyczaj dwie izby przedzielone sienią lub tylko izbę i sień z kuchnią.

Różnorodność pomieszczeń i ich układów stwarzała wiele możliwości wyposażenia i urządzenia wnętrz. Możliwości te uzależnione były nie tylko od stanu majątkowego, ale i od gustu właściciela. W drugiej połowie XVIII w. smak artystyczny i kultura życia codziennego w środowisku magnackim i bogatego mieszczaństwa nie różniły się wiele. Gust wyższych warstw przenikał do bardziej tradycyjnego stanu średniego; nie docierał tylko do najuboższych, gdzie bieda stanowiła tamę dla jego wpływów.

Do upowszechnienia i ujednolicenia mody w urządzaniu wnętrz przyczynił się styl epoki, przenikanie wraz z nurtem Oświecenia nowych kierunków artystycznych do szerszego społeczeństwa. Bogaci mieszkańcy, wzorując się na działalności króla, sprowadzali wiele elementów urządzania wnętrz z zagranicy. Rzeźby i wazy antyczne pochodziły z Italii, kobierce, tkaniny i farfury, czyli fajanse, ze Wschodu. Mniej zamożnym dostępne były sprzęty wykonywane w kraju. W niedługim bowiem czasie powstało w Polsce szereg warsztatów naśladujących wyroby zagraniczne, posługujących się wzorami francuskimi, angielskimi, włoskimi czy tureckimi. Sprzęty i przedmioty takie, jak meble, obicia, firanki, pościel, srebra, miedź, cyna kuchenna, porcelana, farfury, lichtarze, świeczniki, zwierciadła, a nawet obrazy, można było nabyć bez trudu w kilku znakomicie zaopatrzonych i prosperujących w Warszawie wielkich składach kupieckich, nie mówiąc już o mniejszych sklepach specjalizujących się w kilku lub jednej dziedzinie wytwórczości. Można też było potrzebne przedmioty zamówić w wielu warsztatach rzemieślniczych, które stanowiły słabą konkurencję dla zalewających rynek warszawski

importowanych towarów. Kupującymi byli mieszkańcy stolicy, a także liczni przyjezdni ze wsi i odległych miast. Najchętniej wybierano towary w znakomicie zaopatrzonym składzie Prota Potockiego na Krakowskim Przedmieściu w pobliżu kościoła Wizytek. Oferowano tam klientom przedmioty zbytku importowane przeważnie z zagranicy, jak również wyroby pochodzące z jego własnych manufaktur, jak sukno, kołdry, perkale, powozy, meble itp. przywożone z dalekiej Machnówki pod Berdyczowem i z Chersonia. Równie udanych zakupów można było dokonać w sąsiednim sklepie Franciszka Hampli (którego składy mebli mieściły się na dziedzińcu pałacu Radziwiłła), czy w obszernych magazynach Franciszka Roeslera i Gaspara Hurtiga w pobliżu placu Zamkowego. Sklepy te zaopatrzone były we wszystko, co potrzebne do urządzenia wnętrza domu, mianowicie w gotowe drzwi, ramy do okien, płyty posadzkowe, lamperie, gzymsy do umocowania nad kominkiem, obicia, kobierce, pościel, porcelanę, srebro, kosztowne farfury, brązy, rzeźby, obrazy, kryształowe świeczniki, zwierciadła itp. w dużym wyborze. Niektóre sklepy obierały jedną specjalność, np. w składzie Henryka Jarzewicza przy ul. Miodowej nr hip. 490 sprzedawano tylko modne towary angielskie.[1]

W latach siedemdziesiątych, jak wspomniano, nie wszystkie przedmioty importowano z zagranicy, część z nich pochodziła z kraju. Na przykład obić papierowych i płóciennych, jak i perkali dostarczały fabryki z Grodna, Krakowa, Poznania i Przeworska, a także manufaktura obić Leonarda i Senapiusa z przedmieść Warszawy oraz podobny zakład obić płóciennych i papierowych mieszczący się przy ul. Długiej nr hip. 557.[2] Nabywano wiele tych towarów, gdyż „weszły w modę obicia płócienne w kwiaty i różne figury malowane, wesołe, choć podłe i nietrwałe. Dalej znowu nastały obicia papierowe, takiegoż kształtu jak płócienne, a [...] jeszcze od płóciennych tańsze".[3] Kupowano nie tylko porcelanę saską z Miśni, ale i fajanse z manufaktury belwederskiej, której wyroby wzorowane były przeważnie na produkcji saskiej i wiedeńskiej. Naśladowano również modne wyroby chińskie. Wkrótce po otwarciu w 1774 r. manufaktura ogłaszała w prasie warszawskiej, że „Fabryka Belwederska de la Fayence, czyli Farfury, JKMci coraz do większej perfekcji przychodzi i że cena farfur coraz w lepszym gatunku i piękniejszym kształcie wychodzących nierównie jest zmniejszona, dla czego i taksa każdej rzeczy sprawiedliwie ustanowiona, w magazynach, gdzie też farfur przedają, znajduje się".[4] Nabywano również wyroby manufaktury w Korcu i Białej Radziwiłłowskiej. Powodzenie miały też fajanse z fabryki Bernardiego i Wolffa, znajdującej się w Warszawie na Bielinie.

Największym popytem cieszyły się modne meble. Dla podniesienia sztuki rodzimych snycerzy i stolarzy książę Poniński sprowadził w 1775 r. grupę znakomitych rzemieślników z Neuwied w Nadrenii, którzy nie tylko sami wykonywali liczne zamówienia, ale kształcili również warszawskich meblarzy. Wyroby z ich manu-

[1] F. Schulz, *Podróże Inflantczyka z Rygi do Warszawy i po Polsce w latach 1791—1793* (*Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców*, t. II, s. 430, 840); B. Maszkowska, *Z dziejów polskiego meblarstwa okresu Oświecenia*, Wrocław 1956, s. 8—9.

[2] M. Markiewicz, *Zagadnienie surowca i ozdobnych a tanich tkanin w produkcji manufaktur wieku Oświecenia*, „Biuletyn Historii Sztuki", R. XIII, 1951, z. 4, s. 165.

[3] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, Wrocław 1951, BN S. I, nr 88, s. 523.

[4] „Gazeta Warszawska", Suplement do nru 102 z 21 grudnia 1774.

faktury nabyć można było w składach znajdujących się przy ul. Senatorskiej nr hip. 461 i Długiej nr hip. 557. Przeważnie naśladowali zręcznie najmodniejsze zagraniczne wzory, wykonywali cenione wysoko intarsjowane meble mahoniowe, wymagające wielkiej precyzji i mistrzostwa, w czym celował Jan Michał Rummer i Andrzej Simmler. W latach osiemdziesiątych konkurowała z nimi manufaktura znajdująca się przy ul. Trębackiej w kamienicy Wiesiołowskiego, która oferowała wiele rodzajów mebli wzorowanych na zagranicznych, m. in. biurka do pisania na stojąco i siedząco, stoliki dla sekretarzy, stoły do kancelarii, biblioteki, stoliki do kart przystawiane przed kanapą, do kredensów, wielkie bejcowane stoły do jedzenia, składane okrągłe, toalety, kanapy, krzesła, komody i skrzynki. Również manufaktura karczewska dostarczała mebli na chłonny warszawski rynek do składu znajdującego się w pałacu Sułkowskich na Nowym Świecie.[5]

Można też było zaopatrzyć się w potrzebne sprzęty po cenach znacznie dostępniejszych. Źródłem takich zakupów były publiczne licytacje odbywające się na ratuszu staromiejskim. Prowadził je już od lat sześćdziesiątych znany drukarz i wydawca, Michał Gröll. Sprzedawał on różne ruchomości i nieruchomości będące w dyspozycji Urzędu Radzieckiego lub Sądu Wójtowskiego. Otrzymywał za tę funkcję procent od każdej sprzedaży, natomiast całkowity dochód zachowywał dla siebie ze sprzedaży książek z własnej drukarni.[6] Mieszkańców stolicy zawiadamiano o mających się odbyć aukcjach m. in. za pośrednictwem „Gazety Warszawskiej". W prasie przyjmowano też ogłoszenia osób prywatnych, które posiadały atrakcyjne przedmioty do zbycia. Ten sposób kupna był zwykle najkorzystniejszy dla nabywającego.

Chcąc uniknąć kłopotów związanych z urządzaniem mieszkania wynajmowano je wraz z umeblowaniem. Przeważnie oferowano większe mieszkania czy domy: „Pałacyk do najęcia sytuowany za Żelazną Bramą, mający pokojów 7 z meblami adamaszkowymi, lustrami, zwierciadłami, kanapami, krzesłami, do tego kuchnia, spiżarnia, góry do schowania rzeczy, góry do sypania obroków, składania siana, wozownia, stajnia na koni 15, piwnica ze wszelkimi wygodami." [7] Wiemy, że mieszkanie to mieściło się w dawnym pałacu Platerów przy ul. Świętojerskiej, nie znamy jednak wysokości komornego. Były też lokale skromniejsze: „Na ul. Elektoralnej i Białej, na rogu, nr 761, są meblowane stancje i pokoje z stajniami i wozowniami do najęcia każdego czasu czy na rok, czy na miesiąc, czyli też na dzień."[8]

Sfery magnacka i bogatego mieszczaństwa przeważnie przykładały wielką wagę do urządzenia wnętrz. Jednym z najważniejszych elementów dekoracji siedziby były galerie obrazów. W tej dziedzinie wyłączność handlu posiadali Hampla i Bormann. Poza tym najzamożniejsi mogli nabywać obrazy w kantorze Teppera przy ul. Miodowej, gdzie znajdowało się ich w składzie kilkaset, między innymi oryginalny Wouwerman oceniony na sumę 200 dukatów, obrazy szkoły włoskiej, holenderskiej i inne. Sprowadzaniem dzieł sztuki z zagranicy trudnił się berliński antykwariusz Triebel.

[5] B. Maszkowska, *op. cit.*, s. 5 i n.
[6] AAD. m. Krakowa, *Varia Civitatis et villae*, nr 280.
[7] „Gazeta Warszawska", Suplement do nru 86 z 26 października 1774.
[8] „Gazeta Warszawska", Suplement do nru 61 z 1 sierpnia 1787.

Najwykwintniejsze wnętrza epoki powstały pod auspicjami i z inicjatywy Stanisława Augusta, wielkiego mecenasa sztuki. Już w 1764 r., prawie natychmiast po elekcji, podjął on prace przy przebudowie i urządzaniu wnętrz zamkowych, rozporządzając olbrzymią sumą, przyznaną mu przez sejm. Zatrudniał najsławniejszych artystów, jak Victor Louis, Jean L. Prieur, Giacomo Morot. Wykonanie niektórych detali wyposażenia, jak meble, obicia, brązy, powierzył słynnym francuskim ebenistom, tapicerom i snycerzom. Wspaniałe malowidła ścienne wykonywali Jan Bogumił Plersch, Jean Pillement, rzeźby wykuwali Andrzej Le Brun, Giacomo Monaldi. Wymieniono tu nazwiska najbardziej znanych artystów, nie wspominając o dziesiątkach pomocników, którzy przez wiele lat pracowali przy zdobieniu wnętrz zamkowych. Król sam wielokrotnie obmyślał projekty, a potem artyści przedstawiali mu ich realizacje, z których wybierał najlepsze.

Przy urządzaniu wnętrz zamkowych wydzielono z dawnej rezydencji część przeznaczoną na prywatne apartamenty królewskie. Wśród nich oprócz gabinetu pracy, garderoby i kaplicy znajdowała się sypialnia królewska, urządzona według projektu V. Louisa. Pokój obity był adamaszkiem karmazynowym w ornamenty roślinne. Posadzkę pokrywał dywan o czerwonym tle, z wzorami złotych liści akantu. Ściany podzielone były płaskimi pilastrami o korynckich głowicach, między którymi zwisały potrójne wieńce z róż. Takie same girlandy zdobiły wielkie lustro, wprawione nad kominkiem. Łoże, ustawione w stronę pokoju, było bogato rzeźbione, pozłacane, zwieńczone baldachimem z podpiętą draperią i bocznymi kotarami. Oparcie wezgłowia podtrzymywały dwa putta. Łoże to, godne pióra poety, może stało się natchnieniem wiersza przypisywanego Trembeckiemu:

Łóżko, o ty przecudne łóżko, pełne wdzięków,
Godne królów, a nawet i bogów przybytku,
Na tobie to Klimena wpośród słodkich jęków
Pierwszy mi dowód dawa miłości swej zbytku.[9]

Obok sypialni znajdował się buduar wkomponowany w dawny mały gabinet. Każdy najdrobniejszy szczegół jego wyposażenia został starannie przez Louisa obmyślony i poddany ocenie króla. Niektóre tapiserie zamówiono we francuskiej manufakturze gobelinów, świeczniki, meble, a nawet boazerie w Paryżu. Dzięki wyrafinowanemu gustowi króla i mistrzostwu wykonawców powstały jedyne w swoim rodzaju intymne wnętrza, które niejednokrotnie wzbudzały zachwyt przybyłych. Jedno z najwykwintniejszych stanowił wspomniany buduar. Ściany jego dzieliły cztery płaskie wnęki ujęte w złocone listwy, oplecione girlandami róż. Nad niszami, których pola zdobiły wazony z kwiatami, umieszczono cztery owalne obrazy zwane tondami, na których przedstawiono sceny z repertuaru tzw. *sujets galants* — powabne damy, admirowane przez swych kawalerów. Wysoko wzdłuż ścian zwisał łańcuch z winnej latorośli, podtrzymywany przez putta obejmujące kartusz z herbem Rzeczypospolitej i króla Stanisława Augusta. Posadzkę pokrywał wspaniały dywan z bukietem kolorowych kwiatów pośrodku, wijącymi się girlandami i parami całujących się gołąbków, otoczonych wieńcami róż w owalach

[9] E. Rabowicz, *Stanisław Trembecki w świetle nowych źródeł*, Wrocław 1965, s. 195.

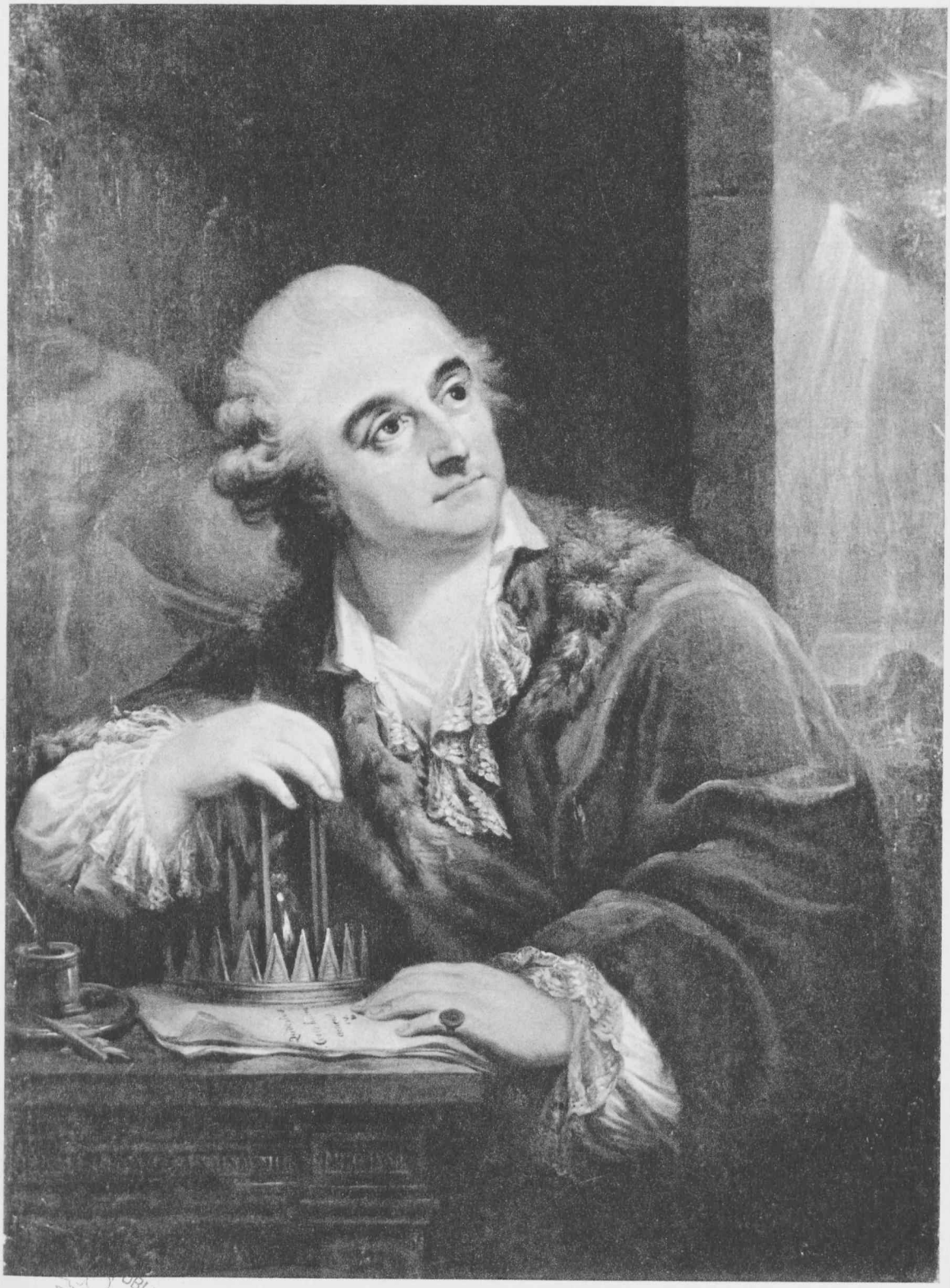

BIBLIOTEKA PUBLICZNA M.ST. WARSZAWY 1907

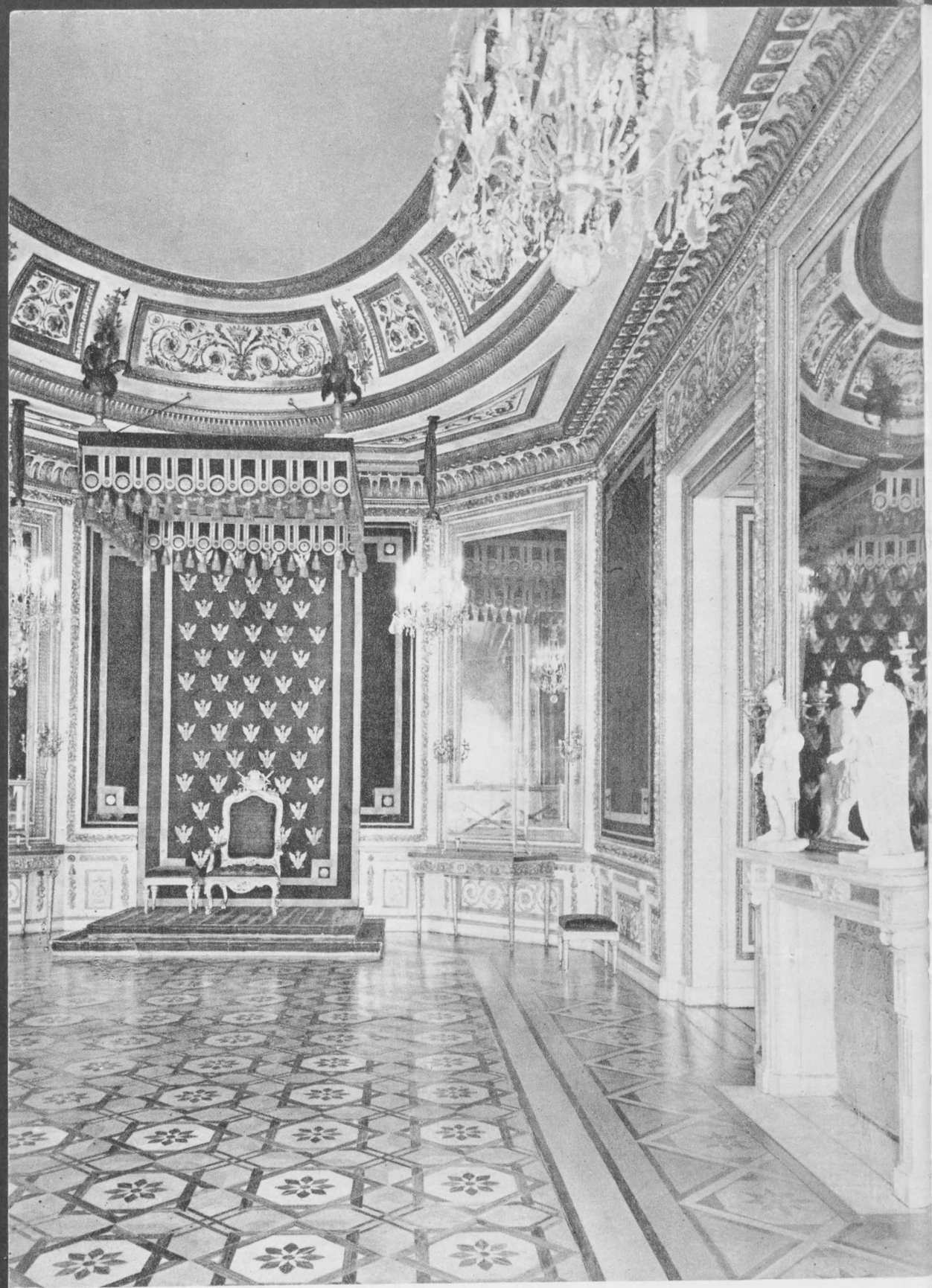

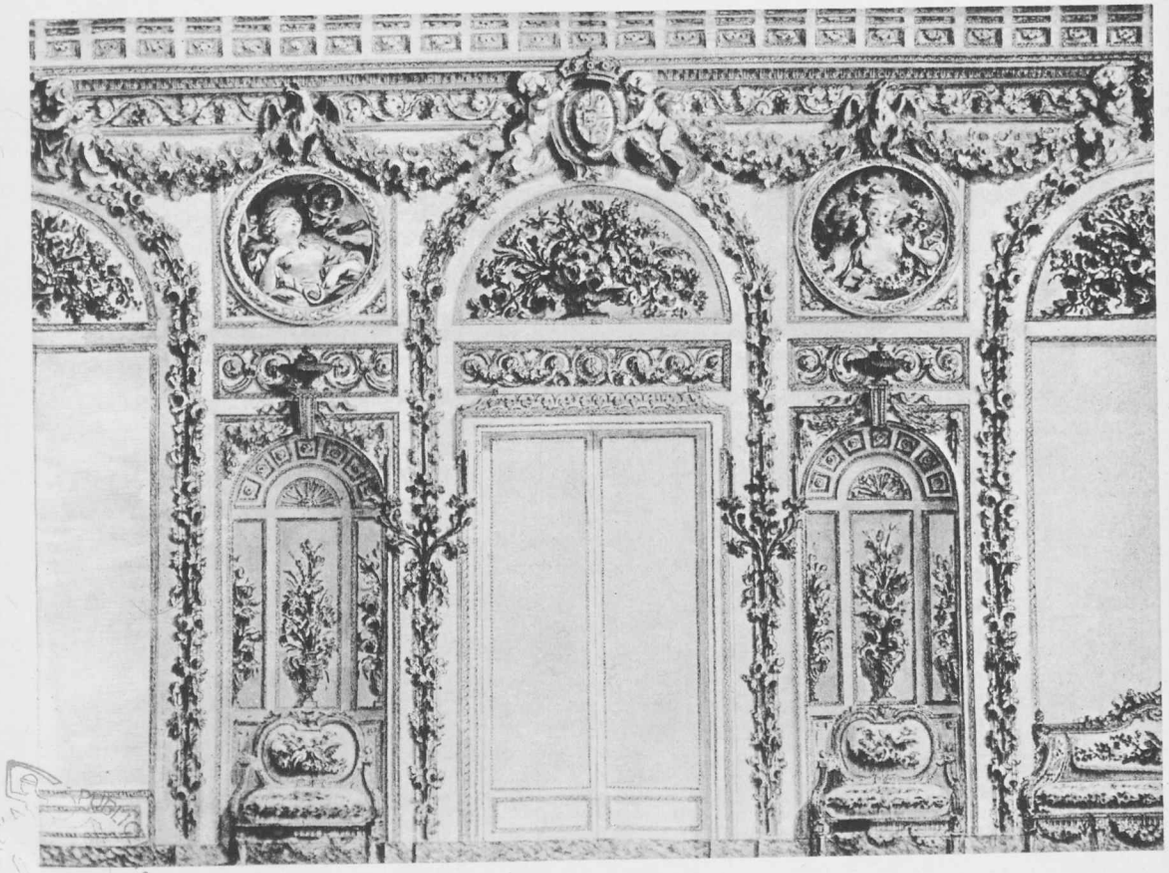

BIBLIOTEKA MUZEUM NARODOWEGO W WARSZAWIE 1537



41



42

BIBLIOTEKA PUBLICZNA M. ST. WARSZAWY

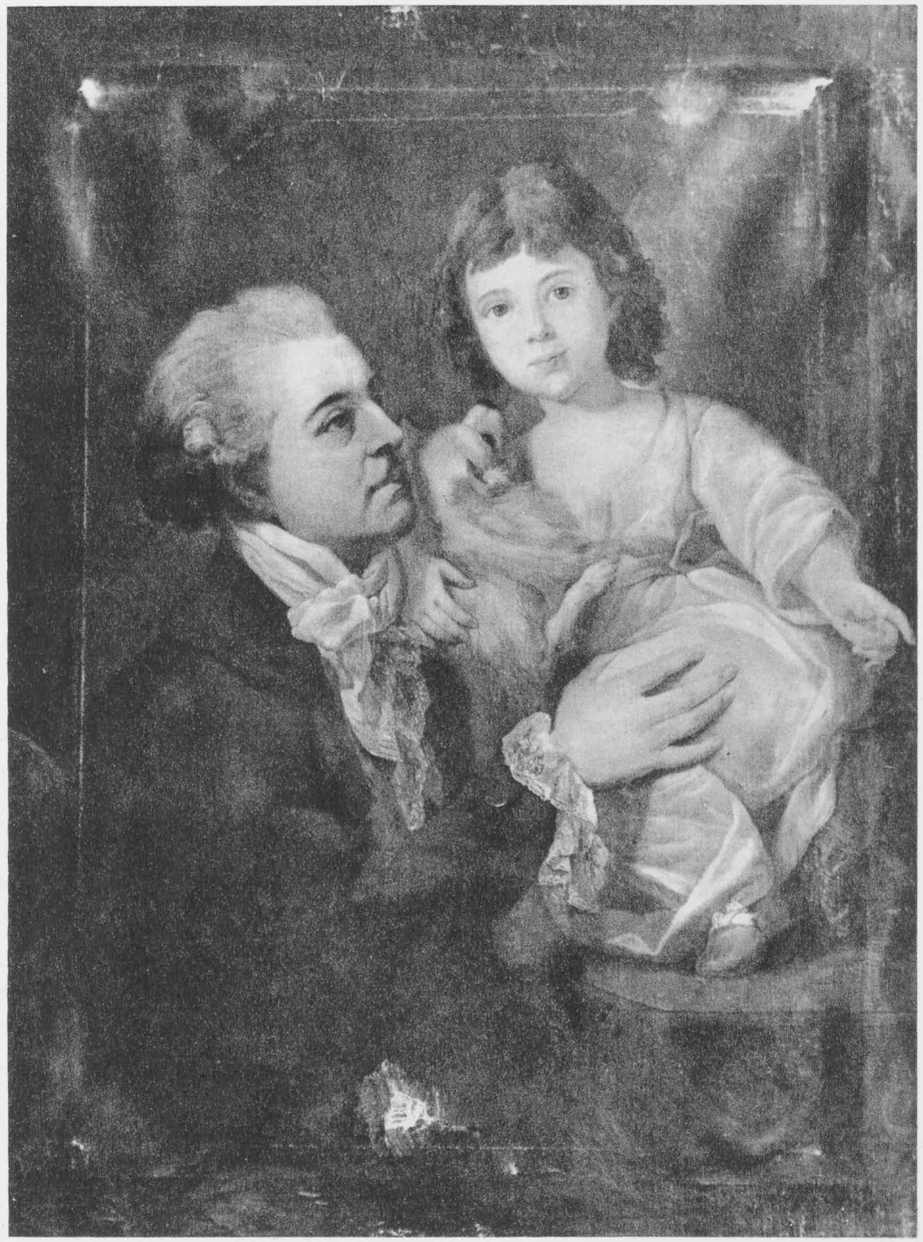

43



44

BIBLIOTEKA PUBLICZNA M. WARSZAWY



45

naroży. Motywy spięte były kokardami związanymi przy pomocy złocistych zwojów akantów i girland laurowych. Tkaniną o podobnych motywach obito kanapę typu *bergère* i fotele ustawione symetrycznie przy ścianach.[10]

Niestety, piękne, może przerafinowane wnętrza Louisa szybko zostały usunięte. W zamku stale przebudowywano i zmieniano przeznaczenie poszczególnych sal. Mimo to budziły one niekłamany podziw zwiedzających, jak np. gabinet z obrazami Canaletta czy Sala Rycerska z portretami wielkich mężów polskich pędzla Bacciarellego. Zachwycano się niewielką salą tronową z mozaikową posadzką, dwoma marmurowymi rzeźbionymi kominkami, na których ustawiono kopie rzeźb antycznych przedstawiających Hannibala, Scypiona, Juliusza Cezara i Pompejusza. W głębi niszy kominka zachowała się płyta z herbem Wazów i orłami, jedyna pamiątka pozostała na Zamku sprzed najazdu szwedzkiego. Na konsoli między oknami umieszczono „wielki zegar w formie wazy *antique,* u dołu którego jest figura wpółleżąca, oparta prawym brzegiem na globie, a lewą ręką wskazująca godziny. Po drugiej stronie jest mały Geniusz trzymający herb Rzeczypospolitej". [11] Zegar ten wykonany został według projektu Jean Louis Prieura. Wspaniałe wrażenie wywierała również sala w czasie wieczornych przyjęć. Oświetlano ją setkami świec, które umieszczone były w czterech żyrandolach kryształowych, uwieńczonych koroną, oraz w kandelabrach i brązowych świecznikach przyściennych.

Do podziwianych i naśladowanych przez magnatów w ich pałacach należała Sala Balowa, zwana przez współczesnych Asamblową, a także Koncertową. Urządzona według projektu Dominika Merliniego, mieściła się we wschodnim skrzydle Zamku. Prostokątna, o zaokrąglonych narożach sala utrzymana była w tonie białozłotym. Ściany rozczłonkowane zostały parami kolumn z żółtego stiuku w czerwone żyłki, między którymi lśniły lustra. Malowidło Bacciarellego przedstawiające Jowisza wyprowadzającego świat z chaosu zdobiło wielki plafon. Nad drzwiami widniał medalion z popiersiem Stanisława Augusta dłuta Le Bruna, podtrzymywany przez figury alegoryczne Pokój i Sprawiedliwość — dzieła Monaldiego. Salę oświetlały przepyszne Caffierowskie żyrandole, liczne kandelabry i świeczniki. Za rzeźbioną balustradą z drzewa dębowego, całą wyzłacaną, grała orkiestra, a goście odpoczywali na ławach z oparciem, zwanych *banquettes.*[12]

I apartamenty prywatne króla, i sale reprezentacyjne zdobiły portrety królewskie, również liczne obrazy, sztychy, stare księgi, rzeźby antyczne, tkaniny i wiele innych cennych przedmiotów sztuki, które Stanisław August namiętnie zbierał.

Zupełnie odmienny charakter posiadały wnętrza Łazienek, letniej rezydencji królewskiej. Budowane i urządzane w ciągu dwudziestu lat, nie miały jednolitego charakteru, gdyż zmieniał się gust monarchy, którego zawsze cechowała wielość i różnorodność upodobań. Nie tylko każdy budynek, jak Pałac na Wodzie, Biały Domek, Ermitaż czy Główna Oficyna, urządzony był w innym stylu, ale nawet każda część budynku. Stanisław August mając wielkie możliwości finansowe — chociaż tkwił stale w długach — stworzył zespół na wpół muzealny. Skupił wokół

[10] St. Lorentz, *Prace architekta Louis'a dla zamku warszawskiego,* „Biuletyn Historii Sztuki", R. XIII, 1951, z. 4, s. 63—65.
[11] M. Treter, *Zbiory państwowe w Zamku królewskim w Warszawie,* Warszawa 1924, s. 21.
[12] Tamże, s. 22—23.

siebie najlepszych artystów. Projektował więc dla niego słynny Merlini, jak i Kamsetzer, znakomity dekorator i architekt. Prace malarskie wykonywali mistrzowie tej miary co Bacciarelli, Plersch, Gerżabek i Dąbrowski. Rzeźbili Le Brun, Monaldi, Pinck i Righi, nie mówiąc o znakomitych snycerzach, złotnikach, stolarzach i sztukatorach, którzy przez długie lata zajęci byli pracą nad każdym szczegółem dekoracji wnętrza. Meble, rzeźby, brązy, a nawet obicia sprowadzano z Paryża. W pałacu mieściły się na piętrze prywatne apartamenty króla, a na parterze wnętrza reprezentacyjne, wśród których wyróżniały się Sala Salomona i Balowa. Pierwsza z nich nawiązywała żywym kolorytem, bujnymi formami i mnogością złoceń do stylu barokowego, druga natomiast utrzymana była w spokojnym, antykizującym charakterze harmonii bieli i złota. Nie sposób tu opisać wszystkich wnętrz Pałacu na Wodzie, z których każde było małym arcydziełem, utrzymanym w innym kolorze, o cudownie wykończonych szczegółach i posadzkach pokrytych pięknymi kobiercami. Na ścianach wisiały obrazy dawnych i współczesnych mistrzów. Najcenniejsze znajdowały się w Galerii na parterze: kilka dzieł Rembrandta, portret van Dycka, *Madonna* Veronesa, *Autoportret* Carracciego, *Zaloty młodzieńca* Fragonarda, współczesne portrety pięknych pań pędzla Angeliki Kauffmann, Kraffta i Bacciarellego. Liczne dzieła szkoły flamandzkiej, holenderskiej — Teniersa, Bola, Terborcha i innych — zdobiły prywatne apartamenty Stanisława Augusta. Kolekcja liczyła blisko dwieście obrazów, tworzących zbiór wysokiej klasy artystycznej.

Pawilony parkowe wznoszono bardziej ozdobnie i z większą fantazją. W Ermitażu, zgodnie z przeznaczeniem budynku, przeważały dekoracje o motywach sielskich. Dzięki niewyczerpanej inwencji Plerscha wyposażenie wnętrza Białego Domku najwięcej wykazywało pomysłowości. Każda sala była pokryta inną dekoracją malarską. Kształty pokoi też były różne — sześciokątny, ośmiokątny, kwadratowy, okrągły, prostokątny. Pokój jadalny przystrojony był malowidłami w stylu rafaelowskiej groteski, modnej w latach siedemdziesiątych. Ściany pokoju bawialnego zdobiły egzotyczne widoki miast chińskich (zwano go po prostu pokojem pana Plerscha), częściowo malowane olejno, a częściowo wyklejone tapetą. Stał w nim garnitur mebli, które były „na mahoń lakierowane i merynosem Walter Scott kryte". Z sufitu zwisał stary, saski świecznik ze szkła i brązu, ozdobiony figurkami i lichtarzami z porcelany. Na ścianach sypialni przedstawione były drzewa, a wśród nich ptaki i motyle, co miało stanowić imitację sztuki chińskiej. Gabinet ośmiokątny pomalowany *„en treillage"*, w krajobrazy, urządzony był w stylu orientalnym, z krzesłami obitymi złotą materią turecką na zielonym, jedwabnym tle. Na stolikach i postumentach ustawiono bibeloty, pudełeczka z laki i wazony porcelanowe, imitujące chińskie wyroby. Inny pawilon, Myślewice, wyróżniał się wnętrzami naśladującymi styl antyczny.[13]

Nie tylko król i jego dwór, ale również magnaci i przedstawiciele szlachty lubili przebywać w Łazienkach. Przyciągał ich tutaj urok i malownicze położenie pałacu, a także różnorodność widowisk teatralno-balowych oraz ansambli, które odbywały się w tej romantycznej scenerii.

[13] Wł. Tatarkiewicz, *Łazienki warszawskie*, Warszawa 1957, s. 59, 92—93.

Sarmackie tradycje i nowe gusty w urządzaniu pałaców

Okres panowania Wettynów sprzyjał powstawaniu mecenatu artystycznego magnatów. Działalność ich skupiała się początkowo w ośrodkach wielkich latyfundiów ziemskich, a potem przeniosła się na teren Warszawy, gdzie częste pobyty dworu saskiego wzmogły zainteresowanie sprawami sztuki. Stolica stała się miejscem rywalizacji politycznej i artystycznej wielkich rodów magnackich. W tej atmosferze wychowywał się przyszły król polski, Stanisław August Poniatowski. Rozmach jego w dziedzinie sztuki oddziaływał na najbliższe otoczenie dworskie, sferę magnatów i bogatego mieszczaństwa stolicy. Nie byłoby w Warszawie tak wielu pałaców, nowych czy przebudowanych, gdyby nie przemożny wpływ panujących Sasów, a potem Stanisława Augusta, za których przykładem podejmowali rolę mecenasów sztuki mniej lub więcej świadomi swego posłannictwa arystokraci. Do grona ich należeli również członkowie rodziny królewskiej — książę podkomorzy Kazimierz Poniatowski, gospodarz Solca, oświecony bratanek monarchy, Stanisław Poniatowski, oraz siostry królewskie. Ród Potockich wydał najwybitniejszego mecenasa sztuki, kolekcjonera i autora pierwszej naszej historii sztuki pt. *Winkelman polski* — Stanisława Kostkę Potockiego. Bakcylem sztuki zarażeni zostali również inni Potoccy, Ignacy i Jan. Kobiety także próbowały swych sił na tym polu, m. in. Izabela Czartoryska, następnie Izabela Lubomirska, a także erudytka i znawczyni sztuki, Aleksandra z Lubomirskich Stanisławowa Potocka. Nieliczni przedstawiciele warszawskiej plutokracji — Piotr Tepper, Piotr Blank i Maciej Łyszkiewicz — posiadali również ambicje dorównania magnackim mecenasom i kolekcjonerom.

Dawne i nowe pałace warszawskie zdobiono mniej lub więcej wartościowymi obrazami, rzeźbami oraz wazami pochodzącymi ponoć z wykopalisk Herkulanum, Pompei i Pestum, a czasami ich falsyfikatami, które już i w kraju wyrabiano. Wśród wyższych sfer panowała istna mania kolekcjonerstwa, której owoce można było podziwiać w siedzibach magnackich. Właściciele kolekcji chętnie prezentowali je gościom i cudzoziemskim przybyszom. Johann Bernoulli, na przykład, obejrzał w czasie swego pobytu w Warszawie większość kolekcji, m. in. zbiór podkomorzego Poniatowskiego. Wysoko ocenił *Kuszenie św. Antoniego* Teniersa, obraz kupiony przez księcia na aukcji u handlarza starożytnościami Triebla, a ponadto *Wyrok* Rembrandta, *Dawida z głową Goliata* Guercina, portret elektora saskiego pędzla Rosalby, nie mówiąc o licznych pejzażach szkoły holenderskiej i flamandzkiej. Piękną galerię oglądał również w pałacu Wincentego Potockiego, który mógł się poszczycić m. in. obrazami marynistycznymi Verneta, dziełami Wouwermana i Rembrandta, a także domniemaną Tycjanowską *Venus*. Posiadał nadto świetną kolekcję sztychów.[14]

Do najwspanialszych należały wspomniane zbiory Stanisława Kostki Potockiego, zgromadzone w pałacu wilanowskim i warszawskim. Znajdowały się w nich różnorodne dzieła mistrzów tej miary co Leonardo da Vinci, Guido Reni, Annibale Carracci, Antonio Correggio, Carlo Dolci, Tintoretto, Paris Bordone, sielankowy

[14] J. Bernoulli, *Podróż po Polsce, 1778* (*Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców*, t. I, s. 434, 445—446).

Greuze, najnowsze portrety wykonane przez Angelikę Kauffmann i wiele innych. Potocki zbierał również sztychy, monety, medale, wazy etruskie, starożytne gemmy i rzeźby.[15] Sam będąc wielkim znawcą w czasie wojaży zagranicznych skupował dzieła i przedmioty sztuki do swych zbiorów. O jego sukcesach donosił królowi przebywający z misją artystyczną w Italii August Moszyński: „Potocki, jak mówią, bardzo piękne rzeczy nakupił i miał ze sobą dobrego malarza, który wiele pięknych sytuacji narysował. Ale dla słabego zdrowia stąd prędzej wyjechał." [16] Nie wszyscy odznaczali się wybrednym smakiem Potockiego. Inni podróżujący Polacy — relacjonował w innym liście Moszyński — „dość wachlarzyków i gałganków nakupywali".[17]

Do dobrego tonu należało również posiadanie kolekcji portretów rodzinnych, ale w innym guście niż je malowano w poprzednim okresie. Dawne, wielkich rozmiarów, przedstawiały osobę portretowaną w całym majestacie dumy rodowej i z wszystkimi emblematami jej godności i pochodzenia. Model był przedstawiany w sztywnej pozie, z upiększonym obliczem. Teraz, przy zmianie wyposażenia wnętrz, zgodnie z wymogami nowej mody, pospiesznie usuwano do mniej reprezentacyjnych pomieszczeń ciężkie gdańskie i kolbuszowskie meble i ustawiano garnitury lekkich mebelków. Ze ścian zdejmowano obicia o soczystych, a nieraz jaskrawych barwach i malowano wnętrza jasnymi, pastelowymi kolorami lub pokrywano je delikatnymi wzorkami albo tapetami o motywach pseudoantycznych czy też orientalnych. Nie pasowały do tych wnętrz i sprzętów wielkie portrety i obrazy. Dlatego właściciele wspaniałych rezydencji zamawiają swe podobizny w niewielkich wymiarach, harmonizujących z innymi przedmiotami sztuki powstałymi w tym okresie, o drobnych, wytwornych formach. Malowane w nowym guście portrety miały zwykle kształt owalny. Często wykonywano też miniatury. Obrazy utrzymywano w jasnych, przyćmionych nieco barwach.

Arystokratyczne towarzystwo zamawiało portrety u najlepszych lub najmodniejszych artystów również w czasie swych częstych wojaży zagranicznych. Po powrocie zdobiono nimi warszawskie rezydencje. Towarzyszący Potockiemu Carlo Labruzzi namalował jego żonę i szwagierkę, urocze siostry Izabelę i Aleksandrę, przechadzające się z ulubionym pieskiem na tle krajobrazu włoskiego w okolicy Albano.[18] Tak swobodny w ujęciu portret podwójny byłby nie do pomyślenia w okresie saskim. Zamawiano także podobizny u rodzimych malarzy lub też przebywających okresowo w Warszawie sław zagranicznych. Zazwyczaj portretowano się kilkakrotnie. Wspomniana Aleksandra Potocka, w czasie swego pobytu w Rzymie, nie zadowoliła się wspólnym portretem z siostrą, ale jako Melpomena pozowała słynnemu Pompeo Battoniemu. Również Izabela zapragnęła podobizny pędzla znakomitego malarza. Jej sekretarz, ks. Piramowicz, zwrócił się przeto do męża księżnej, Ignacego Potockiego: „Battoni maluje portret Pani Stanisławowej *en tableau,* bardzo piękny będzie. Wcale by przystało, żeby i JPani pisarzowa (tj. Izabela Potocka) kazała się odmalować, ale kassa nie pozwala. Rozumie się, że malowanie kosztować będzie jednego portretu czerwonych złotych 40." Potocki

[15] Fortia de Piles i Boiseglin de Kerdu, *Podróż dwóch Francuzów (Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców,* t. II, s. 690—692).

[16] T. Mańkowski, *O poglądach na sztukę w czasach Stanisława Augusta,* Lwów 1929, s. 39.

[17] Tamże, s. 38.

[18] A. Ryszkiewicz, *Polski portret zbiorowy,* Wrocław 1961, s. 93; T. Mańkowski, *op. cit.,* s. 39.

przychylił się do propozycji żony i wkrótce portret jej jako Polihymnii był gotów. Kosztował 50 dukatów, tak że: „Na Suplement Encyklopedii pieniędzy nie stało, bo portret Jejmości bardzo śliczny i który nad początkowe spodziewanie się udał, więcej kosztował", donosił ks. Piramowicz.[19] W kilka lat później następny portret pięknej Izabeli, spoczywającej na ławce w zaciszu romantycznego parku, namalowała Angelika Kauffmann.

Sfery dworskie chętnie zamawiały swe podobizny u znakomitego Marcello Bacciarellego, malarza królewskiego. Był on bardzo zajęty pracami dla Stanisława Augusta, wykonaniem licznych jego portretów reprezentacyjnych, a także intymnych, do których należał znakomity, przedstawiający króla ubranego w aksamitny szlafrok i pochylonego nad klepsydrą. Bacciarelli znajdował też czas dla klientów magnackich, między innymi dla marszałka wielkiego koronnego Michała Mniszcha, którego przedstawił wraz z kilkuletnią córeczką Elżbietą, ubraną w luźną suknię o kroju antycznym, przytulającą do siebie Kiopka, ulubionego pieska króla. Także żona Bacciarellego, Johanna Friederika Richter, oraz obie jej córki, Anette i Manon, posiadały talenty artystyczne. Zamawiano u nich portrety miniaturowe, jak również u Marianny i Marii Cecylii, córek architekta królewskiego Merliniego.[20]

Wielkim powodzeniem cieszył się w sferach arystokratycznych przybyły z Wiednia w 1788 r. na zaproszenie Stanisława Augusta Jan Chrzciciel Lampi. Do 1791 r. pozostawał on w Warszawie. Wykonał wówczas szereg portretów, między innymi znanych działaczy Sejmu Czteroletniego, targowiczan, marszałka Wielkiego Księstwa Litewskiego, Władysława Gurowskiego, i Szczęsnego Potockiego. Lampi przedstawiał osoby w swobodnych pozach, świetnie chwytając nie tylko podobieństwo rysów, ale i cechy psychiczne modela. Malował barwami jasnymi, nieco stonowanymi i delikatnymi. Modnisie czasów stanisławowskich zamawiały u niego portrety stylizowane *à l'antique* lub *à l'orient*. Pozowały do nich panie w muślinowych zawojach tureckich i miękko układających się szatach, jak Teresa Potocka. Podobne, stylizowane portrety wykonał inny malarz wiedeński, Józef Grassi, mianowicie Marianny Protowej Potockiej i pięknej Tekli Jabłonowskiej. Malował również znane osobistości, m. in. Kościuszkę, z którym pozostawał w serdecznych stosunkach, jako że sam Grassi był rzecznikiem reform Oświecenia, a także czynnym uczestnikiem Insurekcji w Warszawie.

Grassi w pierwszej fazie swej pracy wykonywał szkic z natury, który następnie podawał ocenie swego klienta. Potem już bez modela w pracowni komponował portret, przedstawiający zazwyczaj osobę w całej postaci na tle parkowego krajobrazu. Za portret pojedynczy pobierał sumę 100 talarów (800 złp), natomiast za zbiorowy 300 talarów.[21]

Portrety rodzinne znajdowały miejsce w galeriach lub też przyozdabiały ściany salonów i gabinetów obok obrazów o treści obyczajowej, religijnej oraz pejzaży. Modne było również malarstwo rodzajowe przedstawiające sceny z życia wytwornych sfer stolicy. Do najlepszych malarzy i rysowników tych scen należał Jan

[19] T. St. Jaroszewski, *Polskie klientki Batoniego w r. 1780*, „Biuletyn Historii Sztuki", R. XXIII, 1961, nr 1, s. 53—54.

[20] Z. Batowski, *Malarki Stanisława Augusta*, Wrocław 1951, s. 43 i n.

[21] A. Ryszkiewicz, *op. cit.*, s. 79.

Piotr Norblin, rodem z Burgundii. Cieszył się on wielkim powodzeniem zarówno na dworze królewskim, jak i wśród możnych mecenasów.

Przebywający w Warszawie przedstawiciele wielkich rodów magnackich chcieli również w stolicy olśnić swoich gości. Na pierwszy plan wysunęli się książęta udzielni na Litwie, Radziwiłłowie. Jeszcze za Sasów przebudowano ich dawny pałac przy Krakowskim Przedmieściu, wzniesiony w XVII w. przez znakomitego architekta Tencallę. Wydano na ten cel blisko 100 000 złp.[22] W pierwszym dziesiątku lat panowania Stanisława Augusta pałac stał opustoszały, gdyż koleje losu Karola Radziwiłła, zwanego „Panie Kochanku", na długie lata wydaliły go, z przyczyn politycznych, z ojczyzny. Powrócił do kraju dopiero po pierwszym rozbiorze i po odzyskaniu skonfiskowanych przedtem przez Katarzynę II dóbr. Zjechał z całym dworem w czasie sejmu do Warszawy. Liczba osób towarzyszących mu była tak wielka, że „gdy książę w Warszawie z pałacu swojego jechał na sesję sejmową, asystenci jego, Litwa, niżeli wsiadł do karety, już w bramę Zamku królewskiego wjeżdżali".[23] Dwór był wspaniały, ale urządzenie pałacu — według relacji pamiętnikarzy — pozostało bardziej niż skromne. Niemcewicz opisuje, że pałac ten „nigdy dokończonym, nigdy umeblowanym nie był [...]. W niezmiernej sali na górze mieściło się teatrum polskie i włoskie [...]. W sypialnym pokoju księcia stało małe, wąskie łóżko, nad nim bogata makata, pistolety i pałasz, u nóg łóżka potężna skóra białego niedźwiedzia, sam książę, również prawie jak niedźwiedź na piersiach obrosły, leżał pod burką".[24]

Nie było aż tak skromnie, jak pisze Niemcewicz. Hojny i rozrzutny książę chował w skrzyniach w skarbcu pałacowym, a także u karmelitów co cenniejsze mobilia pałacowe. Sam gmach również nie był tak zaniedbany. Po przebudowach w połowie XVIII w. wnętrze parteru posiadało jednolity styl. Wszystkie pokoje, a więc sypialnia z alkową, gabinet i garderoba, utrzymane były w tonacji biało-złotej. Pomieszczenia ogrzewały białe piece z kafli żółkiewskich, tylko w sypialni księcia stał złocony piec saski. W pokojach znajdowały się również kominki szafiaste z szarego kamienia, z których każdy miał płytę żelazną z herbem Radziwiłłów. Pomiędzy oknami, a także nad kominkiem wisiały lustra. Wnętrza oświetlone były żyrandolami oraz przymocowanymi na ścianach niewielkimi świecznikami. W latach osiemdziesiątych wszystkie dolne pokoje obite były zielonym adamaszkiem. Posadzki kładziono z płytek dębowych we wzory. Na piętrze znajdowała się wielka sala, w której odbywały się pod nieobecność gospodarza przedstawienia teatralne i reduty. Była ona jasno oświetlona sześcioma wielkimi oknami, „naokoło różną fabryką malarskiej sztuki, z herbami, armaturami akomodowana i wymalowana, na których ścianach wokoło tejże sali, robotą sztukaterską znajduje się orłów białych [...] szesnaście". Na ścianach wisiało 80 lichtarzy zwanych essami, wykonanych snycerską robotą i pozłacanych, a także siedem wielkich szklanych żyrandoli dwunasto- i szesnastoramiennych. Salę ogrzewały dwa piece kaflowe i dwa szafiaste murowane kominki, przyozdobione sztukateriami i malowane. Inne pokoje na tym piętrze umeblowano skromnie. Na ścianach wisiały nie-

[22] AGAD, Archiwum Radziwiłłów, XVIII, Akta tyczące jurydyk Radziwiłłowskich w Warszawie, w: Teki Łopacińskiego, 115/III, Ośrodek Dokumentacji Zabytków.

[23] [L. Cieszkowski], *Pamiętnik anegdotyczny z czasów Stanisława Augusta*, s. 302.

[24] J. U. Niemcewicz, *Pamiętniki czasów moich*, t. I, s. 38.

liczne obrazy, portrety lub pejzaże, zwane wówczas landszaftami. Natomiast wykwintne obicia ścian w tureckie wzory wskazywały na orientalne gusty właściciela. Tylko w dwóch pokojach pozostały karmazynowe, atłasowe obicia. Na drugim piętrze pałacu pokoje były niższe i niewielkie, zwane gabinetami, wszystkie skromnie wyposażone. Podłogi położone były z desek, „ordynaryjnych" tarcic, piece zwykłe, zwane zakroczymskimi, sufity białe ogzymsowane.

Być może, pod nieobecność księcia pałac robił wrażenie opustoszałego, ale na jego przyjazd wyciągano ze skarbców meble, obrazy i tkaniny. Wstawiano do pokoi sypialnych żelazne łóżka, np. w kolorze błękitnym, zdobione srebrem, z mosiężnymi gałkami. Rozstawiano także proste, sosnowe łóżka podróżne, tapczany szerokie i wąskie, kładziono na nich materace wełniane, kryte zwykłym płótnem lub też obite aksamitem, z wałkami pod głowę, a poduszki oblekano bielizną z cienkiego płótna. Za przykrycie służyła kapa „koloru złotego, dno adamaszkowe w kwiaty srebrem haftowane" lub zielona, i lamowana złotymi galonami, albo też bogata materia przetykana złotem i srebrem. Książę „Panie Kochanku" spoczywał może na skórach dzikich zwierząt przez siebie upolowanych, ale inni, ze świty, mieli subtelniejsze wymagania. Posadzki i podłogi pałacowe pokrywano kobiercami, wśród których wyróżniały się tkaniny znacznych rozmiarów z orłem pośrodku, przeznaczone zapewne do wielkiej sali. Inne dywany miały wzory w kwiaty różnego koloru. Były niewielkie, przetykane złotem, bogatsze i skromniejsze, nowe i stare, i liczyły w sumie kilkadziesiąt sztuk. Następnie wstawiano do pokoi krzesła — trzcinowe, obite skromnymi płócienkami oraz całe garnitury krzeseł pokrytych pomarańczowym adamaszkiem, suknem różowym, „materią żółtą kobiernicką robotą", lub też zwykłą zieloną trypą albo pozłocistą skórą. A także komplety taboretów obitych karmazynowym aksamitem ze złotymi galonami, pozłacanych, rokokowych taborecików i zwykłych, powleczonych płótnem. Niektóre z nich nakrywano kobiercami w jednolitym kolorze, np. granatowym czy białym. Również wielkie stoły przykrywano kobiercami, jak niegdyś w dworach szlacheckich proste, niewymyślne sprzęty. Rozstawiano cenniejsze meble, jak sepety z drzewa zamojskiego „lakierowane chińsko", duży, czarny parawan, również chiński, i stolik z czerwonego kamienia okrągły, stary, malowany w kwiaty według wzorów chińskich. Wiele też było różnorodnych wielkich stołów, przy których zasadzano gości do uczty. Dania podawano na wspaniałych Radziwiłłowskich srebrach. Przy małych, okrągłych stolikach z czarnej laki częstowano zaproszonych chińską herbatą, którą pijano w chińskich filiżankach, lub też wonną turecką kawą, nalewaną do wyciągniętych z szaf „porcynelli".

W skarbcu przechowywano farfury i szkła, wśród których była wielka liczba karafek i kielichów różnej wielkości. Znajdowały tam też schronienie cenniejsze obicia nie tylko aksamitne, w żywych kolorach, ale i tkane we wzory tureckie, w kwiaty, figury, w motywy perskie, a także wyrabiane „kobiercową robotą" oraz przetykane złotem.[25] Na przybycie znamienitych gości wyciągano najcenniejsze przedmioty i przyozdabiano nimi pałac. Rezydencję Radziwiłłów odwiedził nawet król Stanisław August, który przybył tu na fetę wydaną w 1789 r. dla

[25] AGAD, Archiwum Radziwiłłów, XVIII, nr 379, Inwentarze pałacu Radziwiłłów przy Krakowskim Przedmieściu.

upamiętnienia unii Korony z Litwą. Współczesny pamiętnikarz tak ukazuje wnętrze pałacu w czasie przyjęcia: „Trzy ogromne sale redutowe złączono w jedną amfiladę. W nich był stół tak długi, że z jednego końca jego na drugi fizjognomii niepodobna było rozpoznać. Cztery obok obszerne sale zastawione były także stołami, w piątym przy ogromnym, krągłym stole, może czterdzieści łokci obwodu mającym, siedział król [...] W środku tego stołu było wysokie ubranie porcelanowe, wystawujące zdobycie Gibraltaru, jedno z najpiękniejszych dzieł fabryki saskiej w Meissen. Sztućce, talerze, półmiski, na których podawano, wszystko złote. W trzech połączonych salach na tym stole, nie mającym końca, zastawione były najpiękniejsze srebra augsburskiej roboty, zwanej filigranową. Tuż obok, pod dwoma ścianami, równie długie kredensowe stoły także zawalone były srebrami, wannami ogromnymi na butelki, pucharami, naczyniami odwiecznymi, których kształty wskazywały odległą starożytność [...], tacami, talerzami, sztućcami, których być musiało kilkaset tuzinów, kandelabrami i świecznikami różnego rodzaju itp. Żyrandole i lichtarze, porozstawiane i porozwieszane wszędzie, mieściły pewnie jakie dwa tysiące świec w sobie. [...]. Cały gmach na tę uroczystość ociągniony był obiciami nowymi z materyj adamaszkowych, z galonami i frędzlami złotymi. Wszędzie krzesła i siedzenia garniturowe i do ścian zastosowane [...]. W dziesięciu może bocznych pokojach, w których przygotowano stoliki do kart, grano w gry różne." [26]

Wyposażenie wnętrza pałacu, jak i obyczaje księcia nawiązywały do dawnych tradycji sarmatyzmu. Chociaż w połowie XVIII w. Radziwiłł uległ presji mody epoki, przebudowując częściowo pałac w stylu rokoka i sprowadzając pseudochińskie meble i bibeloty, to jednak rezydencja zachowała swój dawny barokowy charakter. Piękno wnętrza i przepych, wzorowany na dalekich krajach Orientu, tworzyły wschodnie kobierce, lśniące makaty, obicia o żywych kolorach oraz zawieszone na ścianach zbroje.

Większość właścicieli magnackich urządzała swe siedziby zgodnie z postępem mody. Tak też czynił Jan Fryderyk Sapieha, właściciel pałacu zbudowanego w latach trzydziestych XVIII w. przy ul. Zakroczymskiej. W przestronnej sieni nad drzwiami wejściowymi zawieszono obraz przedstawiający Kapitol rzymski, nad kominkiem zaś portret feldmarszałka wojsk rosyjskich, księcia Aleksandra Mienszykowa. Po obu stronach sieni pokoje miały charakter reprezentacyjny. Ściany ich obito zieloną rozetą, tj. cienką tkaniną wełnianą, a jeden z gabinetów zieloną brokatelą, która zastępowała drogi adamaszek. Wnętrze umeblowane było skromnie, natomiast ozdabiały je liczne obrazy. W jednym z pokoi nad kominkiem wisiał wielki obraz przedstawiający „latające popielice", a dokoła na ścianach było pięć portretów członków rodu Sapiehów, dwa landszafty, trzy obrazy z kwiatami, jedna martwa natura ze zwierzyną oraz sześć bliżej nieokreślonych płócien szkoły holenderskiej. W innym pokoju oprócz portretów znajdowały się obrazy o morskiej tematyce batalistycznej. Zbiór mieszczący się w dolnych salach liczył kilkadziesiąt dzieł.

Na pierwszym i drugim piętrze znajdowały się apartamenty księcia, jego rodziny i dworu. Wszystkie pomieszczenia obite były karmazynową brokatelą. W sypialni królowało łoże zwrócone w stronę pokoju, zasłonięte kotarą i ustrojone karma-

[26] J. D. Ochocki, *Pamiętniki*, Wilno 1857, t. I, s. 278—280.

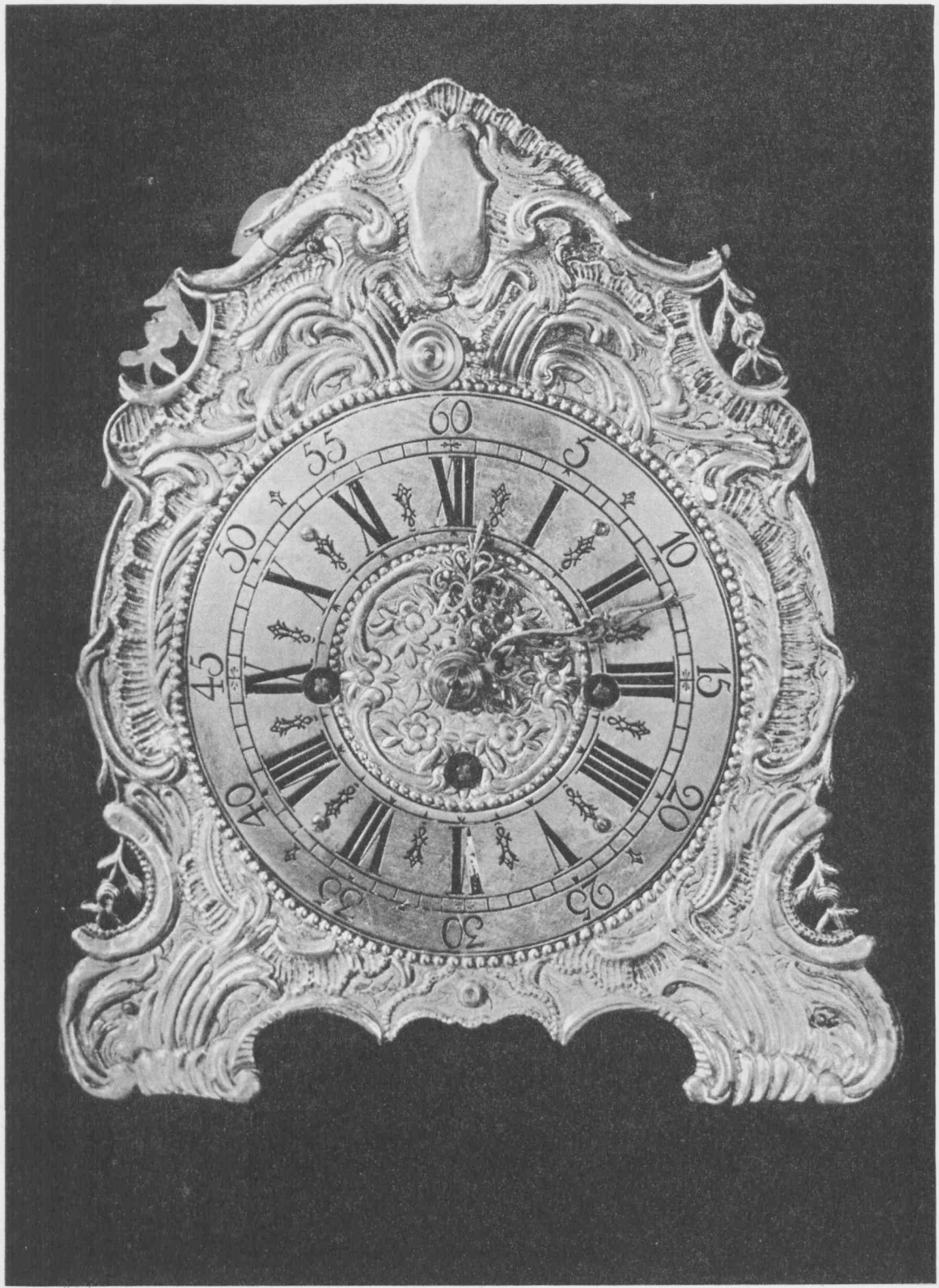

BIBLIOTEKA PUBLICZNA M. ST. WARSZAWY 1907

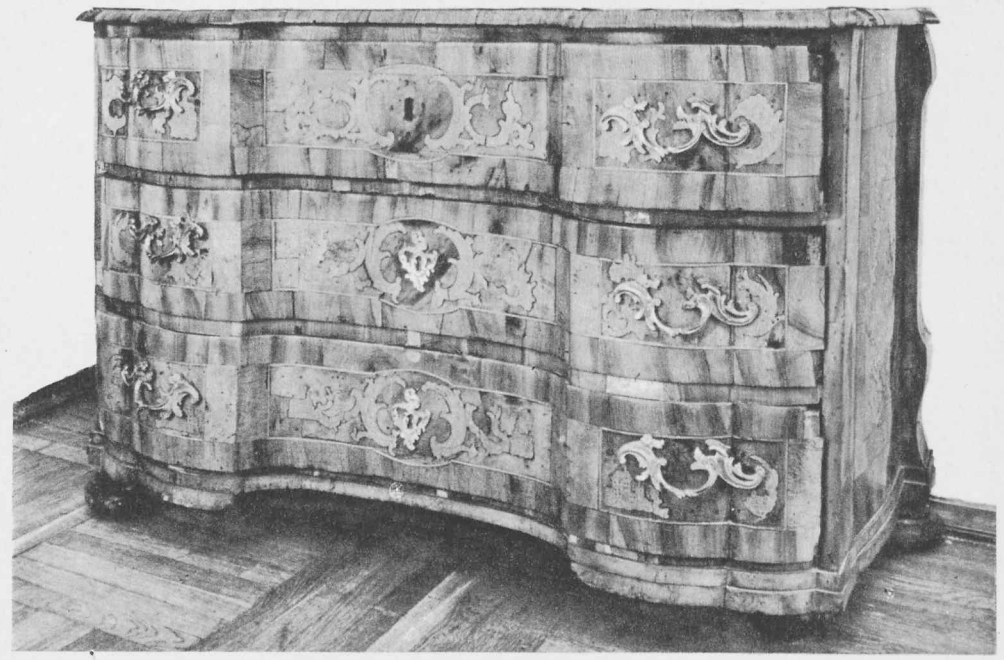

47



48



49



50



51

BIBLIOTEKA PUBLICZNA M.ST. WARSZAWY

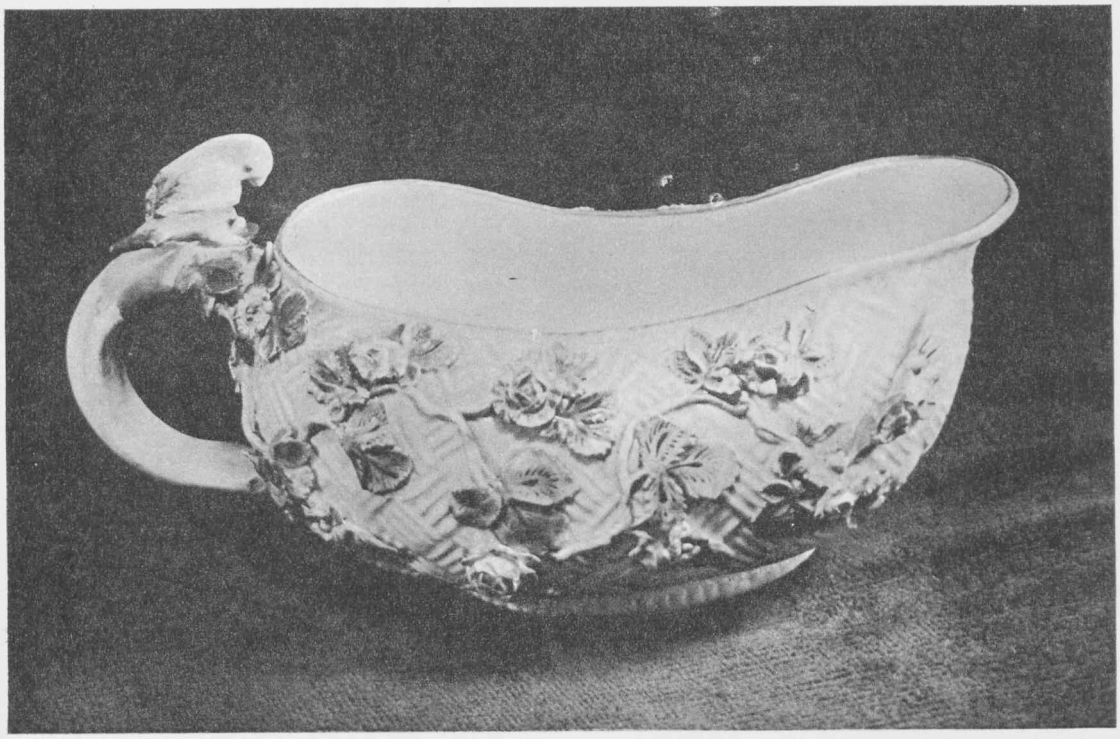

52



53

zynowym adamaszkiem, obszytym złotym galonem. Przy nim na stoliczku stały kropielniczka z wodą święconą i lampa kryształowa „do nocy". Komplet mebli, składający się z kanapy i krzeseł, pokryty był szkarłatną brokatelą. Nad łóżkiem wisiały obrazy Matki Boskiej Częstochowskiej, Kodeńskiej malowany na blasze, św. Piotra i Pawła oraz między oknami dzieło szkoły holenderskiej przedstawiające chłopców grających w karty. Do sypialni przylegała garderoba, w której mieściły się umywalnia, stolec z naczyniem cynowym i urynałami farfurowymi, orzechowe szafy na ubrania, a także jedna, w której chowano cenniejsze farfury, parę filiżanek do czekolady oraz szklanki i kieliszki kryształowe. Obok sypialni w małym gabinecie ustawiono biurko orzechowe, stolik z warcabnicą, szafę orzechową na księgi, których kasztelan trocki był namiętnym zbieraczem, oraz gerydon, czyli stoliczek o jednej nodze, na lichtarz lub małą lampę. Oprócz gabineciku w sąsiedztwie dużej sali znajdował się drugi gabinet o charakterze reprezentacyjnym. Obity był złotą brokatelą w kwiaty. Ściany ozdobiono portretami znanych osobistości ze świata politycznego, m. in. dwa z nich przedstawiały Augusta II. Nad drzwiami zawieszono obraz ukazujący okręty na morzu, a z drugiej strony portret pary starych ludzi śpiewających i grających. Tu książę pracował zapewne przy biurku, mając pod ręką zamknięte w szafie ściennej najkosztowniejsze i najciekawsze księgi. W gabinecie stała też „szafka czarno malowana, białym kamieniem i mozaiką sadzona". Nad nią wisiał krucyfiks z kości słoniowej. Światło sześciu świeczników przeglądało się w podłużnych chińskich zwierciadłach, zawieszonych między oknami.

W wielkiej sali na pierwszym piętrze odbywały się przyjęcia. Oświetlano ją wówczas mnóstwem świec umieszczonych w czterech dwunastoramiennych żyrandolach z kryształu. Na ścianach zawieszono osiem zwierciadeł oprawionych w orzechowe ramy. W każdym narożu umieszczona była niska, kątowa szafka. Nad kominkiem królował portret gospodarza w całej postaci, *en pied*. W czasie uczty rozstawiano stoły, których, poza znajdującymi się w opisie, inwentarz wymienia 36 sztuk różnego rodzaju. Zastawę wyjmowano ze skarbca.

Wszystkie pokoje piętra urządzone były zgodnie z wymaganiami stylu rokoka. Oświetlały je żyrandole z mosiężnymi lichtarzami, zawieszonymi u sufitu na błękitnych wstęgach. Między oknami umieszczono podłużne zwierciadła chińskie w czarnych ramach, a pod nimi ustawione były orzechowe stoliki. Wzdłuż jednej z sal, gdzie z wysokości ścian na zgromadzonych patrzyły portrety takich osobistości, jak prymas, biskup krakowski, marszałek wielki koronny i hetman Wielkiego Księstwa Litewskiego, dla zgromadzonych ustawiono kanapę i sześć krzeseł obitych karmazynową brokatelą. W sali tej był również zegar umocowany na rzeźbionym i pozłacanym krosztynie, tj. podstawie, jeden z wielu, które dźwięcznym głosem przypominały w pałacu o mijających godzinach. Inne zegary były angielskie, lakierowane na kolor granatowy lub pąsowy i ozdobione złoceniami. Pokoje ogrzewały kominki, na których ustawiono dla ozdoby figurki z gipsu i błękitnego fajansu przedstawiające postaci ludzkie i zwierzęce, a także umieszczono lichtarze.[27] Ciepło i żar ognia umilały życie w długie, słotne, jesienne, a potem zimowe wieczory. Niedarmo wzdychał do kominka Naruszewicz:

[27] AGAD, Archiwum Radziwiłłów, XVIII, nr 416, s. 53—58, Inwentarz pałacu Jana Sapiehy, kasztelana trockiego 1735 r.

Ty moim jesteś widokiem,
Ty przechadzką, ty cieplicą,
Tyś mym sobolem i świcą,
Tyś mojej chatki jest okiem.

Ach, póki zimno nie minie,
Tyś dla mnie wszystko, Kominie! [28]

Widocznie pałac wydawał się ambitnemu kanclerzowi za skromny, gdyż w latach 1741—1745 zlecił on rozbudowę rezydencji architektowi Janowi Zygmuntowi Deyblowi. Wówczas też zmieniono wyposażenie wnętrz. Pracami kierował burgrabia Kneusel, który szczegółowo donosił księciu, podróżującemu za granicą, o wszelkich, nawet najdrobniejszych postępach prac, a także o każdym nowym sprzęcie zakupionym dla pałacu. Kładziono posadzki ze szwedzkiego marmuru, sprowadzanego z Gdańska. Zamówiono nowe zwierciadła, meble u stolarzy warszawskich, Donnermana i Fiszera, oraz u snycerza Donata. Ściany zdobiono sztukateriami, a kolekcję zegarów angielskich powiększono rodzimym sposobem: „zegarmistrz Hekel do zegara cyferblat już na tym miejscu, gdzie miało być Onackiewicz Koden, wysztychował London, jak kanclerz przedtem rozkazał". Tworzono galerię obrazów. Jeden z malarzy odnawiał dawne, inny malował nowe portrety rodu Sapiehów, wreszcie wzięty wówczas artysta, Szymon Czechowicz, wykonał portret Augusta III oraz obrazy świętych.[29]

Kiedy jednak w wiele lat później, w 1781 r., Ernest von Lehndorff, wielki miłośnik sztuki, wprowadzony został przez księdza prałata Kajetana Ghigiottiego do pałacu w celu obejrzenia wspaniałych jakoby zbiorów Sapieżyńskich, skwitował to zdarzenie następującym zdaniem: „Prowadzą mię do galerii i cóż się okazuje? Okropność! Bohomazy i malowidła z szyldów! Wycofuję się jak najśpieszniej." [30] Gdy się czyta raporty burgrabiego Kneusla, nie można być przekonanym, że do malowania podobizn wielkich mężów zatrudnił on najlepszych malarzy. Zbyt rodzimego i prowincjonalnego były pędzla, by nie poznał się na nich prawdziwy znawca sztuki. Poczciwy burgrabia z równą gorliwością zajmował się sprawami sztuki, jak i sprowadzeniem z Drezna sześciu samic kanarków, które ówczesna moda nakazywała trzymać, tak jak i papugi, w salonie w ozdobnych klatkach.[31]

Równie wspaniałe, a może i z lepszym smakiem urządzone wnętrza miały inne pałace magnackie, jak Błękitny Czartoryskich, Mniszchów przy ul. Senatorskiej, Czartoryskich przy Krakowskim Przedmieściu, lub Stanisława Mycielskiego, starosty lubiatowskiego przy ul. Długiej. Schulz zalicza je do rzędu znaczniejszych rezydencji.

W skromniejszych, mniejszych pałacach, których wiele zbudowano w XVIII w., nie było miejsca na monumentalne rozwiązania i wielkie galerie portretów. Mimo to starano się urządzić wnętrza zgodnie z modą. Dostosował się do tych wymagań i kasztelan sądecki Józef Ankwicz, właściciel pałacyku przy ul. Dzikiej nr hip. 2322. Pokoje znajdujące się na parterze, w amfiladzie, były skromnie wyposażone. Po-

[28] A. Naruszewicz, *Liryki wybrane*, s. 49—50.
[29] AGAD, Archiwum Radziwiłłów, V, teka 152, nr 6891, listy Kneusla z lat 1739—1745.
[30] E. A. Lehndorff, *Dzienniki* (*Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców*, t. II, s. 29).
[31] AGAD, Archiwum Radziwiłłów, V, listy Kneusla z lat 1739—1745.

dłogi ułożono z sosnowych desek lub z tafli, wszystkie drzwi i ramy okienne, jak i w całym pałacyku, pomalowano olejno na kolor szary. Pomieszczenia ogrzewały piece z białych kafli, ustawione na drewnianych nóżkach. Każdy pokój malowany był zgodnie z modą innym kolorem — niebieskim, paliowym, tj. barwy słomy, od francuskiego *paille,* popielatym, żółtym i zielonym. Niektóre z nich zdobiono szlakami. Pierwsze piętro, zajmowane przez właściciela, było starannie wyposażone. Pośrodku znajdowała się sala, znacznie skromniejsza niż w rezydencjach magnackich, obita niebieską tapetą, o wywoskowanej posadzce, układanej kunsztownie w kwadraty z drzewa sosnowego z dębowymi krzyżami. Sufit i płyciny nad drzwiami ozdobiono sztukateriami. Nad kominkiem widniał namalowany krajobraz. Pomiędzy trzema wysokimi oknami, zasłoniętymi białymi firankami z kartunu, tzn. gatunku tkaniny bawełnianej, błyszczały dwa zwierciadła w pozłacanych ramach. W czasie przyjęć zapalano świece w wielkim kryształowym żyrandolu zawieszonym na sznurze i jedwabnych, karmazynowych kutasach. Z mebli taksujący zapisali jedynie składane stoliki mahoniowe wybite zielonym suknem do gry w karty.

Sąsiadujące z salą pokoje były równie starannie urządzone, o pięknych posadzkach i kolorowych obiciach płóciennych. Pola ponad drzwiami, tzw. supraporty, zdobiły zgodnie z modą malowidła *à la chinois* albo wzory arabeskowe *à l'antique.* Na drugim piętrze mieściło się kilka skromnych pokoi, a także druga kuchnia, gdyż pierwsza znajdowała się na parterze. Zarówno wykwintne apartamenty pierwszego piętra, jak i skromne drugiego właściciel wynajmował w latach osiemdziesiątych zaprzyjaźnionemu z nim biskupowi inflanckiemu, Józefowi Korwin Kossakowskiemu.[32]

Wielka była rozpiętość urządzenia wnętrz pałacowych. Odtworzenie ich przedstawia znaczną trudność wobec zmienności umeblowania spowodowanej trybem życia, jaki prowadzili właściciele rezydencji. Warszawa przyciągała. Tu życie było bardziej wygodne, komfortowe i urozmaicone w porównaniu do jednostajnego bytowania na wsi, nawet we wspaniałych rezydencjach. Mimo to warszawskie pałace magnatów nieraz całymi latami stały opustoszałe. Część wyposażenia chowano do skrzyń, kosztowności do skarbca, a drzwi pokoi zabijano gwoździami, zabezpieczając się na wypadek, gdyby kraty w oknach okazały się słabe. Niektóre zaś sprzęty, meble, srebra, porcelana, szkło, obrazy itp. podróżowały wraz z właścicielami ze stolicy na wieś lub w odwrotnym kierunku.

Fantazyjne wnętrza willi podmiejskich

Odmiennie niż w pałacach urządzano wnętrza podmiejskich *maisons de plaisance.* Mieszkańcy ich przebywali tam jedynie w celu znalezienia odpoczynku od zgiełku miejskiego lub też dla oddawania się wyszukanym rozrywkom i zabawom, jakie organizowano dla ekskluzywnego grona. Nie skrępowani wymogami szarego, codziennego życia architekci komponowali dla wybrednych właścicieli wytworne wnętrza, zgodnie z modą antyczną i orientalną. Tak też wyglądała po-

[32] AGAD, Stara Warszawa, nr 329, k. 215—221v.

łożona z dala od Warszawy mokotowska rezydencja Izabeli Lubomirskiej. Oto jak opisuje mieszaninę stylów poeta schlebiający próżności wielkiej damy:

Saskie, japońskie, chińskie porcelany
W dzbanach i wazach pięknie zdobią ściany.
Tu na kitajce dziwnie ręka biegła
Girlandy z kwiatów w kilka węzłów sprzęgła,
Tak zaś w naturze udane kolory,
Że dziełem samej być się zdają Flory.[33]

Natomiast trzeźwego Lehndorffa zadziwiają obyczaje polskich magnatów: „Dom odznacza się przesadnym przepychem. Łazienki to sama rozkosz. Wyposażenie całości wspaniałe, można nawet rzec — bajeczne. Wszędzie ustawiono wazony z najpiękniejszymi kwiatami. Kolacja była wyrafinowana. Porcelana uchodzi tu za zbyt prostacką. Świeczniki są z górskiego kryształu. I wszystko to należy do chorowitej kobiety, obsługiwanej przez Turka piękniejszego od słońca. Leży ona na kanapie pokrytej zielonkawym brokatem, przetykanym złotą nicią i ozdobionej ciemnoczerwonymi frędzlami, w pokoju wyłożonym zwierciadłami, prowadząc przyjemną i dowcipną konwersację." [34] Wspomniane w opisie łazienki stanowiły niezbędny element wnętrza modnej willi. Ich kunsztowne urządzenie inspirowane było przez modę orientalną.

Nie ustępują w oryginalności pałacykowi Lubomirskiej wnętrza letniej rezydencji księcia Ponińskiego na Faworach. Oto, jak je opisuje uczony Bernoulli: „Na dole, jeśli się nie mylę, niżej poziomu ziemi naokół domu, znajduje się wielka, niby to dzika grota, dzieląca dwa śliczne pokoje, z których jeden ma łazienkę i ozdobiony jest kosztownymi muszlami i morskimi roślinami. Nad grotą mieści się okrągły salon, który dzięki wiszącym tu perspektywicznie malowanym krajobrazom i przyciętym drzewom sprawia wrażenie nader przyjemnego gaiku. Widziałem w nim kilka pięknych marmurowych popiersi, kilka urn i dwie rzeźbione grupy. Nad jednym z dwóch małych dolnych pokoi znajduje się sypialnia w kształcie tureckiego namiotu, nad drugim — również sypialnia, cała wyłożona zwierciadłami ozdobionymi liśćmi i zabezpieczonymi pomalowanymi na zielono kratkami. Z okrągłego wyobrażającego gaik pokoju prowadzą w górę schody do znajdującej się nad nim niszy czy galerii dla orkiestry, a stąd jeszcze bardziej w górę, aż na blaszany dach domu, z którego obejrzeć można ogród i piękną okolicę." [35]

Największy podziw budziły Powązki Czartoryskiej, warszawskie Petit Trianon. W wieśniaczych chatkach krytych słomą kryły się najwykwintniej urządzone pokoje oraz wspaniała łazienka, niewątpliwie najpiękniejsza ze wszystkich budowanych w guście orientalnym. „Całe jej ściany od góry do dołu pokryte małymi, kwadratowymi kafelkami, ozdobionymi ornamentem w postaci pięknej gałązki, a wykonanymi z najdelikatniejszej drezdeńskiej porcelany, gzymsy zaś i sufit malowane są w cudowne girlandy. Koszt urządzenia łazienki musiał być niesłychany, mówiono mi bowiem, że na wyłożenie jej ścian zużyto co najmniej trzy tysiące porcelanowych kafelków, z których każdy kosztował w Dreźnie trzy dukaty." [36]

[33] K. Skrzetuski, *Mokotów (Poezja polskiego Oświecenia*, s. 211).
[34] E. A. Lehndorff, *op. cit.*, s. 31—32.
[35] J. Bernoulli, *op. cit.*, s. 385—386.
[36] W. Coxe, *Podróż po Polsce (Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców*, t. I, s. 662).

Na podobnie kosztowne fantazje pozwolił sobie w urządzeniu letniej rezydencji rozrzutny książę podkomorzy Kazimierz Poniatowski. I chociaż pracowali dla niego znakomici artyści, nie było w ogrodach na Solcu — na planie Rizzi-Zannoniego oznaczonych jako Tuileries — tego wdzięku, gdyż zabrakło delikatnej rączki i wytwornej główki znakomitej mecenaski sztuki.

Wyposażenie innych willi podmiejskich — pałacyków Królikarni, Natolina, willi bankierów na Faworach czy dalej położonej na prawym brzegu Wisły Jabłonny — było również wykwintne, fantazyjne, chociaż mniej oryginalne. Artyści wysilali swą inwencję twórczą, aby zaspokoić wybredny smak zleceniodawców, jak również zadośćuczynić ich ambicjom uzyskania rozgłosu i podziwu, a to w celu pokonania konkurującego przeciwnika, którym był inny wznoszący letnią rezydencję magnat czy bankier.

Tradycyjne mieszkania rodów mieszczańskich

W kamienicach mieszczańskich nie tylko starożytność ich budowy i przywiązanie do tradycji stawiało opór nowoczesnym przebudowom. Były rodziny, które kilkadziesiąt lat, a nieraz i znacznie dłużej żyły w jednej siedzibie. Dziedziczono nieruchomości i sprzęty, a także obyczaj pracowitego i oszczędnego życia. Z tej prawidłowości wyłamywały się nieliczne, wzbogacone rodziny bankierskie i najniższe, najuboższe warstwy mieszczaństwa. W zasobnych inwentarzach mieszczańskich, w długich spisach mobiliów szczegółowo wymieniano rodzaje, ilość i ceny ubiorów, mebli, nakryć stołowych, kuchennych, porcelany, nielicznych kosztownych farfurów, sreber, miedzi i cyny kuchennej, różnych sprzętów gospodarskich, a także przedmiotów zbytku — biżuterii, kosztowności, obrazów, ksiąg itp. Spisy, choć szczegółowe, nie wymieniają przedmiotów według miejsca ich przechowania, stanowiły bowiem podstawę do oszacowania majątku obywatela, a nie do opisu wnętrza. Dopiero zachowane przekazy ikonograficzne, obrazy i sztychy, ułatwiają jego odtworzenie.

Zarówno w dawnych, średniowiecznych kamienicach, jak i nowo wybudowanych, czy też wielkich domach kupieckich, parter przeznaczony był na pomieszczenia handlowe. Drzwi z sieni prowadziły do sklepu pełnego towaru, do warsztatu lub kantoru kupieckiego. W pomieszczeniach tylnych, o ile nie były zajęte na warsztaty, mieściły się składy dobrze zabezpieczone w grubych murach, zamknięte potężnymi drzwiami o żelaznych okuciach. We wnętrzach przyziemia niewiele zmieniło się od wieków. Pozostawiono sklepienia gotyckie lub pułapy drewniane z grubych belek, jak również kamienne czy ceglane posadzki. W grubych murach za drewnianymi drzwiczkami ukrywały się schowki, półki i płytkie szafy ścienne. Pod niemalowanymi ścianami stały półki i skrzynie z towarem oraz ławy dla klientów. Wyższe piętra zamieszkane były przez rodzinę i czeladników oraz służbę.

W XVIII wieku tylko nieliczne kamienice zajmowała jedna rodzina. Do tych wyjątków należała kamienica położona w Rynku Staromiejskim (nr hip. 44), siedziba Andrychiewiczów, zbudowana jeszcze w XV w. na mocnych sklepionych piwnicach, pełnych wówczas towaru. Na parterze mieściła się apteka i labora-

torium. Z obszernej sieni o ceglanej posadzce prowadziły na wyższe kondygnacje schody z balów dębowych, zabezpieczone balustradą z toczonych balasów. Na pierwszym piętrze od frontu znajdowała się wielka izba o przeznaczeniu reprezentacyjnym, odpowiednik wielkiej sali w pałacu magnackim. Podłoga ułożona w niej była w tafle sosnowe. Dawny pułap zamieniono już na sufit gipsowy. W zimne dni ogrzewał izbę ustawiony w narożu biały piec kaflowy, wsparty na nóżkach. Ściany zdobiły znajdujące się w każdym mieszkaniu wizerunki świętych oraz „portret nieboszczyka pana ojca w młodości", a także dwa obrazy przedstawiające kwiaty. Pomiędzy oknami ustawiono zwierciadło w czarnych, częściowo złoconych ramach. Na jednej ze ścian cieszył oczy gości „kobierczyk turecki plisiowy [pluszowy], granatowy, w kwiaty i ptaki wyszywany, z jedwabną frędzlą dokoła". Symetrycznie pod ścianami ustawiono krzesła gdańskie, kryte żółtą skórą, i dębowy „staroświecki" stół. Może również w tej izbie znajdowała się masywna szafa gdańska dębowa, polerowana „wierzchem snycerską robotą na gałkach z szufladami" i wielki kufer gdański zamczysty, półokrągły, stary. Modny wówczas stołowy zegar wiedeński wybijał dźwięcznie kwadranse i godziny. W pakownej starej szafie mogły mieścić się kosztowne srebra, o ile nie złożono ich w skrzyniach. Zastawa ta liczyła pięćdziesiąt talerzy, z których cztery były pozłacane, następnie cztery tacki do podawania potraw, przy czym jedna z nich zdobiona była ornamentami figuralnymi, cztery cukierniczki, kilka dzbanków do kawy, jeden do mleka, tuzin łyżeczek i czternaście łyżek stołowych, dwa tuziny trzonków do noży z kompletu i osiem innych, trzy kubki, solniczkę, a nadto dwie pary lichtarzy mniejszych i większych. Te ostatnie ustawiano na stole w czasie wieczerzy wraz z postumencikiem srebrnym, na którym kładziono szczypce służące do obcinania knotów palących się świec. W powszednie dni wyciągano zastawę z cyny angielskiej lub koronnej. Wśród pierwszej znajdował się komplet zdobiony w róże. Stół nakrywano na co dzień kobiercem, a do posiłków obrusami i serwetami, licznie przechowywanymi w szafach i komodach. Wybór obrusów był duży. Pani Andrychiewiczowa posiadała stare gdańskie i krakowskie oraz nowe holenderskie do kawy i najmodniejsze w kolorze popielatym. Kawę podawano przy małych okrągłych stolikach w wytwornej porcelanie. Co prawda, stary saski serwis państwa konsyliarzostwa wytłuczono, pozostało z niego tylko kilka sztuk, ale zamożni i kochający się w przedmiotach zbytku gospodarze nabyli serwis holenderski w niebieskie kwiatki. Komplet ten liczył dwie pary filiżanek do kawy, którą równie chętnie pito w zastawie chińskiej. Czasami raczono się czekoladą podawaną w chińskich filiżankach „do cekulaty", których posiadano kilkanaście.

Porcelanę i fajanse chowano do szaf kredensowych opatrzonych zamkami, nieraz „ordynaryjnych", czyli prostej roboty. Może w szafce malowanej na czarno trzymano szkło. Na uroczyste okazje podawano trunki w pięknych pucharkach z przykrywadłem i cyfrą właściciela, „przednio rżniętych". Używano też szklanek, których zapas sięgał kilkudziesięciu sztuk. Jedne z nich były wyrzynane w różne desenie, inne — angielskie — rysowane. Wiele też było karafek do różnych napojów. W małych skrzyneczkach czy innych schowkach i puzdrach trzymały panie biżuterię, perły, bransolety, kolczyki i piękne pierścionki.

Obok izby wielkiej znajdował się nieduży, jednookienny gabinet, którego ściany zdobiła rzeźbiona lamperia. Prawdopodobnie pracował w nim przy kantorku lub

stole, oświetlonym wieczorem światłem lampki mosiężnej, Jakub Andrychiewicz. W szafkach i kuferkach, półokrągłych, maleńkich, czarno bejcowanych i okładanych mosiądzem, w których konsyliarz przechowywał medykamenty, stały puzdra mieszczące flasze z zakręcanymi, cynowymi śrubami. Tu mieściły się książki medyczne, a także stara warcabnica i modna „laterna magica" dla rozrywki gości. Na ścianie wisiała staroświecka, suto wyzłacana karabela oraz zwierciadło w hebanowych ramach, a na innych ścianach obrazy świętych i portret ojca. Z sieni przechodziło się do izby tylnej, sypialnej, gdzie dokonano modnej przeróbki, wyodrębniając niszę na łóżko oraz dwa małe gabineciki. W izbach tych posadzka była pięknie ułożona w krzyżowy wzór, sufit obiegał gzyms, piec z białych kafli posiadał murowany kominek, a ściany obito płótnem. W oknach wisiały firanki z falbankami, na podłodze zaś leżały nowe kilimy. Łóżko z baldachimem, pochodzące może z czasów saskich, osłonięto karmazynowymi kotarami z kitajki, czyli jedwabiu.[37] Łoże, zazwyczaj podwójne, było elementem głównym i akcentowanym w umeblowaniu pokoju sypialnego. Powszechnie używano łóżek saskich, drewnianych lub żelaznych, z baldachimem, czyli tzw. „niebem". Upięcie, wykonane niejednokrotnie z kosztownych materii, nazywano pawilonem, dół zasłonięty był falbaną, czyli tzw. płotkami. Mniej więcej w połowie wieku rozpowszechniły się tapczany, poza tym używano podróżnych łóżek składanych, podwójnych, wyciąganych jedno z drugiego. Na takim łożu układano materace wypchane sierścią, włosiem lub wełną, obszyte drelichem, barchanem czy suknem. Przykrywano je pierzynami lub kołdrami. U Andrychiewiczów na przykład jedna z nich była szafirowa, atłasowa na bokach, środkiem zaś izabelowa, a więc szarożółta haftowana jedwabiem. Kołdry często pokrywano materiałami importowanymi ze Wschodu — bagazją, kitajką, aksamitem, dymą turecką, łyczakiem, astrachanią czy musułbasem. Najbogatsze zdobiono frędzlami. Na wierzch kładziono poduszki, których liczba w bogatym domu mieszczańskim sięgała kilkunastu. Oblekano pościel bielizną z płótna holenderskiego, gdańskiego albo śląskiego. Kotary szyto z karmazynowych kitajek, ale także z adamaszku, chińskich jedwabi, muślinu, skromniejszych kartunów, albo z drukowanych płócien.[38] W sypialni wisiało też zapewne jedno z dużych luster „w ramkach snycerskiej roboty wyzłacanych z dwoma ptaszkami kolorystymi", a na gotowalni osłoniętej muślinem stało ozdobne zwierciadło w srebrnych ramach.

Drugie piętro posiadało identyczny rozkład wnętrza, tylko z sieni wchodziło się do ciemnej kuchni. W izbie od frontu znajdował się modniejszy komplet jesionowych mebli, składający się z kanapy, trzynastu krzeseł i dwu foteli obitych karmazynową trypą, oraz stał stolik i jeden z licznych zegarów, jakie posiadał Andrychiewicz. Pokój ozdabiały obrazy, wśród nich pejzaż holenderski „przy miesiącu", a malowane supraporty nad drzwiami przedstawiały ruiny antyczne. Tutaj zapewne ustawiono fortepian i harfę, przy wtórze których to instrumentów panny śpiewały[39], nie chcąc ustąpić pierwszeństwa pięknym córkom konsyliarza Czempińskiego, u którego odbywały się wieczory koncertujące:

[37] AGAD, Stara Warszawa, nr 324, k. 330—337v z r. 1781; nr 325, k. 1—18 z r. 1789; nr 327, k. 53—72 z r. 1785.

[38] I. Turnau, *Odzież mieszczaństwa warszawskiego w XVIII wieku*, Wrocław 1967, s. 339—341.

[39] Zob. przyp. 37.

Ta klawicymbał, ta arfę porywa,
Ów głosu z skrzypiec miłego dobywa.
Ozwą się zaraz zabawne piosneczki,
Wdzięczne aryjki, wesołe taneczki.[40]

W izbie od podwórza mieściła się zapewne sypialnia dziewcząt. Okna jej zasłaniały białe muślinowe firanki. W pokoju tym stały pojedyncze łóżka, skromnie powleczone. „Panieńska pościel składała się z poduszek, spodka pierzanego, prześcieradła i kołdry, która tak u panien, jak u kawalerów bywała bławatna, na bawełnie przeszywana, pospolicie kitajkowa, karmazynowa." [41] W pękatych komodach fornirowanych orzechem z mosiężnymi antabami i zamkniętych zamkiem francuskim ułożona była bielizna stołowa, pościelowa, a może i wyprawa młodych panien. Na stolikach porozstawiano figurki fajansowe i porcelanowe, a na ścianach w wiszących, czerwono lakierowanych i wyzłacanych klatkach śpiewały kanarki.

Na trzecim i czwartym niskim piętrze mieszkała dalsza rodzina i liczna służba właściciela. Wykończenie tych wnętrz było proste, podłogi z tarcic, drzwi zwykłe, taflowe. Dzięki temu, że nie starano się o unowocześnienie tych izb, zachowany został piękny stary pułap z belek z tarcicami, „na zakładkę ułożony". Pomieszczenia ogrzewały białe piece i zwykłe, murowane kominki. Sprzęty wystawiono tam stare, „ordynaryjne", łóżka drewniane i żelazne. Rzeczy trzymano w szafach sosnowych, a także w skrzyniach oraz w kuferkach. Zapewne w jednej z izb służące przędły przy kołowrotkach, a w niewielkiej, trzeciej już w tym domu kuchni przygotowywały zapasy domowe lub też skromne posiłki dla siebie.

W przeciwieństwie do urządzenia wnętrz pałaców wnętrze domu mieszczańskiego cechowała znaczna stabilność. Każdy przedmiot stał na swoim miejscu, nie spoczywając w skarbcach i skrzyniach. Jedynie najbardziej kosztowne rzeczy przechowywano pod zamknięciem. Chociaż mieszczanie mniej ulegali modzie, to jednak wnętrza kamienic powoli zatracały swój dawny charakter. Niektórzy właściciele naśladując — każdy wedle swych możliwości finansowych — gust wyższych sfer podążali za obowiązującymi zwyczajami. Mieszczanie zaczęli również gromadzić obrazy, drobne sprzęty i meble, które stanowiły wdzięczne uzupełnienie urządzenia wnętrz. Niektórzy ulegli również panującej modzie portretowania. Już dawniej dostojnicy miejscy zamawiali swoje podobizny. Natomiast w okresie Oświecenia również bogatsze rodziny oprócz obrazów panujących władców i swych przodków pragnęły posiadać i własne portrety. Nieliczne z nich zachowały się do naszych czasów, m. in. interesująca podobizna Teresy Rafałowiczowej, żony przedstawiciela bogatej rodziny ormiańskiej. Nieznany malarz przedstawił ją bez żadnych upiększeń, z realistyczną wiernością, precyzyjnie opracowując szczegóły stroju. Zamawiany bowiem przez mieszczanina portret musiał być przede wszystkim podobny, poważny i dokładnie opracowany. Tym warunkom odpowiadają obie podobizny znanego fizyka, meteorologa i kronikarza Warszawy, Antoniego Magiera. Wszelkie cechy realizmu posiada również portret prezydenta miasta, Grzegorza Łyszkiewicza, czy komediopisarza, Franciszka Bohomolca, jak również portrety działaczy Sejmu Czteroletniego, które zdobiły ratusz Starej Warszawy,

[40] Fr. Bohomolec, *Wieczory na Starym Mieście u konsyliarzostwa Czenpińskich (Poezja polskiego Oświecenia*, s. 57).

[41] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, s. 518.

spełniając warunki wiernego odtworzenia osób, jak i powagi urzędu. Członkowie uboższych rodzin mieszczańskich również czasami zamawiali swe podobizny. Były one zazwyczaj wykonywane przez miernych malarzy, słabe artystycznie, a niekiedy wręcz niepodobne do osób portretowanych. Moda ta jednak stworzyła podstawę bytu licznej rzeszy malarzy przebywających w stolicy.

Domy mieszczańskie nie były urządzone jednolicie — obok dawnych, tradycyjnych mebli ustawiano nowe. Brakowało też w nich modnych obić ściennych, tego barwnego sposobu zdobienia ścian, który z dalekich Chin przywędrował do Polski za pośrednictwem Anglii i Francji. Tkaniny we wzory chińskie, tureckie, figury, kwiaty, kropki itp. stosowano powszechnie we wnętrzach pałacowych, natomiast w kamienicach mieszczańskich używano ich sporadycznie. Czasami ściany malowano, jak wspomina Magier, „w arabeski, architekturę z widokami, a gabinety gładkim zielonym kolorem obwiedzione, na którym obrazy włoskie pięknie odbijały".[42] Meble w domach pochodziły raczej z dawnych lat — gdańskie, dębowe, orzechowe, wchodzące w modę jesionowe, komplety kanap z krzesłami obitymi jednolitą materią, lekkie, mniej masywne. Znalazła również uznanie moda na żyrandole i wielkie zwierciadła. Spotykamy je często w mieszczańskich wnętrzach, u Andrychiewiczów i Czempińskich, jak również we wspaniałym mieszkaniu Zuzanny Raabe, wdowy po gminnym Starej Warszawy, kupcu winnym, Jakubie. Spis jej ruchomości wymienia m. in. „2 zwierciadła w ramach mody teraźniejszej, dobrze robionych feingultem, na mały polor złoconych", z łańcuszkami, a także lustra z lichtarzami mosiężnymi do oświetlania mieszkania. Pani Raabe była również właścicielką modnego biurka „z aufsatzem z klapą otwieraną do pisania z drzewa mahoniowego, zdobnego brązem mosiężnym i galeryjką na wierzchu także mosiężną". Otaksowano je na 414 złp.[43] Stanowiło ono wówczas jeszcze rzadkość.

W mieszkaniach mieszczan warszawskich niewiele było kobierców i kilimów. Spotykamy je przede wszystkim w domach szlacheckich, gdzie kwitł gust orientalny. Czasami zdobiły mieszkania, jak u pana Antoniego Minasowicza, mobilia perskie, m. in. „makat duży granatowy, kilim turecki, kobierczyk bogaty ze złotem, a także obicie chińskie na muślinie".[44] Niektórzy mieszczanie gromadzili obrazy przekraczające niekiedy liczbę kilkunastu, co świadczyło o artystycznych zainteresowaniach ich właścicieli. Znajdowały się tam wysoko szacowane pejzaże holenderskie i widoki ruin antycznych.

Nieliczni mieszkańcy stolicy, przeważnie ludzie wolnych zawodów, gromadzili piękne biblioteki. Do największych należał zbiór chirurga Laurentego Martucciego, liczący kilkaset tomów ocenionych na 3328 złp. Zawierał on w większości dzieła medyczne, od wczesnych wydań renesansowych Hipokratesa z 1556 r. do najnowszych prac z tej dziedziny.[45]

Znacznie skromniej przedstawiały się wnętrza mieszkań wynajmowanych. Należały wszak do mieszczan uboższych. Niektóre z nich odznaczały się wykwintem,

[42] H. Szwankowska, *Wnętrza warszawskich domów w XVIII w.*, „Kwartalnik Historii Kultury Materialnej", R. VIII, 1960, nr 8, s. 317.
[43] AGAD, Stara Warszawa, nr 329, k. 164v—172.
[44] Tamże, nr 324, k. 299v—310.
[45] Tamże, k. 132—139.

jak mieszkanie wspomnianego już Martucciego. Znajdował się w nim pokój sypialny z francuskim łóżkiem odgrodzonym od reszty pokoju parawanem malowanym. Większość mebli była z drzewa olszowego, a więc dwie pękate komody z szufladami wyciąganymi za antabki, kątowa szafka i szafka na książki. Zapewne w gabinecie stał mały komplet z drzewa jesionowego: kantorek o czterech szufladach, „półeczka *alias aufsatz* do książek" i piękny stolik, wysadzany kamiennymi kafelkami. W pokoju przyjęć ustawiono, być może, komplet złożony z kanapy i sześciu krzeseł okrytych czerwoną trypą. W pokoiku dla pomocnika znajdował się drugi tapczan i szlabanek, oba sosnowe, stary stół i z lekka uszkodzone krzesła. Na ścianach wisiały obrazy i zwierciadła. Pokój był obity starym, mocno zużytym płótnem białym w niebieskie kwiatki. W oknach wisiały zielone raszowe, tj. wykonane z cienkiej tkaniny wełnianej, firanki. Niewiele posiadał ten dom nakrycia stołowego, pościel też miał raczej skromną.[46] Widocznie uczony Martucci nie dorobił się fortuny w Warszawie. Skromne było również wnętrze małego domku przy ul. Ślepej, należące do krawca Bartłomieja Czeropińskiego. Otaksowano je tylko na 8800 złp. Mebli mieściło się tam niewiele, i to prostych, z drzewa sosnowego. Obicia były z czarnego płótna woskowego „w kwiaty i osoby malowane", a dwa kilimki stanowiły najkosztowniejsze przedmioty w mieszkaniu. Nakryć i garnków kuchennych zapisano równie mało, wymieniając wśród nich skrupulatnie jedną srebrną łyżeczkę „do kaffy".[47]

W małych pomieszczeniach urządzenie wnętrza utrudniał nie tylko niski stan finansów, ale i brak przestrzeni do rozstawienia mebli. O mieszkania do wynajęcia było bardzo trudno. Znaczny jak na owe czasy kupiec ormiański, Manugiewicz, mieszkał w kamienicy Rotery przy Krakowskim Przedmieściu, na trzecim piętrze od tyłu, w izbie z alkierzem, natomiast dla dwóch pomocników wynajmował jedną izbę na czwartym piętrze tej samej kamienicy.[48]

Nie tylko stali mieszkańcy stolicy, ale i przybywający do niej na krótsze lub dłuższe okresy przybysze mieli wiele trudności z wyszukaniem mieszkania, szczególnie w czasie trwania sejmów, podczas których nasilała się fala przypływu ludności. Przybyli urządzali się według swoich możliwości finansowych. Część z nich wynajmowała za znaczne sumy lokale dzierżawione od właścicieli kamienic i dworków. Inni znajdowali pomieszczenia w hotelach, których było wówczas w Warszawie zaledwie kilka. Cztery z nich, według relacji Schulza, zasługiwały na wspomnienie. Najlepszym w jego opinii był wybudowany przez architekta Zuga w latach osiemdziesiątych hotel „Pod Białym Orłem" na Tłomackiem naprzeciw biblioteki Załuskich. Stanowił on własność bankiera Karola Schultza. Wyglądem swym hotel ten przypominał pałac, natomiast we wnętrzu znajdowały się pojedyncze pokoje gościnne, a na drugim piętrze dwu- i trzypokojowe apartamenty, wyposażone w porządne meble i wygodne łóżka. Pobyt w nim należał do kosztowniejszych, hotel cieszył się jednak wielkim powodzeniem, był bowiem czysty, bezpieczny oraz posiadał dobrą restaurację. W niedalekim sąsiedztwie, przy ul. Senatorskiej, znajdowały się jeszcze dwa inne hotele. „Hôtel de Pologne", w którym można było się zatrzymać nawet tylko przez jedną dobę, prowadzony był, jak i poprzedni, przez Niemca. W pobliżu Panny Kanoniczki utrzymywały hotel w Marywilu, wynajmując liczne

[46] Tamże, k. 128v—139. [47] Tamże, k. 76v—79v. [48] Tamże, nr 820, k. 374v.

pokoje. Pomieszczenia te były najtańsze w Warszawie i dostępne dla wszystkich. „Najmuje się, komu zdarzy, dla zysku, nawet dziewczętom sprzedajnym, jeżeli tylko pozory zachować umieją." Niezamożni goście korzystali chętnie z miejsc w „Hôtel d'Allemagne" przy ul. Długiej. Mówiono o nim, iż przeznaczony był „raczej dla furmanów, czeladzi wędrownej i podobnych ludzi niż dla możniejszych cudzoziemców", był bowiem brudny, zapuszczony, i miał niegrzeczną obsługę.[49]

Wnętrza dworków miejskich

Dworki i domy osiemnastowieczne, w większości drewniane, parterowe, a co najwyżej o jednym piętrze, przedstawiały odrębny typ architektury i rozplanowania wnętrza. Budynki te miały charakter swojski, intymny, mniej reprezentacyjny. Pokoje nie łączyły się ze sobą w amfiladzie, która służyła do przedłużenia perspektywy wnętrza, ale skupiały się po dwóch stronach przestronnej sieni. W niej mieściła się zazwyczaj również kuchnia, druga obok letniej, usytuowanej w osobnym budynku w głębi posesji. W najokazalszych dworach budowano dla celów reprezentacyjnych pośrodku budynku dużą salę zajmującą prawie całą jego głębokość i wyciągniętą na wysokość piętra. Przez szerokie, szklane drzwi od strony ogrodu uzyskiwano widokowe połączenie z zielenią. Obliczone na krótszy żywot dwory i dworki nie posiadały tak solidnego wykończenia wnętrza, jak pałace i kamienice. W wiekach poprzednich zamieszkiwali je przedstawiciele zamożniejszej szlachty i magnaci. W XVIII stuleciu przenieśli się do bardziej reprezentacyjnych siedzib, odpowiadających ich rodowym ambicjom. Dwory ich zostały zajęte przez szlachtę i średniozamożne rodziny mieszczańskie. I te budynki nie były już przeważnie zamieszkiwane przez jedną rodzinę. Wprowadzali się do nich komornicy, jak zwano najemców lokali. Dlatego trudno jest przedstawić wnętrze o jednolitym charakterze, jaki uzyskuje ono, gdy zamieszkałe było przynajmniej w ciągu jednego pokolenia przez jedną rodzinę.

Zazwyczaj wnętrza dworków wykończone były skromnie. Drzwi i obramienia okien miały sosnowe, podłogi i pułapy układane z tarcic. Pokoje ogrzewały stare piece z zielonych, tańszych kafli i proste, murowane kominki. Niektóre wnętrza wykańczano staranniej. Wówczas wstawiano dębowe drzwi fazowane, a posadzkę układano we fryzy z dębowych tafli.

Skromne, choć gustownie urządzone było wnętrze znanego nam już dworku Wrzesińskiego przy ul. Franciszkańskiej. Dokładny opis taksatorów umożliwia odtworzenie jego wyglądu. Sionka prowadziła do niewielkiej izdebki narożnej, ogrzewanej przez kominek szafiasty i piec z białych kafli. Podłoga i pułap ułożone były z prostych desek sosnowych, ściany obite płótnem. Stał tu tylko stół dębowy z opuszczonymi klapami i dębowy szlaban, czyli skrzynia służąca do spania. Z pokoju prowadziły drzwi do malutkiego alkierzyka, który zapewne pełnił funkcję schowka. Po przeciwnej stronie sieni znajdował się większy pokój o dwóch oknach zasłoniętych garnirowanymi firankami kartunowymi. Wnętrze posiadało jednolity cha-

[49] F. Schulz, *op. cit.*, s. 437—439.

rakter. Ciemnozielona stara tkanina pokrywała ściany. Meble jesionowe, stolik składany i osiem krzeseł ustawiono rządkiem pod ścianą, a po drugiej stronie umieszczono komodę wiedeńską o trzech szufladach oraz kanapę z kompletu jesionowego obitą, tak jak i krzesła, zniszczoną, zieloną trypą. Nad drzwiami wisiały trzy pejzaże, nad stolikiem w bogato wyzłacanych ramach obraz Chrystusa Ukrzyżowanego, a także dwa portrety, obraz za szkłem malowany pastelową techniką i sztych w czarnych ramach. Między oknami umieszczono lustro. Przy salonie znajdował się alkierz obity ciemnozieloną tkaniną, z jednym oknem zasłoniętym białymi firankami w niebieskie paseczki. Przy ścianie stał niewielki stolik z jedną szufladą oraz kantor z nadstawioną oszkloną szafką, na ścianach wisiały dwa obrazy i trzy sztychy. Po drugiej stronie od podwórza była jadalnia, obita starym, nakrapianym płócienkiem. Stał w niej mocny, dębowy stół z klapami, pamiętający dawne czasy, szafa „ordynaryjna" służąca jako kredens, w kącie modny zegar szafkowy, a także komplet mebli składający się z kanapy i sześciu krzeseł pokrytych płócienkiem w niebieskie paski. Ściany zdobiły obrazy — św. Benedykt i trzy pejzaże. Przy tej izbie mieścił się jeszcze jeden alkierz obity popielatą materią, w którym znajdowała się tylko stara komoda dębowa o trzech szufladach z zamkiem i antabami.[50]

Dworek Wrzesińskiego jest przykładem wyposażenia przeciętnie zamożnego domu. Wnętrza bogatsze, wykwintniejsze należały przeważnie do ludzi o dużej kulturze osobistej. Takim uroczym dworem była siedziba znanego malarza i dekoratora teatralnego, Jana Bogumiła Plerscha, zamieszkałego wraz z żoną Konstancją z Hardouinów, córką pocztmistrza warszawskiego, w domu przy ul. Nalewki nr 2254. Niestety, nie znamy rozkładu mieszkania. Urządzone było bogato, o czym świadczy choćby suma oszacowania wartości wszystkich przedmiotów, które się w nim znajdowały, wynosząca 54 700 złp. Była ona wysoka, gdyż przeciętna wartość otaksowanych ruchomości wahała się między kilku a kilkunastu tysiącami złotych polskich. W niewielkim salonie okna zawieszone były firankami z płótna w zieloną kratkę. Takie samo obicie pokrywało garnitur mebli jesionowych, złożony z kanapy i krzeseł. Kominek zasłonięty był ekranem. W tym pokoju znajdował się zapewne kantorek z aufsatzem, czyli nasadą, orzechowy, fornirowany drzewem z zamkami i antabami mosiężnymi, który oceniono na 108 złp., następnie stół owalny jesionowy, modny stojący zegar angielski „szafowy, któren cały tydzień z jednym nakręcaniem idzie, godziny bije, z imieniem Jordan Wiliamson London — złp. 180". Na ścianach wisiały liczne obrazy i sztychy oraz lustra w kwiaty oblewane woskiem kolorowanym. W sypialni państwa Plerschów stały jesionowe łóżka, zasłonięte dołem pawilonem z karmazynowego jedwabiu. W szafach zamknięte były kosztowne ubrania, futra, bielizna, srebra i cenniejsza porcelana oraz fajanse. Pani używała w gotowalni zwierciadła oprawionego w stare ramki. Inne pokoje urządzono meblami starymi i skromniejszymi. Dla wygody mieszkańców używano „wanny do kąpania" (była i inna, „do chust naparzania"). W większości domów korzystano jeszcze z prostych drewnianych umywalni, na których stały miednice do mycia się i flasze do wody, miedziane lub cynowe. Dla nocnej wygody stawiano fajansowe urynały lub zwyklejsze „nocne wazony".

[50] AGAD, Stara Warszawa, nr 329, k. 178v—180.

Część pomieszczeń zajmowała pracownia artysty, a także zbiory obrazów, rzeźb, sztychów i książek traktujących o malarstwie i architekturze, które służyły mu do pracy jako wzory do pomnożenia inwencji twórczej. Oto one: „1 Galeria Pamphili z 62 sztukami. 1 Ovidius z kopersztychami 150. Posągi starożytne w 162 kopersztychach [...]. Galeria Farnese w 20 sztukach. Galeria Rubensa w 12 ditto do plafonów. [...] Horatii Flacci Książka emblematyczna. Caracciego Korygatury [?] kopersztychów 22. Kopersztychy pana Le Brun do fabryk obiciowych. [...] Landszafty przez Brughela sztuk 34...", a także podręczniki współczesne: „Książka do perspektywy po niemiecku. Książka perspektywów ogrodowych sztuk 40. Książka architektoniki przez Vignola [...]. Vessaly książka anatomiczna [...] Preslera początki dla rysujących 18." W pracowni znajdowały się też zapiski i rysunki samego Plerscha: „Myśli i różne kompozycje kreślone dla nauki przez urodzonego Imć Pana Plerscha dla nauki." [51]

Nie wszyscy mieszkali w zasobnych, więcej lub mniej gustownie urządzonych dworkach. Wielu posiadało małe domostwa o dwóch, co najwyżej czterech izbach, w których żyli w skromnych, a nieraz i dość prymitywnych warunkach. Jedno z takich mieszkań należało do rybaka Ludwika Szczerbińskiego, właściciela dworku dwuizbowego, który wraz ze spichrzem oszacowano na sumę 3650 złp. Nic dziwnego, gdyż wyposażenie wnętrza było bardzo skromne — podłoga ceglana w sieni i kuchni, a w izbach podwalina pod tarcicami sosnowymi już nadgniła.[52] Jeszcze niżej, bo na sumę 1265 złp., oceniony został dworek wraz z ogrodem małżonków Tańskich, położony przy ul. Marszałkowskiej. Drzwi w nim były prostej, ciesielskiej roboty, podłogi i sufity ułożone z desek. W jednej izbie stał piec z kafli zielonych, a w drugiej z białych.[53] Sprzęty też były zapewne proste, ale opisu ich inwentarze nie przekazują. Wiele domów chyliło się ku ruinie, jak próchniejący dworek krawca Kaszubińskiego przy ul. Kłopot.[54]

Zły stan budynków drewnianych był zjawiskiem powszechnym. Lokatorzy tych domów, w większości ludzie biedni, nie posiadający zawodu, wykolejeni, zajmowali najskromniejsze i najtańsze pomieszczenia, pozbawione wszelkich wygód. W takiej izdebce, źle oświetlonej, której okno wychodziło na smrodliwe podwórko zarzucone śmieciami i tonące w gnoju, mieściły się tylko najprostsze, najniezbędniejsze do życia sprzęty. Prycza drewniana z siennikiem do spania, ława z desek, skrzynka na rzeczy, parę stołków drewnianych, kilka garnków i naczyń glinianych. Te sprzęty określał taksator miejski jako „bez ceny" i często wcale ich nie wyliczał. Toteż inwentarze nie wykazują wyposażenia wnętrz najbiedniejszych, których liczba sięgała co najmniej kilkunastu tysięcy. Istniejące w nich najpotrzebniejsze sprzęty „ordynaryjne" kupowane były zapewne za grosze od poprzednich lokatorów lub też wynajmowane wraz z izbą. Ubodzy mieszkańcy tych pomieszczeń nie dbali o ich schludny i miły wygląd. Uniemożliwiała im to stała nędza i ciągła pogoń za najmarniejszym choćby zarobkiem.

[51] Tamże, nr 327, k. 684—694; por. E. Łopaciński, *Spuścizna Jana Jerzego Plerscha*, „Biuletyn Historii Sztuki i Kultury", R. XI, 1949, nr 3/4, s. 400—401.
[52] AGAD, Stara Warszawa, nr 321, k. 35.
[53] Tamże, nr 326, k. 216v.
[54] Tamże, nr 327, k. 77v.

UBIORY

Moda paryska

Wszyscy wiemy, jak wyglądały rokokowe stroje warszawskiego dworu „króla Stasia": pudrowane peruki, haftowane fraki i kamizelki, obcisłe pluderki, białe pończochy i trzewiki ze sprzączkami, kwieciste robrony rozpięte na rozłożystych rogówkach, czyli krynolinach XVIII wieku, wysokie fryzury, wielkie dekolty i malowane wachlarze. Był to jeden z najbardziej charakterystycznych okresów mody europejskiej, kształtującej daleką od naturalnej sylwetkę człowieka, zmieniającej damy i kawalerów w modne laleczki, pozbawione indywidualności, lecz także i wieku. Pudrowane peruki i jaskrawy makijaż wyrównywały wygląd matek i córek, a leciwych lowelasów upodabniały do eleganckich młodzieńców. Stroje te skutecznie zacierały wiele braków w zakresie rysów czy figury i dotychczas zgrabnie przebierają one aktorów w sztukach „kostiumowych". Chętnie stosuje się je na maskaradach.

Wiele pisano na temat szybkich zmian w wysokości damskich fryzur i objętości rogówek. Lalki paryskie, wystrojone według najnowszego odcienia dworskiej mody, wysyłano na liczne dwory europejskie wraz z pierwszymi masowymi wydawnictwami dotyczącymi ubiorów. Powodowało to małe przewroty pałacowe, wzmożone wydatki i niesnaski małżeńskie. Tak wyglądała zewnętrzna strona przyjmowania z Paryża nowych krojów sukien wraz z najbardziej obiegowymi poglądami encyklopedystów. Mniej się wie o tym, że w czasach Oświecenia dokonały się najbardziej rewolucyjne przemiany w zakresie form ubiorów, jakie wstrząsnęły kulturą Europy zachodniej. Inwencja paryskiego rzemiosła luksusowego nie przewidywała tak zasadniczych zmian. Pierwsze nowinki szły z Anglii, późniejsze i trwalsze przemiany przyniosła moda antyku, która zrujnowała paryskich krawców, szewców, modniarki, hafciarki i koronczarki, a także lyońskich tkaczy wzorzystych jedwabi.

Pierwsza z tych przemian zaznaczyła się już na początku XVIII wieku. Wpływ mieszczańskich ubiorów angielskich i rozpowszechnienie się mundurów wojskowych stały się przyczyną stopniowego upraszczania się ubioru męskiego, przystosowywania go do wykonywania pracy zawodowej. W ciągu XVIII stulecia ukształtował się stopniowo trzyczęściowy ubiór męski, złożony ze spodni, kamizelki i zwierzchniego surduta czy fraka. Długie pantalony sankiulotów zastąpiły podczas rewolucji obcisłe pluderki rokokowych modnisiów, cienkie sukna i półwełniane tkaniny w drobne paski wypierały wzorzyste jedwabie i hafty. Krój męskiego ubioru coraz bardziej przypomina mundur napoleońskiego oficera. Malała stopniowo liczba ozdób, haftów, wstążek i koronek i wytwarzał się zuniformizowany typ męskiego trzyczęściowego „garnituru", którym zachwiała dopiero współczesna moda sportowa.

Przemiany mody kobiecej były bardziej radykalne, ale mniej trwałe. Od początku lat osiemdziesiątych XVIII wieku wpływy angielskie wyrugowały z wolna rozłożyste rogówki, z których pozostało jedynie upięcie fałd z tyłu, zwane *cul de Paris*, późniejsza turniura. Lekkie suknie uszyte z drukowanych perkali, duże kapelusze i okrycia zwierzchnie o kroju naśladującym ubiór męski stanowiły pierwszy etap

przemian. Przewrót wywołała moda antyku wprowadzając luźne suknie z lekkich tkanin z szarfą i chustką skrzyżowaną na piersiach. Moda ta uwolniła kobietę od gorsetu i zmusiła do podwyższenia wymagań w zakresie higieny osobistej i bielizny. W następnym stuleciu powróciły jednak obcisłe gorsety, a później krynoliny i turniury i dopiero rozpowszechnienie się pracy zawodowej kobiet umożliwiło ponowne i trwałe uproszczenie w ich ubiorze.

Największy przewrót dotyczył jednak ubiorów dzieci i młodzieży. W dawnych wiekach odzież ich nie różniła się prawie od odzieży dorosłych. Dopiero w latach siedemdziesiątych XVIII stulecia moda angielska stworzyła osobny ubiór dziecinny, zwłaszcza zaś chłopięcy. Chłopcy zaczynają nosić długie i szerokie spodnie marynarskie, płytkie pantofle bez obcasów i szerokie szarfy. Uproszczenia w sukienkach dziewczęcych wiążą się silniej ze zmianami mody kobiecej końca stulecia. Luźne sukienki bez gorsetów były noszone tylko przez kilkanaście lat.

Zaznaczono tu rozmiary i kierunek przemian w zakresie mody zachodnioeuropejskiej okresu Oświecenia. Była ona szybko i wiernie naśladowana przez zamożniejszych mieszkańców Warszawy. Z małymi odchyleniami hołdowały jej kobiety, podczas gdy znaczna część mężczyzn nosiła dłuższy i poważniejszy ubiór polski, złożony z kontusza, żupana, pasa, portek, butów z cholewami i wykończonej futrem czapki. Pragniemy zaprezentować różne szczegóły odzieży mieszkańców Warszawy. Najwięcej pisano dotąd o bogatych strojach dworskich. Przedstawimy tu więc także skromniejszą odzież sławetnych mieszczan, rzemieślników, kupców, szlachty osiadłej na stałe i przyjeżdżającej do stolicy na sejmy i zakupy, a także licznej służby i biedoty. Wspomniane zmiany mody wywarły wpływ na sylwetkę wszystkich niemal mieszkańców stolicy.

Luksus możnych

Warszawa wieku Oświecenia posiadała wiele dworów, wśród których królewski nie zawsze mógł przewyższyć zbytkiem dwory magnackie, a nawet bankierskie. Sam król należał jednak do najbardziej eleganckich mężczyzn: „Jego chód, sposób mówienia, najmniejsze ruchy, upodobania, nawet ubranie jego, aż do fryzury i włosów, wyższego towarzystwa młodzież jak najstaranniej imitować się starała." [1] Każde jego wystąpienie od koronacji aż do opuszczenia Warszawy po Insurekcji było starannie przygotowywane. Na co dzień jednak „lubił wygodę w ubiorze. W porze letniej unikając gorąca nosił mondur z kamlotu brukselskiego, kamizelkę i spodnie z lekkiej dymy białej lub turecczyzny w drobne paski, na głowie kapelusik czarny, słomiany". Skromne mundury, kadecki czy dworski z orderami, były uszyte z wyszukaną prostotą, a sukna i galony, produkowane w polskich manufakturach włókienniczych, służyły jedynie na liberie służby dworskiej. Ostentacyjny przepych ubioru, stosowany przez część magnatów na wzór epoki saskiej, ustępował jednak

[1] F. Schulz, *Podróże Inflantczyka z Rygi do Warszawy i po Polsce w latach 1791—1793* (*Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców*, t. II, s. 641). Wszystkie opisy ubiorów podane w tym rozdziale są oparte na pracy: I. Turnau, *Odzież mieszczaństwa warszawskiego w XVIII wieku*, Wrocław 1967.

wygodzie i prostocie trzyczęściowego ubioru męskiego. Wyjeżdżając z Warszawy 7 stycznia 1795 r. Stanisław August ukazał się po raz ostatni swym poddanym „ubrany na drogę w rysiej kierei i aksamitnej czapce czarnej, wolterówka zwanej." [2]

Królewskie zamiłowanie do ubioru zagranicznego wywarło pewien wpływ na sposób ubierania się dworzan, magnatów, a także szlachty i mieszczan warszawskich. W pierwszym dwudziestoleciu XVIII wieku, mimo panowania dynastii saskiej, „suknie niemieckie" były tak mało rozpowszechnione w kraju, że „w okresie pierwszych walk z Sasami w 1715 roku zabijano każdego, kto nosił strój niemiecki".[3] Urodzony w 1757 lub 1758 roku Niemcewicz pisze o swym dziecinnym zdziwieniu na widok paryskiego stroju podkomorzego Ossolińskiego.[4] Krótki ten ubiór, tańszy i ułatwiający pracę zawodową, szybciej rozpowszechniał się w większych miastach aniżeli po dworach szlacheckich. Jego zwolennikami stali się duchowni: „Znaczna liczba prałatów znajdujących się w stolicy pędziła swe dni swobodnie i wytwornie. Ubiór ich był krótki, *en abbé*, głowy wszystkie fryzowane z lokiem, czyli, jak zwali fryzerowie, obojczykiem w tyle." [5] Jednym z elegantów był brat króla, prymas Michał Jerzy Poniatowski, który na samo pranie swej bielizny wydawał od 40 do 100 złp. miesięcznie.[6] Bardziej oszczędny był pod tym względem Józef Kossakowski, biskup inflancki, powieszony przez lud warszawski 9 maja 1794 roku: „Zdjęli zaś z niego nie tylko święcenia wszystkie, ale też i suknie, obwieszony w koszuli tylko i pluderkach płóciennych, a jeszcze obojga brudnych, bo ten wyższy nad wszelką poziomość człowiek nie był galant, chodził w jednej koszuli długo, póki jej dobrze nie ubrudził, żeby darmo praczce nie płacił." [7]

Masowe rozpowszechnianie się ubioru zagranicznego wśród magnatów, części szlachty i mieszczan wywołało propagandę ubioru polskiego o charakterze politycznym, niezależną od sarmackich gustów niektórych możnych, jak Karola Radziwiłła. Propaganda ta przybrała na sile w okresie Sejmu Czteroletniego, znajdując oparcie zwłaszcza w Izabeli Czartoryskiej. Wielu magnatów zdecydowało się na utratę bujnych loków. Jan Potocki, autor *Rękopisu znalezionego w Saragossie*, w 1788 r. „zaczął się ubierać, nie powiem już po polsku, lecz prawie po czerkiesku". Dnia 29 listopada 1788 r. sejm uchwalił przebranie całej armii w ubiór polski. Marszałek „Sapieha zaraz strój ten przywdział. U księżny generałowej [Izabeli Czartoryskiej] obcięto mu włosy przy dźwięku trąb i kotłów." [8] Te obszerne dyskusje sejmowe na temat umundurowania nie istniejącej części armii wywołały liczne satyry:

Co mają wspólne z sercem polskiem szarawary,
Czyli człek z strojem kładnie lub zrzuca przywary? [...]
Czy łokieć więcej sukna robi człeka śmiałym? [9]

[2] A. Magier, *Estetyka miasta stołecznego Warszawy*, s. 95—96.
[3] J. Gierowski, *Między saskim absolutyzmem a złotą wolnością. Z dziejów wewnętrznych Rzeczypospolitej w latach 1712—1715*, Wrocław 1953, s. 42.
[4] J. U. Niemcewicz, *Pamiętniki czasów moich*, t. I, s. 40.
[5] A. Magier, *op. cit.*, s. 224.
[6] AGAD, Arch. prym. Poniatowskiego z Jabłonny, nr 7, 30 i 31.
[7] J. Kitowicz, *Pamiętniki do panowania Stanisława Poniatowskiego*, Poznań 1845, t. I, s. 236—239.
[8] *Stanisław Poniatowski i Maurycy Glayre. Korespondencje dotyczące rozbiorów Polski*, wyd. E. Mottaz, Warszawa 1901, t. II, s. 87. List Lubomirskiej do Glayre'a z 29 listopada 1788 roku.
[9] J. I. Kraszewski, *Polska w czasie trzech rozbiorów, 1772—1799*, t. II, s. 231.



II

Inny satyryk stwierdza:

Niechby cywilność cała
Staropolski ubiór miała,
Ale nie zaś perskie pasy,
Aksamity lub atłasy.
Lecz sukno z krajowej wełny [...]
Lecz kiedy zbytek taki
Na kontusze jak na fraki.[10]

Propaganda polityczna na rzecz ubioru polskiego zahamowała na krótko proces przyjmowania się w Polsce uproszczonego męskiego garnituru. Na skutek haseł Sejmu Czteroletniego grupa zamożniejszych mieszczan warszawskich zaczęła powracać do ubioru polskiego, będącego zarazem dla nich ubiorem szlacheckim. Przebieranie się liczniejszej grupy właścicieli w nowy typ ubioru powodowało u mniej zamożnych lub mniej starannych mieszkańców Warszawy zjawisko mieszania się obu typów ubiorów. Zmiany w ich upodobaniach sprawiały, że „szabla, szpada, kurtka, francuska suknia, ubiór narodowy i frak, obcięte włosy i fryzura, czapka czy kapelusz, każdy kładnie, co mu się podoba. [...] Często się postrzega młodszych i starszych ludzi wyższych stanów w kapeluszu okrągłym, włosy obcięte, szarawary, frak angielski, a szpada francuska; lub polska szabla, francuski strój, haftowana kamizelka, harbejtel, *chapeau bas,* spodnie nankinowe i angielskie buty ze sztylpami; albo nareszcie angielski frak, żylet [kamizelka], spodnie skórzane, trzewiki z podwiązkami, głowa wkoło zafryzowana, a na niej czapka polska czworokończasta. Są to dziwactwa, które tu nikogo nie rażą, chociaż zdradzają brak smaku i najwyższe zaniedbanie".[11] To pomieszanie obu typów ubiorów widać u przechodniów ulic Warszawy ukazanych na obrazach Canaletta.

Stopniowa uniformizacja męskich ubiorów występuje bardzo silnie w tym okresie. Z inicjatywy króla, pragnącego zmniejszyć import kosztownych ubiorów, wprowadzono mundury wojewódzkie w określonych kolorach, przeznaczone dla posłów z różnych regionów kraju. Przepisy z 1778 r. rozpowszechniono w kalendarzach i uzupełniono w dwa lata później. Określały one tylko barwy i dodatki, np. województwo „mazowieckie — kontusz ciemnoszafirowy i guziki złote z literami «X. M.», wyłogi koloru słomianego i żupan takiż. Rawskie — kontusz pąsowy z wyłogami czarnymi, guziki złote z literą «R», żupan biały." „Prawa oszczędnicze", zakazujące drogich galonów, były omijane przez młodych szlachciców bawiących się w Warszawie.[12]

Poza mundurami wojewódzkimi noszono także wojskowe. Oznaczało to przy tym tylko powiązanie się z jakąś „familią" magnacką czy sympatię do określonego typu broni. Rozpowszechniony zwyczaj noszenia mundurów przez cywilów oburzył pedantycznego Anglika Wraxalla, który odwiedził Warszawę w 1778 roku: „Mundur wojskowy, który powinni nosić wyłącznie odbywający służbę wojskową, jest sprofanowany; każdy niemal szlachcic pokazuje się wedle własnego widzimisię w jakimś mundurze".[13] Mundury wojskowe rozpowszechniły się w Polsce dopiero

[10] Tamże, s. 231. [11] F. Schulz, *op. cit.*, s. 588.
[12] A. Magier, *op. cit.*, s. 235; D. T. Krajewski, *Wojciech Zdarzyński*, Warszawa 1785, s. 56.
[13] N. W. Wraxall, *Wspomnienia z Polski, 1778 (Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców*, t. I, s. 538).

w początkach XVIII wieku, jakkolwiek i przedtem ubierano nieraz poszczególne oddziały w jednakową „barwę". Jazda ubrana była przy tym w strój narodowy, z tym że szeregowcy nosili katanki (rodzaj kurtek) zamiast kontuszy, a piechota i artyleria fraki z małymi kołnierzami, kamizelki i spodnie. Na ulicach Warszawy najłatwiej było spotkać oficerów i żołnierzy Gwardii Konnej Koronnej w czerwonych surdutach, jasno granatowych kamizelkach i spodniach, kapuzach lub kapeluszach i okrągłych płaszczach. W okresie Sejmu Czteroletniego ujednolicono mundury wojskowe. Wszyscy nosili kurtki w odpowiednich kolorach.

Przyjrzyjmy się teraz bliżej sylwetkom elegantów dworskich, śledzących pilnie różne odmiany paryskiej, a później angielskiej mody. W początkach panowania Stanisława Augusta „suknie niemieckie" ulegają stopniowemu skróceniu i zwężeniu. Spodnie do kolan stają się coraz bardziej obcisłe, a surdut zaledwie je przykrywa. Kamizelka skraca się, traci rękawy i sięga już tylko do pasa, podczas gdy dawniej była długości okrycia zwierzchniego. To ostatnie nie zawsze stanowiło francuskie *habit,* wchodziły w modę inne jego odmiany. Najbardziej sportowym wariantem był *riding-coat* — redingot — angielski ubiór do konnej jazdy, długi za kolana, o dwu kołnierzach, szerokich mankietach i pasku. Surdut był okryciem nieco cieplejszym, uszytym z sukna lub bai, i spełniał rolę dzisiejszej marynarki. Najlżejsze okrycie zwierzchnie zaczynało przyjmować nazwę fraka. Był to ubiór skrojony niezmiernie oszczędnie, nieraz bez kieszeni i guzików, z obciętymi, zwężającymi się z tyłu połami. U elegantów poły te spadały do kostek. Charakterystyczną cechą wczesnych odmian fraków był płaski, wyłożony kołnierz. Upraszczanie się ubioru paryskiego nie zadowalało warszawskich strojnisiów. Spod galonów i haftów trudno czasem było dojrzeć sukno: „Toż potem nastały hafty bogate do zimowych sukien i jedwabne do letnich. Te sprowadzali z Francyji; haft w materyjach pomienionych był tak ułożony w sztuce, jak i w których miejscach miał przypadać w sukni." Niezmiernie kosztowne były także niektóre gatunki koronek używane do mankietów i jako halsztuki zasłaniające przód koszuli (rodzaj żabotów). Poza tym „panowie pierwszej rangi dawali do sukien wszystkie guziki z samych dyjamentów, brylantów i innych najdroższych kamieni robione." [14] Biedniejsi używali srebrnych czy złotych guzików lub też wyrobów z metalowych nitek wykonanych przez rzemieślników zwanych szmuklerzami.

Niektórzy mężczyźni nosili w tym okresie długie włosy ułożone w loki i upudrowane. Ich końce umieszczano w czarnym jedwabnym woreczku, aby puder nie plamił ubrania. Mężczyźni świeżo przebrani w ubiór zagraniczny, a więc z podgoloną głową lub łysiejący, używali małych, podwiniętych peruk. Starsi panowie wkładali jeszcze wielkie peruki z lokami opadającymi na ramiona. Kapelusz noszono nie na głowie, lecz pod pachą, gdyż niszczyłby fryzurę i byłby stale poplamiony pudrem. Kłaniano się kapeluszami wyjętymi spod pachy, nie noszono ich na głowie, nawet do futer w czasie mrozów. Ubiór uzupełniały białe lub kolorowe pończochy, ozdobione na łydkach strzałkami i czasem haftowane, oraz płaskie trzewiki z metalowymi sprzączkami, na obcasach. Pod koniec Oświecenia maleje znacznie liczba ozdób, krawaty wyrugowują koronkowe żaboty, przeważają kolory ciemne i spodnie do kostek. Jednakże i w okresie mody Wielkiej Rewolucji spotykało się na ulicach

[14] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III,* s. 502, 503.

Warszawy wiernych naśladowców fantazyjnej jej odmiany. „Eleganci najnowszej mody noszą teraz (maj 1793 roku) mały okrągły kapelusik z wysokim spiczastym denkiem, włosy dokoła głowy w lokach ułożone, grubą, pstrą chustkę na szyi z ogromnymi końcami, które pod brodą są nastawione i do pół ją okrywają, w najosobliwszy sposób haftowaną lub malowaną kamizelkę po biodra tylko sięgającą, długi, ogoniasty, ostro zakończony z tyłu między nogami frak z wysoką, krótką talią i płasko na ramionach leżącym kołnierzem; spodnie aż do kostek obcisłe i trzewiki pantoflowate bez sprzążek. Dopełniają stroju dwie złote dewizki od zegarków z potężnymi kluczami i pieczęciami i gruba sękowata pałka, która nieustannie z ręki do ręki się przerzuca i musi być w ruchu utrzymywana." [15]

Malowniczy ubiór polski, po części oparty na wzorach wschodnich, ukształtował się w okresie mody sarmackiej w XVII wieku. Ubiór ten nosiła część posłów sejmowych, magnaci starej daty wraz ze swymi licznymi klientami, szlachta pracująca w urzędach lub przyjezdna, oraz poważna część mieszczan. Składał się on z kontusza, żupana, pasa i portek. W początkach panowania Stanisława Augusta kontusz był dopasowany, długi za kolana, z wąskimi rękawami rozciętymi od ramienia do łokcia, z wylotami zarzucanymi na plecy. Jedynie starsi panowie hołdowali jeszcze dawniejszej modzie krótkich do kolan kontuszy z maleńkimi rozcięciami rękawów, czyli wylotami. Żupan był zwykle uszyty z cieńszej tkaniny w kolorze dopasowanym lub kontrastującym z kontuszem, podobnej do niego długości, z długimi, wąskimi rękawami. Zapinano go od góry do dołu na małe guziczki. Koniecznym uzupełnieniem tego stroju były długie do kostek portki wpuszczane w wysokie buty z żółtej lub czerwonej skóry, z obcasami podbitymi podkówkami. Kontusze przepasywano szerokimi pasami tkanymi ze złotych, srebrnych i barwnych jedwabnych nici. Część manufaktur wyrabiających te pasy, zwanych persjarniami, stosowała ornament oparty na wzorach wschodnich, część zaś później założonych zakładów opierała swą produkcję na wzorach zachodnich. Pierwsze takie persjarnie zakładali magnaci w celu kaptowania kosztownymi pasami ubogich szlacheckich klientów przy wyborach sejmikowych. Każdy szlachcic nosił przy sobie szablę, a do paradniejszego stroju przypasywał karabelę.

Staropolska moda nakazywała tak wysoko podgalać głowy, że „czupryna zredukowana została do kilku włosów na samym wierszchu pozostałych, dla czego takie głowy, młokosom, dworakom najwięcej upodobane, poważniejsze osoby nazwały głowami cybulanymi, przez podobieństwo do cybuli, wśród gładkiego kręgu swego mały kosmek mającej".[16] Te prawie łyse głowy wychodziły z mody w Warszawie okresu Oświecenia. Należało je osłaniać czapkami futrzanymi z sukiennymi lub jedwabnymi wierzchami, albo kołpakami sobolowymi. Kto nosił się po polsku, musiał zapuścić wąsy:

Ozdobo twarzy, Wąsy pokrętne!
Powstaje na was ród zniewieściały.
Dworują sobie dziewczęta wstrętne,
Od dawnej Polek dalekie chwały. [...]

[15] F. Schulz, *op. cit.*, s. 588—589.
[16] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, s. 492.

Kogo wstyd matki, ojców i braci,
Niech się ze swego kraju natrząsa.
Ja zaś z ojczystej chlubien postaci,
Żem jeszcze Polak, pokręcę wąsa.[17]

Bielizna noszona do ubioru polskiego była niewidoczna, przedstawiała się więc dość skromnie i nie zawsze odznaczała się czystością. Koszula miała szerokie rękawy i wąski kołnierz zawiązywany pod szyją na tasiemkę lub spinany spinką. Koszula sięgała tylko do kolan, jeśli jej właściciel nosił poza tym staroświeckie gacie, w przeciwnym wypadku dochodziła nawet do pół łydki. Wysokie buty nawet najwięksi panowie wyścielali słomą, rzekomo zwalczającą pocenie się nóg. Dopiero moda woskowanych podłóg skłoniła szlachtę do używania zamiast słomy filcowych wkładek i skarpet zamiast onucy.

Zarówno ubiory polskie, jak zagraniczne wymagały okryć zwierzchnich. Od deszczu najlepiej chroniły opończe, czyli luźne, fałdziste płaszcze z kapturami, uszyte z mocno spilśnionego sukna. Okryciem podobnego kroju były burki uszyte zwykle z płatów spilśnionej wełny czy sierści. Okrycia te w końcu XVIII w. zastąpiły płaszcze zwane czujami czy czujkami, uszyte z sukna lub lżejszych tkanin wełnianych. Wyrabiano je masowo w jednej z warszawskich manufaktur. Znacznie bardziej różnorodne były okrycia podszyte futrami, np. bekiesze kroju kontusza, lżejsze kiereje, luźne wilczury, szuby i delie, a także zwykłe kożuchy baranie. Różne gatunki futer od soboli, szopów czy lisów do wilków, niedźwiedzi i baranów pokrywano sukiennym czy atłasowym wierzchem. W miarę upraszczania się ubioru męskiego długie kontusze ze zwisającymi rękawami zaczęły zastępować skromniejsze czamary o podobnym kroju, ale z płaskim, wykładanym kołnierzem, zaszytymi rękawami i dwustronnym zapinaniem na pętlice. Czamarę przypominały krojem krótsze taratatki. W ubiorze podróżnym czy wojskowym używano kurtek albo lejbików.

Wspomnieć należy o drobiazgach i dodatkach do ubioru męskiego. Pod koniec panowania Augusta III rozpowszechniły się różnego rodzaju ordery, których wykupienie było kosztowne. Trzeba było np. odtworzyć order Orła Białego wysadzany diamentami w kształcie krzyża z okrągłą tarczą, na której był orzełek. „Pan orderowy do każdej sukni miał przyszytą gwiazdę, a nawet i do płaszcza, i kierei, ledwo nie do szlafroka, aby go wszędzie i zawsze znać było, że jest orderowym." [18] Imitowaniem orderów były małe krzyżyki wyszywane jedwabiem na ubiorze szlachty naśladującej strój magnatów. Do drobiazgów noszonych w kieszeniach należały lornetki, binokle i perspektywki do patrzenia w dal, kalendarzyki, scyzoryki, ołówki i cyrkle, zegarki z łańcuszkami różnych rozmiarów oraz złote, srebrne, emaliowane i szylkretowe tabakierki.

Jeśli już męskie stroje okazały się tak różnorodne, jak trudno przedstawić stroje wytwornych dam warszawskich w całej ich rokokowej zmienności. Rzut oka na gotowalnię damy z lat sześćdziesiątych XVIII wieku pozwala zanotować najważniejsze przemiany mody w ciągu następnego trzydziestolecia. Ubiór modnej damy rokokowej, bardziej niż w innych okresach, zależał od pory dnia. Przed południem pozostawała ona w różnego rodzaju dezabilkach, czyli negliżach. Do nieodcina-

[17] F. D. Kniaźnin, *Oda do wąsów* według T. Mikulskiego *Nad tekstami Kniaźnina* w tomie *W kręgu oświeconych*, Warszawa 1960, s. 304—305.
[18] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, s. 403.

nych w linii stanu dezabilów należały adriany, saki czy wolanty, luźne suknie uszyte z lekkich jedwabnych, bawełnianych albo półwełnianych tkanin wzorzystych lub drukowanych w barwne wzory kwiatowe. Najdroższe z dezabilów były wykwintnymi stroikami z muślinu, gazy, wstążek i koronek, zawsze w pastelowych barwach.

Więcej czasu należało poświęcić na toaletę popołudniową. Jeśli wykwintna dama dopiero podniosła się z łóżka, zrzucała nocną koszulkę zwaną dormeszką, uszytą z cienkiego płótna holenderskiego, dymy, muślinu, batystu albo rąbku lnianego, zdobioną gazą, haftem czy koronkami, a także cieplejszy kaftanik i czepeczek. Koszula dzienna była też ozdobiona przy szyi i rękawach koronkami lub falbankami. Młode damy najczęściej nie używały majtek, pozostawiając je starszym paniom. Portki, gacie czy „spodnie białogłowskie" szyto zwykle z płótna czy barchanu. Nosiła je np. pani Badeniowa, z domu Wawrzecka, odgrywająca w młodym wieku pewną rolę na dworze Stanisława Augusta. Na zgromadzeniu w znakomitym domu państwa Wodzickich: „Gdy przy znacznej liczbie osób w pokoju zrobiło się gorąco, Badeniowa udała się do sypialnego pokoju j. w. prezesowej [...], zdjęła z siebie brudne, flanelowe kalesony i takowe pod poduszkę tej pani włożyła. Pani Wodzicka po rozejściu gości udaje się na spoczynek i kładąc się w łóżko, spostrzega obrzydliwą szmatę: zgiełk, hałas na służących [...]. Brudne gałgany wyrzucono; aż tu drugiego dnia przychodzi służący od j. w. wojewodziny i domaga się wydania sobie kalesonów, które ta dama w łóżko j. w. prezesowej schowała." [19]

Niewidoczna część bielizny bywała w różnym stanie i stopniu czystości. Najważniejsze były te elementy, które kształtowały sylwetkę zbyt zwykle pulchnej damy rokokowej: gorset i rogówka. Gorsety, zwane także kształcikami czy sznurówkami, noszono na koszulach: „na wierszch brały sznurówkę rogiem wielorybim, czyli fiszbinem przeszywaną, z wyciętym gorsetem, ściskając się tymi sznurówkami jak najmocniej dla wydania subtelności stanu, czasem aż do mdłości. Ta sznurówka była powleczona atłasem lub kitajką". Uwydatniały one głęboki dekolt, odsłaniając znaczną część biustu, przedłużano je natomiast poza pas dla uzyskania wysmukłej linii. Kształt gorsetu wiązał się ze zmianą kształtu rogówek. Początkowo były one okrągłe, a później rozszerzały spódnice na boki. Rogówka była rodzajem spódnicy „z płótna, na trzech obręczach z wielorybiej kości obszyta, na jednej w pas, na drugiej w kolano, na trzeciej w pół łydki. Te obręcze nie były okrągłe jak na beczce, ale spłaszczone do podługowatości na kształt wanny owalnej".[20] Pod rogówką noszono zwykle jedną lub parę spódnic, w zimie przeszywanych na wacie lub zgoła podbitych futrem.

Na pół ubrana elegantka wybierała zależnie od pory roku wełniane, bawełniane czy jedwabne pończochy, w różnych kolorach, najczęściej czarne, a później białe, zdobione na łydkach strzałkami. Przymocowywano je podwiązkami ze wstążek albo też przerabianych złotem i srebrem, z brylantową lub perłową sprzączką, podobną jak u trzewiczka. „Takie podwiązki były zdobyczą dworskich łotrzyków, którzy pod pozorem amorów, jakoby na «nezabudesz», głupie panny, męża pragnące, z tychże podwiązków i pierścionków obdzierali, z czego sprzedanego oporządzali sobie rzędziki na konie, szable i ładownice".[21]

[19] *Wspomnienia Ambrożego Grabowskiego*, wyd. St. Estreicher, Kraków 1909, t. II, s. 3.
[20] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, s. 508, 515—516.
[21] Tamże, s. 512.

Dłuższej rozwagi wymagał wybór trzewiczka. Jeszcze nie wyszło z mody damskie obuwie tekstylne, szyte z różnych tkanin jedwabnych, zwykle tych samych co suknia, na skórzanej podeszwie, futrówce i wysokim obcasie. Trzewiczki takie posiadały na przodzie klamry srebrne i były głęboko wykrojone. Noszono je często tylko kilka dni, a potem oddawano służbie. Trzewiczki te masowo wyrabiali szewcy warszawscy. Do wyprawy panieńskiej nabywano je tuzinami lub kopami. Zaczynały wchodzić w modę także barwne trzewiczki skórzane z kurdybanu lub safianu, a także jedwabne pantofelki zdobione sutymi falbankami. Obniżające się obcasy przygotowują już modę płaskich pantofelków z końca okresu Oświecenia. Wybór trzewiczka zależał od wyboru sukni. Na uroczyste przyjęcia noszono robrony (fr. *robe ronde* — okrągła suknia) na rogówkach, uszyte z ciężkich kwiecistych tkanin jedwabnych, głęboko wycięte z przodu, a opadające w ciężkich fałdach na plecach. Rękawy zdobiły potrójne angażanty, czyli koronkowe mankiety. Suknie te miały zwykle „gorsy wycinane tak, iż całe plecy aż po łopatki i pół piersi aż do brodawek suknią nie były przyodziane, co było widokiem oko skromne przerażającym, a lubieżne zapalającym; zakrywałyć ony wprawdzie tę ponętę swoją chustkami [...] albo też palàtynkami strusimi; ale to takie były zakrycia, które wąskim przesmykiem rzucanego cienia więcej jeszcze blasku ciału przeglądającemu, jak przez sieć albo przez kratę, dodawały". [22]

Na popołudniowe wizyty należało wybrać raczej którąś ze świeżo sprawionych sukien: lekką do kolan poloneskę (nie mającą nic wspólnego z modą polską), której podpięta z tyłu i po bokach wierzchnia spódnica tworzyła tzw. „skrzydła" i „ogon", lub też głęboko wydekoltowaną, luźną „koszulkę" z falbankami, zwaną w Paryżu „koszulą królowej Marii Antoniny". Na ulicę lepiej nadawała się lewitka o kroju płaszcza, otwarta z przodu i ukazująca spodnią spódnicę, o wąskich, długich rękawach i ozdobach pasmanteryjnych. Wszystkie te suknie szyto zwykle z lekkich jedwabi lub wzorzyście drukowanych perkali. Rogówki zastępowały boczne drapowania wierzchnich spódnic lub obfite fałdy z tyłu.

Co parę dni należało wezwać jednego z modnych warszawskich fryzjerów, aby stworzył nową fryzurę. Już tylko starsze panie nosiły wysokie czepce zwane „szenionami" z płótna, wypchane bawełną czy pakułami, okryte pudrowanymi włosami z przypiętym nad czołem maleńkim kornecikiem ze skrzydełkami rozpiętymi na drutach. Wysokie fryzury sprawiające, że twarz znajdowała się w połowie postaci strojnej damy, wymagały interwencji fryzjera. Trzeba było zbudować je na sztucznych włosach, muślinie, wstążkach, koronkach, piórach i przyozdobić drogimi kamieniami. Francuskie elegantki dźwigały na głowach kwiaty, owoce, modele statków i klęczały w karecie, nie mogąc się zmieścić na siedząco. Polskie damy nie doszły do tego stopnia ofiarności i chętnie zastąpiły te fryzury olbrzymimi kapeluszami i piórami czy rozpiętymi na rogowych prętach czepkami zwanymi „kolaskami na rogach", gdyż twarz wyglądała z nich jak z karety. Obfite używanie pudru i sztucznych włosów, przy rzadkim czesaniu misternych fryzur, wpływało niekorzystnie na higienę głowy i zmuszało do noszenia przy sobie młoteczka i szczypczyków dla tępienia dokuczliwego robactwa. Wielu zabiegów wymagał jaskrawy makijaż twarzy, którego uzupełnieniem były „muszczki" różnych kształtów, czyli czarne pla-

[22] Tamże, s. 510.

sterki nalepione na twarzy. Ich miejsce i kształt zdradzały humor damy i jej uczucia wobec kochanka. Rozmowę ułatwiało zasłonięcie twarzy wachlarzem z kości słoniowej, jedwabiu czy malowanego papieru.

Ubrana i uczesana dama wybierała przybrania z klejnotów. Posiadała ich wiele, gdyż stanowiły one ważną część jej wyprawy i jedną z najbardziej rozpowszechnionych feudalnych lokat kapitału. Na szyję nakładano perły, korale, wisiorki czy krzyżyki z drogich kamieni. Dobierano manele, czyli bransolety, liczne pierścionki, w uszach noszono ciężkie zausznice, tj. kolczyki z pereł i brylantów. Moda przybierania się wielką ilością klejnotów mijała i nakładano je raczej na wielkie przyjęcia dworskie. Przy wyjściu na ulicę należało zasłonić twarz kwefem z przezroczystej krepy jedwabnej i włożyć rękawiczki z delikatnej skóry, zamszu czy irchy, haftowanego jedwabiu koloru sukni lub dzianiny. Dziane rękawiczki o jednym palcu z klapką spadającą na pozostałe nazywano mitynkami. W zimie ręce chroniły wchodzące właśnie w modę mufki, rękawy czy zarękawki, uszyte z barwnych jedwabi, wyścielane kosmatą felpą, puchem i bramowane futrem. Ochronę przed deszczem stanowiła parasolka „parapli" z kitajki, tj. jedwabnej tafty, lub woskowanego płótna. Konieczny był także woreczek na pieniądze i różne drobiazgi toaletowe, uszyty z haftowanych tkanin jedwabnych, dobranych kolorem do sukni. Zastępował on obfite, głębokie kieszenie, przymocowane pod sutymi spódnicami. Małe zegarki, zwane pektoralikami, nosiła wytworna dama w kieszeni lub na szyi. Koniecznym drobiazgiem była także tabakierka i obszyta koronkami chusteczka do nosa, pachnąca larendogrą, czyli wodą lawendową.

Damy warszawskie nie zawsze były wierne nakazom zmiennej mody paryskiej. Zdziwieni cudzoziemcy zanotowali, że nosiły one w domu kaftany podobne do angielskich strojów do konnej jazdy. Niektórzy dostrzegali „coś azjatyckiego", a więc pewne cechy wschodnie w ubiorach polskich pań. Były to przebrania stylizowane w okresie mody orientalnej, świadczące o niechęci do zbyt sztywnych strojów paryskich. Noszono więc luźne suknie do kostek, uszyte niekiedy ze wschodnich jedwabi czy muślinów, i turbany lub siatki na włosach. Rodzime cechy ubioru polskiego w strojach dworskich zaznaczały się tylko w okryciach zwierzchnich. Ostry klimat wymagał ciepłych ubrań podbitych futrem. Za lżejsze płaszcze służyły jedwabne salopy lub półsalopia sięgające do kolan. Szyto je zwykle z barwnej lub czarnej tafty, podbitej czerwonym atłasem, niekiedy obficie je watowano. „Salopa jest suknia bardzo uczciwa i wygodna, najpierwszą ma zaletę od skromności, zasłaniając albowiem całą osobę, ukrywa przed okiem lubieżnym talią, czyli stan, i gors, czyli piersi, dwie pokusy najmocniejsze. Powiadają jednak, iż salopa wymyślona jest nie z tak pobożnej przyczyny, ale od garbatej osoby, która nie mogąc się pokazać kształtną, szukała sposobu, jak by ułomność swoją pokryć mogła. Druga wygoda z salopy, że może być prędko na osobę włożona, w czym przysługuje się białogłowom skrzętnym, niedbałym o strój, leniwym do ubioru i nagle zdybanym." [23]

Elegantka warszawska szybko porzuciła te, chwalone przez ks. Kitowicza salopy na korzyść mantoletów czy mantylek — lekkich płaszczyków lub też wykańczanych kapuzami pelerynek. Ostre warszawskie zimy zmuszały ją do noszenia podbitych

[23] Tamże, s. 515.

futrem jupek z wierzchem z wzorzystych tkanin jedwabnych. Jupki sięgały zwykle tylko do kolan i służyły także jako okrycie domowe w słabo opalanych pałacach. Na przejście do karety na jupkę wkładano jeszcze kontusz czy kontusik „futrem podszywane, z długimi rękawami wiszącymi, z wylotami szerokimi, do ręki wytchnięcia sposobnymi, u ramion obszernie sfałdowanymi, u pięści wąsko ścinanymi. Te kontusiki zdejmowały z siebie przychodząc do ciepłej izby, którymi okrywali się zostawieni za drzwiami lokaje, paziowie, węgrzynkowie i inni służebni, mianowicie na balach i redutach, na których całe nocy w przysionkach zimnych pokutować musieli." [24] Na przejażdżkę sankami narzucano jeszcze futra, kroju bekieszy lub kierei męskiej, albo obszerne szuby.

Dalsze zmiany w modzie kobiecej wymagały coraz cieplejszych okryć zwierzchnich i lepiej ogrzewanych wnętrz mieszkalnych. Coraz modniejsze stawały się bowiem lekkie suknie perkalowe z nowym fasonem bluzki czy karczka (*caraco*). Był to dość krótki, zaokrąglony na przodzie kaftanik z kloszową, sutą baskinką i dużym kołnierzem okrągłym lub trójkątnie wykończonym z tyłu. Modne stają się także lekkie suknie z mniej już uciążliwym gorsetem i lekkim fartuszkiem. Damy warszawskie umiały tę modę przystosować do wydarzeń politycznych. Podczas Insurekcji schodziły się one do sypania szańców „nie mając innych strojów nad krótką spódniczkę z szarego płótna, takiż kaftanik z długimi rękawami. [...] Oprócz tego noszono wówczas w ręku worki płócienne, w których dzienny prowiant składano; choć nie ręczę, żeby w nich nie bywały i chusteczki batystowe, i jeden, drugi flakonik z zapachami i paczka karmelków, i wachlarzyk z kości słoniowej, bo prawdę powiedziawszy, trudno się od razu wyrzec wszystkiego. Do ubioru tych dam należał jeszcze duży kapelusz słomiany, spod którego dwa ogromne warkocze spadały przez ramiona czasem do kolan, zakończone jak u Tyrolek i Szwajcarek wstążkami. Dopełniał stroju fartuszek czarny, ale uchowaj Boże, by był jedwabny. Wszystko to wprawdzie tak było skrojone i uszyte, że uwydatniało kibić, podnosiło wdzięki, a niektóre spódniczki i kaftaniki były dla lekkości z szarego batystu. Zapomniałem dodać, że spod krótkich spódniczek wyglądały nóżki w niebieskich pończochach z kolorowymi klinkami, w trzewiczkach od Kilińskiego".[25] Modne damy warszawskie w następnym już roku przebrały się pośpiesznie za Rzymianki czy Greczynki w białe suknie z wysokim stanem, barwne szale indyjskie i płaskie pantofelki.

Żony warszawskich bankierów starały się prześcignąć w elegancji damy z arystokracji. Siostrzeniec bankiera Piotra Teppera, Piotr Fergusson prowadził utracjuszowski tryb życia wraz z żoną Filipiną i dziesięciorgiem dzieci, a eleganckie żony bankierów, np. Fryderyka Kabryta, a nawet żona buchaltera u Teppera, „Zygelbartowa, kiedy tutejsze praczki nie potrafiły jej dogodzić, posyłała bieliznę do prania za granicę".[26]

Luksusowy styl życia najbogatszych mieszkańców Warszawy objął wspomnianą reformę ubioru dziecinnego. Niemowlęta przestano spowijać ciasnymi, płóciennymi powijakami, krępującymi im ruchy. Szyto dla nich jedwabne koszulki z koronkami, takież czapeczki, a dzieci uczące się chodzić miały grube, watowane czapki dla ochrony głowy przed rozbiciem. Starsi chłopcy przestali już nosić jedwabne żupaniki

[24] Tamże, s. 509.
[25] J. D. Ochocki, *Pamiętniki*, t. II, Wilno 1857, s. 384—385.
[26] A. Magier, *op. cit.*, s. 245.



BIBLIOTEKA M. ST. WARSZAWY 1987



55



56



57

BIBLIOTEKA M. ST. WARSZAWY

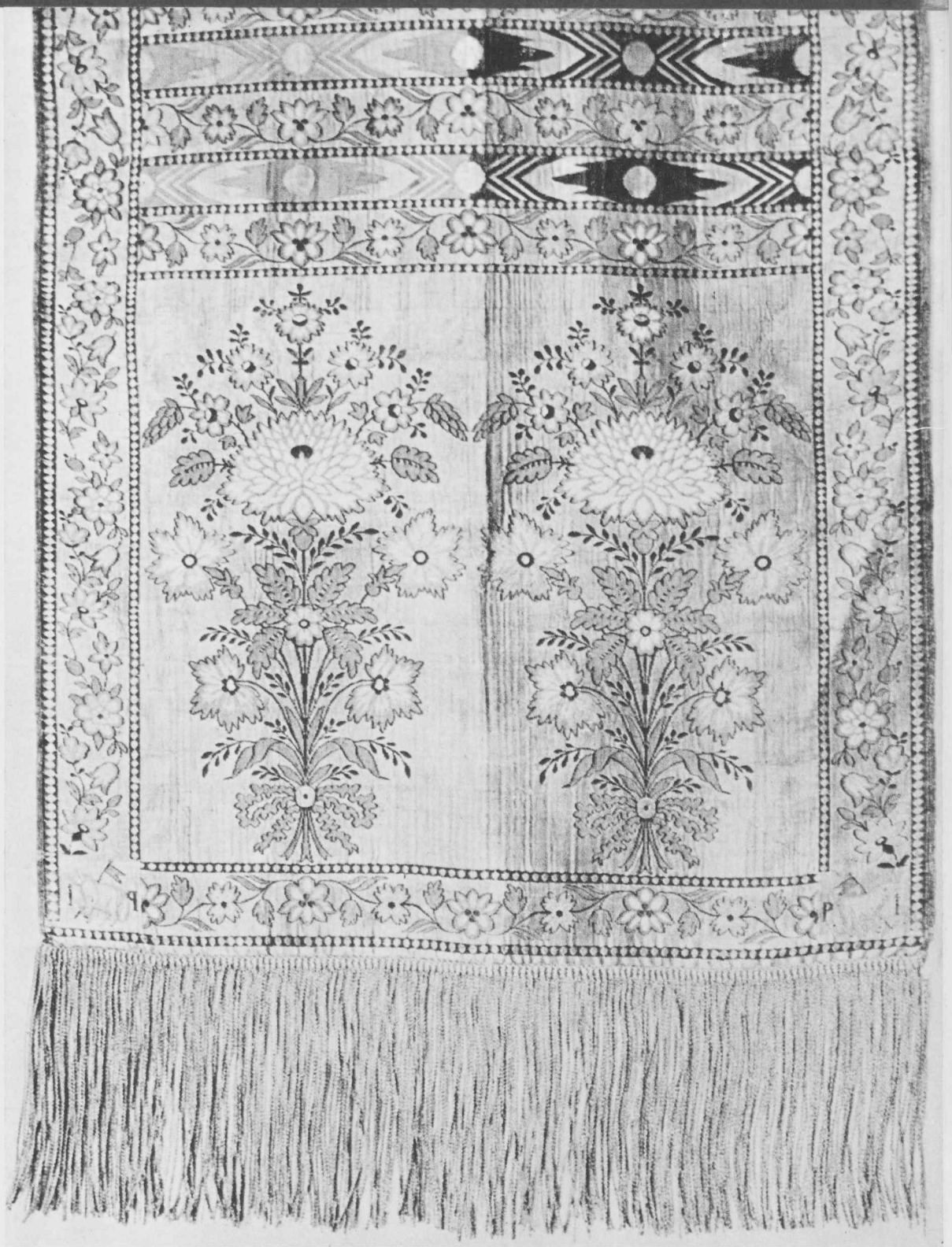



59



60

BIBLIOTEKA PUBLICZNA M.ST. WARSZAWY



61

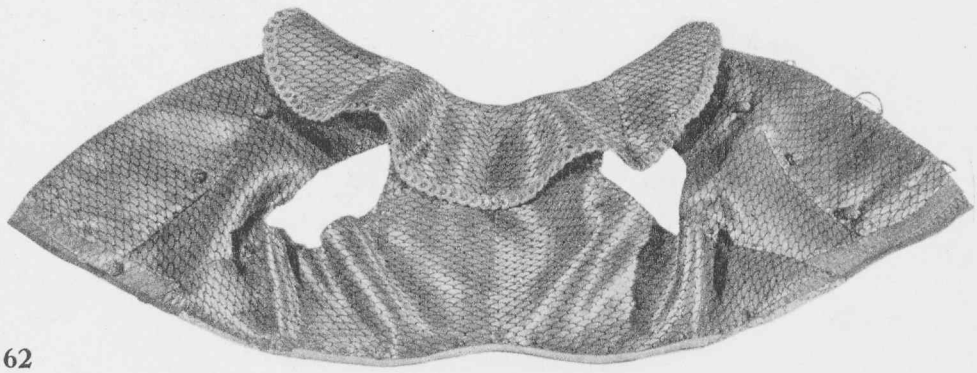

62



63

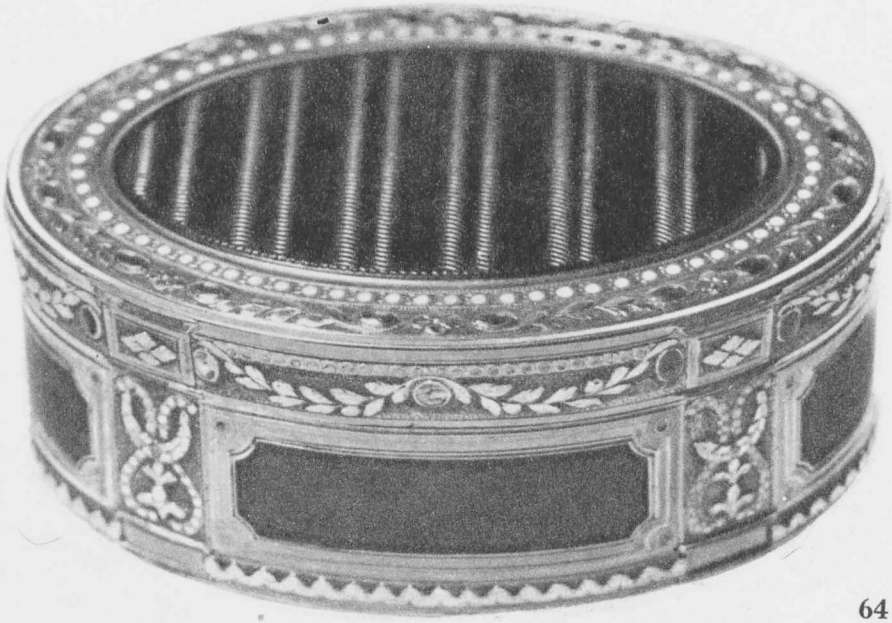

64

BIBLIOTEKA PUBLICZNA M. ST. WARSZAWY 1907

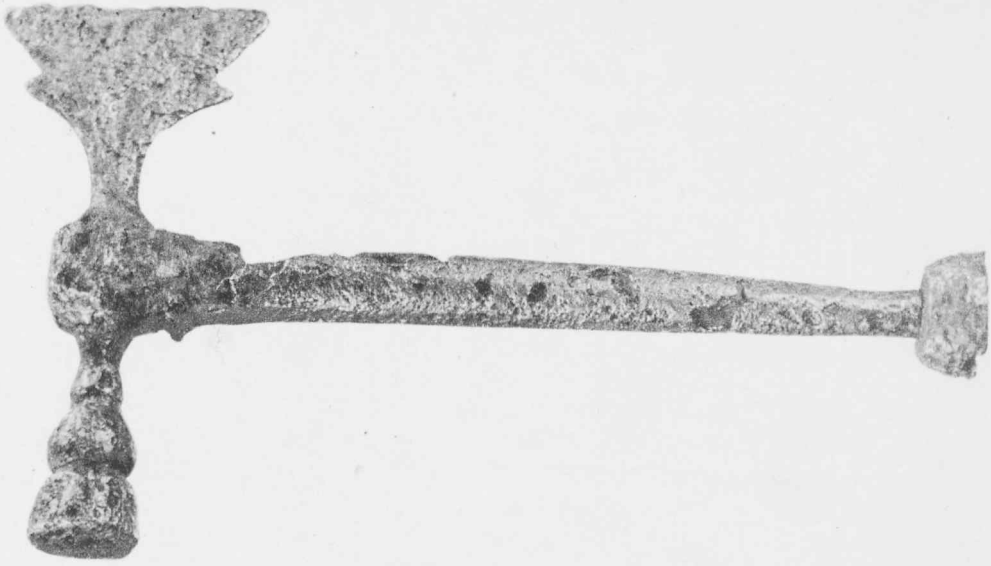

65

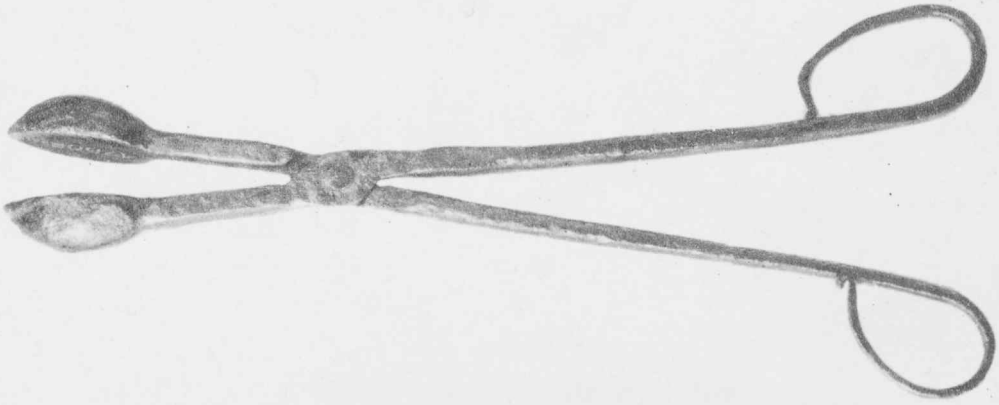

66



67



68

i sukienne kontusiki, których rozcięte rękawy były zakładane z tyłu za pas, czy też fraczki, kamizelki i pluderki. „Od 1770 r. ubierano dzieci w matlotki, to jest po majtkosku: ubiór ten, stosowny do ich wieku, składały spodnie długie prawie do kostek, trzewiki, kaftanik pod szyją otwarty, kreza u koszuli, głowa nisko ostrzyżona i kapelusz czarny okrągły." [27]

Stroje dziewcząt były mniej urozmaicone i silniej krępowały ruchy. Musiały one nosić sznurówki, którymi mocno ściskano im klatkę piersiową i talię, a także małe rogówki na flanelowych spódniczkach. Najchętniej używanym krojem sukni był kabat, sznurowany z tyłu, długi do ziemi. Starsze dziewczęta nosiły także dwuczęściowe sukienki. Uzupełnieniem dziewczęcych toalet były lekkie, strojne fartuszki uszyte z muślinu lub lekkich, drukowanych płócienek. Posiadały one także liczne kwadratowe czy trójkątne chusteczki. Starsze osłaniały nimi głębokie dekolty, młodsze nosiły je na głowie. Starsze panienki używały także długich do łokci rękawiczek skórkowych lub też robionych na drutach z barwnych nici. Coraz rzadziej pozwalano im chodzić z gołą głową albo ozdabiać splecione warkocze wstążkami czy kwiatami. I ich nie oszczędziła moda wysokich fryzur i czepków. Canaletto dojrzał na jednej z ulic małą dziewczynkę w ogromnej „kolasce kitajkowej", najmodniejszym nakryciu głowy w Paryżu w 1777 r. W lecie należało chronić cerę od słońca woalkami. W zimie dziewczęta nosiły watowane czepeczki. Używano ich także wraz z flanelowymi kaftanikami do spania w chłodnych sypialniach.

Deformująca figurę dziewczęcą moda paryska nakazywała także chodzenie na wysokich obcasach. Szybko niszczyły się barwne, tekstylne trzewiczki, trwalsze były pantofelki z barwnych skórek, malowane w kwiaty. Dopiero pod koniec XVIII w. moda stylizowania się na antyk uwolniła małe dziewczynki od noszenia gorsetów i ubrała je w lekkie sukienki z podniesionym stanem i płaskie pantofelki czy sandałki. Moda ta wymagała szczególnie ciepłych okryć zimowych. Małe dziewczynki posiadały w swej garderobie jupki czy kontusiki podbite tańszymi futerkami. Podobne okrycia nosili chłopcy. Dopiero do wyprawy magnacka czy bankierska córka otrzymywała po kilka kosztownych futer pokrytych jedwabnymi tkaninami lub cienkim suknem.

Na dworach magnackich doskonale bawiące się w Warszawie damy rzadko oglądały swe córki, pozostające zwykle pod dozorem francuskich guwernantek. Jednakże co pewien czas kontrolowały one figurę i toalety małych dziewcząteк i przy tej okazji ofiarowywały im drobne klejnociki: korale, pierścionki i kolczyki noszone w przekłutych od dzieciństwa uszach. Udawało się wtedy wyprosić także ładny wachlarz czy wisiorek, gdyż małe kobietki podpatrywały pilnie wszystkie szczegóły stroju dorosłych dam. Mniej wymagające guwernantki i rozsądniejsze matki pozwalały także małym księżniczkom na bieganie bez sznurówki przed południem i swobodniejszą zabawę w ogrodzie. Jednakże wymogi mody paryskiej nakazywały, aby na ulicy i w salonie dziewczynki wyglądały jak małe wystrojone laleczki — miniaturki dam rokokowych.

[27] Tamże, s. 78.

Poznaliśmy już najważniejsze z luksusowych strojów dworu królewskiego, magnatów, zamożnej szlachty i bankierów. Należy teraz zapytać, w jakim stopniu przejęli te formy ubiorów kupcy i rzemieślnicy warszawscy, noszący się podobnie do przedstawicieli bezrolnej szlachty, jeśli chodzi o różne formy stroju polskiego. Rodzaje i ceny tkanin, z jakich szyto kontusze i żupany, zależały od stopnia zamożności właściciela, a nie od jego przynależności stanowej. Nieraz pracowity i nieżonaty czeladnik posiadał porządny świąteczny ubiór wyjściowy. Mieszczanie warszawscy niechętnie używali „żółto-gorących łyczakowych" żupanów, uszytych z pomarańczowego, konopnego płótna, aby nie narazić się na przezwisko „łyków" nadawane ubogim mieszkańcom małych miasteczek. Starsi mieszczanie, pamiętający o dawnych obyczajach, opasywali się na żupanach, a nie jak szlachta na kontuszach i nosili laskę zamiast broni. Jednakże nie naśladowali ich młodsi majstrowie i czeladnicy, dążący do zatarcia zewnętrznych oznak przynależności stanowej. Czcigodni rajcy warszawskiego magistratu co roku powtarzali zalecenia, aby „mieszczanie i czeladź kupiecka, także rzemieślnicy, rzemieślniczkowie, ze szpadami, szablami, obuchami, pistoletami i innym orężem" [28] nie chodzili po mieście. Równie mało skuteczne były zakazy noszenia tkanin jedwabnych i drogich futer.

Powstaje pytanie, jak wyglądał męski ubiór świąteczny — w jakim stopniu sylwetkę warszawskiego mieszczanina kształtowała moda paryska, a w jakim polska. Na to pytanie można odpowiedzieć z dużą dokładnością na podstawie żmudnych wyliczeń statystycznych z inwentarzy ruchomości mieszczan Starej i Nowej Warszawy. Wynika z nich, że w ciągu całego XVIII stulecia ubiór polski był wypierany przez tańszy i bardziej zestandaryzowany strój zagraniczny, zwany niemieckim. W latach 1750—1780 ubiór polski nosiła jeszcze połowa mieszczan. W następnym okresie wzrasta stale liczba mężczyzn przebierających się w ubiór zagraniczny. Przypływ patriotyzmu i zarazem tendencje do równouprawnienia mieszczan ze szlachtą na Sejmie Czteroletnim wpłynęły na pewne opóźnienie tego procesu. Niektórzy mieszczanie, na wzór magnatów, wracali do ubioru polskiego, co jednak nie odegrało większej roli w ogólnej tendencji liczbowej.

Przebieranie się dużej liczby mieszczan w strój zagraniczny i mniej liczne wypadki odwrotne wpłynęły w większym stopniu aniżeli u możnych na niedopasowanie poszczególnych kompletów odzieży: „Mieszany strój składa się na poły z polskiego i niemieckiego, a jest bardzo osobliwy. Buty z czerwonego lub żółtego safianu do fraka, frak do polskiej czapki, rogatywka i harbejtel [woreczek zakładany na tył peruki] i peruki z lokami się używają. Tak samo spotyka się czasem wygolone głowy aż do czuba oprócz wąsa, głowę nagą i okrągły lub trójgraniasty kapelusz; długą, obszerną, polską suknię zwierzchnią, a pod spodem trzewiki i pończochy." [29] W spisach garderoby mieszczan warszawskich w latach 1780—1793 spotyka się od 4—15% właścicieli, którzy nosili ubiór mieszany. Zjawisko to wpływało na wygląd polskiej ulicy tak zadziwiający cudzoziemców.

Kontusz był typem strojnego ubioru zwierzchniego, którego forma i nazwa pochodzi z pierwszej połowy XVII wieku. Mieszczanie warszawscy zarzucili już

[28] AGAD, Warszawa Ekonomiczne, nr 540.
[29] F. Schulz, *op. cit.*, s. 427.

w okresie Oświecenia staroświeckie kontusze zimowe, podbite futrem. Naśladowali oni szlachtę w noszeniu rękawów odrzuconych na plecy, co wymagało dbałości o rękawy żupana. Na co dzień mieszczanie wybierali chętniej skromniejsze kubraki czy szamerowane ozdobami pasmanteryjnymi i zapinane na guzy i pętlice kurtki. Szybko rozpowszechniły się także wspomniane już czamary i taratatki. Wychodziły z mody także eleganckie, jedwabne żupany. Dla oszczędzenia drogiej tkaniny „fałszowano" je czasem płóciennymi plecami i sznurowano z tyłu, aby lepiej obciskały figury opasłych rajców. Na co dzień noszono chętniej krótsze półżupaniki czy zwykłe płócienne kaftany. Kapota była odzieniem codziennym uboższego szlachcica i mieszczanina warszawskiego. Szyto ją przeważnie z gorszych gatunków sukna i zapinano na pętlice i guzy. Pod kapotą noszono krótsze kaftany.

O zamożności właściciela najlepiej świadczyły mało widoczne spod długiego ubioru polskiego spodnie. „Jeżeli albowiem portka była czysta, nowa, bogata, wrażała patrzącym rozumienie, że ten, co się tak nosił, jest pan, majętny człowiek. Jeżeli pokazały się portki dziurawe, łatane, wytarte, zafolowane, była konwikcyja, iż osoba w takich chodząca małego jest wątku [tj. uboga]. Przeto też, kiedy błoto uginać się w takim długim stroju chodzących przymuszało, ci, co mieli dobre portki, brali fałdy sukien w rękę z tyłu, podnosząc je tym sposobem do góry, aby się nie szargali, i było to podług przysłowia metaforycznego: nieść zadek w garści. Ci, co mieli złe portasy, zawijali poły na przedzie jednę na drugą, podkasając tym sposobem sukien wyżej trochę nad pół goleni, aby podkasawszy się wyżej, kolanami lub giczelami przez złe portki nie błyskali." [30] Przechodzenie przez błotniste warszawskie ulice pozwalało nieraz bystremu obserwatorowi na ustalenie stanu posiadania i dbałości o strój właściciela portek. Niektórzy mieszczanie posiadali portki uszyte z dobrego sukna, ozdobione galonem czy też szamerowane barwnymi taśmami. W latach dziewięćdziesiątych, zwłaszcza w okresie Insurekcji, coraz bardziej rozpowszechniają się wśród warszawskich „sankiulotów" długie, marynarskie spodnie do kostek, noszone do krótkich kaftanów czy kamizelek. Nieodzowną częścią mieszczańskiego ubioru polskiego były tkane pasy i obszyte futrem czapki. Nie każdego stać było na bogaty pas złoto- czy srebrnolity. Niektórzy nosili na co dzień pasy drukowane ręcznie na płótnie wzorami podobnymi do pasów jedwabnych. Rozpowszechniały się także wśród mieszczan pasy siatkowe, wyrabiane z barwnej włóczki. Zamożniejsi nosili na wzór szlachty czerwone lub żółte buty z tureckiego safianu, ubożsi poprzestawali na czarnym obuwiu.

Zwolennicy ubioru zagranicznego wydali się pod koniec XVIII w. dość niemodni eleganckiemu podróżnikowi: „Z średniej klasy, co chodzi po niemiecku, ubiera się jeszcze starym krojem: długie stany, poły krótkie, płaskie, metalowe guzy ogromne." [31] Jednakże w latach osiemdziesiątych coraz bardziej rozpowszechniają się wśród mieszczan warszawskich cieplejsze, wełniane surduty, zapinane na stalowe guziki, i lżejsze, kuse fraki z krótkimi kamizelkami. Te ostatnie powinny być często zmieniane jako jaśniejsze od garnituru. Niektórzy mieszczanie posiadali więc znaczną ilość barwnych kamizelek jedwabnych we wzory kwiatowe, bawełnianych czy najtańszych naśladujących drukiem czy haftem na płótnie modne desenie.

[30] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, s. 490—491.
[31] F. Schulz, *op. cit.*, s. 427.

Wspomina się także często o trykotowych jednobarwnych lub pstrych kamizelkach dzianych z wełny. Spodnie do kolan szyto z sukna, lżejszych tkanin półwełnianych, jedwabnych czy bawełnianych, rzadziej z dzianiny albo skóry.

Ciepłe okrycia zimowe były używane zarówno przez zwolenników ubioru polskiego, jak zagranicznego. Od okryć magnackich różniły się one gatunkiem futra i przykrywającej je tkaniny. Ubożsi mieszczanie zadowalali się kierejami bez cieplejszych bekiesz lub też przykrywali zwykły barani kożuch fałdzistą opończą. Ostre mrozy wymagały przykrycia podgolonej czupryny ciepłą czapką futrzaną. Używano najczęściej okrągłych, sukiennych konfederatek obszytych barankiem i ich odmiany zwanej „dubienką". Starsi mężczyźni nosili chętnie głębsze kuczmy, określane także jako czapki ukraińskie, lub też ogromne futrzane kapuzy z klapami na uszy. W razie nagłej niepogody można było zakryć głowę kapturem od płaszcza czy opończy. Zwolennicy ubioru zagranicznego nosili zwykle filcowe okrągłe albo trójkątne kapelusze, zdobione galonami, klamrami, sprzączkami, guzikami, kokardami ze wstążek, jedwabnymi obszyciami czy wreszcie piórami. Używano jeszcze staromodnych peruk z końskich włosów z opadającymi na ramiona lokami. Młodsi nosili małe peruczki. Ręce chroniły od zimna futrzane, skórzane, sukienne lub dziane rękawiczki, a zwolennicy ubioru zagranicznego zastępowali je od lat osiemdziesiątych futrzanymi mufkami, czyli zarękawkami.

Wcale nieźle przedstawiało się zaopatrzenie w bieliznę średnio zamożnych warszawskich mieszczan. Mieli oni po kilka do kilkunastu, a najzamożniejsi nawet do stu koszul, wśród których rozróżniano fasony „polskie" i „niemieckie", a także osobne koszule nocne, jakkolwiek ubożsi używali do tego celu starych koszul dziennych. W wielu spisach mieszczańskiego dobytku wymieniano także po kilka par płóciennych czy barchanowych gaci. Ten stan zaopatrzenia mężczyzn w bieliznę pozwalał na ich względnie schludny wygląd, o ile małżonki panów wystarczająco często trudniły się jej praniem.

Wśród tłumów mieszczańskich przechodniów można było rozpoznać zawód niektórych mężczyzn po oznakach ubioru. Tak więc dwudziestu czterech milicjantów miejskich miało żółte żupany i błękitne katanki (rodzaj kurtek) do kolan, z żółtymi wyłogami i białymi, cynowymi guzikami. Na głowie nosili oni czapki z czarnym barankiem. Spodnie i pas z wełnianej tkaniny były błękitne, a buty z cholewami czarne z podkówkami. Milicjanci uzbrojeni byli w szablę i karabin. Od 1792 r. mundury te zmieniły kolor: spodnie i lejbik były białe, wierzchni kolet z granatowego sukna z wyłogami jasnoniebieskimi i żółtymi guzikami, płaszcze zaś szare.[32] Magistrat warszawski nieraz zalegał z opłacaniem i umundurowaniem pachołków miejskich, mundury te były więc niejednokrotnie mocno zniszczone, a biel ich niezupełnie śnieżna.

Nie wszystkie ubiory zawodowe ściśle określały zajęcia swych właścicieli. Łatwo było jednak rozpoznać pary kominiarzy: dorosły mężczyzna pracował zawsze z małym chłopcem, którego spuszczał do komina. Obaj ubrani byli w wąską, obcisłą odzież ze spodniami do kolan. Bystrzy obserwatorzy przechodniów warszawskich — Canaletto, Norblin i Vogel — dostrzegli także robotników na rusztowaniach różnych budowanych domów. Murarze pracowali w długich do kostek spodniach,

[32] AGAD, Warszawa Ekonomiczne, nr 550, 551 i 591; Stara Warszawa, nr 445, 897; Archiwum Królestwa Polskiego, nr 141.

w koszulach i kamizelkach bez rękawów. Cieśle i różni majstrowie, czeladnicy i terminatorzy cechowi ochraniali swą odzież przy pracy skórzanymi najczęściej fartuchami. Wracający z połowów rybacy mieli mocne buty z długimi cholewami i podwójnymi podeszwami, wpuszczane w buty spodnie, przepasane kamizele i kaftany, a w zimie kożuchy. Gorzej ubrani byli ubodzy wioślarze na barkach wiślanych. Stan odzieży używanej przy pracy świadczył niekiedy jedynie o oszczędności właścicieli, którzy posiadali poza tym po parę świątecznych kompletów odzieży.

Czasem można było na ulicy dostrzec człowieka ubranego w barwny, często dwukolorowy przyodziewek, przypominający mundur. Byli to albo zwalniani służący, którzy w nagrodę za wierną służbę otrzymali swą liberię, albo też uciekinierzy ze służby, którzy ją ukradli. Liberia była odzieniem górnej warstwy służby królewskiej, magnackiej czy szlacheckiej, różnego rodzaju hajduków, pajuków, kozaków, lokai, masztalerzy, forysiów, stangretów i kamerdynerów, których używano do bardziej osobistych posług przy pańskiej osobie, i porządną odzieżą mieli oni świadczyć o zamożności tego dworu. Zwykli posługacze czy dziewki kuchenne chodzili przeważnie w łachmanach. Istniały pewne przyjęte zwyczaje ubierania służących: pajucy mieli liberie wzorowane na ubiorze janczarów tureckich, hajducy na ubiorze węgierskim. Barwa liberii miała dodawać jej świetności i dlatego wybierano najczęściej żywe kolory, jak czerwień, biel, żółty, niebieski i zielony. Chodziło w tym stroju o zewnętrzną wystawność, bez troski o cieplejsze przyodzienie służby wyczekującej nieraz całe noce na mrozie. Służący przyzwyczajali się do tej zewnętrznej świetności reprezentacyjnych liberii czy ubiorów donaszanych po swych panach. Stanowiły one duży kontrast z ich zwykłym przyodziewkiem, który rzadko był cały, czysty i ciepły.

Mieszczki warszawskie znacznie pilniej aniżeli ich małżonkowie śledziły nowinki mody paryskiej, ukazywane w strojach dworskich elegantek. Wprawdzie Kitowicz twierdzi, że „nie zażywały rogówek innej kondycyi damy, tylko szlacheckie, senatorskie i tym służące panny. Wiele razy pokusiła się która mieszczka ustroić w rogówkę, zawsze jej afront zrobiono, dla czego w samym tylko dystyngwowanym stanie rogówki się rozdymały". [33] Może tylko mieszczki małych miasteczek zrezygnowały z rogówek. Warszawianki nosiły je co najmniej od lat trzydziestych XVIII w., a więc przyjęły się one w tym samym czasie co u eleganckich mieszczek drezdeńskich. Jedynie najbiedniejsze warszawianki małe rogówki zastąpiły większą ilością krochmalonych płóciennych spódnic. W latach osiemdziesiątych rozpowszechnił się w Warszawie mieszczański odcień mody paryskiej, mianowicie „kieszeni na rogach" czy „na trzcinie" rozszerzających z boku obfite spódnice. Poza rogówką dla ukształtowania figury eleganckiej mieszczki konieczne były sznurówki, czyli gorsety, które w końcu XVIII wieku zastąpiły „pasy kobiece do podpasowania biustu", uszyte z płótna i noszone do sukien o podwyższonych stanach.

Schludne mieszczki posiadały w swej wyprawie od kilku do kilkudziesięciu koszul. Były wśród nich cienkie gzła z lnianego rąbku i kombinowane koszule złożone z cienkiego gorsu i długiego stanu z grubego płótna. Zamiast nich noszono także półkoszulki, czyli cienkie, zdobione przy szyi i mankietach koszulki, sięgające tylko poniżej pasa i zastępujące nasze dzisiejsze bluzki noszone z płóciennymi

[33] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, s. 515.

spódnicami wkładanymi pod właściwą suknię. Prawie każda mieszczka posiadała także koszule „do sipiania", których zwykle wymieniano dwukrotnie mniej aniżeli dziennych. Do spania w zimnych pomieszczeniach używano ciepłych czepeczków i kaftaników nocnych. Starsze niewiasty i przekupki przesiadujące przy straganach czy w źle opalanych sklepikach nosiły zimą gatki, czyli „spodnie białogłowskie". O niezbyt szerokim rozpowszechnieniu tej części garderoby świadczą anegdoty pamiętnikarskie o kłótniach warszawskich przekupek. Te „zwadliwe i wyparzonej [...] gęby kobiety [...] powadziwszy się jedna z drugą albo łeb obdarłszy jedna drugiej, albo nieuczciwym błyśnięciem ciała jedna drugą spostponowawszy" [34] biegły na skargę do sądu. Te wprowadzane dopiero w użycie części garderoby zastępowały liczne i fałdziste spódnice.

Zamożniejsze mieszczki bardziej nieraz od strojnych dam dbały o jakość swej bielizny, do której zaliczano także liczne płócienne czy barchanowe spódnice noszone pod suknią, a także chustki i fartuchy. Noszenie prostego, grubego, barwnego fartucha na ulicę obowiązywało jedynie wybierające się na targ służące. Inne mieszczki nosiły fartuchy jedynie przy pracach domowych. Lubiły one jednak wchodzące właśnie w modę lekkie fartuszki, szyte z barwnych drukowanych perkali, muślinu, bagazji, rąbku czy jedwabnej kitajki, zdobione haftem albo koronkami. W spisach bielizny wymieniano także zawsze liczne chustki, od ciepłych wełnianych i „na wacie dubeltowych" do jedwabnych, wzorzystych i bawełnianych „tureckich", „chińskich" czy „ostindyjskich" drukowanych wyrobów i wreszcie lekkich chusteczek rąbkowych czy gazowych, haftowanych lub obszytych koronkami. Chusteczki te osłaniały głębokie dekolty warszawskich elegantek, gdy nie stać ich było na koronkowe, futrzane czy sporządzone ze strusich piór palatynki. Lekkie, strojne chusteczki do nosa noszone w ręku uzupełniały garderobę warszawskiej elegantki, poza tym zaś w niektórych spisach ruchomości wyliczano po kilkadziesiąt zwykłych chustek do nosa.

Zajęte gospodarstwem domowym mieszczki nie posiadały tylu sukien przedpołudniowych co wytworne damy. Wśród sukien wyjściowych spotyka się jednak wszystkie niemal nazwy i kroje przywożone z Paryża od ciężkich jedwabnych robronów, noszonych na rogówkach, do opisywanych już polonesek, lewitek i bluzek o kroju karaczka. Ubiór codzienny składał się najczęściej z dwóch części: kamizelki czy kaftanika i sutej spódnicy.

Luźne jupki należały do najbardziej rozpowszechnionych mieszczańskich okryć kobiecych. Szyto je zwykle z dość drogich, wzorzystych jedwabi, przyozdabiając jeszcze galonkami szychowymi czy wyłogami z różnych gatunków lepszych futer, podszywając najtańszymi lisami, barankami, królikami lub zającami, letnie zaś jedwabną albo płócienną podszewką. Okrycia te były w tym okresie luźne, sfałdowane z tyłu, z rękawami sięgającymi zaledwie za łokieć. Tylko ciężkie jupy zimowe sięgały czasem aż do ziemi, inne dochodziły najwyżej do kolan. Spełniały one doskonale rolę wyjściowego okrycia uboższych mieszczek. W razie większych mrozów na jupki nakładano kontusiki czy ciężkie futra mężowskie.

Odrębność polskiego ubioru mieszczańskiego zaznaczyła się szczególnie w zakresie nakryć głowy, a więc ciężkich czepców szytych z „materii bogatych" przetyka-

[34] Tamże, s. 268—269.

nych złotymi lub srebrnymi nićmi, zdobionych haftami, paciorkami, blaszkami, galonami, koronkami czy wstążkami. Dopiero w latach siedemdziesiątych XVIII w. to okrycie wychodzi z mody ustępując miejsca lekkim czapeczkom z gazy, muślinu i koronek, albo wielkim kapeluszom. Jednakże starsze mieszczki warszawskie jeszcze do końca okresu Oświecenia występują od święta w „czepkach staroświeckich, bogatych".

Ważnym elementem ubioru były trzewiczki. Jeszcze nie wyszło z mody obuwie tekstylne „bławatne, atłasowe i grodeturowe" ze sprzączkami: „Te trzewiki nagle się rozszerzyły po całej płci białej tak szlacheckiej, jak miejskiej kondycyji; już ani szynkarki, ani kucharki, ani młodszej, czyli pokojowej dziewczyny, nie obaczył — tylko w bławatnym trzewiku. [...] Lada plamka, na trzewiku bławatnym zrobiona, już go z garderoby pani rugowała. Zaczem spadały takowe trzewiki na służebnice, a przeto najlichszego szurgota nie widać było w innym trzewiku tylko w bławatnym, choć przydeptanym i ziewającym." [35] Dopiero w latach osiemdziesiątych XVIII w. mieszczki warszawskie wróciły do skórzanych trzewików, znacznie praktyczniejszych na błota uliczne. W Muzeum Historycznym miasta stołecznego Warszawy można zobaczyć pantofle ze świńskiej skóry na obniżonych już obcasach, pochodzące zapewne z ostatniego dziesięciolecia XVIII wieku i stanowiące przykład obuwia warszawskiej mieszczki. Do tych trzewików noszono cienkie niciane czy jedwabne, a zimą wełniane pończochy najczęściej w kolorach białym i czarnym. Robiły je na drutach wszystkie kobiety w rodzinach mieszczańskich, a najzamożniejsi kupowali importowane czy miejscowe wyroby maszynowe.

Bardzo różnorodne były ubrania dzieci. Najzamożniejsi mieszczanie stroili je na wzór opisywanych ubiorów magnackich, stosując się już do mody angielskiej, biedniejsi czy bardziej oszczędni przerabiali proste ubranka ze znoszonych sukien dorosłych. Starsze dzieci posiadały zwykle po dwa komplety codziennych i świątecznych ubrań. Chłopcy byli przyodziani na wzór ojców w uproszczone ubiory polskie lub zagraniczne, a małe dziewczynki, krępowane sznurówkami, strojono w małe rogówki, barwne sukienki i czepeczki.

Odzież biedoty miejskiej

Zachowało się wiele opisów barwnych ubiorów dworskich, nikt jednak prawie nie wspominał o odzieniu ludności ubogiej, zapełniającej gwarne ulice Warszawy. Do najbiedniejszych nie zawsze należy zaliczyć żebraków. Należeli do tej kategorii także robotnicy budowlani i manufakturowi, pracownicy dolnych szczebli hierarchii cechowej: prządki, terminatorzy i najubożsi czeladnicy, niższe warstwy służby, które nie otrzymywały liberii, wreszcie zaś liczni rzemieślnicy i przekupnie żydowscy. Wszyscy ci ludzie nie posiadali „stałego sposobu do życia" lub byli wynagradzani według głodowych niemal stawek.

Żebracy stanowili nie zawsze najuboższą, lecz najbardziej malowniczą grupę nędzarzy. „Żebracy i ubodzy muszą tu dźwigać daleko większą ilość łachmanów,

[35] Tamże, s. 513—514.

bo długi strój polski ich wymaga. Dodawszy do tego włóczącego się, tysiącznie połatanego, poplątanego, długiego łachmana czarną, długą brodę, zewsząd przeglądającą skórę pożółkłą, czarne brudne nogi bez spodeń i pończoch — można sobie wyobrazić, jakie wrażenie czyni kupa takich ludzi, którym chyba żebracy Bolonii, Rzymu i Neapolu dorównać mogą." [36] Żebrak warszawski w końcowym okresie Oświecenia ponosił ryzyko zaaresztowania go przez Komisję Policji i przymusowej pracy w którejś z manufaktur. Jednakże to ryzyko opłacało się zwykle finansowo, gdyż przyjezdni i możni panowie chętnie rozdawali dość hojne datki. Nie darmo kucharz księdza Łuskiny zastrzegł sobie w umowie, że będzie chodzić z zapuszczoną brodą i miał popołudnia wolne „na żebry". Malownicze łachmany były często tylko przebraniem usiłującym wzbudzić litość przechodniów.

Przeciwstawieniem wykwintnego stroju mającego wyróżnić właściciela od otoczenia było minimum odzieży, która miała okryć biedaka, aby nie zwracał uwagi swą nagością i czuł się zabezpieczony przed zimnem. To pojęcie najmniejszej, niezbędnej ilości odzieży wytworzyło się w związku z zaopatrzeniem robotników manufakturowych, więźniów i podopiecznych szpitali. Należy przypomnieć, że najlichsze nawet wełniane, lniane i konopne tkaniny były stosunkowo drogie i że średnio jeden mieszkaniec ówczesnej Polski mógł sobie sprawić co dziesięć lat jakąś sztukę wełnianej odzieży i co najwyżej jedną koszulę rocznie. Dzięki temu biedota miejska i chłopi pańszczyźniani donaszali każdą sztukę odzieży aż do jej rozpadnięcia się w łachmany.

Dane o zaopatrzeniu w odzież robotników manufakturowych pochodzą z manufaktury sukienniczej Rehana pracującej w Warszawie w latach 1791—1794. Przymusowo zatrudniony pracownik tego zakładu powinien dostawać co roku: 2 koszule, 1 kamizelkę, 1 spodnie sukienne, 1 parę pończoch, 1 szlafmycę wełnianą i 1 parę trzewików. Kobiecie wydawano na ten sam okres czasu: 2 koszule, 1 kaftanik, 1 spódnicę sukienną, 1 czapkę wełnianą i 1 parę trzewików. Z pościeli dawano koce, sienniki i poduszki. Odzież miała być dwukolorowa dla utrudnienia ucieczki w niej, dopiero po trzech latach pracy przysługiwało robotnikom umundurowanie jednokolorowe i druga para trzewików rocznie. Za to skromne minimum kierownictwo manufaktury odbierało pracownikom ich cywilne odzienie: różne męskie i kobiece okrycia zwierzchnie, nieraz podbite futrem, nakrycia głowy, pończochy, obuwie czy większe zapasy bielizny. Przedstawiony stan zaopatrzenia w odzież robotników świadczył o ich zamknięciu w manufakturze, nie mieli oni bowiem jakiegokolwiek cieplejszego ubrania, umożliwiającego opuszczenie zakładu w chłodniejszym okresie. Normy te świadczą zarazem o ówczesnym określeniu najkonieczniejszego minimum odzieży dla dorosłego człowieka.

Podobne było zaopatrzenie w odzież podopiecznych warszawskich szpitali. Dorośli chorzy mieli po dwie koszule na zmianę, poza tym mężczyźni kitle i spodnie, a kobiety spódnice i kaftaniki. Wszystkim dawano także pończochy, pantofle i szlafmyce. Nieco bardziej urozmaicone były odzienie sierot wychowywanych w warszawskich przytułkach. Dziewczęta miały kabaty wełniane czy płaszczyki, spódniczki szare lub wzorzyste z drukowanego płótna i do tego barwne albo szare kaftaniki „wszystkie naprawiane, więcej złych jak całych", a małym dziewczynkom

[36] F. Schulz, *op. cit.*, s. 427—428.

dawano sukienki. Ubierano je także w gorsety, białe lub kolorowe chustki i czepki. Chłopcy nosili granatowe albo żółte kontusiki i żupaniki z pasami i płóciennymi majtkami, niektórzy z nich mieli także surduty zagranicznego kroju z płóciennymi halsztukami. Tylko część dzieci posiadała buty czy trzewiki, rękawiczki, pończochy, po jednej lub dwie koszule i chustki do nosa. Cała ta odzież była po części sprawiana jako rodzaj umundurowania sierot, częściej jednak pochodziła z darowizn, stąd jej niejednolitość, różna jakość i stopień zniszczenia.

Inaczej wyglądała sprawa odzieży, którą darowywano służbie używanej do gorszych posług i nie noszącej liberii oraz terminatorom. Odzież ta stanowiła część zapłaty za pracę i należało ją sobie „wysłużyć", a nieraz uzyskiwano ją dopiero po pewnym okresie pracy, a więc np. terminator przy wyzwolinach. Chodziło tu zawsze o najkonieczniejsze części ubrania, nieraz źle chroniące przed zimnem, nie wyróżniające właściciela od otoczenia i umożliwiające wykonywanie pracy zawodowej. Odzież terminatorów stanowiła pewne minimum, ustalone przepisami cechowymi, i właściciel warsztatu obowiązany był je sprawić. Np. około 1780 roku terminatorzy cechu puszkarskiego w Warszawie mieli dostawać rocznie: 1 parę butów, 3 koszule, fartuch skórzany i kapelusz. Widać, że pracodawca sprawiał im jedynie ubiór konieczny do siedzącej pracy w warsztacie, a spodnie i okrycie zwierzchnie dostarczali rodzice czy opiekunowie. Po ukończeniu paroletniego okresu terminowania chłopiec otrzymywał od majstra: parę sukien (zapewne z sukna), czapkę, pas, buty i inne „rekwizyty" o łącznej wartości około 90 złp. W życiu większości terminatorów był to pierwszy cieplejszy i porządniejszy ubiór wyjściowy. Uprzednio okrywali się oni starym kożuchem albo ojcowską kapotą.

Służba warszawska, nie otrzymująca liberii, dostawała jako część rocznej zapłaty buty, płótno na koszule, czasem kożuch czy żupan; kobietom dawano fartuchy, koszule, trzewiki, wełnę na pończochy i spódnicę. Często były to używane ubiory państwa, wysługiwane paroletnią pracą. Autor *Myśli patrzącego przez okno na ulicę w Warszawie 1791 r.* pisze: „za cóż biedna panna Marcjanna, dostawszy w upominku po pięciu leciech pracowitej służby spódniczkę grodeturową, tak się koło wozu przy kamienicy stojącego przeciskać musiała [...], że niepodobna rzecz była i przejść bez okrutnego szwanku sukni materialnej?" [37] Najgorzej ubrani byli „stróże", najniższa warstwa służby: „Powierzchowność ich odpowiada zajęciom; w lecie noszą gruby płócienny kitel z szerokimi poły, na którym każde z zatrudnień wyraziste ślady zostawia, w zimie chodzą w podartych, brudnych, dziurawych kożuchach, stwardniałych od użytkowania. Zimą i latem głowa odkryta, wygolona cała, oprócz czuba na wierzchu." Ci wykonawcy najbrudniejszych robót gospodarskich chodzili „boso lub w lipowych łapciach." [38]

Dotychczas przedstawialiśmy odzież tej części pospólstwa miejskiego, które posiadało jakieś środki do życia i otrzymywało pewne minimum ubrania. Jednakże ulice Warszawy okresu Oświecenia roiły się od polskiej i żydowskiej ludności, która nie posiadała żadnego określonego zajęcia, żebrała czy kradła, szukając dorywczej pracy. Do tego typu biedoty należały służące licznych szynków mieszczących się na Trębackiej, Świętojerskiej, Żabiej i Wałowej. „W tych ciasnych komorach, wprost na ulicę wychodzących, zabawiają się prości żołnierze, stróże,

[37] Warszawa 1791.
[38] F. Schulz, *op. cit.*, s. 488—489.

żebractwo itp., wódką, grą i żartami z potwornymi kobietami, które często w jednej tylko koszuli i spódnicy w tych jamach długie lata spędzają." [39] W tych grupach ludności porządniejsza odzież dawała możność znalezienia zarobku, uzyskania lepszych warunków życia. Piętnastoletni chłopiec, zaaresztowany w 1789 r. przez prokuratora marszałkowskiego, zeznał, że podjął się trudnego zadania, bo mu dano: „buty nowe, koszulę nową, żupan sukienny dobry, spodnie takież i czapkę". [40] Przestępcy kradli porządny przyodziewek tak samo chętnie jak gotówkę, a w listach gończych za zbiegłymi poddanymi czy służbą znajdują się szczegółowe opisy ich odzienia, gdyż mieli oni niewielkie szanse na uzyskanie nowego.

Wysokie ceny tkanin odbijały się na przyodziewku dzieci biedoty warszawskiej. Niemowlęta były zawinięte w szmaty i otulane matczynymi chustkami. Wśród przechodniów na obrazach Canaletta widać paroletnie dzieci w samych koszulkach i starszych chłopców w wyrośniętych spodniach i za dużych, ojcowskich czapach i kapotach. Prawie nago biegały dzieci biedoty żydowskiej.

Odzież warszawskich Żydów zaliczamy do odzieży pospólstwa miejskiego ze względu na to, że przeważająca ich liczba nie miała stałych zarobków. Byli oni wyizolowaną kulturalnie grupą ludnościową. Odrębność ich ubioru rzucała się w oczy przechodniów: „Mężczyźni latem noszą zwykłą odzież długą, czarną, która wedle zamożności posiadacza mniej lub więcej jest brudną i poszarpaną. W zimie kładną znane, szerokie, czarne polskie futra podbite lisami." [41] Do futer nosili wysokie, futrzane czapy, nie goląc zarostu, długich pejsów i bród. Żydówki stroiły się w spódnice, gorsety i kaftany, czepce i „załóżki"; był to „bryt materii bogatej, obwiedziony kompanką złotą lub srebrną, po wszystkich stronach, pod szyją i u stanu przywiązany, we środku odstający nieco, że ręce założyć można, umieścić chustkę". [42] Wszystkie te kobiety lubiły przepych wschodni: złote i srebrne galony, tanie świecidełka i zasłony z luźno tkanych, płóciennych rąbków. Kontrast między tandetnym szykiem zamożniejszych Żydówek a łachmanami biedoty gnieżdżącej się w ruderach był szczególnie ostry. Działacze polityczni Sejmu Czteroletniego dostrzegali szkodliwość społeczną odrębności ubioru wyróżniającego Żydów od reszty biedoty miejskiej: „Gdy ubiór żydowski wszędzie po wszystkich innych państwach jest stosowany do krajowego, u nas zaś Żydzi płci obojej noszą wcale odmienny, a taki, który staje się dla nich samych narzędziem nieochędówstwa i daje okazyją pospólstwu naszemu do nienawiści i wzgardy tego narodu" [43] — przemawiał poseł Butrymowicz, rzecznik zniesienia odrębności odzieży żydowskiej. Projekty te zrealizowano w Warszawie znacznie później.

[39] Tamże, s. 540.
[40] *Z rontem marszałkowskim przez Warszawę*, s. 81—82.
[41] F. Schulz, *op. cit.*, s. 428.
[42] Ł. Gołębiowski, *Ubiory w Polsce od najdawniejszych czasów aż do chwil obecnych, sposobem dykcyonarza ułożone i opisane*, Kraków 1861, s. 248.
[43] Rkps Biblioteki Czartoryskich w Krakowie, nr 913.

POŻYWIENIE

Luksus możnych — obżarstwo i smakoszostwo

Bogdaj przebywać w osiemnastym wieku!
Może, iż w przyszłym jeszcze lepiej będzie;
Cieszyć się z tego, co dzierżysz, człowieku,
To jest najlepiej w przyrodzonym rzędzie;
Achilles, Cezar — wielcy ludzie byli,
Jednakże kawy z śmietanką nie pili.

Wielcy! cóż z tego? ja im nie zazdroszczę —
Byli, ja jestem. Śpię, piję i jadam;
Przebiorę miarę, więc się i przeposzczę,
I znowu wesół jem, piję, i gadam.
Przejdę; a o mnie nie będzie się badał
Ten, który po mnie będzie jadł, pił, gadał.[1]

Ten wiersz Krasickiego oddaje pośrednio atmosferę panującą na wielu dworach, gdzie jedzenie odgrywało rolę niezrozumiałą już prawie dla człowieka XX wieku. Nie każdy interesuje się architekturą, sztuką czy ubiorem, jednakże prawie każdego zajmuje jakość pożywienia naszych przodków. Jak więc naprawdę było wtedy z pożywieniem, gdy „za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa", kto odczuwał braki w zaopatrzeniu, jak obchodzono się bez ziemniaków?

Obraz, jaki przedstawimy, nie będzie charakterystyczny dla całego kraju, gdyż duże miasta tego okresu zawsze odżywiały się lepiej i nawet najbiedniejsza ludność nie odczuwała ostrych braków przybierających postać głodu. Do stolicy przywożono duże ilości pożywienia. Jego rozdział był jednak oczywiście bardzo nierównomierny. Zacznijmy od luksusowych kuchni dworu królewskiego i magnackich. Już pobieżny przegląd relacji obficie karmionych gości pozwala na stwierdzenie, że bezgraniczne obżarstwo i pijaństwo magnackie czasów saskich zaczyna już ustępować wykwintniejszemu smakoszostwu. Hołdował mu sam król, a jego kucharz, sławny Tremo, pilnie śledził nowinki francuskie. Jednakże w początkach panowania Stanisława Augusta większość magnatów stosowała jeszcze dawną zasadę obfitego karmienia i pojenia ubogiej braci szlachty podczas sejmów. „Książę Radziwiłł trzyma dzień w dzień dom otwarty dla tylu ludzi, że jego dwudziestu pięciu kucharzy zaledwie może nastarczyć im jadła. Podobnie obydwaj bracia Czartoryscy podejmują co dzień obiadem i kolacją wszystkich, którym spodoba się przyjść. W dwu tych domach bywa mnóstwo cudzoziemców, dom księcia Radziwiłła natomiast jest wyłącznie polski. Najważniejszy artykuł zbytku stanowi wino węgierskie, które jest tu najwyższej jakości, ale i cenę osiąga niepomiernie wysoką; za butelkę gatunku, który pije się powszechnie, płaci się dwa, trzy dukaty, zdarza się jednak

[1] I. Krasicki, *List imieniem brata do siostry* (*Wiersze z prozą* w tomie *Pisma wybrane*, oprac. Z. Goliński, M. Klimowicz, R. Wołoszyński, Warszawa 1954, t. II, s. 196).

i takie, którego wartość sięga ośmiu, dziewięciu dukatów za butelkę. Szampan piją tu jak cydr, a czerwone wina nie cieszą się wielkim powodzeniem." [2]

Wino węgierskie, a za czasów Oświecenia także francuskie, należało do najpoważniejszych pozycji importu polskiego razem z „korzeniami", czyli wszelkiego rodzaju ostrymi przyprawami do mięsa, niezbędnymi przy spożywaniu go w stanie niezbyt świeżym. Magnackie obżarstwo polegało bowiem na ogromnej obfitości jadła, a nie jego jakości, i przy masowym żywieniu do kilkuset gości nie można było staranniej przyrządzić wszystkich potraw. Gościnność ta, której głównym celem było kaptowanie stronników politycznych, wywodziła się z wiejskiego trybu życia, kiedy to szlachcic podróżował zwykle od dworu do dworu. Na terenie coraz lepiej zaopatrzonej w lokale gastronomiczne stolicy ten zwyczaj stawał się pewnym anachronizmem. Pod koniec okresu Oświecenia skończyły się już codzienne poczęstunki dla braci szlachty, jakkolwiek posłowie Sejmu Czteroletniego jadali jeszcze nieraz u swych marszałków. Starano się jednak w dalszym ciągu o obfite nakarmienie gości na przyjęciach. Jeszcze w 1791 roku na asamblach warszawskich: „Polskie upodobanie szczególne w dostatku i zbytku tu się z całą świetnością objawiało; kilka sal ostawiano stołami, które się rzeczywiście pod ciężarem uginały. Jedzenia wszelkiego rodzaju było do przesytu. Wina węgierskie, francuskie, hiszpańskie i niemieckie, które gdzie indziej ledwie się kosztują i używają po odrobinie, tu się lały. Wódki podawano w ogromnych kielichach." Drogie napoje chłodzące stały w wielkich naczyniach. „Kawa i czekolada nieustannie się lały z olbrzymich, srebrnych imbryków. Stosy a góry konfitur, owoców, grzanek na wielkich talerzach krążyły po salach nieustannie. Czeredy obżartuchów próbowały, do jakiego stopnia siła ich trawienia te amalgamy zniesie, a nerwy smaku wydołają." [3] Były to ostatnie już pokazy bezgranicznego obżarstwa i pijaństwa epoki saskiej, która pozostawiła tyle anegdot o najwybitniejszych pijakach: „pobożnym" kasztelanie Borejce, który najchętniej pijał z duchownymi, księciu Januszu Sanguszce, Adamie Małachowskim, „zabójcy ludzkiego zdrowia, wielu albowiem ludzi zalanych winem poumierało, niektórzy nawet w jego domu", a wreszcie najgroźniejszy ze wszystkich: „pijak z natury mało się różniący od szalonego, a po pijanemu w cale szalony — Karol książę Radziwiłł".[4] Ze słynnych żarłoków wymienić można np. hetmana Fr. Ks. Branickiego, Kazimierza Sapiehę czy Stanisława Potockiego, syna Szczęsnego, który „w ciągu 1 roku zadłużył się swemu kuchmistrzowi na smakołyki 70 000 dukatów i za cukry paryskie 2000". [5] Nic dziwnego, że przeważająca ilość przedstawicieli tych rodów magnackich nie dożywała późniejszego wieku, a często umierali oni przed pięćdziesiątką.

Jakie były zasadnicze cechy kuchni polskiej i w jakim kierunku szły zmiany prowadzące do smakoszostwa? Charakterystyczne dla kuchni staropolskiej było upodobanie w smakach ostrych, kwaśnych i słonych, skłonność do używania znacznej ilości przypraw, czosnku, cebuli, ogórków i kapusty kiszonej oraz czarnego

[2] J. Harris, *Dziennik pobytu w Polsce, 1767* (*Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców*, t. I, s. 300).

[3] F. Schulz, *Podróże Inflantczyka z Rygi do Warszawy i po Polsce w latach 1791—1793*, (tamże, t. II, s. 505).

[4] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, s. 454—463.

[5] A. Jelski, *Rys dziejów gospodarstwa krajowego w zestawieniu z obyczajami narodu od czasów pierwszych aż do ostatnich*, Kraków 1893, t. I, s. 33.

chleba. Z potraw mięsnych najbardziej lubiano sztukę mięsa, różne rodzaje kiszek i kiełbas, gęś z grzybami, cielęcinę, kury, kurczęta, indyki, kapłony, bażanty, a także baraninę z czosnkiem, nogi wołowe w galarecie czy wędzonkę wołową, baranią lub wieprzową. Ze zwierzyny dzikiej największym powodzeniem cieszyły się zające, sarny, dziki, a także przepiórki, kuropatwy, dzikie kaczki i cietrzewie. Z zup jadano najchętniej rosół, barszcz i krupnik z półgęsków oraz flaki. Do ulubionych potraw należał także bigos, pierogi i różnego rodzaju kasze. Cechą najwykwintniejszych stołów było przekarmianie biesiadników mięsem, którego na co dzień u średnio zamożnych mieszczan prawie nie spożywano. Potrawy podawane na pierwsze danie miały być gotowane i smażone, a na drugie pieczone. Do najchętniej stosowanych przypraw mięsnych należał: pieprz, szafran, goździki, gałka muszkatołowa, zielone migdały, imbir, ziarna z szyszki limby, różne rodzaje grzybów suszonych i marynowanych oraz octy domowe. Cytryna należała jeszcze do drogich przypraw. Na wszystkich staropolskich przyjęciach najbardziej przestrzegano obfitości dań, zwłaszcza mięsnych: „Między półmiski rozmaitym ptastwem i ciastem napełnione, podług wielkości stołu stawiano dwie albo trzy misy ogromne, na kształt piramidów z rozmaitego pieczystego złożonych, które hajducy we dwóch nosili, boby jeden nie uniósł. Te piramidy na spodzie miały dwie pieczenie wielkie wołowe, na nich położona była ćwiartka jedna i druga cielęciny, dalej baranina, potem indyki, gęsi, kapłony, kurczęta, kuropatwy, bekasy, im wyżej, tym coraz mniejsze ptastwo." Do tego mięsa używano niewielkich ilości jarzyn, przede wszystkim kapusty, marchwi, rzepy, pasternaku i buraków. Torty i ciasta z okresu czasów saskich były zwykle ciężkie i robione na starym maśle. „Staroświeckim pączkiem trafiwszy w oko, mógłby go był podsinić." [6]

Stanisław August od początku swego panowania starał się ukrócić mordercze pijatyki i szlacheckie obżarstwo ciężkim mięsem. Lubił on lekką kuchnię francuską. Zaraz po obudzeniu pijał mocny bulion z wywaru różnych mięs i jarzyn. Słynny „obiad czwartkowy składał się zwykle z następujących potraw: barszcz z uszkami, wędliny, marynaty, kiszki, kiełbasy, paszteciki, wszystko wykwintne i wyborne dla smaku i dla oka; na koniec podawano różne mięsiwa, a mianowicie ulubioną przez króla pieczeń baranią, którą dworzanin, obnosząc na ogromnym półmisku, wołał uroczyście: baran". Podawano także wina hiszpańskie, król jednak najchętniej pijał wodę źródlaną. Stąd „przekleństwo" Ignacego Krasickiego:

O ty, na polskim co osiadłszy tronie
Wzgardziłeś miodem i nie lubisz wina!
Cierpisz, pijaństwo że w ostatnim zgonie,
Z ciebie gust książek a piwnic ruina —
Tyś naród z kuflów, szklenic, beczek złupił:
Bodajeś w życiu nigdy się nie upił! [7]

Przykład dworu królewskiego oddziałał na zmiany w polskiej kuchni. Przestała być modna jej zbytnia ostrość, kwaśność i słoność, co ułatwiało zresztą strawienie znacznych ilości solonego i wędzonego mięsa. W jadłospisie wykwintniejszych magnackich dworów warszawskich przyjęły się potrawy typowe dla kuchni francu-

[6] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, s. 435—436, 440.
[7] A. Magier, *Estetyka miasta stołecznego Warszawy*, s. 99; I. Krasicki, *Monachomachia* (*Pisma wybrane*, t. I, s. 76).

skiej, „zupy rumiane, zupy białe, rosoły delikatne, potrawy z mięsiw rozmaitych komponowane, pasztety przewyborne". Zamiast miodu zaczyna rozpowszechniać się cukier, zamiast octu kwas winny i cytryny. Jadano więcej gatunków ryb, ostrygi i raki, popularność zdobywały kartofle. Niezmiernie modne stały się różne wywary z mięsa i jarzyn, jak buliony czy sosy. Nowym wymysłem był także „farsz — to jest siekanka z łoju wołowego, z cielęciny, z kapłona, z chleba tartego, jajec, masła, gałki muszkatowej, pieprzu, imbieru i innych korzeniów; tym farszem nadziewano mostki cielęce i baranie, prosięta, kapłony, kury, które nazywano pulardami".[8] Te wywary i farsze wymagały dużej ilości mięsa i innych dodatków, a nie dawały takiego efektu wielkiej obfitości jedzenia, jak zwykłe mięsa pieczone czy gotowane. Inaczej należało je też podawać, zaczęto używać znacznej ilości małych półmisków. Cechą kuchni francuskiej była w ogóle mnogość potraw i przystawek. Do sztuczek kucharskich należało nadziewanie siekanym mięsem skóry z różnych gatunków drobiu nadając im różne kształty ptaków czy ryb. Od mistrzów nowej kuchni wymagano także gotowania ryb w winie, w odwarach, a nawet doprawiania ich mięsnym smakiem i słoniną.

Praktyki te budziły krytykę zwolenników ścisłego przestrzegania postów, co w ogóle zaczęło zanikać w wyższych sferach magnatów, szlachty i duchowieństwa. Posty były cennym odpoczynkiem dla przeładowywanych żołądków cienkiej górnej warstwy mieszkańców dawnej Polski, dawały się we znaki ciężko pracującym mieszczanom, a dla znacznej części chłopstwa były okresem głodówki, który pozwalał na zaoszczędzenie skromnych zapasów na okres przednówka. Posty były wyśmiewane nawet przez przedstawicieli duchowieństwa.

Nie zmyśli tego żadna zabobonność wściekła,
Bym ja w piątek na wole zajechał do piekła,
A waść miał na szczupaku dostać się do nieba.[9]

Posty u możnych wpływały raczej na rozszerzenie asortymentu dań aniżeli na rzeczywiste ograniczenie ilości pożywienia. Jedzono więc wiele gatunków ryb, ślimaki, zwłaszcza winniczki, udka żabie, nabiał, jajka, krasząc jarskie potrawy olejem. Oto później napisany przykład „postu prałackiego":

Najprzód szczupak z linem,
I zapić to winem;
Potem bita jajecznica
I znowu wina szklanica;
A potem grzanka suszona,
Dobrze w maderze zmoczona;
A przy tym gdańskiej wódeczki
Łyknąć sobie dwie flaszeczki;
A już na domiar pokuty
Leje się z wazy pącz suty.[10]

[8] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, s. 436, 438; Suplement do „Gazety Warszawskiej", nr 102 z 20 grudnia 1783 r., reklamuje pasztetnika mieszkającego w Marywilu w oficynie pod nr 28: „od którego można mieć ciasta, osobliwie pasztety gorące i zimne, także paszteciki".

[9] Wł. Smoleński, *Przewrót umysłowy w Polsce wieku XVIII. Studia historyczne*, Warszawa 1923, s. 152.

[10] A. Gorecki, *Pisma*, Lipsk 1886, t. II, s. 122.

Przed obfitym posiłkiem podawano zwykle jakieś pikantne zakąski dla zaostrzenia apetytu. Po mięsnych daniach kończono posiłek ciastami francuskimi, pasztetami, biszkoptami i pączkami, które już nauczono się przyrządzać smacznie i lekko. Na szerszych znacznie stołach ustawiano dla ozdoby „cukry nowomodne". Na szklanych taflach zdobionych barwnym piaskiem i papierem ustawiano: „robione z gipsu rozmaite figury ludzi, geniuszów, bohaterów, żołnierzy, laufrów, jeźdźców na koniach, karety sześciokonne, parokonne, karyjolki, powozy, konchy bogów niebieskich, ziemskich, wodnych, piekielnych i samychże bogów, nimfy, satyry, fauny, dalej konie, woły, osły, lwy, smoki, wilki, barany". Te różne figury, później wyrabiane z porcelany, otaczały altanę w ogrodzie lub ulice i pałace miejskie. Razem z figurami ustawiano zwykle parę srebrnych serwisów z herbami właściciela i okolicznościowymi wierszami. „Do zjedzenia stawiano po brzegach taflów w małych karafinkach rozmaite konfitury mokre: wiśnie, porzyczki, agrest, śliwki czarne, śliwki zielone, orzechy włoskie, a przy taflach na farfurkach stawiano konfitury suche, jako to: gruszki w cukrze smażone, migdały cukrem białym oblewane i karulek [karolek — anyż czy kmin polny], takimże sposobem; lody cukrowe, to jest masy cukrowe z śmietany, malinów albo innych soków zimnem stężonych, w figury rozmaite melonów, harbuzów kunsztem cukierniczym utworzone, i galarety z rosołu mięsnego i cukru składane, biszkokty, makaroniki, pierniczki i frukta świeże ogrodowe." [11] Owoce były w tym okresie traktowane jako przysmak, a nie jako ważny element odżywiania.

Przykład smakoszostwa dworu królewskiego podziałał na wykwintniejsze dwory magnackie. Na Powązkach u Czartoryskich podano Anglikowi „zimną kolację, siedliśmy więc do stołu — pisze Coxe — zastawionego wszelkiego rodzaju przysmakami, najbardziej kosztownymi winami i najrzadszymi gatunkami owoców".[12] W 1791 r. inny cudzoziemiec traktuje obfite uczty i pijatyki jako przeżytek: „Dawniej żadnej sprawy nie załatwiono bez uczty i pijatyki. Zwyczaj ten jednak szybko zanika, ponieważ król i jego rodzina świecą przykładem wstrzemięźliwości. Stoły są bardzo suto zastawione, a potrawy smaczne, brak jednak wśród nich ryb. Tu i ówdzie na prowincji panuje dawny zwyczaj niezwłocznego przerabiania mięsa świeżo zabitego zwierzęcia — jest to nie do zniesienia dla niemieckiego podniebienia, natomiast drób dzięki tutejszej sztuce kulinarnej uzyskuje potrzebną kruchość. [...] Może zbyt wiele uwagi poświęca się tu jedzeniu, choć i w tym wypadku Polacy odznaczają się rozsądkiem i dobrym gustem. Wszyscy podróżni przyznają, że trzy ważne artykuły są w Polsce wyśmienite: chleb, wino i kawa. [...] Dobrą mocną kawę nazywają tu, a nawet w sąsiednich krajach — polską, a słabą — niemiecką. Podobnie stare, mocne, węgierskie wino nazywają polskim, ciężkie zaś słodkie — niemieckim." [13] Późniejsze obserwacje życia towarzyskiego w Warszawie ukazują dalsze zmiany w sposobie przyjmowania gości. Zamiast kolacji „roznoszono herbatę, sucharki i chłodniki dla dam. Młodzieży zawsze się nie podoba, że podczas wieczorów nie dają czego z mięsa, aby się mogła nakarmić".[14]

[11] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, s. 447—449; AGAD, Arch. prym. Poniatowskiego z Jabłonny, nr 30 i 31.

[12] W. Coxe, *Podróż po Polsce, 1778* (*Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców*, t. I, s. 663).

[13] J. E. Biester, *Kilka listów o Polsce pisanych latem 1791 roku* (tamże, t. II, s. 228—229).

[14] A. Magier, *op. cit.*, s. 59.

Zmiany w jadłospisie oparte były przede wszystkim na wpływach kuchni francuskiej. Jednakże nie bez znaczenia były także wpływy kuchni niemieckiej, zwłaszcza gdy szło o lepsze gatunki wędlin. Pod koniec okresu Oświecenia modne były także śniadania po angielsku, „zastawione rozbyfem, bifsztykiem, budyniem, trunkami już cokolwiek znanymi: arakiem, rumem, piwem angielskim, porterem".[15]

Znacznie większą rolę odgrywały jednak wpływy kuchni wschodniej. Najważniejsze było rozpowszechnienie się kawy, mocno propagowanej przez pierwsze pisma obyczajowe, „Patriotę Polskiego" i „Monitora".

Na toć „Monitor" mocno piórem wali,
Byśmy w opilstwie bardzo nie wierzgali,
Ale się wzięli do kawy, do czaje,
Jeśli mieć chcemy dobre obyczaje.[16]

Korzyści te widzi także chwalący często dawne, saskie obyczaje Kitowicz: „poki albowiem nie była znajoma kawa, biała płeć dystyngwowana na ranny posiłek używała polewki robionej z piwa, wina, cukru, jajec, szafranu albo cynamonu. [...] Ale za to po poleweczce jejmoście domowe same i z goszczącymi [...] przechodziły się często do apteczki i tam wódeczką mdlącą poleweczkę zakrapiając, po trosze się gorzałką rozpajały i na rozmaite jędze, dziwaczki, chimeryczki, nareszcie na pijaczki ogniste wychodziły. Których defektów rozumu że kawa nie sprawuje, chwalić ją stąd należy i dzięki oddawać temu, kto ją pierwszy do naszego kraju sprowadził, albowiem ona nie tylko białą płeć, ale też i wielu mężczyzn od gorzałki niszczącej zdrowie i rozum zachowała".[17] Kawa stała się ulubionym napojem intelektualistów okresu Oświecenia. Zaczęły się rozpowszechniać w stolicy kawiarnie: „liczba miejsc, na których przedaje się kawa, tak wzrosła w samej Warszawie, iż prawie wyrównywa liczbie miejsc szynkujących piwo". Pogłoski o nałożeniu specjalnego podatku na kawę wywołały dwa pełne oburzenia wiersze Minasowicza. Znacznie wolniej rozpowszechniała się herbata. Uważano ją za „sprawującą suchoty i oziębiającą żołądek [...], policzono ją w liczbie lekarstw przeciw gorączce i do wypłukania gardła po ejekcyjach [wymiotach] mianowicie z gwałtownego pijaństwa pochodzących".[18]

Ze Wschodu pochodziły dawne specjały polskiej kuchni, jak aromatyczne przyprawy korzenne a także migdały, ryż, rodzynki, oliwa, figi, cytryny, ryby suszone (wyziny). W okresie Oświecenia wzrosło także zamiłowanie do wschodnich słodyczy: bakalii, konfitur, marcepanu, sezamek, makagig, owoców południowych i sorbetów, czyli napojów z soków owocowych, zwłaszcza cytryn, oraz lodów. Słodycze i napoje wschodnie podawano na wielu przyjęciach warszawskich.[19] Smakoszostwo magnackie nakazywało kosztowanie wszelkiego rodzaju zagranicznych specjałów.

[15] Tamże, s. 123.

[16] R. Kaleta, M. Klimowicz, *Prekursorzy Oświecenia. „Monitor" z roku 1763 na tle swoich czasów. Mitzler de Kolof redaktor i wydawca,* Wrocław 1953, s. 86 i 209. Cytat z „Monitora", 1774, nr 5. W jednym z późniejszych pism wydrukowano także artykuł: *Zdanie sławnego medyka o kawie i niebeśpiecznych smutnych jej skutkach,* w którym podkreśla się jej szkodliwy wpływ na żołądek i rozpowszechnianie chorób kobiecych — „Polak Patriota", t. III, 1785, s. 984—995.

[17] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III,* s. 467—468.

[18] Ibidem, s. 465; „Polak Patriota", t. III, 1785, s. 986; wiersze Minasowicza w: *Poezja polskiego Oświecenia,* s. 47 i 388—389.

[19] J. Reychman, *Orient w kulturze polskiego Oświecenia,* s. 69 i 122—128.

69



70









BIBLIOTEKA PUBLICZNA M.ST.

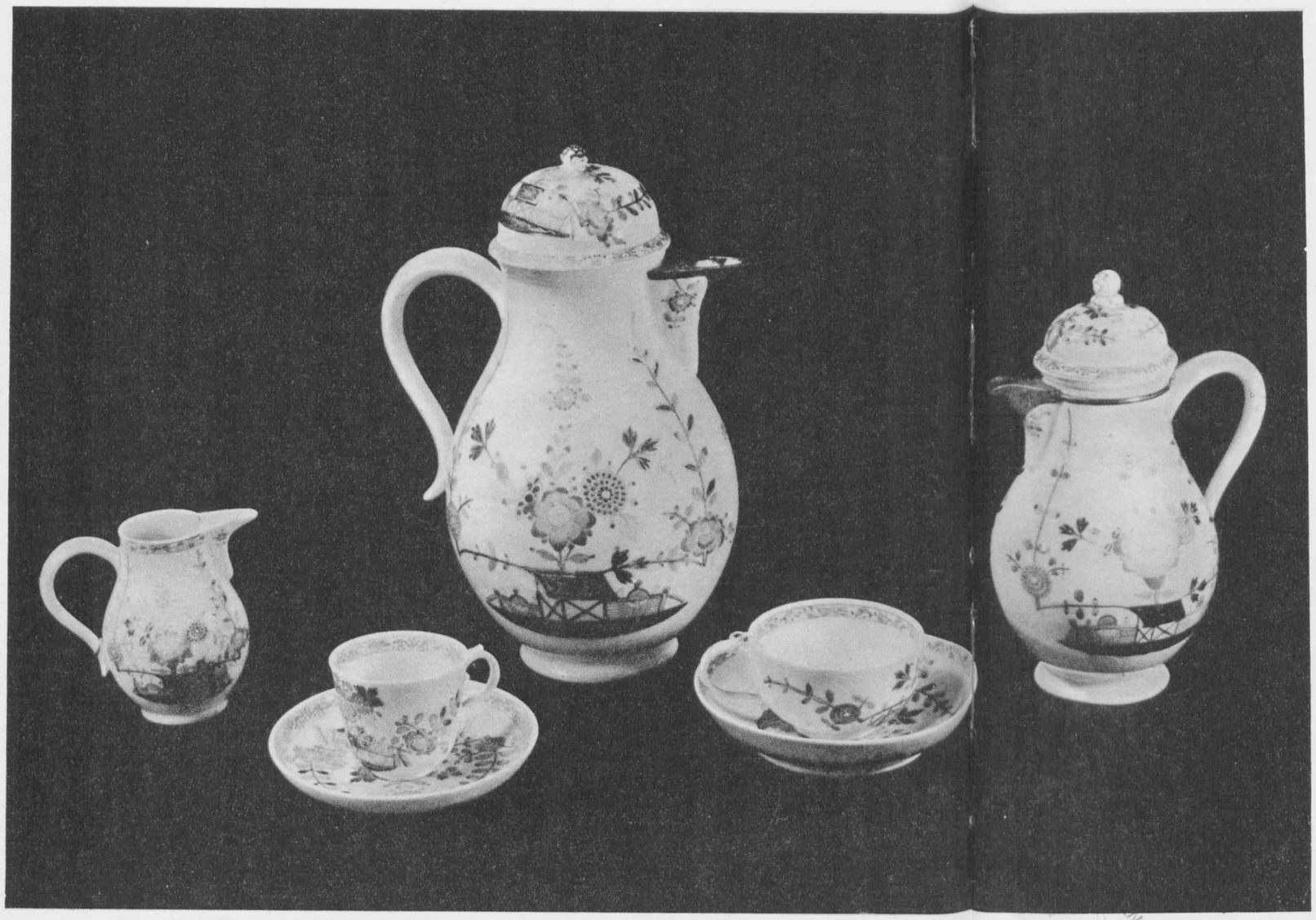

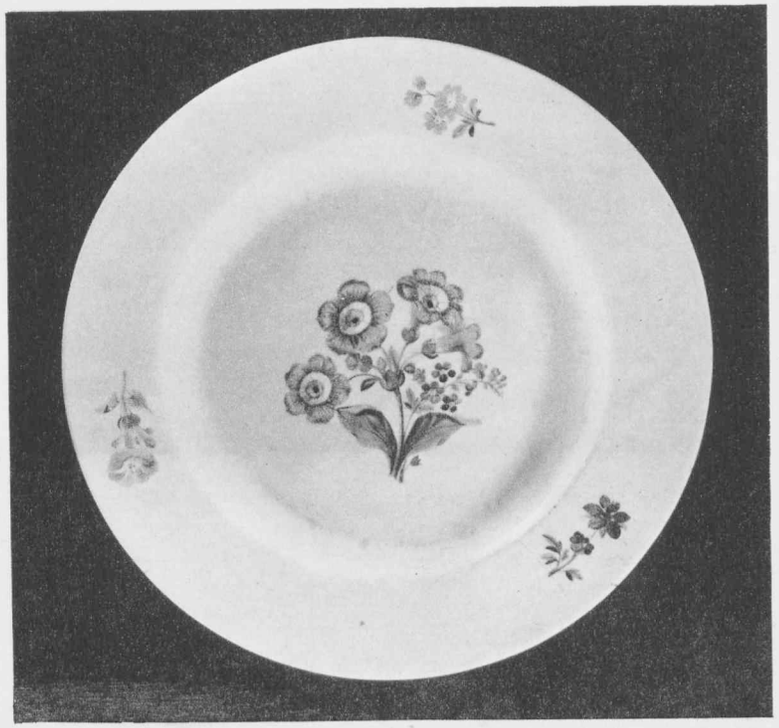





77

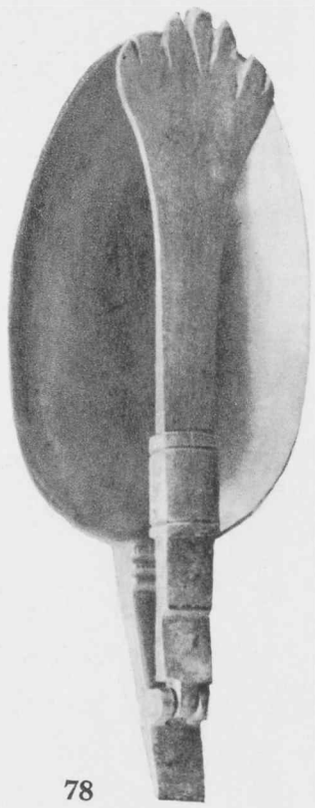

78



79

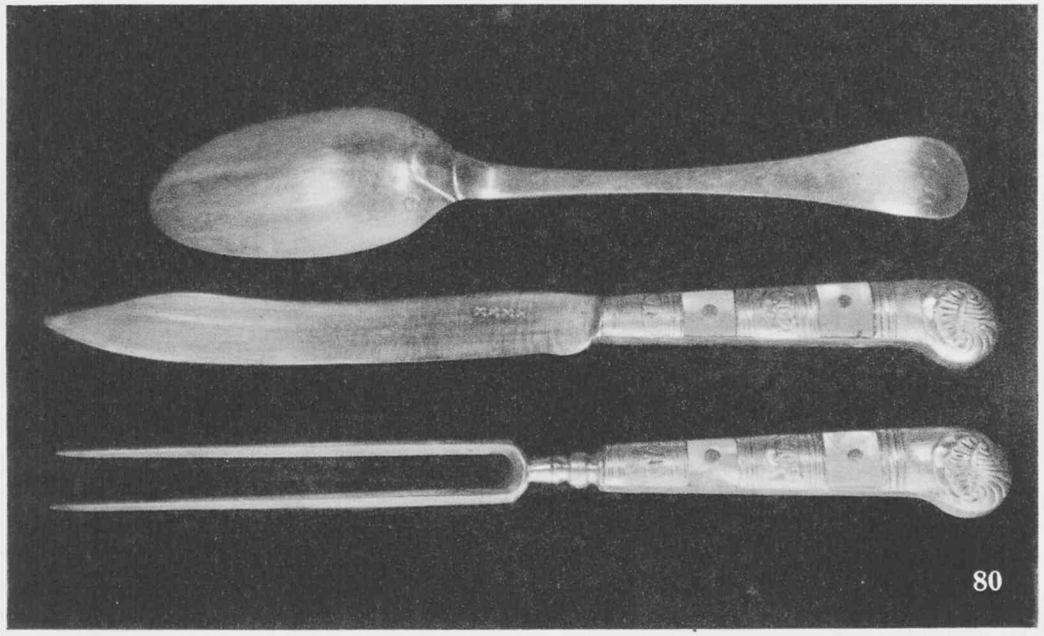

80



81

BIBLIOTEKA • MUZEUM • WARSZAWA

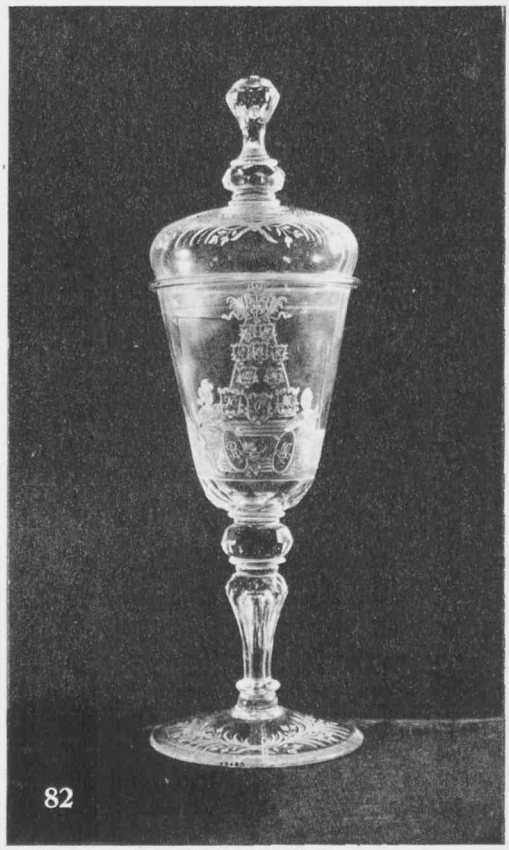

82



83



84

Trochę statystyki — kto żywił Warszawę?

Przegląd smakowitych dań z magnackich dworów nie daje obrazu ogólnego zaopatrzenia w żywność wielkiego miasta, jakim była ówczesna Warszawa. Obfite obiady i przyjęcia wieczorne ułatwiały wyżywienie części przyjezdnej szlachty i posłów sejmowych produktami sprowadzanymi z dóbr magnackich. Stałych mieszkańców miasta i mniej ustosunkowanych przyjezdnych żywili producenci żywności zgromadzeni w cechach spożywczych i ich konkurenci z przedmieść stolicy, dostarczały gotowej żywności liczne traktiernie i garkuchnie. Należy zestawić wiadomości o rozmiarach tej produkcji żywnościowej z początku interesującego nas okresu, kiedy około 1754 roku Warszawa liczyła bez Pragi ok. 25 000 mieszkańców, i z 1792 roku, kiedy posiadała ona ok. 110 000 mieszkańców. Już w pierwszym okresie uderza duża liczba ludzi produkujących różne napoje alkoholowe: piwa, wódki i wina. Według niepełnych danych spisowych szynkowało w 1754 roku 96 osób. Było to zajęcie uboczne ludzi o najróżniejszych zawodach — od cyrulików i felczerów, złotników i muzykantów do krawców, stolarzy, siodlarzy i innych majstrów cechowych, żołnierzy i pachołków, furmanów i wdów. Szynkowano na całym terenie ówczesnej Warszawy. Spis notuje 7 winiarzy skupionych na terenie Starej Warszawy, oraz piwowarów i producentów wódki zamieszkujących raczej przedmieścia. Z producentów żywności wymienia się 25 piekarzy, 3 mączarzy, 11 krupiarzy, 2 opłatników i tylko jednego sprzedawcę chleba, który nie był piekarzem. Tłuszczu dostarczało 12 olejarzy i 1 maślarka (poza tym w każdym niemal domu mieszczańskim wyrabiano masło za pomocą maślnicy), słodyczy 3 cukierników. Rzeźnicy posiadali 26 jatek mięsnych skupionych przeważnie na Nowym Mieście i peryferiach Starej Warszawy. Poza tym spis wylicza jeszcze 17 rzeźników, 1 handlarza wieprzowiną, jednego słoniną, kiełbaśnika, 4 pasztetników oraz 16 kurników i kurniczek, czyli handlarzy drobiem. Wśród handlarzy jarzynami wymienia się 6 „cybularzy" i 3 „kapuściarzy".[20] Zaopatrzenie w owoce, jarzyny, drób i nabiał ułatwiał także duży dowóz z okolicznych wsi skupiony w dnie targowe na kilku placach.

Produkcja żywności i napojów stale rosła w związku ze zwiększeniem się liczby ludności. Szczególnie szybko rozwijała się produkcja podstawowego w owym czasie napoju, jakim było piwo: „Na przedmieściach Warszawy, jako to Grzybowie, Muranowie, Kłopockim itp. uboga szlachta po dworkach warzyła piwo lekkie, równie i w jej okolicach, jako to w Piasecznie, Błoniu, i prowadząc je na jednokonnych wozach bez opłaty, bo czopowe, na sejmie roku 1767 uchwalone, dopiero od 1776 r. pobierane zostało, w małych beczkach po 4 lub 5 zł po domach przedawała, stąd lekkie piwo zwane szlacheckie."[21] Także bogatsza ludność stolicy nie gardziła zarobkami płynącymi z warzenia piwa. Pomnożyła się w Warszawie znacznie liczba rozmaitych szynkarzy, gorzelników i właścicieli drobnych zakładów gastronomicznych, a 4,4% z nich nie miało w 1792 roku „pewnego sposobu do życia". Byli to przeważnie, najubożsi z nich, Żydzi. Spis ludności z 1792 r. wykazał: 1799 właścicieli różnych lokali i producentów alkoholu, 1390 szynkarzy,

[20] Obliczono na podstawie spisu mieszkańców i nieruchomości Starej Warszawy z 1754, tzw. lustracji Dawidsona, *Źródła do dziejów Warszawy*, Warszawa 1963, s. 387—460.

[21] A. Magier, *op. cit.*, s. 242.

23 dystylatorów, 7 gorzelników, 94 piwowarów, 22 właścicieli oberży, a 101 kawiarni, wreszcie zaś 162 osoby to pracownicy tych zakładów. Równocześnie zarejestrowano w Warszawie 494 przedstawicieli różnych rzemiosł spożywczych: młynarzy, piekarzy, cukierników, pasztetników, piernikarzy i rzeźników.[22] Ci liczni producenci żywności i napojów skupiali się najgęściej na Nowym Mieście i na przedmieściach ówczesnej Warszawy. „Na Wolnicy, Nowomiejskiej, u zbiegu ulic Franciszkańskiej i Wałowej znajdowało się ponad 70 jatek, a oprócz nich wybudowano jeszcze jatki w Rynku." 26 jatek skupiało się także pomiędzy ulicą Piekarską a Dunajem, obsługiwały one Stare i Nowe Miasto.[23] Piekarze warszawscy mieli dawne tradycje zawodowe, wymienić tu należy zwłaszcza cech piekarzy Starej Warszawy. Obowiązani byli oni dbać o jakość wypiekanego pieczywa, nie pozwalając młodszym majstrom piec pszennego chleba. Zmiana ceny żyta wpływała raczej na wagę bochenka chleba niż na jego cenę. Sprzedawaniem wyrobów w jatkach piekarskich trudniły się na ogół żony majstrów. Do cechu piekarzy należeli także piernikarze, najdawniejsi z producentów wyrobów cukierniczych. Wśród piekarzy warszawskich było sporo Niemców. „Stąd chleb, kształt, gatunek jego nic właściwie miejscowego nie ma, jak np. pulchny chleb dziurawy paryski w kształcie ogromnych obwarzanków, piemoncki — pałkowaty, prawie bez miękiszu, lombardzki — parzony, gwiaździsty lub w kształcie główek, genueński — szary, piaszczysty, w kształcie motylów wypiekany."[24] Nazwy te świadczą o szerokim asortymencie i niezłej jakości miejscowego pieczywa.

Istniały zwyczaje wypiekania pewnych ciast na określone święta. Np. w wigilię Bożego Narodzenia kończono wypiek strucli używanych do Trzech Króli. W 1732 roku „dwóch czeladzi od piekarza Szyleona struclę na ramionach dźwigało, jakby jednego cielca, którą on podarował podmarszałkowi królewskiemu p. Kropnitz".[25]

Produkcja pieczywa wymagała znacznej liczby młynów, lokalizowanych na ogół na peryferiach miasta. Obok młynów wodnych używano także jako napędu kieratu końskiego. Np. na Nalewkach przy rogu ul. Franciszkańskiej, w podwórzu kamienicy „jest młyn koński deptany ze wszelkim porządkiem, bardzo dobry, nad młynem spichlerz mogący objąć więcej 1000 korcy zboża".[26] W 1787 roku pracowała także manufaktura wyrabiająca makarony włoskie na Pradze. Sprzedawano je w składzie na Rynku Starego Miasta, w kamienicy pod nr 41.[27]

Wspomnieć trzeba o rzemieślnikach, od których zależała opinia polskiej kuchni. Spis ludności z 1754 roku wymienił tylko trzech kucharzy, jednakże najznaczniejsza ich liczba pracowała w jurydykach na dworach magnackich. Sporządzanie potraw nie było uważane za skomplikowaną umiejętność, odkomenderowywano do tej czynności kogoś spośród czeladzi. Jednakże przyrządzanie wykwintnych potraw

[22] S. Szymkiewicz, *Warszawa na przełomie XVIII i XIX wieku w świetle pomiarów i spisów*, Warszawa 1959, s. 203—208.

[23] A. Berdecka, *Ożywienie gospodarcze i reformy okresu Oświecenia 1730—1794 (Szkice nowomiejskie*, Warszawa, 1961, s. 86).

[24] F. Schulz, *op. cit.*, s. 433; T. Woynowski, *Cech piekarzy miasta Starej Warszawy*, Warszawa 1931.

[25] Ł. Gołębiowski, *Opisanie historyczno-statystyczne miasta Warszawy*, Warszawa 1827, s. 187.

[26] D. Kosacka, *Nalewki do schyłku XVIII w.*, „Rocznik Warszawski", I, 1960, s. 94.

[27] Suplement do nru 1 „Gazety Warszawskiej", z 3 stycznia 1787.

wymagało wielu lat praktyki. Zaczynano od kuchcika, należało przejść praktykę jako kucharz potraw gotowanych, pieczystego i pasztetnika, by wreszcie osiągnąć zaszczytny tytuł kuchmistrza. Na dworze Stanisława Augusta urządzano uroczyste wyzwoliny kucharzy, którym wręczano patent na srebrnej tacy. Najsłynniejszy z nich, Paweł Tremo, był nawet nazywany marszałkiem. Kucharze ci mogli posługiwać się pierwszymi książkami kucharskimi Czernieckiego czy Wielądka i łatwo znajdowali pracę w najwytworniejszych kuchniach warszawskich. Należał do nich np. stół „Franciszka Rzewuskiego, marszałka nadwornego koronnego, zwanego powszechnie grand-maître, który wszelką wyszukaność zbytku i wymyślność uczt, przez siebie dawanych, kosztem króla mógł opędzać i starał się przewyższyć zawsze tak dobry stół monarchy; u Walickiego, podstolego koronnego, acz skromniejszy nieco, ale zawsze jednostajny, u Czackiego i księcia Kazimierza Lubomirskiego". Inni smakosze, jak Wincenty Potocki czy Borzęcki, szybko zbankrutowali. [28]

Obok tych wykwintnych kuchmistrzów Warszawa liczyła poważny zastęp właścicieli małych oberży i garkuchni. Zatrudniali oni w swych ciasnych i brudnych kuchniach własne żony, nieletnich kuchcików czy dziewki służebne, sporządzające niedbale skromne posiłki.

Lokale warszawskie

Zgłodniały mieszkaniec Warszawy czy przyjezdny miał do wyboru wiele lokali o bardzo zróżnicowanych możliwościach gastronomicznych i cenach. W najlepszym hotelu stołecznym „Pod Białym Orłem" na Tłomackiem można było stołować się na dole lub u siebie w pokoju i płacić od 4 do 16 złp. za obfitszy posiłek bez alkoholu. Były to wysokie ceny zważywszy, iż utrzymanie pracownika manufakturowego czy podopiecznego szpitala wynosiło w tym samym czasie 10 złp. na dwa tygodnie. Skromniejszy obiad „złożony z zupy, mięsa wołowego, jarzyny, pieczystego i desertu kosztował cztery, kolacja o jeden półmisek mniej trzy złote". Można było także udać się do jednej z traktierni Starego Miasta, np. do czynnego od 1766 roku Quellusa, który wydawał przy Rynku Staromiejskim potrawy „w wybornych sosach i smakach", naśladując wzory przyjęć magnackich. Pod koniec XVIII wieku zasłynął na Starym Mieście restaurator Louis Condé, zapewne emigrant francuski. Traktiernie mnożyły się w Warszawie w omawianym okresie. Już w 1754 r. było ich pięć. Od zwykłych garkuchni, których w tym samym czasie miasto liczyło 22, różniły się wyższym poziomem kuchni, wykwintniejszą obsługą, no i zwłaszcza cenami. Znana była np. traktiernia na początku dzisiejszych Alei Ujazdowskich, gdzie przyjmowano gości rakami. „Trzyma gospodarz wielką ich ilość zawsze i karmi, ale sposób ten karmienia jest tajemnicą z dwóch zapewne przyczyn: ażeby współzawodnicy nie chwycili się go i żeby goście odrazy do karmionych nie dostali. Co prawda, to że raki doprowadza do nadzwyczajnej wielkości i tłustości. Sławne raki, które się poławiają w rzece Odrze, nie dochodzą tutejszych ani wzrostem, ani smakiem. Sposób przyrządzania także szczególny i za-

[28] Ł. Gołębiowski, *Domy i dwory*, Warszawa 1830, s. 62—66.

chowuje się w sekrecie. Nie zechcą mi może wierzyć, że się tu dukaty przejadają, ale jakem mówił już, w Warszawie wszystko jest wytworne i drogie. Przy tym przyzwoitość i zwyczaj każą nie pić po rakach innego wina, tylko burgunda, szampana lub węgrzyna. Sam półmisek raków od 3 do 4 złotych polskich kosztuje." [29]

W Warszawie można było pożywić się łatwo wszędzie, gdzie chęć rozrywki zagnała możnych. W sejmie roznoszono piwo butelkowe, „frukta, ciastka i cukierki", w bufecie teatralnym można było napić się lemionady, orszady, tj. napoju chłodzącego z tartych migdałów gotowanych z cukrem, ponczu, herbaty z cytryną, czekolady, zjeść lody, pomarańcze, biszkopty, oczywiście po odpowiednio wysokich cenach. [30] Wygórowane ceny panowały także w bufetach redut: „Szklanka limoniady półkwartowa — tynfa, szklanka orszady mniejsza — tynfa, filiżanka herbaty — 12 gr, filiżanka kawy — tynfa, filiżanka czekolady — dwa tynfy. Piwo krajowe na redutach nie było w modzie; oznaczało wieśniaka, kto go żądał." Odpowiednie były ceny piwa angielskiego, wina francuskiego czy węgierskiego, szampana. Można było także zjeść kolację: „Kapłon pieczony — taler bity, para kuropatw zaprawnych — czerwony złoty. Pieczeń cielęca w ćwiartce całkowitej — taler bity; w zrazach na półmisku — od osoby po tynfie, do czego dano po bułce chleba francuskiego. Wołowych pieczeniów i innych potraw grubych nie dawano. Kto chciał mieć kolacyją z gorących potraw, miał ją zapłaciwszy od osoby po czerwonym złotym; kto zaś chciał tylko posiłku z samych zimnych rzeczy, dostał wszystkiego, czego chciał, szynków, ozorów, salcesonów itp. zapłaciwszy każdą rzecz." [31] Szczegółowe to wyliczenie wskazuje hierarchię różnych rodzajów jadła i napoi i wyraźnie komercjalne nastawienie kierownictwa reduty, do którego nie byli przyzwyczajeni szlacheccy klienci, goszczeni suto na dworach magnackich. W sumie stwierdzić należy, że w Warszawie można było łatwo zjeść dobrze mając nabity dukatami mieszek.

Trudniej było o tańsze traktiernie i garkuchnie. Niektóre z nich prowadzili Niemcy i można było tam zjeść skromne, domowe potrawy, przyrządzone przez żonę gospodarza. Przytacza się tego typu lokal Sasa Wernika na Podwalu czy oberżę Forestiera na Nowym Mieście. Większa ilość tego typu lokali powstała jednak dopiero za czasów pruskich. [32] Pod koniec istnienia dawnej Rzeczypospolitej jedzenie w Warszawie było drogie: obiad bez możliwości wyboru potraw: „złożony z zupy, pieczystego i leguminy [potrawy mącznej lub z kaszy], kosztował w zimie 1792 roku 3 złp., lepszy nieco o dwa półmiski więcej — 4 do 5 złp., w najlepszych garkuchniach złożony z 6 do 8 potraw i desertu — 6—10 złp. Teraz, gdy sejm rozwiązany, obiady te staniały najwięcej o pół złotego lub złoty". Wino do obiadu kosztowało od 3 do 20, a nawet 30 złp. W 1793 roku „najuboższy człowiek stołujący się w garkuchni nie dostanie jedzenia za mniej niż złoty lub półtora". Najbiedniejsi mieszkańcy stolicy, nie mogąc gotować w domu, posilali się w ohydnych szynkach, połączonych zwykle z najtańszymi domami publicznymi, lub jedli wprost na ulicy: „Przed kościołem Św. Krzyża sprzedają ryby świeże

[29] F. Schulz, *op. cit.*, s. 437 i 529.

[30] A. Wejnert, *O najdawniejszych zabawach i widowiskach teatralnych w Warszawie* (*Starożytności warszawskie*, Warszawa 1848, t. II, s. 367).

[31] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, s. 584—585.

[32] A. Magier, *op. cit.*, s. 71; Ł. Gołębiowski, *Domy i dwory*, s. 66.

i solone wszelkiego rodzaju, owoce, chleb, warzywo, mięso, zupy, jarzyny, kiełbasy itp. na ciągle kurzących się patelniach. [...] W okolicy między Starym a Nowym Miastem gotują i smażą, i pieką także na ulicy, a częstują głodnych bez talerzy, grabek i nożów, obchodząc się palcami i zębami." [33] Mogła to być dobra sceneria do następującego dialogu (pt. *Spowiedź wzajemna*):

— Mów, moja panno, jabłuszka po czemu?
— Mój śliczny panie, kupka po złotemu.
Saski ogrodnik drożej zgniłki zbywa,
Jakeś katolik i jakem poczciwa.

— Nie mówisz prawdy, kochanko, w tej mierze,
Jam nie katolik i w Boga nie wierzę.
— Kiedyś tak szczery — przekupka odpowie —
Wyznam, czym jestem: kurwą na Grzybowie.[34]

Zbadawszy jednak możliwości zaspokojenia głodu, pomyślmy teraz o lokalach, w których zaczynało się koncentrować życie towarzyskie, gdzie mieszkańcy stolicy przychodzili dla spotkania znajomych i przyjemnej pogawędki. Do lokali dawnego typu należały winiarnie. Ze sklepu można było dojrzeć „przez okienko we drzwiach siedzących w drugiej izbie, którzy pili wino; ale to był albo ksiądz wikary ze znajomym dzierżawcą, albo murgrabia pałacowy z jakim majstrem, nareszcie kurnicy, szafarze". W Rynku Starego Miasta winem handlowali m. in. Ormianin Grzegorz Abrahamowicz ze Lwowa, „znany baron Desymanowicz, który chciał zawsze zakrawać na panka". „Co do wybornych gatunków wina węgierskiego, prócz węgrzynów nie było sławniejszego handlu jak u Kurowskiego", szlachcica na Krakowskim Przedmieściu, i u Jakuba Maraszewskiego (Mareszewskiego), przy ul. Freta 5 — prezydenta Warszawy z 1777 roku. Likwory i rozmaite wódki sprzedawał Fontana. [35] Przednie wino na garnce i kwarty można było kupić u jezuitów, później zaś u ks. Łuskiny, redaktora „Gazety Warszawskiej". U brata Czesława od dominikanów na Nowym Mieście nabywano dobre wina i miody, a u trynitarzy na Solcu najlepszy miód. W podrzędniejszych knajpach i oberżach pito chętnie wódkę i piwa, wśród których szczególne powodzenie miało piwo wareckie. [36]

Nowym typem lokali były kawiarnie. Pierwszą z nich założył w 1724 roku Henryk Duval, którego córka czy żona stała się kochanką Augusta II i matką hrabiny Orzelskiej. W 1792 roku kawiarni było już 101. Odgrywały one ważną rolę w życiu towarzyskim stolicy i służyły różnym warstwom społeczeństwa miejskiego. Zacznijmy od lokali uczęszczanych przez wielki świat. Na pierwszym miejscu warto wspomnieć kawiarnię Neybertowej: „W r. 1764 tu, gdzie teraz Wiejska Kawa, pole jeszcze było zaorane i zbożem zasiane we wsi, natenczas Jazdów zwanej. [...] W następnym roku Jakub Neybert, kupiec warszawski, nabył ten grunt i wystawił domek drewniany, który jeszcze odwiedzamy, a ten w 1782 przedanym został Wilhelmowi Togno, od którego pani Neybert, wdowa, trzymając w dzierżawie, założyła kawę pod nazwiskiem Wiejskiej i nadała jej najpomyślniejszy początek.

[33] F. Schulz, *op. cit.*, s. 435 i 425.
[34] *Poezja polskiego Oświecenia*, s. 229.
[35] A. Magier, *op. cit.*, s. 102 i przypisy s. 325.
[36] J. St. Bystroń, *Warszawa*, Warszawa b. r., s. 106; Z. Kuchowicz, *Z dziejów obyczajów polskich w wieku XVII i pierwszej połowie XVIII*, Warszawa 1957, s. 228.

Tu prawie cała Warszawa, różny stan, płeć piękna, młodzi i starzy dla przejażdżki i widzenia świata uczęszczając, w oddaleniu cokolwiek od miasta, przyjemne spędzali chwile. Była jeszcze druga kawiarnia za rogatkami wolskimi, utrzymywana przez Kolsonową, i przy niej ogródek, a zatem tylko dwie były przejażdżki na kawę: do Neybertowej i do Kolsonowej, a w r. 1790 jedna bliżej miasta: Na Nowolipiu u Okoniowej." [37] Starego Magiera zawiodła trochę pamięć. Do tego typu lokali należał jeszcze Lang na Powązkach, a kawiarnia Neybertowej istniała co najmniej od 1779 roku. Świadczy o tym wiersz Jana Czyża z tegoż roku, *Doniesienie przyjacielowi*:

Ponieważ cię to nader ciekawie obchodzi,
Jaki jest dziś charakter uciechy w Warszawie,
Gdy publiczne zabawy szanować się godzi,
Powiem, u Nejbertowej com widział na kawie.

Kawiarnia Neybertowej znajdowała się początkowo na Solcu, a potem w jej własnym, a nie dzierżawionym domu, przy bocznej ulicy Wiejskiej.[38] Kawarnia Kolsonowej mieściła się przy rogu obecnej Wolskiej i Towarowej: „Jakoż w roku 1788 przeniosła się tam JPani Kolsonowa, utrzymująca dawniej kawiarnię w Warszawie w domu Kepsa, a następnie na Woli i założyła za wolskimi rogatkami w domu JPana Szulca, obok kowala, kawiarnię zamiejską. Kawiarnia ta miała piękny balkon [galerię] i apartamenta do przyjęcia osób znakomitych. Każdego czasu można było w niej podwieczorkować, a za uprzednim uwiadomieniem wieczerzać i trzymać w niej asamble. Tamże w czasie karnawału bywały bale." [39] Kawiarnie te pozwalały na spotykanie się ludzi z różnych sfer towarzyskich posiadających jednakowe możliwości finansowe.

Istniały także kawiarnie, w których gromadzili się ludzie o określonych przekonaniach politycznych. Wymienić tu należy zwłaszcza kawiarnię syna warszawskiego piwowara Józefa Dziarkowskiego, mieszczącą się na Mostowej, naprzeciwko kościoła Św. Ducha. Właściciel jej był człowiekiem zamożnym i nie pozbawionym fantazji. „Starając się o przyjaźń teraźniejszej swej żony [...] zaciągał długi na karb ojcowski. Swej żonie, starając się o nią, różne dawał zabawy [...] za kwiatki (sprowadzane z zagranicy) po dukatów 300 płacił, przez co, co od rodziców samych słyszałem, że mieli w handlu straszny upadek." [40] Ożeniwszy się z ukochaną Felicjanną Dziarkowski związał się z postępową częścią szlachty i mieszczaństwa i w okresie Sejmu Czteroletniego, a zwłaszcza po 1792 roku, bywali u niego patrioci, dla których miał osobną salę zwaną „Na górce".

Najstarsza stołeczna kawiarnia Duvala przeszła w 1767 roku w ręce siedmiu sióstr i zwała się „Kawarnią pod Złotym Orłem". Pierwszą kawiarnią warszawską, w której podawano poncz, był niejaki Mini na rogu Freta i Świętojerskiej. Drugą z kawiarń założył dworzanin Augusta III Mayerhofer w 1758 roku. Kawiarnia ta mieściła się w „szczupłym domku za Żelazną Bramą [...]. Jedna mała izba wy-

[37] A. Magier, *op. cit.*, s. 76.

[38] *Poezja polskiego Oświecenia*, s. 215 i 448—449; J. W. Gomulicki, *Blaski i nędze „Poezji polskiego Oświecenia"*, „Przegląd Humanistyczny", 1957, z. 1, s. 89.

[39] A. Magier, *op. cit.*, przypisy wydawców, s. 294; Suplement do nru 6 „Gazety Warszawskiej", z 19 stycznia 1788.

[40] Wł. Smoleński, *Mieszczaństwo warszawskie w końcu wieku XVIII*, Warszawa 1917, s. 35 — zapis przekazu współczesnego.

starczała na tę kawiarnię, w której prócz kilku stołków i stoliczków, zegaru szafiastego w kącie, odmalowanej Najśw. Panny, przed którą lampka zawieszona zawsze się paliła, i «Gazety Warszawskiej» więcej nic nie było." [41]

Obok tych wykwintniejszych i bardziej znanych lokali miejskich i podmiejskich powstało w stolicy wiele podrzędniejszych kawiarni, ponieważ kawa „od ludzi majętnych przeszła nareszcie do całego pospólstwa, podniosły się po miastach kafenhauzy; szewcy, krawcy, przekupnie, przekupki, tragarze i najostatniejszy motłoch udał się do kawy. Nie była już wtenczas droga: za sześć groszy miedzianych dostał filiżanki kawy z mlekiem i cukrem, lecz też taka była i kawa: łut kawy dla zapachu, cztery łuty pszenicy palonej, trocha faryny cukrowej, łyżka mleka roztworzonego wodą; smakowało to jednak prostactwu, nie znającemu smaku czystej kawy, dobrze sporządzonej" [42] — pisał lubiący dobrą kawę proboszcz z Rzeczycy.

Mniej rozpowszechnione były cukiernie ze względu na wysokie jeszcze ceny cukru. Najsławniejszym z warszawskich cukierników był Lessel: „w Saskim pałacu, lubo w miejscu nie bardzo przyjemnym, bo brudne podwórze poprzedzało wejście do jego wybornej cukierni, zawsze trzymającej pierwszeństwo co do wytworu i obfitości różnych swoich słodyczy, których pakami dostarczała różnym panom po prowincjach". Drugi cukiernik, Ludwik Nesti, słynął z ciast i cukrów wyrabianych na sposób włoski. Najlepsze lody bywały u innego Włocha, Carluccia, w cukierni na Długiej, koło teatru. Na Krakowskim Przedmieściu mieściła się cukiernia Metkiego, który później przerobił oficynę w pałacu Krasińskich „na piękny podłużny salon o kilkunastu oknach, gustownie ubrany i zakończony z jednej strony bufetem, czyli cukiernią, z drugiej pokojem bilardowym". Liczni goście schodzili się do tego salonu na lody i napoje chłodzące. Inny wreszcie Włoch, Marco Bini, wyrabiał doskonałą czekoladę w lokalu przy ul. Podwale 4. Wśród cukierników istniała wyraźna specjalizacja. Jeden z nich wyróżniał się np. w „robieniu doskonałych biszkopcików, ósemkami zwanych, które zamówione roznosił po wielu pierwszych domach".[43] Niektóre z tych lokali należą do następnego okresu.

Przegląd warszawskich lokali ukazuje wyraźnie ich nastawienie na obsługę zamożniejszej klienteli — dworu królewskiego, magnatów, przyjezdnej szlachty i cudzoziemców. Rozmnożyły się winiarnie, kawiarnie i cukiernie, ułatwiające miłe spędzenie czasu. Brakowało tańszych lokali dostarczających przyzwoitego jedzenia.

Przeciętne pożywienie rodzin mieszczańskich i szlacheckich

Przeważna część mieszkańców Warszawy nie mogła przejadać tak wielkich sum i prowadziła domową kuchnię. Była to na ogół tak zwana kuchnia średnia, opierająca się w odżywianiu na chlebie, kaszach i potrawach mącznych, grochu, śledziach, serach, tłuszczach i piwie, przy dość ograniczonych porcjach tańszego

[41] J. Reychman, *op. cit.*, s. 124; A. Magier, *op. cit.*, s. 58 i 361.

[42] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, s. 465—466.

[43] A. Magier, *op. cit.*, s. 162—163 i przypisy s. 375. Reklamował się także Beyer mieszkający przy ul. Długiej na rogu Nowego Miasta, sprzedający czekoladę w „papierze niebieskim z sztęplem Orła Królewskiego". — Suplement do nru 86 „Gazety Warszawskiej" z 27 października 1779 roku.

mięsa. W domach tych spożywano posiłki trzy razy dziennie: śniadanie przed rozpoczęciem pracy, obiad około 12 i kolację około 6—7 wieczorem, z tym, że nieraz jeszcze dawano na podwieczorek i drugie śniadanie chleb z serem. Przy tym typie pożywienia największą atrakcją była dość duża obfitość chleba, spore porcje mięsa i do półtora litra piwa dziennie. [44]

Jak wyglądało całodzienne pożywienie przeciętnej rodziny mieszczańskiej czy uboższej szlachty, najniższych kategorii urzędników, wyższych kategorii służby dworskiej i skromniejszego duchowieństwa? Na śniadanie pito chętnie polewki piwne z jajkiem, cukrem i innymi przyprawami, czy też tylko z mąką. Zamiast polewki mężczyźni dostawali nieraz kieliszek gorzałki i chleb z masłem lub smalcem. Powoli rozpowszechniała się kawa na śniadanie, co było tańsze: „Rzemieślnik kupił kawy już palonej i melonej [sic!] w sklepie korzennym za 6 groszy, cukru lodowatego za drugie 6 groszy [...]; w tym mleku ugotował ową trochę kawy [...], dał każdemu po kawałku cukru lodowatego, przez który, w zęby wzięty, pili onę kawę, po każdym łyku przejadając chleba z masłem cienkie kromki. I takim sposobem odbył śniadanie swoje, żony, dzieci, czeladzi, do kilku osób, czasem do ośmiu i dziewięciu, straciwszy mało więcej na wszystkie osoby, jak przedtem na jednę, a najwięcej dwie." [45] Na obiad dawano zupę, najczęściej rosół, barszcz czy krupnik i potrawę mięsną z jarzyną lub leguminą, czyli potrawą z mąki czy kaszy. Chętnie jadano sztukę mięsa, zrazy, groch ze słoniną, kiełbasy czy kiszki. Desery, czyli deserty, tak samo jak drób czy białe pieczywo, należały do potraw świątecznych. Na kolację dawano kluski, kasze czy jarzyny z omastą, rzadziej z mięsem, bez zupy. Pito piwo lub rzadziej gorzałkę.

Dzień świąteczny oznaczał obfitsze jedzenie. Na Wielkanoc zajadano tradycyjne jaja na twardo, szynkę, kiełbasę z chrzanem. Wszelkie okazje towarzyskie starano się uczcić winem, stanowiącym napój luksusowy, świąteczny, pity staroświeckimi pucharami czy szklankami, a oszczędniej kieliszkami. Jedną z okazji lepszego posiłku były dla czeladzi i ubogich pogrzeby zamożniejszych mieszczan. Wyprawiano po nich zwyczajowo „obiad dla ubogich" i obfitszy poczęstunek dla braci cechowych i własnej czeladzi. Z rachunków pogrzebowych znamy dobrze koszty niektórych „Bożych obiadów". Np. w 1769 roku następująco poczęstowano pięciu ubogich: dostali oni barszcz ze śmietaną, pieczeń, flaki, dwie gęsi z chlebem i jarzynami w postaci słodkiej kapusty i pietruszki. Mięso było obficie doprawione pieprzem, imbirem i goździkami, oraz masłem, dodatkowo pojawił się także ser holenderski, a na deser miodowniki. Podano te potrawy na drewnianych talerzach, jedzono blaszanymi łyżkami i pito w szklankach piwo oraz po butelce francuskiego wina na osobę. W 1779 roku przy podobnej okazji zestaw dań wyglądał następująco: pieczeń wołowa, dwa prosięta, cielęcina, osiem kurcząt, dwie gęsi i dwie kaczki, chleb, masło i ser, a do picia trzy garnce miodu, beczka piwa oraz gorzałka. [46] Przytoczony spis potraw przypomina wspominane już przyjęcia szlacheckie z czasów saskich, kiedy najważniejszym luksusem była obfitość wszelakiego mięsa i tańszych trun-

[44] Klasyfikację różnych rodzajów kuchni w Polsce XVIII wieku i ogólne dane dotyczące pożywienia tego okresu zawdzięczam uprzejmie mi udostępnionej jeszcze w maszynopisie pracy Z. Kuchowicza, *Wpływ odżywiania na stan zdrowotny społeczeństwa polskiego w XVIII wieku*, Łódź 1966.

[45] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, s. 466.

[46] AGAD, Stara Warszawa, nr 324, 325, 333.

ków. Charakterystyczny jest brak wina przy drugim z opisywanych menu „Bożych obiadów". Zarówno obfitość mięsa, jak wino, słodycze, większa ilość droższych przypraw należała do wielkich luksusów na przeciętnym mieszczańskim stole. W rezultacie istniały przy tego typu pożywieniu pewne niedobory białka, przy ograniczonej również konsumpcji mleka. Świeże mleko i masło zaliczało się bowiem do rzadkich potraw, a jedynie kwaśne mleko, solone masło i sery należały do stałych dań. Natomiast dość duże zużycie słabego piwa zawierającego znaczną ilość drożdży dostarczało wraz z nielicznymi jarzynami, zwłaszcza zaś z kiszoną kapustą, koniecznych witamin.

Warszawskie minima żywnościowe

Najniższe w stolicy racje żywności przewyższały jednak znacznie kuchnię najuboższych wieśniaków, głodujących przez część roku. Przeciętne racje żywnościowe uzyskano na podstawie norm „zbiorowego żywienia" wojska, więźniów, chorych i kalek, jako podopiecznych szpitali, oraz robotników manufakturowych. Najbardziej ogólne dane z lat 1717—1764 dotyczą wojska. W tym czasie w wyżywieniu piechurów przeważały kasze, groch, kapusta, śledzie, wołowina i potrawy mączne. Kraszono je masłem lub słoniną, a poza tym wydzielano porcje chleba i piwa.[47]

Znacznie bardziej wyczerpujące dane dotyczą okresu późniejszego, kiedy to pomnażają się narzekania na drożyznę żywności w zaludniającym się szybko mieście. Informuje o tym także anegdota: „Do Adama Naruszewicza, biskupa, przyszedł jakiś impertynent w dzień wielkanocny i w przedpokoju naprzykrzał się o włóczebne. Naruszewicz postrzegłszy pijanego posłał mu trzy grosze. Ten krzyczy: «Co ja za trzy grosze kupić dostanę?» Naruszewicz taką radę dał na piśmie i przez lokaja wysłał:

Natrętniku! Mieć będziesz obiad dość uczciwy:
Kup za trzy grosze pieprzu, octu i oliwy,
Siądź gołym zadkiem w dobrze rozmieszaną masę,
Będziesz miał parę szynek, jajca i kiełbasę." [48]

Najdokładniejsze są dane z początku lat dziewięćdziesiątych XVIII w., kiedy utrzymanie robotnika manufakturowego obliczano na 25 groszy dziennie. W tym samym czasie przeciętne zarobki niewykwalifikowanego robotnika w Warszawie wynosiły od 15 gr do 1 złp. (30 gr) dziennie. Zarobki te były tak obliczane, że robotnik zaledwie mógł się za nie wyżywić. Oto jak wyglądał całotygodniowy jadłospis zalecony dyrektorowi Domu Poprawy, Ignacemu Hermanowi, przez Komisję Policji, obliczany właśnie po 25 groszy na osobę: „Żywność — ma się składać z dwóch potraw czysto przyrządzonych i sadłem lub słoniną zakraszonych, z których jedna dawana będzie na obiad, zawsze jednak do sytości [...]. W 3 dni każdego tygodnia, tj. w niedzielę, wtorek i czwartek, będzie dawana jedna potrawa

[47] M. J. Lech, *Regimenty gwardii w Warszawie 1717—1764*, „Rocznik Warszawski", t. III, 1962, s. 120.

[48] R. Kaleta, *Anegdoty i sensacje obyczajowe wieku Oświecenia w Polsce. Dokumenty. Wspomnienia. Facecje*, Warszawa 1958, s. 45, według zapisu D. Paszkiewicza.

z mięsem, tj. krupnik dobrze zasypany lub barszcz równie zasypany, z sztuczką mięsa, funt surowego mięsa ważącą, co się liczy za jedną porcję na wieczerzę, zaś w dzień mięsny równie jak na obiad i na wieczerzę w dni te, w które mięso dawane nie będzie, odbiorą ci ludzie porcję z legumin dobrze sporządzoną i ugotowaną, jak to z mąk żytnich i gryczanych kluski lub zacierki, groch, kasze różne grubsze oraz jarzyny ogrodowe, tj. buraki, marchew, rzepę i kartofle; wszystko to w dni mięsne sporządzane będzie z okrasą słoniny lub sadła. W piątek zaś i w sobotę, równie jak i w Post Wielki przez wszystkie dni z olejem dobrym i dobrze przepalanym. Wydawany będzie chleb częścią razowy, częścią pytlowy dla wszystkich, dnia każdego trzy razy, tj. na śniadanie zamiast piwa jedna porcja, na obiad druga, do wieczerzy trzecia." [49] W dni bezmięsne niedobory żywnościowe uzupełniano zapewne porcjami piwa. Były to przeciętne normy zbiorowego żywienia tego okresu. Gorzej karmiono chorych w szpitalach i więźniów w Prochowni, gdyż liczono tam tylko po 20 groszy dziennie na osobę.

Podobne wyżywienie miał dawać robotnikom Rehan, współwłaściciel manufaktury sukienniczej. I jemu Komisja Policji zaleciła wydawanie trzy razy w tygodniu porcji mięsa: „W niedzielę będą mieli sztukę mięsa i rosół kaszą zasypany, bądź też z grochem albo z kluskami na obiad, a na wieczerzę kaszę jaką lub zacierki ze słoniną albo z masłem. W poniedziałek czasem barszcz z flakami, a drugą potrawę z leguminy." W inne dni miano podawać podobne potrawy, a ponadto wydzielać codziennie na śniadanie kieliszek gorzałki i jedną do dwóch kwart piwa dziennie — więcej w dni bezmięsne. Ponadto każdy robotnik miał otrzymywać co tydzień przydział chleba „dwa bochenki ważące po funtów 6". Ten sposób odżywiania był wzorowany na przeciętnym, mieszczańskim stole warszawskiej czeladzi. W rezultacie jednak robotnicy manufaktury Rehana byli żywieni znacznie gorzej, ponieważ fabrykant dawał mniejszą ilość potraw i co najwyżej 5 i 1/2 funta chleba tygodniowo. W końcowej fazie istnienia manufaktury, przed Insurekcją, robotnicy skarżyli się ustawicznie Komisji Policji, że „dla 17 osób od dnia szóstego teraźniejszego miesiąca [lutego 1794 r.] wcale chleba nie dał. Samą kaszą gryczaną i czasem grochem lub kapustą przez pięć blisko niedziel ich karmi. [...] Piwa im przez dwa dni nie daje i nie dawać oświadcza, mięso raz na tydzień gotować każe." Bunt, który wybuchnął wśród robotników 26 marca 1794 roku, rozpoczął się właśnie na sali po wniesieniu owej stale dawanej kapusty. Część robotników była także przerażona fatalnymi warunkami higienicznymi, wynikającymi z gotowania żywności w wielkich, miedzianych kotłach, których nie bielono dostatecznie często, co powodowało zatrucia. [50] Tak więc chodziło tu nie tyle o niskie normy żywienia, co o systematyczne głodzenie robotników pracujących po kilkanaście godzin, według wyjątkowo surowych norm produkcji.

Jak żywiono w szpitalach warszawskich stale tam przebywających przewlekle chorych, starców i kaleki? Normy spożycia były tu niższe aniżeli dla ciężko pracujących fizycznie robotników. W szpitalu Św. Ducha dawano starcom po dwie kwarty

[49] Zarobki podane według szacunkowych obliczeń N. Assorodobraj, *Początki klasy robotniczej*, Warszawa 1966, s. 100—121; A. Zahorski, *Centralne instytucje policyjne w Polsce w dobie rozbiorów*, Warszawa 1959, s. 192.

[50] AGAD, Archiwum Królestwa Polskiego, nr 149, 181, 234, 236; W. Kula, *Manufaktura sukienna Rehana* (*Szkice o manufakturach w Polsce XVIII wieku*. Warszawa 1956, t. II, s. 833—834).

kaszy i „piwa szlacheckiego", a więc bardzo podłego, na tydzień, na okrasę przeznaczano niewielką sumę kwartalną. Przydziały chleba były skromne, mięso zaś nie pojawiało się wcale. Od 1794 roku w tym samym szpitalu wyznaczano na chorego po 20 gr dziennie, co mogło wystarczyć na najskromniejsze minimum wyżywienia: „Chleb, leguminę, sól i piwo", oraz okrasę. Nie wiadomo, czy zachowały się tradycje z XVII w. podawania starcom i chorym lepszego jedzenia w okresie świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Lepiej żywiono chorych wenerycznie w szpitalu Św. Łazarza. W 1722 r. nakazano następujący tygodniowy jadłospis: „Niedziela: sztuka mięsa, jarzyna. Poniedziałek: groch ze słoniną, kapusta. Wtorek: sztuka mięsa, jarzyna. Środa: barszcz, kasza z masłem. Czwartek: sztuka mięsa, jarzyna. Piątek: barszcz, kasza z olejem." Sobota to samo, tylko kasza z masłem. Stosowano więc tu normy dawania trzy razy w tygodniu kawałka najtańszego mięsa. Po 1793 roku zalecano podobny układ dań, wyliczając tylko częściej krupnik, kleiki i kluski. [51]

Z powyższych danych wynika, że najskromniejsze, ściśle racjonowane wyżywienie robotników, więźniów czy podopiecznych szpitali składało się z gęstych zup, czasem z kawałkiem gotowanego mięsa, prostych jarzyn, najczęściej kapusty i grochu, potraw mącznych i kasz. Uzupełniało to pożywienie racjonowane piwo, chleb i małe porcje wódki dla najciężej pracujących, dostarczające pewnej liczby koniecznych kalorii. W jednym z tych wykazów wśród jarzyn wylicza się ziemniaki. Świadczy to o ich stopniowym rozpowszechnianiu się, z tym że były one jeszcze przedmiotem uprawy ogrodowej. W prasie gospodarczej zachęcano do ich używania w różnego rodzaju przetworach. Niektóre z uprawianych wtedy gatunków ziemniaków odznaczały się gorzkim smakiem i nadawały się tylko na paszę dla bydła wskutek niewłaściwego doboru sadzeniaków i wadliwej uprawy.[52] Spożywanie ziemniaków zaczęło chronić od głodu chłopów i biedotę miejską dopiero w następnym stuleciu.

Warto zatrzymać się chwilę nad zagadnieniem ogólnych możliwości przeciętnego wyżywienia mieszkańców Warszawy na podstawie ogólnego zaopatrzenia w żywność terenu Polski środkowej i wysokości jej produkcji rolniczej. Tak więc przeciętnie mieszkaniec tego terenu mógł spożyć w ciągu roku około 120—150 kg zboża, a więc 1—1,6 kg dziennie chleba, mąki i kasz, co nie było dostateczne dla ludzi ciężko pracujących fizycznie. Ilość jarzyn była także zbyt mała. Do najczęściej jadanych należała kapusta, groch, marchew, cebula, rzepa i pasternak. Na mieszkańca Warszawy nie wypadało więcej niż 12—20 kg mięsa rocznie. Wśród tłuszczów podać należy trudne do oszacowania ilości słoniny i oleju. Z nabiału spożywano najwięcej chudych serów i od 100—120 litrów mleka rocznie. Przeciętnie na jednego mieszkańca przypadała tylko szklanka piwa dziennie. Zamiast cukru słodzono miodem, którego spożycie wynosiło jednak zaledwie po 30 dkg rocznie na osobę.[53] Dane te pozwalają na właściwą ocenę różnicy pomiędzy stołami dworu

[51] A. Wejnert, *Starożytności Warszawy*, Warszawa 1858, t. VI, s. 54; t. II (pt. *Starożytności warszawskie*) Warszawa 1848, s. 250—253; Fr. Giedroyć, *Rys historyczny szpitala Św. Łazarza w Warszawie*, Warszawa 1897, s. 59—60.

[52] B. Baranowski, *Początki i rozpowszechnienie uprawy ziemniaków na ziemiach środkowej Polski*, Łódź 1960, s. 99—109.

[53] B. Baranowski, *Próba obliczenia rozmiarów produkcji rolniczej i jej konsumpcji w czasach Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego*, „Kwartalnik Historii Kultury Materialnej", R. VIII, 1960, nr 2, s. 209—227; Z. Kuchowicz, *Wpływ odżywiania na stan zdrowotny społeczeństwa polskiego w XVIII wieku.*

królewskiego i magnatów, uginającymi się pod różnymi rodzajami mięsiw i smakołyków, a nędznymi racjami zup, kasz i chleba wydzielanymi przez skąpe majstrowe, kierownictwo manufaktur czy szpitali. Rzadkie okazje świątecznego posiłku stanowiły przedmiot długich rozmów i oczekiwań. Nie należy także wyolbrzymiać pijaństwa panującego w okresie Oświecenia raczej zresztą wśród możnych i szlachty. Przeciętny mieszczanin niezmiernie rzadko kosztował wina, pijał od święta miód, a na co dzień słabe piwo, zawierające co najwyżej parę procent alkoholu, i niewielkie ilości wódki. Ta ilość alkoholu uzupełniała niekiedy braki kaloryczne stałych posiłków i ułatwiała zarazem strawienie pożywienia przygotowywanego w fatalnych warunkach higienicznych.

Troska o dietę i higienę odżywiania

Warto na zakończenie przypomnieć, jak wyglądała troska o dietetyczność potraw dla dzieci, starców czy chorych, i jakie było pod tym względem rozeznanie wśród mieszkańców Warszawy. Niemowlęta karmione piersią leczono ziółkami i syropami. „Gdy dzieci uczono jeść, karmiono je najprzód papką z chleba, cukru, masła i piwa zrobioną albo z mąki, albo kaszką drobną tatarczaną, dalej zaś wyższego stanu i majętniejszych rodziców dzieciom dawano rosołki z kurcząt, kaszę z mlekiem lub inne jakieś lekkie potrawki." [54] Zupełnie proste matki z pospólstwa miejskiego dawały swym dzieciom od razu potrawy dorosłych, a nawet gorzałkę. Wśród różnych potraw, wymienianych w jadłospisie chorych w szpitalach, o stosowaniu diety świadczy podawanie po 1793 r. u Św. Łazarza krupników, kleików, gotowanej cielęciny i zarazem wydzielanie tylko po pół porcji dziennie posiłku. Dietę zalecali także felczerzy, jak wynika choćby ze skargi anonimowego poety podczas Wielkiejnocy:

Kiedy cała Warszawa wielbi dzień wesoły,
Kiedy radość wykrzyka bogaty i goły,
Kiedy smutek i troski Alleluja truje,
Kiedy biedny niewolnik w więzach ulgę czuje,
Kiedy młodzi i starzy wzajemnie weseli,
Kiedy chłopiec z dziewczyną na pół jajko dzieli,
Kiedy w prawą i w lewą, w każdą wreszcie stronę
Ścinają wódkę, szynkę, kiełbaski święcone,
Ja, chory z łaski kobiet, miasto jaj i szynki
Jem proszki, chinę, konfekt, manny, kalabrynki.
Patrzę z boku, gdy mi się kiełbasa nadyma,
Prosię zęby wyszczerza i chrzan w pysku trzyma,
Chciałbym kąsnąć przynajmniej przez drugie, przez trzecie,
Lecz felczer grozi śmiercią, a miło żyć przecie.
Muszę więc łykać ślinę, paść żądze oczami.
Niech bies porwie kobiety razem z felczerami! [55]

[54] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, s. 67.
[55] *Poezja polskiego Oświecenia*, s. 222.

Ogromne zainteresowanie zagadnieniami diety okazał pod koniec życia Stanisław Trembecki, gdy zaczął mu już dokuczać przeciążony żołądek. W ten sposób powstał traktat o pokarmach „najlepszych", „dobrych mniej", „bardzo podejrzanych" i wręcz „szkodliwych". Podział ten krzyżuje zabawnie rozsądne zalecenia dietetyczne z gustami poety-smakosza. Do pokarmów najlepszych należała np. wołowina, baranina, kapłony, pulardy, indyki, najlepsze gatunki dziczyzny w postaci zwierzyny i ptactwa; z ryb: jesiotr, okoń i pstrąg; dalej żółtka kurze, potrawy z mąki pszennej i ryżu, ulubione przez poetę raki rzeczne, migdały, kakao, ananasy, poziomki, selery, szparagi, szpinak, czosnek i cebula. Do mniej dobrych potraw została zaliczona cielęcina, flaki i mózg, kury, niektóre gatunki ptactwa dzikiego i ryb, zwykłe jarzyny i gorsze owoce. Do potraw „bardzo podejrzanych" zalicza Trembecki np. kawior, łososia i inne ryby rzeczne, agrest, mleko zsiadłe, białka kurze, oliwę, rydze, miód, jabłecznik, kawę, herbatę i wino. Do najszkodliwszych należeć ma np. wieprzowina, wszelkie tłuszcze poza masłem, wędliny, marynaty, ryby solone, węgorze, łupiny z grochu, sery gnojone, ogórki, melony, kawony, gorzałka i piwo.[56]

Wiadomości o diecie nie były jeszcze zbyt wyczerpujące w okresie Oświecenia. Znacznie gorzej przedstawiała się jednak sprawa higieny przyrządzania i spożywania posiłków. Pomimo licznych dość zaleceń co do czystości kucharzy sprawa ta przedstawiała się źle nawet w najbogatszych domach. Wielu czynności pomocniczych wymagano od najniższych kategorii służby, stróżów czy dziewek kuchennych, ubranych w łachmany i nie myjących się nigdy. Często używano do gotowania miedzianych lub żelaznych naczyń, co mogło powodować zatrucia. Fatalnie przedstawiała się sprawa przechowywania produktów, które psuły się często w braku chłodni i nie nadawały się do spożycia bez doprawienia ich ogromną ilością ostrych przypraw. Świeże mięso i ryby podawano tylko na najzamożniejszych stołach. Powszechne było spożywanie mięsa marynowanego, wędzonego czy solonego, a niestaranne wykonanie tej czynności powodowało nieraz masowe zatrucia pokarmowe. Podobnie przedstawiała się sprawa przetworów z łatwo psującego się mleka. Zarazem jednak żołądki ówczesnych mieszkańców Warszawy były znacznie lepiej przystosowane do spożywania nierównomiernych ilości pokarmów, okresowego głodzenia się lub przejadania przy świątecznych okazjach. Trawienie ciężkich posiłków ułatwiał także ich sposób przyrządzania: kwaśność, ostrość i słoność, a także spożywanie alkoholu, który w mniejszych dawkach posiadał pewne własności bakteriobójcze.[57]

Samo podawanie potraw było niehigieniczne nawet na magnackich stołach. Za Sasów przy wszelkich ucztach nie dawano sztućców. Jerzy Mniszech twierdził, że jego ojciec „pierwszy za Augusta II wprowadził łyżki, noże, grabki i serwety do stołu, bo przedtem każdy obywatel nosił za pasem w pokrowcu łyżkę, nóż i widelec".[58] Tylko na początku stołu dla najdostojniejszych gości podawano talerze fajansowe czy porcelanowe i łyżki srebrne, a nawet pozłacane. „Po końcach zaś [stołów], do których tłoczył się, kto chciał i kto się mógł zmieścić, dawano łyżki

[56] St. Trembecki, *Pokarmy* (*Pisma wszystkie*, Warszawa 1953, t. II, s. 200—211).
[57] Z. Kuchowicz, *Wpływ odżywiania na stan zdrowotny społeczeństwa polskiego w XVIII wieku.*
[58] A. Moszczeński, *Pamiętnik do historyi polskiej w ostatnich latach panowania Augusta III i pierwszych Stanisława Poniatowskiego*, Warszawa 1907, s. 87.

blaszane lub cynowe i talerze takież." Gdy zaś ktoś zapomniał własnej łyżki, nie wahał się nawet używać drewnianej czy pożyczyć u sąsiada. „Albo zrobił sobie łyżkę ze skórki chlebowej, zatknąwszy ją na nóż, co nie było poczytane za żadne prostactwo w wieku, wykwintnością francuską nie bardzo jeszcze zarażonym, czyli też nie wypolerowanym." Talerzy też nie zmieniano i pito przeważnie kolejno z jednego puchara. „Jak zaś nastały kielichy szklanne i kieliszki, nastała zarazem i obrzydliwość cudzej gęby." Coraz rzadziej także się zdarzało, żeby „komu aż po dziurki (jak mówią) pełnemu, nagle gardło puściło i postrzelił jak z sikawki naprzeciw siebie znajdującą się osobę, czasem damę po twarzy i gorsie oblał tym pachnącym spirytusem, co bynajmniej nie psuło dobrej kompanii".[59] Później starano się raczej zwracać nadmiar napoju poza salą jadalną.

Niezbyt dobrze przedstawiała się także sprawa serwet i czystości naczyń stołowych. „Ojciec obecnego wojewody wileńskiego Radziwiłła, żyjący w niebywałym przepychu, zauważył, że talerz, który podawał jednej z dam, nie był czysty, wyciągnął więc ze spodni rąbek koszuli i wytarł nim talerz, po czym z całą powagą postawił go przed sąsiadką." Jeden z Sapiehów nie pozwalał myć srebrnych naczyń, aby nie straciły na wadze.[60] Czystość obrusów i serwetek pozostawiała także zwykle wiele do życzenia.

Jeśli w ten sposób wyglądał stan higieny przyrządzania i podawania posiłków w magnackich domach, łatwo można sobie wyobrazić, jak przedstawiała się ta sprawa w tanich garkuchniach i przy zbiorowym żywieniu robotników. Przytaczaliśmy skargi pracowników manufaktury Rehana na niebielone kotły. Wszędzie posługiwano się najczęściej drewnianymi, rzadziej cynowymi talerzami i sztućcami, co w pierwszym zwłaszcza wypadku uniemożliwiało staranniejsze ich oczyszczenie. Schludność w domach mieszczańskich zależała w większym stopniu od zamiłowań gospodyni, jednakże poziom higieny pożywienia wiązał się z ogólnymi pod tym względem wymogami tego okresu, bez porównania niższymi od naszych.

[59] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, s. 429—453.

[60] H. Vautrin, *Obserwator w Polsce* (*Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców*, t. I, s. 774—775). Pamiętnikarz dał wyjątkowo złośliwy obraz Polski, ale przytoczone fakty nie są bynajmniej nieprawdopodobne.

PRODUKCJA I HANDEL

Warsztaty sławetnych mistrzów

Interesować nas tutaj będzie tylko „prawdziwa praca", a więc praca fizyczna o różnym stopniu przygotowania zawodowego: wytwórczość rzemieślnicza i manufakturowa, a także handel i usługi miejskie. W następnych rozdziałach zajmiemy się działalnością uczonych i artystów, nauczycieli i urzędników. Rozpoczniemy od odtworzenia biegu pracy w kilku warsztatach cechowych Starego i Nowego Miasta w końcu XVIII w.

Właśnie na Piwnej widać nad drzwiami warsztatu znak krawiecki, czyli otwarte nożyce. Jest to zatem pracownia jednego z kilkuset warszawskich krawców. Został on już „mistrzem zupełnym" po uregulowaniu wszystkich opłat cechowych i uzyskaniu prawa miejskiego. Znak ten wyróżniał go zarazem od innych krawców mieszkających w tym samym domu. Interesujący nas warsztat wykonuje zamówienia na „robotę polską, czyli usarską", nie szyje natomiast ani męskich strojów zagranicznych, ani „białogłowskich" sukien, okryć i gorsetów. Pracownia krawiecka to niewielka i źle oświetlona izba z wejściem wprost od ulicy. Dolatują do niej smakowite zapachy potraw z kuchni majstrowej. Narzędzia krawieckie nie zajmują zbyt wiele miejsca. Duży stół służy do krojenia odzieży, na mniejszym terminator prasuje ukończony kontusz podgrzewając „duszę" od żelazka w piecu kuchennym majstrowej. Na paru półkach leżą sztuki przyniesionych przez klientów tkanin. W szufladach stołu pomieściły się nici, igły, naparstki, wielkie i małe nożyce: „paryskie, lepsze i ordynaryjne" i „szwejce do przebijania dziurków", leżą tam także taśmy z podziałką do brania miary.

Właściciel warsztatu zajęty jest właśnie braniem miary na kontusz z tęgiego szlachcica, który przyjechał do Warszawy na Sejm. Sprawia on sobie także porządne portki z takiegoż pąsowego sukna jak i kontusz, grodeturowy żupan perłowy i wierzch do bekieszy podbitej wilkami. Zamówienie to ożywi niewielki warsztat. Trzeba jednak pilnie targować się z klientem, gdyż „taksy roboty krawieckiej" z 1769 roku dawno okazały się zbyt niskie, a zarazem sukna będzie skąpo i trzeba dość się nabiedzić przy kroju. Cały kontusz musi być podszyty jedwabiem i szczególnie starannie wykończony przy wylotach odrzucanych na plecy rękawów. Za ten trud można wziąć tylko 10 złp., za spodnie — 3, a za bekieszę — 6. Nie może braknąć drogiego perłowego grodeturu na żupan i podszewkę, gdyż klient pochodzi z Korony i nie pozwoli „sfałszować" pleców wstawką ze zwykłego płótna. Pozwoliłby na to oszczędniejszy Litwin. Wreszcie dobito targu i można rozpocząć szycie.

Majster to jeszcze dość młody człowiek. Jako czeladnik ożenił się z wdową po mistrzu i w ten sposób doszedł szybciej do posiadania własnego warsztatu. Mógł on także wykręcić się opłatą od wykonania części „sztuk mistrzowskich", które od dawna wyszły z mody, jak „deki gończe" czy różne ubiory duchownych. I tak musiał uszyć szereg „sztuk usarskich": kontuszy i żupanów, szub, delii i bekiesz, robdeszanów, czyli szlafroków męskich, oraz liberii i mundurów wojskowych: „Para

sukien z sukna ordynaryjnego dla stangreta lub forysia, spodnie z sukna francuskiego albo ordynaryjnego, albo adamaszku lub innej materyji, szarawary z sukna francuskiego lub ordynaryjnego z dziurkami zapinanymi od góry do dołu lub z karwaszami [podszyciami skórzanymi], liberyja hajducka ze spodniami do ciżmów z sukna francuskiego lub ordynaryjnego, turecki kaftan, [...] — pajucka zwierzchnia suknia, [...] janczarski ubiór oficerski".[1] Przepisy te nie uwzględniały szybkich zmian mody będących utrapieniem większości krawców. Raz należało szyć kontusze i żupany wąskie i długie aż do ziemi, to znowu szerokie i krótkie po kolana, rozmaicie kroić plecy, kołnierz i rękawy. Oszczędni mieszczanie najczęściej przynosili stare ubiory do przeróbek.

Trzeba podzielić zamówienie pomiędzy czeladnika i terminatora, samemu skroiwszy kontusz i bekieszę. Nie wolno pozszywać przyniesionych wilczych skórek, gdyż to rzecz kuśnierza i władze cechowe surowo przestrzegają podziału kompetencji poszczególnych fachowców. Jedyny czeladnik krzywi się przyjmując robotę wymagającą żmudnego sztukowania. Niewiele młodszy od swego pracodawcy, małe ma szanse na założenie własnego warsztatu i ożenek. Wspomniany warsztat omijają młodsi czeladnicy ze względu na skąpstwo majstrowej zarówno przy wydzielaniu pożywienia, jak i świadczeń co do higieny osobistej („chędożenie pościeli" raz na „sześć niedziel", dwa razy w tygodniu ług do mycia głowy i zapłacenie wstępu do łaźni dwa razy w miesiącu). Majster płaci skąpo od sztuki ubioru, a pracuje się do piętnastu godzin dziennie. Jedyna przyjemność to przyodzianie się w nowy kontusz i żupan i udanie się w niedzielę do gospody. Zabawa i pijatyka przeciągały się nieraz do poniedziałku. Czeladź krawiecka w Warszawie miała opinię burzliwej i awanturniczej. Jeden z majstrów skarżył się w 1787 roku: „u mnie także bywała czeladź niesforna, że nie tylko przez jedną noc, ale i przez czternaście nocow nie ma ich w domu". Największą awanturę wywołało pobicie w 1777 roku w kordegardzie zapóźnionego po godzinie 10 wieczór czeladnika Niemca, którego zaaresztował instygator marszałkowski. Oburzona czeladź niemiecka rzuciła pracę we wszystkich warsztatach. „Wszyscy zbuntowani samą tylko pijatyką po całych nocach bawili się, nieustannie krzyczeli, szklanki oknami na ulicę wyrzucali, okna tłukli; za kapelą w nocy po ulicach chodzili." [2] Z obawy, aby czeladnicy nie opuścili miasta, mistrzowie musieli pójść na ustępstwa.

Dwunastoletni terminator pracuje w tym warsztacie dopiero rok, jego starszy kolega został wyzwolony i udał się na wędrówkę nie chcąc wracać do swego majstra. Nauczył się on w ciągu tego roku szyć drobnymi i równymi ściegami i łączyć sztukowane części ubioru, robić dziurki, obrębiać i prasować. Przyglądał się także braniu miary i utrzymywał w porządku drobne narzędzia i nici. Nie dopuszczano go do kroju i trudniejszych czynności, gdyż musi on i tak służyć jeszcze trzy lata, nie licząc miesiąca próbnego. Do niego należy bieganie po zakupy dla majstrowej, rąbanie drzewa, palenie w piecach i pod kuchnią, sprzątanie warsztatu i sieni, bawienie dzieci. Najmilszym z obowiązków tego chłopca było odnoszenie goto-

[1] W. Wojciechowska, *Cech krawiecki Starej Warszawy w XVIII stuleciu*, Warszawa 1931, s. 105—108; I. Turnau, *Wytwórczość tesktylno-odzieżowa w manufakturach warszawskich w XVIII wieku*, „Przegląd Historyczny", t. XLVIII, 1957, nr 4; I. Turnau, *Odzież mieszczaństwa warszawskiego w XVIII wieku*, Wrocław 1967, s. 77—84.

[2] J. St. Bystroń, *Warszawa*, Warszawa b. r. (po 1945), s. 109.

wych ubiorów zamożniejszym klientom. Można było zobaczyć różne dziwy na ruchliwych ulicach Warszawy, a zadowolony szlachcic dał czasem parę groszy. Od majstra otrzymywał terminator jedynie wikt i najkonieczniejszą odzież, buty i fartuch roboczy. Sukienny przyodziewek należało sobie wysłużyć czterema latami terminu.

W tej samej kamienicy pracuje także krawiec szyjący krótsze suknie niemieckie. W sąsiedniej szyje się „stroje białogłowskie". Zajeżdżają tam czasem karety eleganckich dam zamawiających modne suknie. Starsze damy noszą jeszcze ciężkie, kwieciste suknie jedwabne ze spódnicami rozłożonymi na szerokich rogówkach. Młodsze używają takich sukni tylko na galowe przyjęcia. Żądają poza tym lekkich sukien z zagranicznych, drukowanych w drobne kwiatki perkali, luźnych lub dopasowanych na wzór ubioru męskiego. Niejeden ze starszych krawców żałował dawnych dobrych czasów, kiedy to moda zmieniała się rzadziej, wnuczki donaszały suknie babek i nie było żurnali z nowinkami paryskimi.

Szewcy warszawscy — a było ponad sześćset warsztatów w mieście — cieszyli się w całej Polsce zasłużoną sławą, zwłaszcza gdy szło o wyrób modnego w okresie Oświecenia damskiego obuwia tekstylnego: „niezmiernie profitowali na tym towarze, który z tego miasta rozchodził się po całym kraju; i choć po innych miastach robiono takież trzewiki, nie miały jednak takiego szacunku jak warszawskie; co większa, z ręki tego samego szewca, który w Warszawie robił bardzo gustowne trzewiki, już się nie wydawały takie, skoro się przeniósł do innego miasta. Mężowie dla żon, ojcowie dla córek, kawalerowie dla dam wyprowadzali takie trzewiki tuzinami i kopami; w prezentach nawet przedślubnych niepoślednie trzymał miejsce warszawski trzewik".[3] Nie chcemy jednak pisać o najmodniejszych szewcach warszawskich, do których przed rokiem 1780 należeli dwaj bracia Mendle, Anglicy, Niemiec — Rauch i Polak — Kwiatkowski, w ostatnim zaś okresie Jan Kiliński. W całej Warszawie istniały aż cztery cechy szewskie: w Starej i Nowej Warszawie, oraz od 1752 r. na Pradze i od 1780 r. na Skaryszewie. Jednakże najstarszy cech szewców staromiejskich przestrzegał swych monopoli na wykonywanie obuwia wyższej jakości. Już od 1649 roku wychodziły zakazy: „aby od tych czas szewcy Nowego Miasta Warszawy, wedle zwyczaju i dawnych praw, safianu tak żółtego, jako i kurdybanu nie robili nie przeszkadzając niczym prawa cechu szewckiego Starej Warszawy".[4] Oznaczało to, że szewcy miasta Nowej Warszawy także robili delikatniejsze obuwie z barwnych skór i najstarszy cech szewców bał się stracić szlacheckiego klienta, pozostawiając swym konkurentom zaopatrywanie w obuwie uboższych mieszczan. Największy cech szewców staromiejskich dzielił się na rzemieślników szyjących wysokie buty szlacheckie z żółtej, czerwonej, rzadziej czarnej skóry i na nieliczną grupę wykonawców trzewików „niemiecką robotą" z delikatniejszej skóry i staranniej dopasowanych.

Warsztaty mniej zamożnych szewców staromiejskich skupiały się przy ulicach Ślepej, Dunajskiej czy Mostowej. A oto jeden z nich. Mieścił się on w niezbyt dobrze oświetlonej, ale dość obszernej izbie, do której przylegała komórka, gdzie przechowywano nabywane od garbarzy skóry. Były wśród nich safiany, juchty, cie-

[3] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, s. 514.

[4] A. Magier, *Estetyka miasta stołecznego Warszawy*, s. 134; cytat: J. S. Lewiński, *Szewcy warszawscy*, Warszawa 1908, s. 3—6.

lęce, woskowane skóry bukatowe, czarne kozłowe. Rozróżniano je także podług sposobu wyprawienia na litewskie, praskie czy „węgierskiej wyprawy", co określało ich jakość i cenę. Cały warsztat przesycony był ostrym zapachem świeżej skóry. Przy dwóch jego oknach ustawiono po dwa stoły z niskimi zydlami. Na półkach i w szufladach stołów pomieszczono liczne drobne narzędzia szewskie, służące do przykrawania skóry i strugania drewnianych obcasów. Można wśród nich rozpoznać: noże, piłki, cęgi, cążki czy obcęgi, młotki, krawacze czy krawalniki i raszple — stalowe pilniki o trójkątnych nacięciach. Widać także „deski do przykrawania skóry", półokrągłe noże i specjalne miedziane formy. Wykrojoną skórę na obuwie zszywano szydłami czy igłami przepychając dratwę szewską, czyli mocną nić lnianą lub konopną nasyconą smołą i nawoskowaną. Grube podeszwy tańszego obuwia zbijano ćwieczkami, a nawet gwoździami. Uszyte obuwie wykańczano na jednym z kilkudziesięciu kopyt. Służyły one do formowania różnych numerów obuwia męskiego, białogłowskiego czy dziecinnego. Nie zawsze były one starannie wystrugane. Władze cechowe oglądały je przy inspekcjach i znajdowały czasem takie, które nie nadawały się „do roboty, tylko do przystrugania na małe kopytka". Gotowe obuwie umieszczano na odpowiednich prawidłach, starannie woskowano i czyszczono szczotką. Pociągiel, czyli pasek skórzany, służył do przytrzymywania roboty, a także do bicia krnąbrnych czy leniwych terminatorów. W naszym warsztacie szyto również pantofelki kobiece z różnych gatunków tkanin: barwnego grubego sukna, półwełnianego kamlotu, szarszedronu czy gryzetki oraz atłasu i innych tkanin jedwabnych. Szycie tych pantofli wymagało zwykłych, mocnych nici, a jedynie do skórzanej podeszwy przymocowywano je dratwą, wyścielając w środku płótnem i obszywając tasiemkami lub wstążkami.

Nauczenie się szycia tak różnych rodzajów obuwia wymagało dużej pilności młodego terminatora. Musiał on starannie brać miarę, wymierzyć skórę przeznaczoną na cholewy, przody, sztuczki i podeszwy oraz dobrać odpowiednie jej gatunki. Potem należało obuwie skroić i troskliwie przechować komplet przeznaczonych do szycia każdej pary kawałków, a pozostałe ścinki skóry wykorzystywać na obcasy i różne wklejki i sztukowania. Do szycia buta trzeba było dobrać odpowiednią dratwę i używać właściwych ściegów. Na zakończenie pracy należało przymocować obcasy rzemienne lub u kobiet drewniane korki, następnie but czy pantofel powinien schnąć na tym samym kopycie, na którym był szyty. Terminator nie od razu wykonywał całe obuwie. Majster pokazywał mu sposób krajania skóry, nakazywał jej szycie i woskowanie gotowego obuwia, poza tym zaś wymagał biegania na posyłki majstrowej. Największą przyjemnością kilkunastogodzinnego dnia pracy było wyrwanie się na miasto po surowiec. Na ulicach Warszawy uważni malarze dostrzegli „młodych szewczyków", chętnie biorących udział we wszystkich zbiegowiskach ulicznych. Na rysunku Norblina „dwom szewczykom" bose nogi wystają z kusych nogawek poszarpanych spodni. Majster sprawił im skórzany fartuch, który chronił lichy przyodziewek od tarcia obcasem twardych butów. Reszta przyodziewku to gruba koszula i płócienne także spodnie.

Przy jednym z okien warsztatu pilnie pracują dwaj młodzi czeladnicy. Każdy z nich musi wykonać tygodniowo około ośmiu par różnego rodzaju obuwia, a więc ponad parę dziennie. Bywały oczywiście zamówienia bardziej i mniej pracochłonne, norma ta wymagała jednak pilnej pracy i najłatwiej było ją wykonać szyjąc

duże ilości damskiego obuwia tekstylnego. Nie zajęty właśnie terminator wykonywał ewentualnie część drobnych czynności przygotowawczych i pomocniczych. Zapewne, tak jak w Poznaniu, dopiero przekroczenie normy pozwalało na uzyskanie stałej tygodniowej płacy: „jeżeli zrobi cztery pary na tydzień, to płaca zależy od woli majstra, jeżeli mniej, to otrzymuje tylko wikt bez zapłaty".[5]

Sam majster zajęty był przez część dnia obsługiwaniem klientów i braniem miary, jednakże resztę czasu spędzał on także na swym stołku pilnując czeladników i wykonując sam wiele zamówień. Były wśród nich zamówienia przyjezdnej szlachty: „buty z czerwonej kajsarskiej i żółtej skóry", zamówienia obuwia liberyjnego: „para butów lokajskich juchtowych z czarnej, zdobnej, wyprawnej, szlichtowanej skóry" czy „ciżmy hajduckie z skóry woskowanej". Jeden z dostojnych rajców zamówił „parę trzewików niemieckich z cielęcej, pięknej, szlichtowanej skóry, robotą przednią, z stębnowaniem podwójnym korków, z podeszwami wywracanymi". Można było także zrobić gorsze obuwie o podobnym wyglądzie: „ze skóry sakowej, robotą śrzednią, z jedną stębnówką". Tego rodzaju zamówienie należało właściwie oddać do majstra zajętego „robotą niemiecką", jednakże nie zawsze przestrzegano ściśle tej specjalizacji i niejednemu uszło wykonanie takiego zamówienia. Wyrabiano także różne rodzaje obuwia dziecinnego. Poważną troskę właściciela warsztatu szewskiego stanowiło uzyskanie odpowiedniej ilości i jakości skór. Produkcja miejscowych garbarzy nie była wystarczająca, zwłaszcza w początkach okresu Oświecenia, a dowóz zwykle niestały i poziom wyprawy skór nie zawsze należyty. Konkurencję tworzyły przy tym inne cechy skórników: rękawicznicy, którzy wyodrębnili się w Warszawie z cechu kuśnierzy w 1727 r. po ponad dziesięcioletnich staraniach. Wyrabiali oni różnorodne przedmioty skórzane: zamszowe i futrzane rękawice, kaftany, spodnie i kurtki myśliwskie, woreczki i trzosy, szelki i oprawy książek. Grubsze skóry skupywali rymarze i siodlarze. Wobec trudności przy nabywaniu odpowiedniej liczby wyprawionych skór część warsztatów szewskich garbowała także skóry na własny użytek.

Warsztaty cechowe różnych branż rzemiosł metalowych miały szczególne znaczenie dla rozwoju miasta. Ważnym rzemiosłem usługowym było ślusarstwo powiązane w jeden cech z puszkarzami, wyrabiającymi działa i broń palną. W 1792 roku dziewięciu ślusarzy pracowało na Nowym Mieście, a tylko pięciu na Starym. Trzeba pamiętać zarazem, że oprócz ślusarzy obróbką różnych metali trudnili się także blacharze, kotlarze, kowale, puszkarze, parasolnicy, gwoździarze, mosiężnicy, konwisarze, ludwisarze, lampiarze, szpadnicy, mieczownicy, nożownicy i mechanicy, poza najbardziej patrycjuszowskimi zawodami jubilerów, złotników i zegarmistrzów, zamieszkałych na Świętojańskiej, Nowomiejskiej i Krzywym Kole.[6]

Postarajmy wyobrazić sobie lepiej jeden z warsztatów ślusarskich, ulokowany na bocznej uliczce Nowego Miasta. Ślusarze wykonywali wiele robót niezbędnych zarówno w nowych domach stale rozbudowującej się Warszawy, jak w każdym gospodarstwie. Znaczna specjalizacja cechowa sprowadzała na nich spory kompe-

[5] Z. Zaleski, *Cech szewski w Poznaniu*, Poznań 1922, s. 83; J. S. Lewiński, *op. cit.*; ogólna charakterystyka: I. Turnau, *Odzież mieszczaństwa warszawskiego w XVIII wieku*, s. 88—98.

[6] B. Grochulska, *Statystyka ludnościowa Warszawy w drugiej połowie XVIII wieku*, „Przegląd Historyczny", t. XLV, 1954, z. 4; J. Rakowski, Z. A. Wójcik, *Ludność Nowej Warszawy u schyłku Oświecenia*, „Przegląd Historyczny", t. XLIX, 1958, z. 2.

tencyjne ze stolarzami, którzy odbierali im zamówienia, sami wyrabiając okucia do skrzyń. Warsztat ślusarski mieścił się w jeszcze mniejszej i gorzej oświetlonej izbie aniżeli pracownie krawiecka i szewska. Przechowywano w nim liczne narzędzia, ale większość zamówień wykonywano w domach klientów. Młody terminator pracował u majstra trzy miesiące na próbę, po czym, zarejestrowany w cechu, przez trzy lata uczył się rzemiosła i po wyzwoleniu na czeladnika musiał jeszcze cały rok służyć w mistrzowskim warsztacie jako „robieniec", zanim udał się na czteroletnią wędrówkę po kraju, podczas której pracował u różnych mistrzów cechowych i pilnie podpatrywał ich sekrety wytwórcze. Po powrocie do Warszawy powinien pracować jako czeladnik jeszcze rok i „sześć niedziel". Nawet jednak po tak długiej nauce rzemiosła trudno było niezamożnemu czeladnikowi dojść do własnego warsztatu i do uzyskania samodzielności mistrzowskiej. Podczas terminowania zarabiał on jedynie na utrzymanie i najskromniejszą odzież. Po wyzwolinach jako „robieniec" otrzymywał także bardzo skromną zapłatę, a zarobki pełnoprawnego już czeladnika również nie pozwalały na poważniejsze oszczędności. Gdy jednak czeladnik zdobył wreszcie odpowiednie umiejętności zawodowe i pewną kwotę pieniędzy, musiał wykonać „majstersztyk", którego staranne wykończenie wraz z uzyskaniem pozytywnej oceny grona mistrzów cechowych ciągnęło się do trzech kwartałów. Awans ten wydatnie przyśpieszyć mogło małżeństwo z córką lub wdową po którymś z mistrzów tego samego cechu. Także synowie mistrzowscy unikali przeważnie sprawdzenia swych umiejętności zawodowych i wydatków na biesiadę, którą wkupywano się do grona mistrzowskiego.

Właściciel omawianego warsztatu ślusarskiego pozostawał jeszcze młodszym mistrzem, zobowiązanym do wykonywania różnych, nieraz uciążliwych zleceń starszych cechu ślusarskiego. Nie zdołał się on w pełni „wypłacić" cechowi, nie uzyskał więc jeszcze prawa miejskiego. W gorszej sytuacji byli jego koledzy, ubodzy ślusarze, których nazywano „mistrzami kwartalnymi", ponieważ za prawo wykonywania swego rzemiosła musieli co kwartał wnosić stałe opłaty do cechu. Punktualności przekazywania tych opłat pilnowali „starsi cechowi", czyli pochodzące z wyboru władze cechu ślusarskiego. Funkcję taką mogli pełnić jedynie mistrzowie posiadający prawo miejskie. Do 1774 roku sprawowali oni bezinteresownie swe uciążliwe nieraz i czasochłonne funkcje organizacyjne, mając jedynie pierwszeństwo w przyjmowaniu dobrych czeladników do swych warsztatów. Od tej daty przeznaczono dla nich opłatę za wpis i wyzwoliny terminatorów.[7]

Znaczenie cechów metalowych, przede wszystkim zaś tych, które mogły produkować broń czy różne pomocnicze wyposażenie wojskowe, wzrosło znacznie w okresie reform Sejmu Czteroletniego, a podstawowe znaczenie miały one podczas Insurekcji. Niektórzy członkowie tych cechów byli czynnymi uczestnikami walki o prawa miejskie. Warto wspomnieć tu o kowalu Janie Mariańskim, zamieszkałym przy ul. Krzywe Koło pod numerem 196. W końcu 1789 lub w początkach 1790 roku ofiarował on Rzeczypospolitej dwa wozy wojenne. Dar ten wywołał pompatyczny wiersz Michała Mackiewicza *Do Jana Mariańskiego kowala z okazji darowanych przez niego dwóch wozów dla wojska Rzeczypospolitej* z mottem: „I ubodzy wspierają bogaczy." Pochwała została napisana w typowej formie klasycystycznej:

[7] K. Duda-Dziewierz, *Dzieje cechu ślusarsko-puszkarskiego miasta stołecznego Warszawy*, Warszawa 1935.

Witam cię, Maryjański, Wulkanowe plemię!
Co dłonią silnej ręki dźwigasz młota brzemię,
Co w wojnie i w pokoju dla kraju przysługi
Kształcisz z kruszcu twardego oręże i pługi.[8]

W okresie koniunktury szybko wzrastała liczba warsztatów rzemiosła zbrojeniowego. Jeszcze w 1789 było w Warszawie tylko 60 warsztatów puszkarskich, których produkcja nie przekraczała 1000 sztuk broni na miesiąc.[9] W okresie Insurekcji cech ślusarsko-puszkarski liczył już 83 majstrów, a przedmioty metalowe wyrabiały 282 warsztaty zatrudniające nieraz dość dużą ilość czeladzi. Wiele zakładów mosiężniczych, kowalskich czy ślusarskich przestawiło się wyłącznie na produkcję broni. Ludwisarze, konwisarze i puszkarze dzielnie zaopatrywali obrońców Warszawy w broń palną. Część z tych warsztatów przybrała już rozmiary zakładów określanych jako manufaktury. Znacznie rozszerzył swój warsztat wspominany już kowal Jan Mariański, który przeniósł go na ul. Świętojerską nr 1771. Zatrudniał on u siebie 29 mężczyzn i 8 kobiet, a także osobnego pisarza, Ignacego Grotyńskiego.[10]

Zbiór profesyji i miejsc sposobnych na fabryki wojenne ukazuje wyraźnie ogromną centralizację rzemiosła zbrojeniowego w powstańczej Warszawie w lecie 1794 r. W zabudowaniach szpitala Św. Ducha przy koszarach Gwardii Pieszej Koronnej na Faworach mieściły się zakłady zbrojeniowe. Pracowali tam puszkarze, ślusarze, kowale, zegarmistrze, snycerze, kreślarze, tokarze, organmistrze. W dwóch ludwisarniach, poza samymi ludwisarzami, zatrudniano także kotlarzy, konwisarzy, mosiężników, złotników, szejdarzy (czyli rzemieślników rozdzielających złoto i srebro ze stopów) i szczotkarzy. W zabudowaniach szpitala Św. Ducha na Faworach pracowali również przy wyrobie pałaszy, bagnetów, pik, muszkietów i ostróg warszawskich miecznicy, szpadnicy, nożownicy, blacharze, szlifierze, druciarze, gwoździarze i szpormacherzy, czyli ostrogarze. Do wyrabiania prochu w młynie pólkowskim użyto chemików, aptekarzy, potażników, mydlarzy, hutników i młynarzy. W kilku klasztorach warszawskich skupiono wyrób ładunków i zatrudniono przy tej robocie puderników, fryzjerów, perukarzy, szlifierzy szkła i klejnotów, oraz innych rzemieślników, którzy nie mogli być użyci bezpośrednio przy przemyśle zbrojeniowym. Ważniejsze ośrodki przemysłu zbrojeniowego podczas Insurekcji skupiły się w różnych dzielnicach Warszawy — na Starym i Nowym Mieście, Nalewkach, Woli, Krakowskim Przedmieściu i Nowym Świecie.[11] Z zestawienia tego wynika jasno ogromny wysiłek władz powstańczych, idący w kierunku uzyskania jak najlepszego zaopatrzenia tworzącej się armii polskiej. Szybkie przekwalifikowanie wielu rzemieślników i majstrów, przyzwyczajonych do ścisłego rozgraniczenia kompetencji poszczególnych cechów, nie było na pewno łatwe i produkcja ta nie szła zbyt sprawnie. Jednakże podkreślić należy znaczny trud, jaki przedstawiciele cechów metalowych włożyli w tym okresie w dostarczanie broni i amunicji, a zarazem i fakt, iż wzięli oni udział w obronie miasta.

[8] *Poezja polskiego Oświecenia*, s. 339 i 471.

[9] T. Korzon, *Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta*, Warszawa 1897, t. II, s. 311.

[10] A. Berdecka, *Ożywienie gospodarcze i reformy okresu Oświecenia*, s. 87; *Z rontem marszałkowskim przez Warszawę*, s. 101—103; A. Zahorski, *Warszawa jako ośrodek polskiego przemysłu zbrojeniowego w powstaniu 1794 (Z bohaterskiej przeszłości Warszawy 1794—1864*, Warszawa 1961, s. 54—79).

[11] A. Zahorski, *Uzbrojenie i przemysł zbrojeniowy w powstaniu Kościuszkowskim*, Warszawa 1957, s. 30—37 i 302.

Do najzamożniejszych rzemieślników warszawskich należeli jubilerzy, złotnicy i zegarmistrze, których w 1792 r. było czternastu. Skupiali się oni na Starym Mieście. Wśród zegarmistrzów najbardziej charakterystyczna była postać Franciszka Gugenmusa, który wyspecjalizował się w produkcji luksusowych zegarów i małych zegarków kieszonkowych i był stałym dostawcą Stanisława Augusta. Mieszkał on na Świętojańskiej pod numerem 27. Gdy był już w starszym wieku, zachował się we wspomnieniach współczesnych przede wszystkim jako dostawca nowin politycznych, „chodząca gazeta", sympatyk Insurekcji i gorący patriota. „Niewielu pamięta oryginalny ubiór i ruchy tego zacnego i szanownego starca. Chodził we fraku, w krótkich spodniach, w trzewikach ze sprzączkami, w białych pończochach; na głowie miał upudrowaną perukę, z harcapem z tyłu; w ręku trójgraniasty kapelusz, którego nie używał do nakrycia głowy, lecz tylko do kłaniania się znajomym. Mimo późnego wieku chodził bardzo szybko." [12]

Konkurenci mistrzów cechowych

Warszawa stała się w okresie Oświecenia jednym z najpoważniejszych centrów wyrobów rzemieślniczych, znajdując odbiorców wśród rosnącej liczby miejscowej ludności i przyjezdnych, których nie było stać na towary zagraniczne. Nie od razu można było rozwinąć poważniejszą produkcję. Dopiero w latach 1740—1764 liczba rzemieślników warszawskich doszła do stanu z połowy XVII w., gdyż uprzednio byli oni zdziesiątkowani przez zarazę i wydarzenia wojenne z początków XVIII w. Rozkwit produkcji cechowej nastąpił w latach 1764—1780. Wśród najliczniejszych cechów wymienić należy rzemiosła budowlane, włókiennicze, skórzane i spożywcze. W tym czasie założono także w stolicy i jej najbliższych okolicach szereg manufaktur, były to jednak przedsięwzięcia krótkotrwałe o niewielkich rozmiarach produkcji i nie stanowiły jeszcze poważniejszej konkurencji dla miejscowych cechów. Wymienić tu można dla przykładu zakłady założone w latach 1766—1768 przez Kompanię Manufaktur Wełnianych. Jednakże w następnym okresie (1780—1794) rzemiosło warszawskie zaczynało coraz dotkliwiej odczuwać pomnażanie się różnego rodzaju konkurentów. Byli wśród nich zarówno „przeszkodnicy" czy „partacze", rzemieślnicy uprawiający swe rzemiosło poza cechem, pod opieką właścicieli jurydyk, czyli terenów nie objętych kompetencjami władz miejskich, jak i właściciele coraz liczniej powstających manufaktur mieszczańskich. „Przeszkodnicy" byli to często starsi, żonaci czeladnicy, którzy nie mogli zostać majstrami, oraz Żydzi, którzy nie mieli prawa stałego zamieszkania na terenie stolicy. Nie byli oni związani sztywną organizacją cechową i dawnymi nawykami pracy na zamówienie indywidualnego konsumenta z dostarczonego przez niego surowca. Dzięki temu umieli oni znacznie szybciej i sprawniej realizować zapotrzebowania na pewnego typu towary, wywołane czterokrotnym wzrostem ludności Warszawy w ciągu XVIII w. i ogromną ilością przyjezdnych. Umieli oni także, dla sprostania więk-

[12] K. W. Wójcicki, *Warszawa, jej życie umysłowe i ruch literacki w ciągu lat trzydziestu (od 1800—1830)*, Warszawa 1880, s. 5 — podaje podobną charakterystykę Gugenmusa co cytowany F. S. Dmochowski, *Wspomnienia od 1806—1830 roku*, Warszawa 1858.

szym zamówieniom, wykorzystywać pracę niewykwalifikowanych członków rodziny, co było surowo zakazywane przez władze cechowe i — zwłaszcza w rzemiośle żydowskim — potrafili też zastosować pewne proste formy podziału pracy, np. przy produkcji gotowej odzieży, tzw. tandety. Znacznie łatwiej było nauczyć niewykwalifikowanego robotnika jednego, prostego etapu produkcji aniżeli dać mu pełne przeszkolenie zawodowe.

Wyjątkowo giętkim i szybkim producentem byli rzemieślnicy żydowscy. Korzystając z możliwości swobodnego przebywania w Warszawie podczas obrad sejmowych osiedlili się oni w okresie Sejmu Czteroletniego w kilku punktach stolicy i rozwinęli ożywioną działalność produkcyjną, zwłaszcza w zakresie krawiectwa i kuśnierstwa. Nie udało się zwalczyć tej konkurencji zakazami administracyjnymi, a nawet pogromami, których dokonywali doprowadzeni do upadku gospodarczego rzemieślnicy cechowi. Znamy przybliżone rozmiary konkurencji żydowskiej w zakresie rzemiosła krawieckiego dzięki memoriałowi cechów z 1786 roku: „Liczba przeszło 600 krawców majstrów warszawskich zdaje się dostateczną być na potrzeby tej stolicy [...], ale onych nie doznaje się swobód względem Żydów. We dworku W. Uruskiego, przedtem Pałac Pociejowski zwany, mieszka najmniej 1800 Żydów z żonami i dziećmi, między którymi śmiało można liczyć 60 krawców, ogólnie zaś w Warszawie znajduje się więcej 200 krawców Żydów robiących publicznie." [13] Skargi te były najoczywiściej przesadzone, jednakże żydowska produkcja odzieży rozwijała się w stolicy w poważnym tempie i w 1792 r. „w wyrobie odzieży i pokrewnych zajęciach skupiało się ponad 82% wszystkich rzemieślników żydowskich, którzy podówczas mieszkali w Warszawie. Ponad 40% wszystkich rzemieślników żydowskich tworzyli krawcy, bardzo liczni byli też między nimi kuśnierze i czapnicy". Wszyscy ci producenci stanowili 25% rzemieślników branż odzieżowych stolicy, jakkolwiek liczba ich wynosiła tylko 8,3% wszystkich mieszkańców.[14]

Konkurencja rzemiosła żydowskiego była niezmiernie dotkliwa dla mistrzów cechowych ze względu na znaczne tempo produkcji i taniość siły roboczej. Wpływało to, oczywiście, na znaczne pogorszenie jakości usług, jednakże nie odgrywało wielkiej roli przy dużych zamówieniach magnackich na liberię dla służby czy przy szyciu wielkiej liczby mundurów wojskowych. Duże możliwości wytwórcze rzemiosła żydowskiego zaznaczyły się zwłaszcza przy wielkich zamówieniach wojskowych w gorące dni Insurekcji. Kilku krawców żydowskich podjęło się uszycia w ciągu kilku miesięcy po 1000—2000 sztuk kurtek, spodni i płaszczy dla wojska, a czapnicy przyjęli zamówienie na 5000—10 000 sztuk czapek.[15] Trudno sprawdzić, czy te ogromne, jak na owe czasy, zamówienia zdążono w całości wykonać. Należy sobie jednak zdawać sprawę z rosnącej potęgi tych traktowanych z pogardą rzemieślników z Pociejowa, pałacu Michała Ogińskiego przy ul. Rymarskiej, pałacu Tyszkiewicza na Krakowskim Przedmieściu, z ulic Senatorskiej, Długiej, Bielańskiej, Daniłowiczowskiej, Żabiej i innych nędznych ruder przedmieść Warszawy.

Ta ruchliwa konkurencja zniszczyła, w większym stopniu niż krawców, jedno

[13] AGAD, Warszawa Ekonomiczne nr 858.
[14] I. Schipper, *Dzieje handlu żydowskiego na ziemiach polskich*, Warszawa 1937, s. 323—324.
[15] E. Ringelblum, *Żydzi w powstaniu Kościuszkowskim*, Warszawa b. r., s. 78.

z najbardziej patrycjuszowskich rzemiosł stołecznych — kuśnierzy. Mieszkali oni przeważnie przy ul. Świętojańskiej, gdzie posiadali siedem sklepów z futrami. Ubożsi kuśnierze mieszkali na peryferiach Starego Miasta i na Nowym Mieście. Zawód ich wymagał wyprawiania skór surowych na futra, co nie wywoływało tak przykrych dla otoczenia zapachów, jak różne techniki garbarskiej przeróbki skór. W ciągu kilkuletniego terminowania uczono „kwaszenia" i wyprawiania wszelkiego rodzaju futer, od baranich do gronostajowych, i krajania spodów futrzanych zarówno z małych skórek popielic czy wiewiórek, jak dużych: wilczych, niedźwiedzich czy baranich, za pomocą specjalnych pergaminowych szablonów i miary wziętej z klienta. Kuśnierze warszawscy wiedli stałe spory z krawcami, którzy szyli pokrycia futer i wierzchy zimowych czapek. Świadectwem upadku tego rzemiosła może być: „Rewizja szklepów kuśmierskich miasta Starej Warszawy gatunków futer przednich i podłych, oraz wielości każdego gatunku osobno w sumie wyrażonym" przeprowadzona w 1784 r. Ukazuje ona zapasy futer siedmiu najbogatszych sklepów kuśnierskich z ulicy Świętojańskiej. Wylicza się w niej: lisy, popielice, barany, niedźwiedzie, susły, żbiki, tchórze, rysie, wilki, kuny, poza tym zaś futra „białe", zapewne królicze i zwykłe kożuchy baranie. Brakuje w tym wykazie wszelkiego rodzaju droższych futer importowanych z Rosji, jak np. soboli, gronostajów, szopów, a nawet lepszych gatunków futer krajowych. Te lepsze futra można było jednak nabyć w Warszawie bez najmniejszego trudu w sklepach kupców żydowskich, „którzy nie są kuśnierzami", mieszkających w kamienicy księcia Sułkowskiego, „za okopami jerozolimskimi". Wobec dobrej koniunktury gospodarczej na droższe futra rosyjskie, wobec licznie przybywającej do stolicy szlachty inicjatywę handlową przechwycili obrotniejsi kupcy żydowscy. W 1783 roku deklarowano, „że mieszczanie nie wystarczą futra na Warszawę, więc Żydom wolno się bawić handlem wszelkiego futra".[16] To pozwolenie było tak dobrze wykorzystane, że w 1792 r. na terenie Starej Warszawy pracowało tylko 14 kuśnierzy, na Nowym Mieście — 9, podczas gdy w całym mieście było aż 99 właścicieli większych warsztatów kuśnierskich, nie licząc ich uczniów i czeladników.

Podobnych trudności doświadczały wszystkie niemal cechy warszawskie. Niewiele pomagały liczne skargi, a nawet pogromy rzemieślników żydowskich. Silniejsze cechy podporządkowywały sobie część usamodzielnionych czeladników zmuszając ich, jako mistrzów „suchedniowych", do regularnych opłat na rzecz cechu, lub do chronienia się do jurydyk pod opiekę magnatów, czy wreszcie do uciekania się do serwitoriatów, czyli pozwoleń królewskich na wykonywanie zawodu. Władze cechowe rzadko wychodziły zwycięsko z walki z masą drobnych, ubogich konkurentów. Znacznie trudniej jeszcze było pokonać potężnych przedsiębiorców, właścicieli pierwszych scentralizowanych manufaktur. Zobaczmy na kilku przykładach, jak układały się stosunki między warszawskimi cechami a paroma wielkimi manufakturami.

Tomasz Michał Dangel, z pochodzenia Niemiec, po odbyciu w Londynie przeszkolenia w rzemiośle siodlarskim, stał się od 1768 r. potężnym konkurentem skromnego cechu warszawskich siodlarzy, liczącego w tym czasie siedmiu majstrów. Początkowo założył Dangel mały warsztat przy ul. Rymarskiej, jednakże rozrósł

[16] AGAD, Warszawa Ekonomiczne, nr 858.

się on stopniowo w jedną z największych stołecznych manufaktur, w której pracowało około 300 ludzi, a sam właściciel doczekał się nobilitacji w 1790 r. Organizacja pracy i wysoka jakość wyrobów tej manufaktury uderzała wszystkich obserwatorów: „Nastała przy ulicy Elektoralnej fabryka pojazdów angielskich przez pamiętnego Dangla założona, który [...] wsławił się w Warszawie — mięszkając jeszcze w małym dworku przy ulicy Rymarskiej — jak najkształtniej wyrobionym siodłem, dla ministra angielskiego Wihtworta [Whitwortha] zamówionym. Za opieką zaraz królewską i pierwszych panów wzniósł tenże Dangel swą fabrykę, zapasną w drzewo i należące do niej potrzeby, do tego stopnia, iż w niej po kilkadziesiąt pięknych pojazdów widzieć można było gotowych po piętrach nawet stojących, z których za pomocą przystawianych pomostów na dół je staczano." [17] Dużą ilość gotowych wyrobów zauważył u Dangla także inny pamiętnikarz: „w ogromnym domu i warsztatach swych [...] mieścił wszelkiego rodzaju rzemieślników potrzebnych do budowy powozów, stelmachów, kowalów, siodlarzy, lakierników, pasamaników, malarzy, ślusarzy itp. Ci pracując razem byli w stanie postawić powóz w nadzwyczaj, nie do wiary, krótkim czasie, jeśliby żądający nic sobie gotowego nie mógł wybrać, gdyż zawsze było dwadzieścia do trzydziestu ekwipażów na składzie".[18] Dangel umiał zastosować zasady manufakturowego podziału pracy, co zmuszało poszczególnych robotników do wykonywania stale tych samych czynności produkcyjnych. Sprowadzał on najnowsze wzory londyńskie i zasypywał Warszawę wyrobami niewiele tańszymi od importowanych, ale zarazem nie ustępującymi im pod względem luksusowego wykończenia.

Ten nobilitowany potentat warszawskiego powoźnictwa (pozostałe manufaktury powozów Szperla i Krauzego były znacznie mniejsze i wyrabiały pojazdy gorszej jakości) miał stale zatargi z cechem siodlarzy, do którego formalnie należał. W 1793 r. wystąpił on wreszcie do władz targowickich o pozwolenie zatrudnienia w swej manufakturze „wszelkiego rodzaju potrzebnych rzemieślników, majstrów i czeladzi bez najmniejszej od cechu dependencyji". Wyjednanie takich uprawnień uznano za niezmiernie groźny precedens ułatwiający innym przedsiębiorcom manufakturowym wyłamanie się od formalnej przynajmniej przynależności do odpowiedniego cechu. Pismo cechów warszawskich do magistratu miasta Starej Warszawy przedstawia sielankową atmosferę otaczającą karierę przedsiębiorczego siodlarza: „Warsztat swój siodlarski jako majster założywszy, później fabryką nazwał i na domie swoim wyraził. O tytuł ten, acz nieprawy, inni majstrowie siodlarscy widząc, że sam z czeladzią pełni obowiązki cechowe, nic nie mówili ani teraz bronią. [...] Nie była nigdy dependencyja od cechu dla urodzonego Dangla majstra szkodliwą. Idąc od początkowych nauk urodzony Dangiel w swej profesyji drogą wskazaną artykułami i prawem znalazł swe szczęście w dopełnianiu ich przez się, w zachowywaniu przez innych, w egzystencyji nareszcie cechu, którego był majstrem, ograniczona bowiem wolność sprawowania profesyji wszystkich przez egzystencyją cechu dała mu sposobność liczniejszej praktyki, a stąd postawienia się w losie szczęścia, w jakim zostaje teraz." Pismo to ukazuje jasno, że władze cechowe zniosły nawet zatrudnianie 300 robotników w jednej z największych manu-

[17] A. Magier, *op. cit.*, s. 124.

[18] F. Schulz, *Podróże Inflantczyka z Rygi do Warszawy i po Polsce w latach 1791—1793* (*Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców*, t. II, s. 430—431).

faktur, zastosowanie podziału pracy (podczas gdy zasadą pracy cechowej było wytwarzanie całego wyrobu przez jednego pracownika), rozszerzenie produkcji od siodeł do powozów, byle słabnąca organizacja była formalnie uznawana, a opłaty wnoszone. Widać zarazem, w jak daleko posuniętej defensywie znajdowały się poszczególne organizacje cechowe.

W okresie wzrastającej tak za granicą, jak i w Polsce niechęci do cechów hamujących rozwój nowych form kapitalistycznej produkcji i pewnych posunięć polityki antycechowej, sławetni mistrzowie musieli tolerować różne grupy konkurentów. Ich program zawiera się w dalszej części cytowanego powyżej pisma: „Fabryki za granicą i w tej stolicy wzorem tamtych zakładane, obejmując większą rzemieślniczej czeladzi liczbę, nigdy tejże czeladzi innym nie posiadają tytułem, jak z poprzednią lokacyją majstra uległego cechowi, jak pod imieniem tegoż majstra, który swobód i wolności prawami nadanych będąc uczestnikiem ma przyzwoitość fabrykantowi wszystkie wyrabiać rękodzieła. Tym sposobem widzimy w Warszawie skór fabrykę egzystującą; domieszczony w niej majster od cechu dependujący posiada stosowną do potrzeby fabryki czeladzi liczbę, a ta czeladź pod imieniem jego zapisywana z wiedzą cechu garbarskiego i innej, po majstrach cechowych pracującej, pod imieniem jego oddalając się, nie czyni żadnym zwyczajom przeciwieństwa, utrzymując tym samym prawo powszechnie pomiędzy wszystkimi rzemieślnikami zachowywane." [19]

W piśmie tym wysuwa się ważną sprawę szkolenia zawodowego, które było w okresie Oświecenia w rękach organizacji cechowej. Jak pisaliśmy, coraz częstsze były wypadki niedopuszczania ubogiego czeladnika do majstrostwa, jednakże szkolenie zawodowe funkcjonowało w pełni, przynajmniej na szczeblu przejścia od ucznia do czeladnika. Zarazem uzyskanie stopnia czeladnika chroniło pracownika w pierwszych manufakturach od bezwzględnej zależności od przedsiębiorcy, w jakiej pozostawali robotnicy niewykwalifikowani.

Ostatnią grupą konkurentów tradycyjnego rzemiosła cechowego były nowe specjalizacje zawodowe, wyłonione z dawnej domowej produkcji kobiecej. Każda prawie bardziej zapobiegliwa mieszczka warszaw ka umiała uszyć dla siebie i swej rodziny prostszą odzież, dokonać pewnych przeróbek, zrobić na drutach pończochy czy skarpety lub wreszcie haftować. Jeśli żona ubogiego czeladnika zaczynała wykorzystywać te umiejętności w rozszerzonym kręgu rodziny i sąsiadów, stawała się konkurentką krawców, dziewiarzy i hafciarzy. Wtedy mistrzowie cechowi zgadzali się czasem dawać jej do wykonania drobne prace pomocnicze lub też ostro zwalczali tego typu zakazane praktyki. Jednakże w 1792 r. spis ludności wykazał w stolicy 59 szwaczek, modniarek i gorseciarek. Mieszkały one przeważnie poza terenem Starej i Nowej Warszawy, aby uniknąć prześladowania organizacji cechowych. Zarejestrowano w ten sposób tylko niewielką część ubogich wyrobnic, przede wszystkim te, którym udało się założyć własne warsztaty, gdzie zarazem sprzedawały swoje wyroby. Na najniższych szczeblach drabiny zawodowej znajdowały się praczki i plamiarki. Oficjalnie zarejestrowano ich w 1792 roku — 162, jednakże niejedna uboga kobieta dorabiała jeszcze praniem bielizny sąsiadów.

[19] J. Michalski, *Zagadnienie polityki antycechowej w czasach Stanisława Augusta*, „Przegląd Historyczny", t. XLV, 1954, z. 4, s. 637—638.

Największą karierę zawodową w okresie Oświecenia zrobiły warszawskie modniarki. Wyrabiały one nakrycia głowy, dodatki do sukien i bieliznę. Największą sławą cieszyły się początkowo producentki kornetów — fantazyjnych czepeczków z muślinu, gazy, koronek i wstążek. „Nie bardzo miłego mógł się spodziewać przywitania mąż od żony, przyjeżdżający z Warszawy bez korneta, o który najpierwsze na przywitaniu było pytanie" [20] — pisze Kitowicz przytaczając anegdotę o pechowcu, który po drodze zgubił nabyty kornet i ofiarował żonie tylko puste pudło. Wiele sprytnych korneciarek warszawskich starało się, aby te zakupy nie były przykre dla panów: „Choć zaś w domu mogłaby sobie niejedna taki kornet upiąć, imaginacyja jednak dowodziła na oko, iż żaden nie mógł być tak piękny jak warszawski; dlatego wiele paniów, obywatelek warszawskich, miały znaczny zysk z kornetów. Chowały po kilka dziewczyn do upinania kornetów, same będąc im do przykrywania i kombinowania materklasów [szczególnych figur czy kształtów] kornetowymi majstrami, czyli mistrzyniami. Najtańszy kornet był za 6 złotych, najdroższy 20, choć cały jego towar nie był wart dziesięciu złotych, a dziewczyna sprawna mogła upiąć na dzień dwa. Lecz gust najwięcej przydawał tej drożyzny rzeczom z siebie podłym. Urzędowe upinaczki kornetów siedziały ze swoimi dziewczętami w sklepach z oknami — w zimie dla ciepła, w lecie dla kurzawy — zamkniętymi, przez które okna przeglądające ładne twarzyczki zwabiały kupców do kornetów, czasem mimo potrzebę, jedynie dla umizgów kupujących." [21]

Ilość modniarek stale rosła. Pierwsze były Francuzki: Clermont założyła swój sklep naprzeciwko Pałacu Saskiego jeszcze za Augusta III, panna Lex, później pani Ledoux, Rogalska, prowadząca przedsiębiorstwo z Szubalskim, konkurowały w szybkim naśladowaniu wszelkich nowości mody paryskiej. Najsłynniejsza z modniarek to Urszula Łazarewiczowa, wdowa po kupcu i obywatelu lwowskim, który przyjął prawo miejskie Starej Warszawy w 1768 r. Prowadziła ona wielki magazyn mód w Bramie Krakowskiej, zajmowała się różnymi zleceniami handlowymi załatwianymi z wielką uczciwością, a podczas Insurekcji wyróżniała się także patriotyzmem. Ruchliwe Krakowskie Przedmieście było ulubioną ulicą magazynów modniarek, z których tylko nielicznym udało się dojść do fortuny. Były one jednak bardzo potrzebne i o wiele lepiej od konserwatywnych krawców umiały podchwycić wszelkie nowinki mody: „znaczna zaś ilość dawnych krawców damskich ustąpić musiała coraz pomnażającym się modniarkom, którym za mierną cenę łacniej jest krój do gustu modnego, jak dawniej tym rzemieślnikom było staroświecki odmienić. Nadto płeć piękna w teraźniejszym wieku ogólnie sposobniejszą i pojętniejszą się okazuje w tym, co się tycze gustu tak w stroju, ubraniu głowy, nawet tapicerskiej i szmuklerskiej niektórej robocie, jak w zeszłym, kiedy we wszystkim uważano tylko na nieskończoną trwałość, nieodmienność i wielką ochronę." [22]

Fryzjerzy i perukarze byli niezbędni dla wykończenia wyglądu elegantów i elegantek warszawskich. Zorganizowani oni byli we wspólnym cechu, w którym zresztą stale istniały tarcia pomiędzy dwiema specjalnościami o całkowicie sprzecznych interesach zawodowych. Moda wielkich peruk w okresie Oświecenia wygasała,

[20] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, s. 507.
[21] Tamże, s. 506—507.
[22] A. Magier, *op. cit.*, s. 103 i 134.

nosiło się małe peruczki lub własne, mocno pudrowane włosy. Tylko starsi mężczyźni zakrywali chętnie perukami swe łysiny. W rezultacie liczba perukarzy malała i około 1760 roku było ich w stolicy tylko dziesięciu: Barbier, Jan Dahaye, Masson, Moye, Bonderman, Ponsel czy Pencel, Antoni Chevalier, Roahusz, Lipski i Modreszewski. Mieszkali oni zwykle na Starym Mieście lub Krakowskim Przedmieściu i przeważnie pochodzili z Francji.

Zmajoryzowali ich fryzjerzy, których, według Magiera, było w Warszawie ok. 200, a według spisu 1792 r. — 148 (wraz z perukarzami). Na ogół nie dochodzili oni do większych fortun, z wyjątkiem Piotrowskiego, który dorobił się domu na Krakowskim Przedmieściu. Mieli oni swe kawiarnie, gdzie pili bardzo wcześnie ranną kawę i następnie biegli do domów dostojnych klientów. „Postać fryzjera była wyschła, brwi i rzęsy u oczu w dół zapadłych dużo pudrem nabite: wielomówny, wesoły, ruszenia zwinnego i śpiesznego [...] Ubiór jego był biały, dużo od pudru ubielony i nieco tłustością pomady nakarmiony; unikać należało spotkania się z nim na ulicy śpieszno bieżącego, aby się nie obetrzeć o jego białą suknię. Miał fartuch płócienny, a kieszenie pełne były rozmaitych narzędzi rogowych, kościanych i żelaznych, których używał do swej misternej roboty. Nie mniej potrzebny mu był do pudrowania spory, jedwabny kutas, którym nabrawszy pudru, w pewnym oddaleniu od ufryzowanej głowy zręcznie nim puder narzucał tak, ażeby sam pyłek biały na włosach jak drobny mróz osiadał. Używano takoż na ten koniec mieszków skórzanych, później łabędzika, to jest okrągłej poduszeczki ze skórki pierzastej łabędziej lub gęsiej, z trzonkiem, którą już nie tak wykwintnie pudrowano głowę." [23] Wyniki tych fryzjerskich zabiegów były cenione przez elegantów. Warto przytoczyć fragment wiersza jednego z nich — samego Trembeckiego — *Do Jasia o fryzowaniu*:

Jasiu, ja lekce twego nie ważę rzemiosła,
Moda potrzebę jego po świecie rozniosła.
Obacz biusta, portrety i dawne kroniki,
Wszędzie twoje grzebieniem słyną poprzedniki.
Spod ich ręki najmędrsze wychodzą peruki,
Spod ich ręki trefione pysznią się nieuki.
Ozdoby Watykanu, zaszczyty Sorbony,
Wszystko się schyla pod ich kutas ubielony.[24]

Fryzjerzy stanowili jeden z nielicznych rodzajów rzemiosła nie wytwarzającego konkretnych przedmiotów, lecz świadczącego usługi. Wspomnieć tu też trzeba o olbrzymiej liczbie warszawskiej służby domowej stanowiącej przypuszczalnie 10—15% całej ludności Warszawy. Wśród tej służby były najrozmaitsze stopnie od dobrze płatnych lokai i kamerdynerów, strojnych hajduków i pajuków, do woźniców, różnych kategorii służących i wreszcie spełniających najgrubsze posługi stróżów. Służba domowa była w tym okresie całkowicie zależna od swych panów i pierwszą próbę jej zrzeszenia zawodowego przyjęto z obawą jako echo wydarzeń paryskich.

[23] Tamże, s. 223.

[24] St. Trembecki, *Pisma wszystkie*, oprac. J. Kott, Warszawa 1953, t. I, s. 55. (E. Rabowicz, *Stanisław Trembecki w świetle nowych źródeł*, Wrocław 1965, s. 390—391, przypisuje autorstwo Józefowi Kochańskiemu.)

Nowe przedsiębiorstwa i nowi przedsiębiorcy

Dotychczas wspominaliśmy o manufakturach warszawskich jedynie jako o konkurentkach organizacji cechowych. Należy jednak zdawać sobie sprawę, że w tym okresie w całej Polsce powstawały tego typu zakłady, stanowiąc zaczątki kapitalistycznej produkcji. Niektóre z manufaktur centralizowały u siebie całość procesu produkcji określonego wyrobu, inne korzystały z pracy rozproszonych wytwórców i w swych zabudowaniach wykańczały jedynie skupywane towary za pomocą nowoczesnych urządzeń i zagranicznych fachowców. W Warszawie okresu Oświecenia do 1780 r. powstała duża grupa manufaktur założonych przez spółki akcyjne czy też finansowanych bezpośrednio przez króla lub któregoś z magnatów. Przedsiębiorstwa te chętnie korzystały z taniej siły roboczej więźniów, kalek albo sierot. W późniejszym okresie przeważają manufaktury mieszczańskie, powstające z rozszerzonych warsztatów rzemieślniczych i będące własnością jednego lub paru właścicieli. Pierwsza większa grupa warszawskich manufaktur włókienniczych założona została w 1766 r. przez Kompanię Manufaktur Wełnianych. Najważniejszy z tej grupy zespół mieścił się w zabudowaniach Cuchthauzu przy ul. Pokornej, zwanej także Cuchthauzową. Kompania ta założyła jeszcze inną manufakturę, sukienniczą, i drugą wyrabiającą raszę, czyli lżejszą tkaninę wełnianą, w samej Warszawie, oraz zakłady pończosznicze i kapelusznicze w Golędzinowie za Pragą. Większość tych zakładów upadła po paru latach istnienia.

Znacznie bardziej burzliwe i w sumie mało pomyślne były losy królewskiej „fabryki farfurowej" w Belwederze, pracującej od 1768 do 1780 roku. Stanowiła ona jeden z przykładów inicjatywy gospodarczej króla, uzależnionej od jego finansów. Kierownikiem technicznym manufaktury był baron Schütter, którego żona, z pochodzenia Greczynka, należała do licznych królewskich kochanek. W późniejszym okresie Schütter był kontrolowany przez Torriego. Manufaktura dostała gotowe pomieszczenie i dość szybko zaczęła produkować dużą ilość różnych wyrobów fajansowych. Jej dziełem był wspaniały „arcyserwis" ofiarowany przez Stanisława Augusta sułtanowi tureckiemu, któremu dar ten wręczył Piotr Potocki jadący w poselstwie do Stambułu. Obok tych luksusowych wyrobów manufaktura produkowała talerze, półmiski, filiżanki, wazony, wazy chińskie, wazy do zup, solniczki, kałamarze, tabakierki, koszyki, słoiki do konfitur czy kosmetyków, sosjerki, przybory do kawy, a także nocniki. Najtańsze z tych wyrobów sprzedawano za grosze w sklepach warszawskich, jak również w Dubnie, Grodnie, Wilnie, Lublinie, Krakowie i Poznaniu.

Pracownicy manufaktury dzielili się na wykwalifikowanych malarzy i modelarzy oraz na źle płatnych robotników niewykwalifikowanych. Ci ostatni byli przeważnie skoszarowani w zabudowaniach ówczesnego Belwederu, a więc na przedmieściach ówczesnej Warszawy. Żywili się oni w pobliskiej „austerii", czyli jadłodajni, i całotygodniowy ich zarobek zaledwie pokrywał te koszty. Praca w manufakturze była trudna. Nie przeprowadzono w niej podziału pracy, a więc wytwarzania przez poszczególnych robotników określonych części wytworów i powtarzania wciąż tych samych czynności. Warunki produkcji były typowo rzemieślnicze, co oznaczało, że każdy robotnik wykonywał cały przedmiot wraz z jego wykończeniem i dekoracją. Przy akordowych płacach były to warunki gorsze od rzemieślniczych. Z chwilą założenia konkurencyjnej manufaktury mieszczańskiej Bernardiego i Wolffa na

Bielinie w 1779 r. koszty produkcji w Belwederze okazały się zbyt wysokie, a wykwalifikowani rzemieślnicy uciekali do nowego zakładu ze względu na wyższe zarobki. Konkurencyjny zakład zakupił część wyposażenia technicznego: kierat, trzy piece, modele i półfabrykaty. Manufaktura królewska w Belwederze upadła z powodu zbyt wysokich kosztów produkcji — w za małym stopniu była ona manufakturą. [25]

Założenie przez króla ludwisarni na Podwalu, koło Bramy Pobocznej wymagało znacznie większych inwestycji. Manufaktura ta pracowała od 1766 do przynajmniej 1770 r. Zbudowano ją z cegieł dostarczonych z cegielni ujazdowskiej pod nadzorem technicznym majora Klipscha, który przebudowywał wtedy Szkołę Rycerską. Uruchomienie produkcji nie obeszło się bez pewnych trudności technicznych, jak np. pęknięcie pieców. Ludwisarnia dostarczać miała gotowych armat i w ciągu swego okresu istnienia wyprodukowała około 40 dział różnego kalibru, wyrabiając także kule armatnie i amunicję do karabinów. Odlanie działa wypadało taniej aniżeli jego wykończenie, a więc zrobienie lawety, wózka amunicyjnego, zaopatrzenie w uprząż, powiązanie linami i okucie skrzyń i kół. Wymagało to współpracy ludwisarzy ze stelmachami, stolarzami, tokarzami, rymarzami, siodlarzami, powroźnikami, kołodziejami, kowalami i ślusarzami. Zapewne część pomocniczych wyrobów powstawała w warsztatach licznych rzemieślników Starego i Nowego Miasta. Poza tym zatrudniano w manufakturze także robotników niewykwalifikowanych, którzy popędzali konie chodzące w kieracie, rąbali drzewo, palili w piecach i przetaczali działa do kolejnych warsztatów. Ludwisarnia nie produkowała broni na sprzedaż, miała jedynie zaopatrywać w broń armię polską. Jednakże koszty produkcji broni były wysokie i bardziej opłacalny okazał się jej import. Ludwisarnia powstała z woli Stanisława Augusta i upadła, bo „racja jej bytu była racją polityczną". [26]

Wspomniano już, że w okresie Insurekcji Warszawa stała się poważnym centrum produkcji broni i amunicji. W tym czasie przeniesiono do stolicy królewską rusznikarnię z Kozienic — 27 wykwalifikowanych robotników wraz z dyrektorem i kierownikiem technicznym Andrzejem Kownackim. Rusznikarnia znalazła pomieszczenie przy koszarach Gwardii Pieszej Koronnej na Faworach i miała scentralizować całą produkcję, zwłaszcza reperację psującej się często broni palnej. Po miesiącu jej pracy zgromadzono w tej manufakturze wszystkich niemal warszawskich ślusarzy i puszkarzy wraz z czeladzią w liczbie około 130 ludzi, którzy mieli tam pracować swymi narzędziami. Założono jeszcze drugą manufakturę rusznikarską u Teppera na Długiej. W tym wypadku centralizacja czynności naprawczych w manufakturach miała przede wszystkim na celu przyśpieszenie tempa pracy rzemieślniczej i ułatwienie jej kontroli. Podczas Insurekcji wykonującym zamówienia wojskowe rzemieślnikom dodawano nieraz wartę żołnierską dla dopilnowania szybkiego tempa pracy, gdyż szczególna sytuacja wymagała ostrych środków. Manufaktura Dangla została także wykorzystana podczas powstania do wyrobu wozów do przewożenia broni, siodeł i zaprzęgów. [27]

[25] W. Kula, *Szkice o manufakturach w Polsce XVIII wieku*, Warszawa 1956, t. I, s. 276—308; T. Korzon, *op. cit.*, t. II, s. 236—237; T. Mańkowski, *Królewska fabryka farfurowa w Belwederze*, „Sztuki Piękne", 1932, z. 3.

[26] W. Kula, *op. cit.*, t. I, s. 186—209.

[27] A. Zahorski, *Uzbrojenie i przemysł zbrojeniowy w powstaniu Kościuszkowskim*, s. 25—29.

Stanisław August interesował się rozwojem różnego rodzaju produkcji manufakturowej na terenie Warszawy. W 1790 roku raczył on odwiedzić manufakturę produkującą cieniutkie druciki z „ciągnionego złota i srebra", niezbędne przy produkcji złotolitych i srebrnolitych tkanin, pasów i galonów. Manufakturę tę założył kupiec Karol Wieprzewski w swej kamienicy przy ul. Długiej. Dowiadujemy się, że król „przez godzin dwie bawiąc, nie tylko wszystkie rękodzieła przez cudzoziemskie i krajowe osoby czynione pilnie oglądał, ale też gatunków wszelkich począwszy od najmniejszego kazał przy sobie próby robić; po którym widzeniu na znak ukontentowania nie tylko wspomnionego szl. Wieprzewskiego przysłanym tegoż dnia medalem złotym udarować raczył, ale też ludziom fabrykę składającym szczodrobliwie okazał łaskę".[28] Wspomniany zakład należał już do drugiej grupy powstających coraz liczniej po 1780 r. manufaktur mieszczańskich. Były to małe zakłady nie różniące się początkowo od rozszerzonych zakładów rzemieślniczych. Nie produkowały one przedmiotów zbytku, jak powozy Dangla przeznaczone dla magnatów i szlachty. Były to przede wszystkim zakłady włókiennicze i garbarskie, które dostarczały surowców i półproduktów ułatwiających zaopatrzenie w odzież i obuwie wzrastającej liczby ludności miejscowej, przyjezdnych i wojska.

Przykładem tego nowego typu manufaktury był zakład mieszczanina Pawła Gossard, zlokalizowany w 1792 roku przy ul. Bugaj nr 2597 na Rybakach, w domu Nosikiewiczów przy Gnojowej Górze. Pomieszczenie to okazało się zbyt ciasne i pewną partię produkcji sukienniczej przeniesiono na Nalewki nr 2249 koło Dulfusowskiego Ogrodu, „gdzie brama jest czerwono malowana", do części dworku należącej do Szteblera. Zarazem przedsiębiorstwo Gossarda przejął obrotniejszy wspólnik, Jakub Charton. W manufakturze tej pracowało początkowo, poza żoną, córką i dwiema służącymi fabrykanta, 10 mężczyzn i 9 niewiast obsługując dwa krosna sukiennicze. Później Charton uzyskał jeszcze 30 niewykwalifikowanych robotników od Komisji Policji, jednakże główną bazą czeladniczą byli dawni pracownicy Gossarda, którzy zajmowali się tkaniem sukna i apreturą. Robotników niewykwalifikowanych używano do mycia wełny, płukania sukien, palenia w kotłach farbiarskich i po krótkim przeszkoleniu do przędzenia i zgrzeblenia wełny. Przedsiębiorstwo to miało ogromne trudności z folowaniem swego sukna nie posiadając, jak większość manufaktur warszawskich, własnego folusza. Należało wozić sukno aż do Białki koło Wiązowny w dobrach księżnej Radziwiłłowej i folować je w odpowiednio przystosowanym do tego młynie. Charton skarżył się przy tym, że Żyd, arendarz młyna posiadającego stępory i stępy do folowania sukna, „więcej mliwem niż folowaniem trudniąc się dla niedostatku wody folusz wstrzymuje, a tylko na mliwne koła wodę puszcza". Mimo jednak różnych trudności i skromnego wyposażenia technicznego ta mała manufaktura sukiennicza ostała się nawet po upadku Insurekcji. Asortyment jej wyrobów był bardzo szeroki: od tańszych sukien do lżejszych, kosmatych tkanin wełnianych, bai, kuczbai i koców. O przedsiębiorczości właściciela świadczyło także założenie jednego z nielicznych w Warszawie sklepów gotowej odzieży, szytej zapewne z własnych tkanin. Sprzedawano tam płaszcze z rękawami, zwane czujkami, inne grube płaszcze sukienne, krótsze

[28] „Gazeta Warszawska", 1790, nr 11 z 6 lutego.

kurtki, kapoty, węgierki, a także kołdry i koce.[29] Część tej odzieży zakupiono dla wojska podczas powstania.

Oprócz dziesięciu funkcjonujących w Warszawie równocześnie lub kolejno manufaktur sukienniczych powstawały dość liczne zakłady produkujące używane coraz bardziej powszechnie kapelusze i wyroby dziewiarskie. Kapelusze przyjęły się jako nakrycie głowy noszone przez mężczyzn do ubioru zagranicznego. „Za Augusta III fabryk kapeluszy w Warszawie nie było, gdyż wszyscy latem i zimą chodzili w czapkach. Około r. 1770 zaczęli osiadać i małe fabryki zakładać kapelusznicy: Kowisch, Stübert, Lorentz, Zeteberg, Flüs i Jędrzej Bacher [...]. Około r. 1780 cech kapeluszniczy [...] do stolicy wprowadzony i od króla panującego przywilejem stwierdzony został. Najpierwszym starszym cechowym był Lorentz. Ci kapelusznicy trudnili się dużo stosowaniem kapeluszy, składając je na trzy rogi, który to kształt powszechnie był używany. Nie pierwej jak w r. 1781 zaczęto nosić kapelusze okrągłe, z płaskimi dnami, którym wspominany Bacher za moją poradą dał początek." [30] Produkcja kapeluszy polegała na oczyszczaniu i zgrzebleniu wełny lub zdjęciu sierści z zajęczych czy króliczych skórek. Następnie należało doprowadzić do spilśnienia tego surowca za pomocą polewania gorącą wodą i ręcznego wałkowania. W większych manufakturach pracę tę ułatwiały małe, ręcznie poruszane folusze, które uzupełniały czynność wałkowania płatów filcu. Czynności te wykonywali nieraz pośpiesznie przyuczeni robotnicy i dopiero wykańczanie kapelusza: jego prasowanie, nadawanie mu pożądanego kształtu na specjalnej formie, farbowanie i przyozdabianie wstążką, piórami czy paskiem wymagało dłuższego przygotowania zawodowego. Właśnie dla przyśpieszenia tempa produkcji Jan Paulet, właściciel największej z warszawskich manufaktur kapeluszniczych, zatrudnił trzydziestu podopiecznych Komisji Policji, a więc połapanych na ulicach Warszawy żebraków i włóczęgów. Jednakże szybko zwolnił on część z tych robotników, gdyż jego czeladnicy buntowali się, nie chcąc z nimi pracować, a wydajność pracy żebraków była bardzo niska. Manufaktura kapelusznicza Pauleta pracowała od 1791 do 1796 roku, początkowo w samej Warszawie, a później w Szamocinie, „kolonii należącej do wsi Białołęka, odległej od Pragi o milę jedną". Dobrze pracujący czeladnik mógł wykonać od jednego do dwóch kapeluszy dziennie.[31]

Produkcja pończoch, skarpet, szlafmyc i rękawiczek dzianych odbywać się mogła w tym okresie już na maszynach dziewiarskich, wynalezionych w końcu XVI w., a rozpowszechnionych na zachodzie Europy w ciągu XVII w. Jednakże w manufakturach warszawskich i podwarszawskich pracowało tylko kilka takich maszyn, a rzemieślnicza produkcja pończoch odbywała się po dawnemu na drutach. Do branży włókienniczej należała także produkcja polskich pasów noszonych na kontuszach. W samej stolicy oraz w Kobyłce i Lipkowie pracowało w sumie cztery do sześciu manufaktur persjarskich, w których tkano te szerokie, wzorzyste pasy z barwnego jedwabiu przerabianego złotymi i srebrnymi nićmi. Pod Warszawą osiedliły się także dwie większe manufaktury wyrabiające tkaniny bawełniane,

[29] I. Turnau, *Wytwórczość tekstylno-odzieżowa w manufakturach warszawskich w XVIII wieku*, s. 736—738; D. Kosacka, *Nalewki do schyłku XVIII wieku*, „Rocznik Warszawski", t. I, 1960, s. 93.

[30] A. Magier, *op. cit.*, s. 251.

[31] I. Turnau, *Wytwórczość tekstylno-odzieżowa w manufakturach warszawskich w XVIII wieku*; tejże autorki, *Zmiany w polskiej produkcji włókienniczej XVIII wieku*, Wrocław 1962, s. 253—254.



85



86

BIBLIOTEKA PUBLICZNA M. ST. WARSZAWY
1907



87

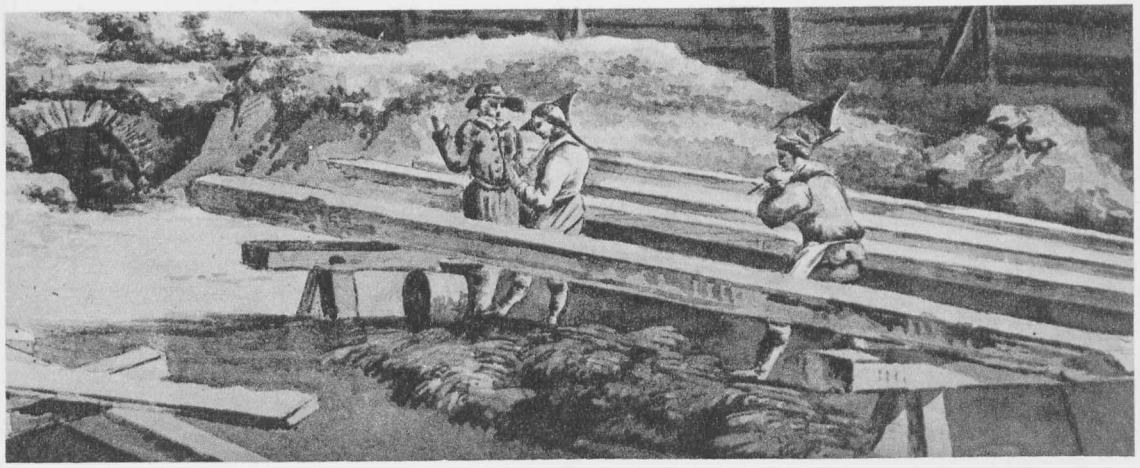

88



89



90

PUBLICZNA M. ST. WARSZAWY BIBLIOTEKA



91

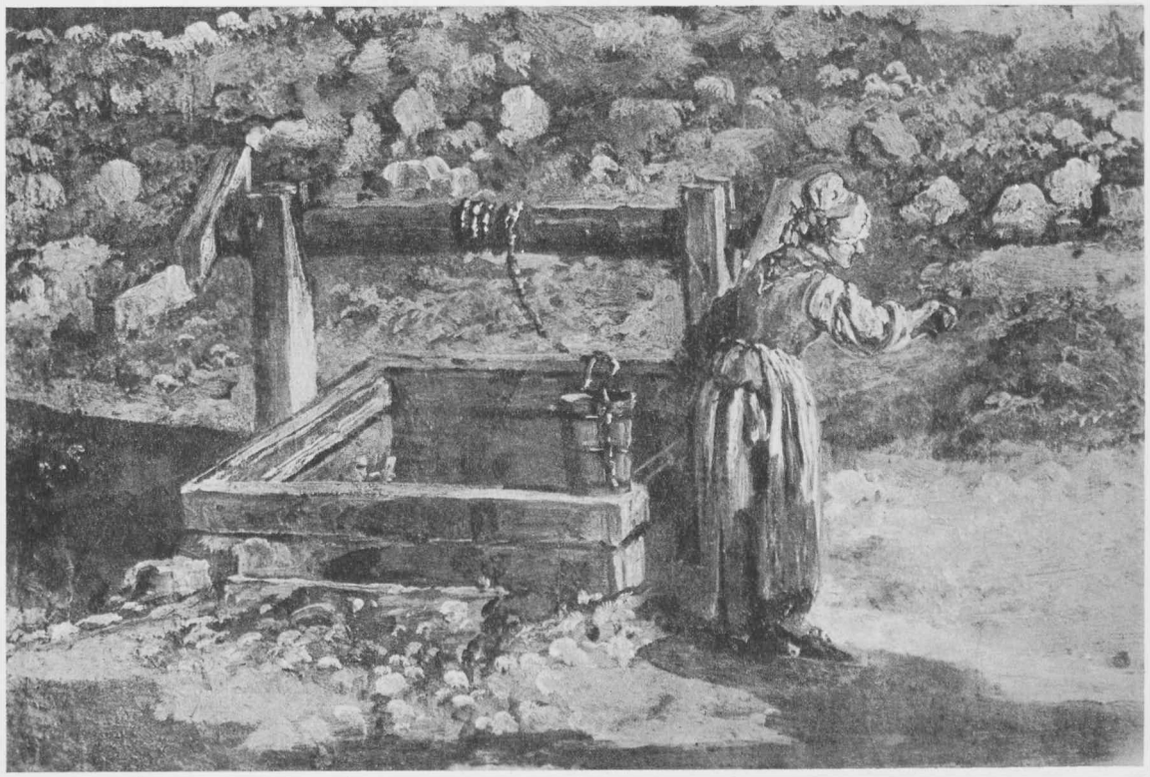

92



93



94

BIBLIOTEKA PUBLICZNA

86



97

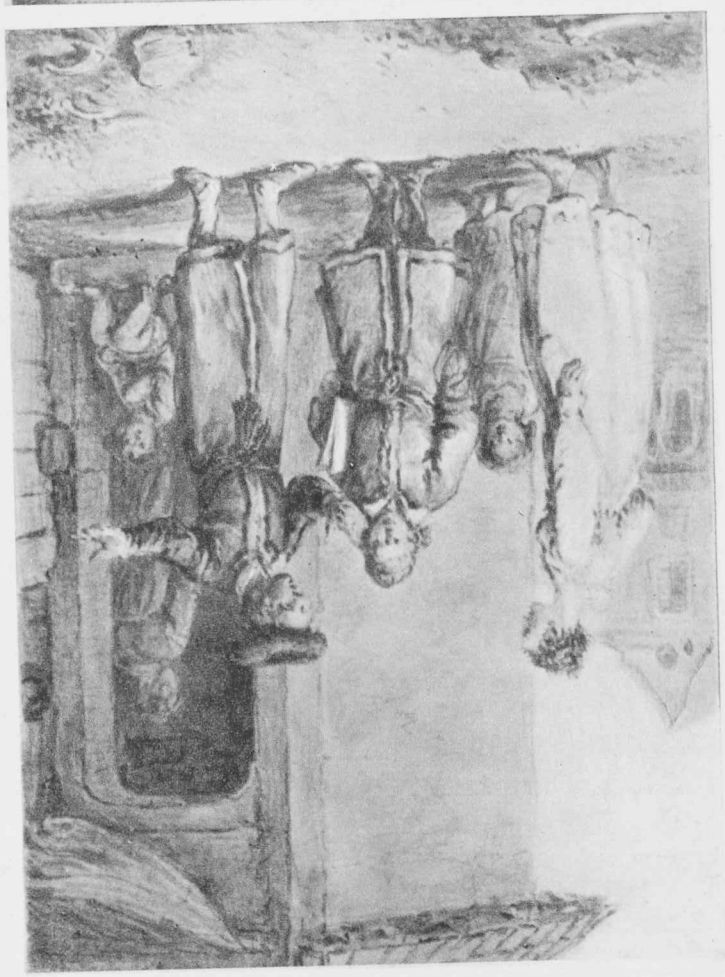

BIBLIOTEKA PUBLICZNA M. ST. WARSZ.

96



95

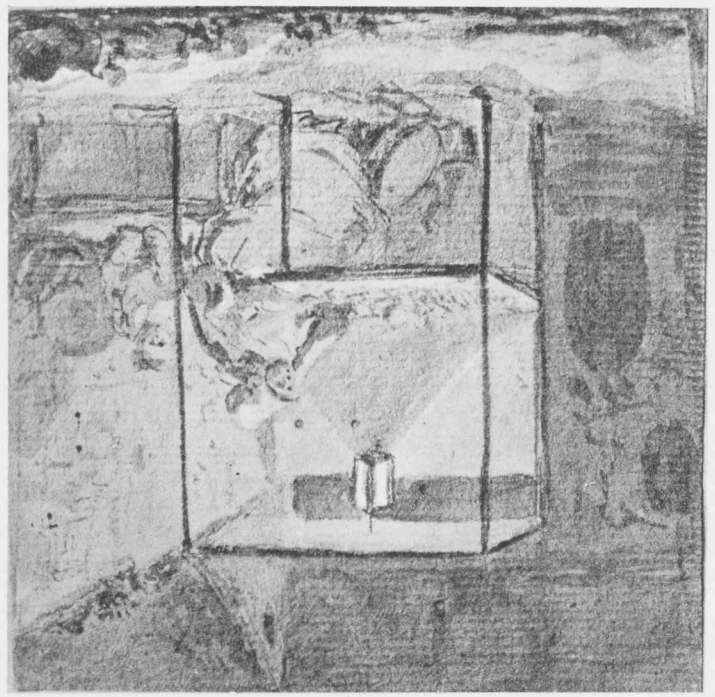



99

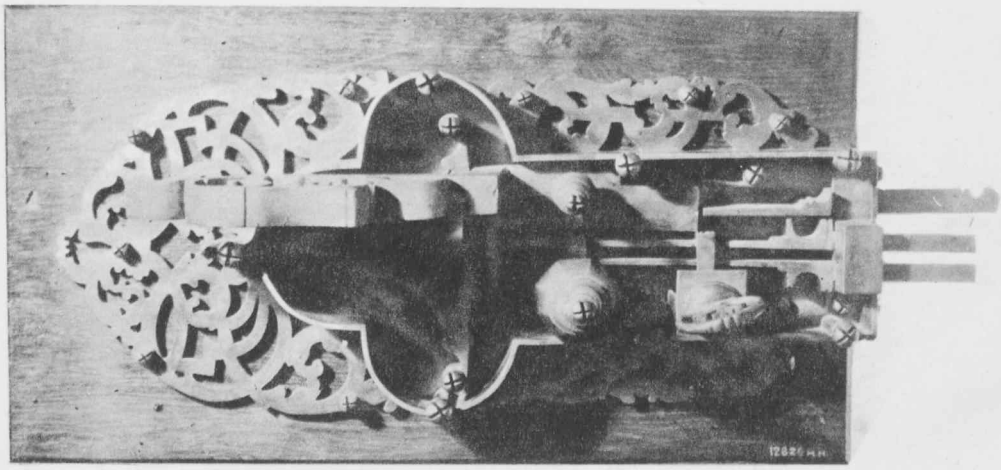

100

przede wszystkim tak modne barwne perkale drukowane, z których szyto kamizelki i żupany męskie, suknie damskie i obicia ścienne. Obie te manufaktury mieściły się na Marymoncie, jedna obok folwarku Potok, a druga we wsi Pólków. [32]

Różne potrzeby ludności stolicy zaspokajały także wytwórnie mydła, jak mydlarnia Szyflera na Nowym Mieście czy manufaktura Jana Gotlieba Meissnera, który przybył do Warszawy w 1779 r. z Sierakowa. Zajmował on częściowo drewniany, a częściowo murowany dom na Nalewkach pod numerem 2263. W murowanej części domu mieścił się właściwy zakład produkcyjny w którym pracowało, poza najbliższą rodziną, 10 mężczyzn i 4 „białogłowy", oraz sklep, gdzie sprzedawano wyprodukowane mydło. Oprócz mydlarni wymienić można około trzydziestu cegielni, dostarczających niezbędnego surowca szybko budującemu się miastu, oraz szereg manufaktur wyrobów luksusowych, jak np. „fabryka kart do gry" Francuza Martina i podobny zakład Rafałowicza i Willinka przy ul. Bielańskiej czy manufaktura produkująca tabakę, „Entrepryza Tabaczna", ulokowana w Cuchthauzie, która od 1789 r. przeszła na własność skarbu państwa. [33]

Do najbardziej typowych przedsięwzięć manufakturowych należały warszawskie garbarnie, które w okresie szybkiego rozwoju ludnościowego miasta uzupełniały produkcję rzemiosła cechowego. Zagadnienie konieczności masowej produkcji miało w okresie Oświecenia duże znaczenie gospodarcze i wywoływało ożywione dyskusje prasowe. Masę tych skór wywożono za granicę w stanie surowym, gdy tymczasem potrzeby szerokich rzesz konsumentów i wojska pozostawały niezaspokojone. Stąd wynikła „Dyspozycja Komisji Skarbu Koronnego względem nie wywozu za granicę skór surowych", wydana 23 czerwca 1789 roku. Wywołała ona przejściowe podrożenie skór ze względu na błędy organizacyjne, wydatki na „oficjalistów skórowych", czyli urzędników zajmujących się ściąganiem skór od rzeźników, i brak magazynów. „Gdy rzeźnicy znieśli skóry do szopy skarbowej, znieśli zaś przez zdradę i gniew świeżo prosto z bydląt zdjęte, w samej Warszawie takich na kupę złożonych, nim przyszły do rozwieszenia, zepsuło się 500, które musieli utopić w Wiśle dla fetoru nieznośnego, którego nie tylko chodzący koło nich wytrzymać nie mogli, ale też nikt około tej szopy, gdzie pomienione skóry śmierdziały, nie mógł przejść z otwartym nosem." [34] Już i dawniej garbarze ze względu na uciążliwe dla sąsiadów zapachy skór byli rozporządzeniami miejskimi wygnani na peryferie stolicy. W 1784 roku Michał Jerzy Mniszech, marszałek wielki koronny, przypomniał te dawne zakazy: „podobnież białoskórnicy i garbarze, aby warsztaty swoje do gnojenia skór i wyprawy służące, nad Wisłę i na odległe przedmieścia poprzenosili". [35] W tym czasie jednak garbarzy było jeszcze niewielu — kilkunastu na Starym i Nowym Mieście z osobnym cechem od 1777 roku i podobna ilość na Pradze zorganizowana od 1720 roku.

„Królewska fabryka skór" była większą manufakturą garbarską pracującą w stolicy już w początkach XVIII wieku i wywożącą swe wyroby aż do Wrocławia. Szerzej udokumentowane zostało jednak dopiero istnienie manufaktury garbarskiej

[32] I. Turnau, *Wytwórczość tekstylno-odzieżowa w manufakturach warszawskich w XVIII wieku*; A. Król, *Marymont*, „Rocznik Warszawski", t. I, 1960, s. 71—72.

[33] D. Kosacka, *Nalewki do schyłku XVIII wieku*, s. 95; A. Berdecka, *op. cit.*

[34] J. Kitowicz, *Pamiętniki do panowania Stanisława Poniatowskiego*, Poznań 1845, t. I, s. 190—199.

[35] AGAD, Warszawa Ekonomiczne, nr 860.

Jana Rautenstraucha, założonej w 1762 r., a prowadzonej przez specjalistów Perkowskiego i Zaderę. Otrzymała ona przywilej królewski w 1767 r. i aż do końca XIX w. mieściła się przy ul. Gęstej 16, przerabiając proste skóry „na zwyczajną robotę".[36] „Uprzywilejowana" garbarnia Cadra, zbudowana „znacznym kosztem" przed 1777 rokiem, mieściła się w Rynku Starego Miasta pod numerem 54, a więc nie udało się władzom miejskim usunąć jej z centrum. Tylko jej młyn do mielenia koniecznej do garbowania skór kory dębowej znajdował się nad Wisłą naprzeciwko panien Wizytek. W dwóch składach mieszczących się na Rynku Starego Miasta i w Piotrkowie sprzedawano wyroby tej manufaktury: „skóry wołowe i krowie na buty, na podeszwy, szory, karety, kolaski etc., skóry bukaty na buty woskowane, skórki cielęce na buty i trzewiki, skórki kozłowe". Manufaktura ta zatrudniała kilkudziesięciu ludzi. Do mniejszych zakładów tego typu należały garbarnie bankiera Schultza oraz Zachra i Kompanii prowadzonej przez Michała Getzkera na ul. Gęstej. W tej ostatniej pracowało ośmiu czeladników, czterech niewykwalifikowanych robotników, pisarz i dwie kobiety. Była ona spółką drobnych kapitałów mieszczańskich. Inna garbarnia mieściła się w Golędzinowie, „zaraz za Pragą przy Wiśle leżącym", i wystawiono ją na sprzedaż w 1793 r.

Na szczególne uwzględnienie zasługują losy ostatniej z licznych warszawskich manufaktur garbarskich. Należała ona do Szmula Jakubowicza, jednego z finansistów żydowskich o wielu zawodach. Był on zarazem kupcem, przemysłowcem, arendarzem, czyli dzierżawcą szynków, i właścicielem ziemskim. Z jego kredytów korzystał nieraz zadłużony zawsze król. Tę manufakturę garbarską założono w doskonałym punkcie na Pradze, gdzie odbywały się słynne targi na bydło, obok rzeźni należącej także do Szmula Jakubowicza. Była ona dość typową przedstawicielką mniejszych stołecznych garbarni. W 1794 r. składała się z dwóch izb: jednej sześciookiennej i drugiej czterookiennej. W każdej stało po osiem kadzi do moczenia skór. Oczyszczone z sierści skóry należało moczyć kolejno w czterech co najmniej roztworach kory dębowej, a także w roztworze wapna, w ałunie i soli. Ilość „dołów" i kadzi do moczenia skór świadczyła o możliwościach wytwórczych poszczególnych garbarni. Zwiększenie liczby robotników mogło przyśpieszyć oczyszczanie skór z sierści na odpowiednich stołach, ich ręczne zmiękczanie w drewnianych stępach pod wpływem gorącej wody, farbowanie gotowych skór wyższych gatunków czy smarowanie ich tranem. Długo jednak trwały zabiegi chemiczne i jeden robotnik mógł wyprawić jedną do dwu skór dziennie. W ciasnych lokalach nie zatrudniano zwykle więcej niż kilkunastu czeladników, nie odczuwano także potrzeby większej liczby sił pomocniczych. Podczas Insurekcji Szmul Jakubowicz uciekł i manufakturę przejęły władze powstańcze. Zdecydowano się nawet dobudować nowe skrzydło, aby zwiększyć produkcję zakładu w zakresie potrzebnych dla wojska skór na buty i uprząż. Z ramienia Departamentu Umundurowania kierował nim Fuksberger zatrudniając piętnastu robotników.[37] Reaktywowanie produkcji tej manufaktury jest jednym z licznych świadectw żywej działalności gospodarczej władz powstańczych.

[36] W. Czajewski, *Warszawa ilustrowana*, Warszawa 1895, t. II, s. 8; AGAD, Warszawa Ekonomiczne, nr 1430.

[37] I. Turnau, *Wytwórczość tekstylno-odzieżowa w manufakturach warszawskich w XVIII wieku*; tejże autorki, *Odzież mieszczaństwa warszawskiego w XVIII wieku*.

Początki klasy robotniczej

Podano sporo danych o różnych warszawskich manufakturach i o ich właścicielach: od samego króla do skromnych mieszczan, przedsiębiorczych cudzoziemców i kupców żydowskich. Zobaczmy teraz, jacy ludzie pracowali w tych zakładach, które liczyły nieraz paręset pracowników. Nie można było znaleźć w Warszawie tylu krnąbrnych czy ubogich czeladników, którzy nie mogli się doczekać awansu na majstra cechowego, lub zubożałych mistrzów. Poza nieliczną kadrą fachowców w warszawskich manufakturach pracowali ludzie luźni, więźniowie, sieroty, podopieczni przytułków i szpitali. Ludzie luźni starali się uwolnić poprzez ucieczkę ze stałego miejsca zamieszkania od przynależności stanowej społeczeństwa feudalnego. Nie chcieli być „pracowitymi" poddanymi chłopskimi, a nawet „sławetnymi" mieszczanami małych miasteczek. Do tej kategorii spadali także zubożali „urodzeni", którym nie udało się uczepić klamki pańskiej. Największa grupa ludzi luźnych uciekała spod bata ekonoma. Byli to także bezrolni komornicy, krnąbrni terminatorzy, zbiegli rekruci z wojska pruskiego, kalecy, starcy, niewiasty, którym zdarzyła się „zła przygoda", ponieważ „nie statkowały", przestępcy, złodzieje, żebracy. Wszystkich tych „biegaczy", „wałesów" czy „hultajów" po schwytaniu władze skierowywały do dawnego miejsca zamieszkania. Najbezpieczniej czuli się oni w większych miastach, zwłaszcza zaś w ruchliwej Warszawie. Łatwiej tu było znaleźć niezłą służbę czy spore dochody z żebraniny. Jednakże właśnie w okresie Oświecenia zaczątkowe formy polskiego kapitalizmu potrzebowały gwałtownie nowych rąk do pracy i zwolnionych z feudalnych powinności nędzarzy czekały nowe niebezpieczeństwa. Ekonomiczne teorie zatrudnienia wszystkich „próżniaków" pokrywały się doskonale z zapotrzebowaniem stołecznych manufaktur na bezpłatną, prawie niewykwalifikowaną siłę roboczą. Zapotrzebowanie to było szczególnie silne, gdy szło o przędzenie w różnego rodzaju manufakturach włókienniczych. Nawet przędzenie na kołowrotku, które było w tym czasie usprawnieniem technicznym w stosunku do dawnej przęślicy, wymagało pracy od 5 do 10 prządek dla dostarczenia wełny jednemu tkaczowi. Dzięki temu przędzenie stało się „wąskim gardłem" wszelkiej poważniejszej produkcji włókienniczej. W Anglii wynaleziono już właśnie maszyny przędzalnicze. W Polsce poszukiwano na razie nowych źródeł siły roboczej. Nie doświadczali tych potrzeb dość nieliczni w Warszawie majstrowie cechów włókienniczych, którzy do niewielkiej produkcji mogli wykorzystywać siłę roboczą swej rodziny, żon swych czeladników czy innych ubogich sąsiadek.

Właściciele manufaktur zwrócili początkowo uwagę na nowe źródła siły roboczej trzech instytucji, stanowiące w tym czasie zbiorowiska nieszczęśliwych istot, które były na utrzymaniu dobroczynności publicznej. Chodzi o podopiecznych sierocińców, szpitali i więzień. Tego rodzaju zestawienie szokuje nas, było ono jednak typowe dla okresu Oświecenia. Nikt w tym czasie nie zgłaszał sprzeciwów w sprawie pracy dzieci, a w szpitalach i innych zakładach dobroczynnych obok obłożnie chorych znajdowała się pewna ilość starców, kalek i wycieńczonych chorobą nędzarzy, których można było wykorzystać do stosunkowo lekkiej pracy, za jaką uważano przędzenie. Najwcześniej pomyślano o zatrudnieniu sierot. Już pierwsza powstała w Warszawie w 1720 roku manufaktura sukiennicza i pończosznicza opierała się na ich pracy. W tym czasie biskup Szembek założył szpital

sierocy w budynku poklasztornym dominikanów. W fundacji tej praca sierot przy przędzeniu i ręcznym trykotarstwie miała być zarazem metodą wychowawczą i środkiem ich utrzymania. Część chłopców mogła w ten sposób uzyskać podstawowe wykształcenie rzemieślnicze w zakresie terminatorstwa, a nawet dojść do stopnia czeladnika sukienniczego. Zachowane opisy inwentarzowe pozwalają na zorientowanie się w warunkach pracy tych sierot w lokalu manufaktury, składającym się z dziewięciu izb, poza magazynami wełny umieszczonymi na strychach czy poddaszach. Jedna z izb mieściła przędzalnię z dziewięcioma tylko kołowrotkami, poza tym manufaktura posiadała tkalnię z pięcioma krosnami, postrzygalnię i prasarnię z wielkimi prasami znajdującymi się w osobnej szopie. Wszystkie te izby były małe i źle oświetlone, prządkarze w chłodniejszej porze roku musieli pracować w ciasnych i ciemnych alkierzach, w których także sypiali, a ręczny wyrób pończoch pomieszczono w postrzygalni. Produkcja ta nie zdołała się rozwinąć i sierociniec przechodził zmienne koleje losu. Jeden z opiekunów sierot, Rihovej, próbował w latach trzydziestych XVIII wieku przestawić się na łatwiejszą produkcję płótna. Do chwili połączenia sierocińca z Domem Poprawy (przez księdza Rostkowskiego w 1736 roku) istniała w tym lokalu nieznaczna produkcja włókiennicza, pokrywająca część kosztów utrzymania gromadki sierot.

Domy Poprawy zakładano w tym okresie we wszystkich większych miastach zachodniej i środkowej Europy. Miały one za zadanie gromadzenie nie tylko przestępców, lecz także żebraków i włóczęgów dla uzyskania taniej siły roboczej dla manufaktur. Chciano w ten sposób wykorzystać siłę roboczą wszystkich ludzi luźnych, którzy nie trafili sami do pracy na zasadzie wolnego najmu. Domy Poprawy czy Domy Pracy Przymusowej spełniały więc zarazem funkcje produkcyjne, wychowawcze i charytatywne. Więzienny rygor i przymus pracy jedynie za nędzne wyżywienie sprawiał, że szybko stały się one postrachem wszystkich ludzi luźnych.

Warszawski Cuchthauz założono w 1736 r. przy ul. Pokornej, będącej przedłużeniem Nalewek. Pierwsze trzydziestolecie historii tej instytucji jest zupełnie nieznane. Zapewne jednak liczba jej podopiecznych nie była zbyt wielka i rekrutowali się oni raczej z więźniów i sierot, a nie z żebraków i włóczęgów, gdyż w tym przypadku bardziej interesowałaby się nimi silna władza marszałkowska. Dom Poprawy odziedziczył wyposażenie pierwszej manufaktury sukienniczej, a gdy Kompania Manufaktur Wełnianych postawiła w 1766 r. trzy nowe budynki, nowa manufaktura sukiennicza była nieźle wyposażona pod względem technicznym i lokalowym. Przymusowa praca podopiecznych Domu Poprawy dostarczała bezpłatnej niemal siły roboczej do mycia wełny, jej przędzenia i zgrzeblenia, a także do innych czynności nie wymagających przygotowania zawodowego.

Na szczegółowym planie widzimy rozmaite etapy produkcji pierwszej warszawskiej wielobranżowej manufaktury włókienniczej. Plan ukazuje rzeczkę Drnę i staw z tamą, skąd doprowadzano rurami wodę do farbiarni kapeluszy, sukna i płótna. Poza trzema budynkami, wzniesionymi już przez Kompanię Manufaktur Wełnianych, widać na planie wcześniejsze zabudowania gospodarcze: spichlerz i stajnię, karczmę Szymanowskiego i dom, w którym zapewne w latach 1768—1770 mieszkał kapitan C. Kłopocki, dyrektor zespołu manufaktur. W zabudowaniach samej manufaktury sukienniczej, u dołu planu, widzimy magazyny i izby do sortowania wełny. Dalej znajdowały się: tkalnia i przędzalnia, postrzygalnia sukna

z pięcioma stołami postrzygackimi i dwoma małymi magazynami do przechowywania sukna i narzędzi, wielka prasarnia z piecem do zagrzewania blach, pomieszczenie dla wielkich ram do rozciągania sukna, trzy izby mieszkalne dla farbiarzy i dwie izby farbiarskie z kotłami. W pozostałych lokalach mieściła się niewielka ręczna produkcja pończoch i rękawiczek, dwuizbowa manufaktura wyrabiająca i następnie farbująca filcowe kapelusze. W kilku z pozostałych izb stały wreszcie urządzenia do wykańczania płócien surowych, skupywanych uprzednio od wiejskich tkaczy. Płótna te wymagały wybielenia, ufarbowania na różne żywe kolory, przyozdobienia drukiem w rozmaite wzory, co wykonywano ręcznie za pomocą drewnianych klocków, a następnie maglowania i gładzenia, do czego służyły wielkie magle, czyli kalandry poruszane końskim kieratem.

Produkcja tego dużego zespołu manufaktur została zachwiana przez brak dowozu wełny do Warszawy w czasie zarazy i przez upadek Kompanii Manufaktur Wełnianych w 1772 r. Od tego czasu sierociniec wraz z Domem Poprawy przeszedł pod zarząd miasta Starej Warszawy. Lokal przeznaczony na potrzeby całego zespołu manufaktur, które teraz utrzymały tylko niewielką produkcję w oparciu o pracę przymusową, wydał się ojcom miasta zbyt obszerny. Odnajęto więc jego część licznym kupcom żydowskim na magazyny towarów. Lewe skrzydło zajęło nowe przedsiębiorstwo, założona w 1780 roku Entrepryza Tabaczna, będąca własnością spółki ławników Rafałowicza i Dekerta. Manufaktura ta zajmowała się krajaniem i przygotowywaniem powszechnie używanej tabaki. W najlepszym okresie swego rozwoju zatrudniała ona ponad sto osób, w tym — przy pracach nie wymagających kwalifikacji rzemieślniczych — znaczną część podopiecznych Domu Poprawy. Część pracowników z wolnego najmu mieszkała na pobliskim Nowym Mieście. Manufaktura tabaczna zajęła wybudowany przez Kompanię Manufaktur Wełnianych budynek „z pruskiego muru", a więc dawny lokal zlikwidowanej farbiarni i drukarni płócien.

Niewiele wiemy o losach przestępców, włóczęgów i nieletnich sierot zatrudnianych w Domu Poprawy, co najmniej do 1794 r., przy przędzeniu, myciu i zgrzebleniu wełny, wyrobie pończoch na drutach i krajaniu tabaki. W każdym razie ich ciężka, prawie bezpłatna, przymusowa praca nie wystarczała na potrzeby wszystkich warszawskich manufaktur i w latach osiemdziesiątych XVIII w. sprawa przymusowego zatrudnienia większej jeszcze liczby ludzi i oczyszczenia zarazem stolicy z żebraków i włóczęgów stała się naczelną troską miejskich władz porządkowych.

Dom dla Ubogich, czyli Nowa Fabryka Krajowa, został założony przez Francuza barona Le Forta przy poparciu króla, biskupa Okęckiego i marszałka Lubomirskiego w początkach 1783 r. W realizacji tego zamierzenia dopomógł „niejaki JP. Schultz", który ofiarował „za miastem grunt na zbudowanie dla ubogich domu i cegły 100 000". Nie doczekano się jednak tego budynku wznoszonego za rogatką wolską. Le Fort wyjechał za granicę w niejasnych okolicznościach, a gromadką zatrzymanych na ulicach Warszawy włóczęgów, żebraków i sierot zajmowały się jeszcze przez dwa lata władze marszałkowskie. W latach 1784—1786 w trzech wynajętych domach utrzymywano podopiecznych. Było ich w 1785 r. „65 ubogich i 16 dzieci, którzy wszyscy prawie z ulic są wzięci [...]. Z tych ci, którzy mogą robić, uprządli i wygotowali wełny w roku przeszłym 1784 funtów 15 774; tamże wyro-

biono pończoch wełnianych par 1500, rękawiczek 150, szlafmyc 34, szkarpetek 21 i na pięć par sukien materii wełnianej na drotach".[38]

Instytucja Dom dla Ubogich miała inny charakter aniżeli Dom Poprawy. Została założona w celu utrzymania ze stałych składek niezdolnych już do pracy żebraków i wychowywania sierot. Miała więc ona przede wszystkim charakter charytatywny. Jednakże dla zmniejszenia kosztów utrzymania podopiecznych rozdano najtańsze narzędzia pracy, w postaci drutów dziewiarskich i kołowrotków, i zakupiono pierwsze partie wełny. W ten sposób utworzono rodzaj Spinnhauzu, czyli instytucji bezpłatnych prawie prządkarzy i producentów czasochłonnych, ręcznych trykotaży, którzy dostarczali półfabrykatów mieszczańskiej manufakturze Abrahama Pappengutha z ul. Bednarskiej ulokowanej w Kamienicy Karmelitańskiej pod numerem 2677. Producent ten wyrabiał „gatunki kosmate", czyli tańsze tkaniny wełniane, i różne dzianiny z grubej wełny. Oparł on swą produkcję na prządkach i prządkarzach Domu dla Ubogich, a po zupełnej likwidacji tej instytucji starał się pozyskać 117 ludzi na prawach wolnego najmu. Świadczyło to o trudnościach znalezienia w Warszawie robotników manufakturowych. Starcy, kalecy i dzieci stanowić mogli atrakcyjną siłę roboczą tylko ze względu na taniość swej pracy i całkowitą bezbronność wobec wyzysku.

Braki w zakresie rąk do pracy w Warszawie i rosnące zapotrzebowanie na nią coraz liczniejszych manufaktur sprawiły, że działalność władz policyjnych w zakresie wyłapywania licznych ludzi luźnych znacznie się ożywiła pod koniec lat osiemdziesiątych XVIII w. Już i dawniej, po odwołaniu jurysdykcji marszałkowskiej, w czasie nieobecności króla w stolicy, „zaczęły chodzić nocne ronty nie tylko węgrów marszałkowskich, ale też i regimentów gwardyji pieszej i konnej, tudzież patrole ułanów królewskich, przestrzegając spokojności i bezpieczeństwa publicznego; a kogo zdybali na ulicy, huczącego po capstrzyku, albo w szynkowni, lub przez podłość odzienia, albo źle daną na pytania odpowiedź porozumienie niedobre o sobie sprawującego, zabierali na swoje hauptwachy [główny odwach], a nazajutrz odprowadzali do marszałkowskiej kordygardy, przy Bramie Nowomiejskiej będącej, z której po justyfikacyji przed sądem marszałkowskim uczynionej, zapłaciwszy żołnierzom komorne albo też odebrawszy karę zasłużoną, bywali uwalniani".[39] Te straże porządkowe ożywiły znacznie swą działalność po udanej próbie porwania króla Stanisława Augusta z centrum miasta w listopadzie 1771 r. Ronty marszałkowskie starały się wyłapywać element przestępczy stolicy, tępić prostytucję i kradzieże.

Ludzie luźni byli zawsze podejrzani ze względu na nieustalone miejsce zamieszkania i źródła dochodów. Utrzymywali się oni z żebraniny, dorywczych posług, służby u stale zmienianych chlebodawców. Coraz częściej byli to także uciekinierzy z warszawskich lub podmiejskich manufaktur, mieszkający zwykle dorywczo w stancjach czy szynkach. Zeznawali oni nieraz: „Ten Andrzej nie ma stancyji, tylko po statkach na Wiśle nocuje" czy „nigdzie stancyji miejscowej nie miałem, ale po różnych szynkach, a czasem po ulicach przez całą noc chodziłem". Inni sypiali „między drzewami", pod mostem, na strychach lub w opuszczonej cegielni za rogatkami

[38] I. Turnau, *Wytwórczość tekstylno-odzieżowa w manufakturach warszawskich w XVIII wieku*; tejże autorki, *Zmiany w polskiej produkcji włókienniczej XVIII wieku*, s. 150—154.

[39] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, s. 264.

wolskimi.[40] Ilość tego typu ludzi luźnych wzrastała stale. Nowo założona Komisja Policji przeprowadziła więc szereg formalnych obław dziennych na ulicach Warszawy. W ich wyniku dostarczono po kilkuset pracowników do paru manufaktur uruchomionych w początkach lat dziewięćdziesiątych XVIII wieku. Przyjrzyjmy się zatem teraz, kogo ściągnięto siłą do pracy w tych zakładach i co uzyskiwali oni jako „sposób do życia", mający zastąpić nędzę i tułaczkę po ulicach Warszawy.

Najlepszym przykładem będzie prześledzenie losów pracowników największej manufaktury sukienniczej Rehana, mieszczącej się po części w pałacu Jezierskiego przy ul. Dobrej, a po części na Pradze, gdzie skupiono niewykwalifikowanych robotników przy przeróbce wełny surowej i przędzeniu. Spółka przedsiębiorców z Rehanem i Boguckim na czele chciała z niewielkim kapitałem zakładowym stworzyć dużą manufakturę sukienniczą, pracującą w znacznej mierze dla potrzeb miejscowego rynku zbytu i zamówień wojskowych. Dla uzyskania taniej siły roboczej zorganizowali oni rodzaj domu pracy przymusowej. Rozpoczęli natarczywe starania w nowo powstałej Komisji Policji i zastosowali przymus pracy nie tylko do ludzi luźnych, powiązanych ze światem przestępczym, ale także do robotników z wolnego najmu, „z profesji sukienników". Dla wszystkich tych osób stworzono więzienne warunki bytowania, które wywoływały stałe sprzeciwy, a w końcu doprowadziły do otwartego buntu.

Sięgnijmy jednak do początków osadzania różnych ludzi w tej manufakturze-więzieniu. W ciągu trzech lat istnienia manufaktury (1791—1794) największa ilość jej pracowników przybywała po większych „łapankach", organizowanych przez Komisję Policji na ulicach Warszawy. Przeważnie pracowało w tym zakładzie od stu pięćdziesięciu do ponad dwustu niewykwalifikowanych robotników, ale przepływowość i wahania ilościowe były poważne. Stosunkowo najdłużej utrzymywali się w manufakturze młodociani i kobiety, podczas gdy dorośli mężczyźni łatwiej ratowali się ucieczką. Młodsze i przystojniejsze niewiasty wydostawały się niekiedy dzięki „wyrozumiałości" dozorcy Szczepanowskiego, za „niektóre *abusa offici* w wytargowaniu nagrody za wypuszczenie osób kilku płci niewieściej" — niedwuznacznego chyba charakteru. Nie wszyscy jednak pracownicy manufaktury zostali złapani na ulicy. Znaleźli się w niej także dwaj krnąbrni poddani, przysłani przez swego dziedzica. Rodzice oddawali często nieletnich, a dwoje dzieci przyszło, nie mając się gdzie podziać, gdy rodziców zamknięto w zakładzie. W spisach pracowników znaleźć można notatki, że niektórzy przybyli „dobrowolnie", jednak zobaczywszy stosunki panujące w manufakturze zgodnie żądali uwolnienia.

Warunki te były rzeczywiście wyjątkowo ciężkie. Przy przyjęciu do pracy robotników odzierano z ubrania i wszystkich cenniejszych rzeczy. Kobiety posiadały nieraz po kilka sztuk odzieży, czasem podbite futrem okrycia, wartościowe przedmioty czy pieniądze. Cały ten dobytek rekrutowanych biedaków przepadał na korzyść fabrykanta i jeden z właścicieli manufaktury, Jan Bogucki, kategorycznie odmówił Komisji Policji prawa wtrącania się do tej jawnej grabieży. Robotnicy manufaktury powinni byli być jednakowo ubrani w dwukolorowe mundury sprawiane przez fabrykantów, jednakże stale uskarżano się na braki w uzyskiwaniu tych świadczeń.

[40] Z *rontem marszałkowskim przez Warszawę*, wstęp Z. Turskiej, s. 13—14.

184 Przedstawiciel Deputacji Szpitalnej, Wiktor Loga, stale alarmował Komisję Policji, iż pracownicy manufaktury cierpią z powodu „robactwa z przyczyny nie dawanych na przemianę regularnie koszul i nie mianej od dwóch przeszło miesięcy łaźni aż nadto rozmnożonego i wielu innych niedostarczonych potrzeb..." Ponad dwustu robotników manufaktury nie posiadało żadnego zwierzchniego okrycia, gdyż fabrykant nie miał obowiązku go sprawić, a własne im zrabowano. Często nie dawano im także bielizny, obuwia, pończoch. W nędznych spodniach czy spódnicach i płóciennych kaftanach sypiali oni na pryczach, na których często nie było słomy do sienników. Ludzie ci zarazem byli niedożywieni, gdyż nie wydzielano im racji żywnościowych ustalonych w umowie z Komisją Policji. Dostawali oni czasem tylko raz na tydzień mięso, a karmiono ich poza tym jedynie kaszą, grochem czy kapustą, z małymi racjami chleba.

Ludzi trzymanych w więziennym zamknięciu i źle żywionych zmuszono zarazem do wydajnej pracy, której normy były najwyższe ze wszystkich norm manufaktur sukienniczych w Polsce tego okresu. Z protokołu skarg pracowników z 1793 r. wynika, że jeden robotnik musiał wyskubać i przebrać 25,6 kg wełny, przeczesać zaś zgrzebłem w zależności od jego rodzaju od 3,6 do 7 kg wełny dziennie. Prządka miała uprząść dziennie 1,2 kg wełny przeznaczonej na osnowę lub 2,4 kg grubej wełny wątkowej. Fabrykant przestrzegał wykonywania tych bardzo wysokich, ustalonych w 1792 r., norm, a nawet zmuszał ludzi do ich przekraczania, nie dając przy tym zapłaty, obiecanej za wyższą wydajność pracy.

Nic dziwnego, że robotnicy buntowali się. Po „kilkakrotnie już praktykowanych buntach", których historii nie znamy, zanotować należy bunt z 26 marca 1794 r., w dwa dni po krakowskim akcie powstania, a na trzy tygodnie przed Insurekcją warszawską. Wyróżniło się pięciu przywódców tego buntu. Trzech z nich: Górski, Odmieński i Czechowicz, pracowali w manufakturze od początku jej istnienia, dwaj pierwsi byli kalekami i pochodzili może ze sproletaryzowanej szlachty. Zdobyli oni już kwalifikacje czeladników sukienniczych. Pozostali dwaj przywódcy buntu to oddany przez starostę Wodyńskiego chłop Leonowicz i mieszczanin Jakub Sadowski, który wniósł może w mury fabryki ferment rewolucyjny warszawskiej ulicy. Nie wiadomo, jak zakończył się ten bunt i czy rehanowscy niewolnicy zostali wypuszczeni po wybuchu warszawskiej Insurekcji. Na razie przywódcy buntu zostali osadzeni w więzieniu marszałkowskim zwanym Prochownią, mieszczącym się przy końcu ulicy Mostowej od strony Wisły, gdzie przędli wełnę, poddani jeszcze ostrzejszemu nadzorowi.

Podczas powstania sytuacja manufaktury sukienniczej Rehana i Boguckiego uległa całkowitemu odwróceniu. Uzyskano wiele zamówień na sukno mundurowe, utracono natomiast przymusową i bezpłatną siłę roboczą. Właściciele manufaktury starali się zdobyć pracowników z wolnego najmu, zaofiarowując tym razem zapłatę po około 20 groszy dziennie, co zapewniało jednak jedynie najskromniejsze wyżywienie. W okresie gdy we władzach powstańczych przeważać zaczęły głosy elementów konserwatywnych, Rehan uzyskał pismo Deputacyji Indagacyjnej z 17 sierpnia 1794 roku stwierdzające:[41] „wiele ma ludzi bez sposobu do życia, a pracować mogących, których jeżeliby chciał mieć do swojej fabryki, Deputacja łatwo na

[41] W. Kula, *op. cit.*, t. II, s. 820—840; I. Turnau, *Zmiany w polskiej produkcji włókienniczej XVIII wieku*, s. 228—230.

rekwizycje jego dostawać ich mu będzie". I znów mury praskiej manufaktury zapełniły się nowymi nędzarzami i włóczęgami, przędącymi wełnę na mundury dla wojsk powstańczych.

Ten wyjątkowo drastyczny obraz warunków największej z mieszczańskich manufaktur włókienniczych, założonej w Warszawie bez kapitału zakładowego w oparciu o ułatwienia rządowe i kredyt bankiera Prota Potockiego, nie był czymś wyjątkowym. Możemy tu sięgnąć dla przykładu do zeznań osiemnastoletniego Jakuba Rembińskiego, zatrzymanego przez ront marszałkowski terminatora persjarni w Kobyłce pod Warszawą, będącej własnością starosty hamersztyńskiego Unruga, a dzierżawionej przez Jana Filsjean. Pochodził on z ulicy Wspólnej i został oddany przez rodziców do terminu w tej manufakturze w jedenastym roku życia. Uciekł z niej „z przyczyny tej, że mi krzywdę robił najprzód, że mnie zapisał na lat 6, a ja u niego terminowałem lat 7 i jeszcze mnie wyzwolić nie chce, tylko mnie jeszcze przymusza rok być w terminie, a ja żadną miarą u niego być nie chcę, bo oni i cechu żadnego nie mają, i ten konszt persyjarski tylko dla młodych służy, a na starość już wcale nie, gdyż się oczy ze wszystkim psują, i nic mi nie chce sprawić. Gdy mnie zaś sprawi żupan jeden, to go trzeba mieć na lat 3, a po lat 3 tenże stary żupan trzeba oddać do skarbu [magazynu], dopiero odebrawszy stary to nowy daje: spodnie jedne i koszul dwie — więc przez to samo, że mnie wszy jadły [...] uciekłem [...]. Do tego wikt bardzo mizerny, bo często nam się trafiało o suchym kawałku chleba iść do roboty, i w początkach, gdy suknia zdarła się na mnie od rodziców dana, to gołym ciałem świecić musiałem. W ogrodzie kopać i inne rzeczy czynić musiałem, a sypianie nasze z drugimi chłopcami było w oborze z bydłem — tak dobrze jak w psiarni, gdyż się i odziewać nie mielim czym".[42] Charakterystyczna jest skarga terminatora Rembińskiego na brak cechu, którego przepisy nie dozwoliłyby zatrudniać majstrowi niewyzwolonego pracownika. Jak wynika z tej relacji, warunki pracy początkującego robotnika jednej z najtrudniejszych branż włókienniczych, tkającego szerokie, wzorzyste, jedwabne pasy kontuszowe, przypominały stosunki w manufakturze sukienniczej Rehana. Jakub Rembiński usiłował polepszyć swe warunki pracy, przechodząc do warszawskiej persjarni Paschalisa Jakubowicza, gdzie mógłby już być traktowany jako siła fachowa, jednakże władza marszałkowska odstawiła go do poprzedniego właściciela.

Te fakty ilustrują ogólne zjawisko, ze szczególną ostrością zaznaczające się w Warszawie. Pierwsze manufaktury cierpiały na chroniczny brak siły roboczej. Uzyskanie pracowników z wolnego najmu było często zbyt kosztowne dla małych mieszczańskich zakładów, zarazem zaś wykwalifikowani fachowcy bali się wyjść spod opieki cechowej i zdać się na łaskę nowego przedsiębiorcy. W rezultacie wszystkie większe zakłady korzystały chętnie z przymusowej pracy włóczęgów, żebraków, podopiecznych szpitali, nieletnich sierot czy więźniów. Wszyscy ci robotnicy byli wtłoczeni w żelazny regulamin podziału pracy, musieli wykonywać określone normy dzienne, a gdy się przeciw temu buntowali, otaczano ich więzienną strażą. W razie ucieczki poduczonych już terminatorów lub czeladników władze manufaktury starały się sprowadzić ich z pomocą władz policyjnych. Czasem przechwytywał ich konkurencyjny zakład. Nietrudno zrozumieć, dlaczego wielu ludzi luź-

[42] *Z rontem marszałkowskim przez Warszawę*, s. 221—228.

nych wolało utrzymywać się z dorywczych posług i sypiać, gdzie popadnie, aniżeli wpaść w nową zależność poddańczą, nie mniej uciążliwą niż system pańszczyźniany, spod którego uciekli.

Handel na usługach mody

Katechizm o tajemnicach rządu polskiego Franciszka Salezego Jezierskiego (napisany może przy współautorstwie Jana Śniadeckiego) podaje zdanie najradykalniejszego odłamu myślicieli z 1790 r. o tym: „Jaki jest handel w Polszcze? Handel w Polszcze jest dwojaki: jeden jest z płodów ziemi, znajomy potrzebom ludzkim, drugi jest polityczny, pochodzący z fantazji stanu szlacheckiego, własny [właściwy] tylko narodowi polskiemu. Wieloraki jest ten handel? Zagraniczny i wewnętrzny. Jaki jest handel własnych Polaków z sąsiednimi krajami? Zaprzedanie zadania sąsiednich gabinetów układowi [oddanie się na usługi obcym rządom]; ten handel czynią tylko senatorowie i ministrowie, urzędnicy kraju; drobniejsza szlachta w tym handlu jest tylko jak przekupnie i kramarze. Jaki jest handel wewnętrzny własny Polaków? Przedawanie sprawiedliwości, najmowanie się na sejmiki, przedawanie dostojeństw i urzędów. Przedawanie urzędów i dostojeństw jaki robi pożytek? Ten, kto przedaje urząd, bierze pieniądze jakby za towar, a Polska pomnaża się w dostojeństwa i [...] dlatego przybyło do senatorów eks-senatorów, do urzędników eks-urzędników itd." [43]

Charakterystyczne jest omówienie form rozkładu życia politycznego właśnie pod hasłem: handel. Już od okresu wczesnego Oświecenia padają stale hasła zrównoważenia importu i eksportu, a zarazem wprowadzenia towarów krajowych na rynek. Nadmierny import towarów luksusowych łączył się w Polsce z eksportem surowców czy półfabrykatów. Nas interesuje jednak najbardziej codzienny handel warszawski. Miasto to było ze względu na swe położenie geograficzne ważnym ośrodkiem handlowym zarówno towarami wschodnimi przywożonymi z Rosji, Turcji i Bliskiego Wschodu, jak zachodnimi i krajowymi. Handel warszawski był zorganizowany w konfraterniach kupieckich, które podobnie jak organizacje cechowe starały się sprawować opiekę nad całym zawodowym, religijnym i świątecznym życiem swych członków. Szybki rozwój gospodarczy i ludnościowy stolicy podkopywał w ciągu XVIII stulecia dawne korporacje kupieckie. Musiały one pogodzić się ze stałym i wzrastającym naporem cudzoziemców, a więc z przyjęciem do swego grona dysydenckich, czyli niekatolickich firm kupieckich protestantów, a także Żydów. Jeszcze w 1730 r. starszyzna kupiecka miasta Starej Warszawy zwalczała dążności magistratu do utrzymania w mieście dysydenckich i żydowskich placówek handlowych przy pobieraniu od nich specjalnych opłat. Jednakże opory te zostały przezwyciężone i od 1757 roku notowano stale w dochodach konfraterni kupieckiej opłaty od dysydentów za niebranie przez nich udziału w uroczystej procesji Bożego Ciała, a więc stali się oni poza tym pełnoprawnymi członkami stowarzyszenia.[44] W późniejszym okresie brak już wzmianek o postulatach jedności wyznanio-

[43] F. S. Jezierski, *Wybór pism*, oprac. Z. Skwarczyński, Warszawa 1952, s. 74—75.
[44] A. Zaleski, *Konfraternia kupiecka miasta Starej Warszawy*, Warszawa 1913, s. 62—71.

wej konfraterni kupieckich. Starały się one tylko ciągnąć odpowiednie zyski z udziału zamożnych firm cudzoziemskich, które zresztą szybko się polonizowały.

Należy zdawać sobie sprawę, że o ile w awansie rzemieślniczym w hierarchii cechowej umiejętności zawodowe odgrywały dość poważną rolę, o tyle w awansie kupieckim największe zdolności handlowe nie mogły zastąpić pewnego kapitału zakładowego. Szkolenie zawodowe kandydatów na kupców odbywało się w Warszawie systemem podobnym do cechowego. Przyjmowano do poszczególnych branż handlowych terminatorów na kilkuletnią, najczęściej cztero- lub pięcioletnią naukę. Wymagano od tych kandydatów wyższego niż od terminatorów cechowych wykształcenia podstawowego, które obejmowało przynajmniej dobrą znajomość czytania, pisania i rachunków. Stopień wykształcenia i ogólny poziom intelektualny kupca był zazwyczaj wyższy aniżeli jednostronnie wyspecjalizowanego rzemieślnika cechowego. We wcześniejszym okresie terminator kupiecki mógł już po wyzwoleniu założyć własny sklep. W okresie Oświecenia zaczęto jednak wymagać około trzech lat pracy czeladniczej w większych firmach przed założeniem własnego sklepu. Poza tym założenie własnego sklepu w Warszawie wymagało posiadania 6000 złp. kapitału zakładowego i 300 złp. opłaty do skrzynki konfraterni kupieckiej dla kandydata na kupca hurtowego, a 180 złp. dla kupca detalicznego. Te bariery finansowe sprawiały, że najpewniejszą drogą do kariery kupieckiej był bogaty ożenek z wdową lub córką właściciela sklepu, a specjalne ulgi mieli synowie zamożnych kupców. Interesów uboższych czeladników miało pilnować „Bractwo Młodzianów Kondycyji Kupieckiej", które ułatwiało jedynie znalezienie pracy i pozwalało na zabawę we własnej gospodzie. O pozycji, a zwłaszcza o starcie kupca warszawskiego decydował pieniądz.

Zdobywanie go było łatwiejsze poza murami Starej i Nowej Warszawy. Największym skupiskiem sklepów z towarami zagranicznymi stał się po 12 września 1696 r. Marywil, czyli Marie-ville, założony przez królową Marysieńkę Sobieską w rocznicę zwycięstwa pod Wiedniem. Przeznaczeniem tego zespołu budynków było utworzenie wielkiego bazaru ułatwiającego masowy zbyt towarów francuskich. Tego rodzaju pomieszczenie stało się niezbędne wobec wcześniejszego zajęcia trzydziestu sześciu kramów staromiejskiego ratusza przez konkurencyjnych kupców ormiańskich. Bazar rozwijał się szybko i „w połowie XVIII stulecia [...] w budowlach Marywilu kupcy krajowi i zagraniczni utrzymywali w sklepach liczne składy różnych towarów; następnie traktiernie, kawiarnie, bilardy, gry rozmaite i szulernie w tym gmachu pojawiły się. Zagraniczni kuglarze i mechanicy tam dowody swej zręczności okazywali; bogaci bankierowie i wekslarze tu również mieli swoje kantory. Nareszcie w obszernych salach pierwszego piętra wyprawiano bale, reduty i wszelkie inne zabawy".[45] Marywil stał się więc siedliskiem najrozmaitszych form handlu, wyłamujących się z przepisów konfraterni kupieckich. Stał się groźną konkurencją dla sklepów Starej i Nowej Warszawy, sprzedając towary tańsze i gorsze. Ok. 1785 r. Marywil zyskał nową konkurencję w postaci małych kramików żydowskich, powstających w dawnym pałacu Warszyckich. Tzw. Pociejów zniszczył niskimi cenami i dużymi obrotami handlowymi francuskie i polskie firmy Marywilu i zajął ich miejsce.

[45] F. M. Sobieszczański, *Pogląd na postać miasta Warszawy*, 1952, cyt. za: W. Gomulicki, *Opowiadania o Starej Warszawie*, Warszawa 1960, przypisy J. W. Gomulickiego, s. 377—378.

Mieszczaństwo warszawskie próbowało przeciwstawić się groźnej konkurencji kupiectwa żydowskiego drogą skarg urzędowych. Walczono także innymi środkami. Coraz częściej powtarzały się pogromy sklepów żydowskich. Wśród najgroźniejszych wymienić należy pogrom sklepów na Nowej Jerozolimie (dzisiejszych Alejach Jerozolimskich) w 1776 r. i okrutną grabież sklepów na Pociejowie i Marywilu w 1790 r. Pogromy te były wyrazem niezadowolenia pospólstwa warszawskiego, które skierowywało się przeciw najbardziej bezbronnym konkurentom. Powrócimy do tej sprawy w ostatnim rozdziale tej książki. Wobec pogromów rozpowszechniła się nowa forma handlu żydowskiego — handel obnośny po domach. Ta forma handlu, wygodna dla nabywców szlacheckich, znajdowała obrońców wobec władz miejskich: „Gdy zaś łapano Żyda niosącego towary i konfiskowano mu je, to często znajdował się ktoś z wpływowych dam lub panów, który tłumaczył, że towary te do niego właściwie należały, a Żyd niósł je tylko jako posłaniec lub też agent, który je nabył na rzecz proszącego." [46]

Konkurencja handlu obnośnego była zawsze groźna dla drobnych sklepikarzy i kramarzy. Po 1772 r. skarżono się, że „markietanów i filiponów tyle się w środek kraju, a szczególnie do miasta Warszawy natłoczyło, iż w połowie handel prawie kupcom i sposób zarobków rzemieślnikom krajowym odjęli. Nie tylko towary, ale nawet różne wyrobione rzeczy i efekta po wszystkich częściach miasta, ulicach i sklepach przedają, zarobki za granicę wysyłają, a krajowych kupców i rzemiosła niszczą." [47] Przejściowe nawet konkurencje drobnych kramarzy rozpraszały niewysokie zarobki kupieckie, rozprowadzając wielką liczbę drobnych towarów.

Pod koniec okresu Oświecenia, w 1792 r., rozmiary handlu warszawskiego przedstawiały się następująco: wszystkich bankierów, wekslarzy, liwerantów, czyli dostawców wojskowych, hurtowników i różnych przedsiębiorców, kupców, handlarzy, przekupniów, kramarzy, tandeciarzy, kolektorów, czyli sprzedawców losów loteryjnych, faktorów — pośredników, „krowian i kurników", czyli handlarzy bydłem i kurami, było w całym mieście 1467, a z rodzinami, często pomagającymi w handlu, 5430. Wśród tych różnego rodzaju handlarzy 64% stanowili osiadli mieszczanie warszawscy, 31,5% Żydzi, reszta to nieliczni przedstawiciele dawnej szlachty trudniący się handlem czy nobilitowani bankierzy i zamożni kupcy. Jeszcze w 1744 r. musiano powtórzyć dawniejszą uchwałę sejmową: „Szlachcic wszelkiego rodzaju kupiectwem się bawiący szlachectwa utracać nie będzie." [48]

Jak wyglądały sklepy największych warszawskich kupców? Za czasów saskich przedstawiały się one dość skromnie. Spolszczeni Ormianie na rynku Starego Miasta sprzedawali wychodzące już nieco z mody towary wschodnie: wspaniałe złoto- i srebrnolite jedwabne wzorzyste tkaniny i pasy kontuszowe, bogato ozdobione uprzęże końskie i broń. Wymienić tu można Paschalisa Jakubowicza, równocześnie właściciela persjarni, Muradowiczów, Jędrzejewiczów, Minasowicza, Makarowicza, Krzysztofowicza i Łukasiewicza. Najwspanialszy skład sukna miał w tym

[46] A. Zaleski, *op. cit.*, s. 72.

[47] S. Szymkiewicz, *Warszawa na przełomie XVIII i XIX wieku w świetle pomiarów i spisów*, Warszawa 1959, s. 197; Wł. Smoleński, *Mieszczaństwo warszawskie w końcu XVIII wieku*, Warszawa 1917, s. 20—21.

[48] S. Szymkiewicz, *op. cit.*, s. 196—199.

czasie Gautier przy ul. Świętojańskiej, a tkaniny jedwabne sprzedawali Dulfus, Nazon i Denoyer. W latach trzydziestych XVIII w. Włoszka z Syrakuz, zwana w Warszawie Srajkoziną, zrobiła majątek na wyrobie i handlu tabaką. „Ta tedy pani wymyśliła tabakę proszkową w takich ziarnach jak proch ruszniczy i takiego koloru [...]. Ta tabaka w krótkim czasie taki znalazła do siebie nacisk [popyt], że nie tylko w Warszawie nicht już więcej innej tabaki zażywać nie chciał, tylko proszkową, ale też kto nawiedzał Warszawę, starał się, aby z niej bez tabaki proszkowej nie wyjechał." Mimo konkurentów „poki żyła Srajkozina, nicht jej szczęścia do tabaki wydrzeć nie mógł. Zrobiła sobie fortunę z tego mizernego proszku, kupiła sobie kamienicę i powydawała córki za szlachtę z dobrymi posagami." [49] Po jej śmierci handel tabaką prowadzili Fontana i Bizesti. Wspominaliśmy o założeniu manufaktury wytwarzającej tabakę. Wobec wzmożenia popytu na ten towar nie wystarczało już krajanie jej obok sklepu, konieczna się stała bardziej masowa produkcja.

W 1789 r. Warszawa posiadała 181 większych firm mających szerokie stosunki handlowe z zagranicą. Komisja Skarbu Koronnego pozwoliła, aby paki z towarami przeznaczonymi dla tych firm dochodziły bez rewizji celnych do warszawskiej komory. Wśród tych hurtowych kupców nie było oczywiście kramarzy, sklepikarzy i przekupniów żydowskich. Między tymi firmami wymienić można np. księgarzy, z których najstarsi skupili się na Świętojańskiej: Lokajewski, Szczepański, Nawarski i Słowiński. Największą rolę odgrywał Michał Gröll, księgarz i wydawca z Marywilu, a także Dufour z Krakowskiego Przedmieścia.

Nowością okresu Oświecenia były sklepy uniwersalne z towarami francuskimi i angielskimi, skupiające się przeważnie na Krakowskim Przedmieściu. Należały one do F. Hampli, Jarzewicza, Roeslera, Prota Potockiego i Teppera. Można w nich było „przy najwytworniejszym urządzeniu [...] znaleźć francuskie i angielskie wyroby najrozmaitsze, począwszy od powozów do piórek od zębów, całe urządzenia domów i woreczki na listy, żyrandole i okulary, baterie kuchenne i igiełki, szory na konie i łańcuszki do zegarków, płótna, muśliny, skóry na buty, podeszwy, lak, papier i piwo angielskie. Co tylko chciało należeć do dobrego tonu, musiało brać wszystko z tych sklepów, w których nie do wiary ogromne ceny płacono, gdy tymczasem krajowi przemysłowcy i rzemieślnicy, nawet najzręczniejsi, nie mieli utrzymania i zachęty żadnej." [50] Wejdźmy za pamiętnikarzem Janem Bernoulli do sklepu kupca Hampli w 1778 roku. Mieścił się on w pawilonie pałacu Radziwiłłowskiego i posiadał wspaniały zestaw mebli i dzieł sztuki: „w licznych pokojach widzi się takie bogactwo srebrnych, brązowych, kryształowych i marmurowych wyrobów, waz, posągów i obrazów, że aż ćmi się w oczach. Obrazy i rzeźby wykonane są przez świetnych artystów z różnych krajów, a meble, gzymsy do kominków itp. odznaczają się niezwykłą wytwornością." [51]

Inny charakter miał „sławny magazyn Jaziewicza [Henryka Jarzewicza] przy ulicy Miodowej, założony samym angielskim towarem, wysoko płaconym, bo najmniejszy tam drobiazg kosztował jeden angielski szeling, czyli nasze dwa złote.

[49] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, s. 566—567.
[50] F. Schulz, *op. cit.*, s. 430.
[51] J. Bernoulli, *Podróż po Polsce 1778 (Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców*, t. I, s. 422).

Przy tym wszystko szło za gotowy pieniądz i obecnemu raz królowi w magazynie sam Jazewicz wyznał, że u niego nie było książki kredytowej". Popyt na te towary był wynikiem charakterystycznej dla późniejszego okresu Oświecenia anglomanii, która tak zapanowała, że „dostać już można było w Warszawie, tak jak w Londynie, drzewa mahoniowego w klocach, z którego robiono posadzki, sprzęty, drzwi do pokojów, ramy do okien, wszystko *massif*, czyli wskroś mahoniowe. Ubierano się od stóp do głów samym wyrobem angielskim; sukno, kazimir, norder, wigoń, pika, trykota, guziki, podeszwy, cholewy itp. — wszystko angielskie". Jeden z najbogatszych kupców warszawskich, Roesler, był także współwłaścicielem największej spółki handlu towarami norymberskimi, czyli drobnymi przedmiotami domowego użytku, galanterią, zabawkami. Dwa duże sklepy tych towarów mieściły się na Krakowskim Przedmieściu w okazałej kamienicy, zbudowanej według projektu architekta Zuga, i przy ul. Bielańskiej w tzw. Domu Brandenburskim. W pierwszym ze sklepów sprzedawano typowe towary norymberskie, w drugim towary importowane z Prus, a więc berlińską porcelanę i liche tkaniny półjedwabne. [52]

Przy tych wielkich magazynach towarów importowanych korzystnie wyróżniał się sklep Prota Potockiego, bankiera i ostatniego wojewody kijowskiego, na Krakowskim Przedmieściu. Obok importowanych artykułów zbytku sprzedawano tam wyroby zespołu manufaktur tegoż magnata z Machnówki, a więc sukna, koce, perkale, pończochy, powozy, meble itp. Inne zespoły manufaktur magnackich także zbywały część swych wyrobów w kantorach stołecznych, konkurując z wyrobami zagranicznymi. Wielkie magazyny, zapełnione przedmiotami zbytku, były za drogie dla ogromnej większości mieszkańców stolicy i części przyjezdnej szlachty. Średnio zamożny nabywca udawał się do Marywilu, później do Pociejowa i kupował tam lżejsze tkaniny półwełniane, tańsze sukna, perkale i kolorowe, drukowane płótna, galanterię, pończochy, rękawiczki, barwne fajanse i różne inne drobiazgi. „Wiadomo, że Żydzi wszelką starzyzną frymarczą, tu zaś w czasie sejmów mają sobie dozwolone kupczyć nowym towarem w sklepach: część Senatorskiej ulicy jest nimi obsadzona. Tu trzymają szczególniej futra, płótno, bawełniany towar, jedwabie, sukna itd. Sprzedają je tanio, a sklepy zawsze kupujących pełne." [53] Ubodzy wielbiciele książek i sztychów nie zaglądali do księgarń, lecz nabywali używane druki na Senatorskiej i Długiej u przekupniów ulicznych.

Handel warszawski czasów Oświecenia uległ daleko idącemu zróżnicowaniu. Zaofiarowywał on różnej jakości towary przy znacznych rozpiętościach cen. Najbogatsi kupcy i bankierzy prowadzili wspaniałe magazyny przeznaczone dla przyjezdnych magnatów, dworu królewskiego i górnej warstwy mieszczaństwa. Bankierzy pochodzenia mieszczańskiego celowali w niesłychanie wystawnym trybie życia, wkupując się niejako do warstwy magnackiej, z którą handlowali. Kontakty towarzyskie były im nieraz potrzebne, jednakże granica pomiędzy finansowo opłacalnym wkupywaniem się w towarzystwo a rozrzutnością była trudna do utrzymania. „Zbytek w rodzinie Teppera do tego dochodził stopnia, że każdy z synów, a było ich kilku, osobny musiał mieć ekwipaż; córki zaś pić nie mogły herbaty,

[52] A. Magier, *op. cit.*, s. 127 i 253.
[53] F. Schulz, *op. cit.*, s. 425—426.

jeżeliby na węglach z Anglii sprowadzonych nie była zrobioną." [54] Pomnażała się równocześnie ilość drobnych sklepów z modnymi drobiazgami, przeznaczonymi dla szerokich rzesz nabywców. Cały ten handel, oparty po części na towarach importowanych, konkurował z dawnymi sklepami Starej i Nowej Warszawy. Zaczęto stosować prymitywne jeszcze formy reklamy handlowej. Zwłaszcza przyjezdni cudzoziemcy chętnie udostępniali za opłatą swe „rzadkie sekrety" na temat spędzania plam, wybielania zębów, wyrobu laku czy atramentu lub reklamowali zagraniczne drobiazgi. [55] Najbiedniejsi przekupnie uliczni i kramarze sprzedawali towary przechowywane w noszonej przed sobą skrzynce czy dużym pudle. Z tych różnorodnych form pośrednictwa handlowego utrzymywało się w stolicy kilka tysięcy osób należących do wszystkich warstw społeczeństwa miejskiego, od bankierów i hurtowników do ubogich przekupniów.

[54] M. Czacki, *Wspomnienia z roku 1788. Po r. 1792*, Poznań 1862, s. 114; W. Kornatowski, *Kryzys bankowy w Polsce 1793 roku*, Warszawa 1937.

[55] Dla przykładu ogłoszenia Włocha Bono: „Gazeta Warszawska", Suplement do nru 43 i 45 z 31 maja i 7 czerwca 1775 roku.

SZKOLNICTWO I WYCHOWANIE

Szkoły parafialne i kolegia klasztorne

W programie reform społecznych wieku Oświecenia do spraw nauki i wychowania młodzieży przykładano wielką wagę. Sądzono, iż będzie ono rękojmią wykształcenia światłych, patriotycznych obywateli, zdolnych uratować kraj od zguby, do której niechybnie prowadziło ją ciemne i nieuczone pokolenie czasów saskich. Jednak aż do lat siedemdziesiątych nie zaszły zasadnicze zmiany w szkolnictwie podstawowym tak w Warszawie, jak w innych miastach i osadach Polski. Dzieci od lat siedmiu uczęszczały do szkół elementarnych, czynnych przy kościołach parafialnych i kolegialnych. Najstarsze z nich powstały w okresie średniowiecza, jak szkoła przy kolegiacie Św. Jana, kościele N. Marii Panny na Nowym Mieście, w XVI w. przy Św. Krzyżu. Do szkół tych uczęszczali tylko chłopcy, dziewczęta pobierały naukę w domu. Polegała ona na umiejętności czytania, szycia oraz, w zamożniejszych rodzinach, również na znajomości języka obcego — francuskiego lub niemieckiego. W szkole parafialnej uczono przede wszystkim katechizmu, umiejętności czytania i początków łaciny, które wtłaczano do głowy za pośrednictwem podręcznika gramatyki napisanego przez portugalskiego jezuitę Emanuela Alvareza w XVI w., a także posługiwano się dziełem Aeliusa Donatusa, używanym jeszcze za czasów wczesnego średniowiecza, a uznanym za doskonałe już w IV w. n. e.

Metodą osiągnięcia dodatnich wyników nauczania było stosowanie w szkołach kar moralnych i cielesnych, przy czym te ostatnie przeważały. Dzieci ciągle bito za złe zachowanie, nieprzygotowanie lekcji czy po prostu za brak zdolności pamięciowych, bo system nauczania polegał zwykle na wkuwaniu pensów, czyli zadanych ustępów z podręcznika. Karano także niedopuszczaniem do zjedzenia obiadu czy klęczeniem, ale przede wszystkim bito po rękach placentą, czyli grubą, okrągłą skórą złożoną w kilkoro albo karcono dyscypliną, a więc rózgą splecioną z siedmiu lub dziewięciu rzemieni czy też sznurów. „Na sporszych chłopaczków, więcej nad lat siedym starszych, używano kańczuga. Był to rzemień twardy, innym rzemieniem tęgo opleciony, na trzonku drewnianym osadzony." [1] Dzieci były zastraszone, a nieraz w sposób sadystyczny nękane przez nauczycieli, wśród których wielu nie posiadało nie tylko kwalifikacji zawodowych, ale i moralnych. Kładą na to nacisk ustawy szkolne Konarskiego, w których mówi on o cnotach wymaganych od wychowawców: „Pierwszą i najkonieczniejszą dla nauczyciela cnotą jest trzeźwość. Niechże się więc przede wszystkim o nią starają i ściśle jej strzegą. [...]. Rózgi, baty, dyscyplina, bicie po łapach jakimkolwiek narzędziem zostaje raz na zawsze we wszystkich klasach całkiem wzbronione pod karą [...]. Bicie zaś ręką lub czymkolwiek po głowie i po twarzy, szarpanie za włosy, targanie za uszy, dawanie szczutków w nos itp. są po prostu nie do pomyślenia w naszych szkołach." [2]

[1] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, s. 71—72.

[2] *Ordinationes visitationis apostolicae... pro Provincia Polona Clericorum Regularium Pauperum Matris Dei Scholarum Piarum, 1753—1754. O obowiązkach, zaletach i obyczajach nauczycieli i profesorów*, cyt. za: *Źródła do dziejów wychowania i myśli pedagogicznej*, Warszawa 1965, t. I, s. 572, 573.

Po kilku latach nauki w szkole parafialnej część chłopców oddawano do terminu w warsztatach rzemieślniczych, by zdobyli zawód, pozostali zaś kontynuowali naukę w szkole średniej. W Warszawie czynne były dwa kolegia — jezuitów i pijarów. Uczniowie ich pozostawali ciągle w stanie wojny. Około r. 1740 otwarto jeszcze konwikt ojców teatynów, szkołę ekskluzywną dla młodych magnatów. W kolegiach jednakowo traktowano i nauczano wszystkich uczniów, bez względu na ich pochodzenie społeczne. Dla przedstawicieli możniejszych rodzin rezerwowano pierwsze ławki, z tym że nie wykazujących postępów przenoszono na tak zwaną „oślą ławę", znajdującą się pod piecem. Metody wychowawcze, podobnie jak w szkole podstawowej, oparte były na stosowaniu kar. W klasach niższych, zwanych infima lub parwa, młodzież uczyła się przede wszystkim podstaw gramatyki łacińskiej, w klasach wyższych przystępowano do przyswajania sobie reguł składni, wymowy i poetyki. Na tym kończyło się zazwyczaj wykształcenie przeciętnego młodzieńca. Niewielki procent kandydatów do stanu duchownego pobierał dalsze nauki poznając teologię oraz zasady filozofii, która zawierała w swym programie naukę „dialektyki, fizyki, logiki i metafizyki". Do tych przedmiotów dodawano w programie nieco godzin poświęconych matematyce. Nie dopuszczano do programu szkolnego wiedzy o najnowszych osiągnięciach nauk przyrodniczych czy humanistycznych. W Warszawie nie było żadnej szkoły wyższej, dlatego też, ażeby uzyskać dyplom doktora filozofii, medycyny czy teologii, po dalszą wiedzę udawano się do jedynej, działającej wówczas w Polsce wyższej uczelni, Akademii Krakowskiej. Najczęściej jednak młodzież wyjeżdżała na studia za granicę, do Włoch i Francji, ponieważ w Krakowie nadal panowała scholastyka i nie przenikały do niego współczesne prądy naukowe.[3]

Pierwszym zwiastunem nowych tendencji wychowawczych Oświecenia była przeprowadzona przez Stanisława Konarskiego reforma w szkolnictwie pijarskim. W Warszawie otworzono z jego inicjatywy Collegium Nobilium, szkołę średnią przeznaczoną dla młodzieży szlacheckiej, a zorganizowaną z myślą o wychowaniu obywateli zdolnych do kierowania losami ojczyzny. Dawny budynek kolegium pijarskiego przy ul. Długiej powiększono o nowy gmach, sąsiadujący z nim przy ul. Miodowej. Powstał w ten sposób zespół o charakterze wielkiego założenia pałacowego z ozdobną, w rokokowym stylu utrzymaną fasadą, będącą dziełem architekta Jakuba Fontany. Później Kolegium jeszcze raz przebudowano i w r. 1786 Stanisław Zawadzki nadał jej modną, klasycystyczną elewację. Natomiast wnętrze nie miało nic wspólnego z rozplanowaniem pałacowym czy dawnych kolegiów, które zbliżone było do budynków klasztornych. Na parterze znajdowały się oprócz jadalni pomieszczenia gospodarcze z kuchnią oraz sale tańca i fechtunku, na pierwszym piętrze sale do nauki, a na najwyższych kondygnacjach mieszkania profesorów i uczniów, którzy zajmowali też sypialnie mieszczące się w skrzydłach oficyn. W jednym z nich znajdowała się sala teatralna, której balkon połączono z środkową częścią gmachu, zamieszkałą przez wychowanków. W drugim skrzydle była kaplica, biblioteka oraz muzeum. [4]

[3] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, s. 73 i n.; *Historia wychowania*, red. Ł. Kurdybacha, Warszawa 1965, t. I, s. 575 i n.

[4] Z. Bobrowski, *Budynki użyteczności publicznej w Polsce wieku Oświecenia*, „Studia i Materiały do Teorii i Historii Architektury i Urbanistyki", t. III, 1961, s. 80—81.

Wspomnieliśmy, że za cel wychowania uznano konieczność przygotowania nowego pokolenia reformatorów oraz działaczy społecznych i politycznych. Dlatego też Konarski oparł swój system wychowawczy na wdrażaniu cnoty posłuszeństwa i poczucia sprawiedliwości, które pozwoliłyby uniknąć anarchii, prowadzącej społeczeństwo do zguby. Miało to wpłynąć na uregulowanie stosunku warstwy magnackiej do ludzi niższych stanów. Rozbudzone w dzieciństwie poczucie honoru oraz pragnienie sławy miały rozwijać ambicję, stanowiącą podstawę do uzyskania wiedzy. Ze szkoły usunięto dawne kary cielesne. W młódź szlachecką wpajano zasady równości naturalnej ludzi, twierdząc, „że jest tylko rzeczą przypadku i ślepego losu pochodzenie ze szlacheckiego domu i szlacheckiej rodziny, że prawdziwe szlachectwo polega jedynie na cnocie i jest bodźcem do cnoty, że bez cnoty, zdolności i uczciwych obyczajów jest szlachectwo czcze i próżne". [5] Konarski stawiał też duże wymagania nauczycielom zarówno co do poziomu wiedzy oraz sposobów jej przekazywania, jak i własnej moralności. Pouczał ich, że: „Nauczyciel uprzejmy, grzeczny, wykształcony, roztropny i sam dobrze wychowany będzie się zawsze wstrzymywał od brzydkich i ordynarnych przezwisk. [...] Wszyscy nauczyciele powinni między sobą pielęgnować zgodę i miłość braterską i wszelkimi sposobami zapobiegać, aby ani cień ich nieporozumień nie dostał się do klasy. [...] Nie ma nic obrzydliwszego i bardziej tamującego postępy uczniów, jak ospałość nauczającego, gnuśność, niechlujność, nawyk ciągłego siedzenia, zamierające wciąż bąkanie, poziewanie i widoczny przymus, jakby nauczyciel nie cierpiał swego obowiązku i czuł do niego wstręt." [6] Wymagano, ażeby nauczyciele nie przyjmowali podarków, a także zachowali powagę i bezstronność w postępowaniu z uczniami różnego pochodzenia społecznego. Trudno było oczywiście o tak dobrany zespół pedagogów, aby potrafił on jednocześnie wprowadzić nowy system nauczania i nowy system wychowawczy.

Młodzież w Collegium Nobilium przechodziła przez pięć klas, w których nauka trwała osiem lat. W pierwszych głównym przedmiotem nauczania była łacina, pojęta jednak nowocześnie, jako środek konieczny do zrozumienia wielu dziedzin wiedzy. W klasach wyższych zmniejszono ilość godzin na nią przeznaczonych, a na to miejsce wprowadzono tak mało dotychczas wykładane przedmioty, jak matematykę, systematyczną naukę języków obcych, historię powszechną i historię Polski, geografię, unowocześniono program filozofii. Uczniowie obowiązani byli do czytania gazet w językach obcych, co miało im ułatwić wprowadzenie w zagadnienia polityczne i społeczne innych krajów Europy. Obowiązywała ich również lektura postępowych filozofów nowożytnych, Kartezjusza, Locke'a, Spinozy i innych. Wielką wagę przykładano do nauk przyrodniczych, zwłaszcza fizyki eksperymentalnej, której wykład łączono z zajęciami praktycznymi. Czasami lekcje fizyki były dostępne również dla szerszej publiczności. Ogłaszano wówczas w prasie, że „JXiądz Osiński Scholarum Piarum, profesor fizyki eksperymentalnej *in Collegio Nobilium*, zaczyna dnia 1 maja roku teraźniejszego 1781 lekcje publiczne po polsku ze swej fizyki eksperymentalnej ze wszystkimi doświadczeniami. Lekcje będzie miewał przez maj, czerwiec i lipiec, na tydzień dwa razy, to jest: we wtorki i czwartki, od go-

[5] St. Konarski, *Mowa: jak od wczesnej młodości wychowywać uczciwego człowieka i dobrego obywatela*, 1754 r., cyt. za: *Źródła do dziejów wychowania i myśli pedagogicznej*, s. 563.

[6] *Ordinationes visitationis apostolicae...*, s. 572, 573, 574—575.

dziny czwartej do piątej. (Święta ekscypują się.) Na te lekcje dla wszystkich wolne wniście. Będą bywały w sali teatralnej." [7]

W Kolegium uczono również przedmiotów z zakresu architektury cywilnej i wojskowej. Nie zaniedbywano też rozwoju fizycznego i sprawności młodzieży, prowadząc na lekcjach gimnastyki ćwiczenia z musztry wojskowej, konnej jazdy i tańca.

Większość przedmiotów wykładano w mowie ojczystej, która co prawda dopiero od klas wyższych stawała się głównym językiem wykładowym. Przygotowując przyszłych reformatorów i polityków uczono ich również swobody obcowania, poprzez kontakty z wybitnymi ludźmi z kraju i zagranicy. Dla wyrobienia dobrych manier towarzyskich młodzież bywała również na dworze królewskim i w znaczniejszych rezydencjach magnackich. Aby udostępnić uczniom dzieła dramatyczne, a także by wdrożyć ich do rozrywek kulturalnych, organizowano przedstawienia, które odbywały się w sali teatralnej Kolegium. [8]

Najbogatsza młodzież Warszawy, a także przyjezdna kształciła się w modnym, kosztownym kolegium teatynów, zwanym Collegium Varsaviense, założonym przez zakonników przybyłych z Włoch. Klasztor i konwikt znajdowały się w niedalekim sąsiedztwie pijarów przy ul. Długiej. Wychowanie w tej szkole pozbawione było całkowicie jezuickiej bigoterii, pompy oraz przesadnych praktyk religijnych. Program obejmował, oczywiście, również naukę historii, geografii, matematyki, a także lekcje poglądowe i doświadczenia z zakresu fizyki. Wielką wagę przykładano do nauki języków obcych. W czasie posiłków prowadzono konwersację w języku włoskim, natomiast ze służbą młodzież mogła rozmawiać po francusku i niemiecku. Wychowanie i naukę traktowano indywidualnie, zależnie od woli profesora i w dużej mierze od chęci i zainteresowań ucznia, który miał do dyspozycji kilku nauczycieli. Nie było żadnego rozkładu lekcji. [9] Wśród pedagogów trafiali się znakomici fachowcy, jak ojciec Antoni Maria Portalupi, wychowawca Stanisława Augusta, ale również ludzie nieodpowiedni, jak wykładowca języka polskiego, który rzucał się na wychowanków z nożem, gdy ci ośmielili się powątpiewać w dogmat Niepokalanego Poczęcia. [10] W szkole tej kształciło się niewielu uczniów, przeważnie trzydziestu kilku (w szkole pijarów znajdowało się ich kilkuset). Być może, cudzoziemscy nauczyciele nie budzili specjalnego zaufania u rodziców. Nie bez znaczenia były również bardzo wysokie koszty nauczania, nieproporcjonalne do nikłych niejednokrotnie jego wyników.

Nauczanie i wychowanie w Szkole Rycerskiej

Znacznie większym powodzeniem niż kolegia cieszyła się, założona w r. 1765 z inicjatywy Stanisława Augusta, świecka szkoła dla synów szlacheckich. Jej pełny tytuł brzmiał: Akademia Szlacheckiego Korpusu Kadetów JKMci i Rzplitej, zwano ją również Szkołą Rycerską JPP Kadetów JKM. Kształcić w niej miano młódź

[7] „Gazeta Warszawska", Suplement do nru 34 z 28 kwietnia 1781 r.
[8] *Historia wychowania*, s. 587 i n.
[9] Tamże, s. 579 i n.; F. Kurowski, *Pamiątki miasta Warszawy*, Warszawa 1949, t. III, s. 32—33, 36—37.
[10] A. Brückner, *Dzieje kultury polskiej*, Kraków b. r., t. III, s. 291.

do służby wojskowej, a także przygotowywać obywateli zdolnych do zastąpienia dygnitarzy i urzędników, pozostałych w kraju w spadku po panowaniu Sasów, a nie przynoszących mu chluby. Szkoła nie otrzymała nowego gmachu. Przebudowano na ten cel dawny Pałac Kazimierzowski, który zakupił król od rodziny Sułkowskich. Podobnie jak w Collegium Nobilium pomieszczenia gospodarcze, sala fechtunków i tańca mieściły się na parterze. Nad nimi, na antresoli wbudowanej między piętrami, jak również na najwyższej kondygnacji znajdowały się sypialnie kadetów. Każdą z nich podzielono na cztery części, przy czym dwie z nich mieściły po sześć łóżek, a dwie po cztery łóżka. Pośrodku wydzielono miejsce dla podbrygadiera. Na pierwszym i drugim piętrze były sale wykładowe i kaplica. Szkoła Rycerska posiadała też wielką bibliotekę, obserwatorium astronomiczne i mały szpital. Zabudowania pałacowe wraz z czterema rzędami pawilonów stojących po bokach głównego gmachu dawnego pałacu tworzyły zespół jakby wydzielonego miasteczka. Prowadziła do niego monumentalna brama kamienna, ozdobiona globem.[11]

W Szkole Rycerskiej obowiązywał program średniej, ogólnokształcącej uczelni. Jednocześnie wychowankowie przechodzili szkolenie wojskowe, na które kładziono wielki nacisk. Celem wychowawczym było nie tylko przygotowanie wojskowe kadeta, ale również „uformowanie dobrego obywatela i człowieka przyjemnego w obcowaniu". Przyjmowano początkowo chłopców w wieku od 16 do 21 lat. W praktyce okazało się jednak, że kształcenie zaawansowanej wiekiem młodzieży, która w dodatku pochodziła z różnych środowisk szlacheckich, nastręczało poważne trudności wychowawcze i dydaktyczne. W r. 1768 nastąpiła reforma szkoły, po której zaczęto przyjmować chłopców w wieku od 8 do 12 lat. Ze względu na dwukierunkowość nauczania kadeci podlegali dwojakiemu podziałowi: przydzielano ich do klas, uwzględniając postępy w nauce, oraz do brygad wojskowych.

Profesorowie nauczali w języku ojczystym. Od pierwszych klas (było ich 8, a potem 7) wpajano — przy sposobności nauki czytania, pisania, ortografii i stylu — znajomość dziejów ojczystych, a następnie historii literatury polskiej oraz nauki moralnej. Uczono również matematyki teoretycznej i praktycznej, zasad fortyfikacji, rysunku, nauk przyrodniczych oraz języków nowożytnych. Kierunek ten miał zapewnić harmonijny rozwój umysłu dziecka i wyrobić w nim umiejętność samodzielnego myślenia. Młodzież korzystała z licznych pomocy szkolnych, z zasobnej biblioteki, dostępnej również dla ludzi nauki, oraz gabinetów ze zbiorami botanicznymi, zoologicznymi, a także przeznaczonymi do doświadczeń fizycznych. Urządzono je staraniem księcia Adama Czartoryskiego, komendanta Korpusu Kadetów. Znaczne trudności wynikały z braku podręczników w języku polskim. Usiłowano je przełamać zwracając się do Towarzystwa Literatów w Polszcze Ustanowionego dla opracowania najlepszych i najpotrzebniejszych krajowi książek. Po kilku latach młodzież mogła się uczyć nie tylko z robionych na lekcjach notatek, ale również z nowych podręczników. Podręcznik języka łacińskiego opracowany został przez Franciszka Fookowitza, historii powszechnej przez Kajetana Skrzetuskiego. Nie było natomiast podręcznika polskiego do historii ojczystej. Również do przedmiotów z zakresu wiedzy wojskowej, fortyfikacji, miernictwa i inżynierii, wykładanych w grupie tzw. École du Génie pod kierunkiem Adama L. Bosrogera, dysponowano już polskimi podręcznikami.

[11] Z. Bobrowski, *op. cit.*, s. 82—83; F. Kurowski, *op. cit.*, t. I, s. 45.

Kadeci uprawiali gimnastykę, ćwiczyli musztrę i szermierkę. Dla swobodnego rozwoju fizycznego i odpoczynku odbywali wycieczki za miasto, najczęściej na Fawory i Bielany, gdzie oddawali się beztroskim zabawom lub też odbywali ćwiczenia w zakresie pomiarów terenu czy szkiców z natury. Dbano również o wyrobienie form towarzyskich. Główny nacisk kładziono jednak na patriotyczne wychowanie kadetów. Jego kierunek ideowo-moralny wytyczał *Katechizm kadecki* ułożony przez Adama Czartoryskiego w r. 1767. Wychowanie to wcielano w życie nie za pomocą zakazów i nakazów, ale przez szlachetne współzawodnictwo młodzieży, tworzącej zastępy dekurii, tj. samowychowawczych kółek uczniowskich, opartych na zasadzie samorządu uczniowskiego.[12]

Interesujący i dokładny opis pobytu w Korpusie Kadetów pozostawił w swych pamiętnikach Julian Ursyn Niemcewicz, który przebywał w nim od 1770 do 1777 r., ukończywszy wszystkie siedem klas. Oto jak przedstawiał się zwykły dzień kadeta: „Bito pobudkę o godzinie 6: wstawaliśmy i ubieraliśmy się, o 6 1/2 obzierali nas oficerowie, potem na mszę. Po mszy każdy dostawał kawałek chleba z masłem, kto miał za co, posłał do Elżbietki po kawę. O ósmej do klas. O 11 3/4 czterech kadetów i gefrajter wychodzili, brali patronasze i broń i ciągnęli na wartę. Następowały zmiany warty i parol. O dwunastej obiad: cztery proste, lecz zdrowe potrawy na obiad, dwie na wieczerzę. Po obiedzie do drugiej wypuszczano nas na przechadzkę w tyle do ogrodu. Od 2 do 5 klasy [lekcje], potem repetycje, o 8 wieczerza, zabawy do 9 1/2 i do łóżka." [13]

Niemcewicz wyniósł jak najlepsze wrażenia z pobytu w Korpusie, wspominając z wielkim szacunkiem wychowawców, a przede wszystkim księcia Adama Czartoryskiego. Krytykował jednak sposób wychowania: „żeśmy na zbyt wielkich panów byli prowadzeni. Grywaliśmy komedie; umiejących tańcować wożono nas na bale po wszystkich najpierwszych domach. Nie widzieliśmy, jak zbytek i uciechy, ci, co nie byli majętnymi, przyzwyczaiwszy się z młodu do okazałości, pnąc się wyżej, niż im dozwalała mierność majątków, nie umiejąc się pogodzić z uczciwym ubóstwem, nieużytecznym byli społeczeństwu ciężarem".[14] Ze szkoły tej wyszło jednak wielu wybitnych ludzi, patriotów, by przypomnieć Tadeusza Kościuszkę, Jakuba Jasińskiego, Karola Kniaziewicza, Karola Sierakowskiego, Józefa Sowińskiego i wielu innych. Ta znakomita pierwsza szkoła wojskowa została zamknięta po upadku Powstania Kościuszkowskiego na rozkaz Katarzyny II. Szkoła Rycerska w historii szkolnictwa miała ogromne znaczenie. Postawiła ona pierwszy krok w kierunku zeświecczenia nauczania oraz szerszego wprowadzenia języka polskiego a, co za tym idzie, i podręczników pisanych w języku rodzimym. Udostępniła wreszcie swą uczelnię szerokim masom szlacheckim nie wprowadzając ograniczenia majątkowego. Zasadnicze kierunki wychowania i nauczania Szkoły przejęła Komisja Edukacji Narodowej.

[12] K. Mrozowska, *Szkoła Rycerska*, Wrocław 1961; *Historia wychowania*, s. 645 i n.
[13] J. U. Niemcewicz, *Pamiętniki czasów moich*, t. I, s. 56.
[14] Tamże, s. 57.

Wspomniane szkoły średnie powstały przed rozpoczęciem działalności Komisji Edukacji Narodowej i wprowadzeniem przez nią po r. 1773 powszechnego i bezpłatnego nauczania. Już wcześniej grupa reformatorów Oświecenia projektowała zmianę programu i systemu nauczania w Polsce, jednak realizację jej utrudniała działalność zakonu jezuickiego, w którego rękach pozostawała większość szkół w kraju. *Breve* papieża Klemensa XIV, znoszące ten zakon, otworzyło drogę powszechnej reformie szkolnictwa. W tym samym roku powstała Komisja, na której czele stanęli ludzie o najświetniejszych umysłach, choć nie zawsze o najlepszej sławie politycznej i osobistej, jak np. Ignacy Massalski i Michał Poniatowski. Oprócz nich pracowali w niej Adam Kazimierz Czartoryski, Andrzej Zamoyski, Ignacy Potocki i Joachim Chreptowicz. Z inicjatywy Stanisława Augusta sejm uchwałą z 14 X 1773 r. powołał do życia Komisję Edukacji jako pierwszą oświatową władzę świecką. Pod jej kompetencje i nadzór wchodziły wszystkie akademie, gimnazja, szkoły publiczne itp. Odtąd czas nauki młodzieży w szkołach średnich miał trwać siedem lat. Ustalono obszerny program dla siedmiu klas, który uczniowie mieli przerobić. W szerokim zakresie wprowadzono przedmioty matematyczno-przyrodnicze, takie jak botanika, mineralogia, fizyka, mechanika, hydraulika, chemia, nauki rolnicze, początki medycyny i higieny. Nauka historii Polski służyła zadaniom wychowania obywatelskiego. Celem działalności Komisji było, ażeby młodzież potrafiła znaleźć w każdej nauce rzetelny pożytek dla życia publicznego i prywatnego. Tym sposobem starano się dążyć do zrealizowania ideowych założeń Oświecenia — „szczęśliwości indywidualnej i społecznej". Tym celom służyło wprowadzenie nauki moralności. Twórcą metodyki był profesor prawa natury, Antoni Popławski. Zawierała ona zasady etyki właściwej oraz systemu nauk prawnych. W myśl poglądów głoszonych przez moralistów Oświecenia uważano, że cnoty można nauczyć, jak również można wykształcić w młodzieży dobre nawyki. Z dawnych przedmiotów pozostała oczywiście łacina, której znajomość była konieczna przy pełnieniu funkcji urzędniczych, szczególnie sądowych. Religię wykładano w szkole tylko przez trzy pierwsze klasy, a potem przenoszono jej naukę do kościołów.[15]

Młodzież i nauczyciele mieli znów poważne trudności, wynikające z braku podręczników w języku ojczystym, uwzględniających nowy program nauczania. Sprawą tą zajęło się utworzone w r. 1775 Towarzystwo do Ksiąg Elementarnych. W jego skład weszło z wyboru Komisji dziewięciu członków, którzy byli równocześnie nauczycielami kolegiów warszawskich oraz Szkoły Rycerskiej. Obeznani z metodą i organizacją pracy naukowej, posiadali również wiedzę o najnowszych osiągnięciach nauki i postępowych kierunkach pedagogiki na zachodzie Europy. W ciągu całej jego działalności w Towarzystwie do Ksiąg Elementarnych pracowało dwudziestu czterech członków pod przewodnictwem Ignacego Potockiego, a w końcowej fazie istnienia — Juliana Ursyna Niemcewicza. Wydano w latach 1777—1797 dwadzieścia siedem podręczników, wśród których były świetne, jak *Arytmetyka, Geometria* i *Algebra* znanego uczonego genewskiego Szymona Lhuilliera. Podręcznik do fizyki opracował Michał Hube, Onufry Kopczyński doskonałą

[15] M. Mitera-Dobrowolska, *Komisja Edukacji Narodowej*, Warszawa 1966, s. 59—63, 161—163.

Gramatykę dla szkół elementarnych, Grzegorz Piramowicz *Wymowę i poezję.* Wydano znakomitą *Botanikę* i *Zoologię* Krzysztofa Kluka. Przygotowano wypisy łacińskie oraz tłumaczono z języków obcych podręczniki do przedmiotów, które w kraju nie znalazły kompetentnych autorów.[16]

W Warszawskiej Szkole Wydziałowej dawnych nauczycieli duchownych zastępowano stopniowo przez wychowanków świeckiego seminarium kandydackiego, działającego przy Szkole Głównej w Krakowie. Szkoła Wydziałowa cieszyła się nie mniejszą popularnością niż Collegium Nobilium. Aż 44% jej uczniów pochodziło spośród mieszkańców Warszawy.[17]

Program szkolny nawiązywał do zasad ustalonych już w reformie Konarskiego. Realizacja jego natrafiała jednak na wielkie trudności z powodu braku kadry nauczycielskiej i podręczników oraz ze względu na niskie uposażenie nauczycieli. Również wychowane w dawnych tradycjach społeczeństwo sprzeciwiało się nowomodnym — w jego pojęciu — wymysłom. Niemniej jednak dzięki żywotności Komisji Edukacji Narodowej otwarto szkoły nawet w przytułkach sierocych. w Szpitalu Dzieciątka Jezus np. chłopcy uczyli się zarówno umiejętności czytania, jak i zawodu.

Nauczanie w domu i na pensji

Nie wszystkie jednak dzieci uczęszczały do szkół elementarnych, zawodowych czy też innych. Wiele z nich pobierało naukę w domu. W zamożnych rodzinach program wychowania obejmował znajomość języków obcych, dobrych manier oraz ogłady światowej. W braku kandydatów miejscowych sprowadzano guwernerów z zagranicy, przeważnie z Niemiec, Francji i Włoch. Należało „kosztem wielkim [...] opłacać ich drogo, jak wymaga rzadkość tych talentów w Polsce i ofiara, którą czynią opuszczając kraj, rodzinę i przyjaciół, a przenosząc się na obczyznę".[18] Nie tylko kwalifikacje ich były słabe, ale i poziom moralny pozostawiał nieraz wiele do życzenia: „Guwernerzy, nauczyciele to często złoczyńcy, których niecne postępki wygnały z ojczyzny, a których demoralizacja pogłębia się jeszcze w kraju, gdzie opinia publiczna jest nader pobłażliwa [...]. W wyborze mentora Polacy nie są wybredni. Obce pochodzenie, zwłaszcza francuskie, stanowi wystarczającą rekomendację [...]. Poznanie obcych języków jest najważniejszym celem domowego nauczania. O osobie, która mówi po francusku, niemiecku i włosku, powiada się tu, że otrzymała staranne wychowanie."[19]

Oddawano też chłopców na pensje. Niektóre z nich oferowały szeroki zakres nauczania, jak i wdrażanie w cnoty obywatelskie. „P. Duménsil, straciwszy 25 lat na edukowanie paniąt w Polszcze i na Rusi, zaczął od sześciu miesięcy dla młodych

[16] J. Lubieniecka, *Towarzystwo do Ksiąg Elementarnych,* Warszawa 1960, passim; *Historia wychowania,* s. 653 i n.

[17] K. Mrozowska, *Walka o nauczycieli świeckich w dobie Komisji Edukacji Narodowej na terenie Korony,* Wrocław 1956, s. 165.

[18] F. Schulz, *Podróże Inflantczyka z Rygi do Warszawy i po Polsce w latach 1791—1793* (*Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców,* t. II, s. 552).

[19] H. Vautrin, *Obserwator w Polsce,* (tamże, t. I, s. 792—793).

dzieci mających lat 5 lub 6 albo i więcej dawać wychowanie. Uczy języków francuskiego, niemieckiego, polskiego, włoskiego, początków pisania, arytmetyki, geografii, historii, fektowania i tańców; uczy także języka łacińskiego tych, których widzi do tej nauki sposobnych, dostarcza także metrów do muzyki różnych instrumentów, według każdego żądania. Oprócz tych pożytków najwięcej starania przykłada do nakłonienia do dobrego serca swoich uczniów, do zaszczepienia w nich cnoty i sentymentów, które czynią poczciwym człowiekiem i dobrym obywatelem. Ichmość panowie młodzi są tu utrzymywani w największej czystości i wikt mają bardzo dobry, osobliwsze mają zaś staranie o tych, którzy mogą zachorować, i o dom także, w którym mieszka, na ul. Św. Krzyża na Bielinie; [...] jest położony w najlepszym powietrzu, z ogrodem miłym dla wygody rekreacji swoich uczniów." [20] Oto ogłoszenie, które w roku 1774 ukazało się w „Gazecie Warszawskiej". Jeżeli rzeczywiście ów program wychowania i nauczania wypełniano, była to dobra szkoła prywatna, ale większość — jak wykazały wizytacje dokonywane z ramienia Komisji Edukacji Narodowej — stała na bardzo niskim poziomie.

Podobnie, a właściwie jeszcze gorzej, wychowywano młode panny. Przeważnie edukacją ich zajmował się głównie dom, który dawał córkom wychowanie niemal wyłącznie praktyczne. Czasami oddawano je do klasztorów lub na dwór magnacki, gdzie dbano głównie o ich bogobojność i polor towarzyski. W zamożnych domach: „Pierwszym jego [tj. wychowania] celem uczynić je pięknymi, miłymi i pełnymi uroku. Cnoty matki i żony pozostawują się do wyrobienia okolicznościom. [...] W tym względzie młode panienki nie otrzymują nauk, a dobrych przykładów mają mało. Plamka na twarzy lub na ręku więcej niepokoi czułą matkę jak wada umysłu, a mała cielesna ułomność mocniej niż serca kalectwo. Dziewczęta, jak tylko mówić zaczynają, dostają guwernantki. Te rzadko kiedy nie są Francuzkami, toteż wymowę, rozum i zasady nadają im francuskie." [21]

W ramach prac Komisji Edukacji Narodowej sprawą wychowania i programu kształcenia kobiet zajął się Adam Czartoryski. Ubolewał nad metodami stosowanymi dotychczas w tym zakresie i uważał, że młodzież żeńską należy wychowywać w duchu obowiązku i patriotyzmu. Dotychczas bowiem kobiety: „Żyjąc bez zamiaru, bez celu, spychają tylko dni jedne na drugie, ustawnym rozdymaniem w zagorzeniu utrzymując imaginacją, za widmem jakowejś rozkoszy uganiają się, gardzą tym, co mają, wzdychają do czegoś, co mieć nie mogą, szczęścia zawsze opodal od siebie szukają, lekceważąc co warte względów. Najdrobniejsze przyczyny miotają ich spokojność, lubo często oschłe mają dusze [...]. Poglądając na kobiety nasze (ja tu o większej liczbie mówię), chciałoby mi się częstokroć rozumieć, iż nie pod jednym z nami urodziły się niebem, lecz z dalekiego (dla rozmnożenia ludności) sprowadzone kraju, tę odbywszy powinność do innych żadnych nie czują się obowiązków." [22] Autor tych surowych uwag o wychowaniu dziewcząt zachęcał rodziców do dania przyzwoitej edukacji córkom przez najęcie nauczycieli i nauczycielek wykształconych w seminarium kandydackim w Krakowie, do posługiwania się podręcznikami polskimi, a przede wszystkim do uczenia języka ojczystego, historii

[20] „Gazeta Warszawska", Suplement do nru 69 z 27 sierpnia 1774.
[21] F. Schulz, *op. cit.*, s. 591.
[22] A. Czartoryski, *Listy Imci Pana Doświadczyńskiego*, Warszawa 1782, cyt. za: *Źródła do dziejów wychowania i myśli pedagogicznej*, s. 695, 696.

i geografii. Niełatwo jednak było przezwyciężyć dawne tradycyjne poglądy na wychowanie dziewcząt.

Młodzież żeńską oddawano również na pensje prywatne. Było ich w Warszawie trzynaście, a prowadzili je przeważnie cudzoziemcy, o czym świadczą nazwiska takie, jak de la Casa, le Fort, de Jardin, de St. Viteau. Oczywiście, były i pensje polskie, jak pani Kowalskiej czy Ledwońskiej.[23] Obowiązywały w nich przepisy opracowane przez Czartoryskiego, mianowicie znajomość języka ojczystego, dotychczas bardzo u dziewcząt powierzchowna, historii własnego kraju, początków arytmetyki potrzebnych do prowadzenia gospodarstwa domowego, a także umiejętność władania językiem obcym, co należało do dobrego tonu. Wymagano jednak nie tylko swobodnego posługiwania się mową wyuczoną, ale także znajomości gramatyki, poprawnego pisania i umiejętności tłumaczenia. Poza tym dziewczęta miały też obowiązującą lekturę, podobnie jak w szkołach męskich. Usunięto z niej jednak, jako niestosowne, niektóre książki z zakresu historii starożytnej, jak np. *Żywoty* Plutarcha, zalecano natomiast dydaktyczne dzieła pani de Lambert i *Magazyny* pani de Beaumont. Poziom nauczania na pensjach był bardzo niski, czasem wręcz skandaliczny.[24]

Dzieci i młodzież żydowska nie uczęszczały do szkół publicznych, a to z obawy przed wywołaniem nieporozumień tak na tle odrębności religijnych, jak różnicy języka i obyczajów oraz braku stabilizacji życia rodzinnego ludności żydowskiej.

Zalążki szkół zawodowych i wyższych uczelni

Warszawa nie posiadała żadnej szkoły wyższej, myślano natomiast o założeniu Akademii Nauk. Słynny architekt królewski, Dominik Merlini, zaprojektował nawet monumentalny gmach, który miał mieścić ponadto Akademię Sztuk Pięknych. Do realizacji tego projektu nie doszło. Natomiast w latach siedemdziesiątych założono dwie szkoły medyczne, mianowicie Szkołę Lekarską i Chirurgiczną wraz z kliniką mieszczącą się w klasztorze karmelitanek przy Krakowskim Przedmieściu, oraz Szkołę Medyczną kształcącą cyrulików wojskowych, przy szpitalu Św. Łazarza. Żywot ich jednak był krótkotrwały.

Dużym powodzeniem cieszyły się natomiast szkoły artystyczne. Do nich należała Królewska Szkoła Malarstwa i Rzeźby mieszcząca się na Zamku, gdzie Bacciarelli, Le Brun i inni czołowi artyści uczyli młodzież. Do szkoły rysunków założonej przez Norblina uczęszczali uczniowie tej miary, co Orłowski, Płoński, Nether, J. Rustem i inni.[25] Konkurowały z nimi najdawniejsza Czechowicza, a także Smuglewicza, który założył szkołę po powrocie ze studiów w Rzymie, i kilka innych, mniej znanych. Powstała też szkoła muzyczna z inicjatywy i funduszów synowca króla, Stanisława Poniatowskiego. „Wychowywały się w niej obu płci dzieci okazujące talenta do muzyki, ucząc się śpiewu i gry na różnych instrumentach. Jeżeli

[23] A. Nikliborc, *L'enseignement du français dans les écoles polonaises au XVIII s.*, Wrocław 1962, s. 65.

[24] *Historia wychowania*, s. 691—692; A. Brückner, *op. cit.*, s. 305.

[25] Z. Batowski, *Norblin*, Lwów 1911, s. 176 i n.

się szczególnymi postępami odznaczali, posyłał je [Poniatowski] do Włoch dla dokończenia wychowania." [26] Muzyki i tańca mogła się uczyć młodzież również w drugiej szkole, założonej przez Marcina Lubomirskiego.[27]

Dzięki działalności i przeprowadzonym przez Komisję Edukacji Narodowej reformom młodzież warszawska miała możność otrzymania wszechstronnego, ogólnego czy też zawodowego wykształcenia. W celu jeszcze lepszego wychowania nowego pokolenia na światłych obywateli kraju reformatorzy Oświecenia wysuwali dalsze projekty, uważając, że po skończeniu edukacji szkolnej młodzież winna przejść przez szkołę obywatelską, nazwaną przez Stanisława Staszica, głosiciela tej idei, nowicjatem obywatelskim. Podczas pobierania w niej nauki każdy wedle swego stanu powinien był wykazać się cnotami i przymiotami nabytymi w poprzednim okresie edukacji, ażeby wdrożyć się do najpoważniejszego obowiązku — pracy, gdyż: „próżnowanie czyni człowieka szkodliwym i sobie samemu, i innym". Tą szkołą obywatelską miała być praktyka w sądach, magistracie i innych urzędach państwowych. Przywiązując wielką wagę do tych projektów Staszic przewidywał również sankcje karne w stosunku do młodzieży i rodziców uchylających się od obowiązku nowicjatu: „że jak każdemu [obywatelowi] obcych krajów odwiedzać nie powinno być wolno, dopokąd bądź w służbie wojskowej, bądź w jakiej innej magistraturze nie da przez lat pewną liczbę swojej cnoty dowodu — tak żadna kobieta do cudzych krajów wyjeżdżać nie będzie mogła, dopokąd nie wyda dobrych obywateli swojej ojczyźnie, dopokąd się edukacja jej dzieci nie skończy".[28]

[26] F. Schulz, *op. cit.*, s. 619.

[27] J. Prosnak, *Kultura muzyczna Warszawy XVIII wieku*, Warszawa 1955, s. 222.

[28] St. Staszic, *Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego*, oprac. S. Czarnowski, Wrocław 1952, s. 17 i 39, BN I 90.

ŻYCIE NAUKOWE I WYDAWNICZE

Czym miała być nauka okresu Oświecenia?

Prekursorzy polskiego Oświecenia przezwyciężać musieli smutną spuściznę czasów saskich: upadek szkolnictwa i oświaty, niski poziom wydawnictw naukowych i encyklopedycznych. Szkolnictwo zakonne nie wychodziło prawie poza nauczanie zepsutej łaciny i powierzchownego krasomówstwa. Czytelnicy kalendarzy czy wydawnictw encyklopedycznych dowiadywali się np., że „Androgyni obywatele *olim* afrykańscy obojej płci razem męskiej i białogłowskiej, piersi prawą mieli męską, a lewą białogłowską" czy „Tonem Phoae byli ludzie psa za króla wenerujący".[1] Język polski był zachwaszczony nie tylko zepsutą łaciną, lecz także wpływami niemczyzny płynącej z dworu królewskiego — żaden z Sasów nie mówił ani po polsku, ani po łacinie — i modnej francuszczyzny, którą dzieci magnackie poznawały wcześniej aniżeli język ojczysty. Rozpocząć należało od gruntownej reformy szkolnictwa i organizacji życia naukowego. Pierwsze próby działalności w tej dziedzinie datować można na lata czterdzieste XVIII w. i źródeł ich szukać należy w środowisku warszawskim. Warszawa okresu Oświecenia była rzeczywistą stolicą kraju, czynnym i twórczym ośrodkiem życia naukowego, artystycznego i wydawniczego. Stały antagonizm pomiędzy społecznością mieszczańską, skupioną w miastach Starej i Nowej Warszawy, i szlachecką, związaną raczej z licznymi jurydykami, obrastającymi właściwe miasto, wykrzywiał proporcje rozwoju stolicy. Niezależnie od konfliktu gospodarczego i ludnościowego konflikt dwóch społeczności, nie zawsze łagodzony funkcjonowaniem władz państwowych działających w miejscu pobytu króla, określił w pewnym stopniu świadomość intelektualistów. Tu najsilniej zaznaczała się ideologia rodzącej się burżuazji, rozwijająca się w walce z magnacko-szlachecką Rzeczpospolitą okresu saskiego. W wielkiej „kuźnicy" wychowywały się kolejno trzy pokolenia naukowców i wydawców, coraz silniej związanych z nowymi prądami Oświecenia. Trzeba uwzględnić dorobek trzech pokoleń, zastanowić się nad ich „sposobem do życia", instytucjami, jakie stworzyli i w jakich pracowali.

Najstarsze pokolenie prekursorów polskiego Oświecenia przeszło przez wychowanie zakonne, zakończone najczęściej studiami teologicznymi. Dla mieszczanina i ubogiego szlachcica był to jedyny sposób zdobycia wyższego wykształcenia w jednym z zagranicznych uniwersytetów, konieczny na skutek stale obniżającego się poziomu Akademii Krakowskiej. Najubożsi i mniej zdolni poprzestawali na palestrze czy krajowych seminariach duchownych. Wykształcenie uczonych polskich, nabyte podczas dłuższych studiów zagranicznych we Francji, Niemczech, Włoszech czy rzadziej w Anglii, posiadało cechy charakterystyczne dla Oświecenia: wszechstronność przy nacisku na nauki przyrodnicze i ścisłe, zainteresowanie zarówno filozofią jak techniką, skłonność do dydaktyzmu przy bezgranicznej wierze w siłę rozumu ludzkiego, w możliwości wychowania człowieka i przekształcenia świata.

[1] B. Chmielowski, *Nowe Ateny albo Akademia wszelkiej sciencyji pełna*, cz. IV: „Geograficzna lokacyja", Lwów 1756, s. 126 i 163.

Do walki z przesądami epoki saskiej stanął racjonalizm i sensualizm filozofii Oświecenia, zapoczątkowując poważny przewrót umysłowy.

Wymagania stawiane nauce były w tym okresie niemal nieograniczone. Żądano, aby stała się ona orężem krytyki i przebudowy we wszystkich dziedzinach życia. Realizm dydaktyczny prowadzić miał do czynnego przeobrażenia społeczeństwa. Dydaktyzmem przepojona była cała literatura piękna. Podobne cele stawiano sztuce, zwłaszcza zaś teatrowi. „Oświecenie" objąć miało najszersze kręgi społeczeństwa. Podobnie pojmowano rolę nauki. Badania geograficzne i geologiczne Staszica czy Jana Śniadeckiego służyły bezpośrednio rozwojowi polskiego przemysłu, botanika i zoologia Kluka i Jundziłła — unowocześnieniu rolnictwa. Nauka nie miała być udziałem wąskiego kręgu specjalistów. Jej ekspansja dotyczyła wszystkich dziedzin życia, a popularyzacja wyników była pomyślana bardzo szeroko. Wszelkie „zabawy" człowieka okresu Oświecenia miały być „przyjemne i pożyteczne".

Uczeni i instytucje

Na początek nieco danych statystycznych odnoszących się, niestety, dopiero do 1792 r. Nauką i wychowaniem młodzieży zajmowało się w tym czasie 151 osób (około 60% tej grupy stanowili mieszczanie).[2] Do tej liczby dodać należy poważną grupę duchownych i prywatnych guwernerów i guwernantek, których zaliczało się do domowników i służby dworów magnackich. Ważną rolę w życiu intelektualnym stolicy odgrywali także niektórzy lekarze, wyżsi urzędnicy, prawnicy, redaktorzy, księgarze i drukarze. Trudno określić, jak liczna była ta grupa, w każdym razie składała się ona z kilkuset osób. Znaczne było jej zróżnicowanie pod względem narodowościowym dzięki sporemu odsetkowi cudzoziemców, a także majątkowym: od „gołych" literatów i skromnych proboszczów do dostojnych biskupów i potężnych magnatów. Znaczne było także zróżnicowanie społeczne tej grupy, której aktywność intelektualna Oświecenia zawdzięcza swój bogaty dorobek.

Spośród najbardziej typowych postaci uczonych trzech pokoleń Oświecenia, wraz z założonymi przez nich instytucjami, wspomnieć należy przede wszystkim o Józefie Jędrzeju Załuskim, który oprócz słynnej biblioteki utworzył także pierwsze towarzystwo naukowo-literackie. Ogłosił on 2 stycznia 1744 r. *Projekt assocjacyji kilkunastu lub kilkudziesiąt uczonych lub w czytaniu nowo wychodzących w cudzych krajach ciekawych lukubracyji kochających się osób.* Za wkładem członkowskim czterech dukatów rocznie towarzystwo miało się zająć sprowadzaniem z zagranicy dzieł, które po przeczytaniu przez wszystkich członków winny były się stać własnością biblioteki Załuskich. Projekt ten nie doczekał się realizacji. W jedenaście lat później Wawrzyniec Mitzler de Kolof pisał z goryczą: „Widzę, że tu chętniej płacą 50 dukatów za beczkę węgrzyna niż kilka dukatów za pożyteczną książkę. [...] Więcej się rozumieją na znaczeniu piwnicy napełnionej starymi winami niż na

[2] S. Szymkiewicz, *Warszawa na przełomie XVIII i XIX wieku w świetle pomiarów i spisów*, s. 188 i 191—192.

najbogatszej bibliotece." [3] Józef Jędrzej Załuski wytrwale usiłował utworzyć w Warszawie towarzystwo literacko-naukowe pod nazwą Academia Mariana. Rzadkie posiedzenia, zwane „akademikami", prasa rejestrowała aż do 1766 roku. Uprawiano na nich głównie kult Maryjny. A oto jeden z popisowych utworów literackich czytanych na „akademikach":

Gdyby był człowiek w pierwiastkowym stanie
Czułym na swego Twórcy przykazanie,
Co by tam było z dziećmi jego potym,
Teologowie dyskutują o tym.
Ja wiem, że za grzech pierwszego Adama
Przyszły na ten świat nędza i śmierć sama,
Ale ta nędza, ale ta śmierć sroga
Dały nam z Panny czystej Zbawcę Boga.
A kto wie, gdyby człowiek nie ubliżył
Bogu, czyby on tak się był uniżył
I chciał nas swoim pokrewieństwem cieszyć?
Ej, widzę, lepiej było ludziom zgrzeszyć.[4]

Istniejącemu w latach 1765—1770 Towarzystwu Literatów w Polszcze Ustanowionemu zawdzięczamy kilkanaście ważnych pozycji, m. in. *Historię nauk wyzwolonych* Juvenela de Carlencas, przełożoną przez A. K. Czartoryskiego, *Początki krajopisarstwa* Jana Piotra Edlinga, profesora Szkoły Rycerskiej, *Podręcznik wymowy francuskiej* Jana Baptysty de la Borde oraz *Przyjaciela białych głów* Boudiera de Villermet. „Egzekutorem" Towarzystwa był znany drukarz i wydawca Mitzler de Kolof. Posiada ono duże zasługi naukowe i wydawnicze.

Collegium Nobilium Stanisława Konarskiego, tego, który „odważył się być mądrym", było nie tylko ważnym ośrodkiem dydaktycznym, lecz także intelektualnym, gdyż pracowała tam grupa światłych pijarów. Dla podniesienia poziomu nauczania języka polskiego należało go oczyścić z makaronizmów epoki saskiej i zalewu cudzoziemszczyzny. Łaciński podręcznik St. Konarskiego *O poprawie wad wymowy* (1741) zapoczątkował dzieło filologiczne Oświecenia, którego ukoronowaniem było wydanie Słownika Języka Polskiego Samuela Bogumiła Lindego w latach 1807—1814. Praca pedagogiczna była związana z naukową i wydawniczą: „Geografia, historia, lepsza filozofia, nauka prawa natury, politycznego, narodów, rzymskiego i krajowego — były to lekcyje, około których najusilniej pracowano." [5]

Praca prekursorów polskiego Oświecenia przyniosła owoce w następnym okresie. W latach 1764—1765 powstała Szkoła Rycerska, później zaś Komisja Edukacji Narodowej. Wyzwoliły one aktywność wielu uczonych, którzy popularyzowali wyniki swych badań w formie podręczników szkolnych czy rozpraw w „uczonych" czasopismach. W latach osiemdziesiątych wzrasta naukowa i wydawnicza inicjatywa warszawskiego środowiska mieszczańskiego i szlacheckiego.

[3] M. Łodyński, *U kolebki polskiej polityki bibliotecznej (1774—1794)*, Warszawa 1935, s. 21—22; Wł. Smoleński, *Towarzystwa naukowe i literackie w Polsce wieku XVIII*, Warszawa 1887, s. 5; P. Bańkowski, *Biblioteka publiczna Załuskich i jej twórcy*, Warszawa 1959, s. 8.

[4] Wł. Smoleński, *Towarzystwa naukowe i literackie w Polsce wieku XVIII*, s. 12—13.

[5] H. Kołłątaj, *Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach panowania Augusta III (1750—1764)*, Wrocław 1953, s. 14; J. Kolasa, *Prawo narodów w szkołach polskich wieku Oświecenia*, Warszawa 1954.

W licznym gronie profesorów Szkoły Rycerskiej (1765—1794) znalazło się oprócz cudzoziemców kilku Polaków wykształconych na niemieckich uniwersytetach i pochodzących z ziem pod panowaniem pruskim. Niezwykle malowniczą postacią był Marcin Mikuta, Mazur z Prus Wschodnich, który do 1788 r. wykładał kadetom prawo, filozofię i ekonomię. Później założył on własny zakład wychowawczy w Pałacu Ordynackim. W starszym wieku poświęcił się on bezpłatnemu oświecaniu młodzieży, rozdając jej broszurki zawierające wykład filozofii moralnej. Jego charakterystyczna postać w ogromnej, staroświeckiej peruce i surducie bajowym o niemieckim kroju ukazywała się do 1812 r. stale w okolicach Nowego Światu i Ordynackiej.[6] Z Torunia pochodził inny wykładowca, Krystian Bogumił Steiner, prawnik i historyk. Mieszkał on w Warszawie w latach 1784—1793 i ożenił się z Reginą Graef, z kręgu ubogiego mieszczaństwa warszawskiego.[7]

Wśród innych wykładowców Szkoły Rycerskiej wymienić należy najpierw jej kolejnych dyrektorów nauk: Anglika Johna Linda (1767—1772), Krzysztofa Pfleiderera i od 1782 r. do zamknięcia szkoły Michała Hubego z Torunia. Wszyscy ci dyrektorzy dbali o wysoki poziom nauczania młodzieży i co najmniej nie przeszkadzali w jej patriotycznym wychowaniu. Dyrektor utrzymał lekcje co najmniej do października 1794 r., gdy starsza młodzież brała udział w Insurekcji. Znaczne zasługi naukowe i popularyzatorskie posiadał zwłaszcza Pfleiderer i barwna charakterystyka Niemcewicza nie jest zbyt ścisła: „Dyrektorem nauk był p. Pfleiderer z Würtemburgu, sławny matematyk, mąż we wszystkich umiejętnościach niepospolicie biegły. Mały, wyschły, zawsze czysto ubrany, fryzował się w odstające od głowy jak skrzydła pukle i dlatego nazywaliśmy go gackiem. Człowiek ten tak całkowicie poświęcony był naukom, iż nigdy słowa obcego nie usłyszeliśmy od niego i mniemali, iż oprócz trójkątów o niczym na świecie mówić nie umiał." [8] Szkoła Rycerska stała się ważnym ośrodkiem warszawskich badań naukowych także dzięki bibliotece, liczącej około 10 000 tomów z wieloma nowościami wydawniczymi. Jeden z profesorów pełnił zawsze funkcję bibliotekarza.[9] Druk podręczników ułatwiała własna drukarnia.

Warszawa tego okresu przyciągała wielu cudzoziemców, zwłaszcza Francuzów. Część z nich pełniła funkcje guwernerów i guwernantek, i poza językiem, umiejętnością tańca i salonowym polorem niewiele umiała przekazać swym wychowankom. Znalazło się jednak kilku Francuzów, którzy odegrali rolę w życiu naukowym. Należy podkreślić tu zwłaszcza zasługi Jana Dubois de Jancigny z Dijon. W latach 1774—1779 wykładał on w Szkole Rycerskiej, dopóki napisane przez niego omówienie literatury polskiej nie wzbudziło oburzenia ostrą krytyką krajowego dorobku. Trwałe zasługi posiadają także kartografowie francuscy: Karol de Perthées, czy wykładowca Korpusu Kadetów, Piotr Hennequin, autor jednego z planów Warszawy. Wcześniej jeszcze okres panowania dynastii saskiej ściągnął do Warszawy wielu asymilujących się szybko uczonych i wydawców niemieckich.

[6] A. Kraushar, *Warszawa historyczna i dzisiejsza. Zarysy kulturalno-obyczajowe*, Lwów 1925, s. 136; K. Mrozowska, *Szkoła Rycerska Stanisława Augusta Poniatowskiego 1765—1794*, Wrocław 1961, s. 158.

[7] St. Salmonowicz, *Krystian Bogumił Steiner, 1746—1814, toruński prawnik i historyk*, Toruń 1962, s. 24.

[8] J. U. Niemcewicz, *Pamiętniki czasów moich*, t. I, s. 54.

[9] M. Łodyński, *Biblioteka Szkoły Rycerskiej 1767—1794*, Warszawa 1930.

Stolica zalana była w tym okresie mnóstwem zagranicznych awanturników, którzy starali się o zatrudnienie na dworze królewskim czy magnackich. Nawet czcigodny proboszcz z Rzeczycy odsłania fragment skandalicznej kroniki obyczajowej warszawskiego Oświecenia, znanej nawet na wiejskich plebaniach: „Niech to będzie w sekrecie u czytelnika, co dalej powiem, ale to prawda wiele dowodów mająca, że między wielkimi panami mało jest prawdziwych Polaków. Z ojca są to synowie rozmaitych cudzoziemców, metrów, tancmistrzów, fechmistrzów, lingwistów, nareszcie kamerdynerów, fryzjerów, hajduków i Turczynów. Wszakże niedawno żona jednego ministra koronnego urodziła Murzyna. Mąż nie mógł żony martwić o jawne cudzołóstwo, bo z niej panem został, ale nie chcąc szpecić białej swej familii czarnym odrodkiem, kazał go ochrzcić inakszym imieniem i oddał do szpitala dla dzieci podrzuconych. Wkrótce potem umarł, a pani żona wyjechała za granicę, żeby swobodniej mogła tam rodzić, choć nie chcący, dzieci zdarzone białe, czarne albo pstrokate." [10]

Zainteresowanie dorobkiem nauk ścisłych było dość w warszawskim środowisku rozpowszechnione. Warto tu przytoczyć dla przykładu niecodzienny proces: „Sprawę o kwadraturę koła w Sądach Marszałkowskich w r. 1779 i 1780 rozsądzoną." Podpułkownik wojsk koronnych Eugeniusz Korsonich, zachęcony pochwałami, jakimi darzono w prasie różne odkrycia naukowe, napisał rozprawę: *Prawdziwa kwadratura koła dziesięciokrotnie okazana i już prawie od siedmiu akademii zatwierdzona* i złożywszy ją w Księgarni Nadwornej u Grölla miał nieostrożność dodać: „temu, kto dowiedzie, że jego wynalazek błędny, zapłaci dukatów 50 nagrody". Środowisko warszawskich matematyków zainteresowało się tym rewelacyjnym rozwiązaniem nierozwiązalnego problemu. Michał Hube, Krzysztof Pfleiderer, Simon Lhuillier ze Szwajcarii i ks. Jan Koc rozpatrzywszy sprawę upoważnili tego ostatniego, aby na nią odpowiedział. Wobec milczenia Korsonicha wydali następnie broszurę: *Rozsądek pewnego matematyka o kwadraturze cyrkułu, którego wynalazcą mieni się być J. P. Korsonich.* Jednakże krytykowany autor nie kwapił się z zapłaceniem owych 50 dukatów. Wobec tego podano sprawę do Sądu Marszałkowskiego i po wyznaczeniu biegłych: księży teatynów, Portalupiego i Marciano, na trzeciej rozprawie podpułkownik Korsonich został zasądzony na oddanie w ciągu sześciu niedziel ks. Kocowi 50 dukatów „pod karą wiecznej banicji".[11] W tej sprawie wymienia się nazwiska sześciu uczonych matematyków nie licząc podpułkownika — amatora. Sensacyjne to wydarzenie trafiło na łamy prasy. Minasowicz napisał nawet wiersz *Na sprzeczkę uczonych o kwadraturę cyrkułu*:

Długo, bo się przez ośm lat dwie strony sprzeczały,
Kwadratura cyrkułu był to spór niemały.
Liczba ośmiu wychodzi lat na dwakroć cztery,
Rok też okrągły, ma kształt cyrkułu czy sfery.
Sam więc czas mógł pogodzić strony z sobą obie,
Pokazując cyrkułu kwadraturę w sobie.[12]

[10] J. Kitowicz, *Pamiętniki do panowania Stanisława Poniatowskiego,* Poznań 1845, t. I, s. 211—212.

[11] A. Wejnert, *Zabytki dawnych urządzeń sądowych miasta Warszawy,* Warszawa 1872, cz. IV, s. 9—21.

[12] Z. Staniszewski, *Pierwsze polskie czasopismo ogłoszeniowe,* „Roczniki Biblioteczne", t. I, 1957, s. 159—160.

Życie naukowe i wydawnicze skupiało się, poza Szkołą Rycerską, wokół kilku instytucji zawdzięczających swe powstanie w pewnej mierze oświeconemu mecenatowi Stanisława Augusta. Grupa uczonych i artystów gromadziła się na dworze królewskim, uczestnicząc w słynnych obiadach czwartkowych. W dyskusjach naukowych nie oddzielano wyraźnie problemów nauki i wychowania. Dzięki temu w pracach Komisji Edukacji Narodowej (1773—1794), pod formalnym przewodnictwem kilku światlejszych magnatów, stanęło do pracy wielu uczonych duchownych i świeckich. Zajęli się oni zwłaszcza przygotowywaniem podręczników z różnych dziedzin nauki. Komisja wyłoniła w 1775 r. Towarzystwo do Ksiąg Elementarnych pod przewodnictwem Ignacego Potockiego, sekretarzował zaś jej, czyli „trzymał pióro", eks-jezuita Grzegorz Piramowicz. W ciągu dwudziestoletniej działalności Towarzystwo wydało szereg ważnych podręczników, jak np. gramatyki Onufrego Kopczyńskiego czy fizyki Hubego lub „moralnej nauki" Popławskiego. Nauce moralnej, głoszącej filozofię Oświecenia, poświęcona też była praca Dmochowskiego *O cnotach towarzyskich,* a spośród podręczników uniwersyteckich wysuwa się na czoło *Algebra* Jana Śniadeckiego i *Nauka prawa przyrodzonego* Stroynowskiego. Wykładano młodzieży podstawy ekonomii według teorii fizjokratyzmu oraz elementarne pojęcia prawa cywilnego, międzynarodowego i dyplomacji.

Nie ustawała zarazem walka o poprawność języka polskiego i wymowy, zaznaczająca się zwłaszcza w pracach Kopczyńskiego i Piramowicza. Ważnym przedmiotem stała się także historia własnego kraju. W jej wykładzie uderzały cele dydaktyczne: nauczanie patriotyzmu i postawy obywatelskiej na podstawie wybranych faktów z historii Polski i powszechnej. Zarazem jednak w tym okresie powstała krytyka źródeł i rozważano zagadnienia chronologii faktów z historii politycznej. Adam Naruszewicz zalecał „ozdobienie gładkością pióra powabne a ochotę czytania utrzymujące", z propozycją, aby z zebranych wiadomości „jedną i tuczną ulepić masę, z niej ukształtować rozsądkiem jedno porządne i regularne ciało, ożywić ten martwy zlepek duchem prawdy".[13] Kołłątaj uwzględniał nie tylko historię polityczną, lecz także historię kultury i wprowadził ideę rozwoju historycznego, ale prace jego zostały wydane już w XIX wieku. Wyrazem zainteresowań historycznych jest także *Historia* Ignacego Krasickiego, wydana w 1778 r. Jej bohater przebywa kolejno w różnych cywilizacjach starożytnych i średniowiecznych od Macedonii, Rzymu, Galii, Chin do Polski pierwszych Piastów. Zainteresowanie historią starożytną zaspokoiło Towarzystwo Przyjaciół Kilku (Naruszewicz, Karol Wyrwicz, J. K. Skrzetuski i Szymanowski) wydając w latach 1771—1772 tom pierwszy *Historii politycznej państw starożytnych od pewnego towarzystwa napisanej.*

W omawianym okresie istniały liczne projekty specjalistycznych towarzystw naukowych, jak np. Zgromadzenie Prawnych Ludzi. Przez trzy lata utrzymywało się także Towarzystwo Fizyczne (1777—1779). W jednym z jego posiedzeń wziął udział Johann Bernoulli, znany szwajcarski astronom i matematyk. Towarzystwo to zorganizował wspomniany już profesor Szkoły Rycerskiej, Jan Dubois. „Mniej więcej połowa członków towarzystwa naukowego to przedstawiciele najwyższej arystokracji; z tego właśnie powodu latem nie odbywają się posiedzenia, gdyż panowie ci wyjeżdżają do swych dóbr." Opisywane posiedzenie odbyło się w mieszka-

[13] A. Naruszewicz, *Memoriał względem pisania historii narodowej* (1775), cyt. za: *Historycy o historii. Od A. Naruszewicza do St. Kętrzyńskiego,* opr. M. H. Serejski, Warszawa 1963, s. 31.

niu Ignacego Potockiego o godzinie 4 po południu. Po przeczytaniu statutu przez sekretarza Dubois August Moszyński ukazał plany obmyślonego przez siebie termometru, a kapitan Filip de Carosi, nadzorca królewskiego gabinetu historii naturalnej, złożył sprawozdanie ze swej podróży do Krakowa i ze zbadania gór wapiennych. Stowarzyszenie to liczyło kilkunastu członków.[14]

Wzrastającej liczbie warszawskich intelektualistów nie zawsze udawało się związać z jedną z instytucji oświatowych czy uzyskać protekcję królewską. Mimo pilnego poszukiwania i przeszkalania przez Komisję Edukacji Narodowej grona młodych nauczycieli świeckich niektórym pozostawała tylko posada nauczyciela w domach magnackich. Pozwalała ona czasem na uzyskanie pomocy oświeconego magnata w wydrukowaniu dzieła czy uzyskaniu korzystniejszego zatrudnienia. Stanisław Staszic zaczynał w domu Zamoyskich, Mitzler de Kolof u Małachowskich, Jakub Jasiński jadł szczególnie gorzki chleb guwernera młodych Potockich, a Franciszek Karpiński Radziwiłła. Uczony stawał się niekiedy doradcą magnata, jak np. Michał Ossowski, ekonomista, organizator wielkich przedsięwzięć gospodarczych Prota Potockiego.[15] Guwernerki u Platerów zamierzał próbować nie byle kto, bo sam Johann Gottlieb Fichte, który w związku z tym projektem odwiedził Warszawę w 1791 r. Nie został on jednak zaangażowany: „Nie spodobałem się. Francuszczyzna moja miała zbyt wiele naleciałości niemieckich, a poza tym w rozmowie nie okazywałem w dostatecznym stopniu uniżoności." [16] Część nauczycieli świeckich, wykształconych w krakowskiej Szkole Głównej, uzyskała w końcu omawianego okresu zatrudnienie w warszawskiej Szkole Wydziałowej. Część z nich, jak Krusiński, Sołtykowicz i Szulecki, wzięła następnie udział w Insurekcji. W początkach swej pracy pedagogicznej otrzymywali oni tylko 1039 1/3 złp. pensji rocznej i trudno im było za tę kwotę utrzymać się w drogiej Warszawie, gdzie „publiczność miejsca wyciąga [tj. wymaga] bardziej przystojniejszego w każdym razie odzienia, a mianowicie ochędóstwa w bieliźnie, rzemieślnik zaś i praczka bez porównania więcej tu kosztuje" — skarżyli się oni w liście do Szkoły Głównej z 1788 r. prosząc o podwyżkę poborów.[17]

W ostatnim okresie polskiego Oświecenia, w latach obrad Sejmu Czteroletniego, na plan pierwszy wysuwa się publicystyka polityczna, której poświęcają się wszyscy niemal uczeni i literaci warszawscy. Najważniejszym centrum radykalnej myśli politycznej, naukowej i literackiej była Kuźnica Kołłątajowska, czyli grupa ludzi związanych z Hugonem Kołłątajem. Przywódcę polskich „jakobinów", jak ich później nazwano, „przy bystrym pojęciu, przy dziwnej łatwości w robieniu i pisaniu" cechowała „pracowitość wielka i niezmordowana". Interesował się on żywo wszystkimi naukami społecznymi: ekonomią, prawem, etyką i historią. W okresie Sejmu Czteroletniego był jednak przede wszystkim działaczem politycznym, interesującym się żywo odgłosami i opiniami warszawskiego mieszczaństwa, które to opinie formułował często swym znakomitym piórem. Jego Kuźnica wpłynęła pośred-

[14] J. Bernoulli, *Podróż po Polsce 1778* (*Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców*, t. I, s. 399—404); Wł. Smoleński, *Towarzystwa naukowe i literackie w Polsce wieku XVIII.*

[15] J. Dihm, *Sprawa konstytucji ekonomicznej z 1791 roku* (*na tle wewnętrznej i zagranicznej sytuacji Polski*), Wrocław 1959.

[16] J. G. Fichte, *Podróż do Polski* (*Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców*, t. II, s. 785).

[17] K. Mrozowska, *Walka o nauczycieli świeckich w dobie Komisji Edukacji Narodowej na terenie Korony*, Wrocław 1956, s. 160.

nio na utworzenie się w pałacu Radziwiłłowskim radykalnego klubu Przyjaciół Konstytucji 3 Maja, a dalej na wydarzenia okresu Insurekcji.

Najbliższym współpracownikiem Kołłątaja był Franciszek Salezy Jezierski, pisarz i publicysta. Franciszek Ksawery Dmochowski, poseł Antoni Trębicki, Józef Mejer i Florian Jelski występowali czynnie jako publicyści. Pozostali: Rafał Kołłątaj, Tomasz Maruszewski, Kazimierz Konopka, Jan Dembowski i inni, pomagali publicystom jako zbieracze materiałów, kopiści czy archiwiści, później zaś niektórzy z nich wsławili się jako agitatorzy ludowi. Z zespołem Kuźnicy stale współpracowali Jan Śniadecki, Franciszek Zabłocki i Julian Ursyn Niemcewicz.[18] Szczególne znaczenie posiadały prace Jezierskiego. Wśród nich wymienić należy przede wszystkim *Niektóre wyrazy porządkiem abecadła zebrane i stosownymi do rzeczy uwagami objaśnione*, 1791. Był to rodzaj wydawnictwa szczególnie charakterystyczny dla okresu Oświecenia. Pod pozorem haseł encyklopedycznych wypowiadano w nim poglądy polityczne. „Prawda rzetelna" — to hasło postępowej myśli encyklopedystów. Oto styl wiadomości, które szybko rozeszły się w dwóch wydaniach: „Pospólstwo — część największą ludzi ubogich i pracowitych zowiemy pospólstwem; u Francuzów pospólstwo jest trzecim stanem, według mnie pospólstwo powinno by się nazywać najpierwszym stanem narodu albo, wyraźniej mówiąc, zupełnym narodem. Bogactwo i moc państw pospólstwo składa i pospólstwo utrzymuje charakter narodów [...], rozróżnia narody, utrzymuje rodowitość języka ojczystego, zachowuje zwyczaje i trzyma się jednostajnego sposobu życia. Wieśniak nie wymyślił mody ani w odzieży, ani w sprzętach, ani w wyrazach mowy." Przypisuje się Jezierskiemu także ostry pamflet z okresu procesu Ponińskiego na sądzie sejmowym w latach 1789—1790:

Dopomóc złodziejowi nie zawsze rzecz zdrożna
I z kradzieży uczciwie teraz zyskać można,
Byle mieć czoło z miedzi i wysokie wsparcie,
Wolno kraść poufale, wydzierać otwarcie.[19]

Jezierski miał odwagę stwierdzić, że Poniński był narzędziem jednego z sędziów, hetmana Branickiego. Bezlitośnie wyśmiewał szlacheckie przesądy, był jednym z najodważniejszych publicystów warszawskich. W walce o prawa miejskie kilku publicystów służyło swym piórem magistratowi warszawskiemu, np. Jan Baudouin i prawnicy, jak Swiniarski, Barss, Mianowski czy Mędrzecki.

Wielkie odkrycia i drobne wynalazki

Zainteresowanie publiczności okresu Oświecenia budziły zawsze pewne zjawiska astronomiczne. Jezuici warszawscy przygotowywali się pilnie w 1761 r. do zapowiedzianego przez Halleya przejścia planety Wenus przez tarczę słoneczną. Ks. Stefan Łuskina obserwował je z górnej galerii biblioteki Załuskich i wydał druczek

[18] Wł. Smoleński, *Kuźnica Kołłątajowska*, Warszawa 1949; F. S. Jezierski, *Wybór pism*, s. 5—50.

[19] F. S. Jezierski, *op. cit.*, s. 244; J. Ziomek, *Antoni Strzelbicki — kat krakowski. Pamflet przypisywany F. S. Jezierskiemu*, Wrocław 1960, odb. z „Archiwum Literackiego", t. V, 1960, s. 376—388.

Wenera w słońcu, czyli obserwacja astronomiczna przejścia planety Wenery przez płaszczyznę słoneczną, co wywołało polemikę z autorem kalendarzy, Duńczewskim z Zamościa. Spór ukazując niski poziom astronomii warszawskiej ośmieszał jednak naiwne prognostykarstwo autorów kalendarzy. Jeszcze w 1758 r. Bohomolec uznał za właściwe wydrukowanie dwuwiersza jednego ze swych uczniów głoszącego niewiarę w system Kopernika:

Mówisz, że słońce stoi, ziemia w koło chodzi:
Gdyś to pisał, pijany byłeś, albo w łodzi.[20]

Były to jednak już ostatnie przejawy astronomicznej ignorancji. W późniejszym okresie warszawskiego Oświecenia poziom nauk ścisłych w najlepiej postawionych szkołach średnich na tyle się podniósł, że uczniowie znali podstawy elementarnej astronomii. Zwalczano także oczywiste przesądy, wymagające odpędzania burzy za pomocą dzwonienia, zalecając wynalezione właśnie piorunochrony. Dość licznych widzów ściągały popisy z zakresu fizyki doświadczalnej.

Największe jednak zainteresowanie szerszej publiczności obudziło wypuszczenie w powietrze pierwszych balonów. Tłumy warszawiaków przyglądały się każdemu z tych widowisk. Okraszewski, chemik królewski, 12 lutego 1784 r. puścił pierwszy balon napełniony gazem na długim sznurze, a 3 marca 1784 roku Gidelski, Korn i Bach puścili znacznie większy balon, który spadł 22 mile za Warszawą. W tym samym roku Okraszewski puścił „kulę aerostatyczną" z piasków nad zamarzłą Wisłą. Wreszcie krakowscy profesorowie, Jaśkiewicz, Śniadecki, Szaster i Scheidt, skonstruowali balon, który wypuścili 1 kwietnia 1784 r. z Ogrodu Botanicznego. Był to największy balon ze zbudowanych w kraju. Uczeni dość szybko zareagowali na zainteresowanie społeczeństwa możliwością lotów powietrznych. W tym samym roku ukazało się opracowanie Józefa Osińskiego, *Robota machiny powietrznej pana Mongolfier.* Przedstawia się tam wyczerpująco różne sposoby konstrukcji balonów i ich napędu. Najbardziej charakterystyczny był przy tym projekt autora, aby wobec złego stanu dróg w Polsce spróbować użycia balonów do transportu pasażerów i towarów. Podał on wyliczenia co do możliwości transportu balonem z Warszawy do Krakowa przy sprzyjających wiatrach, a także ukazał możliwości przewozu ludzi i towarów umocowanymi na linie balonami przez rzeki, co byłoby znacznie tańsze aniżeli budowa mostów. Podobne propozycje przedrukowywano także z pism francuskich, w których doceniano już znaczenie tego wynalazku dla celów wojskowych. Tak więc mieszkaniec Warszawy mógł za 15 groszy nabyć opracowanie ukazujące możliwości transportowe, wykorzystane dopiero w ponad sto lat później. W pierwszym entuzjazmie nie zdawano sobie jeszcze sprawy z niedoskonałości wynalazku i trudności kierowania balonami.[21]

W sześć lat później Warszawa stała się świadkiem pierwszych prób wznoszenia się w powietrze ludzi. Jedną z późniejszych nieco prób opisał z przejęciem Magier, naoczny świadek: „W roku 1790 w lutym przybył tu sławny Blanchard z żoną

[20] Wł. Smoleński, *Przewrót umysłowy w Polsce wieku XVIII. Studia historyczne,* Warszawa 1923, s. 94—114 i 108.

[21] Tamże, s. 122—124; I. Turnau, *Przegląd zagadnień transportu i komunikacji w polskiej literaturze gospodarczej okresu Oświecenia,* „Kwartalnik Historii Kultury Materialnej", R. XIII, 1965, nr 2; R. Kaleta, *Balony! Balony! Balony! Największa sensacja naukowa XVIII wieku,* „Problemy", R. XVI, 1960, nr 4, s. 302—307; I. Stasiewiczówna, B. Orłowski, *Balony polskie w XVIII wieku,* „Horyzonty Techniki", 1959, nr 3 (127), s. 107—110.

swoją, rodem Francuz z miasta Calais. [...] Pokazywał w sali pałacu dawniej Radziwiłłowskiego balon obszerny kitajkowy, w którym miał się puszczać [...]. Później, w dniu pogodnym, pomyślnie napełnił balon gazem wodorowym, używszy do pomocy młodzieży z aptek tutejszych. Po ogłoszeniu rano biciem z armat nastąpić mającego tego widowiska, potem o kwadransie po pierwszej z południa Blanchard w ogrodzie Foksalowym, dawniej Kabrego na Nowym Świecie pod l. 1297, pożegnawszy obecnego tamże w przygotowanej loży N. Pana oraz liczne państwo i wszystkich widzów wsiadł do swej łódki wraz z żoną. Podnieśli się w górę przy powszechnych oklaskach z wolna, przy najspokojniejszej od wiatru pogodzie i natenczas spuścił Blanchard pieska swego ze spadochronem bez szkody spadającego na ziemię. Następnie coraz wyżej wzbili się w górę od ziemi, jak z obserwatorium królewskiego postrzegano i wyrachowano aż do łokci 3975. Lecieli przez całą Warszawę i przeleciawszy przez Wisłę w lesie Białołęckim więcej niż o milę od miejsca puszczania się na powietrze w przeciągu minut 49 na ziemię spuścili się."

Druga relacja dotyczy wyprawy Jana Potockiego, „który obecny pierwszemu u nas wzniesieniu się jego [tj. Blancharda] napowietrznemu, umyślił wystawić znacznym kosztem balon kitajkowy, urządzony sposobem Mongolfiera, z ogromnym w środku budowli piecem blaszanym. Był to śliczny i obszerny aparat fizyczny, opatrzony po bokach dwoma gabinetami do czynienia doświadczeń w czasie takowej podróży. Potocki sprowadził z fabryk zagranicznych, jak utrzymywano z przesadą, 13 000 łokci kitajki różnego koloru gładkiego i mieniącego, wyjąwszy biały i czarny. Osiemnastu czeladników krawieckich wziętych z gospód użyto przez kilka miesięcy do szycia tak obszernego balonu, że zaledwie mieścił się w trzech salach na rozcież otwartych w pałacu tegoż pana nr 744 przy ul. Rymarskiej. [...] Jak został ukończony, użył go Potocki do wzniesienia się w górę do pewnej wysokości z ogrodu przy pałacu dawniej Mniszkowskim, przy ul. Rymarskiej, wziąwszy z sobą do tej napowietrznej podróży ulubionego swego pięknej postaci Turka. Dokonał swego zamysłu i spuścił się bez szkody pod wsią Górcami." [22]

Zobaczenie pierwszych prób oderwania się człowieka od ziemi było poważnym przeżyciem nie tylko dla „oświeconych" dworaków, filozofów i dam, ale dla całego warszawskiego pospólstwa. Wzruszony tym nowym zwycięstwem rozumu ludzkiego nad trudnościami technicznymi Naruszewicz napisał wiersz pt. *Balon,* przypisywany długo Trembeckiemu. My, świadkowie pierwszych lotów kosmicznych, łatwo pojmujemy te wzruszenia wyrażone klasycystycznym wierszem:

Gdzie bystrym tylko Orzeł polotem
Pierzchliwe pogania ptaki,
A gniewny Jowisz ognistym grotem
Powietrzne przeszywa szlaki,

Niezwykłych ludzi zuchwała para,
Zwalczywszy natury prawa,
Wznawia tor klęską sławny Ikara
I na podniebiu już stawa.[23]

[22] A. Magier, *Estetyka miasta stołecznego Warszawy,* s. 227—228 i 130—131.
[23] A. Naruszewicz, *Liryki wybrane,* wybrał i wstępem poprzedził J. W. Gomulicki, Warszawa 1964, s. 190—191.

Obok wielkich odkryć naukowych i technicznych publiczność warszawska interesowała się także drobnymi wynalazkami zastosowanymi w praktyce. W prasie codziennej coraz częściej powtarzają się ogłoszenia o sprzedaży „instrumentów fizycznych ze szkła", a więc barometrów, termometrów, mikroskopów, teleskopów, kamer optycznych i latarni magicznych.[24] Mechanik Dawid Magnus Tepper pokazywał nad Wisłą ogromny globus, a przybyły z Paryża Galwicz, „uczeń Comusa", prezentował różne „sztuki", czyli doświadczenia fizyczne przy kościele Św. Benona.[25]

Prasa, wydawcy i księgarze

Stałą warszawską prasę codzienną reprezentował w początkach omawianego okresu „Kurier Polski" (od 1761 roku „Warszawski"), wychodzący w soboty, i „Uprzywilejowane Wiadomości z Cudzych Krajów", ukazujące się co środę. Gazety te „pisał" zwykle jeden redaktor, wybierając odpowiednie wiadomości z prasy zagranicznej: francuskiej, niemieckiej i holenderskiej tzw. „Gazety Lejdejskiej". Wiadomości z kraju ograniczały się do opisów uroczystości dworskich, chrztów, ślubów i pogrzebów magnackich oraz obchodów świąt religijnych. Redaktor miał być tylko sprawozdawcą. Poza gazetami drukowanymi istniały jeszcze „pisane", czyli systematyczne relacje różnych nowin politycznych i plotek dworskich, dostarczane na prowincję przez korespondentów magnackich. Poza tym wychodziły jeszcze periodyki „uczone" i „półuczone", tzn. popularnonaukowe. Pierwsze warszawskie czasopismo obyczajowe, czyli „moralne", noszące tytuł „Patriota Polski", było wydawane w roku 1761 przez torunianina Baucha. Redaktor zdawał sobie sprawę z prekursorskiego charakteru swego pisma: „To proszę uważać, żem sobie drogę taką wybrał ojczyźnie się mojej przysłużyć, którą jeszcze podobno nikt nie chodził w Polszcze. Dość na mnie, że drogę toruję, którą uczeńsi ode mnie po skończonej tej podróży chodzić mogą." [26] Podobny charakter miał tzw. mały „Monitor" (1763), wydawany przez obóz Czartoryskich.

Dalsze kroki ułatwił niespożytej energii Niemiec z Lipska, Wawrzyniec Mitzler de Kolof, sprowadzony przez Jana Małachowskiego, aby uczył filozofii Wolffa jego synów w Końskich w latach 1743—1747. Przeniósł się on później do Warszawy i tu związał się z najważniejszymi centrami intelektualnymi, biorąc do 1778 r. udział we wszystkich donioślejszych przedsięwzięciach wydawniczych, praktykując także jako lekarz i wynalazca cudownego balsamu. Próbował on różnych dróg oświecenia społeczeństwa saskiego, karmionego dotąd wydawnictwami o wiele mówiących tytułach: *Hu, hu, czyli puchacz okropny, albo przykłady nocnych strachów na dwa tomy podzielone, Kundel piekielny na schwytanie duszy pobożnej tajemnic czatujący, Pistolet z odwiedzionym kurkiem na zabicie grzechu śmiertel-*

[24] „Gazeta Warszawska", Suplement do nru 15 z 22 kwietnia 1786; tamże, nr 92 z 15 listopada 1783.

[25] Tamże, Suplement do nru 4 z 13 stycznia 1781; Suplement do nru 17 z 28 lutego 1784.

[26] R. Kaleta, M. Klimowicz, *Prekursorzy Oświecenia. „Monitor" z roku 1763 na tle swoich czasów. Mitzler de Kolof redaktor i wydawca*, Wrocław 1953, s. 73.

nego. [27] Próby nowych wydawnictw były dokonywane w różnych językach. Mitzler de Kolof zaczął od czasopisma „uczonego", „Warschauer Bibliothek" (1753—1755). Drukowano w nim katalog rękopisów Biblioteki Załuskich, biografie, źródła historyczne, rozprawy chemiczne i literackie. Po upadku tego czasopisma Mitzler pod protektoratem Józefa Aleksandra Jabłonowskiego wydaje we własnej już drukarni „Acta Litteraria" (1755—1756) z rozprawami z historii literatury, prawa politycznego, biografiami, poezjami, wiadomościami z medycyny i nauk przyrodniczych. Najbardziej udana próba to trzecie jego czasopismo, tym razem „połuczone" pod tytułem: „Nowe Wiadomości Ekonomiczne i Uczone albo Magazyn Wszystkich Nauk do Szczęśliwego Życia Ludzkiego Potrzebnych" (1758—1761 i poszczególne numery 1766 i 1767). Było to czasopismo uniwersalne. Krytykowano szlachecki sposób gospodarowania na roli, propagując metody nowego rolnictwa, czyli zachodniego systemu gospodarowania, który kładł nacisk na nowe uprawy, zwłaszcza ziemniaków i koniczyny, i na podniesienie hodowli. Poza tym w piśmie zamieszczano wiadomości z zakresu ekonomii, nauk przyrodniczych i medycyny. Nie miało ono szerokiego kręgu czytelników.

Kontakt z czytelnikami nawiązało inne czasopismo „uczone": „Różne Uwagi Fizyczno-Chemicznego Warszawskiego Towarzystwa na Rozszerzenie Praktycznej Umiejętności w Fizyce, Ekonomii, Manufakturach i Fabrykach, Osobliwie Względem Polski". Był to organ krótko działającego towarzystwa naukowego. Doczekał się następującej krytyki ze strony anonimowego czytelnika podpisującego się jako „Rozumny Mąż": „Jest już teraz książek dosyć, nie potrzeba ich więcej; wiedzą już dziś bardzo dobrze, że do pisania ksiąg potrzeba cierpliwości w siedzeniu i szybkiej ręki tylko." [28]

Jedyną gazetę codzienną „pisał" od 9 listopada 1773 roku eks-jezuita Stefan Łuskina, porzuciwszy obserwacje astronomiczne. Za oddanie swego gabinetu astronomicznego i fizycznego królowi uzyskał on przywilej na wydawanie jedynej gazety codziennej i wrogo patrzył na każde nowe wydawnictwo. „Gazeta Warszawska" zawierała wiadomości z obcej prasy, starannie spreparowane według skrajnie reakcyjnych przekonań redaktora wielbiącego Katarzynę II za utrzymanie zakonu jezuitów na Białorusi. Węgierski tak charakteryzuje to pismo:

To widzę — rzekł podstoli — nowiny pisane,
Ale ja mam gazety świeżo drukowane:
Tysiąc rzeczy ciekawych. W ostatnią niedzielę
Na wielkim nabożeństwie ludzi było wiele
I, żeby przyzwoitą wspaniałość zachował,
Mszę *pontificaliter* biskup celebrował;
Ksiądz N. N. miał kazanie, wielki kaznodzieja;
Mówią, że swą wymową nawrócił złodzieja.
I odtąd poznajemy tę prawdę dość jasną:
Nikomu nic nie biorą, kto ma kieszeń ciasną.
Dnia ósmego miesiąca wielki fest w Piotrkowie,
Bito z armat i liczne dopełniano zdrowie;

[27] Tamże, s. 38.
[28] „Różne Uwagi", t. I, 1769, s. 7.

Był obiad, podwieczorek, wieczerza, bal walny,
Pan starosta odprawiał wjazd swój tryumfalny.
Za rzecz zaś osobliwszą piszą z tego miasta:
Umarł człowiek, który miał lat już półtorasta.[29]

Wiersz ten określa zakres zainteresowań i rodzaj nowin podawanych w tym piśmie. Warunkiem pracy ówczesnego redaktora był dopływ gazet zagranicznych, z których czerpał on nawet niektóre wiadomości krajowe. Jego czytelnicy szukali „nowin", nie zniechęcając się znacznym ich opóźnieniem. Komentarz redakcyjny polegał na wyborze informacji i odpowiednim ich wyeksponowaniu.

Nowym czasopismem „moralnym" był znakomity „Monitor" redagowany w latach 1765—1785 przez Bohomolca z Krasickim, Minasowicza, Mitzlera i Ignacego Boelckego. Miał on oświecać szlachtę, czytającą dotąd tylko kalendarze. Zalecano na jego łamach zarówno nowe formy wychowania młodzieży, jak teatr, powieść, nauki ścisłe i wynalazki techniczne, nowe metody rolnictwa i hodowli, zakładanie manufaktur i budowanie dróg. Stopniowe przygotowanie czytelników do nowych idei nie pozwalało na zbyt ostre precyzowanie charakteru pisma. Nieraz wycofywano się ze skrajnych sformułowań źle przyjętych przez czytelnika szlacheckiego czy mieszczańskiego.

W późniejszym okresie warszawskiego Oświecenia, po 1780 r., osłabła znacznie rola mecenatu królewskiego. Inicjatywę przejmowały coraz silniejsze kręgi intelektualistów, pochodzących zwykle ze szlachty i duchowieństwa, ale zbliżających się do ideologii francuskiej burżuazji. Zwiększyła się liczba czasopism gospodarczych, ubocznie podejmujących tematykę periodyków obyczajowych. Na pierwszym miejscu wymienić należy serię pism wydawanych przez eks-jezuitę Piotra Świtkowskiego. We wspomnieniu Magiera zachował się on jako oderwany od życia erudyta: „Znałem ks. Świtkowskiego osobiście, mięszkającego przy ul. Trembackiej, i byłem natenczas w mniemaniu, iż aby poświęcić się na redaktora podobnego pisma, trzeba było być tak co do ciała wyschłym, usuniętym od innych obowiązków i tracić zdrowie na pracy." [30] Ten skromny redaktor był publicystą i politykiem w nowoczesnym tego słowa znaczeniu. Ukazanie się w 1782 r. „Pamiętnika Politycznego i Historycznego" stanowiło ważny krok w historii polskiego czasopiśmiennictwa. Dobór wiadomości z prasy zagranicznej i zamieszczania artykułów omawiających krytycznie stosunki krajowe sprawiły, że „Pamiętnik" zajął miejsce „Monitora", przewyższając go znacznie śmiałością krytyki i naukowym uzasadnieniem programu reform. Zajmowano się tam rolnictwem i architekturą, górnictwem, przemysłem i różnymi środkami transportu. Znaczną część artykułów pisał sam redaktor, uzyskał on jednakże światłych korespondentów, wśród których na pierwszym miejscu wymienić należy „Sandomierzanina", czyli ekonomistę Jana Ferdynanda Naxa.[31] Redakcja „Pamiętnika" nie wyczerpała niezmordowanej energii Świtkowskiego. W latach 1784—1785 wydawał on także „Magazyn Warszawski Pięknych Nauk, Kunsztów i Różnych Wiadomości Dawnych i Nowych dla Zabawy i Pożytku Osób

[29] J. Łojek, *Dziennikarze i prasa w Warszawie w XVIII wieku*, Warszawa 1960, s. 77; T. K. Węgierski, *Organy*, oprac. J. W. Gomulicki, Warszawa 1956, s. 45.

[30] A. Magier, *op. cit.*, s. 109.

[31] J. F. Nax, *Wybór pism*, wyboru dokonał i wstępem opatrzył W. Sierpiński, Warszawa 1956; I. Homola-Dzikowska, *Pamiętnik Historyczno-Polityczny Piotra Świtkowskiego 1782—1792*, Kraków 1960.

Obojej Płci, Wszelkiego Stanu i Smaku". Zamieszczano tam artykuły różnej treści: od meteorologii, medycyny, opisów krajowych i zagranicznych wojaży, i nowych wynalazków do opowiadań i poezji. „Magazyn" był przeznaczony dla szerszego grona czytelników. Poza paroma wydawnictwami redagowanymi przez Piotra Świtkowskiego istniejące krótko Towarzystwo Handlowe zapoczątkowało „Dziennik Handlowy". Ukazywał się on w latach 1786—1793 dzięki wyjątkowej wytrwałości redaktora Tadeusza Podleckiego. Zawierał liczne wiadomości o manufakturach, handlu i cenach tak w Warszawie, jak i w całej Polsce.

W okresie Sejmu Czteroletniego znacznie wzbogaca się warszawska prasa codzienna. Od początku stycznia 1791 r. zaczyna wychodzić „Gazeta Narodowa i Obca" pod redakcją młodych posłów: Juliana Ursyna Niemcewicza, Tadeusza Mostowskiego i Józefa Weyssenhoffa. Stroną techniczną wydawnictwa zajmował się Stanisław Szymański, mieszczanin, syn gminnego Starej Warszawy. Uprzednio pracował on czas jakiś u Łuskiny jako korektor. Pisał wiersze i komedie, tłumaczył także z francuskiego i niemieckiego. „Jest zawsze zabawny literaturą i przez to niejednemu wymawiał wizytę." [32] Gazeta ta była drukowana w dużym formacie, na niezłym papierze i miała wyraźne oblicze polityczne jako organ Stronnictwa Patriotycznego. Zaniepokoiło to Łuskinę, który jednak nie śmiał w tym czasie dopominać się o swój monopol. Młodzi redaktorzy otwarcie go zaczepiali pisząc ironicznie o sobie: „Po co Wam te gazety pisać? Czy to pięknie? Czy to przystoi na ludzi dobrze urodzonych? Rozumiecie, że się z Was nie śmieją, kiedy z rana w bekieszkach, w czapeczce i z rękawkami jak zagorzali latacie po mieście za nowinami?" Wydrukowano chętnie pochwałę jednego z czytelników:

Nie widzę w piśmie waszym uwielbienia dumnych,
Pochwał eks-jezuitów, kąsania rozumnych,
Wiwatów trybunalskich, uwag niepotrzebnych,
Przypisków osobistych, obchodów pogrzebnych,
Doniesień nieciekawych, kto się i z kim żeni,
Komu suczka zginęła, grosz wzięto z kieszeni.[33]

Obok poważnej „Gazety Narodowej i Obcej", zapełnionej sprawozdaniami sejmowymi i komentarzami politycznymi, od 3 maja 1792 r. zaczął wychodzić „Korespondent Warszawski", przeznaczony dla szerszego grona czytelników. Redagowali go księża Karol Malinowski i Ludwik Koenig, szlachcic Michał Pysznic i mieszczanin warszawski Karol Eisbach. Pismo to umiało szybko nawiązać kontakt z czytelnikami. Opowiadano się w nim wyraźnie przeciw Rosji i Targowicy, jednakże podczas gdy „Gazeta Narodowa i Obca" po wojnie przestała wychodzić, redakcja „Korespondenta" przeszła do drukowania wiadomości z prasy zagranicznej, udała apolityczność, zamierzając przeczekać złe czasy. Drobne potknięcie się redakcji wywołało jednak natychmiast donos mściwego i zazdrosnego o swój monopol Łuskiny. Wydarzenie to spowodowało pierwszy proces prasowy, który odbył się w Warszawie 9 stycznia 1793 r. przed Sądem Marszałkowskim w pałacu Rzeczypospolitej. Trybunałowi przewodniczył marszałek Michał Jerzy Mniszech. Trzej redaktorzy bronili się solidarnie i udało im się zrzucić część winy za przeoczoną przez cenzurę wzmiankę o wojskach polskich w Galicji na łamiącego

[32] Wł. Smoleński, *Mieszczaństwo warszawskie w końcu wieku XVIII*, s. 56—57.
[33] J. Łojek, *Dziennikarze i prasa w Warszawie*, s. 142, 148.

solidarność Pysznica. Wyrok był dość względny. Usunięto z zespołu redakcyjnego ks. Malinowskiego, mającego najgorszą opinię polityczną, a pismo wychodziło jeszcze przez pół roku.[34] Na jesieni 1793 r., wobec śmierci starego Łuskiny nastąpiła przerwa w ukazywaniu się „Gazety Warszawskiej".

W początkach następnego roku powstała nowa reakcyjna „Gazeta Krajowa". Podczas Insurekcji wychodziło w Warszawie aż czternaście czasopism. Wśród nich „Gazeta Wolna Warszawska" pod redakcją Dmochowskiego i Siarczyńskiego stała się od 1 lipca 1794 r. „Gazetą Rządową". Poza tym ukazywały się organy o różnym zabarwieniu aż do jakobińskich. Nowe społeczeństwo warszawskie zaczynało już potrzebować gazet, nie tylko dla uzyskania informacji ze świata, ale także dla zapoznania się z różnymi poglądami politycznymi, panującymi w kraju. Dowodzi to ogromnego przewrotu społecznego, powstawania nowych potrzeb wywołanych wytrwałą działalnością oświatową czasów Oświecenia.

W omawianym okresie na plan pierwszy wysuwa się znaczna ilość czasopism i druków ulotnych. Były one w dużej mierze dziełem młodych intelektualistów. Już tylko stary i wyśmiewany Łuskina sam „pisał" swą gazetę, przy niewielkiej współpracy geografa Karola Wyrwicza. Okres Sejmu Czteroletniego wywołał radosne zachłyśnięcie się wolnością druku, którą dawniej hamował zarówno obskurantyzm duchowieństwa, jak i władza marszałkowska. Świtkowski wyraźnie podał w 1788 r. przyczyny dotychczasowego unikania pewnych tematów politycznych i gospodarczych: „Dotąd z drżącym piórem przystępowało się do pisania w tych materyjach, które ściągały się do ugruntowania independencyji i potęgi krajowej, wiedząc, jak długie ręce mają zbrojni opiekunowie nasi.[35] Na sejmie panowała ogromna swoboda wypowiadania swego zdania. W jego przedsionku sprzedawano zarówno pisma patriotów Staszica, Kołłątaja czy Jezierskiego, jak obskuranckie apologie *liberum veto* i wolnej elekcji królów. Wzmożenie ruchu wydawniczego poszło przede wszystkim w kierunku politycznych broszur i ulotnych druków, zawierających program różnych stronnictw sejmowych. Nie zaznaczał się w tym czasie wyraźny podział między wydawcą i drukarzem. Nieraz ten sam człowiek był redaktorem, a więc w sporej mierze autorem czasopisma, jak również wydawcą — właścicielem lub kierownikiem drukarni. Znaczniejsi drukarze posiadali również księgarnie do sprzedaży swych dzieł.

Michał Gröll był najwybitniejszym spośród warszawskich księgarzy i drukarzy. Przybył z Drezna, osiadł w Warszawie w 1759 r., a w 1776 r. został wpisany do ksiąg obywateli Starej Warszawy. W 1762 r. założył on biuro adresowe pośrednictwa i informacji w Marywilu, a obok księgarnię „Pod znakiem poetów". Od 1778 r. prowadził najsławniejszą w stolicy drukarnię, mieszczącą się początkowo w Marywilu, potem kolejno na Długiej, na Lesznie i Rynku Starego Miasta. J. Bernoulli zaproszony w 1778 r. na obiad do Gröllа podkreśla jego szerokie oczytanie i znaczenie jego niemieckich utworów literackich: „Księgarnia Gröllа zaopatrzona jest obficie w najlepsze, nierzadko wspaniałe zagraniczne dzieła, mapy geograficzne, miedzioryty itp. W jego drukarni, dobrze wyposażonej, składającej się z wielu pras, pracowano wtedy gorliwie nad sławną księgą praw byłego kancle-

[34] J. Łojek, *Pierwszy proces prasowy w Warszawie*, „Kwartalnik Prasoznawczy", 1957, nr 1.
[35] „Pamiętnik Historyczny, Polityczny i Ekonomiczny", 1788, s. 1050.

rza wielkiego koronnego hrabiego Zamoyskiego." [36] Był to charakterystyczny dla warszawskiego Oświecenia przykład wydawcy, drukarza i księgarza, mającego także pewne ambicje literackie.

Drugim wybitnym drukarzem, księgarzem i nakładcą był Piotr Dufour, który w 1774 r. przyjechał z Paryża pod opieką Adama Kazimierza Czartoryskiego. Pierwsza drukarnia Dufoura mieściła się na Senatorskiej, później przeniósł się on na Świętojańską i wreszcie osiadł na Rynku Staromiejskim. W latach 1784—1794 kierował drukarnią Korpusu Kadetów, najlepiej wyposażoną pod względem technicznym. Jego przyjaźń z Węgierskim naraziła go na wiele przykrości, a nawet na dwa tygodnie aresztowania w wieży wyższej marszałkowskiej. W sumie Warszawa posiadała dziewięć drukarni i więcej jeszcze księgarni.[37] Niektóre z nich sprzedawały tylko importowane nuty i sztychy.

Czytelnictwo i biblioteki

W okresie Oświecenia nastąpił w Polsce, przede wszystkim zaś w Warszawie, przewrót w czytelnictwie. Oto jak lapidarnie określa to zjawisko Aleksander Brückner: „W 1764 r. nikt nic nie czytał, w r. 1791 wszyscy i wszędzie, nawet w karecie czy w przedpokoju, nawet lokaje czy kelnerzy, nawet w gotowalni czy u modystki." [38] Czytelnictwo rozpowszechniało się także wśród szlachty. W początkach okresu Oświecenia „ w żadnym prawie domu szlacheckim nie było prasy i książek. [...] Rzadko kto na ich kupno dłoń sięgnął do grosza." [39] Rozpowszechnianie się zamiłowania do lektury dostrzega z niezadowoleniem ks. F. Jaroszewicz: „u każdego prawie znajdziesz książkę w kieszeni, bo i kiedy w karetach jadą na spacjer, widziałem, że się książką bawią. Wiem o tym, że najbardziej książki francuskie czytają. Ale jakie? Wstyd mię o tym i mówić w uszach swoich! Są to książki o amorach, historie i niby żywoty postronnych amantów [...] jako sam widziałem o jednej nierządnicy w kilku tomikach. Dialogi na wyszydzenie i obmierzenie stanu duchownego, które i młodym dają czytać. — Widzę i to czasem, że bywają na mszy w kościele i czytają książki, ale nie wiedzieć jakie. Jam niektórych spostrzegł z bliska siedząc, że czytają *Figlackiego,* inni romanse francuskie, inni gazety". [40]

Lektura romansów rozpowszechniała się wśród dawnych czytelników kalendarzy i „Gazety Warszawskiej" Łuskiny. W okresie Sejmu Czteroletniego wzrosło znacznie zainteresowanie prasą polityczną: „Chwytano z ciekawością gazety napełnione

[36] J. Bernoulli, *op. cit.*, s. 371—372.

[37] A. Magier, *op. cit.*, przypisy J. W. Gomulickiego, s. 207—208 i 326—327; J. Szczepaniec, *Drukarnia Mitzlerowska Korpusu Kadetów w Warszawie w latach 1778—1783,* „Roczniki Biblioteczne", t. II, 1958, z. 1—2, s. 51—93; Z. Staniszewski i J. Szczepaniec, *Ogłoszenia prasowe jako źródło wiedzy o książce w Polsce wieku XVIII,* „Ze Skarbca Kultury", 1959, nr 12; Z. Staniszewski, *Pierwsze polskie czasopismo ogłoszeniowe.*

[38] A. Brückner, *Dzieje kultury polskiej,* Kraków 1931, t. III, s. 320.

[39] *Pamiętniki Kajetana Koźmiana obejmujące wspomnienia od roku 1780—1815,* Poznań 1858, t. I, s. 119.

[40] F. Jaroszewicz, *Stare błędy,* Lwów 1771, cyt. za: R. Kaleta, *Powojenne prace o literaturze stanisławowskiej 1945—1950,* Wrocław 1950, odb. z „Pamiętnika Literackiego", R. XLI, 1950, z. 3—4, s. 23—24.

nie samymi wiadomostkami o urodzinach, zaślubinach, pogrzebach, ucztach balach".[41] Szczegółowe badania J. Łojka nad wysokością nakładów i możliwościami czytelniczymi pozwalają stwierdzić, że potencjalnych czytelników prasy było w całym kraju około 196 000, a więc 2—3% całej ludności. Poważna część ewentualnych czytelników skupiała się w większych miastach. Byli wśród nich przedstawiciele zamożnej i drobnej szlachty, kleru i mieszczaństwa. Na rynku czytelniczym pojawiło się w Polsce w 1780 r. w sumie około 150 000 egzemplarzy różnych czasopism, drukowanych w 500 do 2000 egzemplarzy. W 1792 r. było już aż 600 000 egzemplarzy czasopism, czyli liczba ta czterokrotnie wzrosła. Tak więc czytelnik mógł przeczytać od 1,8 do 3 egzemplarzy czasopism. „Warszawa wraz z najbliższymi okolicami była nie tylko producentem, ale i konsumentem całej prawie prasy polskiej; nie więcej niż 20% całości produkcji prasowej wysyłane było na prowincję."[42]

W badaniach nad czytelnictwem warszawskim nie możemy brać pod uwagę jedynie książek i czasopism nabywanych na własność. Wspomnieliśmy już, że spragnieni nowości warszawiacy mogli z nich korzystać w bibliotece Załuskich. Jednakże była ona przeznaczona raczej dla intelektualistów. Zwykły czytelnik, spragniony lżejszej lektury, mógł ją wypożyczyć nawet w księgarniach. We wspomnianym dykcjonarzu Jezierskiego pod hasłem „Księgarnie" znajdujemy takie objaśnienie: „Składy ksiąg tym wyrazem nazywamy; składy ksiąg są na dwojaki zamiar, raz, ile są na przedaż, naówczas są towarem i nauką, drugi raz, ile są oddane na usługę powszechnego czytania w wolnie otwartych księgarniach i naówczas są samym przez się sprzętem nauki."[43] Wypożyczalnia nowości księgarskich Lexa otwarta została 1 lutego 1778 r. i mieściła się obok jego księgarni na Krakowskim Przedmieściu, a później kolejno przy Senatorskiej i Długiej. Pisał o niej Węgierski:

Mając od zabaw czasu wolnego kawałek,
Byłem u pana Lexa w przeszły poniedziałek.
Ale nie wiesz, kto on jest? Oto ten jest, który
Otworzył nam Gabinet tu Literatury.
Cały czas się przede mną i żalił, i zgrzytał,
Że tam każdy więcej pił, aniżeli czytał.[44]

W magazynach księgarskich podawano klientom kawę lub czekoladę. Podobne czytelnie zaczęli zakładać także inni księgarze: Netto na Krakowskim Przedmieściu koło Zamku, W. Buzana i A. Murano na Nowym Mieście. Bracia Gay urządzili przy ul. Senatorskiej wypożyczalnię książek francuskich w latach 1786—1792. Najbardziej popularna była czytelnia Pfaffa na Marywilu. Czytano tam książki francuskie i niemieckie. „Polacy ze średniej klasy, licząc w to drobną szlachtę, adwokatów i biuralistów, czytają mało lub cale nic, a jeśli czytają, to po francusku." Niemcy warszawscy byli zajęci wyłącznie pracą zawodową. Wybór w czytelni Pfaffa „niemieckich i francuskich dzieł jest taki, że amatorowie, którzy coś lepszego

[41] *Pamiętniki Kajetana Koźmiana obejmujące wspomnienia od roku 1780—1815*, t. I, s. 206.

[42] J. Łojek, *Ze studiów nad czytelnictwem prasy w Polsce w końcu XVIII wieku 1780—1793*, „Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego", t. II, s. 1963.

[43] F. S. Jezierski, *op. cit.*, s. 305.

[44] A. Magier, *op. cit.*, przypisy J. W. Gomulickiego, s. 327.

czytać pragną nad romanse i komedie, zadowolnić się nim nie mogą; ale głównie przyczyną tego jest brak czytelników". Poważniejszą lekturę propagował Jan Potocki, który „urządził u siebie czytelnię dla wszystkich otwartą. Kazał wyporządzić trzy piękne, obszerne pokoje w bocznym skrzydle swego pałacu, opatrzył je w krzesła, stoły, potrzeby do pisania i mnóstwo krajowych i zagranicznych gazet i broszur. Paru jego ludzi zawsze stało w pogotowiu i można było z rana lub po obiedzie w pewnych godzinach jakiś czas tu spędzić." [45] Czytelnia ta funkcjonowała prawdopodobnie w latach 1788 lub 1789—1793.[46]

Prywatne biblioteki mieszczańskie bywały nieraz nieźle zaopatrzone, przeważała jednak literatura dewocyjna i popularne romanse. Jednakże np. Jan Łukaszewski posiadał około 250 książek w językach polskim, francuskim i łacińskim. Obok kazań i modlitewników były to traktaty z zakresu prawa, historii, filozofii i polityki, pisma starożytnych i broszury polityczne. Tomasz Przyłuski obok zbioru dzieł prawniczych miał Monteskiusza w przekładzie Węgierskiego i wiele broszur politycznych. W ogóle obfita literatura polityczna okresu Sejmu Czteroletniego trafiła nawet do bibliotek skromnych rzemieślników, czytujących uprzednio jedynie literaturę dewocyjną i romanse. [47] Bujne życie naukowe i wydawnicze Warszawy okresu Oświecenia spełniało zasadnicze funkcje popularyzacyjne. Wzbudziło ono zainteresowanie czasopismami, publicystyką polityczną, literaturą piękną i ułatwiło „oświecanie" szerokich kręgów społeczeństwa miejskiego.

Obok tych bibliotek, przeznaczonych dla szerszej publiczności, istniała w Warszawie od 1747 r. naukowa biblioteka założona przez braci Załuskich. Starszy z nich, Andrzej Stanisław Kostka, był znakomitym organizatorem, młodszy, Józef Jędrzej, sławnym zbieraczem i bibliofilem. Gromadzone wcześniej zbiory, stale powiększane i uzupełniane, leżały najpierw w klasztorze karmelitów, później w pałacu marywilskim, wreszcie w 1742 r. zostały przeniesione do obszerniejszego pałacu na ul. Daniłowiczowską nr 617. Otwarcie tej Biblioteki Publicznej nastąpiło w czasie sejmu w 1747 r. i właściciele dążyli do jak najszerszego udostępnienia publiczności ponad 180 000 druków, nie licząc rękopisów i rycin. Był to jeden z najbogatszych księgozbiorów w ówczesnej Europie. Dalszy rozwój biblioteki, którą Naruszewicz słusznie nazwał „karmicielką" wszystkich uczonych okresu Oświecenia, został zahamowany po śmierci starszego z braci Załuskich, na skutek zakwestionowania przez spadkobierców i anulowania jego zapisu na rzecz warszawskiej fundacji. W 1761 r. bibliotekę przekazano warszawskiemu zgromadzeniu jezuitów, a po kasacie tego zakonu w 1773 r. przeszła ona na własność państwa i została oddana pod opiekę Komisji Edukacji Narodowej. Pod koniec swego istnienia liczyła około 400 000 druków, około 20 000 rękopisów i ponad 40 000 rycin. Po upadku Rzeczypospolitej została wywieziona do Petersburga, a część jej zbiorów rozproszyła się po drodze.

Biblioteka Załuskich mieściła się w jednym skrzydle dwupiętrowego pałacu i posiadała obserwatorium astronomiczne. Czytelnicy mogli korzystać ze zbiorów we wtorki i czwartki. Powoli przedłużano godziny udostępniania zbiorów, opra-

[45] F. Schulz, *Podróże Inflantczyka z Rygi do Warszawy i po Polsce w latach 1791—1793* (*Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców*, t. II, s. 608).

[46] W. Parkot, *Czytelnictwo wśród mieszczaństwa warszawskiego na przełomie XVIII i XIX w. Szkic faktograficzny* (*Z dziejów książki i bibliotek w Warszawie*, Warszawa 1961, s. 51—75).

[47] Wł. Smoleński, *Mieszczaństwo warszawskie w końcu wieku XVIII*, s. 54—55.

cowywano pierwsze katalogi. Dość często zdarzały się kradzieże książek. Aby im zapobiec, właściciele grozili złodziejom ekskomuniką. Na drzwiach biblioteki znajdował się łaciński napis: „Poświęciło dwóch znakomitych Załuskich na wieczny użytek obywateli." W pierwszym okresie udostępnienia zbiorów do najpilniejszych ich czytelników należał książę Udalryk Radziwiłł, jeden z nielicznych magnatów interesujących się techniką, wynalazca kafara do wbijania pali, maszyny do czyszczenia rzek, matematyk, poeta, „pan w książkach i mądrych się ludziach kochający". [48]

Relacje uczonych cudzoziemców, zwiedzających Warszawę w późniejszym okresie, ukazują organizacyjne i finansowe trudności biblioteki: „Gmach jest obszerny, ale stary i mocno zniszczony. Niemiłe wrażenie sprawia pokój, w którym wszystkie ściany aż po sufit zapchane są książkami, a liczne, zabierające całe światło regały ustawione są na środku tak, że w ogóle nie można się ruszyć. Taka sama sytuacja panuje na wszystkich piętrach, a nawet na strychach, pod na pół zapadniętym dachem. Miejscami książki stoją w zupełnych ciemnościach, zasypane rumowiskiem; zdarza się też, że leżą na ziemi bądź na deskach opartych ukośnie o kominy lub skrzynki. Te wyższe regały są chyba wyłącznie odwiedzane przez myszy i koty. Na dolnych piętrach, gdzie na ogół znajdują się porządne i obszerne sale, książki ułożono podług oryginalnego systemu. Są one podzielone przede wszystkim według języków: w osobnych pokojach mieszczą się książki łacińskie, polskie, francuskie i niemieckie. W ten sposób dzieła pokrewnej treści, a nawet tłumaczenia od oryginałów oddzielone są piętrami. Książki podzielone są na działy, jak historia itp. W obrębie działu książki ustawione są według formatu w porządku alfabetycznym, przy czym bierze się pod uwagę początkową literę nazwiska autora." [49]

Ta relacja z 1791 r. świadczy o tym, z jak ogromnymi trudnościami musieli się borykać twórcy i opiekunowie tej olbrzymiej, jak na owe czasy, biblioteki przy niedostatkach lokalowych i stałym braku finansów, a także ludzi do pracy. W najlepszym okresie pracowało w Bibliotece Załuskich pięciu bibliotekarzy i dwóch woźnych. W latach 1781—1783 jako jeden z bibliotekarzy zatrudniony był Franciszek Dionizy Kniaźnin z pensją 108 złp. miesięcznie. Jednakże zrezygnował on z tej pracy „dla słabości oczu" i wrócił na stałe do Puław. [50] Do najpilniejszych czytelników biblioteki należał Józef Wybicki. Biblioteka Załuskich była więc podstawowym warsztatem pracy, a okresowo także miejscem zatrudnienia uczonych i literatów warszawskiego Oświecenia.

[48] Tenże, *Przewrót umysłowy w Polsce w wieku XVIII*, s. 95.

[49] J. E. Biester, *Kilka listów o Polsce pisanych latem 1791 roku* (*Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców*, t. II, s. 213); I. Baranowski, *Biblioteka Załuskich w Warszawie*, Warszawa 1912; M. Łodyński, *Biblioteka Rzplitej — Załuskich zwana na tle ówczesnych bibliotek zagranicznych* (*Z dziejów książki i bibliotek w Warszawie*, Warszawa 1961, s. 11—50).

[50] T. Mikulski, *Kniaźnin w Bibliotece Załuskich* (*Ze studiów nad Oświeceniem*, Warszawa 1956, s. 237—238).

URZĘDNICY WARSZAWSCY

Nie wszyscy wykształceni warszawiacy mieli aspiracje twórcze, nie wszyscy także twórcy znajdowali zatrudnienie w najbardziej odpowiednich dla nich zawodach. Wielu ludzi posiadających średnie wykształcenie pracowało na różnych stanowiskach urzędniczych w instytucjach miejskich, a także w państwowych władzach centralnych, urzędach koronnych, jak Komisja Skarbu, które miały swoją siedzibę w Warszawie. Spora też była liczba skromnych kopistów, a zatem ludzi umiejących jedynie biegle pisać i przepisywać potrzebne akta. W okresie Oświecenia politycy postulowali konieczność zwiększenia ilości centralnych urzędów i władz wykonawczych na terenie stolicy.[1] W 1792 roku w Warszawie pracowało 1529 urzędników, a więc z pracy w instytucjach centralnych i miejskich utrzymywało się w sumie blisko 10 000 ludzi wraz z ich rodzinami i domownikami. 76,9% urzędników tych pochodziło ze stanu szlacheckiego, 20,7% z mieszczaństwa, a tylko 3,4% byli to Żydzi, zatrudnieni zazwyczaj we własnych organizacjach.[2]

Najwyżej kwalifikowana grupa urzędników posiadała wykształcenie prawnicze. W rozbudowanej hierarchii sądowniczej dawnej Polski najwyższy poziom reprezentowała palestra, tj. stan obrończy. Adwokaci, czyli patroni, słynęli ze znajomości różnych kruczków prawnych i obrotności języka, szybko się też bogacili. Wiele uboższej młodzieży szlacheckiej kształciło się u najsłynniejszych warszawskich patronów: „Młodzież szlachecka, sama tylko mająca do nich przystęp, uczyła się praw ojczystych, formowała się na sędziów. A że ten konszt jest zyskowany i poważny, wiele chudych pachołków, aplikując się szczerze do niego, przychodziło do znacznych substancyji i wysokich honorów, gdy przeciwnie synowie majętnych rodziców na edukacyją oddani, pracy nie lubiący, straciwszy po lat kilka w palestrze na rozpuście i próżnowaniu, z pustymi workami i łbami częstokroć do domu wracali." [3] Młodzi ludzie nie nabywali w palestrze żadnego teoretycznego wykształcenia: „księga akcesoryjów była kluczem do tego skarbu, przepisywanie summaryjuszów uprawą, a trafne wykręcenie sprawy lub poważne w kilku łacińskich sentencyjach wyłajanie przeciwnej strony zaświadczało doskonałość".[4] W Warszawie szczególnie liczna była palestra. Jak wszędzie młodzież szlachecka bywała harda i często dochodziło do jej bójek z oficerami garnizonu. Z krewkiej tej młodzieży wyrastali dostojni patroni, czyli adwokaci, kierownicy kancelarii sądowych, rejenci, czyli notariusze, lub ich pomocnicy. Wpisywali oni do ksiąg publicznych różne wyroki, skargi, poświadczenia o doręczeniu pozwów sądowych,

[1] B. Leśnodorski, *Dzieło Sejmu Czteroletniego (1788—1792). Studium historyczno-prawne*, Wrocław 1951, s. 239.

[2] S. Szymkiewicz, *Warszawa na przełomie XVIII i XIX wieku w świetle pomiarów i spisów*, Warszawa 1959, s. 186—187.

[3] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, s. 183—184.

[4] J. Michalski, *Studia nad reformą sądownictwa i prawa sądowego w XVIII wieku*, Wrocław 1958, cz. I, cyt. za: T. Czacki, *O litewskich i polskich prawach* (*Dzieła*, t. II, Poznań 1844, s. 80).

transakcje tyczące kupna, sprzedaży albo dzierżawy dóbr, zeznania o długach ciążących na określonych nieruchomościach, spisy wypraw panien, inwentarze ruchomości jednego ze zmarłych małżonków, a także przywileje królewskie dotyczące starostw czy innych urzędów.

Najzdolniejsi z palestrantów, poparci przez zamożnych lub wpływowe rodziny, mogli zrobić kariery w różnych władzach sądowych. Najniższym stopniem kariery najuboższych i początkujących palestrantów była funkcja instygatora trybunalskiego, czyli woźnego do ściągania grzywien. Urzędnik sądowy miał do pomocy żołnierzy, a i tak była to funkcja niebezpieczna, gdy szło o możnych skazanych, a zarazem zawsze źle płatna. Dzięki temu instygatorowie trybunalscy „dorabiali" także niezbyt godziwymi sposobami. Można było np. „zdybanego na zabawie nieprzystojnej z osobą podejrzaną jakiego młodzika, służalca przejeżdżającego albo rzemieślniczka lub kupczyka — obrać z pieniędzy, z pasa, z czapki, z zegarka i szabelki i tak wystrychnionego puścić niby z łaską niepojmania do aresztu, wiedząc, że dla wstydu nikt się o poniesioną takową grabież nie będzie skarżył". Można było także upatrzyć sobie co lepiej prosperujące niewiasty publiczne, aby „znać dawały, kiedy u siebie jakiego gaszka strojnego mieć będą albo kiedy się instygatorom powolnością dla nich samych lub miesięczną kwotą umówioną opłacały". Oczywiście, jeśli te nieczyste sprawki wyszły na jaw, to „pan instygator, doniesiony o tak niegodziwą i zdradziecką służbę swoją, odpoczywał w kordygardzie i bywał z urzędu zrucany". [5]

Wobec znanego zamiłowania szlachty polskiej do pieniactwa palestra warszawska miała na ogół dużą ilość klientów i niezłe dochody. Stałe klientki kancelarii adwokackich znały już nieraz nieźle terminy z sądowej łaciny. Procesy ciągnęły się niejednokrotnie długie lata. „Dopiero w r. 1788 dnia 30 kwietnia król Stanisław dał edykt, czyli wyrok, aby odtąd wszelkie zapozwy i wyroki sądowe w polskim, nie łacińskim języku były pisane, tak i praw chwytać się można było obcych, mięszać i zawikłać sprawę, za największą poczytując sztukę proces przedłużać, skąd oczywiście złe nastąpiły skutki." [6] Reforma ta usprawniła nieco polskie procesy cywilne. Najsławniejsi z warszawskich mecenasów i adwokatów okresu Oświecenia to Stanisław Węgrzecki, należący w 1794 r. do lewicy powstańczej, autor rozpraw prawniczych i członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Stanisław Kostka Baczyński, pisarz metropolii sądów prymasowskich, metrykant koronny Cyprian Sowiński, Alojzy Orchowski i najsławniejszy Franciszek Barss. Bronił on interesów miejskich w sądach marszałkowskich, należał do najwybitniejszych współpracowników Dekerta w walce o prawa miejskie, a po zwycięstwie Targowicy starał się o pomoc dla Polski w rewolucyjnym Paryżu.

Wiele pisano o sprzedajności sądownictwa polskiego XVIII w. Wiadomości te płyną w znacznej mierze ze wzmianek pamiętnikarskich, które nie mogą dać pełnego i bezstronnego obrazu zagadnienia. Część tych uwag krytycznych dotyczyła czasów saskich. Sędzia czy adwokat, „ile mu stare wino pozwoliło, pojął treść rzeczy, co miała pójść przed sąd, o losie zaś sprawy wydał wyrocznię nie z dowodów, których nie czytał, ale z p r o t e k c j i, jak nazywano, dworskiej lub partii na trybunale panującej, i charakteru, i k o r u p c j i deputatów... Intryga zaczem, przekup-

[5] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, s. 184—188.
[6] A. Magier, *Estetyka miasta stołecznego Warszawy*, s. 63.

stwo stanowiły wyrok".[7] Do ostatnich lat istnienia dawnej Rzeczypospolitej utrzymano konsekwentnie zasadę sędziów z wyboru. Byli oni więc warci tyle co ich szlacheccy wyborcy. Natomiast w sądach administracyjnych kolejni prezydenci zostawali dożywotnimi urzędnikami, a sędziami z nominacji byli członkowie sądów grodzkich i duchownych. Wiele pisano o nadużyciach władzy sądowej, o gwałtach możnowładców — Radziwiłła „Panie Kochanku", Tyzenhauza czy marszałka Olizara. W 1749 r. zerwano i rozpędzono najwyższy trybunał sądowy urzędujący w Piotrkowie. Skarżono się na urzędowanie po pijanemu całych kompletów sędziowskich. Nie wiadomo, jak było ze sprzedajnością, jednakże przekupienie całego grona deputatów złożonego z 7—30 osób było dość kosztownym przedsięwzięciem i częściej chyba zdarzały się wypadki przekonania mało zorientowanego w zawiłych materiach prawniczych grona sędziów przez zręcznego i wymownego adwokata. Poziom polskiego sądownictwa podniósł się znacznie w okresie Oświecenia i czasopisma stwierdzają, że „trybunały były trzeźwe". W Warszawie należy wspomnieć energiczną i dość owocną działalność sądowniczą Jurysdykcji Marszałkowskiej Koronnej. Surowe wyroki w różnych przestępstwach kryminalnych zwiększyły stopień bezpieczeństwa na ulicach stolicy, jakkolwiek i tak liczne były napady rabunkowe i bandyckie wyczyny swawolnej młodzieży.

Wyjątkowo złą opinię miał natomiast konsystorz warszawski, który oprócz różnych spraw duchownych i sporów o dziesięcinę wyrokował o rozwodach, czyli unieważnieniach małżeństwa. O interesowności tych sądów niekorzystnie wyraża się nawet ks. Jędrzej Kitowicz: „W środku panowania Augusta III, gdy się zagęściły rozwody, często z obu stron zmowne, stolica rzymska postanowiła defensorów *matrimonii,* którymi byli fiskałowie, czyli instygatorowie. Wtenczas z obowiązku swego wchodzili do każdej rozwodnej sprawy, utrzymując ważność małżeństwa, z którego się strona jedna lub obydwie wyłamać starały." Wymieniony instygator pozwalał czasem na rozerwanie małżeństwa, w którym nastąpił trwały rozkład pożycia: „Mówiłby kto, że Duch Św. przez niego gada, a to diabeł za kołnierzem; nie chciało mu się przeszkadzać, bo mu nicht nie zapłacił. A czemuż to tego piekła nie widział tam, gdzie mu strona, utrzymująca małżeństwa ważność, dobrze zapłaciła, choć biedna dama gwałtem za brutala wypchnięta za mąż dla interesu rodziców i opiekunów albo wykradziona i chłostą do szlubowania przymuszona, dni i nocy za mężem, dzikim okrutnikiem niewiernym, opłakiwała? Ale pan mąż, bojący się stracić posagu wielkiego z żoną wziętego, dobrze smarował i patrona, i defensora, i sąd".[8] Urząd instygatora nie cieszył się w rezultacie wielkim poważaniem. Palestry konsystorskie składały się z młodzieży mieszczańskiej, która — po poznaniu najważniejszych przepisów prawnych i nabyciu pewnego wyrobienia urzędniczego — ubiegała się raczej o urzędy pisarzy czy radnych miejskich.

Wyroki sądów konsystorskich w sprawie rozwodów miały ustaloną opinię w społeczeństwie warszawskim. A oto jak o nich pisze Ancuta, urzędnik, sekretarz Konfederacji Generalnej Wielkiego Księstwa Litewskiego w satyrze *Nie masz zgody* z roku 1778 lub 1779:

[7] J. Wybicki, *Życie moje,* wyd. A. M. Skałkowski, Kraków 1927, s. 24—25, BN I 106.
[8] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III,* s. 275—276.

101

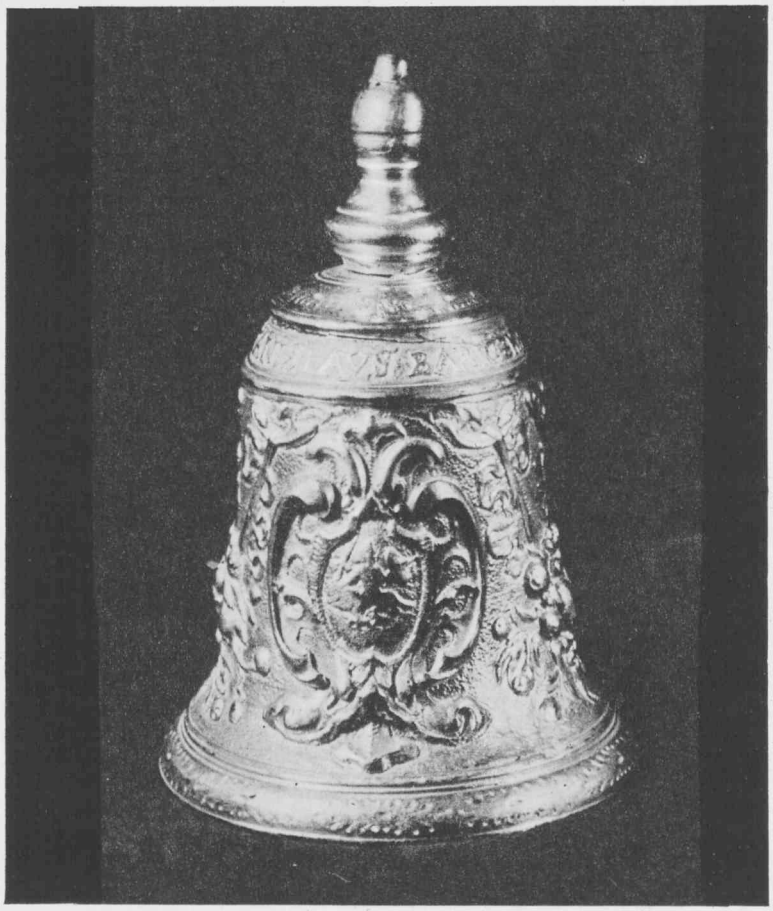



102

BIBLIOTEKA PUBLICZNA M.ST.WAR.



Bo się dziś za pieniądze łatwo rozwód daje,
Mają go szewcy, krawcy, hajducy, lokaje.

Z łapownictwa słynął zwłaszcza sędzia konsystorski, ks. Jan Aleksandrowicz. Do niego pisał Węgierski w wierszu *Żona*:

— Mój ty wielmożny prałacie,
Tuszę, że mi rozwód dacie?
Oto mam przyczyny słuszne,
Tak cielesne, jak i duszne.
— Pojmuję — rzekł — twoje żądze,
Ale maszże ty pieniądze?
Nie dają się tak rozwody:
Trzeba mi zapłacić wprzody.[9]

Ta częstotliwość rozwodów w społeczeństwie warszawskim skłoniła Andrzeja Młodziejowskiego, znanego z rozpusty i korupcji biskupa poznańskiego, do wydania w 1777 r. listu pasterskiego propagującego trwałość małżeństwa. W palestrach konsystorskich młodzież mieszczańska mogła się nauczyć zwłaszcza omijania wielu przepisów prawnych. Po paroletnim terminowaniu poszukiwała ona pilnie stałego zatrudnienia, o które było coraz mniej łatwo.

Grupa skromniejszych warszawskich urzędników różniła się od oficjalistów magnackich ustaloną już wysokością rocznych poborów i mniejszą zależnością osobistą. Stałość zarobków i wymogi całodziennego zatrudnienia wyraźnie odróżniały tych urzędników od rzeszy literatów i publicystów. Zjawisko to zaczyna występować w Warszawie już w latach siedemdziesiątych. Te stałe posady były zarazem przedmiotem zazdrości i... pogardy bezrobotnych poetów. Np. Jakub Jasiński poszukiwał w 1788 r. jakiegoś stałego zajęcia w Warszawie. W satyrze *Kij krzywy* pisze on po tych nieudanych próbach:

I ja też, gdybym umiał wykręcać językiem,
Może bym był dotychczas jakim urzędnikiem,
Kto wie, czybym nie wyszedł za jakieś projekta
Na wielkiego magistę albo architekta.
Mógłbym nawet do woli, na własne wydatki,
Wkładać na miasta całe niezwykłe podatki,
A każdy człek z talentem, zwiedziony nikczemnie,
Musiałby mi zapłacić, że lepszy ode mnie.
Narzekać już po czasie, losów to zrządzenie;
Ten wziął dobrą szkatułę — ja dobre sumienie.[10]

Jak widać, bezrobotni poeci nie byli przekonani o uczciwości pracy urzędników. Niektórym z nich udało się jednak na pewien czas uzyskać stanowisko urzędnicze. Zjadliwy satyryk, Tomasz Kajetan Węgierski, zdobył w r. 1776 zajęcie kancelisty w Departamencie Sprawiedliwości Rady Nieustającej. Zbliżył się w ten sposób do działaczy politycznych i uzyskał wiadomości, przekazywane później w satyrach:

[9] T. K. Węgierski, *Organy. Poema heroikomiczne w sześciu pieśniach*, oprac. J. W. Gomulicki, Warszawa 1956, s. 144—145.

[10] J. Kelera, *Poezja Jakuba Jasińskiego. Zarys monograficzny*, Wrocław 1952, s. 39.

Prawda, że mało zasług, a wiele urzędów,
Lecz może na ukryty przymiot nie ma względów:
Może Cyceron jaki lub Wirgili nowy
Miesza wapno i cegły nosi na budowy,
Albo, niewolniczymi obciążon roboty,
Nad przepisaniem cudzej męczy się ramoty.[11]

Ożywiona twórczość naukowa, literacka i wydawnicza wymagała wielu kopistów, których najważniejszą kwalifikacją była pilność i piękny charakter pisma. Interesujący pod tym względem jest wiersz Ignacego Krasickiego z 1780 r. zaadresowany do kopisty jego dzieł a zarazem kancelisty, a później sekretarza w kancelarii królewskiej — Tomasza Rotkiewicza. Adresat wiersza uchodził przez całe swe długie życie za wzorowego urzędnika, dobrego kaligrafa i pracował do 1830 r. Poeta droczy się z młodym kopistą:

Jakoż bierzmy na szalę nas obudwóch stany,
Kto szczęśliwszy: piszący czyli przepisany?
Czy waćpan, co mnie piszesz, czy ja, co się zżymam?
Mości panie Rotkiewicz! Ja z waćpanem trzymam![12]

Cała grupa kopistów pracowała na Zamku królewskim pod kierunkiem Adama Naruszewicza przy przepisywaniu materiałów do dziejów narodu polskiego. „U mnie skrybentów jak pszczół w ulu. Leci co żywo na złotówki, ja też nie żałuję pracy w zbieraniu, żebym nie był darmozjadem chleba WKMości. Czarnek dobrze służy WKM, ale Dzierżanowski ustał. Pierzchają Ichmość inni, gdy im jaki szpargał gocki usmolony podsunę mówiąc, że nie wyczytam albo drew nie mam do opału stancji. Już ja wolę z najemnikami niżeli z tymi pensjonowanymi paniczami, co się lubią długo fryzować." [13] Adam Naruszewicz starannie dobierał swych kopistów i konsekwentnie unikał przysyłanych mu przez króla protegowanych paniczów, którzy by uszczuplali skromny budżet wielkiej pracowni historycznej. W 1791 r. tak się wylicza: „Na te 50 dukatów jest pisarków piąciu, którzy brane teraz z Archiwum Koronnego metryki w dzikich charakterach kopiując i od arkusza po półtora złotego biorąc, często zarabiają na miesiąc po 6 dukatów, a zatem na nich wychodzi 30 [...]. Daję trzymającemu ks[iędzu] kancelarią i pomagającemu pisać po 5. Więc pozostałe siedm dają się na papier, pióra, inkaust, teki [...]. A w liczbie tych skrybów zapewne nie zechce się mieścić pan podkomorzyc i ja też tych paniąt nie chcę, którzy wysoko patrzą i [są szorstcy dla napominających]. A tu, kto służy za pieniądze i arkuszami zarabia, musi często być połajany i znać subordynacją." Tak więc podkomorzyc Bukowski i Romer nie dostali się do pracowni, gdzie w 1781 r. pisało około dwudziestu osób spośród ubogiej młodzieży szlacheckiej. Zarabiali oni po złotówce za przepisany arkusz i formowali się „przez kopiowanie żywej historii do dyplomatycznej".[14] Niejednemu z nich zabrakło protekcji pańskiej w uzyskaniu tak nawet skromnego stanowiska. Świadczą o tym np. dzieje chudopachołka Alek-

[11] T. K. Węgierski, *Organy. Poema heroikomiczne w sześciu pieśniach*, wstęp J. W. Gomulickiego *Nad klawiaturą „Organów"*, s. 60—61.

[12] Cytat według: I. Krasicki, *List VII, Do pana Rotkiewicza* (*Dzieła wybrane*, t. II, s. 111); T. Mikulski, *Adresaci „Listów" Krasickiego* (*W kręgu oświeconych*, Warszawa 1960, s. 78—79).

[13] *Korespondencja Adama Naruszewicza 1762—1796*, oprac. i wyd. J. Platt, Wrocław 1959, list z 29 X 1781, s. 205.

[14] Tamże, s. 207, 392—393. Zwrot w klamrach w oryginale po łacinie.

sandra Pawła Zatorskiego, który na skutek perypetii miłosnych opuścił zakon pijarów.[15]

Wielu urzędników, przeważnie pochodzenia szlacheckiego, znalazło zatrudnienie w instytucjach centralnych, a zwłaszcza w skarbowych. Oficjaliści Skarbu Rzeczypospolitej Koronnego podkreślali starannie godności piastowane w stronach, z których pochodzili: „Ostaszewski jest chorążym przasnyskim, Pęczkowski podczaszym przasnyskim, superintendent kasy generalnej Rudnicki starostą brzesko-kujawskim, pisarz Mikorski podkomorzym gostyńskim, Łęczyński, regent kwarciany, stolnikiem gostyńskim." Jeśli nie posiadali oni majątków, to zwykle dążyli do ich odzyskania poprzez służbę urzędniczą. Nie wymagano od nich wysokich kwalifikacji fachowych. Bardziej dopytywano się o herb szlachecki, wyznanie rzymskokatolickie i niekaralność aniżeli o wykształcenie ogólne. Jeszcze w czasie Sejmu Czteroletniego poseł Suchodolski sądzi: „w skarbie wiele nauki nie trzeba, aby tylko umiał czytać, pisać i rachować, resztę instrukcyja go nauczy". Niekiedy jednak świeżo przyjęci urzędnicy czuli się niezdolni do pełnienia swych funkcji. Tak np. „Zbyszewski, mianowany buchalterem w Dyrekcji Tabacznej, wyznaje niezdolność swoją, w podaniu z dnia 27 stycznia 1791 roku, i składa swój urząd". Urzędnicy ci byli zwykle uprzejmie traktowani, w razie choroby czekano kilka miesięcy na wyzdrowienie, a na czas urlopu należało znaleźć zastępcę. Do pilnie urzędujących magnatów na kierowniczych stanowiskach skarbowych należeli Kasper Rogaliński, Fryderyk Moszyński oraz uczony Feliks Łojko, zatrudniony w Komisji Skarbowej w latach 1772—1778.

Działalność Komisji Skarbowych została zreorganizowana od 1775 r. pod władzą Departamentu Skarbowego Rady Nieustającej. Dość znaczną sprężystość wykazała Komisja Skarbowa Koronna. Nazwiska zwiększonej liczby urzędników skarbowych świadczą nadal o protekcjach pańskich i popieraniu krewnych. Jednakże codzienna, systematyczna praca zmusiła tę szlachtę do wyrobienia się na porządnych urzędników. Pisali oni krótkie, rzeczowe sprawozdania jasnym stylem, a wszelkie rachunki były starannie badane przez deputację Sejmu Czteroletniego. Jej sprawozdawca, Morski, orzekł, że „oficjaliści, przy boku Komisji będący, przez swoją wierność, pilność i sprawność zasługują sobie na niepoślednią część pochwał, które słusznie spływają na tę magistraturę". Warto wymienić nazwiska paru pilnych oficjalistów. Jednym z filarów biura był Józef Mikorski, pracujący tam 27 lat (1764—1791), a jego następca Ostaszewski działał w sumie lat 28. Pracował tam także mieszczanin Andrychiewicz, uzyskawszy nobilitację na sejmie w 1775 r.

W tym okresie ministrem skarbu był słynny z nieuczciwości Adam Poniński. Wzorem większości magnatów podpisywał on tylko pisma w gotowalni. Właściwym kierownikiem Komisji stał się więc Roch Kossowski, podskarbi nadworny koronny. Nie posiadał on wyraźnego oblicza politycznego, jednakże współcześni podkreślali jego uczciwość: „Cnota jego stanęła mu na przeszkodzie do fortuny, a ten tytuł podskarbiego W. K. losu jego nie poprawi, bo prawie wszystkie instrukcje województw są za powiększeniem skarbu, a za umniejszeniem ministrom pensji, więc niech sobie podskarbi koronny będzie Wielkim Kossowskim, bo to jest wielka

[15] M. Klimowicz, *Materiały do biografii Aleksandra Pawła Zatorskiego*, „Archiwum Literackie", t. V, 1960.

w świecie, dopieroż w Polszcze nowalija — podskarbi cnotliwy!" [16] Nie wszyscy członkowie Komisji Skarbowej mogli się wykazać poszanowaniem grosza publicznego. Jednakże ogólna postawa urzędników sprawiła, że zdołali oni w pewnej mierze uniezależnić się od kierownictwa Ponińskiego.

Okres Sejmu Czteroletniego wpłynął na ożywienie się działalności obu Komisji, zwłaszcza zaś Skarbowej Koronnej, w której od 1786 r. pracował najgorliwszy ze wszystkich komisarzy, Tadeusz Czacki. Składał on raporty o administracji przemysłem tabacznym, o bilansie handlowym i taryfach celnych w handlu z Mołdawią, Turcją i Anglią, interesował się możliwościami górnictwa soli i węgla kamiennego w granicach Polski po 1772 r. Uzdrowienie gospodarki państwowej i wykonywanie uchwał sejmowych zawdzięczała Rzeczpospolita w znacznym stopniu działalności Komisji Skarbowej. W tym czasie kontrolowano coraz pilniej pracę zwiększonej liczby oficjalistów skarbowych. Udzielono dymisji np. dwom oficjalistom, zajmującym się egzekwowaniem uchwalonego w 1789 r. „podatku skórowego", polegającego na przymusie oddawania przez rzeźników całego kraju części skór zabitych przez siebie zwierząt. Jeden z oficjalistów, Krajewski, sprzedawał uzyskiwane skóry i uciekł do Prus, przywłaszczywszy sobie 14 107 złp. „dla uniknienia satysfakcji skarbowi". Drugi syndyk warszawski, Szymon Szmulowicz, tłumacz „charakterów żydowskich", czyli pisma hebrajskiego, został oddany do sądu marszałkowskiego. Nagany otrzymali inni przekupni urzędnicy, jak Ruszkowski, którego oskarżono, że „składających podatki nie puszcza i różne wybiera datki". Za źle zrobione lustracje skarbowe, przedłużanie urlopów i małą pilność udzielano kar pieniężnych. Ta zwiększona ilość kar świadczy właśnie o dokładniejszych kontrolach i podniesieniu poziomu wymagań wobec urzędników.

Zachowały się pewne wzmianki o działalności Biura Przybocznego Komisji Wojskowej, które składało się z trzydziestu dwóch osób. Michał Starzeński wraz z Tadeuszem Dembowskim i pułkownikiem Czapskim pracowali nad organizacją wojska przy pomocy dwóch pisarzy, dwóch regentów i jednego sekretarza wojskowego. Starzeński narzekał na ich robotę: „Zatrzymano ich dlatego, że zapłacili swe miejsca... Czuwałem nad ekspedycją i 10-cią młodzieży biurowej, którzy ledwo umieją pisać." [17]

Omawiano tu zajęcia różnego rodzaju pracowników sądowych, skarbowych i kopistów prac naukowych czy literackich. O sytuacji finansowej urzędników warszawskich lepiej informują dane co do stopni służbowych pracowników władz marszałkowskich, sprawujących rządy policyjne w stolicy w okresie pobytu w niej króla, oraz władz miejskich. Od 1775 r. Komisji Marszałków podlegał Departament Policji, posiadający pewne uprawnienia administracyjne, wykonywane poprzez kancelarię. Zatrudniano w niej dwóch sekretarzy: Wincentego Kozłowskiego i Nagłowskiego, oraz trzech kancelistów i kopistów: Tańskiego, Świętorzeckiego i Michalskiego. Od stycznia 1778 r. mieli oni stałą pensję roczną. Pierwszy sekretarz zarabiał 5000 złp., drugi 3000 złp., a kanceliści i kopiści po 1334 złp.[18] Najwyższa z tych pensji pozwalała w tym okresie na względnie dostatnie mieszczańskie byto-

[16] T. Korzon, *Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta*, Kraków 1897, t. IV, s. 80—174 i 193—241.

[17] Tamże, t. V, s. 24—25 i 37—40.

[18] Tamże, t. IV, s. 310.

wanie, podczas gdy najmniejsze pobory kopistów, obarczonych rodzinami, były bardzo skromne. Urzędnicy ci załatwiali w Departamencie Policji różnorakie sprawy reform miejskich i uporządkowania stolicy, a także innych miast królewskich, oraz kontrakty z Entrepryzą Tabaczną.

Wspomniany Departament Policji został zlikwidowany z dniem 1 października 1788 r. Jego funkcje przejęła Jurysdykcja Marszałkowska, następnie zaś dnia 24 czerwca 1791 r. ukazało się prawo o Komisji Policji Obojga Narodów. Składała się ona z marszałka i piętnastu komisarzy. Celem jej było uporządkowanie wszystkich miast całego kraju i ogólny nadzór policyjny. Ogromne funkcje tej władzy centralnej wymagały dużego, jak na stosunki okresu Oświecenia, biura składającego się z kancelarii i służby policyjnej. Pracowało w nim 158 osób pobierających stałe pensje roczne. Stanowisko pierwszego pisarza dzierżył w dalszym ciągu Wincenty Kozłowski. W sumie znajdowało się tam pięciu pisarzy „zwierzchniego dozoru", trzydziestu pięciu „oficjalistów i sług ekonomicznych ogólnych" — byli to sekretarze stojący na czele poszczególnych kancelarii, archiwista, kasjer, kontroler, dwóch budowniczych, geometra, hydraulik, dwóch tłumaczy z rosyjskiego i hebrajskiego oraz trzech instygatorów, o których wspomnieliśmy na początku tego rozdziału. Zatrudniano dalej 27 „oficjalistów ekonomicznych prowincjonalnych" i 13 „oficjalistów sądowych", regentów, sekretarzy, regestratorów i prokuratorów. Pozostałe 78 osób określano jako „oficjalistów dozorczych", a więc intendentów i strażników. Pensje większości niższych urzędników były bardzo skromne, jednakże duże biuro ułatwiało przeszkolenie kadry urzędniczej, rekrutującej się z wykształconej młodzieży mieszczańskiej i zubożałej szlachty.[19]

Władze miejskie wymagały także niewielkiej liczby stałych urzędników. Pisarz rady miejskiej, czyli radziecki, miał poza stałym wynagrodzeniem bezpłatnie dom z ogrodem, a pisarz wójtowski otrzymywał część opłat sądowych i korzystał z mieszkania w jednej z kamienic miejskich. Oba te urzędy były sprawowane dożywotnio, z tym, że pisarze brali udział w obradach rajców i ławników bez prawa głosu.[20] W 1765 r. cały personel urzędniczy władz miasta Starej Warszawy wynosił osiem osób: „Prezydent i wójt pobierali rocznie po 100 złp., podskarbi — 75 złp., pisarz radziecki 600 złp., pisarz wójtowski [ławniczy] 300 złp., syndyk 500 złp., instygator 300 złp., a zarządzający 100 złp." Do pensji tych dochodziły tzw. gratyfikacje, udzielane parę razy do roku: „za gęsi na św. Marcina", „za rybę na wigilię Bożego Narodzenia", „za kołacz na Wielkanoc". Gratyfikacje te stanowiły połowę wydatków na pensje urzędnicze w rachunkach miejskich. Na potrzeby kancelarii miejskiej zakupiono w 1765 r. aż dziesięć ryz papieru.[21] Po zniesieniu jurydyk warszawskich i powstaniu jednolitego organizmu miejskiego w 1792 r. w scentralizowanych władzach znalazło się 292 urzędników miejskich oraz 60 członków milicji miejskiej. Wśród tych urzędników byli pisarze, sekretarze, archiwista, prokurator fiskalny i — najliczniejsi — kopiści i kanceliści przepisujący pisma i rozporządzenia władz miejskich.[22] Wspomnieć należy także o niewielkiej grupie

[19] A. Zahorski, *Centralne instytucje policyjne w Polsce w dobie rozbiorów*, Warszawa 1959, s. 125—129.

[20] H. Eile, *Pracownicy miejscy w dawnej Warszawie*, Warszawa 1939, s. 40.

[21] F. Piltz, *Gospodarka finansowa Starej Warszawy 1765—1795*, Warszawa 1939, s. 23, 69—71.

[22] A. Zahorski, *op. cit.*, s. 125—129.

urzędników pocztowych, działających początkowo pod władzą dyrektora generalnego poczt Karasia, urzędującego w domu przy wąskiej części Krakowskiego Przedmieścia, później zaś na Trębackiej.[23] Podczas Insurekcji warszawscy urzędnicy pracowali w Komisji Porządkowej Cywilno-Wojskowej rządu, zwłaszcza zaś w Wydziałach: Skarbowym, Bezpieczeństwa, Żywności i Uzbrojenia. Zarówno zawodowi urzędnicy, jak i wykształceni mieszczanie wykazali znaczną energię w wykorzystywaniu wszelkich miejscowych rezerw dla zaopatrzenia, umundurowania i uzbrojenia wojska i organizacji życia miejskiego.

Fragmentaryczne te dane ukazują mało zbadane fakty powstawania nowej kadry urzędniczej z warszawskiej inteligencji miejskiej. Kadra ta rekrutowała się po części z niezamożnej i bezrolnej już szlachty oraz z przeszkolonych w palestrze mieszczan. W niektórych instytucjach pracowali także mniej znani uczeni czy literaci, szukając w ten sposób stałej i nieźle płatnej pracy. Kariera urzędnicza w świadomości współczesnych pozwalała na osiągnięcie stałych dochodów rocznych i niezłej pozycji społecznej. Chwiejność bytu państwowego dawnej Rzeczypospolitej nie pozwalała na większą ciągłość istnienia instytucji stołecznych i miejskich. Najbardziej stabilny był aparat sądowniczy i instytucje skarbowe, i tam właśnie zdarzały się długie — blisko trzydziestoletnie — urzędnicze staże pracy. Instytucje o charakterze porządkowym podlegały szczególnie częstym „reorganizacjom", które nieraz odbierały środki do życia skromnym pisarzom, kancelistom i kopistom.

W Warszawie okresu Oświecenia co najmniej tysiąc kilkaset osób „bawiło się sedenteryją" w ciemnych i ciasnych urzędach, studiowało prawne czy finansowe przepisy, lub kopiowało akta, ostrząc gęsie pióra i posypując piaskiem ukończone stronice. Tym właśnie ludziom wraz z literatami i uczonymi została poświęcona rozprawka lekarza szwajcarskiego, Szymona Andrzeja Tyssota pt. *Rada dla literatów, sedentariuszów i tych wszystkich, którzy przywiązani do urzędu swego pracami rozumu zdrowie swoje wycieńczają.* Zalecenia z 1774 roku są do przyjęcia i dzisiaj. Dotyczą przechadzek na świeżym powietrzu, diety złożonej z łatwo strawnych potraw, zakazu alkoholu, kawy, herbaty i tytoniu z podkreśleniem: „Człowiek im więcej myśli, tym gorszą ma niestrawność w żołądku, a ten, który mniej myśli, i lepiej, i prędzej trawi jedzenia." [24] Spostrzeżono nienaturalność siedzącego trybu życia i szukano środków zmniejszających jego złe skutki.

[23] W. Polański, *Jak przewożono pocztę w dawnych czasach*, Toruń 1925, s. 98—101; tegoż autora *Znaki i marki pocztowe w Polsce w XVIII i XIX wieku*, Kraków 1922.

[24] S. A. Tyssot, *Rada dla literatów...*, wyd. T. Mikulski, Warszawa 1936, s. 10.

MEDYCYNA I LECZNICTWO

Szpitale i przytułki

Wraz z powiększającą się liczbą mieszkańców Warszawy wzrastała ilość ludzi ubogich i kalekich, sędziwych i nędzarzy. Wszyscy oni potrzebowali opieki i leczenia. Dla wielu z nich nie było miejsca w istniejących szpitalach i przytułkach, które w liczbie jedenastu powinny były — jak by się wydawało — zaspokoić potrzeby miasta. Prawie wszystkie jednak mieściły się w kamienicach lub domach zaledwie powierzchownie przystosowanych do funkcji leczniczych. Niektóre z tych budynków były bardzo stare, wzniesione w niedługi czas po lokacji miasta, jak np. szpital Św. Ducha przy ul. Piwnej, który ufundowała księżna Anna mazowiecka w połowie XV w., osadzając w nim mniszki — augustianki. Najstarszy był szpital miejski pod tym samym wezwaniem Św. Ducha, usytuowany poza murami miasta. Inne zaś, jak ów przy kościele N. Marii Panny na Nowym Mieście, z trudem mieściły się w niewielkich, drewnianych budynkach. Również szpitale zbudowane później, w XVI i XVII wieku, pełniły głównie rolę przytułków dla ubogich i niedołężnych. Zaledwie kilka z nich miało wyraźnie cel leczniczy. Do nich należał założony w końcu XVI w. z inicjatywy księdza Piotra Skargi szpital Św. Łazarza przy ul. Mostowej dla chorych wenerycznie. Patronat nad nim objęło Bractwo Miłosierdzia. Szpital Bonifratrów, przy ulicy o tejże samej nazwie, już od połowy XVIII w. opiekował się umysłowo chorymi. Były również szpitale, które trudniły się wychowaniem i nauczaniem sierot, jak Św. Benona na Nowym Mieście, przeznaczony dla chłopców, oraz zajmujący się dziewczętami zakład Św. Katarzyny na Tamce, prowadzony przez siostry miłosierdzia.

We wszystkich tych budynkach pomieszczenia dla chorych składały się z kilku izb oraz dużej sali, w której była kaplica. Pozostałe izby znajdujące się w kamienicach szpitalnych przeważnie wynajmowano komornikom. Do większych i lepiej wyposażonych należał stary szpital Św. Ducha, znajdujący się pod opieką sióstr marcinkanek. Oto jego opis pochodzący z wizytacji przeprowadzonej w końcu XVIII w.: „Od ulicy Piwnej daje wchód do szpitala brama wielka z furtką, za którą są mury szpitalne dwa piętra i dół w sobie zawierające. Na dole sala wielka męska, w której znajduje się łóżek z firankami 20, a bez firanek 20. Chorych zaś osób znajduje się 45. Druga sala, nazwana królewską, dla chorych z liberii Najjaśniejszego Pana przeznaczona, w której łóżek z firankami jest 11, a bez firanek 15, osób zaś chorych liczy się 11. Niedaleko zaś tych sal są loka [*secreta*]. Na tymże dole jest mięsarnia do szlachtowania mięsa, grabarnia do umieszczania umarłych, komora kuchenna, kuchnia i piekarnia. [...] Pierwsze piętro ma sal dwie. Pierwsza sala białogłowska, nad salą męską sytuowana, zawiera w sobie łóżek z firankami 20, a bez firanek 8, chorych zaś osób 30. Druga sala, nad salą królewską, mająca łóżek z firankami 12, a bez firanek 26, chorych zaś osób 28. W salach męskich mieści się studentów ubogich 6-ciu, a w salach białogłowskich panienek sierot 9. Na wprost pierwszej sali jest izba, w której panienki sieroty uczą się czytać, pisać, szycia i innych robót, wprost tej izby loka [*secreta*]. Na tymże piętrze furta z dzwonkiem

dająca wchód na korytarz, obok którego umieszczone są: zakrystia, westiarnia, refektarz, izba dla przełożonej, skarbczyk i apteka." [1] Mimo znacznych rozmiarów trudno było ten stary budynek dostosować do wymagań współczesnego lecznictwa.

Bardziej nowocześnie przedstawiały się gmachy wzniesione w XVIII w. dla dwóch szpitali. Jednym z nich był założony jeszcze w XVII w. szpital Św. Rocha, którego budowa — według projektu Jakuba Fontany — rozpoczęta w r. 1709, ciągnęła się przez wiele lat do połowy stulecia. Szpital ten położony w głębi Krakowskiego Przedmieścia, w pobliżu Pałacu Kazimierzowskiego, składał się z budynku głównego i dwóch przylegających doń oficyn. W latach późniejszych adaptowano dla celów szpitalnych kamienicę zamykającą zabudowania od strony Krakowskiego Przedmieścia i umieszczono w niej infirmerię i kaplicę. W głównym korpusie szpitala, a więc w pomieszczeniach znajdujących się po obu stronach kaplicy, której okna otwierano, ażeby umożliwić chorym słuchanie nabożeństwa, mieściło się po 16 łóżek, zasłoniętych firankami, z lewej strony dla mężczyzn, z prawej zaś dla kobiet. Wzdłuż ścian szczytowych obiegały ganki, w których w razie większego napływu umieszczano chorych. W jednej z oficyn znajdowały się oprócz kuchni magazyny na żywność, spiżarnie, izby czeladne i inne, nad nimi zaś na piętrze sypialnia sióstr miłosierdzia, które opiekowały się chorymi. W drugiej oficynie mieściło się laboratorium, apteka i skład leków.[2] Budowę nowoczesnego w całym tego słowa znaczeniu szpitala rozpoczęto dzięki inicjatywie, silnej woli i cierpliwej akcji księdza Piotra Gabriela Baudouina. Zdołał on uzyskać na ten cel fundusze od króla Augusta III, magnatów oraz zasobnych rodzin mieszczańskich. Ażeby zdobyć dodatkowe sumy, obciążono składką kawalerów orderu Św. Stanisława, a z pomocą miłosiernych dam warszawskich urządzono nawet loterię, z której dochód służyć miał budowie szpitala. Ksiądz Baudouin był niewyczerpany w pomysłach, jak i w pokorze chrześcijańskiej, co potwierdzają znane anegdoty.[3]

W r. 1762 ukończono budowę szpitala, który — przeznaczony pierwotnie na przytułek dla podrzutków i dzieci sierocych oraz na szkołę dla nich — awansował do rangi szpitala generalnego miasta Warszawy. Tak jak w szpitalu Św. Rocha, dominował w nim pośrodku budynek kościoła. Po obu jego stronach mieściły się wielkie sale i mniejsze izby, w których stało od kilkunastu do kilkudziesięciu łóżek. Ale w latach późniejszych „na jedną salę przypada od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu [łóżek]. Łóżka są wygodne, a sale nieźle utrzymane, zwłaszcza dwie pierwsze; tylko te dwie sale mają firanki, chorzy mniej są stłoczeni, a wysokość sklepień zezwala na lepszy przepływ powietrza. Szpital ten jest o wiele lepiej utrzymany niż dwa pozostałe [tj. Św. Łazarza oraz Św. Ducha]; nie przyjmuje się tu chorych wenerycznie ani kobiet w ciąży — fakt niepojęty, skoro w mieście tym brak jakiegokolwiek zakładu położniczego. Podrzutki przyjmowane są o każdej porze dnia przez przełożoną, w nocy zaś składa się je w furcie [...]. Kołyski są tu nieodpowiednie, a przy tym do jednej kładzie się troje albo czworo niemowląt".[4]

[1] J. Bartoszewicz, *Rys historyczno-statystyczny szpitali... w Królestwie Polskim*, Warszawa 1872, t. I, s. 507.

[2] Z. Bobrowski, *Budynki użyteczności publicznej w Polsce wieku Oświecenia*, „Studia i Materiały do Teorii i Historii Architektury i Urbanistyki", t. III, 1961, s. 62.

[3] W. Gomulicki, *Opowiadania o starej Warszawie*, Warszawa 1960, s. 472.

[4] Fortia de Piles i Boiseglin de Kerdu, *Podróż dwóch Francuzów (Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców*, t. II, s. 696).

Dzieci przebywały pod opieką mamek, które mieszkały w szpitalu. Potem wysyłano je na wieś. W szpitalu znajdowały się szkoły, po dwie dla chłopców i dziewcząt. Zgodnie z współczesnymi ideami oświaty dla ludu, uczono w nich dzieci czytać i pracować. W szpitalu tym trzymano również umysłowo chorych, dla których przeznaczone były specjalne murowane komórki w podwórzu. W końcu wieku szpital okazał się za szczupły. Dobudowano wtedy dwa skrzydła, zamykające dziedziniec od ul. Szpitalnej oraz oficynę od strony ulicy Wareckiej.[5]

Leczenie szpitalne — pacjenci i lekarze

Chorych czy ubogich przyjmowała do szpitala komisja kwalifikująca, w której nie zawsze znajdował się lekarz. Pobierano od nich opłaty dobrowolne, tylko niektóre szpitale miały określoną wysokość tzw. wpisu, szpital N. Marii Panny, na przykład, pobierał 100 albo 200 złp. Jakimi funduszami rozporządzano na utrzymywanie budynku i personelu oraz leczenie i odżywianie chorych? Od wieków szpitale wyposażane były przez fundatora oraz dobrodziejów, którzy przeznaczali na ten cel kosztowności, grunty, place, nieruchomości, jak też procenty od prowadzonych przedsiębiorstw oraz dary w naturze. Poza tym utrzymywano się z jałmużny. W wielu punktach miasta rozwieszone były skarbonki, apelujące do dobroczynności społeczeństwa. Uzyskiwano też fundusze z widowisk. Wreszcie część lżej chorych, a także ubodzy zarabiali lżejszymi pracami, jak przędzenie, robienie pończoch na drutach, czy kręcenie knotów bawełnianych. Zbierali też i suszyli zioła, a nawet żebrali w miejscach przeznaczonych na ten cel. Niewielki dochód uzyskiwano z przepadku mienia pacjenta, gdy umierał w szpitalu.[6] Wraz jednak z sekularyzacją społeczeństwa kruszały podstawy finansowe szpitali i dawne zasoby przestały wystarczać. Dlatego Komisja do spraw szpitalnictwa projektowała bardziej ustabilizowane źródła egzystencji finansowej. Chorzy obowiązani byli wpłacać ściśle określone sumy za leczenie. Opłata dzienna w szpitalu Św. Łazarza w r. 1796 wynosiła 20 gr. Była ona niewspółmierna do wydatków utrzymania jednego pacjenta. Koszt ten sięgał 333 zł i 10 gr rocznie (1 złp. = 30 gr), czyli przekraczał o przeszło 100 złp. sumę wpłacaną. Najkosztowniejsze było utrzymanie chorego w szpitalu Dzieciątka Jezus, bo wynosiło 653 złp., gr 7, szel. 2.[7] Na sumę tę składały się zapewne wysokie koszty utrzymania budynku, licznej służby zdrowia, mamek, a także nauczycieli w czynnych tam szkołach.

Personel pomocniczy obowiązany był do obsługi chorych, opieki nad przeprowadzaniem leczenia i do odpowiedniego odżywiania pacjentów, które w końcu XVIII w. zaczęto przystosowywać do przebiegającej kuracji. W połowie stulecia nie było jeszcze stałych lekarzy szpitalnych. Wynikało to z utrzymującej się do końca tego wieku średniowiecznej tradycji, że szpital jest przede wszystkim miejscem przeznaczonym do dawania przytułku i opieki ubogim, sierotom, kalekom i nieule-

[5] Z. Bobrowski, *op. cit.*, s. 65.

[6] Fr. Giedroyć, *Zapiski do dziejów szpitalnictwa w dawnej Polsce*, Warszawa 1908, s. 4—5; tenże, *Rys historyczny szpitala Św. Łazarza w Warszawie*, Warszawa 1897, s. 74, 78—80.

[7] A. Wejnert, *Starożytności Warszawy*, Warszawa 1858, t. VI, „Opis szpitali warszawskich", s. 68—69.

czalnie chorym, leczenie zaś stanowi jedynie uboczną jego funkcję. Tak więc w szpitalu Bonifratrów jeszcze w r. 1765 pieczę nad umysłowo chorymi sprawował tylko braciszek dyżurny, człowiek bez żadnego przygotowania medycznego. Wyjątek stanowił szpital Św. Ducha przy kościele Św. Marcina, gdzie już od końca XVI w. ordynował chirurg. Przeważnie jednak stale zatrudnieni byli tylko cyrulicy, czyli balwierze. Dopiero w r. 1775 wspomniana Komisja orzekła: „w każdym szpitalu musi być doktor i felczer wcale umiejętni, a drugi, aby oraz przy połogach koniecznie dopomagał [...]. Każdy szpital ma mieć swoją osobną aptekę, nad którą doktor będzie miał dozór".[8] Nie zawsze było to przestrzegane, chociaż Warszawa miała wielu lekarzy.

W skład warszawskiej służby zdrowia wchodzili cyrulicy i chirurdzy, związani organizacją cechową, oraz lekarze medycyny, którzy uzyskali dyplomy wyższych uczelni za granicą — w Niemczech, Francji czy Włoszech. Było w Warszawie wówczas 45 lekarzy i chirurgów, 46 cyrulików, 24 felczerów, 37 akuszerek i 19 aptekarzy.[9] Zazwyczaj zawierano kontrakt z lekarzem, który odwiedzał chorych kilka razy w tygodniu. Przed jego przyjściem wietrzono dokładnie pomieszczenia, przykładając do tego wielką wagę, po czym je okadzano, niekiedy dwa razy dziennie, jeżeli lekarz zapowiedział swą wizytę, co określał następujący regulamin: „skoro lekarz przyjdzie, zaraz mają zadzwonić, aby słychać było w całej niemocnicy i szpitalu. Infirmarz i aptekarz wpisują rzetelnie w swą księgę, cokolwiek lekarz rozkaże, i co do którego z nich powołania należy, nie tylko co do jadła i napoju, ale też co do lekarstw i opatrzenia będzie należało. Infirmarz przestrzega lekarza, aby nawiedzając chore ubogie utwierdzał je, słuchając pilnie i łaskawie wypytując się o każdą rzecz, żadnego z nich nie mijając. Potem pójdą do furty, jeśli nie będzie tam chorego do przyjęcia, który się przyjmie, jeśli się będzie zdało lekarzowi." [10] Jeżeli chorzy byli z lekarza niezadowoleni, mogli wpłynąć na jego usunięcie. Z powodu skarg pacjentów w szpitalu Św. Łazarza zwolniono w r. 1764 konsyliarza JKMości, Wilhelma Rytza vel Rytscha, skądinąd zasłużonego w założeniu szkoły chirurgicznej, i przyjęto Kifnera.

Chorymi zajmowali się na co dzień cyrulicy i felczerzy wraz ze swymi uczniami. Do obowiązków ich należało odwiedzanie przebywających w szpitalu, podawanie im medykamentów, opatrywanie ran, a przede wszystkim powszechnie stosowane puszczanie krwi. W końcu XVIII w. trudnili się oni również sprawami administracyjnymi lecznictwa. Pensje ich, początkowo skromne, stale wzrastały i w r. 1772 wynagrodzenie roczne cyrulika w szpitalu Św. Łazarza wynosiło 800 złp.[11]

Kwalifikacje osiemnastowiecznej służby zdrowia

Od poziomu wiedzy i praktyki lekarzy zależny był w znacznym stopniu stan zdrowotny ludności, dlatego też zaczęto zwracać baczną uwagę na kwalifikacje praktykujących. W r. 1785 marszałek Gurowski, któremu polecono sprawę leczni-

[8] Fr. Giedroyć, *Zapiski do dziejów szpitalnictwa w dawnej Polsce*, s. 14.
[9] S. Szymkiewicz, *Warszawa na przełomie XVIII i XIX wieku w świetle pomiarów i spisów*, s.188.
[10] Fr. Giedroyć, *Zapiski do dziejów szpitalnictwa w dawnej Polsce*, s. 16—17.
[11] Tenże, *Rys historyczny szpitala Św. Łazarza w Warszawie*, s. 67—68.

ctwa, ustalił spis lekarzy uprawnionych do praktyki i podał go do wiadomości aptekom, żeby honorowały tylko ich recepty. Każdy praktykujący, który chciał być umieszczony w spisie urzędowym doktorów, chirurgów-medyków, medyków, felczerów, dentystów, cyrulików, akuszerów i akuszerek, musiał się zarejestrować w powołanej specjalnie spośród najlepszych lekarzy Komisji i poddać się egzaminowi. W Komisji zasiadali przeważnie lekarze królewscy, którzy po zbadaniu poziomu wiedzy delikwenta wydawali odpowiednie świadectwa.[12] Usiłowano tym sposobem zapobiec szerzącej się szarlatanerii. Ponieważ w kraju nie było wyższej uczelni, która by kształciła lekarzy medycyny, podjęto wysiłek w celu realizacji projektów zainicjowanych jeszcze w czasach saskich — założenia Akademii Medycznej. Wysiłki te hamowane były przez stałe kłótnie między eskulapami, w końcu jednak, dzięki zasługom przede wszystkim Hugona Kołłątaja, Akademię otwarto i w r. 1785 rozpoczęli w niej studia pierwsi adepci wiedzy medycznej. Żywot Akademii był co prawda krótkotrwały.[13] W latach 1789 — 1793 działała także szkoła chirurgiczna, założona przy szpitalu Św. Łazarza i prowadzona przez Walentego Gagatkiewicza, Jana Godfryda Stolla i Hiacynta Dziarkowskiego. Zdobywali w niej wiedzę przyszli cyrulicy wojskowi.[14]

Do najbardziej znanych lekarzy warszawskich należał Jan Czempiński, lekarz Szkoły Rycerskiej, członek Komisji Egzaminatorów, zajmującej się do r. 1784 weryfikacją uprawnień zawodowych lekarzy, oraz dwaj jego synowie. Popularnością wśród mieszkańców Starego Miasta cieszył się Jan Chrzciciel Dupont, dziwak o wielkiej wiedzy i dobroci serca. Inny obcokrajowiec, Leopold La Fontaine, przysłużył się znacznie sprawie lecznictwa i poprawy warunków higieny w Warszawie. Ale w stolicy praktykowali nie tylko lekarze dużej wiedzy i równie wielkiej bezinteresowności. Byli też i mniej zdolni eskulapi, których kuracje nie zawsze przebiegały skutecznie. Ofiarą niedostatecznej wiedzy chirurga Hofmana był niejaki Leon Sitański, który złamał nogę. Chirurg „obejrzawszy rozpoczętą mej nogi kurację, naprzód pierwsze onej opatrzenie zganił, a sam podejmując się mnie leczyć, o cenę za kurację złp. 30 umówił się i że w przeciągu 4 niedziel zupełnie złamaną wyleczy nogę, zobowiązał się, lecz w czasie czynionych operacji, gdy przez niedoskonałość nauki chirurgicznej kości złamanych złożyć i zestawić nie potrafił, zrządził to, iż kość kilkakrotnie wyłażąc z nieznanym bólem po trzykroć mi piłowaną była. Tym więc niedokładnym opatrywaniem i kurowaniem przestraszony, przez 10 tygodni skutku pomyślnego z operacji i leczenia szlachetnego Hofmana nie widząc, a obietnicami tylko prędkiego wyleczenia łudzącym się być postrzegając, wezwałem światłych osób, to jest doktora i chirurga, i onym opatrywaną i kurowaną okazałem nogę, którzy niedokładność kuracji, nieumiejętność kurującego, złe złożenie kości i niestosowne plastry zobaczywszy, mnie niżej wyrażonego, iż jestem źle kurowany, przestrzegli, i aby doskonałą rozpocząć kurację, radzili". Lekarzami, którzy wydali ową opinię, byli znany doktor medycyny Franciszek Ksawery Wasilewski oraz chirurg Leopold La Fontaine. Hofman orzekł wprawdzie, że noga była zagojona i prosta, niemniej zaproponował pacjentowi po raz czwarty piłowanie kości. Sąd, w którym poszkodowany szukał sprawiedliwości, wydał wyrok skazu-

[12] AGAD, Warszawa Ekonomiczne, nr 860, k. 23—24 (druk ulotny z 19 VII 1784 r.).
[13] Z. Bobrowski, *op. cit.*, s. 60.
[14] Fr. Giedroyć, *Rys historyczny szpitala Św. Łazarza w Warszawie*, s. 115.

jący niedouczonego chirurga na zapłacenie grzywny i zwrot Sitańskiemu kosztów leczenia. Niefortunny pacjent musiał się udać do innych lekarzy, którzy stwierdzili, że noga jego „inaczej nie może być wykurowaną, tylko przez otworzenie tychże ran i świdrowanie kości, a przeto nie może być prędzej wykurowaną jak za miesięcy sześć".[15]

Oprócz lekarzy stale przebywających w stolicy działały także roje przyjezdnych szarlatanów niewiadomego pochodzenia i wątpliwych umiejętności. Schulz charakteryzuje ich bardzo ostro: „Cała ta czereda pracuje tu żwawo, często bez żadnych patentów i świadectw. Niektórzy świecą lat parę i nagle strąceni padają, gdy im się para kuracji znacznych nie powiedzie lub nowy jaki cudowny lekarz się zjawi, który ich sławę zaćmi; inni znowu, co niedawno jeszcze obcęgami rwali zęby ze szczęk najpospolitszych, a pigułkami niepokoili robaki ubogich dzieci mieszczańskich, przejeżdżają się nagle angielskim powozem z pałacu do pałacu, a imię ich najarystokratyczniejsze i najpiękniejsze powtarzają wargi. Między chirurgami jest wielka liczba Francuzów, których wzywają w pewnych szczególniej wypadkach [...]. Tejże narodowości jest mnogość zęborwaczy, którzy objeżdżają całą Polskę od jednego dworu szlacheckiego do drugiego. Szczęściem by było, gdyby tylko zębów pilnowali, ale — co się samo z siebie rozumie — dają się za wielkich lekarzy, chirurgów i leczą wszystko, co się zdarzy, od jeźdźca począwszy do konia. Szkody, jakie wyrządzają, tym są większe, że tu żadna policja lekarska nad tym nie czuwa." [16] Jak widać, praktykowało wielu domorosłych dentystów, którzy nie tylko rwali zęby, ale i wstawiali nowe, biorąc za to krociowe sumy. Dzięki nim damy nie musiały już zasłaniać ręką ust, gdy mówiły, ale mogły uśmiechać się swobodnie. Dentyści podejmowali się jednak również leczenia różnych, pospolitych wówczas chorób i w tym — jak słusznie zauważył Schulz — kryło się niejedno poważne niebezpieczeństwo.

Rzeczywiście, w prasie warszawskiej często ogłaszali się podejrzani lekarze i szarlatani, uprawiający prawdopodobnie praktykę bez zezwolenia Komisji Lekarskiej. A że ludność miała od dawna zakorzenioną niechęć do leczenia szpitalnego, korzystała często z legalnych lub pokątnych porad lekarskich. Anonse w prasie wabiły pacjentów, którzy nie zawsze potrafili spojrzeć na nie krytycznie. „Pan Kassata kunsztarz" zapewniał, że „gotów jest w każdym domu lub w ogrodzie pokazywać rozmaite sztuki. Także, kto by miał szkorbut, inflammację, złe zęby lub pozostałe ułomki od zębów, skuteczną w tym dać pomoc potrafi, jako i w tym, kto by na nogach cierpiał nagniotki, łatwy sposób do znoszenia onych. Osobliwie zaś wszelkiego rodzaju febry, do wyprowadzenia z onej, najdoświadczeńsze leczenia ma sposoby." [17] Inni ogłaszający się lekarze prezentowali węższy zakres specjalności.

[15] AGAD, Akta Komisji Policji, nr 87, k. 57 i n. — 1792 r.

[16] F. Schulz, *Podróż Inflantczyka z Rygi do Warszawy i po Polsce w latach 1791—1793* (*Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców*, t. II, s. 605).

[17] „Gazeta Warszawska", Suplement do nru 45 z 4 czerwca 1774 r.

Choroby i lekarstwa

W lekarstwa zaopatrywano się w aptekach, które przeważnie prowadzili medycy. Dopiero w r. 1749 wydano pierwszy protest przeciw praktykom farmaceutycznym lekarzy. W XVIII wieku było w Warszawie kilka najbardziej znanych i budzących zaufanie aptek. Przeważnie pozostawały one przez okres kilku pokoleń w posiadaniu jednej rodziny. Do takich należała apteka Fryzów mieszcząca się w kamienicy ich, przy ul. Świętojańskiej. Znana była też apteka Józefa Skalskiego na Krakowskim Przedmieściu, na wprost ul. Bednarskiej. Dużą frekwencją cieszyła się apteka Józefa S. Wasilewskiego przy ul. Podwale oraz rodziny Kostrzewskich przy ul. Nowomiejskiej. Centrum ówczesnej wiedzy farmaceutycznej była, zatrudniająca najlepszych specjalistów, apteka zamkowa, w której przygotowywano medykamenty wydawane na recepty lekarzy dworskich.

Apteki były otwarte zarówno w dnie powszednie, jak i w niedziele i święta. Personel obowiązany był honorować recepty pochodzące jedynie od lekarzy uwidocznionych w urzędowym spisie, który — jak już wspomnieliśmy — wywieszano w każdej aptece. Za niestosowanie się do tego przepisu płacono kary. Zasób medykamentów kontrolowany był przez specjalną komisję, a na wprowadzenie nowych leków należało otrzymać specjalne pozwolenie.

Natomiast na choroby powszechne, trapiące ludność miasta, podawano recepty nawet w prasie, aby łatwiej je było zrealizować. W „Gazecie Warszawskiej" m. in. ogłoszono przepis na tzw. dwuproszkową kurację na febrę: „Na ten proszek trzeba wziąść oczu rakowych preparowanych z apteki, w proszek utrzeć, mieszając nakrapiać sokiem cytrynowym świeżym poty, aż fermentować przestanie. Potem ususzyć. Z tego więc dwa łuty w proszek utrzeć." [18] Drugi zaś proszek należało utrzeć z oczu raków z dodatkiem saletry przeczyszczonej. Po czym zażywać jeden i drugi rodzaj proszków zachowując dietę.

Przepisane przez doktorów kuracje nie zawsze przynosiły skutek oczekiwany przez cierpliwego pacjenta. Trudno się temu dziwić, zwłaszcza jeśli się wspomni o szeroko jeszcze praktykowanych sposobach zapobiegania chorobom. Owe osobliwe metody profilaktyczne podawano niejednokrotnie w popularnych podręcznikach medycyny, którymi niewątpliwie posługiwali się również szarlatani. Najczęściej zapadano na choroby weneryczne i schorzenia nerek. Oto recepty na lekarstwo mające pomóc w wypadku zatrzymania moczu: „wodę często w uściech trzymając, uryna się dobywa przetrzymana", lub: „mózg sroczy potężnie urynę pędzi". Polecano też zażywać chorym mniej przyjemne środki lecznicze, jak sok z raka żywego z winem, świeży mocz kozi (również do picia) czy proszek z łajna mysiego. [19] Znano też bardziej złożone recepty: „Zabitego marcowego zająca spal w nowym garnku, tego popiołu dawaj na pół ćwierci łuta." Stosowano też środki ziołowe bardziej dostępne, np. moczoną i skrobaną rzodkiew, zmieszaną z utłuczonym jałowcem, a podawaną do picia w gorzałce. [20] Przy bolesnym oddawaniu moczu należało pić sok z łajna końskiego. [21]

[18] „Gazeta Warszawska", Suplement do nru 48 z 15 czerwca 1774 r.

[19] Fr. Giedroyć, *Rys historyczny szpitala Św. Łazarza w Warszawie*, s. 228.

[20] Archiwum m. Warszawy nr 6, *Fortuna, czyli odmiana szczęścia przez losy, wierszem wypadająca*, k. 191v—192.

[21] Fr. Giedroyć, *Rys historyczny szpitala Św. Łazarza w Warszawie*, s. 228.

W leczeniu chorób wenerycznych, zwłaszcza gdy chodziło o kiłę, przeważały preparaty rtęciowe. Przeprowadzane za ich pomocą kuracje określano słowem „saliwacje". Zażywano także lekarstwa do wewnątrz, przy czym największą popularnością cieszyło się *arcanum gaudernaum,* czyli mieszanina rtęci z oczami raków i łupinami ostryg. W niektórych tego typu kuracjach ciało chorego okadzano cynobrem, aby złagodzić jadowity i przykry zapach medykamentu, o którym mówiono, że jego „smród jest nad wszystkie smrody". Z tego samego względu do lekarstwa dodawano również mieszaninę ziół krajowych dla biednych, a dla zamożnych — kosztowne goździki, mirrę, piżmo itp. Maści rtęciowe wcierano w chore miejsca albo pokrywano nimi całe niemal ciało. Ażeby uzyskać efekt leczniczy, zabieg ten wykonywano w izbie ogrzanej do wysokiej temperatury. Kuracja trwała przez kilka tygodni, przy czym choremu tylko co kilka dni dawano od niej wytchnienie.[22] Zbawiennym „saliwacjom" poddawali się nie tylko chorzy ze szpitala, ale także pacjenci przychodzący z miasta. Napływ ich był w latach siedemdziesiątych tak wielki, że postanowiono specjalnie dla nich wybudować nową salę w szpitalu, ażeby nie zabierali miejsca ubogim.[23] Syfilis był w Warszawie chorobą nagminną. Cierpiało na nią 80% przebywających w wojsku rekrutów. Według relacji bawiącego wówczas w Warszawie Kauscha „zepsucie obyczajów jest tak wielkie, iż uważa się tę chorobę za dowód galanterii i że wśród ludzi wyższej klasy do dobrego tonu należy żartować sobie na ten temat, a nawet szczycić się ilością posiadanych blizn. Z najobojętniejszą na świecie miną niektórzy każą sobie przy wszystkich do stołu przynosić zamiast tokaju oczyszczające krew dekokty, które wywołują piekące rumieńce wstydu na twarzach ludzi nie zepsutych".[24]

Próbowano zapobiec groźnemu rozszerzaniu się chorób wenerycznych. W ustawie o wewnętrznej organizacji miast wolnych nakazano oddanie domów publicznych pod kontrolę magistratu. Ale w czasach Stanisława Augusta nie doszło do realizacji tej ustawy, która została wprowadzona w życie dopiero w 1802 r. Pociągnęła ona za sobą przesunięcie domów publicznych na ulice peryferyjne, wprowadziła kontrolę administracyjną i lekarską pensjonariuszek oraz przymus leczenia chorych w szpitalu. Niektórzy jednak lekarze, jak słynny La Fontaine, nie byli w stanie wprowadzić rygorów administracyjnych, które mogły dopomóc skutecznie w opanowaniu rozszerzających się — głównie wśród ludności miejskiej — chorób wenerycznych.

O ile nie bano się choroby francuskiej, o tyle wszystkich przenikał strach przed wieścią o nadchodzącej zarazie morowej, która grasowała w r. 1770 w Polsce. Dla powstrzymania jej władze miasta postanowiły usypać wały.

Marszałek wielki koronny Stanisław Lubomirski w dniu 5 października wydał drukiem „obwołanie", w którym czytamy: „szerząca się w państwach Rzeczypospolitej morowa zaraza, miejsca nawet odległe nieubezpieczone łatwo zasięgać mogąca, każdemu powszechnym grozi nieszczęściem. Przeto troskliwością obywatelów miejsca tego i chęcią brania się do jak najprędszego ratunku zagrzany

[22] Tamże, s. 226—228.
[23] Tamże, s. 72.
[24] J. J. Kausch, *Wizerunek narodu polskiego* (*Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców,* t. II, s. 291—292).

z obowiązku Urzędu mego Marszałkowskiego, mając w czułości, by miasto rezydencji JKMci, Warszawa, a w nim umieszczeni obywatele ochroną swoją, ile możności, znajdowali, te najdokładniejsze wynajduję być środki, aby ku tym pewniejszemu ubezpieczeniu i łatwiejszemu podróżnych i kupców przybywających z miejsc odległych rozeznaniu, towarów zaś i fantów wszelkich rewidowaniu i okurzaniu, a podejrzanych osób niedopuszczeniu, lub kwarantann odprawowaniu, toż miasto okopać, do czego gdy łatwiejsze, ile bez funduszu, nie wynajdują się sposoby, a czas przynaglający i trwoga samychże obywatelów, chętnie do działania tej czynności skłaniających się, prędkiego wymaga uskutecznienia". Do pracy wzywani byli mieszkańcy każdej nieruchomości: „z każdego pałacu ludzi trzech, z kamienicy dwóch, a z domu drewnianego człeka jednego, z dwóch zaś domów pomniejszych równie jednego człowieka do okopania takowego na dni 10".[25] Zgłaszano się licznie i wkrótce okopy marszałka Lubomirskiego, bo tak je wówczas zwano, otoczyły półkolem całą Warszawę wraz z jurydykami. Obu końcami oparte były o Wisłę. Na północy i zachodzie biegły wzdłuż rzeczki Drny, następnie objęły jurydyki położone bardziej na zachód. Stąd bieg wałów wydłużono, kierując je na południe ul. Koszykową, Polną i Klonową poza obszar zabudowany, ażeby objąć królewskie posiadłości Ujazdów, Belweder i magazyny na Solcu.

Dla zwiększenia kontroli sanitarnej pozostawiono w wale tylko sześć wjazdów do miasta, choć projektowanych było więcej. Nie wybudowano również zamierzonej reprezentacyjnej „Porte Royale" na alei Wolskiej. Po stronie południowej miasta otwarto tylko jeden wjazd — ulicą Mokotowską. Jak przebiegały okopy, stwierdzić możemy dokładnie, oglądając istniejący do dnia dzisiejszego plan, przechowywany w zbiorach Archiwum Głównego Akt Dawnych w Warszawie. Autorami jego byli pułkownik Agrikola i geometra Deutsch, których podpisy odczytać można jeszcze na odwrocie karty.[26] W krótkim czasie, bo już pierwszego listopada tegoż roku, ustalono sposób sfinansowania prac, a kierownictwo robót powierzono Moszyńskiemu. Okopy wzniesione zostały szybko, gdyż istotnie nie tylko „obwołanie" marszałkowskie, ale i strach pędził ludzi do pracy. Opisane tutaj szczegółowo dzieło ich rąk wskazuje, na jak wielki wysiłek potrafili zdobyć się mieszkańcy Warszawy, ażeby uchronić się przed nadchodzącą ze wschodu dżumą, na którą medycyna nie znała innego lekarstwa poza izolacją i „octem siedmiu złodziei". Na szczęście epidemia nie doszła do Warszawy, niemniej jednak czuwająca przy wszystkich bramach straż miejska wraz z cyrulikiem dokonywała rewizji osób przybywających do stolicy oraz kontrolowała przywiezione przez nie towary. Wszelkie papiery okurzano i poddawano dezynfekcji na fajerkach, a towary badano. Ostra zima 1771 r. i długotrwałe mrozy zlikwidowały groźbę epidemii.[27]

Nagminną wówczas chorobą była ospa. Już w okresie Oświecenia poczęto głosić konieczność szczepień ochronnych (zwłaszcza dzieci), czyli tzw. waksacji. Akcję podjęli Jan Chrzciciel Czempiński, Jan Dupont, a obok nich przybyły ze Strasburga Jan Boeckler, lekarz Stanisława Augusta. Wielkie zasługi przy wprowadzeniu szczepień położyła też Urszula Maria Mniszchowa, marszałkowa wielka koronna. Uświadomienie społeczeństwu, które wciąż jeszcze trzymało się upor-

[25] AGAD, Warszawa Ekonomiczne, nr 863.
[26] Tamże.
[27] T. Jabłoński, *Północny trakt Warszawy*, Warszawa 1959, s. 54.

czywie przestarzałych praktyk lekarskich czy nawet znachorskich, istotnej wagi problemu należało do bardzo trudnych zadań. Przecież nawet w szpitalu Dzieciątka Jezus, który szczycił się opieką świetnych lekarzy, przez długi czas nie szczepiono ospy, a dzieci chorujące na nią nie izolowano od zdrowych, chociaż śmiertelność była znaczna. Pierwszych szczepień w tym szpitalu dokonał doktor Czempiński. [28]

Niektóre choroby nękały ludność Warszawy całymi latami, inne, bardziej bezlitosne, sprowadzały szybki zgon. Największa śmiertelność panowała wśród małych dzieci. Nieumiejętna pielęgnacja, złe warunki higieniczne i nieudolność w leczeniu chorób zakaźnych powodowały wśród nich dużą śmiertelność. Zaledwie połowa dzieci dożywała piątego roku życia. Najwięcej osób, bo około 45%, umierało na ospę. Gruźlicy, czyli suchot, nie umiano jeszcze leczyć, toteż powodowała ona śmierć przeszło 30% ludzi. Poważny procent stanowiły zgony z powodu zakażenia i febry. Około stu kilkudziesięciu osób w ciągu roku umierało wskutek schorzeń zębów. Inne choroby, jak odra, epilepsja, duszność, kolka, szkorbut, uremia czy krzywica nie zabierały tak licznych ofiar. Rak był prawie nie znany, czy może nie rozpoznany. Zaledwie 9% ludzi dożywało starości. [29]

Bezradność ówczesnej wiedzy lekarskiej wobec chorób zakaźnych uświadomiła społeczeństwu konieczność przeprowadzenia sanacji warunków higienicznych, w jakich żyła ludność w mieście, i unowocześnienia środków leczniczych w oparciu o studia kliniczne. Myślano również, by objąć akcją lecznictwa i opieki osoby niedołężne.

Domowi lekarze i ich możni pacjenci

Średnio zamożni i ubożsi mieszkańcy stolicy dość rzadko korzystali z pomocy lekarzy i opieki szpitalnej. Do szpitali udawali się przeważnie ludzie zupełnie ubodzy, starzy i niedołężni, znajdując w nich raczej opiekę i strawę niż właściwe leczenie. Większość wierzyła w kuracje przeprowadzane w domu, ale nie dla wszystkich były one osiągalne finansowo. Natomiast ludność zamożna, szlachta czy mieszczanie, mogła wybierać sobie dowolnie najlepszych lekarzy, mieć swego nadwornego konsyliarza, który w razie choroby otaczał chorego opieką w domu. Bogaci korzystali z modnych wówczas kuracji zdrojowych, np. w Krzeszowicach, które słynęły z wód leczących chorobę francuską. Według swej chęci wybierano lekarzy bardziej konserwatywnych czy też odznaczających się nowoczesnymi poglądami na medycynę. Ubodzy pacjenci zasięgali u nich rady dopiero w przypadkach ostrego przebiegu choroby grożącej śmiercią. Zamożni byli pod stałą kontrolą lekarza, który interesował się całokształtem stanu ich zdrowia. Oto list ze wskazówkami i receptami Jana Chrzciciela Czempińskiego wysłany do Bazylego Walickiego, który zawiadomił go przez nagłego posłańca o złym stanie swego zdrowia: „Rezolucja czasu, w której bardzo jest *intemperatus aer* — pisze Czempiński — niepo-

[28] A. Magier, *Estetyka miasta stołecznego Warszawy*, s. 287, 288; Fortia de Piles i Boiseglin de Kerdu, *op. cit.*, s. 696.

[29] S. Szymkiewicz, *op. cit.*, s. 243, 253—256.

104





105

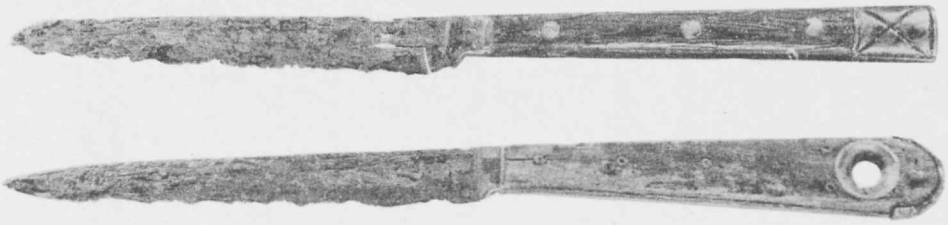

106

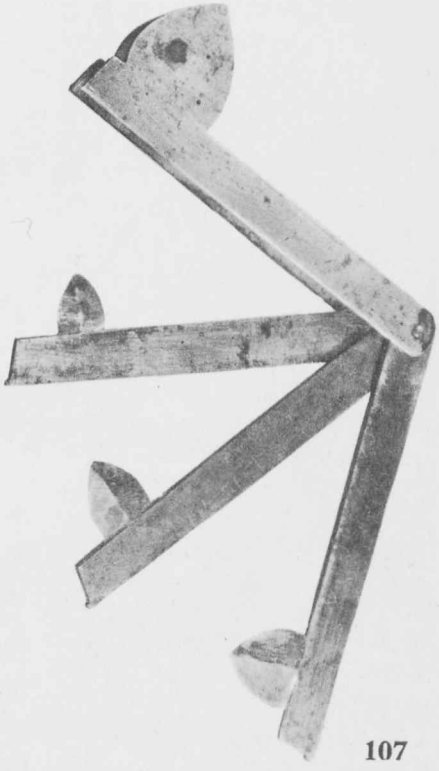

107

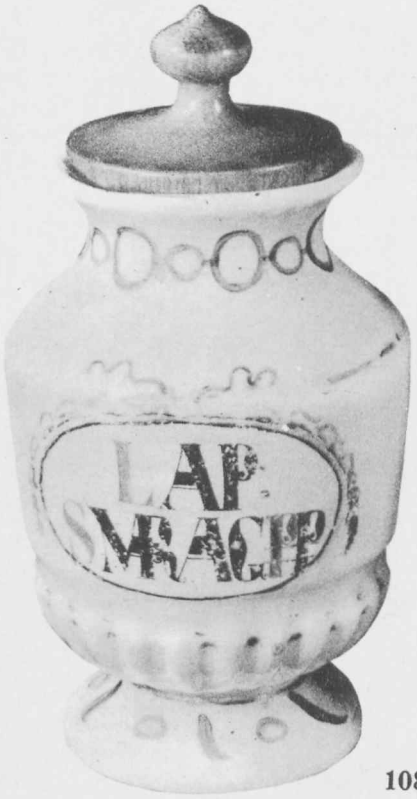

108

dobna, aby w słabych piersiach, do których przez potrzebną inspirację być wprowadzony naturalnie musi, aby w nie jakiej nie wprowadził afekcji, dlatego zabiegając temuż przesyłam zioła pektoralne i syrop dla odwilżania ściągających się do piersi i płuc humorów kataralnych i wyprowadzenia ich. A że przy tym jest i gorączka wnętrzna ku nocy i z rana, więc posyłam krople od gorączki; których lekarstw zażywanie przepiszę na drugiej stronie listu. W jedzy i piciu wiem, że Waszmość Pan nie zbytkujesz, jednak przypominam: słono, kwaśno i pieprzno szkodzi. Na wieczór mięsa nie trzeba jadać, lecz klejem się kontentować albo rosołem; trunków tęgich zabraniam, co doniosłszy zostaję Wielmożnego Mości Pana Dobrodzieja najniższym sługą." [30]

Niekiedy w miarę upływu lat kontakty między pacjentem a jego lekarzem stawały się coraz bliższe, wręcz przyjazne. Przykładem takich stosunków była wieloletnia troskliwa opieka sprawowana przez znakomitego żydowskiego lekarza z Krakowa, Aarona Gersona Kalaharę, nad zdrowiem Stanisława Trembeckiego. Słynny wolteriański racjonalista, lekkomyślny wielbiciel płci pięknej, nie ufając największym warszawskim sławom medycznym zwracał się do niego skarżąc się na bóle głowy. Oto odpowiedź Kalahary: „Ażeby pomóc Panu w rozpoznaniu cierpienia, wyjaśniam, że ból głowy zjawia się bądź po długich ostrych gorączkach, bądź też wynika z częstego używania mocnych trunków albo zawierających dużą ilość chmielu. Pochodzi również z przywar żołądka, gdy ma się niestrawności lub obstrukcje; wówczas unosi się gęsty opar i atakuje mózg. Pochodzi również z zepsutej krwi; o ile używa się mało ruchu, krew gęstnieje i również uciska na mózg. Zechce Pan więc nad tym wszystkim poważnie się zastanowić. Jeśli bardzo intensywnie myślimy, możemy również nabawić się tej choroby. Zagraża głowom słabym, ale nie takim jak Pańska." Kalahara podejrzewa jednak inną przyczynę dolegliwości Trembeckiego, czemu daje wyraz pisząc: „Województwo krakowskie do dziś dnia rozbrzmiewa od Twoich dawnych sukcesów. Dziewice ówczesne, a dzisiejsze babki, wspominają dotąd głośne Pańskie podboje, a wiem i ja dobrze, żeś Pan się nigdy nie szczędził. Ale, jeśli chcesz udawać zawsze młodego człowieka i w wieku lat czterdziestu postępujesz, jakbyś ich miał osiemnaście, ból głowy może być spowodowany wyczerpaniem. O ile to wyczerpanie pochodzi wyłącznie z nadużywania sił wrodzonych, można mu łatwo zapobiec. «Powściągnij się nieco, by więcej używać, oto epikureizm rozumu» — mawiał mędrzec naszych czasów i podzielam zupełnie jego zdanie. O ile zachodzi ten ostatni przypadek, nie odwiedzaj kobiet przez czas jakiś, zaś kładąc się spać bierz na głowę kompres umaczany w winie benedyktyńskim lub burgundzkim, nieco podgrzanym, a do kilku dni ból przejdzie."

Dalej przestrzega go przed zasięganiem porad u chciwych złota lekarzy: „ci szarlatani, by zarobić pieniądze na tej uprzejmości, przepisują im nalewki miłosne, które okropnie niszczą zdrowie i wywołują później boleści nie do zniesienia. Ci ignoranci bowiem dodają kantaryd w proszku lub w wyciągu, by je lepiej ukryć. Otóż zgubne następstwa tych much są w prawdziwej medycynie jak najwyraźniej udowodnione." Wskutek używania tych środków nastąpić może obłęd albo nagła śmierć. Kalahara napomina więc Trembeckiego: „Podziękuj Opatrzności, że utrzymuje Cię jeszcze przy życiu i zsyła to ostrzeżenie, być może ostatnie. Może Pan

[30] A. Sokołowska, *List Jana Chrzciciela Czempińskiego... do Bazylego Walickiego*, „Archiwum Historii Medycyny", t. XX, 1957, nr 4, s. 532.

służyć kobietom, ile Ci się podoba, lecz nie rujnuj własnego zdrowia dla ich drobnej rozrywki. Nie chcę bynajmniej odbierać Panu radości życia, przeciwnie, gdybym był pewien, że nie nadużyjesz mojego lekarstwa, wskazałbym wspaniały środek na przywrócenie siły Pańskim nerwom. Sposób ten nie tylko nie szkodzi zdrowiu, ale wzmacnia je coraz bardziej. Byłbyś Pan zdumiony widząc moc i elastyczność swych nerwów i czułbyś się niczym Jazon odmłodzony przez Medeę. Nie czas jednak o tym mówić. Naprzód pomyśl o jak najszybszym powrocie do zdrowia".[31] Trembecki list ten przepisał i przesłał królowi, który zapewne docenił wagę porady lekarskiej.

Cmentarze

Zmarłych mieszkańców Warszawy chowano nadal według dawnego zwyczaju na cmentarzach i w podziemiach kościołów parafialnych. Tam znajdowała miejsce spoczynku szlachta, dostojnicy miejscy, mistrzowie cechów, rzemieślnicy i kupcy. Natomiast ubodzy i zmarli w szpitalach grzebani byli na cmentarzu użytkowanym do r. 1799 przy Szpitalu Dzieciątka Jezus, założonym w r. 1756.

Już w latach siedemdziesiątych XVIII w. powstały pierwsze projekty umiejscowienia cmentarzy za miastem. Zarówno małe cmentarzyki miejskie, jak i podziemia kościołów były już całkowicie zapełnione. Marszałek wielki koronny Stanisław Lubomirski, donosząc biskupowi poznańskiemu o konieczności przeniesienia cmentarzy za miasto, zwracał uwagę, że grzebanie w mieście zwłok „powoduje fetor nader przykry i zepsucie aury wielce zdrowiu szkodzącej."[32] Dotychczas poza miastem znajdował się tylko cmentarz przy kaplicy Św. Krzyża w Polu na przedmieściu nowomiejskim, gdzie chowano zmarłych na zarazę. W r. 1777 Komisja Brukowa przystąpiła do wyznaczenia miejsca na cmentarz katolicki i ewangelicki w dużym oddaleniu od miasta. Dopiero jednak w r. 1790, po kilkunastu latach od momentu tej decyzji otworzono katolicki cmentarz publiczny na Powązkach, który obejmował teren liczący kilkadziesiąt hektarów. W r. 1782 również gmina ewangelicka przeniosła swój cmentarz poza miasto, w pobliże kirkutu przy ul. Okopowej. W 1783 r. poświęcono drugi wielki cmentarz przy ul. Nowogrodzkiej przeznaczony dla zmarłych z pobliskich przedmieść.

[31] St. Trembecki, *Listy*, oprac. J. Kott i R. Kaleta, Wrocław 1954, t. I, s. 121 i n.
[32] AGAD, Warszawa Ekonomiczne, nr 876, k. 896 — 1770 r.

RODZINNY DZIEŃ ŚWIĄTECZNY

Jakie były formy spędzania wolnego czasu i wydarzenia, którymi żyła przeważna część ludności stolicy w tak ważnym okresie reform i upadku dawnej Rzeczypospolitej? Rodzina była wówczas znacznie ściślej niż obecnie związana z pracą zawodową, choć rozpoczął się już właśnie proces odrywania pracy zawodowej od domu rodzinnego. Pracownicy manufaktur, nauczyciele, wojskowi i urzędnicy udawali się co rano do instytucji, w których pracowali. Jednakże w przeważnej części warszawskich rodzin mieszczańskich warsztat rzemieślniczy czy sklep przylegał do izby mieszkalnej lub kuchni i żona wraz ze starszymi dziećmi spełniała nieraz czynności pomocnicze, jak przędzenie albo sprzedaż gotowych wyrobów w kramie. Wpływało to najczęściej na wytwarzanie się koleżeństwa i wspólnoty interesów małżeńskich przy prowadzeniu sklepu lub warsztatu, utrudniając zarazem kobietom prowadzenie gospodarstwa domowego i dozór nad dziećmi.

Narodziny dzieci były częstymi uroczystościami w rodzinach mieszczańskich, a niski stopień higieny sprawiał, że tylko silniejsze z nich pozostawały przy życiu. Młode mężatki interesowały się zawczasu płcią i liczbą potomstwa. Ogromnym więc powodzeniem cieszyły się wszelkie wróżby z kostek czy kart, biorące początek z tradycji kulturowych renesansu, a może nawet średniowiecza. Od doświadczonej kobiety można było uzyskać wróżby o przyszłości:

Upewniam cię, pani miła,
Że to będzie rzecz zawiła,
Bo dwoje dziateczek spłodzisz
I z trudnością je urodzisz.

Bezdzietne mężatki pilnie poszukiwały rady:

Pani, mówię to prawdziwie,
Póki ten mąż z tobą żywie,
Dotąd ty się z pięknym synem
Nie postawisz, chiba z innym.

Doświadczone sąsiadki umiały sformułować wróżby dla brzemiennych kobiet:

Pani, będziesz miała syna,
Nadobnego dworzanina,
Takowego będzie lica
Jako u męża woźnica.

albo:

Prawdę mi się zeznać godzi,
Że się piękny syn urodzi,
Który będzie Bogu godny,
Bo bardzo księdzu podobny.[1]

[1] *Fortuna czyli Odmiana szczęścia przez losy wierszem wypadające*, w Warszawie, nakładem i drukiem Stanisława Dąbrowskiego, typografa, roku 1822. Odpis rękopiśmienny, Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Warszawie (dalej skrót WAP), rkps nr 6. Zwróciła mi na niego uwagę mgr Ewa Pielińska, której serdecznie dziękuję.

BIBLIOTEKA PUBLICZNA M.ST. WARSZAWY

Z tych samych kostek uzyskiwano wróżby co do poronienia, śmierci matki lub dziecka.

O szczęśliwie odbytym połogu możnych informowała prasa codzienna: „Jejmość pani z książąt Lubomirskich Potocka, druga córka książęcia imci marszałka wielkiego koronnego, wnuczka książęcia imci Czartoryskiego wojewody ruskiego, w tych dniach w tutejszej stolicy szczęśliwie powiła syna." [2] Większość dzieci mieszczan warszawskich rodziło się bez opieki lekarskiej, która była bardzo kosztowna, a jedynie przy pomocy starszych kobiet spośród rodziny lub sąsiadek. Niemowlęta należało jak najszybciej ochrzcić. W zamożniejszych rodzinach używano do tej ceremonii specjalnego stroju złożonego z jedwabnej koszulki, haftowanej lub obszytej koronkami, strojnego czepeczka i okrycia czy kołderki uszytej z czerwonego atłasu lub wzorzystych tkanin jedwabnych. Dzieci z pospólstwa chrzczono w płóciennych koszulkach, otulone w matczyne chustki. Starannie dobierano rodziców chrzestnych. Czeladnicy prosili swych majstrów, wybierano nieraz zamożniejszych mieszczan, a nawet przedstawicieli szlachty. Rodzice chrzestni poczuwali się zwykle do opieki nad dzieckiem, zwłaszcza w wypadku śmierci rodziców.

Najwięcej uwagi poświęcano dziecku w pierwszym roku życia. Posiadało ono własną kołyskę i dość często zmieniane płócienne pieluchy i powijaki. Kąpano je starannie i spowijano, jakkolwiek zbyt ciasne spowijanie niemowląt wychodziło właśnie z mody. Głowy dzieci uczących się chodzenia zabezpieczano grubo watowanymi czapeczkami. Znacznie mniej uwagi poświęcano starszym dzieciom, które najczęściej biegały po ulicy bez żadnego dozoru do siódmego czy nawet dziewiątego roku życia, kiedy to oddawano je do szkoły parafialnej lub do terminu.

Szary dzień powszedni małych dzieci urozmaicały liczne gry i zabawy na świeżym powietrzu: ślepa babka, piłka, latawce, kręgle, huśtawki, zabawy w wojsko czy lalkami. W Warszawie nie brakowało w tym okresie nie zabudowanych placów, a w zimie ze skarpy wiślanej zjeżdżano na sankach czy ślizgano się na drewnianych, metalowych lub kościanych łyżwach.[3]

Wielką rozrywkę stanowiły uroczystości kościelne: starsi chłopcy służyli jako ministranci, a dziewczynki sypały kwiatki na Boże Ciało. Specjalnie dla dzieci była przeznaczona uroczystość św. Mikołaja: „Ubierano jednego z domowników za biskupa w infułę ze złotego papieru i dawano mu pastorał w rękę. Św. Mikołaj zadawał dzieciom pytania z katechizmu, rozdawał w nagrodę jabłka, a innych napominał grożąc im rózgą." Uroczystość tę, obchodzoną 6 grudnia, zastąpiło za czasów pruskich, a więc po 1795 roku, dawanie podarków dzieciom na Święta Bożego Narodzenia, oczywiście jeszcze bez przystrajania choinki, która przyjęła się dopiero w pierwszej połowie XIX w. „W zamkniętym pokoju na stole biało nakrytym kładziono dla nich różne podarunki, stół zaś był ubrany w jabłka, orzechy i pierniki, i oświetlony stoczkami. Na gromadkach zabawek widniały wypisane imiona dzieci, którym podarunki były przeznaczone. Zaproszeni goście bawili się widokiem, jak za otwarciem drzwi zamkniętego dotąd pokoju grono dzieci rzucało się do przystrojonego stołu, szukając kartki z nazwiskiem swoim. Jakoż podług wieku i stosownie do postępków swoich w nauce i obyczajach odbierali wtedy

[2] „Gazeta Warszawska", nr 47 z 11 czerwca 1777 r.
[3] I. Turnau, *Gry i zabawy dziecięce XVIII wieku*, „Mówią Wieki", R. X, 1967, nr 1/109.

nagrody. Młodsze dzieci dostawały różne cacka, starsi różne drobiazgi przeznaczone do stroju albo nuty muzyczne, ryciny itp." [4]

W dni świąteczne rodzice staranniej dozorowali zabawy dzieci, organizowali gry ruchowe. Od najmłodszych lat uczono dzieci tańczyć, a nieraz gry na jakimś instrumencie muzycznym czy śpiewu. Zwłaszcza najkulturalniejsze domy mieszczańskie poświęcały wieczory w gronie rodzinnym muzyce. Bohomolec opisuje z entuzjazmem wieczory w domu swych przyjaciół „Jana i Prowidencji Czempińskich konsyliarzów JKMci", gdzie dzieci znanego lekarza:

Chcąc potem ojca dobrego ucieszyć,
Poczynają się do muzyki spieszyć

grając na harfie czy skrzypcach.

W tych wszystkich matka pierwsze trzyma czoło,
Dźwiękiem i pieniem dowodząc wesoło.
A skoro głosy ucichną muzyki,
Wnet bawić zaczną roztropne żarciki
Lub inne jakie rozrywki uczciwe,
Wnosząc do serca wesele prawdziwe.[5]

Dorastająca młodzież tańczyła chętnie. Późniejsze skromne przyjęcie mieszczańskie tak opisuje pamiętnikarz Magier: „Piękna młodzież bawiła się z pannami w gry wieczorne [...]. Po odgadnięciu kilku szarad z żurnalu francuskiego jedna siadła przy pantaleonie [klawikordzie] i zachęcała do tańca. Tańczyli mazurki, galopadę, gawotę." [6] Zmieniały się tylko rodzaje gier i modnych tańców. Najbardziej tradycyjne były zabawy towarzyskie, bajki i zagadki pełne dwuznaczników. Tak więc, aby zakłopotać młode panienki, kazano im dla wykupienia fantu pokazywać kolanko — oczywiście łokcia, zakładać na piec nogi — od stołka, stanąć nago — czyli na wypisanych kredą na podłodze literach G O. Zadawano także dwuznaczne pytania: co pannie czynić, żeby dziecię miała — dać je jej na ręce, lub w co pannę pchać, aby z niej woda ciekła — w sadzawkę.[7] W zabawach tych celowali młodzi czeladnicy, chętnie zawstydzając majstrówny. Zabawiali się oni także we własnych gospodach, gdzie po obfitych porcjach piwa i wódki wyprawiali śpiewy i burdy uliczne, gorszące dostojnych majstrów. Wśród przygód, jakich należało się wystrzegać, wyliczano:

Ty się strzeż każdej biesiady
I przyjdzie ci gdzie do zwady.[8]

Małżeństwo było ważną zmianą w życiu dziewczyny. Po uzyskaniu posagu stabilizowało ono także sytuację życiową młodego człowieka pod względem majątkowym. Przedwczesne małżeństwo z ubogą dziewczyną uniemożliwiało nieraz wyzwoliny na majstra niezamożnego czeladnika. Panny mieszczańskie otrzymywały nieraz dość wysoki posag, a także dostawały wyprawę, która jeszcze w czasach Oświecenia miała im wystarczyć na całe życie. Już w tym okresie, wobec zmian

[4] A. Magier, *Estetyka miasta stołecznego Warszawy*, s. 145.
[5] Tamże, aneks wydawców 1, s. 431—432.
[6] Tamże, s. 58—59.
[7] Ł. Gołębiowski, *Gry i zabawy różnych stanów*, Warszawa 1831; J. Pachoński, *Zmierzch sławetnych. Z życia mieszczan w Krakowie w XVII i XVIII wieku*, Kraków 1956, s. 375—376.
[8] WAP, Warszawa, rkps nr 6.

mody, wprowadzono zwyczaj dawania części wyprawy w sztukach tkanin i błamach futer. Przed weselem panna chętnie wysłuchiwała różnych wróżb. Nie brzmiały one zwykle tak pesymistycznie:

Byś wymyła wszystkie mydło
I wykupiła bielidło,
Tedy panną babą będziesz,
Tego tytułu nie zbędziesz.[9]

O warszawskich weselach arystokracji wspominała „Gazeta Warszawska". Można się było z niej dowiedzieć, że „dnia onegdajszego w kolegiacie Św. Jana ks. Imć Poniatowski, biskup płocki, koadiutor krakowski, dawał szlub Imci p. Onufremu Kickiemu szambelanowi KMci [...] z Jejmć p. Józefą Szydłowską, wojewodzianką płocką, w przytomności licznego państwa". Tenże biskup Poniatowski, późniejszy prymas, dawał także ślub „w przeszły czwartek po godzinie ósmej wieczornej w kaplicy królewskiej [...] ks. Imć Karolowi de Nassau Siegen [...] z księżną Jejmcią Karoliną Sanguszkową, z domu Gotzką, wojewodzianką podlaską, którą Król Imć do aktu tego prowadził, a potym z tej okoliczności dla tychże państwa młodych, jako i innych zaproszonych gości wspaniałą dawał kolacyją".[10]

Nie zachowały się, niestety, opisy wesel mieszczańskich w Warszawie. Przed ślubem ustalano w każdym razie starannie wysokość posagu i gierady, czyli wyprawy, którą w razie śmierci panny młodej dziedziczyły jej córki lub siostry, a szczegółowe inwentarze tak nieruchomości, jak ruchomości ułatwiały dalsze postępowanie spadkowe. Do ślubu wyruszano w całym orszaku, z drużbami i druhnami, a po powrocie siadano do suto zastawionych stołów. Bardziej okazałe wesela były długo omawiane przez rodzinę i sąsiadów. Po upływie roku mężatki coraz bardziej niecierpliwie oczekiwały potomstwa i chętnie słuchały wróżb obiecujących dużą ilość dzieci:

Tobie się, ma pani, zdarzy,
Że cię Pan Bóg tak obdarzy,
Masz mieć synów jedynaście,
A dziewcząt pewnych trzynaście.

Iż chcesz, pani, byś wiedziała,
Więc ośm synów będziesz miała,
A córek pewnych trzy pary,
Nie patrz na to, choć mąż stary.[11]

Jedynie nieliczne mieszczki cieszyły się brakiem potomstwa, które niszczyło figurę i powodowało szybkie starzenie się kobiet.

W sferach dworskich i wśród magnatów mężatki miały zupełną swobodę. Te francuskie zwyczaje nie rozpowszechniały się jednak wśród warszawskiego mieszczaństwa, gdzie kobiety były zajęte domem i pomaganiem mężowi w prowadzeniu warsztatu czy sklepu. W świąteczne wieczory część starszych kobiet chętnie brała udział w spotkaniach towarzyskich połączonych z zabawami młodzieży.

Starsi panowie zabawiali się grą w karty lub trudniejsze szachy. Interesowano

[9] Tamże.
[10] „Gazeta Warszawska", 1780, nr 21 z 11 marca i nr 76 z 20 września.
[11] WAP, Warszawa, rkps nr 6.

się przy tym pewnymi rozwiązaniami mechanicznymi w tej dziedzinie. „Gazeta Warszawska" podała mianowicie rewelacyjną wiadomość o nowym wynalazku: „Z Prezburga: Przełożony tutejszej komory, imć pan de Kempele, zrobił w tych czasach dla swojej rozrywki machinę osobę ludzką wyobrażającą, do której nic podobnego jeszcze nie widzieliśmy. Siedzi ona przy stole i gra w szachy, tak zaś doskonale, iż do tego czasu nikt jeszcze z nią nie wygrał i najsławniejszych tu graczy w złość nieraz wprawuje. Prawą ręką wspiera się na stole, a lewą posuwa, gdy kolej na nią przychodzi. Zdaje się, jakoby w grze myśliła, i daje czas z sobą grającemu do myślenia. Gdy się zaś ten pomyli i gra przeciw regule, kiwa głową i czeka, póki się nie poprawi. Tym dziwniejsze jest wszystkim tej machiny ułożenie, iż czyni to wszystko sama przez się, nie mając do tego żadnej jakiej do siebie przyłączonej zewnętrznej pomocy." Najznakomitszym graczem w szachy w Warszawie czasów Oświecenia był Trembecki oraz jego współpartner Żyd, który ponoć ograł sławnego szachistę angielskiego i „jako wygraną poobcinał mu wszystkie guziki od spodni".[12] Tak znakomici gracze daliby sobie zapewne radę z tą genialną „machiną", którą to zabawną kaczkę dziennikarską zachował dla nas ks. Łuskina.

Zamiłowanie do wspaniałego ceremoniału i widowiskowości najsilniej zaznaczało się w dawnej Polsce w organizacji pogrzebów. Najwspanialsze pogrzeby wiążą się z epoką późnego baroku, ale i warszawskie Oświecenie przynosi kilka okazałych widowisk. Przypomnieć można np. pogrzeb Ogrodzkiego, sekretarza wielkiego koronnego, urządzony w katedrze Św. Jana w maju 1780 r. „Wszystek ten kościół, od wielkiego ołtarza aż do chóru, pąsowym obiciem (całe albowiem swe długie życie w stanie kawalerskim, czyli bezżennym przepędził), złocistymi festonami ozdobionym był pokryty; a to tak poważnie i pięknie, że gdy dla krótkości czasu do rozebrania część wielką tych ozdób w następujący zaraz dzień B. Ciała zostawić musiano, wielkiej to nawet temu uroczystemu dniowi dodało świetności. Ale ta nierównie większa była w sam dzień pogrzebu, gdy licznym pałający ogniem wyniosły katafalk i kształtnym ułożeniem po całym kościele palące się woski [...] wspaniałości dziwnie przyczyniały." [13] Okazała ta dekoracja bardzo się spodobała ks. Łuskinie, który stał się dość barwnym, jak na swe możliwości, reporterem tego widowiska.

Znacznie wspanialszą i staranniej wyreżyserowaną uroczystością był pogrzeb Jędrzeja Stanisława Młodziejowskiego, biskupa poznańskiego i kanclerza wielkiego koronnego. W związku z tym pogrzebem Franciszek Witthoff, prezydent miasta Starej Warszawy, nakazał wspólne wystąpienie cechów i konfraterni kupieckich. Wszyscy starsi cechowi, „nie wyłączając konfraterni furmańskiej", mieli niezależnie od wyznawanej religii stawić się na Rynku Starego Miasta z chorągwiami i świecami o godzinie 5 po południu. „Każdy mieszczanin powinien będzie, jeżeli ma suknie czarne, w nie się ochędożnie ubrać, jeżeli zaś nie ma czarnych sukien, tedy jakie mieć może." Cechowe chorągwie należało owinąć czarną tkaniną. Zgromadzeni przedstawiciele cechów mieli wyruszyć z Rynku z nie zapalonymi jeszcze świecami „przez Nowomiejską Bramę, Długą ulicę, a potem Miodową aż przed pa-

[12] Kempelen był słynnym twórcą automatów w drugiej połowie XVIII w. Pisze o nim W. Endrei, *Az automatagépek programvezérlésének eredete*, „Történelmi Szemle", R. IV, 1961, z. 1; „Gazeta Warszawska", nr 81, z 7 października 1780 r.; Ł. Gołębiowski, *Gry i zabawy różnych stanów*, s. 34—35.

[13] „Gazeta Warszawska", 1780, nr 43 z 27 maja.

łac" Młodziejowskiego. Od pałacu należało z zapalonymi świecami iść przez Krakowską Bramę do katedry i przed nią się ustawić wraz z przedstawicielami konfraterni kupieckich.[14]

Tego rodzaju uroczyste wystąpienia cechów nakazywane były jedynie przy pogrzebach najważniejszych dostojników państwowych. Stawiała się na te pogrzeby także licznie szlachta i magnaci z całymi orszakami swych dworów. Niezależnie od poczucia solidarności grupowej, a często i rodzinnej, uczestnictwo w tych pochodach było podyktowane także zainteresowaniem ich stroną widowiskową. Bardziej eleganckie pogrzeby opisywano nie tylko w prasie codziennej, ale także w listach do krewnych i znajomych na prowincji.

Znacznie skromniej przedstawiały się pogrzeby mieszczańskie, jakkolwiek i tu zamożniejsi dążyli do pewnej wystawności. Poza tym uświetniały je obowiązkowe zbiorowe wystąpienia wszystkich członków danego cechu czy konfraterni kupieckiej. Wydatki pogrzebowe są wyjątkowo dobrze znane, gdyż wyszczególniano je starannie w inwentarzach ruchomości spisywanych po śmierci jednego z małżonków. W ostatnim ćwierćwieczu XVIII w. wykwintny pogrzeb mieszczański kosztował od 1000 — 1500 złp., a najskromniejszy od 100 — 200 złp. Płacono więc najpierw „za posługę ciała zmarłego", tzn. mycie, golenie, czesanie i sprawienie specjalnej koszuli czy całego ubrania lub sukni z pantoflami, pończochami i rękawiczkami. Fryzowano peruki i dbano o staranne uczesanie kobiet, którym nakładano modne kornety ze wstążkami. Należało także w zamożniejszych rodzinach sprawić żałobne ubranie i obuwie współmałżonkowi, dzieciom, a nawet i służbie.

Różnie kształtowały się ceny trumien. Starano się jak najpiękniej przybrać katafalk zielenią, kwiatami i świecami. Od śmierci aż do pogrzebu nad zwłokami czuwali wynajęci dziadkowie czy babki kościelne, odprawiając modły za umówioną opłatą. Wyprowadzenie ciała z domu wymagało licznej asysty z duchownym z krzyżem na czele. Opłacano przy tym dzwonienie w kilku kościołach, np. u Bernardynów i Augustianów. Szczególnie wystawne pogrzeby wymagały asysty kilku do kilkudziesięciu księży. Płacono specjalnie za występy organisty, kopanie grobu, wspaniałość konduktu, przystrojenie i oświetlenie kościoła przez zakrystiana, uczestnictwo dziadów kościelnych i kapników, i wreszcie za msze licznie odprawiane za duszę zmarłego. Zamożniejsi opłacali z góry kilkanaście do kilkudziesięciu mszy. Ważnym elementem uroczystości pogrzebowych była stypa — „konsolacja" dla braci cechowych, a także wyprawiano sute nieraz poczęstunki dla biedoty, tzw. „Boży obiad".[15] O zmarłych pamiętano długo w związku z dniem zadusznym.

Starannie reżyserowane uroczystości pogrzebowe kończyły cykl życia przeciętnego mieszkańca Warszawy. Było ono na ogół określone urodzeniem się w danej rodzinie i możliwością startu życiowego. Tradycyjne formy społeczne życia w zhierarchizowanym społeczeństwie feudalnym ustalały przeciętne kariery zawodowe mieszczan warszawskich. Jedynie niezwykłe zdolności ułatwiały osiągnięcie najwyższych urzędów miejskich, średnich szczebli kariery duchownej czy wojskowej, stopni naukowych. W ciągu Oświecenia rosły stopniowo możliwości awansu społecznego mieszczan warszawskich, zaczynała się walka o reformy polityczne.

[14] AGAD, Warszawa Ekonomiczne, nr 1208.

[15] Opisy pogrzebów i ceny styp z inwentarzy mieszczańskich: AGAD, Stara Warszawa, nr 324 z lat 1769—1781 i nr 333 z 1793 roku.

UROCZYSTOŚCI RELIGIJNE

Jakkolwiek Warszawa okresu Oświecenia nie była miastem jednolitym pod względem wyznaniowym, religia katolicka wraz ze swymi uroczyście obchodzonymi świętami odgrywała największą rolę w życiu wszystkich mieszkańców. Zarówno liczna i zamożna gmina protestancka, jak uboższa żydowska nie wyciskały takiego piętna na wyglądzie warszawskiej ulicy. Wspaniałe obchody świąt katolickich, zwłaszcza zaś procesja Bożego Ciała, ukazywały ścisłe zhierarchizowanie społeczeństwa feudalnego. Miejskie życie zbiorowe składało się właśnie z licznych uroczystości, na które gromadzili się wszyscy niemal mieszkańcy, zajmujący na kilka godzin określone z góry miejsca. Najwyżsi dostojnicy państwowi i duchowni: magnaci, biskupi i szlachta, brali udział we właściwym pochodzie, podczas gdy reszta duchowieństwa, wybrane oddziały wojska, konfraternie kupieckie i przedstawiciele poszczególnych cechów mieli zwykle stać na określonych placach czy ulicach w odpowiednim porządku. Zdarzały się niekiedy drobne zakłócenia tego zhierarchizowanego porządku, jednakże on właśnie był przedmiotem szczerego podziwu tłumów widzów. Procesje Bożego Ciała i inne uroczystości kościelne były co roku starannie reżyserowane i stanowiły ważne narzędzie propagandy mocy panującego Kościoła, podobnie jak okazałe wjazdy królewskie prezentowały moc monarchy.

Procesja Bożego Ciała była starannie przygotowywana przez wiele tygodni. Opisy jej, pochodzące z 1724 r. z gazet pisanych, ukazują przygotowanie ołtarzy, kolejne włączanie się do pochodu króla i jego dworu, oraz odpowiednich oddziałów wojska.[1] Prasa codzienna podawała corocznie nieraz dość obszerne sprawozdania z przebiegu procesji.[2] Władze miejskie nakazywały zawczasu uprzątanie ulic, którymi miała iść procesja, i budowę czterech ołtarzy. W 1736 r. „na środku dziedzińca przed pałacem królewskim [tj. saskim] cztery kolumny wspierały baldachim przyozdobiony bogato; ten był aksamitny, karmazynowy, galonem i frędzlą złotą obszyty, *in summitate* [na szczycie] którego złożona była na poduszce karmazynowej aksamitna korona. Boki okryte szpalerami Rzplitej, pawiment [pomost], na którym ołtarz bogaty piękną nader wystawiony symetryją, suknem karmazynowym obity, do którego gradusy [stopnie] zielonym suknem usłane, dwa wierzchnie czerwonym akomodowane, piękną czyniły proporcyją. *Circa altare* [wokół ołtarza] festony w wazach były lokowane. Kamienice wszystkie przyozdobiono pięknymi obiciami, ulice umajone tatarskim zielem narzucono, regimenty dwa królewicza Ksawerego i gwardyji koronnej dwoma liniami po mieście całym rozstawiono. Królestwo procesyji asystowali, wojsko z ręcznej strzelby ogniem bieżącym, artyleryja hukiem z armat kilkakrotny dała aplauz." [3]

Widowisko to przykuwało uwagę zarówno dostojnych rajców, zamożnych kupców i majstrów cechowych, jak i młodzieży miejskiej oraz całego pospólstwa. Brali

[1] T. Lipiński, *Ułamki historyczne z XVIII wieku*, b.m. 1853, s. 269—270.
[2] „Gazeta Warszawska", np. 1782, nr 44 z dnia 1 czerwca.
[3] Ł. Gołębiowski, *Domy i dwory*, s. 109—110.

w nim udział także możni: „W Warszawie dla tej procesyji, którą zawsze prowadził i prowadzi biskup lub prymas, a król niemal zawsze jej asystuje, robią pomost z tarcic dokoła rynku, począwszy od wielkich drzwi kościoła farnego dla wygodniejszego chodzenia królowi, celebransowi i panom orderowym [...]. Z obu stron pomostu we dwie linie stoi uszykowana Gwardyja Koronna i Piesza, nie puszczająca motłochu w środek, a nawet i z okazalszych nie każdego [...]. Wyglądający z kamienic na procesyją, którymi najwięcej są damy, muszą zamykać okna, gdy się procesyja zbliża, a to dlatego, żeby te obiekta wabiące wzrok do siebie nie czyniły dystrakcyji nabożeństwu — i wielce nieprzyzwoita rzecz jest, żeby głowy tych lalek nad *Sanctissimum* górowały." Przedstawiciele wszystkich warszawskich cechów asystowali tej procesji z chorągwiami i świecami. Tradycja nakazywała, aby oba bataliony konfraterni kupieckiej, polski i niemiecki, ubrane w stroje polskie i zagraniczne z szarfami, kapeluszami z piórami, buławami i kołpakami sobolowymi, strzelały po trzy razy w odpowiedniej części uroczystości. W związku z tym powstała konkurencja pomiędzy kompaniami kupieckimi: „Za każdym ogniem chorąży, czyniąc chorągwią salutacyją, wyrabiał nią różne sztuki, do której i ta należała, że czasem przez szybkie nią miotanie w różne strony i w cyrkuł [w koło] wykręcanie zawadził w łeb jakiegoś spektatora nieostrożnie nawinionego albo tłumem napchniętego." [4]

Zbyt gorliwe praktyki konkurującej z sobą młodzieży kupieckiej zarówno w wymachiwaniu chorągwiami, jak zwłaszcza w strzelaniu sprawiły, że po paru niezbyt przystojnych wydarzeniach podczas procesji czcigodny magistrat zmuszony był najpierw zakazać strzelaniny, a w 1735 r. zgoła zabronić asystowania procesji z bronią i chorągwiami. Kupcy mieli się stawić sami bez swej czeladzi i tylko ze świecami, a bez chorągwi, bębnów i strzelb. Zakazy te nie dały widocznie spodziewanych wyników, bo w 1737 r. magistrat znów zabraniał stawiania się kupców z bronią i chorągwiami, o ile w procesji będzie uczestniczyła Gwardia Koronna.[5] Jak widać, trudno było poskromić żywe temperamenty młodych kupców i ich czeladzi, przyzwyczajonych parowiekową tradycją do czynnego udziału w procesji. Zastąpienie ich przez oddziały Gwardii musiało obudzić wiele niezadowolenia, a procesja straciła chyba na malowniczości. Zarazem jednak miasto odetchnęło od pożarów i bijatyk wywoływanych przez nietrzeźwą zwykle przy tak wielkim święcie czeladź i kupczyków.

W okresie panowania Stanisława Augusta oświecone duchowieństwo warszawskie zaczęło walczyć z wieloma innymi ludowymi formami obchodzenia świąt kościelnych. Największego ich nagromadzenia dostarczały uroczystości wielkanocne. Tak więc w Palmową, czyli Kwietnią Niedzielę przy procesji mali chłopcy ze szkół parafialnych występowali z oracjami „wierszem o wjeździe Chrystusa do Jerozolimy i Jego Mące [Męce]". Poza oracjami pobożnymi dzieci wygłaszały także „inne oracyje śmieszne: o poście, o śledziu, o kołaczach wielkonocnych, o nuży szkolnej i inne tym podobne. Gdy dzieci skończyły swoje perory, wysuwali się z tyłu na czoło doroślejsi chłopakowie, a czasem i słuszni chłopi, ubrani po dziwacku za

[4] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, s. 56—59.

[5] A. Wejnert, *Starożytności warszawskie*, t. III: „Obchód uroczystości Bożego Ciała w Warszawie XVII i XVIII wieku", Warszawa 1854, s. 293—313; te same rozporządzenia AGAD, Warszawa Ekonomiczne, nr 539, 540, 542, 543.

pastuchów, za pielgrzymów, za olejkarzów [tj. sprzedawców wonnych olejków], za żołnierzów, przyprawując sobie brody z konopi albo z jakiej skóry sierścią okrytej, kożuchy futrem do góry wywróciwszy. Ci zaś, co żołnierzów udawali, na głowie mając infuły z papieru wyklejone, obuch drewniany, usmolony w ręku, z kart grackich zrobione flintpasy i ładownice, i szablę przy boku drewnianą; którzy nie mieli wąsów i brodów, robili sobie z sadzy z tłustością zmięszanych pręgę wzdłuż nosa, drugą wzdłuż brody i dwie pod nosem w górę zakrzywione na kształt wąsów." [6] Te improwizowane przedstawienia przypominały występy różnych sowizrzałów i innych wesołków z ubiegłych stuleci, a ich perory były całkowicie świeckie i tak rozśmieszały widzów, że najpierw zakazał ich proboszcz od Św. Krzyża, Śliwicki, a później i inni księża wygnali z kościołów te występy, pozostawiając tylko pobożne perory małych dzieci szkolnych. Aktorzy, nie mogąc już liczyć na datki, zrezygnowali z wolna z tych improwizowanych wystąpień.

Dalsze uroczystości Wielkiego Tygodnia przynosiły wiele wzruszeń widowiskowych pobożnym spektatorom. Tak więc w Wielki Czwartek król mył nogi dwunastu ubogim w kolegiacie Św. Jana. Odbywało się to w ten sposób, że celebrujący biskup polewał wodą z miednicy nogi żebraków, a król ocierał je serwetami podawanymi mu przez szambelana. Marszałkowie z odpowiednią strażą chronili Stanisława Augusta przed tłoczącymi się tłumami widzów. Król brał udział także w innych uroczystościach kościelnych według ustalonego z góry ceremoniału.[7]

W Wielki Piątek kapnicy chodzili parami po kościołach i biczowali się przed każdym grobem. Zabierali oni zwykle z sobą człowieka wyobrażającego Chrystusa, pochylonego pod ciężkim drewnianym krzyżem. Dwaj pobożni kapnicy przebrani za rzymskich żołnierzy prowadzili go na łańcuchach. Czasem wobec zbyt wielkiego tłumu w kościele kapnicy tylko przepychali się do grobu, a człowiek z krzyżem mógł sobie wypocząć pod kościołem. „Trafiało się i to, acz rzadko, że dźwigacz krzyża spragniony — zostawiwszy krzyż i łańcuch pod kościołem — pobiegł sam w cierniowej koronie do najbliższej szynkowni dla ochłodzenia pragnienia." Zdarzało się także, że dwie procesje kapników spotkały się pod jednym kościołem i nie chciały sobie ustąpić. Wtedy „przychodziło między nimi do bitwy, do której oręża potocznego: kijów, pięści i kamieni używano". Tłumy pobożnych rozbrajały jednak zbyt krewkich pokutników. W kościołach siedziały urodziwe damy kwestujące na biednych. Centralnym punktem każdej świątyni był pięknie przybrany grób Chrystusa. „Po niektórych kościołach takowe wyobrażenia były ruchome. Lwy błyskały oczami szklannymi, kolorami iskrzącymi się napuszczonymi i światłem z tyłu oświeconymi, wachlowały jęzorami z paszczęk wywieszonymi. Morze bałwany swoje miotało. Longin siedzący na koniu zbliżał się do boku Chrystusowego z włócznią. Marie, stojące pod krzyżem, ręce do oczów z chustkami podnosiły i jakoby zemdlone w dół opuszczały." Te najpiękniejsze ruchome widowiska przygotowywali w Warszawie zwłaszcza jezuici i misjonarze. Nie trzeba się dziwić, że tłumy napełniały kościoły, aby obejrzeć kolejne groby. Zakończeniem uroczystości Wielkiego Tygodnia była rezurekcja, na której zawsze asystował król. „Drabanci jego we dwa rzędy uszykowani, tył królewski sobą zasłaniając, szli wraz z procesją obok

[6] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, s. 53—54.

[7] A. Wejnert, *Starożytności Warszawy*, t. VI: „Obwieszczenia marszałkowskie", Warszawa 1858, s. 81—85.

Sanctissimum, nad którym baldekin nieśli senatorowie lub urzędnicy koronni orderowi. Skoro się ruszyła w kościele procesyja, artyleryja koronna w tyle kościoła farnego z harmat — na Gnojowej Górze zatoczonych — wydała ognia sto razy wciąż." [8]

W czasie Bożego Narodzenia jasełka były znakomitym widowiskiem ściągającym tłumy widzów do kościołów. W szopce występowali, oczywiście, pasterze i Trzej Królowie. Jednakże „reformaci, bernardyni i franciszkanie dla większego powabu ludu do swoich kościołów jasełkom przydali ruchawości, między osóbki stojące mięszając chwilami ruszane, które przez szpary w rusztowaniu na ten koniec zrobione wytykając na widok braciszkowie zakonni lub inni posługacze klasztorni rozmaite figle nimi wyrabiali. Tam Żyd wytrząsał futro, pokazując go z obu stron, jakoby do sprzedania, które nadchodzący znienacka żołnierz Żydowi porywał. Żyd futra z ręki wypuścić nie chciał. Żołnierz Żyda bił, Żyd, porzuciwszy futro, uciekał. Żołnierz wydarte Żydowi futro przedawał nadchodzącemu mieszczaninowi, a wtem Żyd skrzywdzony pokazał się niespodzianie z żołnierzem i instygatorem, biorącym pod wartę żołnierza przedającego futro i mieszczanina kupującego". Typowe intermedia, grane w przerwach właściwych przedstawień teatru staropolskiego, zakonnicy przenieśli na scenę teatrzyku kukiełkowego. Inne przedstawienia jasełkowe ukazywały jeszcze szynkarkę tańczącą z gachem i porwaną za karę przez diabła do piekła lub średniowieczny motyw tańca śmierci z diabłem. Nie ukazywano jeszcze bezeceństw króla Heroda, nieodzownych w późniejszych jasełkach. Ten najstarszy może rodzaj teatru lalkowego posiadał w Warszawie tradycje sięgające co najmniej XVII wieku. „Szopka taka pojawiała się na ulicach Warszawy w roku 1701" lub wcześniej jeszcze. Przedstawienia były usuwane z kościołów w czasach Oświecenia ze względu na ich w pełni świecki charakter i olbrzymią frekwencję widzów. Upadek jasełek kościelnych wywołał rozkwit świeckich szopek, noszonych przez chłopców, a przygotowywanych często przez sługi kościelne. Miejscem tych przedstawień stawała się karczma czy nawet domy prywatne, goszczące chętnie młodych kolędników.[9]

Przegląd niektórych uroczystości kościelnych pozwala na stwierdzenie ich znacznej różnorodności i stałych przekształceń w ciągu XVIII w. Reformy kościelne, zwłaszcza zaś zniesienie popierającego wszelką widowiskowość zakonu jezuitów, spowodowało usunięcie na pewien okres z kościołów niektórych widowisk. Odgrywały one ogromną rolę w jednostajnym życiu mieszczan warszawskich, zwłaszcza zaś w życiu dzieci i młodzieży. Były długo wyczekiwanym i obszernie komentowanym wydarzeniem. Rok kalendarzowy dzielił się właśnie na okresy świąt kościelnych, znacznie liczniejszych niż obecnie i stanowiących jedyną formę wypoczynku po ciężkiej i jednostajnej pracy.

Codzienne życie mieszkańców Warszawy było przepojone oznakami zewnętrznej przynajmniej pobożności. Majster nadzorował codzienną modlitwę i wykonanie obowiązku wielkanocnej spowiedzi uczniów, a nawet czeladników. W wielu rodzinach odmawiano modlitwy przed posiłkiem. Do obowiązków dobrego katolika należało dawanie jałmużny każdemu żebrakowi i ścisłe przestrzeganie postów. Oby-

[8] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III,* s. 46—56.

[9] Tamże, s. 61—63; I. Turnau, *Do dziejów szopki polskiej w wieku XVIII,* „Pamiętnik Teatralny", R. VII, 1958, z. 1 (25), s. 61—63.

czaje te przekształcały się powoli w czasach Oświecenia, kiedy to głoszono już hasła obowiązku dostarczenia pracy każdemu „próżniakowi", a bezpłatnego utrzymania jedynie całkowicie do niej niezdolnych chorych czy kalek. W tradycyjnym środowisku rzemieślników przestrzegano jednak pilnie modłów i postów, a modlitewnik i książki religijne zajmowały pierwsze miejsce w szczupłych bibliotekach.

Antyklerykalne i deistyczne hasła filozofii Oświecenia nie rozpowszechniły się jeszcze szeroko w społeczeństwie warszawskim, w którym panowała zewnętrzna przynajmniej pobożność i zainteresowanie uroczystościami religijnymi. Znacznie większy cynizm i zepsucie uwidaczniały się wśród przedstawicieli wyższego duchowieństwa, z których wielu stale mieszkało w stolicy. W innych rozdziałach przytoczono przykłady z życia rozpustników czy zdrajców ojczyzny. Tu można przypomnieć historię mszy szulerskich księdza Romana Sierakowskiego, kanonika przemyskiego, później gorliwego targowiczanina, w nagrodę biskupa. Namiętny gracz w karty, przegrał on dużą sumę do generała Kajetana Miączyńskiego, który mu zaproponował następującą formę spłaty długu: «Ot, wiesz co, kanoniku, grajmy tak: ty staw mszę śpiewaną, a ja przeciwko każdej twojej mszy stawiam dziesięć czerwonych złotych; nie możesz się skarżyć, żebym małą cenę kładł na mszę, którą odśpiewasz na moją intencję, bo za sześć złotych tej samej łaski dostąpię u pijarów» [...]. Kanonik z początku się wahał [...]. A jednak namiętność do gry, chęć odwetowania przegranej były tak gwałtowne, że zabiera się do grania. Miączyński mógł i sto dukatów postawić przeciwko jednej mszy, bo grał na pewno. Jako też pięćdziesiąt mszy u niego wygrał, które Sierakowski, jako gracz rzetelny, codziennie odśpiewywał, a Miączyński wszystkich podkomendnych swoich szulerów, wszystkich markierów i inne istoty takowego rodzaju rzemiosł kazał zapędzać na te msze i na nich bywał." [10]

Szerokie rzesze mieszczaństwa warszawskiego gorszyły się niekiedy zasłyszanymi plotkami o rozpuście czy szulerstwie możnych biskupów. Codzienne kontakty wiązały ich jednak ze spokojnymi proboszczami mniejszych parafii czy zakonnikami, których widoczniejsze wykroczenia przeciwko nakazom kościelnym dotyczyły zwykle tylko nadużywania jadła i napoju. Wszelkie te kontakty nie wyrugowały z mieszczańskiego życia ogromnej liczby przesądów i zabobonów. Wystrzegano się więc np. zasiadania przy stole trzynastu biesiadników, wróżono z ogromnej liczby drobnych zdarzeń. Wróżby te były po części rejestrowane w różnych sennikach, z których trochę zachowało się w rękopisie do naszych czasów. Można z nich się dowiedzieć, że: „Boso chodzić albo nagim się widzieć, złodzieja w dom znamionuje." „Biegać we śnie — podwyższenie zarobku lub pensji znaczy." „Dziecko widzieć albo bawić niemoc znamionuje." „Żonę pojmować szkodę znaczy." [11] Obawy wzbudzały nie tylko sny, lecz także dni feralne, wpływ znaków Zodiaku i różne drobne fakty, które najpilniej śledziły starsze kobiety, mające więcej wolnego czasu.

W rozmaitych sytuacjach życiowych udawano się po poradę do różnego rodzaju kabalarek czy wróżek-amatorek, które wróżby z kart, kostek do gry i innych pomocy uważały za pewne urozmaicenie długich wieczorów i umiały w nich wy-

[10] H. Rzewuski, *Teofrast polski*, Petersburg 1851, t. II. Cyt. R. Kaleta, *Anegdoty i sensacje obyczajowe wieku Oświecenia w Polsce*, Warszawa 1958, s. 207—208 i 344—345.

[11] WAP, Warszawa, rkps nr 6.

korzystać swe zainteresowanie życiem sąsiadów. O radę i pomoc wróżek proszono nie tylko w sprawach sercowych czy komplikacjach życia rodzinnego. Z rękopisu warszawskiego można było dowiedzieć się nawet: „Komu co w domu zginie, jakiej ten kompleksji, który to ukradł?" Odpowiedzi brzmiały różnie:

Ten jest twardy, dołkowaty,
Do tego zaś jest nosaty,
Ma bliznę nad lewym okiem,
Nie leniwym chodzi krokiem.

Można było także uzyskać ostrzeżenie:

Jakiś czeladnik piegaty
I prawie dobrze gębaty
W szarej sukni teraz chodzi,
Ten ci z dawna cicho szkodzi.[12]

Ślepa wiara nie usuwała tych przesądów. Zakorzenione one były głęboko zarówno w umysłach dawno zasiedziałych już w Warszawie rzemieślników, jak wśród dużej liczby świeżych przybyszów ze wsi. Należało wierzyć w Boga i chronić się przed złymi mocami, które mogły utrudnić i tak już niełatwe życie warszawskiej biedoty.

[12] Tamże.

ZABAWY PUBLICZNE

Zabawy dzieliły się na pańskie i ludowe. W tych ostatnich brała udział niemal cała ludność stolicy. Należał do nich Popielec: zabawa w tym dniu polegała na rozbijaniu przed przechodniem garnka z popiołem. Nie należało to do przyjemności, więc po licznych skargach mieszkańców Warszawy na niesforną młodzież atakowano w ten sposób bezbronnych Żydów, którzy na próżno wzywali straż marszałkowską na swą obronę, póki nie mieli opłaconego tzw. biletami legalnego pobytu w stolicy. Niebezpiecznie było także poruszać się po mieście w poniedziałek wielkanocny, gdyż „młodzież obojej płci czatowała z sikawkami i garnkami z wodą na przechodzących" i nieraz przez pomyłkę oblano „inną jako osobę słuszną i nieznajomą, czasem księdza, starca poważnego lub starą babę".[1] W interesującym nas okresie dzięki ostrym zakazom marszałka Bielińskiego znikał już w samej Warszawie zwyczaj obchodzenia sobótki, czyli palenia ognisk na ulicach w wigilię św. Jana przez cały wieczór. Wywoływał on często pożary budynków lub szkodził osobom „skaczącym sobótkę, które nieraz, ile przy gęstym dymie, skacząc naprzeciw siebie i upadając w ogień, raziły sobie płomieniem oczy, twarzy, ręce i nogi, mianowicie bose, albo u kobiet od spodu nie opatrzone; osobliwie kiedy chłopcy, których kaduk mięsza do każdej swawolnej kompanii, klucze prochem ponabijane lub też ładunki z prochem nieznacznie w ogień rzucali".[2]

Te zabawy uliczne cieszyły corocznie młodzież i pospólstwo. Natomiast odpust na Bielanach na Zielone Świątki należał do jednej z największych atrakcji zarówno dla sfer dworskich, jak mieszczaństwa i pospólstwa. Relacje cudzoziemców porównują wytworność ekwipaży jadących na Bielany z przejażdżkami eleganckich paryżan do Longchamp. „Dnia drugiego Zielonych Świątek [...] połowa prawie Warszawy [...] na Bielany wyjeżdżać zwykła."[3] Król co roku bywał u kamedułów i zwiedzał wraz z dworem cele tych zakonników. Wyjątkowo uroczysta była feta wyprawiona w 1766 r. Od kościoła na Bielanach można było zejść nad Wisłę specjalnymi schodami z poręczami. Tam uprzątnięto wolny plac i zbudowano rodzaj twierdzy z namiotami do tańca. Wszyscy oczekiwali na przybycie króla, który przypłynął Wisłą na pięknie zdobionym statku. Na brzegu zebrało się wielu dostojnych gości, strzelano z dział, a przybyłe nieco wcześniej statki z Bachusem i bachantkami oraz pięcioma syrenami powiększyły grupę witających. Najważniejsza syrena w zielonej sukni (była nią niejaka Walterowa) przedstawiała boginkę Wisłę i wygłosiła panegiryk sławiący Stanisława Augusta jako protektora handlu, rozwoju ekonomicznego kraju i mecenasa sztuk i nauk, obdarowując monarchę bukietem kwiatów wiślanych. W czasie tego przemówienia nadpływały dalsze promy umajone zielenią, wiozące mieszczan i radnych warszawskich. Po powitaniu króla wszyscy udali się najpierw na wyższy plac koło kościoła i przyglądali się zabawie ludowej, przede wszystkim śmiałkom, którzy wdrapywali się na słup z różnymi

[1] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, s. 553—559,
[2] Tamże, s. 559—560.
[3] „Gazeta Warszawska", Suplement do nru 42 z 25 maja 1782.

przedmiotami, butelką wina i dobrze wypchaną sakiewką. Zwycięzca tego konkursu zręczności okazał się poddanym kanclerza Czartoryskiego. Bachus rozdawał bawiącym się tłumom wino, pieczywo i kawałki pieczonego wołu. Wieczorem plac i namioty nad Wisłą były iluminowane, zespół włoski odegrał serenadę-operę i dworscy goście zabawiali się tańcami. [4]

Pierwsze lata panowania Stanisława Augusta były okresem częstych zabaw dworskich, które w czasie lata chętnie urządzano na świeżym powietrzu. W sierpniu 1765 roku np. „Po balu ostatnią razą wydanym na Nowym Świecie w Brylowskim Ogrodzie, Król Imć powracał statkiem na Wiśle o godzinie 2-ej w nocy; na przodzie, na oddzielnym promie, znajdowała się muzyka, która przez całą drogę przygrywała na trąbach i waltorniach, słowem, janczarska kapela. Na ten zgiełk wybiegli ludzie z mieszkań ponad brzegiem na Solcu mieszkający aż do Gnojowej Góry i weselili się razem przy blasku księżyca widząc, że to król z orszakiem dam." Jedna z najbardziej okazałych fet odbyła się w rocznicę sejmu koronacyjnego 27 sierpnia 1765 r. Różniła się ona znacznie od podobnych uroczystości z czasów saskich. Składała się mianowicie z dwóch części. W pierwszej z nich odegrano francuską operę komiczną, dla której tłem dekoracyjnym było autentyczne wesele chłopskie ze wsi pod Młocinami. Król dopłynął gondolą do wyciętej specjalnie alei w lesie i na pobliskiej łące powitała go cała wieś z państwem młodymi. Urządzono wyścigi do mety pieszo i konno, włażenie na słup, tańce chłopskie i rozdawanie pieniędzy, pieczonego wołu „nadzianego jagniętami i drobiem, miodu, wódki i piwa". Ludowe to wesele straciło już rokokową stylizację pastersko-sielankową. Ukazywało ono autentyczną wieś podwarszawską, ubraną odświętnie. W drugiej części fety król przepłynął gondolą na wyspę zamieszkałą przez boginie, wśród których piękna tancerka Catai grała rolę Hebe. Na tej rokokowej wyspie miłości odegrano z kolei kantatę alegoryczną i wystawiono wspaniały balet. Impreza ta, urządzona dla zdobycia sobie względów króla, kosztowała Moszyńskiego około 12 000 dukatów.[5]

W późniejszym okresie ucichł trochę wir zabaw dworskich urządzanych tylko dla niewielkiego, elitarnego towarzystwa, by odżyć znowu w okresie Sejmu Czteroletniego. Wśród wzrastającej liczby zabaw publicznych najbardziej demokratyczny charakter miały reduty. Zwyczaj tego typu zabaw przyniósł do Warszawy Włoch Salwador i odbywały się one mniej więcej od połowy XVIII wieku w zapusty dwa razy w tygodniu, we wtorki i w czwartki. Po jakichś dziesięciu latach pozazdroszczono zarobków Włochowi i w latach sześćdziesiątych odbywały się one już w kilku miejscach i we wszystkie dni tygodnia z wyjątkiem piątku i soboty. Wtedy zarówno panowie, jak zamożni mieszczanie lubili zmieniać w ciągu jednej nocy kilkakrotnie miejsce zabawy. Na reduty można było wchodzić w dość dowolnym stroju, niekiedy okrytym szerokim płaszczem zwanym dominem, bez broni, którą należało zostawić u wejścia, i w masce. „Maska na to tylko była postanowiona, że równość między kompanią, za równe pieniądze cieszącą się, bez zniewagi lub ujmy honoru czyjejkolwiek mogła być zachowana. Człowiek podłej kondycyji [...] póki był pod maską, nicht go nie mógł pogardzać i krzywdę mu czynić." W razie jakiejś bójki

[4] M. Klimowicz, *Początki teatru Stanisławowskiego (1765—1773)*, Warszawa 1965, s. 126—138, z raportów szpiega Heinego; A. Magier, *Estetyka miasta stołecznego Warszawy*, s. 93.

[5] M. Klimowicz, *op. cit.*, s. 118—122.

i awantury winnych wyprowadzali żołnierze Gwardii Koronnej, gdyż reduty były pod ochroną sądów marszałkowskich. „Szewc, krawiec i inny jakikolwiek rzemieślniczek, okryty maską, hulał sobie zarówno z panami. Skoro by zaś ją zdjął i chciał się z kimś godniejszym spoufalić, natychmiast zostałby zafrontowany." Zabawa na redutach polegała na tańcach i grze w karty. Zwykle najwięcej osób zjeżdżało się na rozpoczęcie zabawy — do 500 osób i tańczyło wtedy równocześnie do 50 par. Starano się zaspokoić wszystkie potrzeby bawiących się gości, dzięki dobrze zaopatrzonemu bufetowi. Ponadto: „Był jeden pokój pełen na pawimencie [podłodze] stolców, a na półkach urynałów, gdzie goście składali ciężary natury." Reduty, poza funkcjami czysto zabawowymi, były doskonałym miejscem spotkań kochanków. Kawaler zamaskowany mógł zawsze wynająć od organizatora zabawy klucz do osobnego pokoju i wprowadzić tam damę lub pojeździć z nią w wynajętej karecie po mieście. W tłoku łatwo było zniknąć sprzed oczu matki lub zazdrosnego męża. [6]

Pierwsze warszawskie reduty odbywały się przy ul. Piekarskiej, później urządzano je na Nowym Mieście, w pałacu Przezdzieckich i w salach teatru przy dziedzińcu pałacu Krasińskich. W 1791 r. wytworniejsze i droższe reduty odbywały się na placu Krasińskich, a bardziej popularne w pałacu Radziwiłłowskim na Krakowskim Przedmieściu. „Na Radziwiłłowską redutę przychodzi każdy, jak kto stoi, w butach, z ostrogami, w surducie, we fraku, z maską lub bez maski. Jedynym śladem policji redutowej jest wymaganie złożenia szabli przy wnijściu. Psy bez trudności wchodzą za swoimi panami." Starannie maskowały się jedynie damy zdążające na spotkanie z kochankiem. Modne stały się różne przebrania za „mnichów, stróżów, woźniców, Kozaków, diabłów, Żydów, nietoperzy". Kobiety wybierały przebrania Żydówek, Rusinek, Turczynek czy wieśniaczek. Zdarzały się także maski satyryczne, jak np. „olbrzymi but ze stylpami, starannie wyszuwaksowany, opatrzony w ostrogę stosowną". Było to właśnie najmodniejsze obuwie, a na nim było wypisane nazwisko szewca. Rola buta była bardzo męcząca, toteż po krótkiej przechadzce „stanął sobie w kącie, a dusza, co go ożywiała, wyszła". W tym okresie wytworniejsze towarzystwa przyjeżdżały na reduty przede wszystkim w celu potajemnych spotkań. „Tańcują tylko przedostatnie klasy ludności, a najgłówniej czeladnicy rzemieślników, którzy rej wodzą z córkami swych majstrów lub kobietami publicznymi." [7]

Wytworniejsze towarzystwo zbierało się na prywatnych balach i asamblach. Szczególnie żywe wspomnienia starszych warszawiaków wywołało kilka świetnych bali: „Magnaci okazywali przepych w dawaniu u siebie balów maskowych, z których pamiętniejsze: w dawniej pałacu Kossowskich [przy ul. Bielańskiej] dnia 2 lutego r. 1761 i 1762, przez Durandę posła hiszpańskiego." Na Zamku wspaniały bal wyprawił Stanisław August po swej koronacji, a później w pałacu Radziwiłłowskim dla posła tureckiego. Huczne zabawy wydawał Stackelberg, ambasador rosyjski, w pałacu „Pod Osobami" przy ul. Długiej. Podczas Sejmu Czteroletniego szczególnie świetny bal wyprawił Szczęsny Potocki w pałacu Mniszchów, a największy bal na koszt rządu odbył się 3 maja 1791 roku.

[6] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, s. 582—589.

[7] F. Schulz, *Podróże Inflantczyka z Rygi do Warszawy i po Polsce w latach 1791—1793* (*Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców*, t. II, s. 523—525).

Znacznie bardziej demokratyczny charakter miały słynne zabawy wyprawiane w latach 1782—1783 przez księcia Marcina Lubomirskiego w wynajętych salach pałacu Radziwiłłowskiego na Krakowskim Przedmieściu. Wstęp był za biletami, łatwymi do uzyskania u księcia. „Bale takowe, jak sobie wystawić można, były uczęszczane i zawsze liczne. Przy kilkunastu stolikach siedzący bankierowie gry faraona opłacali aż nadto wydatki balowe, a huczna muzyka po innych salach zachęcała do zabawy, tańca i biesiady wszystkie prawie stany mieszkańców stolicy. Kto by mógł odkryć maskę w tańcu książęcia, widziałby, jak obok niego stróż kamieniczny przebrany hasa sobie wesoło." Anonimowe wiersze określały wyraźnie pochodzenie wielu uczestników tych bali. Byli to szulerzy, awanturnicy, poszukiwacze przygód, rajfurki i ladacznice, utrzymanki, paziowie królewscy, kanceliści i mali urzędnicy.[8] Ogólnie stwierdzić można dość demokratyczny charakter wielkich bali maskowych. Magnaci zapraszali wybranych gości na kolację w liczbie 90—120 osób, później zaś wpuszczano maski do kilkuset osób. Asamble trwały od obiadu do późna w nocy. „Łączyły w sobie wszelkie zabawy, grę, muzykę, bal, podwieczorek, kolację i konwersację." „W ścisku tym równało się wszystko, nie było tu miejsca ani dla wyniosłości, ani dla nieśmiałości. Kto miał suknię taką, że się mógł przyzwoicie zaprezentować w towarzystwie, nie pytano go o nic więcej. Żadne ciekawe spojrzenie, żadne pytanie niedyskretne nie drażniło miłości własnej, najpiękniejszą dłoń mógł ująć do tańca, jeśli już wprzódy innemu nie była przyrzeczoną; najdostojniejsze osoby siadały z nim razem do gry; najrozumniejsi ludzie wdzięczni byli, jeśli koło ich słuchaczów powiększył. Nawet niezgrabność w obejściu i pożądliwość w używaniu przyjemności nie raziły tu bardzo w towarzystwie usposobionym do takiego życia, a niezbyt dbałym o ład i porządek." [9]

Z relacji tych wynika, że znaczna część szlachty, zamożniejszych mieszczan i zawsze licznych cudzoziemców mogła się prawie codziennie bawić darmo na balach i asamblach magnackich, co stanowiło poważną konkurencję dla płatnych redut i widowisk. Były jednak przyjęcia gromadzące staranniej wyselekcjonowane towarzystwa. „Pani krakowska", Elżbieta Branicka siostra króla, przyjmowała w niedzielę, marszałek sejmowy Małachowski we wtorki, prymas Poniatowski w piątki. Inni magnaci mieli także ustalone dnie przyjęć, można było się także udać na zabawy wyprawiane przez bankierów Teppera, Kabryta czy Blanka, którzy nierzadko gościli króla, swego stałego dłużnika.

W okresie letnim mnożyły się pikniki i bale w rezydencjach podmiejskich. Koniecznym ich urozmaiceniem były iluminacje i sztuczne ognie. Już w epoce saskiej iluminacja miasta odgrywała rolę widowiska świątecznego. „Pirotechnika *recreativa* i jej ucieszność" stanowi coraz bardziej skomplikowany system demonstrowania fajerwerków, ogni sztucznych. Sztuka ta była znana już w okresie Odrodzenia. Czerpała obficie z osiągnięć sztuki artyleryjskiej. W XVII w. istniały już podręczniki sztuki pirotechnicznej. Jeden z nich napisał uczony kapitan artylerii, Kazimierz Siemienowicz, kształcony w tej sztuce w Holandii na koszt króla Władysława IV. Wydał on w 1650 r. w Amsterdamie uczony traktat łaciński o artylerii, w którym jeden rozdział poświęca różnym „machinom", przede wszystkim bramom tryumfal-

[8] Wszystkie dane o balach: A. Magier, *op. cit.*, s. 266—267 i przypis J. W. Gomulickiego, s. 422—423.

[9] F. Schulz, *op. cit.*, s. 505—507.

nym i „ogniom uciesznym". Ta wiedza pirotechniczna służyła zarówno przy urządzaniu uroczystości państwowych, jak zabaw prywatnych. Żadna z nich nie mogła się obejść bez kosztownej iluminacji „w najpiękniejszym guście". Rozwijają się w Warszawie warsztaty fajerwerkarskie. Zakładają je już nie tylko byli wojskowi, ale rzemieślnicy, a nawet duchowni.[10] Część z tych fajerwerków urządzał „p. Torri, profesor pirotechniki w Korpusie Artyleryji Koronnej" ze współpracownikiem, Capellą. Prasa codzienna rejestruje jego ogłoszenia fajerwerków w miesiącach letnich w latach 1776 i 1777.[11]

Specjaliści od iluminacji byli angażowani do wieczornych zabaw urządzanych przez wspomnianego księcia Marcina Lubomirskiego w ogrodzie bankiera Kabryta przy Nowym Świecie, na terenie dzisiejszej ulicy Foksal. Zabawy te zwano na wzór londyński „Foksalami" (*Vauxhall*). Zachował się opis takiej zabawy z 1785 roku. Wstęp kosztował półtora złp. Jeden z największych ogrodów warszawskich był oświetlony lampionami, miał amfiteatr dla orkiestry i ławy dla słuchaczy, bramę tryumfalną, namiot, gdzie sprzedawano napoje i słodycze, i drugi przeznaczony na toaletę. Część uczestników tańczyła, część grała w karty czy bilard. O godzinie 10 wszystkich zgromadził wspaniały fajerwerk.[12]

Zgodnie ze wzorami angielskimi, lansowanymi przez króla i dwór, modne stały się także wyścigi konne. Najwytworniejsze towarzystwo warszawskie zebrało się np. w 1777 r., kiedy K. Rzewuski założył się z posłem angielskim Wrougthonem, czyj koń zwycięży w wyścigu od Woli do Mokotowa. Angielskiego ogiera zwyciężyła klacz Rzewuskiego, co zostało pokwitowane wierszem satyrycznym *Na kobyłę Rzewuskiego*. W następnym roku podobny zakład z Rzewuskim wygrał Tomatis na trasie od Nowego Światu do pałacu wilanowskiego. W zimie ulubioną rozrywką młodzieży były szlichtady, czyli kuligi. Kilkunastoma parami sanek jeżdżono do którejś z podmiejskich kawiarni.[13] Doskonałą zabawą była ślizgawka. Towarzystwa dworskie uprawiały ją także w nocy przy świetle pochodni.

W wyższych sferach dworskich towarzystwa warszawskiego do głośnych zabaw należała mistyfikacja księcia Adama Czartoryskiego: „Wziął on sobie na oddalonym przedmieściu stolicy stancją i puścił wieść o przybyciu wróża, czyli proroka chińskiego. Zjeżdżał tam o pewnych godzinach, w których przyjmował osoby ciekawe swych przyszłych losów. Znając zaś wszystkie związki społeczeństwa, trafiał osobom płci żeńskiej z wyższego rzędu do mniemanego wróża uczęszczających, z niemałym ich podziwieniem, we wszystkie ich stosunki. Ubiór jego dziwny, plaster duży przyłożony na jednym oku, czynił go zupełnie niepoznanym. Książę Lubomirski, marszałek wielki koronny, naczelnik policji w rezydencji królewskiej, szwagier jego, uczestnik tej tajemnicy, na kompaniach [w towarzystwie] nie przestawał głosić, że wkrótce pozbędzie się z Warszawy tego szarlatana, co damom tym większym było powodem do pośpiechu i korzystania z krótkiego pobytu tej tajemniczej osoby."[14] Towarzystwo warszawskie śmiało się z tego żartu,

[10] M. Witwińska, *Kuligiem przez trzy stulecia*, Warszawa 1961, s. 270—300.

[11] „Gazeta Warszawska", np. Suplement do nru 53 z 3 lipca 1776 r.; Suplement do nru 40 z 17 maja 1777 r.

[12] „Polak Patriota", t. III, 1785, s. 866—883.

[13] A. Magier, *op. cit.*, s. 123 i 125—126 i przypisy J. W. Gomulickiego, s. 349—350 i 423—424.

[14] R. Kaleta, *Anegdoty i sensacje obyczajowe wieku Oświecenia w Polsce*, s. 89—90.

jakkolwiek ludzie „poważnych obyczajów" byli oburzeni brakiem powagi księcia. Pragnienie coraz to nowych rozrywek sprawiało, że wszelkiego rodzaju cudzoziemscy awanturnicy znajdowali wdzięczne przyjęcie w Warszawie, niekiedy nawet na dworze królewskim. W 1780 r. słynny Cagliostro zręcznymi sztuczkami wyłudził duże sumy od magnatów warszawskich. [15]

W braku bardziej sensacyjnych rozrywek zadowolić się należało tańcem lub grą w karty. Kobiety otrzymywały powierzchowne wykształcenie muzyczne, które pozwalało na zabawianie gości muzyką czy śpiewem. Cudzoziemcy podziwiali polskie tańce, zwłaszcza poloneza i mazura, tańczone w powłóczystych strojach polskich. Znane są zachwyty nad mazurem wykonanym przez najlepszą parę warszawską; księcia Józefa Poniatowskiego i Julię Potocką. Dzieci magnackie od najmłodszych lat uczyły się tańczyć nie tylko tańce narodowe, lecz także kozaka, menueta czy angleza. O ile taniec od dawna należał do ulubionych rozrywek polskiego towarzystwa, o tyle gry w karty rozpowszechniły się w czasach Oświecenia. Oto jak Ignacy Krasicki przedstawia stopniowe wtajemniczanie się w różne rodzaje gier karcianych:

Podłe są grów wspaniałych pierwsze towarzyszki,
Chcesz przyjść do faraona, trzeba zacząć w pliszki,
Trzeba skrzętnym staraniem, gdy pora użycza,
Próbować różnych losów i w rusa, i w bicza,
A zacząwszy w ciskankę z chłopcy, po miesiącu
Kończyć z pany wśród luster, grając po tysiącu.[16]

„Namiętność do gry w karty we wszystkich stanach w Warszawie zakorzeniona jest głęboko. Stróże grają w karty we wrotach pałaców, oczekujący woźnice na kozłach, służący po przedpokojach, widziałem raz nawet na wschodkach gmachu kościoła Św. Krzyża żebraków siedzących nad kartami, którzy grali razem i u przechodzących żebrali. To objaśnia, dlaczego wedle obrachunku Izby Stemplowej w roku 1781 na samą Warszawę ostemplowano 22 697 talii kart francuskich." [17] Przypomnieć tu trzeba, że od każdej talii kart, podobnie jak od papierów przeznaczonych do transakcji finansowych, obowiązywała uchwalona na sejmie w 1773—1775 r. opłata skarbowa. W tym czasie rozpowszechniły się karty tzw. francuskie, lepiej nadające się do nowo wprowadzonych gier hazardowych od dawnych kart polskich. Wyrabiano je m. in. w jednej z warszawskich manufaktur. Karty wyrugowały prawie dawne gry w pliszki i osłabiły popularność ulubionych wśród niemieckich rzemieślników kręgli. Także dawne gry w karty, „pikieta, chapanka, kupiec, były żmudne i deliberacji długiej potrzebujące; dlatego tym, co lubili prędką ekspedycją cudzych pieniędzy, nie smakowały". Rozpowszechniały się gry wymagające tylko szczęśliwej karty, jak rus czy tryszak, największą zaś popularność zdobył faraon — gra hazardowa, która pozwalała na wysokie wygrane i zrujnowała wiele magnackich fortun. „Po faraonie wymyślono inną grę, nazwaną kwindecz; ta była równie hazardowna jak faraon, można było i w tę przegrać znaczne sumy, lecz iż potrzebowała większej umiejętności niż gra faraona i nie mogła być grana w większej liczbie nad pięciu, dlatego w mniejszym była używaniu.

[15] J. I. Kraszewski, *Polska w czasie trzech rozbiorów, 1772—1779*, t. I, s. 277.
[16] I. Krasicki, *Satyra XI, Gracz* (*Pisma wybrane*, t. II, s. 53).
[17] F. Schulz, *op. cit.*, s. 520—521.

Faraon zaś mało na umiejętności, a więcej na szczęściu zasadzony, zwabiał do siebie i umiejętnych, i nieumiejętnych." [18] Najmniej ryzykowny był mariasz, w którego grano raczej w kręgu domowników czy starszych panów. Młode towarzystwa bawiły się szaleńczo, topiąc w grze całe fortuny. Mania różnego rodzaju zabaw przetrwała nawet smutny okres rozbiorów.

Towarzystwo znudzone rozrywkami domowymi mogło udać się czy to do teatru, czy na mniej wybredne widowiska. Należała do nich Szczwalnia, czyli heca, zbudowana przy rogu Brackiej i Chmielnej około 1776 roku: „Budowla ta okazała, okrągła, około 60 łokci średnicy mająca, na dwa piętra z drzewa wystawiona, przeznaczona była na nowe widowiska, w Warszawie jeszcze nie dawane, w których potykanie się zwierząt zajadłych miało bawić powszechność." [19] Biegłych w szczuciu zwierząt strzelców sprowadzono z Wiednia dając im do dyspozycji różne zwierzęta: bawoły i dzikie woły, dziki, niedźwiedzie i psy. Pierwsze widowisko miało powodzenie, król opłacił lożę, jednakże zyskały one sympatię głównie mieszczan, jakkolwiek również nudzący się w niedzielę magnaci bywali niekiedy na hecy. Przeciętna publiczność składała się „z bardziej brutalnych rzemieślników, rzeźników, kowali itp., do których dodać należy żołnierzy, mnichów, woźniców, strzelców, młodzież zdziczałą nieco lepszego pochodzenia i dziewki uliczne; ci najwięcej w hecy smakują, a psom, wilkom, niedźwiedziom, bykom, hecmajstrom i pachołkom razem najserdeczniej przyklaskują".[20]

Podobnego typu publiczność uczęszczała na występy zagranicznych olbrzymów, siłaczy i sztukmistrzów. W 1764 r. występował w Warszawie olbrzym Bernard Gigli z Trydentu. Był on przedstawiony królowi i poza publicznymi występami pokazał się kiedyś na reducie przebrany za Goliata z Dawidem, którego odgrywał karzełek Józef Borusławski. Wielkim powodzeniem cieszyły się pokazy tresury koni. W 1764 r. odwiedził naszą stolicę Anglik Bates, występując obok pałacu Łubieńskich przy ul. Królewskiej. W 1779 r. podobne pokazy cyrkowe ogłaszali Anglicy: Hyam, Robertson i Paiaco. W 1790 roku „zjechał tu sławny Mario, koniuszy króla hiszpańskiego, pokazujący sztuki gimnastyczne na koniach, człowiek niezbyt młody, ale kształtnej postaci, równie i twarzy niejako rzymskiej, celujący w gimnastyce, bogaty, który w przepychu i ubiorze swych licznych służących i muzyce dostatek swój okazywał". [21] Najbardziej zdumiewające widowisko obiecywał jednak p. Mikołaj Mori. Były to sztuki 200 małych koni tureckich różnych odmian. Konie te potrafią wykonywać rozkazy wydawane w języku francuskim, niemieckim, włoskim, skaczą przez obręcz, „umieją czytać, pisać i 4 reguły arytmetyczne, kolory jeden od drugiego rozeznać, walor różnej złotej i srebrnej monety tak francuskiej, jak i innej poznawają, w karty i koście grają, na zegarkach godziny, kwadranse, minuty znają". Wszystkie te umiejętności można było sprawdzić w pałacu Lubiatowskiego przy ul. Długiej za cenę 1 lub 1/2 złp.[22] Widzowie, którzy nie mieli na bilety wstępu, oglądali przedstawienia ulicznych wesołków odbywa-

[18] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, s. 574—582; Ł. Gołębiowski, *Gry i zabawy różnych stanów*, Warszawa 1831.

[19] A. Magier, *op. cit.*, s. 105.

[20] F. Schulz, *op. cit.*, s. 526—528.

[21] A. Magier, *op. cit.*, s. 243; „Gazeta Warszawska", Suplement do nru 86 z 27 października 1779 r.; Suplement do nru 91 z 13 listopada 1779 r.

[22] „Gazeta Warszawska", Suplement do nru 27 z 3 kwietnia 1784 r.

jące się w karczmie lub na podwórkach i bocznych ulicach. Canaletto ukazuje na jednym ze swych obrazów trupę ulicznych muzykantów i sztukmistrzów z małpkami i tresowanymi psami. Były to znacznie skromniejsze rozrywki i słusznie Tomasz Kajetan Węgierski przestrzega w *Liście z Warszawy do przyjaciela siedzącego na wsi*:

Nie życzęć, przyjacielu, jechać do Warszawy,
Chyba tylko, byś młode pasł rozkoszą żądze;
Prawda jest, że najsłodsze tu znajdziesz zabawy,
Ale to tylko wtenczas, kiedy masz pieniądze.[23]

[23] *Poezja polskiego Oświecenia*, s. 183.

Dworski teatr saski

Pasji teatralnej i muzycznej Augusta III i jego żony Warszawa zawdzięczała poznanie i przyzwyczajenie do rozrywek wymagających pewnego wykształcenia kulturalnego. Publiczność była początkowo dość oporna i mało wrażliwa na bogactwo wrażeń dźwiękowo-widowiskowych, jakich chciano jej dostarczyć. Ale częste pobyty króla i jego dworu w stolicy pomału przyzwyczajały mieszkańców do korzystania z licznych i bezpłatnych przedstawień, gdyż wraz z władcą przenosiły się do Warszawy zespoły znakomitych artystów występujących w teatrze drezdeńskim.

Przedstawienia w latach czterdziestych odbywały się na Zamku oraz w sali teatralnej, mieszczącej się w oddzielnym budynku przy Pałacu Saskim. Nie był to gmach specjalnie udany. Wystawiono go niedużym sumptem w r. 1724. Już w r. 1748 rozpoczęto budowę nowej Operalni w Ogrodzie Saskim. Niewielka widownia w kształcie podkowy mieściła cztery rzędy przeznaczone dla szlachty oraz siedem wznoszących się amfiteatralnie rzędów ławek przeznaczonych dla mieszczan. Widownię otaczały trzy piętra lóż, z królewską po prawej stronie.[1] Jak wspomniano, mieszkańcy nie spieszyli na dworskie przedstawienia. August III lubił widzieć swój teatr zapełniony widzami, a tymczasem: „Mieszkańcy Warszawy mało jeszcze znając teatra, a bardziej śpiewy włoskie, niewiele mieli ciekawości uczęszczania na te, lubo bezpłatne, widowiska, na które dworscy sascy w czasie oper, widząc mijających Operhaus, usilnie zapraszali, aby chcieli wstąpić i powiększyć liczbę widzów; czterech zaś laufrów królewskich, biegając po ulicach Ogrodu Saskiego, trzaskaniem harapnikami ogłaszali zaczęcie się teatru."[2] Publiczność miała do wyboru bardziej lubianą komedię włoską i mniej popularną operę. Niechęć do opery włoskiej tłumaczyć można tylko brakiem wyrobienia gustu teatralnego widzów, gdyż i repertuar, i jego wykonawcy należeli do najznakomitszych w Europie. Wystawiano zarówno sztuki komediowe, jak tragedie klasyczne, przedstawienia operowe i baletowe. Co prawda, aktorzy cudzoziemscy grali w języku włoskim i w maskach, ale wyraźne sytuacje sceniczne, wydobyte ponadto znakomitym aktorstwem, oraz rozdawanie publiczności argumentów, czyli krótkich streszczeń, w języku francuskim, a nieraz i polskim, ułatwiały zrozumienie sztuki. Również wspaniała oprawa widowisk, monumentalna scenografia barokowo-iluzjonistyczna, przyciągała widzów, którzy mogli podziwiać nawet dekoracje najlepszego scenografa tych czasów, Giuseppe Galli Bibieny. Bogate były także fantastyczne kostiumy aktorów, którzy występowali w aksamitach i jedwabiach również w scenach wiejskich sielanek.

W czasie pobytu dworu królewskiego w Warszawie w r. 1748 i 1749 tylko w ciągu sześciu miesięcy ulubieńcy publiczności, aktorzy włoscy, wystawili dwa-

[1] B. Król-Kaczorowska, *Dwie Operalnie*, „Pamiętnik Teatralny", R. XV, 1966, z 1—4, s. 54 i n.
[2] A. Magier, *Estetyka miasta stołecznego Warszawy*, s. 256.

dzieścia osiem komedii *dell'arte,* nawiązujących do twórczości ludowej. Największym powodzeniem cieszyły się sztuki Carlo Goldoniego oraz innych autorów, np. *Niewinność zemszczona, Syn zmyślony, Omyłki w kochaniu.* Grali w nich aktorzy z trupy Antonio Bertoldiego, m. in. piękny i postawny amant Bernardo Vulcano, posiadający wielką zdolność improwizacji, tak cenioną w komediach *dell'arte.* [3] Wystawiono też *Dwóch bliźniaków w Wenecji* Goldoniego, sztukę napisaną dla znakomitego odtwórcy postaci Pantalona, Cesare D'Arbes. W Warszawie ujrzano ją w dzień urodzin królewny, 5 listopada 1748 r., na galowym przedstawieniu. Bilety teatralne można było otrzymać na dzień przedtem u marszałka dworu. [4] Występował też autor sztuk wystawianych w Warszawie, Camillo Canzachi, zwany Kulawy. Z aktorek sporą popularność miała żona Vulcana — Izabela. Największym powodzeniem cieszyła się jednak Marta Bastona Focher, ceniona wysoko przez Goldoniego, o której mówił, że „jest to doskonała artystka o dużej inteligencji, szlachetna w poważnych rolach i bardzo przyjemna w rolach komicznych". [5] Oprócz niej inna amantka, Zanetta Casanova, chociaż gruba i niemłoda, z racji wielkiego temperamentu scenicznego podobała się bardzo publiczności warszawskiej.

Z poważniejszym repertuarem widzowie teatralni mieli możność zetknąć się, gdy do Warszawy zawitał zespół Piotra Hilverdinga, znakomitego aktora berlińskiego. Wystawił on m. in. *Ifigenię w Aulidzie* Racine'a. Spektakle te mniej się zapewne podobały, dlatego też gdy w r. 1754 zjechała do stolicy w czasie swego *tournée* po Europie trupa Konrada Ackermanna, do właściwej sztuki dodawano dla wzbudzenia większego zainteresowania publiczności krótką farsę, z występującym w niej arlekinem, oraz pantomimę baletową. W takiej oprawie widzowie poznali tragedie Woltera i Racine'a, komedie Moliera i Destouches'a. Ozdobą zespołu była Zofia Schröder, żona Ackermanna. Uważano ją za najlepszą aktorkę niemiecką. Grywała z wielkim powodzeniem role młodych dziewcząt, chociaż dobiegała czterdziestki. Największe triumfy święciła jednak w tragediach Racine'a jako Fedra i Woltera jako Zaira.[6] Rok 1754 był też najświetniejszym sezonem teatru dworskiego. Publiczność warszawska mogła oglądać całą serię spektakli teatralnych, operowych i baletowych. Dwa zespoły aktorskie ożywiły życie kulturalne stolicy i dostarczyły jej mieszkańcom nieoczekiwanych emocji. Jedną grupę stanowili muzycy i wokaliści, drugą aktorzy komediowi. I znowu publiczność podziwiała Martę Bastona, Cesare D'Arbes, Vulcana oraz wyczekiwała na pojawienie się na scenie znajomych postaci stale występujących w komediach *dell'arte* — Brighelli, Rosetty, Taberyna, Arlekina i Pantalona.[7] Wielką atrakcją były występy w 1762 r. pierwszej antrepryzy komedii francuskiej, którą kierował kupiec warszawski Jan Franciszek Albani. Publiczność miała wówczas możność poznania w oryginale arcydzieł francuskiego dramatu, a zwłaszcza komedii, w repertuarze zespołu znajdowały się bowiem sztuki Moliera, m. in. *Świętoszek* i *Uczone białogłowy,* Marivaux *Igraszki trafu*

[3] K. Wierzbicka-Michalska, *Teatr warszawski za Sasów,* Wrocław 1964, s. 83—84; M. Klimowicz, *Teatr Augusta III w Warszawie,* „Pamiętnik Teatralny", R. XIV, 1965, z. 1, s. 28—29, 31.

[4] M. Klimowicz, *Teatr Augusta III w Warszawie,* s. 38.

[5] K. Wierzbicka-Michalska, *op. cit.,* s. 86.

[6] J. Jackl, *Z badań nad teatrem czasów saskich,* „Pamiętnik Teatralny", R. IX, 1960, z. 1, s. 104.

[7] M. Klimowicz, *Teatr Augusta III w Warszawie,* s. 32—33.



109

BIBLIOTEKA PUBLICZNA



111

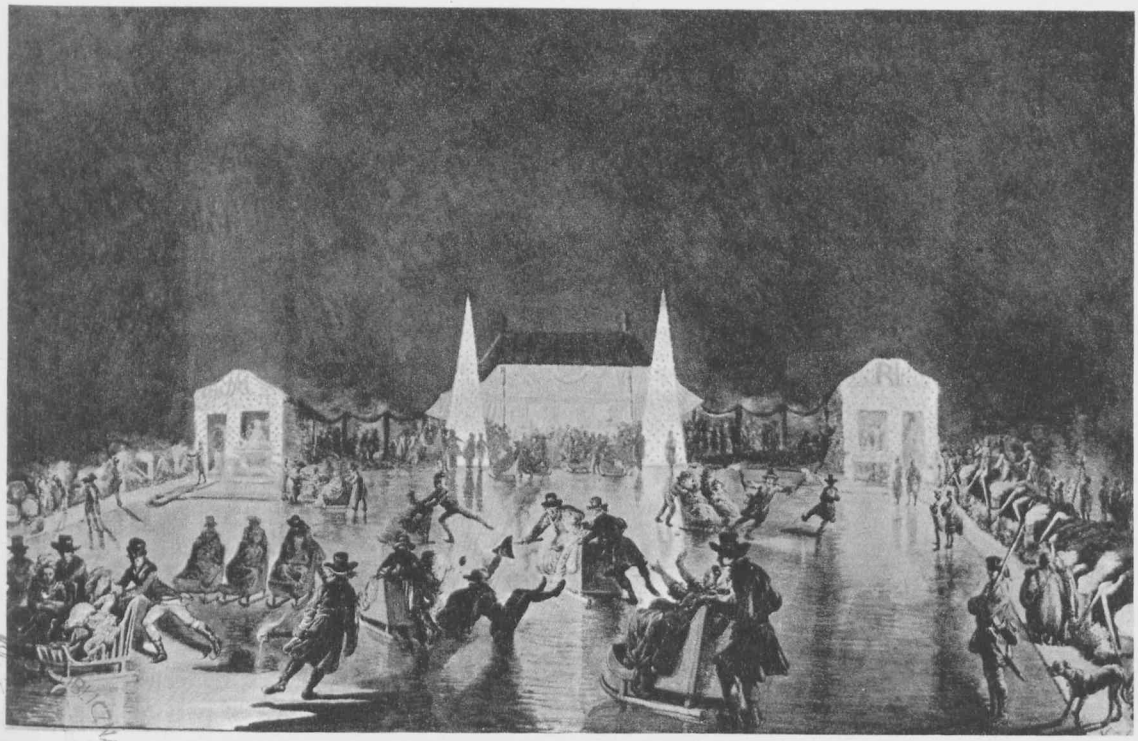

112

BIBLIOTEKA MUZEUM WARSZAWY



113



114



i miłości oraz *Szkoła matek*, La Chausséego *Guwernantka*, a także jedna z najnowszych dram Diderota *Ojciec familii*.[8]

Ze wszystkich zespołów teatralnych najlepszy był niewątpliwie teatr nadworny Augusta III. Jednak kosmopolityczny jego repertuar, a także obcość języka i aktorów, którzy w nim grali, sprawiły, że teatr ten niezbyt chętnie przyjmowany był przez polską publiczność. Odgrywał przy tym rolę jeszcze jeden wzgląd. Publiczność zdobyła wprawdzie pewną kulturę teatralną dzięki wysiłkom królewskiego mecenasa, lecz działało w niej jeszcze przyzwyczajenie do łatwych widowisk w fantastycznej i wspaniałej scenerii, w których nie trzeba było szukać głębszych przeżyć, wymagających znacznego zaangażowania myślowego.

W Operalni odbywały się również liczne przedstawienia operowe, albowiem August III i jego żona, jak już wspomniano, byli wielkimi ich miłośnikami. Natomiast widzowie polscy raczej niechętnie odnosili się do tego typu widowisk. Król nie mógł się nadziwić, że publiczność „nie ubiega się do widzenia rzeczy, tak wielce delektujących oko i ucho, darmo, to jest bezpłatnie, której widzenie w innych krajach lud najpospolitszy opłacać nie żałuje".[9] Do roku 1756 wystawiono zaledwie trzy opery, a w latach dłuższego, siedmioletniego pobytu Wettyna — jedenaście. Libretta zaczerpnięte były przeważnie z literatury starożytnej, jak *Sen Scypiona, Olimpiada, Antigonus* itp.[10] Autorem ich był poeta obdarzony wielką inwencją artystyczną, Pietro Antonio Metastasio, zwany księciem melodramatów włoskich. Oprawa sceniczna wystawianych widowisk była wspaniała, utrzymana w konwencji monumentalnej i fantastycznej. Oto opis dekoracji opery pt. *Bohater chiński*, dokonany z autopsji przez warszawskiego poetę Józefa Epifaniego Minasowicza, sekretarza królewskiego: „Reprezentują się obszerne galerie, ganki albo arkady filarami wsparte, przez które w perspektywie odkrywa się część wielka miasta Singany i rzeki pod murami płynącej. Wierzchołki niebotycznych wież, szczyty wysokie wspaniałych gmachów, pagody, okręty w porcie, drzewa nawet same i to wszystko, cokolwiek pod wzrok i uwagę podpada, dość jaśnie rozmaitość rzeczy wielu, których kunszt i natura w kraju tak odległym w dziełach swoich na przepych wystawiła." [11]

Operę kończył epilog, w którym aktorzy wygłaszali zazwyczaj barokowy panegiryk na cześć króla:

Oto wesołym niech zabrzmi okrzykiem
Sarmata dzielny z cnym Palemończykiem.
Sławcie, narodów obojga wraz usta —
Imię, rząd słodki Trzeciego Augusta.[12]

Publiczność mogła również słuchać dzieł sławnego kompozytora sześćdziesięciu pięciu oper, Jana Adolfa Hassego. Wystawił on w Warszawie jedną z nich pt. *Attillio Regolo*, w której śpiewała słynna primadonna włoska, a żona twórcy, Faustyna Bordoni.[13] Według współczesnych, dysponowała raczej silnym i giętkim

[8] K. Wierzbicka-Michalska, *op. cit.*, s. 129—130.
[9] J. Kitowicz, *Pamiętniki do panowania Augusta III i Stanisława Poniatowskiego*, Lwów 1882, t. I, s. 78.
[10] J. Prosnak, *Kultura muzyczna Warszawy XVIII wieku*, Warszawa 1955, s. 28 i n.
[11] Tamże, s. 30—31.
[12] Tamże, s. 31.
[13] Tamże, s. 29, 32—34.

niż czystym mezzosopranem, nad którym jednak znakomicie panowała. Pełna wdzięku i urody, wycofała się jednak po r. 1750 ze sceny, a miejsce jej zajęła nowa gwiazda na miarę europejską, Regina Mignotti. W latach sześćdziesiątych występowała w stolicy śpiewaczka Katarzyna Ristorini. Przebywający wówczas w Warszawie Karol von Heyking, słuchając jej śpiewu w modnej *La buona figliuola putta,* był nią zachwycony: „cóż za śpiew! Co za muzyka! Jakie zgranie! Zaiste, brak mi słów, aby opisać zachwyt, jaki mnie ogarnął. Aria *Una Puovera ragazza* zawładnęła mymi wszystkimi zmysłami." [14] Wśród mężczyzn nie było tak wielkich talentów, chociaż zarówno dobrym tenorem, jak i niezłą grą aktorską wyróżniał się Angelo Amorevoli. Średni poziom śpiewaczy reprezentowali Pasquale Bracolini, Luigi Cornelio, Bartolomeo Putini i inni.

Zespołowi operowemu towarzyszył niekiedy i baletowy, tak jak w trupie Bertoldiego. Baletów wystawiono wiele i cieszyły się one u publiczności wielkim powodzeniem. Oprócz zespołów włoskich przybyła też do Warszawy trupa znakomitego baletmistrza francuskiego, Antoine Pitrota, który wzbudzał zachwyt w Paryżu i Dreźnie wystawieniem baletowego zakończenia opery *Soliman.* W Warszawie popisał się inscenizacją w typowo dworskim, barokowym stylu pantomimy *Ballet héroïque pantomime,* której premiera odbyła się w dniu urodzin Augusta III, tj. 7 sierpnia 1749 roku. Po raz wtóry zawitał Pitrot do stolicy w r. 1761 w towarzystwie świetnej tancerki, panny Louise Rey. Zapamiętali ją również dobrze kupcy warszawscy, u wielu z nich bowiem zadłużyła się, biorąc towary na kredyt. Król jednak pokrył jej długi. Wszystkie zespoły teatralne opuściły Warszawę wiosną 1763 r., gdy August III wraz z dworem powrócił do Drezna.

Teatr szkolny

Uczęszczano nie tylko do saskiej Operalni. Miejscem, do którego chętnie chodziła polska publiczność, były ponadto kolegia zakonne teatynów, pijarów i jezuitów, w których to szkołach odbywały się zgodnie z programem przedstawienia teatralne z udziałem szlacheckich uczniów. W przeciwieństwie do repertuaru dworu saskiego grywano tu wiele komedii francuskich: Moliera, Destouches'a i Marivaux, wystawiając je w oryginale, ażeby młodzież mogła przy okazji nabywać wprawy w językach obcych. Po reformach Konarskiego, w latach pięćdziesiątych, publiczność mogła usłyszeć na scenie szkolnej w języku rodzimym tragedie klasyków francuskich Racine'a, Corneille'a i Woltera, a także komedie Moliera, które przyswoił dla scen konwiktowych ks. Franciszek Bohomolec.

W szkołach klasztornych dawano również co roku okolicznościowe przedstawienia o treści religijnej, z okazji świąt Bożego Narodzenia, Wielkiejnocy czy też innych. Amatorskie te sztuczki nie osiągały wysokiego poziomu, niemniej jednak podobały się publiczności. Oto jedna z nich, opisana przez Krasickiego:

Ksiądz majster jezuita chcąc ojców zabawić,
Starał się bardzo piękny dyjalog wyprawić;

[14] K. H. v. Heyking, *Wspomnienia z ostatnich lat Polski i Kurlandii, 1752—1796* (*Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców,* t. I, s. 58).

A że właśnie do rzeczy było z karnawałem,
Przedsięwziął diabła bitwę dać z świętym Michałem.
Za czym dla archanioła zgotowano skrzydła;
Żeby zaś diabła postać stała się obrzydła
I tym większym zwycięzca mógł wsławić się plonem,
Diabła z sześciołokciowym klejono ogonem.
Gdy przyszło rzecz wyprawiać, Michał, skrzydły skory,
Wyleciał chyżym lotem z majstrowej komory,
A diaboł skrępowany potrójnym łańcuchem,
Z nadto długim ogonem, z nadto grubym brzuchem,
Uwiązł we drzwiach nieborak... i pęknął na progu.
Gdzie nadto przygotowań, tam nic z dyjalogu.[15]

Księciu Biskupowi Warmińskiemu nie zbrakło, jak widać, i tutaj cienkiej ironii.

Scena narodowa

W początkach panowania Stanisława Augusta teatr warszawski różne przechodził koleje. Ciągłe zmiany dyrektorów, przyjazdy zagranicznych trup, brak stabilizacji i ciągłości widowisk stanowił wielką przeszkodę w powstaniu planowanego przez króla teatru narodowego. Jedną z przyczyn był też brak teatru publicznego. Dawny gmach saskiej Operalni, wydzierżawiony przez Stanisława Augusta, chylił się ku ruinie. Nie pomagały przeprowadzane remonty. Przedstawienia odbywały się w nim tylko do 1768 r. W cztery lata później został on całkowicie rozebrany. Potem spektakle dawano dorywczo w pałacach magnackich, u księcia podkomorzego na Solcu i na Zamku. Dopiero w latach 1773—1778 czynne są sale teatralne w pałacu Radziwiłłowskim na Krakowskim Przedmieściu, a w zajeździe Nowa Rydzyna, w domu Sułkowskiego przy ul. Trębackiej, powstał mieszczański teatrzyk.[16]

Nowy gmach Teatru Narodowego otrzymała Warszawa w r. 1779. Jego architektura i wnętrze nie podobały się publiczności. Skrytykował je też wyczulony na specyfikę życia stolicy F. Schulz: „Może się mylę, ale zdaje mi się, że teatra, tak jakby ich przeznaczenie wymagało, z trudnością charakter wspaniały, lekki, wesoły w budowach swych przybierać mogą. Co najwięcej, czoło budynku może mieć te cechy, lecz reszta gmachu, który nie może się przyozdobić wysokimi oknami, musi zawsze przypominać obumarłe więzienie. Takimi się nam przynajmniej najsławniejsze teatra Francji i Włoch wydawały. [...] Też same wady ma warszawski. Stoi wprawdzie na szerokim placu, ale ściśnięty w sobie i zbity, nie dając się domyślać wnętrza. Tym też on przynajmniej potem uderza. Jest to piękny owal mający cztery rzędy lóż w czterech piętrach, a urządzenie jego uderza prostotą i dobrym smakiem. Parter do połowy ławkami zajęty, a pół bez ławek. Scena sama obszerna, pięknie przyozdobiona, ma urozmaiconą i sprawną maszynerią."[17] Schulz bywał w teatrze już po powiększeniu go przez architekta Innocentego Maraino. Przeróbka

[15] I. Krasicki, *Bajki nowe*, I 19 (*Pisma wybrane*, t. I, s. 183).

[16] B. Król-Kaczorowska, *Budynki teatrów, dekoracje i kostiumy w Warszawie XVIII stulecia* (*Teatr Narodowy 1765—1794*, Warszawa 1967, s. 851 i n.).

[17] F. Schulz, *Podróże Inflantczyka z Rygi do Warszawy i po Polsce w latach 1791—1793* (*Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców*, t. II, s. 619—620).

była konieczna nie tylko ze względu na szczupłość miejsca, ale i z powodu tandetnej budowy gmachu, zawinionej niewątpliwie przez osławionego kamerdynera króla, Franciszka Ryxa, który część funduszów przeznaczonych na wzniesienie teatru zgarnął do własnej kieszeni.

Oprócz teatru publicznego były też i inne, obliczone na węższe grono bywalców. Do nich należały teatry królewskie. Sala teatralna na Zamku nie zaspokajała ambicji Stanisława Augusta. Wzniósł więc na terenie Łazienek w latach 1785—1788 tak zwaną Pomarańczarnię. Miała ona niewielką prostokątną salę, przeznaczoną na dwustu widzów z wyodrębnionym miejscem w loży dla króla i jego najznakomitszych gości. Wnętrza przepiękne, kolorowe, o wykwintnym smaku i skromnej dekoracji rzeźbiarskiej, pokryte świetnymi malowidłami, przesądziły o wysokiej klasie artystycznej teatru. Uwagę widzów zwracał plafon przedstawiający Apolla wjeżdżającego na kwadrydze oraz pas malowideł przebiegający pod sufitem, a przedstawiający publiczność teatralną w lożach. Było to dzieło znakomitych malarzy Plerscha, Dąbrowskiego i Gerżabka [18], dziś jeszcze budzące zachwyt. Gmach teatru jest jednym z najpiękniejszych w Europie. Nie wszyscy współcześni byli jednak tego zdania. Fortia de Piles i Boiseglin de Kerdu pisali o wnętrzu Pomarańczarni, że „jest to niewielki teatrzyk — w sumie nic nadzwyczajnego".[19] Zanim go ukończono, przedstawienia odbywały się w Teatrze Małym, mniej więcej w miejscu obecnej Nowej Kordegardy w Łazienkach.[20]

Na terenie Łazienek był jeszcze drugi teatr ulubiony przez króla i publiczność, zwany Na Wodzie. Około 1500 widzów mogło oglądać wystawiane w nim przedstawienia baletowe, w których według relacji Schulza: „Najczęściej łączą się [...] wiejskie zabawy i gry, pływanie po wodzie, co przy księżycu i muzyce w urozmaicony sposób przyrządzane wiele wdzięku mieć może." [21]

Sprawą repertuaru teatru publicznego kierował sam król, wysuwając na pierwszy plan, zgodnie z programem Oświecenia, cele dydaktyczne i wychowawcze sztuki scenicznej. Poddawał dość ostrej krytyce spektakle o charakterze rozrywkowo-widowiskowym, choć sam je bardzo lubił. Teatr miał przecież, w ujęciu Diderota, służyć wychowaniu społeczeństwa, miał być zarazem jednym z najważniejszych narzędzi polityki kulturalnej oświeconego władcy. Ale wprowadzenie w życie nowych zasad było zamierzeniem trudnym do osiągnięcia. Na przeszkodzie stał brak polskich aktorów, sztuk pisanych w języku ojczystym i niewyrobiony gust publiczności, która przyzwyczaiła się wszak do lekkich, włoskich komedii. Niemniej jednak Stanisław August już w r. 1765 wprowadził polską komedię na deski teatru. 19 listopada odbyło się w saskiej Operalni jej pierwsze przedstawienie. Rozlepione w mieście afisze zawiadamiały mieszkańców, że „Aktorowie JKMci Komediów Polskich będą reprezentowali [...]*Natrętów*, komedyję w trzech aktach z dwiema baletami. Początek o 6 godzinie i będą się płacić" [22] — bilety bowiem w czasach stanisławowskich już się kupowało. Sztukę napisał Józef Bielawski, fligieladiutant Buławy

[18] B. Król-Kaczorowska, *Łazienkowski teatr w Pomarańczarni*, Warszawa 1961.

[19] Fortia de Piles i Boiseglin de Kerdu, *Podróż dwóch Francuzów* (*Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców*, t. II, s. 685).

[20] M. Kwiatkowski, *Pierwszy teatr w Łazienkach*, „Pamiętnik Teatralny", R. XV, 1966, z. 1—4, s. 66 i n.

[21] F. Schulz, *op. cit.*, s. 545.

[22] K. W. Wójcicki, *Teatr starożytny w Polsce*, Warszawa 1841, t. II, s. 378.

Wielkiej Wielkiego Księstwa Litewskiego. Przedstawienie *Natrętów* — mimo iż utwór był bardzo słaby — otwarło nowy etap rozwoju teatru, który zyskał w tym okresie w Warszawie nowych autorów, m. in. Fr. Bohomolca. Pisane przez nich sztuki miały charakter dydaktyczno-moralizatorski. Ich ostrze satyryczne kierowało się przeciw obskurantyzmowi i sarmatyzmowi, pozostałościom epoki saskiej.[23]

Wszystkie te przemiany następowały oczywiście powoli. Widzowie z kręgu arystokracji, przyzwyczajeni do dobrych tekstów literackich, a także do wyrobionych, a niekiedy wręcz znakomitych aktorów francuskich i włoskich zespołów zagranicznych, oglądali bez specjalnego zachwytu pozbawione wartości artystycznej słabe sztuki polskie, grane przez początkujących adeptów sceny. Każdy zespół zagraniczny stanowił poważną konkurencję dla teatru warszawskiego. Właśnie w tym okresie występowały w stolicy trupy francuskie Louis de Villiersa, od maja do października 1765 r., a następnie Jossego Rousselois, od października 1765 r. do wiosny roku 1768.

Entreprenerem-przedsiębiorcą widowisk stołecznych król mianował Włocha Karola Tomatisa, który pozostawał pod opieką i kontrolą stolnika koronnego, Augusta Moszyńskiego. Kierownictwo zmieniało się często i pierwsze cztery lata (1765—1769) upłynęły pod znakiem prób zorganizowania stałego polskiego teatru, w którym grano przede wszystkim komedie Franciszka Bohomolca. Napisał on ich około czterdziestu. Już w samych początkach swej działalności teatr polski odgrywać miał rolę wychowawczą. Scena teatralna przy współpracy publicystyki „Monitora" miała łagodzić obyczaje sarmackie, zwalczać „trudności czynione przy naturalizacji cudzoziemców, pogardę i ucisk wobec ludzi niskiego stanu i katolicką nietolerancję", te trzy „narodowe uprzedzenia", które nowy król chciał wyplenić u rodaków „z wielką łagodnością".[24] Typową komedią agitacyjną było napisane przez Bohomolca i wystawione już w r. 1766 *Małżeństwo z kalendarza*. W następnej sztuce tego autora, *Pan dobry*, wystąpili po raz pierwszy na scenie chłopi. Utwory te wywołały oburzenie przybywającej z prowincji szlachty. Starannie dobierano także repertuar przekładów zmierzając stopniowo od rozrywkowej komedii *dell'arte* i umoralniającej „komedii płaczliwej" do typowej dla Oświecenia dramy mieszczańskiej. Jednocześnie szeroki repertuar przedstawień francuskich pozwalał publiczności warszawskiej na poznanie w oryginałach większości sztuk cieszących się największym powodzeniem w Paryżu, Wiedniu czy Dreźnie. Publiczność lubiła nadal lekkie komedie włoskie, które często grywano. Do najpopularniejszych należały sztuki Carlo Goldoniego: *La buona figliuola putta* oraz *Gli Uccellatori* z muzyką Floriana Leopolda Gassmanna. W dramatach nie gustowano.[25]

Nie tylko brak stałego teatru w latach 1769—1775, ale i wydarzenia polityczne — konfederacja barska oraz rozbiór Polski — załamały ogólny program królewskiej reformy. Życie teatralne stolicy uległo przyciszeniu. Król przestał bywać w pałacu Radziwiłłowskim, gdzie od r. 1774 odbywały się przedstawienia zespołu polskiego. Monopol teatralny otrzymał na sejmie sługa posła rosyjskiego Stackelberga — August Sułkowski. Ze sceny słychać było teraz ostre słowa aluzji

[23] L. Bernacki, *Teatr, dramat i muzyka za Stanisława Augusta*, Lwów 1925, t. I, s. 4.
[24] M. Klimowicz, *Początki teatru Stanisławowskiego*, Warszawa 1965, s. 10.
[25] Tamże, s. 122—124, 197—198; tenże, *Repertuar teatru warszawskiego w latach 1765—1767*, „Pamiętnik Teatralny", R. XI, 1962, z. 2, s. 255.

godzące w Stanisława Augusta, politycznego przeciwnika obu dygnitarzy. Brak osoby króla, pomimo iż przygotowano dla niego honorową lożę na spektaklach, osłabiał frekwencję publiczności. Sam Stanisław August organizował przedstawienia na Zamku królewskim, a potem w teatrze w Łazienkach i u swego brata, podkomorzego Poniatowskiego, na Solcu.[26] Grał w nich kameralny zespół aktorski złożony z dworzan i przedstawicieli arystokracji pod dyrekcją Alojzego Fryderyka Brühla. Naśladując inicjatywę króla tworzono magnackie zespoły amatorskie dające przedstawienia. Zaczęły one odgrywać ważniejszą rolę po roku 1769, gdy zabrakło w stolicy stałej siedziby dla teatru publicznego. Zapoczątkował je zespół amatorski, występujący w salonie księżnej Barbary Sanguszkowej, prawdopodobnie w Pałacu Saskim. Grali tam domownicy, a bywał na tych przedstawieniach Stanisław August jako stolnik litewski. Z salonu tego wywodzili się przyszli organizatorzy teatrów *de societé*, księżna Karolina de Nassau oraz biorąca udział w przedstawieniach Ludwika d'Aloy. Czasami występowali, grając z amatorami, również polscy i francuscy aktorzy zawodowi, jak w zespole prymasa Gabriela Podoskiego, dającym przedstawienia w budynku tzw. Malarni w Ogrodzie Saskim. Spektakle te organizowała córka jego faworyty, Weyrauchowa, z domu Oemingen.

W latach 1769—1770 w tymże Pałacu Saskim występował teatr dziecięcy, przeznaczony dla dorosłych, a zorganizowany przez Józefa Bratkowskiego. Grywał on modne komedie, wystawiając również *Meropę* Woltera. Do działalności teatrów amatorskich zaliczyć można także wystąpienia kadetów z lat 1769—1773. Grywali oni przeważnie sztuki Adama Czartoryskiego. Przedstawienie *Panny na wydaniu* o mało nie zakończyło się nie zamierzonym zresztą królobójstwem. Oto 4 października 1770 r. „była grana przez kadetów komedia w koszarach Kazimierzowskich na porządnie do tego celu wybudowanym teatrze; były na niej prawie wszystkie damy wraz z królem na parterze za orkiestrą. Nad parterem zwisały dwa wielkie oświetlone żyrandole. Kiedy komedia miała się ku końcowi i opuszczono przednią kurtynę, spadły także żyrandole z wielkim impetem, jeden tuż obok króla. Chciał go powstrzymać nieco ręką Branicki i został uderzony w nogi. [...] Mówi się, że ci głupcy niechcąco odczepili ciężarki od żyrandoli opuszczając kurtynę. Mme Borg była na wspomnianej komedii cały czas obok króla i tak brylantami ozdobiona, że jej głowa trzeci żyrandol wyobrażała".[27]

W późniejszym okresie występy teatrów *de societé* cieszyły się znacznym powodzeniem w sferach dworskich i magnackich. Sztuki wystawiano przeważnie na Zamku. Tam 22 grudnia 1785 r. zespół ks. Karoliny de Nassau wystąpił z *Weselem Figara* Beaumarchais'go, uprzedzając premierę Teatru Narodowego.[28] W niedługim czasie otwarto scenę w Pomarańczarni, zarezerwowaną tylko dla przedstawień dworskich. Główne role grywała w nich słynna piękność, Julia Potocka. W drugim teatrze Na Wyspie, czy też Na Kępie, jak go wówczas nazywano, wystawiano opery i balety.

Na występy do stolicy przyjeżdżały również zespoły magnackie spoza Warszawy, dając spektakle, dostępne tylko dla wybranej publiczności. Wśród mniej eli-

[26] M. Klimowicz, *Teatr Narodowy w latach 1774—1778*, „Pamiętnik Teatralny", R. XV, 1966, z. 1—4, s. 101.

[27] M. Klimowicz, *Początki teatru Stanisławowskiego*, s. 398, relacja Heinego z 6 X 1770 r.

[28] A. Jendrysik, *Premiera „Mariage de Figaro" w Polsce*, „Przegląd Humanistyczny", 1959, z. 3, s. 178.

tarnych kręgów rozpowszechniały się coraz bardziej łatwiejsze do osiągnięcia dla widzów przedstawienia różnych typów teatrów lalkowych. Wśród nich wyróżniały się marionetki, poruszane przy pomocy sznurków, i pacynki, którym ekspresję nadawała ręka, wsunięta w lalkę jak w rękawiczkę. Obraz pacynki, występującej w szopce, przekazał nam Norblin. Przedstawienia lalkowe mogły odbywać się na ulicach warszawskich, w szynkach lub mieszkaniach prywatnych. Wielkim powodzeniem cieszył się również teatrzyk „chińskich cieni", który, opierając się na grze lalek, poszedł w kierunku interesujących efektów malarskich. Płaskie figurki z kartonu dawały ciekawe obrazy na płótnie zawieszonym zamiast kurtyny. Teatrzyk taki urządził w mieszkaniu prywatnym jeden z uczniów Norblina: „osóbki ruchome wystawiały pokusy św. Antoniego na puszczy. Zachwalono przy tym, że rysunek, koloryt i ruch osóbek w tych przedmiotach lubieżnych, naśladujących *Przemiany* Owidiusza, dobrze był zachowany. Król chciał to widzieć, wieczorem zatem, aby nie był poznanym, pieszo udał się z kilku dworskimi do tego domu w Rynku Starego Miasta, nieco od Zamku oddalonego, i wdrapał się tam na drugie piętro, chcąc swą ciekawość zaspokoić." [29]

Otwarcie gmachu Teatru Narodowego i przejęcie monopolu widowiskowego przez Franciszka Ryxa, zaufanego króla, otworzyło nowy etap w życiu teatralnym stolicy. W zespole grali aktorzy polscy pod kierunkiem przedsiębiorców teatralnych, Michała Bizestego, Zrzeszenia Aktorów Narodowych, a od r. 1783 — Wojciecha Bogusławskiego. Teatr ten miał najliczniejszą publiczność, chętnie płacącą za bilety. Sam król często bywał na przedstawieniach. Interesował się żywo powodzeniem sztuk, które sam polecał grać, mając na uwadze stworzenie narodowego repertuaru. Ażeby proces ten przyspieszyć, adaptowano sztuki francuskie, uważając je za najbardziej godne naśladowania. Nie brakło wśród nich także komedii molierowskich. Polskie adaptacje miały spełniać dwojaką rolę dydaktyczną: przeprowadzić krytykę sarmatyzmu i doskonalić widza w znajomości języka polskiego. Znaleziono autora, który podjął się trudnego zadania adaptacji tekstów i zdołał mu sprostać. Był nim Franciszek Zabłocki. W latach osiemdziesiątych zastąpił on płodnego, lecz przestarzałego w swej twórczości Bohomolca, któremu zarzucano nadmierny i uproszczony dydaktyzm oraz brak pogłębienia psychologicznego postaci. Większość komedii Zabłockiego oparła się na francuskich najczęściej pierwowzorach, m. in. na utworach Beaumarchais'go i Diderota. Autor przerabiał je według wskazań księcia Adama Czartoryskiego, zapożyczając od autorów obcych układ utworu, a nawet i akcję, przedstawiając ją jednak zarazem na tle zwyczajów i sytuacji rodzimych. Już w r. 1781 wystawiono zapewne siedem komedii, w tym dwie wierszowane, *Zabobonnik* i *Fircyk w zalotach*. Podobały się one widowni. Ten rodzaj twórczości miał poprzedników w osobach Trembeckiego jako tłumacza *Syna marnotrawnego* Woltera, Baudouina z jego *Świętoszkiem* Moliera, oraz Węgierskiego, który wskutek przekładu *Pigmaliona* J. J. Rousseau ściągnął na siebie niefortunnie gniew królewski. Zabłocki wydał się więc autorem opatrznościowym. Był płodny. Co roku pisał kilka komedii, z których dużym zainteresowaniem cieszył się, oprócz już wspomnianych, *Sarmatyzm* i *Król w krainie rozkoszy*.[30]

[29] M. Klimowicz, *Początki teatru Stanisławowskiego*, s. 392; A. Magier, *op. cit.*, s. 100.

[30] Z. Raszewski, *Teatr Narodowy w latach 1779—1789*, „Pamiętnik Teatralny", R. XV, 1966, z. 1—4, s. 114—116.

Dwaj inni autorzy, Bogusławski i Baudouin, przerabiali na scenę komedie Moliera. Wystawiono ich w latach 1777—1785 czternaście, przeważnie adaptowanych, co świadczy o popularności tego rodzaju komedii. W latach późniejszych prawie ich nie grywano. Znacznym powodzeniem cieszyły się tak zwane dramy mieszczańskie, jak *Bewerlej* E. Moore'a w przeróbce B. J. Saurina, a w przekładzie Fr. Barssa czy *Burmistrz poznański* będący adaptacją J. Baudouina sztuki J. M. Collot d'Herbois. Tylko do publiczności mieszczańskiej zdawał się kierować swe słowa burmistrz poznański, gdy wołał ze sceny: „Brońcie praw waszych przeciwko gwałcicielowi temu; sprawiedliwość, króla i stan cały macie za sobą." [31] Przedstawienia w teatrach grywane były przez świetnych aktorów, stojących nieraz na poziomie europejskim. Wzrastały wymagania estetyczne widzów, jak i zainteresowanie wymową polityczną utworów.

Powrót Bogusławskiego w r. 1790 do Warszawy zapoczątkował ostatni okres życia teatralnego wolnej stolicy, okres rozkwitu sztuki narodowej. Wielki aktor, płodny pisarz i zasłużony dyrektor teatru w jednej osobie pisze, wystawia i gra główne role w komediach mieszczańskich. Wśród nich wymienić warto cieszącą się niesłabnącym powodzeniem *Taczkę occiarza* Merciera, a poza tym proszlachecką sztukę dyrektora Bogusławskiego — *Dowód wdzięczności narodu.*[32] W r. 1791 warszawska publiczność usłyszała pierwszą komedię polityczną *Powrót posła,* napisaną przez Juliana Ursyna Niemcewicza, gloryfikującą program sejmowego stronnictwa patriotycznego. Oto co mówi o założeniach sztuki sam autor: „Celem moim było wydać na pośmiewisko wszystkie zastarzałe, a jeszcze nie wykorzenione zupełnie przesądy nasze. Skupiłem je wszystkie w sobie w osobie starosty Gadulskiego, który płacze, że *liberum veto* ma być zniesionym, wynosi pod niebo elekcje królów i korzyści stąd dla szlachty przez ujmowanie jej starostwami, urzędami, pensjami; było to niejakie torowanie drogi do zbawiennych zasad rządowych, które się w Konstytucji Trzeciego Maja rozwinąć miały." [33]

Drugą sztuką Niemcewicza, napisaną specjalnie na zamówienie króla w pierwszą rocznicę Konstytucji, był *Kazimierz Wielki.* Uroczyste przedstawienie zgromadziło liczną i różnorodną publiczność, ponieważ spektakl był bezpłatny. Na widowni wyróżniały się kobiety, ubrane w białe suknie z przepasanymi szkarłatnymi wstęgami. Aluzje polityczne zawarte w utworze, a odnoszące się do współczesnych czasów w lot pojmowano. Wiadomo było, że Kazimierz Wielki to Stanisław August i że przez Statut Wiślicki należy rozumieć Konstytucję 3 Maja. Gdy Owsiński, grający Kazimierza Wielkiego, powiedział: „W potrzebie stanę na czele narodu mojego", król wychylił się z loży i rzekł głośno: „Stanę i wystawię się!" Co chwilę zrywały się burze oklasków i krzyki domagające się powtórzenia kwestii będących trafną aluzją do aktualnej sytuacji politycznej, chociaż sama sztuka była bardzo słaba.[34] W miarę wzrostu uczuć patriotycznych coraz liczniej uczęszczano do teatru, szukając tam potwierdzenia swych nastrojów. Cieszyły się powodzeniem i inne komedie, jak Józefa Wybickiego *Szlachcic mieszczaninem* czy Bogusławskiego *Henryk VI na łowach.* Występujące w tych sztukach postaci głosiły idee równości demo-

[31] Tamże, s. 114.
[32] Tamże, s. 125.
[33] J. U. Niemcewicz, *Pamiętniki czasów moich,* t. I, s. 323.
[34] J. I. Kraszewski, *Polska w czasie trzech rozbiorów,* t. III, s. 139—140.

kratycznej, były echem wydarzeń Paryża. Komedia polityczna święciła triumfy na scenie, doprowadzając do ścisłego kontaktu między teatrem i publicznością. Przedstawienie operowe *Krakowiaków i górali* tak podniosło nastrój patriotyczny przed Insurekcją, że w czasie trwania powstania Najwyższa Rada Narodowa postanowiła wznowić spektakle teatralne dla podniesienia ducha walki wśród mieszkańców Warszawy. 11 października 1794 r. „Gazeta Rządowa" doniosła czytelnikom, że „znany publiczności z patriotyzmu i talentów obywatel Bogusławski, stosownie do zalecenia Rady Narodowej, Teatr Narodowy otwiera".

Plany Stanisława Augusta nie ograniczały się do stworzenia repertuaru sztuk teatralnych, ale dotyczyły również przedstawień operowych, nie cieszących się nadal wielką popularnością wśród słuchaczy. Wyjątek stanowiły opery komiczne wystawiane wraz z baletem, do których widzowie przyzwyczajeni byli już od wielu lat, oglądając je w saskiej Operalni. Król sprowadził trupy znakomitych śpiewaków włoskich, francuskich i niemieckich. Lista dzieł wystawionych w ciągu trzydziestu lat jego panowania była imponująca i zawierała dawne i najnowsze dzieła kompozytorów francuskich, włoskich i niemieckich. W repertuarze przeważały opery komiczne, skomponowane również przez mniej znanych kompozytorów, by wymienić Baltazara Galuppiego *Il signor dottore, La nozze di Dorina* oraz *Il Villano Marchese* ze świetnym librettem Goldoniego, który pisał je dla wielu współczesnych twórców. W r. 1774 wystawiono *La locandiera* Antonio Salieriego, rywalizującego z Mozartem na dworze wiedeńskim. W dwa lata później słuchacze mogli ocenić operę ulubieńca Warszawy z czasów saskich, Hassego, pt. *Sessio il Demofoonte,* którą po raz pierwszy wystawiono w stolicy w r. 1748.[35] Wreszcie w r. 1778 publiczność warszawska usłyszała operę komiczną z rodzimym librettem, śpiewaną w języku polskim. Była to *Nędza uszczęśliwiona* Macieja Kamieńskiego z librettem Bogusławskiego według Bohomolca. Społeczeństwo warszawskie przyjęło tę operę „jak cudo jakie, z podziwianiem i zapałem", chociaż sam kompozytor nie uważał jej za dzieło wybitne. Nowością w zakresie muzyki, która odpowiadała panującemu wówczas stylowi operowemu, był pierwiastek ludowy — rytmy polonezowe i krakowiaki. Treść libretta, zupełnie prosta, przedstawiała bytowanie codzienne zwykłych, szarych ludzi na mazowieckiej ziemi. Aktorzy grali na tle dekoracji przedstawiających wieś polską, w kostiumach chłopskich, co odbijało od utartego szablonu dawnych przedstawień z barokową dekoracją i takimiż strojami. Nie było w tym przedstawieniu sztuczności, fałszywej konwencji. Melodie podobały się i wkrótce cała Warszawa śpiewała arię „Torbo moja kochana..." [36]

W 1779 roku w ciągu krótkiego czasu wystawiono dalsze opery kompozytorów polskich z librettem w języku ojczystym, które nawiązywały do nurtujących społeczeństwo spraw. Były to w porządku chronologicznym, *Prostota cnotliwa* i *Zośka albo Wiejskie zaloty* Kamieńskiego oraz opera komiczna-wodewil, *Tradycja dowcipem załatwiona,* tegoż kompozytora, z librettem Zabłockiego.

W tym samym mniej więcej czasie zaczęto wystawiać opery obcych kompozytorów z librettem polskim. Jan Baudouin przerabiał francuskie opery komiczne, akcję ich przenosząc np. z Paryża na Grzybów, i dodając — zgodnie z poetyką

[35] J. Prosnak, *op. cit.,* s. 103 i n.

[36] Z. Jachimecki, *Muzyka polska w rozwoju historycznym,* Kraków 1951, t. I, cz. II, s. 53 i n.; Z. Raszewski, *op. cit.,* s. 111.

opery komicznej — popularne piosenki w rodzaju: „Pojedziemy na Bielany, dam ci gęby, mój kochany". W ten sposób wszedł do opery folklor miejski. Bogusławski natomiast spolszczał libretta oper włoskich, np. Domenico Cimarosy *Włoszkę w Londynie*, Giovanni Paisiella *Filozofowie wrzekomi* i wiele innych. Przełożył także zabawne libretto Goldoniego do opery *Miłostki rzemieślnicze* Floriana Leopolda Gassmanna.[37] Wielbicieli muzyki włoskiej w oryginalnym wykonaniu zaspokajały przybywające do Warszawy z Italii zespoły operowe. Muzykalni warszawianie słuchali też melodyjnych, pełnych rokokowego wdzięku oper Mozarta. Pierwszą z nich, jaką ujrzała widownia stolicy, było wystawione w 1783 r. *Uprowadzenie z seraju.* W kilka lat później usłyszano *Don Juana* oraz *Zaczarowany flet,* którego treść, osłonięta poezją symboliki, mówiła o ideach wolnomularstwa.[38]

W latach 1790—1794 za dyrektorstwa Bogusławskiego wystawiane były przeważnie opery włoskie komiczne, chociaż grano równolegle również patriotyczne sztuki Niemcewicza i Bogusławskiego. Niemniej nieoczekiwane wystawienie nowej opery polskiej, tuż przed Insurekcją, zaskoczyło Warszawę. Operę poprzedziła wystawiona trzy dni wcześniej premiera *Le mariage de Figaro,* z muzyką Karla Ditters von Dittersdorfa. A już 1 marca 1794 r. zgromadzona publiczność usłyszała *Krakowiaków i górali* Jana Stefaniego, z librettem Bogusławskiego. Utwór zdobył największy aplauz i zagrzał serca do czynu. Igelström kazał zdjąć go ze sceny po trzech przedstawieniach jako zbyt niebezpieczny. Poeta niemiecki Jan Gotfryd Seume pisał:

„Wystawiona w stolicy sztuka pod tytułem *Krakowiacy* rozżarzyła jeszcze bardziej rozpalone umysły. Sztuka ta jest narodowa, z wielkim talentem i zręcznością ułożona, opisuje spory wieśniaków krakowskich. [...] Jest to mieszanina dramatu, wodewilu i baletu, nader zręcznie w jedną całość spojona. Muzyka, wzięta częściowo z autentycznych pieśni ludowych, częściowo z najlepszych zagranicznych utworów, jest głęboko porywająca." I dalej: „Aluzje polityczne w tej sztuce były dość odległe i mało konkretne, ale przemawiały do uczuć patriotycznych".[39] Publiczność dobrze interpretowała sens słów, chociaż gdy Bogusławski śpiewając „«Bo jak się nie uda, cnota weźmie górę, to nie będą żadne cuda, że ty weźmiesz w skórę» — dla lepszego okazania, że niewinną gra farsę, obracał się do loży Ożarowskiego i wprost do niego przytomnego adresując się, palcem mu kiwał. Śmiał się z głupstwa tego Ożarowski, patrzałem na to własnymi oczyma, choć pewnie w duszy jego wesołość nie panowała [...]; cały parter, loże, galerie, paradys huczały z oklasków, trzęsły się od tupania..." [40] Scenę tę gorąco także oklaskiwali muzykalni, ale w większości nie rozumiejący tekstu oficerowie rosyjscy.

Przy ariach śpiewano aktualne kuplety, które szybko rozchodziły się po mieście, jak piosenka Basi:

Gdzie się w niewoli zyje,
Nie mas tam swej lubości;
Pies na powrozie wyje,
Kazdy pragnie wolności.

[37] Tamże, s. 111—112; J. Prosnak, *op. cit.*, s. 105.
[38] Tamże, s. 112, 115, 118.
[39] Cyt. za: *Warszawa wieku Oświecenia,* s. 152—153.
[40] A. Trębicki, *Opisanie sejmu ekstraordynaryjnego podziałowego roku 1793 w Grodnie * O rewolucji roku 1794,* opracował i wstępem poprzedził J. Kowecki, Warszawa 1967, s. 203.

Na przedstawieniach publiczność gorąco witała te zwrotki. *Krakowiacy i górale* stanowili ostatnią premierę operową w wolnej Warszawie. Arie i pieśni z pierwszych polskich dzieł scenicznych były często śpiewane ze względu na ich modną ludowość i patriotyczną wymowę. Wiele z nich zostało wydanych w kilka lat później w zbiorkach o wymownym tytule: *Rozrywka w smutku.*[41] Przekazywały one następnemu pokoleniu nastroje panujące w czasie konstytucji majowej, zapał przedinsurekcyjny i wiarę w lepszą przyszłość.

W ciągu trzydziestu lat przy każdym spektaklu wystawiano balety. Publiczność warszawska obejrzała ich z górą dwieście. Widziała także najlepszych tancerzy europejskich. W dniu imienin króla w 1767 r. w balecie *Medea i Jazon* wystąpił *dieu de dance,* tancerz paryski Gaetano Baldassare Vestris, a także znakomita tancerka tego zespołu, Valentine. Obecny w loży teatru król w otoczeniu dworu nie chłonął piękna przedstawienia baletowego, gdyż książę Repnin, ówczesny dzierżawca Operalni, postarał się uczynić je nader przykrym dla Stanisława Augusta. Repertuar w dniach majowych ułożył mianowicie w ten sposób, że Jan Heine, agent saski, miał okazję napisać swemu przełożonemu, co następuje: „Na obecnych francuskich komediach przedstawiony jest każdego dnia taniec czy też balet wyobrażający detronizację, który to balet dawano we czwartek [21 V]; *Sacra Familia* oraz król jako spektatorowie nie mogą ukryć przerażenia pomimo udanego maskowania się i tylko słabość swoją ukazują." [42]

W latach 1774—1777 Warszawa zachwycała się baletami w układzie Antoniego Sacco, którego zaangażował do swojego zespołu entreprener a zarazem aktor wiedeński, Józef Feliks Kurtz. W roku 1785 przybył do stolicy balet złożony z trzydziestu trzech osób. Była to młodzież ze szkoły Tyzenhausa w Grodnie, prowadzonej przez Franciszka Gabriela Ledoux. Król uwolnił ich z poddaństwa. Uzupełniali występy teatru polskiego. Do pracy byli przygotowani, gdyż kilku solistów król wysłał do Paryża, aby kształcili się u takich znakomitości, jak Vestris i Gardel. Ci byli najlepsi w zespole: „Postawa, smak w ubiorze, wdzięk w grze ciała, dokładność ruchów wynosiły ich wyżej nad towarzyszów; ale ci także starali się ich doścignąć i składało się to na całość tak piękną, żem jej podobnej nigdzie oprócz Paryża nie widział. Stosunkowo baletniczki główne nie równały się z tancerzami, ale miały przymiot, który w paryskich tancerkach jest rzadki: młodość, wzrost piękny i cerę." [43] Pierwszy raz ujrzała ich Warszawa 24 września 1785 r. w *Hillas i Sylvia.* Zespół ten został w trzy lata później wzmocniony tancerzami z nadwornego teatru hetmana Michała Kazimierza Ogińskiego w Słonimiu. Primabaleriną była Dorota Sitańska. Wystawiono balety w konwencji komicznej, tragicznej i heroicznej, a ulegając wpływom mody orientalnej wprowadzono również tematykę turecką i chińską. Niekiedy komponowano balety wiążące się treścią z operą. Do nich należał wystawiony w wilię urodzin króla, 16 stycznia 1790 r., epilog do opery Paisiella *Pirro* w układzie sławnego baletmistrza Daniela Kurtza. [44] Publiczność

[41] *Rozrywka w smutku czyli Piosnki i aryje roku 1794,* cyt. za: M. Rulikowski, *Co wiemy i czego nie wiemy o „Krakowiakach i góralach",* Program Państwowego Teatru Narodowego im. Wojska Polskiego, Warszawa 1950.

[42] M. Klimowicz, *Początki teatru Stanisławowskiego,* s. 352—353, relacja Heinego z 23 V 1767.

[43] F. Schulz, *op. cit.,* s. 622.

[44] J. W. Gomulicki, *Kiedy powstał i co przedstawia obraz „Wnętrze Teatru Narodowego",* „Pamiętnik Teatralny", R. XV, 1966, z. 1—4, s. 95—96.

najbardziej gustowała w przedstawieniach o wątkach mitologiczno-erotycznych, takich jak *Tyrsus i Chloryda, Acis i Galatea,* a także w bajkowo-fantastycznych inscenizacjach baletów, pokazywanych na scenie teatru Na Wodzie w Łazienkach. W jednym z nich, pt. *Kleopatra,* „okręty światłem rzęsistym w kolory iluminowane rozpoczęły bitwą na wodzie, dwaj rzymscy wodzowie walczyli z sobą..." [45] Sceny z tego spektaklu uwiecznił w swej twórczości Jan Piotr Norblin.

Aktorzy i publiczność

Wydatki na teatr były olbrzymie i pomimo subwencji króla Stanisława Augusta dyrekcja stale borykała się z trudnościami finansowymi. Deficyt powiększała też nieliczna początkowo frekwencja na spektaklach. Niełatwo było zapełnić teatr podczas płatnych przedstawień. W 1766 roku: „W środę pytał król podczas komedii, jak do tego doszło, że jest tak mało widzów, szczególnie na parterze. Na to mu odpowiedziano, że z powodu ceny biletów, ponieważ dawniej wstęp był bezpłatny. «Dziwię się jednak — ciągnął król — że szlachta, której spora liczba powinna tu być, nie chodzi do teatru.» «Ta jeszcze mniej przywykła do płacenia aniżeli mieszczanie, poza tym może ona swe pieniądze ulokować na wsi, zamiast wydawać je na coś dotąd niebywałego» — odpowiedział śmiałek." [46] Najtrudniej było ściągnąć publiczność na parter. O powodzeniu sztuki decydowały jeszcze loże, czyli dwór. Nie pomagały zabiegi króla i arystokracji. Książę Adam Czartoryski czy Ksawery Branicki wchodzili do „cyrkułu" mieszczan, „pozostali więc prawie sami pomiędzy kilkoma prostymi ludźmi". Zagadnienie klasowych „cyrkułów" przestało istnieć w nowym teatrze.

Również przez prasę usiłowano zachęcić publiczność do bywania w teatrze, zapowiadając atrakcyjne przedstawienia: „Arlekin rodzący się z jajka. W pierwszym akcie pokaże się wschód słońca, za którego przyczyną Arlekin z jajka wychodzi i poleci w powietrze. W drugim akcie następują siedmiorakie przebierania Arlekina nieustanne, w których będzie śpiewał pioseneczki śmieszne i arie z muzyką, będzie wywijał chorągiewką, będzie tańcował taniec angielski. W trzecim akcie będzie wielka transformacja, w której pokaże się teatr cały iluminowany nowym i dziwnym sposobem." [47] Dla uzyskania pełnej widowni łączono polskie komedie z przedstawieniami baletowymi. Jednak niewyrobiona publiczność 14 października 1775 r. zażądała wycofania komedii Josepha Pauersbacha *Indiańska wdowa,* chcąc oglądać jedynie balet. [48] Nieliczne tylko grono gustowało w widowiskach teatralnych. Przeważnie pokazywano się na spektaklach ze względu na osobę króla, który był wielbicielem teatru.

Już w pierwszym okresie działalności Teatru Narodowego pojawiają się próby wychowania niesfornej publiczności, która na widowni zachowywała się bezceremonialnie. Bohomolec na łamach „Monitora" starał się wytłumaczyć szlacheckim

[45] „Gazeta Narodowa i Obca", 1791, nr 73 z dn. 10 IX.
[46] M. Klimowicz, *Początki teatru Stanisławowskiego,* s. 327.
[47] „Gazeta Warszawska", Suplement do nru 17 z 28 lutego 1784 r.
[48] L. Bernacki, *op. cit.,* t. II, s. 251; K. Wierzbicka, *Życie teatralne w Warszawie za Stanisława Augusta,* Warszawa 1949, s. 119.

i mieszczańskim widzom, aby powstrzymywali się przynajmniej od głośnych rozmów podczas akcji sztuki. „Nie wspominam tych spektatorów, którzy podczas komedii tam się śmieją, gdzie się cale przeciwny efekt wyraża, i klaskają pod ten czas rękami, kiedy rzecz tego nie wyciąga, ci albowiem nie tak dla próżności to czynią, jak z niedostatku dobrego gustu, nie widząc, gdzie czego zażyć potrzeba." [49] Starano się także skłonić widzów, by nie wygwizdywali aktorów, gdy nie uda im się rola, i na odwrót, by nie rzucali pieniędzy na scenę, gdy występ się podobał. Najtrudniej było wychować przybywających licznie na przedstawienia magnatów. Tymczasem płacąca za bilety publiczność poczęła słusznie domagać się swych praw. Już w memoriale ze stycznia 1765 roku August Moszyński proponował: „Trzeba, by Wasza Królewska Mość raczył godzinę pewną oznaczyć na rozpoczęcie spektakli, bez czego nikt z mieszczaństwa więcej tu nie przyjdzie." Spóźnienia króla niechętnie przyjmowała także arystokracja i kiedyś po półgodzinnym czekaniu Borch, wojewoda inflancki, zaproponował rozpoczęcie przedstawienia. „Na co wielu ludzi ze wszystkich stron zaczęło klaskać i pomysł jego publicznie chwalić. Natychmiast wyskoczył książę podkomorzy i wzywał go grzecznie, aby nie wywoływał skandalu i pozwolił zaczekać jeszcze kwadrans. Ów jednak uznał to za niemożliwe i dodał, że nie król, a publiczność opłaciła przedstawienie. Kurtyna już się podnosiła, kiedy wszedł król i cała kłótnia ucichła." [50]

Dyrekcja teatru miała stale wiele trudności z organizowaniem zespołu aktorskiego. Dużo też było kłopotów z obsadzeniem ról w pierwszej komedii polskiej *Natręci*. Zaangażowano do niej dwie amatorki, Antoninę Prusinowską i Wiktorię Leszczyńską, a później jeszcze Radziejewską, Pawlikoską i Czenpińską. Tylko ta ostatnia pochodziła z zasłużonej rodziny mieszczańskiej, pozostałe zaś były szlachciankami, które dla teatru opuściły swych mężów. Szanujące się panny odpowiadały odmownie na propozycje pracy aktorskiej. Tak postąpiły obie przystojne panny Gaudzickie, Maria i jej zamężna siostra, Franciszka Barssowa. Gwałtowna propaganda zawodu aktorskiego w „Monitorze" nie dała rezultatów. Udało się jednak pozyskać dla sceny kilka talentów. [51]

Do najlepszych i najbardziej lubianych przez warszawską publiczność należał Karol Świerzawski, który z woźnego sądowego stał się znakomitym aktorem komicznym. Zdolniejszy od niego, ale mniej popularny, był dawny dworzanin prymasa Podoskiego, Kazimierz Owsiński, doskonały zarówno w rolach dramatycznych, jak i komicznych. Świerzawski przypadł więcej do gustu współczesnej publiczności, gdyż „był prawdziwym polskim aktorem, który żadnych obcego narodu charakterów przyjąć nie umiejąc, dawnych i każdego stanu Polaków tak naturalnie, dobitnie i rzetelnie wystawiał, że nie żadną kopią, ale prawdziwym w każdym rozumieniu był oryginałem". [52] Grywał zresztą role ojców, dawnych Polaków, podstarościców. W rolach dramatycznych i lirycznych wywoływał jednak niezamierzoną wesołość u publiczności.

Trzeba było ogromnego wysiłku, aby z tej niesfornej zbieraniny aktorów wykrzesać talenty i utworzyć zdyscyplinowany zespół. Ostry regulamin zwalczał nieposłu-

[49] S. Ozimek, *Udział „Monitora" w kształtowaniu Teatru Narodowego, 1765—1785*, Wrocław 1957, s. 77.
[50] M. Klimowicz, *Początki teatru Stanisławowskiego*, s. 328.
[51] Tamże, s. 314 i 317.
[52] W. Bogusławski, *Dzieje Teatru Narodowego*, Warszawa 1965, s. 302.

szeństwo, pijaństwo, publiczne awantury, spóźnianie się na przedstawienia i zrywanie kontraktu bez wypowiedzenia, wyznaczając wysokie kary pieniężne. Usiłowano także zlikwidować nawyki aktorskie, typowe dla fars i improwizacji w komediach *dell'arte*: „Kto by się ważył podczas repetycji lub komedii przydawać, ujmować lub odmieniać słowa albo też gesta, które nie są podczas repetycji aprobowane, będzie karanym wytrąceniem z pensji miesięcznej czerwony złoty jeden." [53] Pensje aktorów polskich były znacznie niższe aniżeli cudzoziemskich. Aktorkom płacono 150—200, a najlepszym aktorom tylko 87 dukatów rocznie. W początkowym okresie mieszkali oni wszyscy razem na Krzywym Kole, a stołowali się u Ossowskiego. Nie cieszyli się najlepszą opinią w sferach mieszczańskich ze względu na niezbyt stateczne prowadzenie się aktorek. Zresztą wszyscy byli ustawicznie w tarapatach finansowych. Po zamknięciu teatru polskiego Świerzawski poprosił króla o posadę trefnisia i otrzymał stałą pensję.

Sytuacja aktorów poprawiła się znacznie po wznowieniu przedstawień, a zwłaszcza po r. 1778, kiedy to Wojciech Bogusławski wstąpił do teatru warszawskiego. W tym zespole zabłysła najwybitniejsza aktorka polska czasów Oświecenia, Agnieszka Truskolaska. Piękna, pełna wdzięku, już w trzynastym roku życia rozpoczęła karierę sceniczną, a potem była starannie szkolona przez swego męża, zawodowego aktora. Sławę zyskała rolą tragicznej żony obłąkanego Bewerleja, którego znakomicie grał Owsiński. Truskolaska, obdarzona też pięknym głosem, występowała z powodzeniem w operach, m. in. wraz z Kazimierzem Owsińskim w *Sługa panią* Pergolesiego.

Nieliczni tylko z aktorów przechodzili przez szkołę zawodową. Do nich należała Barbara Sierakowska i Jakub Hempiński, którzy otrzymali w Rydzynie księcia Sułkowskiego przygotowanie dramatyczne, grając i ucząc się w tamtejszym teatrze dworskim. Sierakowska posiadała duży talent komiczny i grała zwykle nieporównanie role starych zalotnic.

Szkoleniem aktorów zajmował się również wielki miłośnik teatru, autor kilku komedii, a zarazem teoretyk sztuki dramatycznej, książę Adam Kazimierz Czartoryski. Uczył on aktorów poprawnej dykcji, korygował ekspresję ruchów itp. Najwięcej ceniono wówczas naturalność gry i zespolenie akcji z mimiką. Jak określił Czartoryski, „należy czy aktorowi, czy aktorce tak się przemienić w osobę, którą reprezentuje, tak zbliżać się do prawdy, tak przejąć ton, gesta, ruszenia wiekowi jej, stanowi, okolicznościom, w których się naówczas znajduje, poruszeniom, które czuje, przyzwoite, żeby spektator omamiony aktora wcale zapomniał, a o osobie tylko udanej myślał." [54]

Każdy aktor specjalizował się w określonym typie ról i nie miał wielkiego wyboru dla swej gry aktorskiej. Amant, subretka, ojciec komiczny, podstarzała zalotnica — oto typy występujące często w komediach. Komedie okresu Oświecenia chętnie przeciwstawiały sobie w różnych sytuacjach zwolenników ubioru polskiego i zagranicznego. Pozytywni bohaterzy w początkowym okresie występowali zazwyczaj w stroju cudzoziemskim, a w czasie Sejmu Czteroletniego powró-

[53] K. Wierzbicka, *Źródła do historii teatru warszawskiego od r. 1762 do 1833*, cz. I: *Czasy Stanisławowskie*, Wrocław 1951, s. 101.

[54] A. K. Czartoryski, Z *przedmowy do „Panny na wydaniu"* cyt. za: *Teatr Narodowy 1765—1794*, Warszawa 1967, s. 142.

cili do kontuszów i żupanów. Sztukę aktorską w Warszawie dodatnio oceniali współcześni znawcy: „Polacy mają od natury daną lekkość ruchów, zręczność, wzrost w ogóle piękny i figury dobre [...], nie wpadając w przesadę języka i ruchów [...], zachowują powagę i szlachetność wyrazu, która nie wyłącza ognia i siły." [55]

Ale jedynie Bogusławski, Owsiński i Truskolaska byli tak wszechstronni, by grać z powodzeniem i tragiczne, i komiczne role. Śpiewali również w polskich operach, jak i niektórzy inni aktorzy tych czasów, tj. Jakub Hempiński, rywal Owsińskiego, i Petronela Drozdowska. Do znakomitości sceny należała Magdalena Jasińska z Łazańskich, która przybyła z nieświeskiego teatru Radziwiłła, oraz Dominik Kaczkowski, skrzypek i tenor.

Warszawska publiczność poznała też wielu niezłych, pośledniejszych aktorów i śpiewaków włoskich, francuskich i niemieckich. Najbardziej podobali się Włosi. Jerzemu Forsterowi przypadła do gustu Francesca Bocarella śpiewająca w *Il Convito* Cimarosy. W latach osiemdziesiątych faworytkami publiczności były: Caterina Bonafini i Luigia Todi. Natomiast Schulz, zgodnie z opinią współczesnych słuchaczy, cenił sopranistkę Benini: „Chociaż już dobrze trzydziestoletnia, łączyła z pięknym głosem i bardzo wyrazistymi rysami twarzy wiele smaku i szlachetności w postawie i ubiorze, co u włoskich śpiewaczek rzadko. Stała się też wprędce ulubienicą publiczności, prawie przy każdym przedstawieniu sypały się na parter wiersze ku jej czci włoskie i polskie." [56]

W ostatnich latach Rzeczypospolitej widownia teatru pełna była zazwyczaj publiczności. Widzowie przychodzili nie tylko ze względu na osobę króla, który bardzo często bywał na spektaklach. Stanisław August zajmował wówczas lożę pierwszego piętra, a loże sąsiadujące — jego piękne arystokratyczne wielbicielki. Na parterze gromadzili się oficerowie, urzędnicy z domów magnackich oraz średnia szlachta. Służba dworska i mieszczanie udawali się do lóż drugiego piętra. Najznakomitsza publiczność przybywała jednak na przedstawienia galowe. Wśród niej uwagę największą zwracały panie, które „śmiało do najpiękniejszych, najwytworniejszych, najgustowniejszych, umiejących się pokazać w świecie należą; owych wieczorów, w świetle tysiąca świec woskowych, urok ich i wdzięki trzykroć jeszcze były bardziej czarującymi niż zwykle. Ruchliwość mężczyzn, w najpiękniejszych strojach, w srebrem wyszywanych kurtkach, w złocistych pasach, przy brylantami wysadzanych karabelach i szpadach, krążących jakby w upojeniu i oślepieniu (raczej niż z weselem i swobodą) po lożach i wrzawliwiej prowadzących rozmowę niż kiedykolwiek, dowodziła, że czarodziejki z lóż na parter urok swój wywarły, że osiągnęły cel i potrafiły odciągnąć uwagę od sceny i artystów." [57]

Zaznaczyła się wówczas, a zwłaszcza w czasie Insurekcji, zmiana pozycji społecznej aktorów polskich, którzy czynem potwierdzili głoszone ze sceny hasła. Młodsi, jak Rutkowski, który wsławił się walkami na Starym Mieście, wstąpili do wojska. Rosjanie ze szczególną zaciętością zniszczyli kamienicę Latoura w dniu 17 kwietnia 1794 r., gdyż była ona zamieszkała przez aktorów „i inne podejrzane im zawsze z głośnego na teatrze patriotyzmu osoby". Bogusławski

[55] F. Schulz, *op. cit.*, s. 620.
[56] Tamże, s. 623.
[57] Tamże, s. 515.





BIBLIOTEKA PUBLICZNA

pracował pilnie w Komisji Indagacyjnej. U aktorów wzrosło znacznie poczucie godności osobistej i potrzeba poszanowania zawodu. Wyraziło się to m. in. w terminologii teatralnej. Wyraz „komediant" o znaczeniu pejoratywnym ustąpił miejsca tytułowi „aktor narodowy" cieszącemu się należytym szacunkiem. Tomasz Truskolaski poczuł się obrażony, gdy ochotnik Antoni Kowalski „zwrócił się do niego ze słowami: czy mam honor mówić z p. Truskolaskim komediantem?", i spowodował wielodniowe aresztowanie śmiałka.[58] A tak niedawno jeszcze trzeba było interwencji królewskiej, aby władze duchowne pozwoliły pochować aktorkę w poświęcanej ziemi.

Muzykowanie i koncerty

Warszawa miała wspaniałe tradycje muzyczne, przerwane nieszczęśliwie przez wojny i niefortunne wydarzenia polityczne. Już w pierwszej połowie XVIII wieku wiele muzykowano w stolicy. Klimat dworu saskiego sprzyjał tym zamiłowaniom. Na Zamku z okazji imienin lub urodzin króla czy królowej wykonywano uroczyste kantaty. Słuchanie tej muzyki dostępne było jedynie ograniczonemu kręgowi dworskiemu. Natomiast oratoriami religijnymi, komponowanymi przez Hassego, mogli się delektować wszyscy, gdyż wystawiane były w kościołach Św. Jana, Augustianów, Reformatów i Kapucynów. Udział w nich brała kapela królewska i soliści. Najlepszych muzyków ściągano z zagranicy, ale i Warszawa dostarczała nowych członków zespołom królewskim. Uczono muzyki, śpiewu i tańca w szkołach, a także w bursie muzycznej przy kolegium jezuitów. Nauka w niej trwała sześć lat. Po trzech pierwszych latach chłopcy przekazywali już swą wiedzę innym i grali w orkiestrze. Otrzymywali całkowite utrzymanie, w zamian za co obowiązani byli śpiewać w chórze i grać w orkiestrze podczas nabożeństw i uroczystości szkolnych. Zakres nauczania obejmował teorię i grę na instrumentach, szkolenie głosu oraz opracowywanie literatury instrumentalnej i wokalnej na lekcjach indywidualnych i zespołowych. Z bursy jezuickiej wyszło również wielu późniejszych nauczycieli domowych muzyki.[59]

Mieszczanie gromadzili się też w bractwach muzycznych przy kolegiacie Św. Jana i kościele Św. Ducha ojców paulinów. Członkowie ich posiadali przeważnie mierne wykształcenie muzyczne, uprawiali bowiem swój zawód *non arte, sed usu.* Ale grając zwykle ze słuchu ocalili od zapomnienia utwory dawnej muzyki świeckiej, tańce ludowe i piosenki.[60]

Powoli rozwijało się również zamiłowanie do muzyki poważnej, symfonicznej i kameralnej. W latach osiemdziesiątych koncerty odbywały się nie tylko w zamkniętych kręgach dworu królewskiego i magnackich. Dla szerszej publiczności udostępniono występy w pałacu Radziwiłłowskim, w Teatrze Narodowym na placu Krasińskich, a także w pałacu na Woli, gdzie koncertowała kapela znanego muzyka, księcia Marcina Lubomirskiego. Repertuar ich obejmował utwory wokalne

[58] W. Tokarz, *Insurekcja warszawska,* Warszawa 1950, s. 168, 332; tenże, *Warszawa przed wybuchem powstania,* Kraków 1911, s. 69.
[59] J. Prosnak, *op. cit.,* s. 42—52.
[60] Tamże, s. 52—64.

Aktorowie J. K. Mći

KOMEDYOW POLSKICH

będą Repreſentowali 26 Liſtopada

NATRĘTOW

KOMEDIA W TRZECH AKTACH

Z DWIEIMA BALLETAMI

Początek będzie o 6. godzinie
y będzie ſię płacić.

1. Billet do Cirkułu	tynf.	9.
1. Billet do pierwſzego piętra		9.
1. Billet do loży w Parterze w Cirkulu Nro. II.		9.
1. Billet do drugiego piętra		4.
1. Billet do Łoży w Parterze		6.
1. Billet do Parteru	ſzoſtakow	7.
1. Billet do trzeciego piętra	ſzoſtakow	5.

Billety od południa będą przedawane w operalnyi

BIBLIOTEKA PUBLICZNA M. ST. WARSZAWY 1907

115

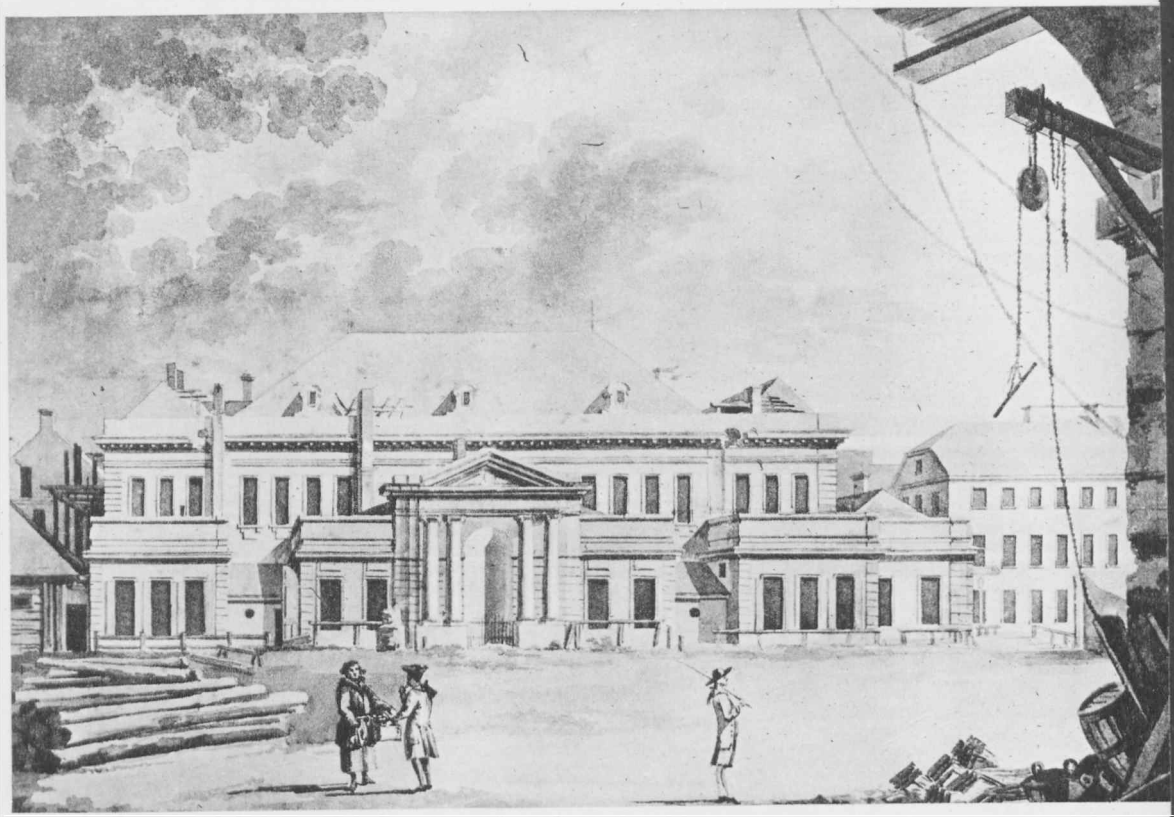

116



119



120

i instrumentalne, symfonie i koncerty. Bardziej skromny program oferowali słuchaczom przyjezdni muzycy: „Pan Dominik Domenikini z małżonką swoją w towarzystwie pana Andreani, niedawno przybywszy do tej stolicy, żeby mieć honor swoimi talentami upodobać się prześwietnemu *publico*, starać się będą jego bawić różnym śpiewaniem, jako to: ariami seria, buffa i duetti, które będą wszyscy akompaniować dwoma instrumentami włoskimi, nazwanymi mandolino i guitarra." [61] Przyjeżdżały także do Warszawy większe zespoły. W r. 1786 koncertowała kapela z Lublina, w kilka lat później przybyła wielka stutrzydziestoosobowa orkiestra i chór rosyjski.

Najlepszy zespół muzyków i solistów posiadała kapela królewska, dyrygowana przez Gioacchino Albertiniego, Jana Stefaniego, Gaetaniego (prawdziwe jego nazwisko brzmiało Kajetan Majer) i innych. Oprócz instrumentalistów również wokaliści uświetniali dworskie koncerty, m. in. znakomita śpiewaczka Caterina Bonafini. Orkiestra posiadała już liczny skład. W roku 1784 był on następujący: 1 dyrygent *maître de chapelle*), 3 pierwszych skrzypków, 4 drugich, 1 altowiolista, 3 wiolonczelistów, 2 kontrabasistów, 3 flecistów, 2 oboistów, 2 klarnecistów, 2 fagocistów, 2 waltornistów, 2 trębaczy i 1 kotlarz. Opis ten dotyczy kapeli królewskiej. W koncertach brali udział słynni soliści. Był wśród nich cieszący się dużym powodzeniem w Warszawie pianista i kompozytor wiedeński Józef Woelfl, znakomity skrzypek czeski Jan Ladislav Dussek, doskonały wiolonczelista i kontrabasista węgierski Józef Kampfer, słynny mandolinista Federico Fiorillo i wielu innych. Popisywano się również grą na innych, zapomnianych już nieco instrumentach, jak *viola da gamba, viola d'amore,* harmonijka szklana czy rożek basetowy.

Repertuar koncertów, odbywających się na Zamku i w Łazienkach, był bogaty. Słuchano utworów klasyków wiedeńskich, czeskich, włoskich, francuskich, między innymi symfonii Cimarosy, Glucka, Gosseca, Hassego i innych. Poznano najnowsze koncerty klawesynowe Mozarta, wyjątki z opery Glucka *Ifigenia* oraz liczne oratoria.[62] Wśród nich wielkie wrażenie na słuchaczach wywarło wykonane w czasie Wielkiego Postu 1784 r. w sali Srebrnej na Zamku: „Oratorium o Męce Pańskiej sławnego poety Metastazego, pełne myśli i wyrazów, rozum i serce czcią i czułością ku tej tajemnicy unoszących, w muzyce równie mocnej, jak harmonicznej pierwszego w Europie kompozytora JPana Paesiello." [63] Partię solową śpiewała żona kompozytora, słynna artystka, Luigia Todi.

Wzorem dworu królewskiego i zgodnie ze zwyczajami tych czasów, koncerty orkiestrowe i kameralne uświetniały różne uroczystości, a także bale w rezydencjach magnatów. Już od czasów saskich wielu z nich utrzymywało stale własne kapele dworskie. [64] Często w pałacach rozbrzmiewała również innego rodzaju muzyka, mianowicie taneczna. Przenika ona w tym okresie do muzyki poważnej w uszlachetnionych formach mazura, krakowiaka, a przede wszystkim poloneza. Te ostatnie tańce komponował książę Michał Kleofas Ogiński w nowy sposób, tak by nie tylko były one rozrywką, ale by zachowały swój narodowy charakter, łącząc w sobie śpiew-

[61] „Gazeta Warszawska" Suplement z 4 lipca 1786 za: J. Prosnak, *op. cit.*, s. 207.
[62] J. Prosnak, *op. cit.*, s. 203—213.
[63] „Gazeta Warszawska", nr 29 z 10 kwietnia 1784.
[64] A. Szweykowska, *Kapele magnackie i szlacheckie*, „Muzyka", R. VIII, 1963, z. 2, s. 89 i n.

ność, wyraz, smak i uczucie. [65] W pałacu Ogińskich przy Krakowskim Przedmieściu często odbywały się koncerty. Upodobanie do muzyki w sferach wyższych było powszechne. Grywano, a także uczęszczano na koncerty odbywające się na przyjęciach prywatnych. Należało to do dobrego tonu, choć niewątpliwie znajdowano w tym również przyjemność. Czasami przyjęcia uświetniały występy znanych solistów, skrzypków czy pianistów, innym razem muzykowała rodzina gospodarzy, jak np. u księżnej Heleny Radziwiłłowej, w domu pułkownika wojsk koronnych Jana B. D'Aloy czy u Czempińskich na Starym Mieście.

Muzyka stanowiła część koniecznego wychowania możnych, ale nie była to przeważnie umiejętność pogłębiana: „wielu ostatnich grywało dobrze na różnych instrumentach. Ale nadzwyczajnego nic sobie nie przypominam, może z tego powodu, że polski charakter zanadto jest płochy, a życie nadto rozerwane, by mogli czas i cierpliwość znaleźć na wykształcenie jakiegokolwiek talentu". [66]

Ludność Warszawy lubiła muzykę i chętnie uczęszczała na publiczne koncerty. Na nich mogła do woli słuchać tańców, pieśni i piosenek w wykonaniu zespołów i kapeli muzycznych. Koncerty te połączone były zazwyczaj z zabawami ludowymi, ponieważ „to, co się w towarzystwie śpiewa, a po czym tańcować można, najwięcej do smaku polskiego przypada". [67] Na tych improwizowanych zabawach najchętniej tańczono tańce polskie. Słuchano również dawnych form muzycznych, menuetów, anglezów, węgierskich landlerów i sztajerów oraz ulubionych kozaczków. Członkowie tych dość miernych zespołów muzycznych pochodzili przeważnie z klasy mieszczańskiej. Szlachta, w której bardzo wolno przełamywały się opory w stosunku do oceny zawodu aktora, stroniła od muzyki, uważając, że „piszczkiem za pieniądze być jest rzecz wszeteczna i szlachcicowi nie przystoi". [68]

[65] I. Bełza, *Michał Kleofas Ogiński*, Warszawa 1967, s. 18.
[66] F. Schulz, *op. cit.*, s. 508.
[67] Tamże, s. 618.
[68] J. Prosnak, *op. cit.*, s. 213.

UROCZYSTOŚCI DWORSKIE I POLITYCZNE

Ulice Warszawy czasów Oświecenia oglądały ostatnie z wielkich widowisk politycznych, ściśle związanych z feudalnym porządkiem społecznym życia miejskiego i istnieniem szlacheckiej Rzeczypospolitej. Uroczyste wjazdy królewskie z okresu panowania Augusta III zostawiły trwałe wrażenie we wspomnieniach widzów. Kitowicz przy opisie uroczystego obchodu rocznicy Konstytucji 3 Maja w 1792 r. nie mógł się powstrzymać od porównania, że „w ogólności rzecz biorąc, ta parada, acz dosyć świetna, dużo atoli nie dochodziła parady Augusta III, gdy ten monarcha publiczny wjazd czynił".[1] Na tej obserwacji zaważyła niechęć, jaką proboszcz z Rzeczycy wraz z częścią szlachty żywił zawsze dla króla „Ciołka". Stanisław August umiał doskonale reżyserować wielkie widowiska publiczne dla propagandy swych celów politycznych, nie zawsze miał tylko możliwości przeznaczenia na nie większych sum. Jednakże dla porównania przyjrzyjmy się niektórym z saskich uroczystości politycznych, aby na ich tle ukazać widowiska okresu Stanisławowskiego. Interesuje nas tu przy tym przede wszystkim ta część uroczystości, którą mógł obejrzeć przeciętny widz stojący w tłumie na chodniku czy wyglądający z okna mieszczańskiej kamieniczki. Należy bowiem pamiętać, że w tym okresie wszelkie uroczystości polityczne chcieli i usiłowali obejrzeć wszyscy spragnieni rozrywek mieszkańcy Warszawy.

Wspomniany przez Kitowicza wjazd Augusta III do Warszawy w 1734 r. został utrwalony w rękopiśmiennym opisie naocznego świadka i na obrazie Mocka. Już od 8 rano kawalkaty konne senatorów, dygnitarzy, urzędników i posłów cudzoziemskich zjechały się do pałacu królewskiego na placu Saskim, podczas gdy większe orszaki magnackie i pochód mieszczan czekał z chorągwiami na Wielopolu, a królowa *incognito* przejechała do Zamku. Od 10 rano zaczął się pochód od Wielopola przez dziedziniec Pałacu Saskiego i Krakowskie Przedmieście aż do katedry Św. Jana. Za oddziałem kawalerii maszerowała artyleria pod dowództwem królewicza Karola, a następnie: „Cechy we wszystkim moderunku [...] i trębaczów dwóch, kupczykowie na koniach pod barwą w sukniach szarych ze sztandarami swymi i szpadami gołymi. Znów trębaczów dwóch, kupczykowie konno i barwisto w koletach z granatowymi wyłogami, z pałaszami dobytymi." Za cechami i konfraternią kupiecką szły kawalkaty magnatów polskich i trzy kompanie wojskowe. Dalej „Imć pan podskarbi koronny Moszyński *numismata coronationis* między ludzi rzucający, przy którym po bokach dwóch paziów królewskich jechało worki z pieniędzmi onemu podawający. Książę Sanguszko, marszałek litewski, z laską diamentami sadzoną, Najjaśniejszy K[ról] Imć na koniu, około którego 6 Turków i 24 oficyjerów od granmuszkieterów szło." Starannie wyreżyserowane było oddawanie strzałów armatnich z dział stojących pod Zamkiem nad Wisłą. Najpierw wystrzelono czterdzieści razy, gdy król wyjechał ze swego pałacu, następnie gdy otrzymał klucze od magistratu warszawskiego i wysłuchał mowy prezydenta Loupiego

[1] J.Kitowicz, *Pamiętniki do panowania Stanisława Poniatowskiego*, Poznań 1845, t. I, s. 250.

z odpowiedzią biskupa krakowskiego przy bramie tryumfalnej, przedstawionej przez Mocka na Krakowskim Przedmieściu. Trzeci raz wystrzelono z armat, gdy król dojechał do katedry, zsiadł z konia i został przyjęty przez duchowieństwo. Reszta uroczystości odbyła się w samej katedrze, gdzie królowa przeszła z Zamku. „Po odprawieniu tychże ceremoniji na pokoje zamkowe z kościoła wszyscy się udali, gdzie przy trzech stołach sporządzonych obiadowano przy spełnieniu zdrowia Królewstwa Imciów za każdym razem 9, innych zaś panów 3 razy z armat bito. [...] Wieczorem miasto i przedmieścia iluminowane były [...]. Gdzie pospólstwo przy ustawicznych głosach: *Vivat Augustus Rex,* wielkie oświadczało ukontentowanie." [2]

Za czasów saskich każdy sejm obradujący w Warszawie stawał się dla mieszkańców stolicy okazją do ukazania świetności dworu królewskiego. „Pierwszego dnia sejmu, gdy król jechał z pałacu swego do Zamku, panowie i posłowie ziemscy, zebrani wprzód na Zamku na godzinę naznaczoną od marszałka wielkiego kor., wysyłali karety swoje z liberyją na asystencyją królowi. Ulica Krakowska od pałacu królewskiego do Zamku tego dnia była oczyszczona ze wszystkich śmieci, barłogów i błota, a jeśli była posucha, tedy wodą skropiona i miotłami umieciona. Nicht tego dnia nie mógł przejeżdżać tą ulicą, póki się wjazd królewski nie odprawił." Po bokach jezdni ustawiano na tę okazję wojskowych i liberyjną służbę królewską. Karety otoczone przez hajduków, pajuków, konnych paziów i lokai w liberiach jechały według dostojeństwa ich właścicieli, im godniejsi — jak posłowie cudzoziemscy, prymas czy marszałek wielki koronny — tym bliżej karety królewskiej. Tę poprzedzała kawalkata konnych wojskowych i urzędników. „Kareta w sześć koni, pospolicie izabelowatych [brunatno-żółtych], wielkich cabanów, hiszpańskich ogierów zaprzężona. Kareta królewska, od złota i tafli kryształowych ze wszystkich stron blask wielki sprawująca, dawała widzieć całą osobę króla z przodu i z tyłu, siedzącego w karecie samego jednego, który osobą swoją ogromną i dziwnie wspaniałą złotu samemu przydawał okazałości. Za karetą paradowało na koniach 36 drabantów lub karwanierów [strażników przy karetach] w bogatych koletach, z jednym oficyjerem na froncie i z drugim w odwodzie. Na widok takiego wjazdu pełno było po oknach wszystkich kamienic i na ulicy spektatora." Król jeździł na sejm, dopóki ten nie został zerwany, jednakże już bez takiej parady jak w dzień otwarcia. „Ulica Krakowska nie była już więcej żołnierzem obsadzona, jeżdżono nią i tylko w samę godzinę przejazdu królewskiego dawali węgrzy marszałkowscy baczność, aby na niej nic nie zastępowało." [3]

Uroczystości dworskie odbywały się za Sasów z różnych okazji. Np. 26 lipca 1735 obchodzono uroczyście imieniny Anny Iwanowny, bratanicy Piotra I, carowej rosyjskiej. Po igrzyskach wojskowych odbył się bal dworski, w czasie którego „po rozpoczęciu kolacyi zapalono przepyszną iluminacyją, w której cały plac gonitw i obie ulice ogrodowe oświecone były piętnastą tysiącami lamp. Filary, w których w czasie karuzelu pierścienie były zawieszone, unosiły orły rosyjskie, całe w ogniu. W środku między ulicami jaśniała litera A, orły rosyjskie w ogniach rozmaitych. Niemniej i ogrodzenie szranek sośniną wykładane w świetle kilku tysięcy lamp

[2] Rkps Ossol. 348 II, k. 159—160; I. Turnau, *Źródła pisane do historii polskiej odzieży XVI, XVII, XVIII i XIX wieku znajdujące się w rękopisach ossolińskich,* „Ze skarbca kultury", 1957, z. 1 (10), s. 28.

[3] J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III,* s. 539—541.

jaśniało." [4] Te iluminacje i starannie wyreżyserowane przejazdy króla do Zamku wspominano chętnie wśród starszych warszawiaków w okresie panowania Stanisława Augusta.

Koronacja nowego króla 26 listopada 1764 r. była jednym z wielkich widowisk dworskich. Stanisław August traktował ją jako pierwsze wystąpienie w kręgu krytycznej arystokracji i szlachty i niezmiernie starannie ją wyreżyserował. Oto jej opis z listu Marianny z Potockich Brühlowej pisanego do matki, wojewodziny kijowskiej, z 28 listopada: „Mam to szczęście [...] oznajmić, żeśmy szczęśliwie Pana Miłościwego ukoronowali. Był ubrany w bardzo piękny masce, kamizelecka krótka, srybrna lamowa, aftowana złotem, na to płaszcz do pół nogi takiż sam, buciki srybrne, jak u śpiwaków na teatrum; koloretka na szyi. Na głowie kapuza angielska, jak do konia, z piórami dwoma białymi, które spadali na włosy, i wielkie pióro czarne z klenotami; włosy rozpuszczone i fryzowane, a związane złotą wstążką z białym; tak wszed do kościoła; do twarzy mu było i wiedział sam o tym; obzirał się na wszystkie strony, kłaniał się damom i całe ceremonie uśmichał się; znać, że nie przymuszony był i na tronie siedział z miną wcale znajomą; ale mu w koronie nie tak pięknie jak w kapuzie po koronacji, to miał na swojej katance płaszcz czerwony z gronostajami." Pomimo trudności przebrnięcia przez straszną ortografię tej młodej arystokratki uderza czytelnika „prywatny" charakter tej relacji. Zauważyła ona także: „w dzień koronacji, jak król szed, nie wołali wiwat; to na drugi dzień byli komenderowani żołnierze bez broni, którzy zaczynali wiwat i bili, żeby wołali". [5] Większe zainteresowanie widzów wzbudził uroczysty pochód i wieczorna iluminacja miasta. Szlachta oburzała się na zlekceważenie przez nowego króla zwyczaju ubierania się po polsku na koronację, którego przestrzegali nawet obydwaj Sasi.

Ceremoniał hołdu od miasta Warszawy był również starannie wyreżyserowany. Magistrat wystąpił na czarno w długich perukach, sukiennych surdutach, aksamitnych spodniach i kamizelkach oraz jednakowych płaszczach z czarnego, jedwabnego grodeturu z atłasowymi listwami. Strój ten uzupełniały czarne, jedwabne pończochy i takież trzewiki skórzane, krawat koronkowy i czarny, gładki kapelusz. Zwolennicy ubioru polskiego sprawili sobie czarne delie i żupany oraz kołpaki sobole. Ławnicy i gminni mieli podobny strój, lecz z krótszymi płaszczami lub też bez nich. [6] Jak widać, magistrat nie po raz pierwszy użył czarnych, świadomie niemodnych już ubiorów, z okazji słynnej „czarnej procesji". Były one zapewne sprawione o ćwierć wieku wcześniej, na koronację Stanisława Augusta.

Pochód zaczynał się, według rozporządzenia marszałka wielkiego litewskiego Ignacego Ogińskiego, na dziedzińcu Saskim, maszerował przez Krakowskie Przedmieście ku ratuszowi Starego Miasta i tam ustawiał się w określonym porządku. Przedstawiciele magistratu udali się na Zamek. Zostali przyjęci na audiencji

[4] *Archiwum tajne Augusta II. Życie dworskie Polaków i Polek na dworze królów domu saskiego w Polsce i w Saksonii*, Wrocław 1843, s. 57—58.

[5] Tekst odkryty przez Kraszewskiego wydał ostatnio R. Kaleta, *Anegdoty i sensacje obyczajowe wieku Oświecenia w Polsce*, s. 17—18 i przypisy s. 285—287 (poprawiono ortografię oryginału).

[6] Ł. Gołębiowski, *Ubiory w Polsce od najdawniejszych czasów aż do chwil obecnych, sposobem dykcyonarza ułożone i opisane*, Kraków 1861, s. 62—63; AGAD, Stara Warszawa, nr 521 z 1764 roku.

u króla i później towarzyszyli mu, idącemu pod baldachimem we wszystkich insygniach władzy, do tronu ustawionego na Rynku przed ratuszem. Tam król odbierał klucze od miasta i przysięgę całego magistratu z prezydentem na czele.[7] Pochód przedstawicieli cechów i konfraterni kupieckich miał wyjątkowe walory widowiskowe. „Porządek chorągwi cechowych i kompanij kupieckich wynoszących ludzi 3800 był takowy: chorągiew piwowarów Niemców reprezentująca indzynierów, kolor zielony z pąsowym. Za nimi polska chorągiew piwowarska pod uniformą z dobytymi pałaszami. 2. Chorągiew rybaków w mundurze popielatym z czerwonym. 3. Chorągiew rzeźników w mundurze kafowym z pąsem. 4. Chorągiew stolarzów w mundurze niebieskim z karmazynowym. 5. Chorągiew stelmachów, ślusarzów i kowalów w mundurze granatowym z karabinami. 6. Chorągiew rymarzów po grenadiersku, mundur zielony z pąsowym. 7. Chorągiew rękawiczników, reprezentująca strzelców, w mundurze zielonym, szamerowanym złotem, z karabinami. 8. Chorągiew złotników i zegarmistrzów, reprezentujących infanteryją, mundur granatowy z białym, szamerowany złotem. 9. Chorągiew kuśnierzów, reprezentująca husaryją polską, kontusze niebieskie, żupany i czapki palie [tj. koloru żółtawego, słomkowego], wysokie z siwym barankiem, przyodziani z ramion lampartami. 10. Chorągiew polskich krawców i szmuklerzów, kontusze popielate z sznurkiem srebrnym, żupany karmazynowe. 11. Chorągiew krawców niemieckich, suknie zwierzchnie zielone, kamzolki pąsowe szamerowane złotem. 12. Chorągiew szewców polskich, suknie zielone ze złotem; takaż chorągiew szewców niemieckich. 13. Chorągiew miecznikow w żupanach pąsowych, reprezentująca kiryśników z zbrojach i szyszakach. 14. Kompania kupiecka polska, żupany niebieskie grodeturowe, kontusze palie z takimiż wyłogami, z sznurkiem srebrnym, czapki palie z czarnymi barankami, buty czerwone, w rękach dziryty. 15. Kompania kupców po niemiecku, mundur granatowy i palie z galonkami srebrnymi, kapelusze ze strusim piórem białym, patrontasze palie ze srebrem, ostrogi srebrne, sztandar aksamitny haftowany srebrem." Na zakończenie tego opisu wspomnieć należy o przebraniu trzech pozostałych kompanii kupieckich „w szwajcarskim stroju": „Przyłbice aksamitne niebieskie, szamerowane srebrem z piórami strusimi białymi, wysoko wyniesionymi i poza głowę spuszczonymi, włosy w tyle wstążką związane i w loki rozpuszczone, wkoło szyi kryzy wielkie muślinowe z hiszpańska, kamizelki niebieskie, sukienne, srebrem szamerowane, spodnie palie, pończochy białe jedwabne, ciżmy czarne z czerwonymi korkami, w rękach halabardy z kutasami niebieskimi, srebrem przerabianymi."[8] Kostiumy oficerów były jeszcze wspanialsze.

Na podstawie tego długiego opisu można sobie wyobrazić pochód przedstawicieli warszawskiego mieszczaństwa w papuzio-barwnych polskich lub zagranicznych strojach, naśladujących mundury wojskowe: inżynierów, artylerzystów, strzelców, grenadierów oraz husarię w lamparcich, czyli farbowanych króliczych skórkach, i bardziej już nowoczesną ciężką jazdę — kirasjerów. Ile kompleksów mieszczaństwa znalazło ujście w tych okazałych, najczęściej według szlacheckiej mody uszytych strojach, butach z barwnej skóry, zbrojach, szyszakach, z dzirytami, czyli krótkimi włóczniami, z bogatymi haftami i galonami złotymi. Marzenia mieszczan

[7] AGAD, Warszawa Ekonomiczne, nr 1208.

[8] Ł. Gołębiowski, *Ubiory w Polsce od najdawniejszych czasów aż do chwil obecnych, sposobem dykcyonarza ułożone i opisane*, s. 62—63.

o świetności feudalnej wyraziły się w ozdobności barwnego stroju i broni siecznej. Było to przecież naśladownictwo świetnych pochodów z epoki Wazów, Sobieskiego i Sasów, zachowanych w tradycji ludu warszawskiego, najpilniejszego ich spektatora. Nieliczne cechy poprzestały na broni palnej i skromniejszym ubiorze zagranicznym. Zamożniejsi kupcy warszawscy stali się wspaniałymi rycerzami z XVII wieku. Zrezygnowali z odświętnych mundurów kompanii kupieckich, używanych np. przy wjeździe Augusta III do Warszawy w 1734 r. Niezależnie od tego, czy stroje te wydobyto z zasobnych kufrów garderoby dziadów, czy też specjalnie je uszyto, przebranie to jest niezmiernie charakterystyczne jako ostatnie tego typu widowisko. W okresie dojrzałego Oświecenia zamożna i wykształcona burżuazja warszawska traci już ambicje zadziwiania pospólstwa barwnymi strojami, przypominającymi mundury husarii czy kirasjerów. Po upływie ćwierć wieku „czarna procesja" spędzi sen z powiek niejednemu magnatowi znającemu wypadki francuskie, a pospólstwo warszawskie wypędzi Rosjan i powywiesza zdrajców. Na razie jednak przebierali się wszyscy. Tak młodemu królowi, jak kupcom podobały się malownicze stroje „hiszpańskie" z XVI i początku XVII w. Zaciągnięto wiele pożyczek, aby podobać się wytwornym damom, czcigodnym małżonkom i „niestatkującym" dziewczętom, gęsto obsadzającym okna Krakowskiego Przedmieścia. U progu nowego panowania wszyscy liczyli na lepszą przyszłość.

Król przyszedł na Rynek Starego Miasta pod baldachimem niesionym przez sześciu rajców. Przed ratuszem była wystawiona wspaniała brama. Po przebraniu się w jednej z sal ratusza zasiadł on na przygotowanym tronie i wysłuchał przemówienia Jana Dulfusa. Po przemówieniach, oddaniu kluczy miasta i przysiędze wierności król nobilitował sześciu członków magistratu warszawskiego (prezydenta miasta Franciszka Withoffa, Michała Sacresa, Pawła Andrychiewicza, Jana Dulfusa, Antoniego Fryze i Kazimierza Czempińskiego) oraz czterech członków magistratu krakowskiego. Następnego dnia, 27 listopada, król udał się do kościoła Św. Krzyża na nabożeństwo dziękczynne. Przedstawiciele cechów i konfraterni kupieckich ustawili się wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia ze swymi kapelami. „Przez całe Przedmieście Krakowskie aż do pomienionego kościoła Św. Krzyża i na powrót aż do Zamku J. P. Wessel, jadący konno przed królem, jego pieniądze, umyślnie na ten akt bite, rozrzucał." [9] Wspaniała iluminacja Rynku z ratuszem i ważniejszych ulic, którą oglądał król, zakończyła uroczystości. Zdarzył się podczas niej przykry dla widzów wypadek. Przy Krakowskim Przedmieściu przed wjazdem na plac Saski Kazimierz Poniatowski wystawił bramę tryumfalną z orłem na szczycie. Z dzioba tego orła ciekło wino i ściągnęło tłumy widzów. Potrącili oni rusztowanie i z glinianej korony orła pociekła na ciekawskich gorąca smoła.[10] Niedoskonała technika oświetlania poszczególnych obiektów powodowała nieraz przykre wypadki.

W następnym ćwierćwieczu wielkie widowiska polityczne stają się rzadkie i często niemiłe. Do najbardziej uroczystych wjazdów należał, niestety, przejazd Repnina z pałacu Brühlowskiego na Zamek podczas sejmu w 1766 r. Przyjął on

[9] AGAD, Sucha Branickich, 91—112. Kronika Wielądka: *Dzieje Polski czyli przypadki znaczniejsze... 1764—1779*, k. 77—82.

[10] W. Gomulicki, *Opowiadania o Starej Warszawie*, Warszawa 1960, s. 404—405; AGAD, Warszawa Ekonomiczne, nr 1208.

ośmiu delegatów poselskich i przejechał z nimi w orszaku królewską ośmiokonną karetą dla uczestniczenia w obradach sejmowych.[11] Król mieszkał na Zamku, nie przyjeżdżał więc na obrady i nie mógł konkurować okazałym otoczeniem dworskim nie tylko z Repninem, ale i z licznymi magnatami polskimi. Wielką sensację wzbudził zwłaszcza wjazd księcia Karola Radziwiłła na Zamek królewski w karecie zaprzężonej w cztery duże niedźwiedzie, „które popłoch straszny zrobiły pomiędzy końmi od powozów pań i panów".[12]

Jedną z chętniej wspominanych uroczystości politycznych był wjazd na audiencję u króla posła tureckiego Sejida Numana-beja 25 sierpnia 1777 r. Podobne poselstwa zdarzały się w Warszawie za Sasów i nie obywało się zwykle bez konfliktów dotyczących ceremoniału. Ludność była zainteresowana egzotycznym widowiskiem: „Warszawa, na ten wjazd wysypawszy się, wszystkie miejsca, przez które pomieniony poseł przejeżdżał, tj. Krakowskie Przedmieście, dziedzińce Pałacu Saskiego i ulicę Mazowiecką gromadnie i ściśle napełniając, wszystkie też po drodze leżących pałaców i kamienic okna były pełne państwa i obywatelów." [13] Licznie zgromadzeni widzowie oglądali wspaniały orszak posuwający się w ustalonej kolejności: „1. Wicebrygadier z kawalerią narodową. 2. Masztalerze asystencji. 3. Dworzanie JKMci. [...] 7. Dwa konie wierzchowe tureckie pod posła. 8. Koniuszy drugi JKM. 9. Czausz JW. posła na koniu królewskim. 10. Tłomacz poselski. 11. Czterech oficjalistów prywatnych na koniach króla. 12. Sekretarz poselski na koniu królewskim, trzymający w ręku wezgłowie, na którym ekspedycja do Najjaśniejszego Pana; koń jego przez dwóch masztalerzy prowadzony. 13. J. W. poseł, mający czterech masztalerzy przy koniu. 14. JW. Imci pan generał major Byszewski po prawej ręce posła. 15. Tłomacz JKM. i Rzpltej po lewej ręce za posłem, tak jednak, że JW. poseł w pośrodku tych obydwóch znajdował się. 16. Dwóch oficjalistów poselskich [...] na królewskich koniach, przy każdym masztalerz jeden. 17. Podkoniuszy JKM., mający za sobą czterech masztalerzy. 18. Oficer z komendą narodową. Tym tedy porządkiem [...] jechali na audiencję przy graniu marsza przez kawalerię narodową i przez Gwardię stojącą pod bronią." [14]

Po okazałym wjeździe poseł turecki przebywał w Warszawie aż do 12 marca, jakkolwiek rezultaty dyplomatyczno-polityczne tego pobytu wydawały się dość nikłe, a koszty utrzymania poselstwa wynosiły 56 dukatów dziennie. Jednakże Numan-bej był człowiekiem towarzyskim i zaspokajał orientalistyczne zainteresowania wielu polskich magnatów, jego zaś służba i wielbłądy intrygowały pospólstwo miejskie.[15]

Król usiłował dostarczać mieszkańcom Warszawy co pewien czas starannie wyreżyserowanych widowisk dworskich. Należał do nich np. jego uroczysty wjazd do Warszawy 8 grudnia 1781 r. po dwumiesięcznej nieobecności. Z tej okazji ilumi-

[11] A. Kraushar, *Książę Repnin i Polska w pierwszym czteroleciu panowania Stanisława Augusta 1764—1768*, Kraków 1897, t. I, s. 188.

[12] K. W. Wójcicki, *Społeczność Warszawy w początkach naszego stulecia (1800—1830)*, Warszawa 1877, s. 85.

[13] AGAD, Sucha Branickich, sygn. 95/116, Kronika Wielądka, 1771—1779, „Opisanie wjazdu do króla Imci posła tureckiego".

[14] J. Reychman, *Orient w kulturze polskiego Oświecenia*, Wrocław 1964, s. 31; W. Konopczyński, *Polska a Turcja, 1683—1792*, s. 263—269.

[15] J. Reychman, *op. cit.*, s. 23—34.

nowano całe miasto, „ta wszakże część, którą N. Pan od Wilanowa i Czerniakowa przybywał, najwspanialej jaśniała. Bo prócz wystawionych na milę blisko drogi we dwa szeregi słupów, na których rozpalone kagańce gorzały, domy nadto przedmieścia Nowego Światu i Krakowskiego obficie były objaśnione". Magistrat wystawił przy kolumnie Zygmunta lożę o 16 kolumnach z cyfrą królewską i iluminował Stare i nowe Miasto.[16]

O ile z wcześniejszego okresu polskiego Oświecenia zachowały się jedynie entuzjastyczne lub niezmiernie drobiazgowe opisy tych reżyserowanych widowisk dworskich, o tyle w latach siedemdziesiątych cienka warstwa warszawskich intelektualistów zaczyna z nich podkpiwać. Dla przykładu przytoczyć tu można złośliwą parodię opisu senatorskiego wjazdu do stolicy w 1778 r. Teodora Szydłowskiego, ojca generałowej Grabowskiej, królewskiej kochanki. Został on mianowany wojewodą płockim.

Pięknyż to widok, gdy głowa w kołpaku
Sobolim wzgląda z poszóstnej karocy,
Z rzewnego, chociaż głodnego orszaku
Harcuje każdy z całą resztą mocy,
Pilnie swą scenę pełniąc w owym czasie,
Jak miał zlecono sobie na popasie.

Niespracowany senator, choć w drodze,
Dźwiga na sobie swej godności znaki:
Wstęgi na piersiach, ledwie nie na nodze,
Opończa nawet wydaje, kto taki,
U której gwiazda świeci się na boku;
Z tejże go poznać w nocy, choć w szlafroku. [...]

Najpierwsze w szczęściu Krakowskie Przedmieście,
Co oglądało takiej pompy dziwy;
Pan nie chcąc czynić krzywdy ludzi reszcie,
Na Nowe Miasto wiedzie krok leniwy;
Stamtąd na Leszno, aż też cztery rogi
Zwiedziwszy miasta zawitał w swe progi. [...]

Cała Warszawa byłaby się zbiegła
Z powinszowaniem uczcić przyjazd miły,
Lecz pańska skromność w tym była przebiegła,
Że bryki, maże przystęp zawaliły.
Uwielbiaj i ty, Muzo, w skromnej mowie,
Wstęgi na brzuchu, a kołpak na głowie! [17]

Nie bez przyczyny złośliwy Tomasz Kajetan Węgierski nie zrobił kariery dworskiej. Zarazem jednak zaobserwować można, że napuszona sceneria uroczystości dworskich zaczyna się przeżywać. Nowe uroczystości nabierają charakteru oficjal-

[16] „Gazeta Warszawska", nr 95 z 12 grudnia 1781.

[17] T. K. Węgierski, *Na wjazd do Warszawy senatora Szydłowskiego* (*Warszawa wieku Oświecenia*, s. 129—130).

nych obchodów państwowych, a ich stroną widowiskową są wieczorne iluminacje miasta. Jedną z najstaranniej wyreżyserowanych przez Stanisława Augusta uroczystości o charakterze politycznym był słynny karuzel, wyprawiony w Łazienkach z okazji odsłonięcia pomnika Jana Sobieskiego. Król chciał pobudzić w narodzie nastroje antytureckie, przypominając chlubne zwycięstwa Sobieskiego. Z wystawionego w Łazienkach amfiteatru 6000 widzów oglądało karuzel, czyli popisy rycerskie. Brali w nich udział wojskowi i dworzanie, zwłaszcza zaś paziowie Stanisława Augusta. Potem odegrano okolicznościowy występ teatralny, „balet heroiczny", i zaproszono kilkaset osób na wykwintną kolację. Potem oglądano przy biciu z dział wspaniałą iluminację posągu, a także pałacu i ogrodu, oraz fajerwerk. „Dla widzenia aby cząstki tych tak wielkich ozdobności cała prawie Warszawa wyszła ku Łazienkom, przyległą Ujazdowską Górę, dachy nawet i drzewa ludźmi osypując." [18] Nie wszyscy jednak zajęci byli jedynie podziwianiem widowiska. Następnego dnia przy warszawskich placach targowych rozsypano dwuwiersz:

Sto tysięcy karuzel — ja bym trzykroć łożył,
Żeby Stanisław umarł, a Jan Trzeci ożył.[19]

Król zmartwił się tą reakcją Warszawy. Zawiódł efekt propagandowy kosztownego widowiska.

Dworski charakter posiadał także festyn na cześć marszałka Stanisława Małachowskiego w ogrodzie i pałacu Krasińskich. Urządzano przyjęcie na kilkaset osób w trzech salach pałacowych i pod namiotami rozstawionymi w ogrodzie. Tłumy widzów oglądały iluminację miasta za pomocą 20 000 lamp z licznymi napisami okolicznościowymi.[20]

Dalsze uroczystości polityczne zaczynają wiązać się po raz pierwszy z dążeniami społecznymi mieszczan warszawskich. Wspaniałą iluminację wyprawiło miasto podczas zjazdu 294 deputowanych z 141 miast Rzeczypospolitej (z wyjątkiem Krakowa), powiązaną z rocznicą koronacji Stanisława Augusta. Złożony memoriał przez tzw. „czarną procesję" zaniepokoił dwór i magnatów ze względu na niedawny wybuch rewolucji paryskiej. Aby uczcić te obrady, magistrat Starej Warszawy w dniu 25 listopada 1789 roku wydatkował 8259 złp i 3½ gr na wspaniałą iluminację ratusza. Cały ratusz i inne domy w Rynku były oświetlone lampami oliwnymi. „Na wstępie samego ratusza w części jego i od bramy zachodniej przyozdobiono wierzch sklepów licznymi obeliskami z lamp kolorowych".[21] Łączyły je festony świateł i chorągwie cechowe. Użyto także ogni kolorowych, a na galerii ratusza grała muzyka. Oprócz tych świateł wystawiono symbole słońca, cyfry i insygnia królewskie, herby Ciołka, Orła i Pogoni z odpowiednimi napisami. Obok herbów marszałków sejmowych znalazły się geniusze handlu wodnego i lądowego w postaci „figury rzek w ręku wiosło trzymającej, mającej na głowie wieniec z trzciny" i „geniusza bogactw, to jest figury stojącej między pakami różnych to-

[18] „Gazeta Warszawska", nr 75 z 17 września 1788 r.

[19] R. Kaleta, *Karuzel*, „Pamiętnik Literacki", R. XLII, 1951, z. 3/4; S. Wasylewski, *Przypadki Króla Jegomości. Opowieści ludzi współczesnych*, Lwów 1922, „Co pazik zapamiętał", s. 147.

[20] A. Kraushar, *Warszawa za Stanisława Augusta*, Warszawa 1914, s. 20—21.

[21] *Opisanie iluminacyji w mieście J.K.Mci Warszawie z okazyji dorocznej pamiątki koronacyji J.K.Mci dnia 25 listopada 1789 roku* (*Materiały do dziejów Sejmu Czteroletniego*, t. II, Warszawa 1959, s. 302).

warów, z kosza [...] pieniądze wysypującej".[22] Wystąpienia miast zbudziły wielkie obawy przed rozruchami, wysłano więc do stolicy liczne oddziały wojska. Zarazem jednak król wziął udział w uroczystościach, przyglądał się iluminacji i kłaniał się wielotysięcznym tłumom. Wystraszeni magnaci i duchowieństwo iluminowali jednak liczne pałace i kościoły, aby podtrzymać świąteczny nastrój.

Znacznie bardziej spontanicznie, w naprawdę świątecznym nastroju ogromnej większości mieszkańców Warszawy odbyto następną wielką iluminację w dniu 8 maja 1791 r. dla uczczenia uchwalonej Konstytucji 3 Maja. Tym razem związek miast polskich wyasygnował 34 682 złp. i 4½ gr, a więc iluminacja miasta była czterokrotnie droższa aniżeli ta sprzed półtora roku, a i właściciele wszystkich domów i pałaców nie pożałowali pieniędzy. Zobaczmy, jak wyglądała Warszawa podczas tej najpiękniejszej ze wszystkich iluminacji czasów Oświecenia. Zacznijmy od Rynku Starego Miasta. „Przepychem i wspaniałością ratusz Starej Warszawy przenosząc wszelkie iluminacyje i dekoracyje całego miasta (pod prezydencyją j.p. Łukaszewicza, podług uprojektowanego abrysu przez j.p. Solarego, kapitana wojsk W. K. Lit., a wyegzekwowania przez tegoż wraz z j.p. Szützem, architektów miasta) był ozdobiony w ten sposób: stanąwszy naprzeciwko ratusza widzieć się dawał orzeł biały trzymający laur w szponach i spuszczający się na trzy gradusy rzęsisto iluminowane, nad facyjatą ratusza będące." Poniżej frontu ratusza wyobrażono Orła, Pogoń i cyfrę królewską, a w niższych oknach postacie niewieście — boginię Obfitości i Wisłę. Przy samym wejściu na ratusz zbudowano okazałą bramę tryumfalną z cyframi króla i marszałków sejmowych. „Od tejże bramy śrzodkowej z stron obydwóch ciągnęły się transparenta, oznaczające herby wszystkich województw, powiązane festonami. Te ściany i wszystkie nad nią transparenta, bramy i cały ratusz licznym w rozmaitych kolorach i kształcie będąc otoczone ogniem (gdyż 36 000 lamp dźwigając na sobie) miły i przyjemny, i aż w zadziwienie wprawiający czyniły widok." Między arkadami umieszczono dwie wielkie piramidy ze stosownymi napisami, a ku ulicom Nowomiejskiej i Świętojańskiej stały jeszcze dwie bramy tryumfalne, a na każdej z nich były po „dwie wielkie malowane figury, pierwsze dwie wyobrażały handel i policyję, drugie dwie żeglugę i rolnictwo z właściwymi insygniami".

Nie tylko Rynek Starego Miasta był tak starannie iluminowany. Właściciele poszczególnych domów na Świętojańskiej zdobyli się i na bogatą iluminację okien, i na figury z patriotycznymi napisami. Podobnie ozdobili swe domy mieszczanie na Freta i Nowym Mieście, a nawet na uliczce Ślepej można było ujrzeć „bustum króla sylwetkowe na okazałym postumencie". Na Krakowskim Przedmieściu wystawiono dwie wspaniałe bramy tryumfalne. Pierwsza z nich była zbudowana pod kolumną Zygmunta i cztery geniusze, Mądrość, Sprawiedliwość, Cnota i Męstwo, głosiły hasło: „Król z narodem, naród z królem." Bramę tę ozdobiono obficie różnokolorowymi lampeczkami. Przed pałacem Małachowskiego stała nieco mniejsza, ale także wspaniała brama tryumfalna. Przed domem Kapostasa umieszczono zbrojnego rycerza, a transparent jednego z rzeźników groził nieprzyjaciołom króla losem wołu przeznaczonego na rzeź.

[22] Tamże, s. 303; W. Smoleński, *Mieszczaństwo warszawskie w końcu wieku XVIII*, Warszawa 1917, s. 106—107.

Nie tylko samo centrum Warszawy było tak obficie iluminowane. Ozdobiono także ratusze na Grzybowie i na Lesznie. Niektórzy mieszczanie, jak np. Jan Synoracki na ul. Radnej, „acz w zakącie takim, bo nad samą Wisłą", dał transparent z orłem, portretem króla i stosownym wierszem. Zaś Gaspar Tężyński, zamieszkały przy ul. Solec pod numerem 2926, „wystawił w oknie cyfrę J.K.Mci, na boku tej cyfry, niżej była para wołów w pługu, a przy nich Oracz oczy i ręce mający wzniesione w niebo". Te wszystkie dekoracje prywatnych domów świadczyły o ogromnym entuzjazmie i naprawdę świątecznym nastroju tłumów mieszkańców Warszawy. Podkreśla to także najlepszy kronikarz tej uroczystości, Franciszek Makulski: „Lecz jeżeli przepych sztuki architektury, różność imaginacyji i kilkadziesiąt tysięcy lamp kolorowych migających się wśród ciemnej nocy dodawały wiele tej iluminacyji ozdoby, to więcej daleko tysiące ludu zgromadzonego przynosiły okazałości, wykrzykując wśrzód najżywszej radości: «Vivat Stanisław August, zbawca ludu i ojczyzny! Vivat cnotliwi marszałkowie i vivat naród!»." [23]

Ostatnia z wielkich uroczystości państwowych odbyła się w Warszawie dnia 3 maja 1792 r. dla uczczenia rocznicy Konstytucji 3 Maja. Miała ona też na celu wzniecenie zapału patriotycznego przed wojną z Rosją. Król obmyślił ją bardzo starannie. Główną część uroczystości stanowić miało odświętne posiedzenie sejmu w trzynawowym kościele Św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu. Przygotowano w nim tron królewski, ławki i loże dla dostojnych gości. Dwustuosobowa orkiestra miała odegrać *Te Deum laudamus*. Dla bezpieczeństwa rozstawiono około 5000 wojska. Za wojskiem stanęły cechy z chorągwiami i kapelami, konfraternie kupieckie i magistrat z prezydentem Zakrzewskim na czele. „Byli wszyscy w mundurze koloru wierzchnich sukien granatowego, spodnich błękitnego, bez broni w ręku, tylko ze szpadą lub szablą przy boku; co także i po cechach, ile do broni, widzieć się dało; ale mundury jedni mieli, drudzy nie mieli." Rozporządzenie magistratu nakazywało kupcom i rzemieślnikom, „aby ci przybrawszy się, ile możności jak najprzystojniej, w mundury municypalne powszechnie przyjęte" ustawili się na Krakowskim Przedmieściu. Nie przywiązywano jednak zbyt wielkiej wagi do jednolitości umundurowania: „trudno jest żądać po wszystkich obywatelach, aby w tak krótkim przeciągu czasu wszyscy w mundury municypalne przybrani być mogli, przeto czyni się ostrzeżenie, iż kto z obywatelów w mundur municypalny przybranym będzie, ten w pierwszym miejscu, czyli rzędzie, umieszczonym zostanie." [24]

Okazale wypadł przejazd króla przez Krakowskie Przedmieście: „w karecie paradnej sam jeden siedzący, w taflach kryształowej, przezroczystej, nad którą karetą dwa Genijusze trzymały koronę. Wszystko z brązu suto wyzłacane". Dalej jechały karety nuncjusza i prymasa, kawalkata dworzan królewskich, regiment Gwardii Koronnej i karety magnackie. Podczas uroczystego posiedzenia sejmu w kościele kadeci trzymali wartę przy tronie królewskim „w koletach paradnych i kaszkietach na głowach suto wyzłacanych; dzieci małe — wojsko mrówczane".

[23] F. Makulski, *Opisanie iluminacyji w dniu 8 maja 1791* (*Materiały do dziejów Sejmu Czteroletniego*, t. IV, Warszawa 1961, s. 166—215); W. Smoleński, *Mieszczaństwo warszawskie w końcu wieku XVIII*, s. 153.

[24] J. Kitowicz, *Pamiętniki do panowania Stanisława Poniatowskiego*, Poznań 1845, t. I, s. 249; AGAD, Warszawa Ekonomiczne, nr 548 z 1792 roku i nr 549, 557.

Później wszyscy uczestnicy uroczystości poszli pochodem przez Nowy Świat i Aleje Ujazdowskie, aby położyć kamień węgielny pod Świątynię Opatrzności w dzisiejszym Ogrodzie Botanicznym. W pochodzie najpierw szły cechy, przedstawiciele zakonów warszawskich i duchowieństwa, później konfraternie kupieckie i magistrat, duchowieństwo świeckie, prymas, król „w sukniach niemieckich, z nakrytą kapeluszem głową". Marszałkowie nieśli nad nim laski. Dalej szli senatorowie, gwardia koronna, kadeci i damy, „te z przepisu ceremoniału były w białych sukniach z czerwonymi wstęgami na głowach i takiego koloru szarfami przepasane". Na miejscu orszak ustawił się w czworobok, prymas poświęcił kamień, król rzucił pierwszą cegłę i wapno z kielni, a Naruszewicz, biskup łucki, miał mowę. Potem król odjechał do Łazienek, a wieczorem było uroczyste przedstawienie *Kazimierza Wielkiego* Niemcewicza. Po 9 wieczór była iluminacja części miasta. Dekoracja ratusza Starego Miasta kosztowała 11 233 złp. 17 gr. Obficie oświetlono także pałac Małachowskiego i Pałac Saski „świecami w oknach".[25] Uroczystość ta miała być manifestacją polskiej siły i potęgi. Co rozsądniejsi odradzali ją królowi, który jednak przykładał do niej wielką wagę. Wróżby na przyszłość były mocno niepomyślne. Podczas pochodu i poświęcania kamienia węgielnego była burza, kurzawa i zawierucha, a wśród dekoracji domów mieszczańskich „przy ul. Piwnej pod l. 43, w oknie na pierwszym piętrze, wizerunek króla Stanisława w ramach oprawny, mający być wieczór oświecony, przez nie dość domknięte okno od wichru razem z oknem wyrwany i na bruk zrzucony, wraz z przygotowanymi kwiatami i świecami połamany i pogruchotany został".[26] Przypominano sobie te niepomyślne wróżby podczas przegranej wojny w 1792 r., niepowodzenia powstania i rozbiorów kraju.

Na zakończenie wspomnieć należy o dwóch smutnych uroczystościach, które zakończyły historię Warszawy czasów Oświecenia. Jedną z nich był dość długo odwlekany wyjazd króla ze stolicy po upadku Insurekcji. Król „Kilka razy kazał zataczać pojazdy i wozy do pakowania, kazawszy wprzód przez poduszczone osoby rozsiać po Warszawie, iż po jego wyjeździe rzeźba ludu nastąpi. Pospólstwo, przestraszone takimi wieściami, za każdym pozorem do wyjazdu królewskiego zbiegało się na Zamek z płaczem i rykiem, kładło się pod karetami i wozami, zamykało stajnie z końmi, stajennych królewskich, czyniąc do jazdy niesposobnych, poiło i różne inne przeszkody czyniło", póki zniecierpliwiony Suworow nie zmusił króla do wyjazdu. Ostatnia iluminacja miasta odbywała się ze smutnej okazji zamiany wojsk rosyjskich na pruskie. Wkroczenie Prusaków do Warszawy nastąpiło 5 lipca 1796 r. Po uroczystym wjeździe wojska dzień zakończono „iluminacjami po niektórych pałacach danymi kosztem ministra, wyjąwszy Pałac Saski, który iluminowany był bez wszelkich figur malarskich suto świecami jarzącymi, kosztem elektora saskiego; wyjąwszy Marywil, który figuralną iluminacyją, na dziedzińcu wystawioną, był ozdobiony i nad którego bramą w środku lamp i festonów był wyrażony król pruski, a obok niego 2-ch Żydów w togach szabasowych, kłaniających się niziuteńko kapeluszami w rękach wyciągnionych trzymanymi". Miało to przy-

[25] J. Kitowicz, *Pamiętniki do panowania Stanisława Poniatowskiego*, Poznań 1845, t. II, s. 244—260; W. Smoleński, *Mieszczaństwo warszawskie w końcu wieku XVIII*, s. 166—170; A. Magier, *Estetyka miasta stołecznego Warszawy*, s. 91—92 i 183—185.

[26] A. Magier, *op. cit.*, s. 91—92.

pomnieć Prusakom, kto ufundował iluminację na ich cześć i zasługuje na ich poparcie. Jeszcze konfraternia kupiecka zdecydowała się swym kosztem iluminować Bramę Krakowską. Nastroje były smutne i mieszczanie warszawscy niepokoili się „widząc Prusaków kuso i opięto wystrojonych, wchodzących do Warszawy bez zdobyczy, bez tobołów, ekwipażami skromnymi, cienką, szczupłą korzyść wróżącymi; co większa, między żołnierzem pruskim pełno rozmaitych rzemieślników do taniej zapłaty przyzwyczajonych, kobiet pruskich pełno do szycia, do prania, przekupstwa sposobnych".[27] Słusznie przypuszczano, że Prusacy dostarczą jeszcze mniej możliwości pracy i zarobków opustoszałemu miastu aniżeli zwycięskie wojska rosyjskie. Skończyły się także uroczystości dworskie i wspaniałe widowiska uliczne.

[27] J. Kitowicz, *Pamiętniki do panowania Stanisława Poniatowskiego*, Poznań 1845, t. VI, s. 18—19, 56—63.

ŻYCIE POLITYCZNE

Wprowadzenie

Omówiono już sposób mieszkania, ubierania i odżywiania się, pracy i rozrywek mieszkańców Warszawy, nie poruszono natomiast sprawy najważniejszej: jakie były decydujące zagadnienia społeczne i polityczne na różnych etapach rozwoju polskiego Oświecenia, o czym mówiono w salonach, sklepach i warsztatach rzemieślniczych, co wiedziano o wielkich i małych rozgrywkach politycznych króla i możnych, jaki był klimat nastrojów i plotek ulicznych w czasie najważniejszych wypadków politycznych? Część z tych pytań musi pozostać bez odpowiedzi wobec braku materiałów. Pamiętać należy, że w tym okresie pisywano jeszcze niewiele i za warte zanotowania uważano ważne wypadki, nie zaś błahe plotki salonowe czy uliczne. Nie tylko jednak w doborze zapisywanych przez kronikarzy czy pamiętnikarzy faktów i w ubóstwie prasy tkwi przyczyna tego, że tak trudno coś napisać o życiu politycznym mieszkańców Warszawy z początku panowania Stanisława Augusta, a stosunkowo wiele powiedzieć można o okresie Sejmu Czteroletniego i Insurekcji. Przyczyna tkwi w tym właśnie, że pod koniec okresu Oświecenia lud warszawski, pilny spektator pompatycznych wjazdów, koronacji, obchodów rocznicowych i iluminacji miasta przy tych okazjach, stał się uczestnikiem i głównym aktorem ważnych wydarzeń politycznych ostatnich lat istnienia dawnej Rzeczypospolitej. Echa rewolucji francuskiej i wzrastające zagrożenie kraju ośmieliło ostrożnych mieszczan i zuchwałe zawsze pospólstwo. Nie darmo Jan Dekert napisał przed samą swą śmiercią 3 października 1790 r. list do marszałka Małachowskiego ze znamiennym ostrzeżeniem: „Daj Boże! żebym był fałszywym prorokiem i żeby desperacyja nie zapędziła mieszczan do wymagania kiedyś daleko więcej nad to, o co teraz pokornie tylko proszą."[1]

Pod koniec panowania drugiego z Sasów i po dojściu do władzy Stanisława Augusta najważniejszym zagadnieniem politycznym, społecznym i gospodarczym Warszawy był konflikt mieszczan ze szlachtą i magnatami, konflikt pomiędzy Starym i Nowym Miastem a otaczającymi je coraz większym kręgiem jurydykami. W płaszczyźnie politycznej i społecznej coraz zamożniejsze i bardziej oświecone mieszczaństwo warszawskie odczuwało swą niższość wobec szlachty i brak praw obywatelskich. To upośledzenie mieszczan w świetnej, publicystycznej formie *Katechizmu* przedstawił Franciszek Salezy Jezierski: Mieszczanin „nie jest zupełnym człowiekiem, ale jest pośredniczym jestestwem między człowiekiem-szlachcicem a nieczłowiekiem-chłopem. Mieszczanin — mówiąc językiem teologii — jest *substantia incompleta*" [2], nie może więc zostać wyższym duchownym, oficerem czy właścicielem ziemskim. Najbogatsi i najmożniejsi mieszczanie zostawali nobilitowani, a tym samym osłabiono szeregi ich współtowarzyszy odczuwających nie tylko brak praw politycznych, ale i niemożność awansu społecznego. Jurydyki uderzały

[1] *Materiały do dziejów Sejmu Czteroletniego*, t. III, Wrocław 1960, s. 393.
[2] F. S. Jezierski, *Wybór pism*, s. 68.

w podstawy rozwoju gospodarczego rzemiosła i handlu warszawskiego, będąc oparciem dla wszelkiego rodzaju „przeszkodników", pracujących poza cechami, i kupców niezrzeszonych w konfraterniach. Bardziej zaradni i najzamożniejsi kupcy porzucali tracące na znaczeniu wąskie uliczki Starego Miasta i przenosili się na Krakowskie Przedmieście.

Zainteresowanie polityką nie było rozpowszechnione w dawnej Polsce. Nawet najbardziej oświeceni magnaci, jak Czartoryscy, znali wybornie mechanizm oddziaływań sejmikowych i sejmowych na sprawy wewnętrzne kraju, niewiele jednak wiedzieli o polityce europejskiej. Najbardziej zorientowany w tym zakresie był Stanisław August. W ostatnich pracach podkreśla się jego próby działania politycznego, zgodnie z możliwościami w poszczególnych latach jego trudnego panowania.[3] Ten oświecony monarcha był jednak ogromnie niepopularny właśnie wśród mieszkańców Warszawy. Ci sami widzowie, którzy zachowali milczenie podczas jego koronacji i przez porozstawianych żołnierzy byli zachęcani do okrzyków, dopiero w krótkim okresie Konstytucji 3 Maja odczuli rzeczywistą łączność króla z narodem.

Nie wiemy, co mówili o polityce mieszczanie warszawscy w pogawędkach przy kuflu piwa czy szklanicy wina. Na pewno chętnie opowiadano plotki o licznych przygodach miłosnych bezżennego króla i hulankach magnatów. Dominowały zapewne w tych rozmowach zainteresowania koniunkturą gospodarczą rzemiosła i handlu, zwiększonym napływem przyjezdnych nabywców w okresie obrad sejmowych. Istniała jednak w Warszawie wzrastająca grupa ludzi wykształconych, o zainteresowaniach politycznych i satyrycznym zacięciu. Płody ich ostrego pióra, satyry i paszkwile, przeważnie w wierszowanej formie, rozchodziły się po części w rękopisach wśród miejscowych czytelników i nielicznych odbiorców w całym kraju. Ten właśnie ferment różnego rodzaju przemyśleń intelektualnych, haseł politycznych, przekazywanych w różnych formach, czynił z Warszawy rzeczywistą stolicę dawnej Rzeczypospolitej. Te ulotki, broszury, satyry czy paszkwile są jednym z zachowanych sygnałów zainteresowań polityką czytającej publiczności w okresie przygotowującym wielkie wystąpienia warszawskiego pospólstwa.

Bezimienni satyrycy rekrutowali się po części z kręgów dworskich literatów. Nawet Stanisław Trembecki zareagował żywo na posądzenia Żydów o mord rytualny chrześcijańskich dzieci.[4] Jednakże ostrze większej części krytyk skierowane było przeciw samemu królowi i magnatom, którzy byli przez niego popierani. Z powodu uszczuplenia władzy jego długoletniego faworyta, hetmana Franciszka Ksawerego Branickiego, na sejmie w 1776 roku, krążył po mieście następujący wierszyk:

Snycerz za to, że kiedyś na klocu odpoczął,
Statuę Herkulesa z niego robić począł.
Jeszcze rąk nie dokończył, aż rycerz zuchwały,
Niekontent, że był w sieni, chciał objąć dom cały.
Zląkł się snycerz nad takim wdzięczności owocem,
Odciął ręce i nogi, a kloc został klocem.

[3] E. Rostworowski, *Ostatni król Rzeczypospolitej. Geneza i upadek Konstytucji 3 Maja*, Warszawa 1966.

[4] St. Trembecki, *Listy*, t. I, s. 125.

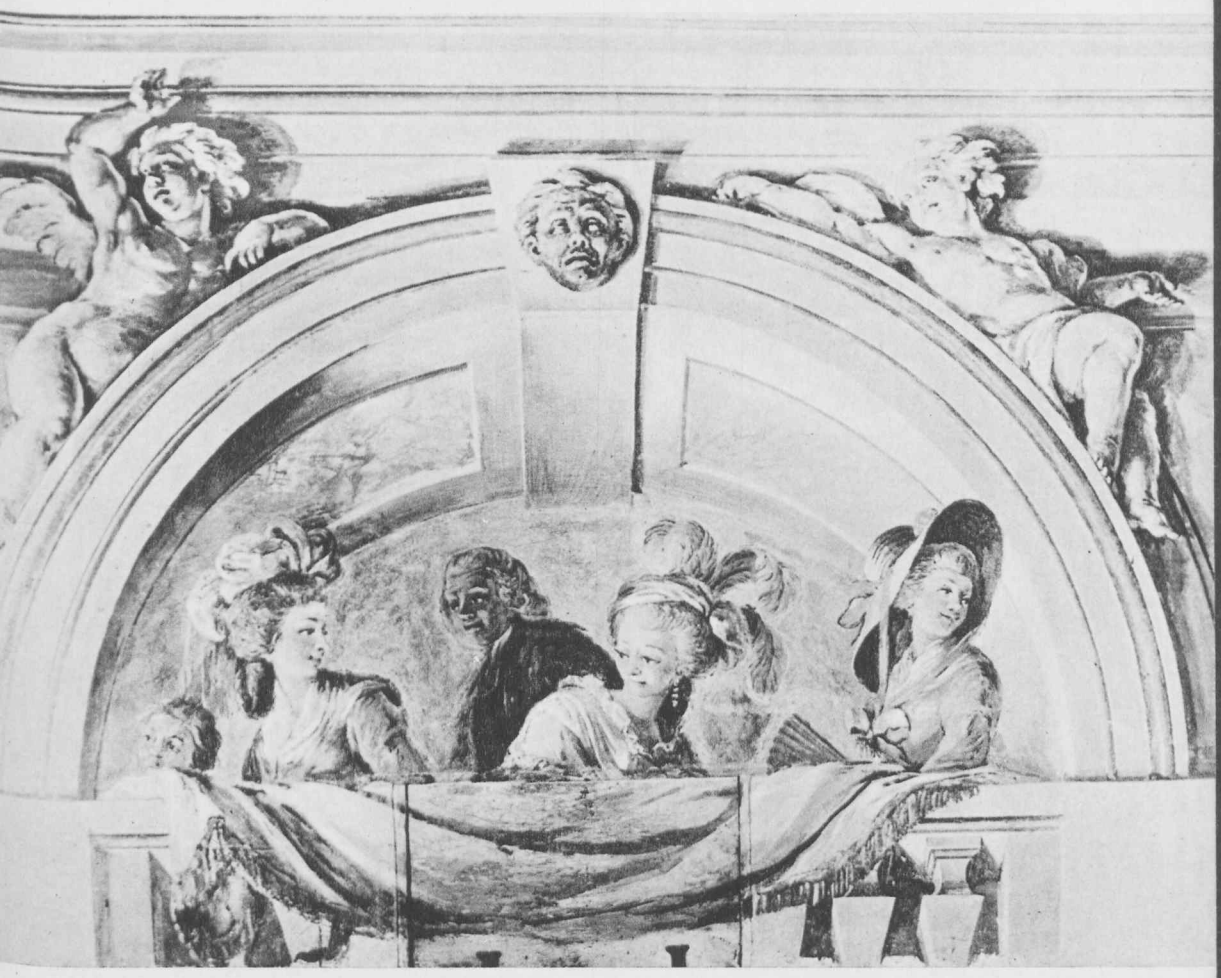

121

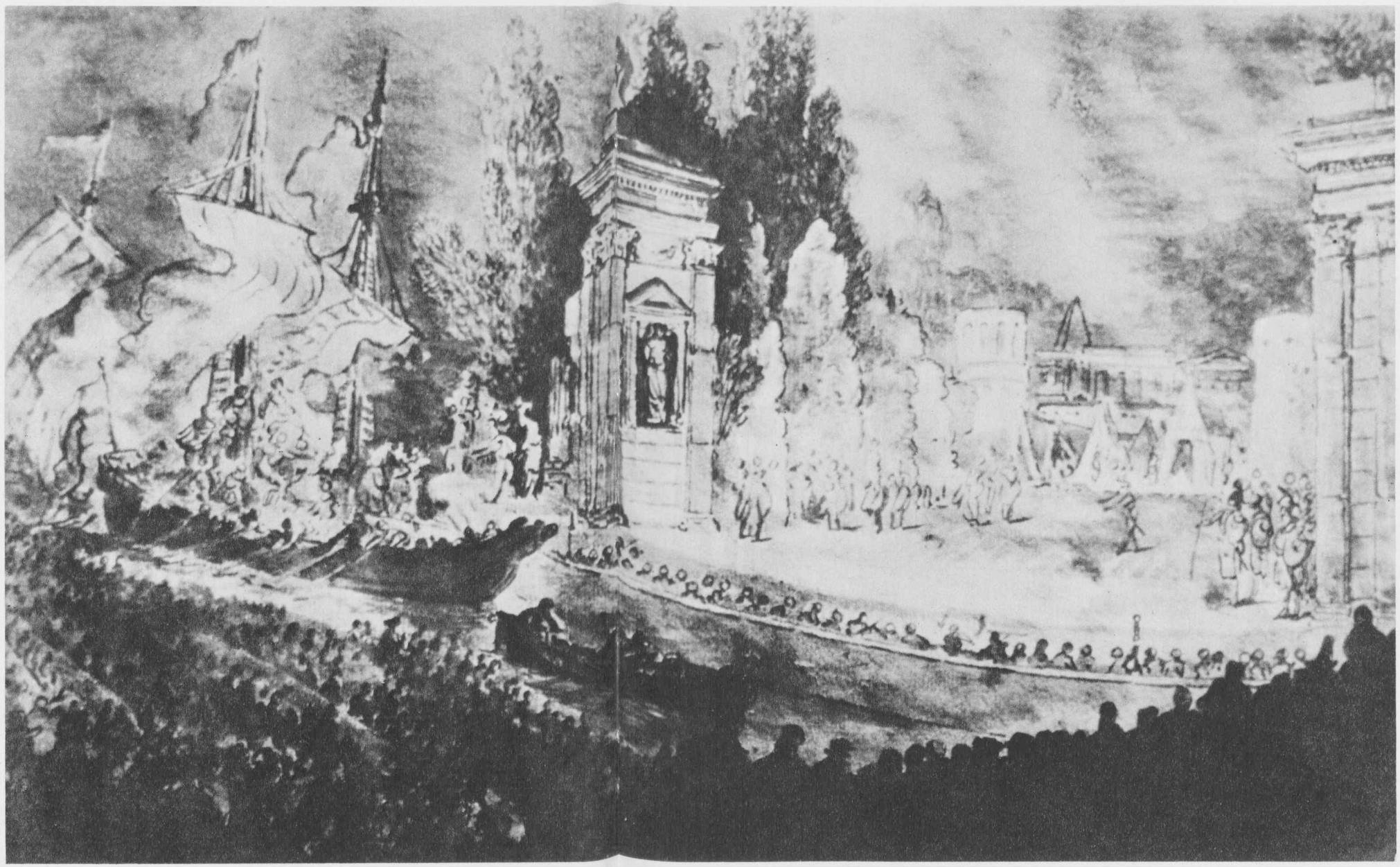



Wpływowy hetman rychło znalazł poetę, który odpowiedział śmiałkowi na te rymy:

Niechaj się tego kloca lęka snycerz przecie,
Bo gdy się drugi majster wynajdzie na świecie,
Który jak tę zepsutą robotę naprawi,
Pewnie tego snycerza i dłuta pozbawi.[5]

Odgłosy ostrych sporów politycznych z salonów dworskich i ław sejmowych dochodziły do wiadomości szerszej publiczności. Prowokacyjna afera awanturnicy Dogrumowej, która zeznawała, że z polecenia Stanisława Augusta generał Komarzewski i kamerdyner królewski Ryx usiłowali otruć Adama Czartoryskiego, została zlikwidowana. Na sejmie w 1786 r. mnożyły się tumulty z powodu ataków Branickiego na generała Komarzewskiego i Departament Wojskowy oraz jawnie antykrólewskich wystąpień Szczęsnego Potockiego. Cenzura nie pozwoliła na wyjaśnienie szerszej publiczności rzekomego skandalu dworskiego w zapowiedzianym artykule w czasopiśmie „Polak Patriota", pt. *Romans narodowy, czyli historyja spisków i otrucia.*[6]

Satyra i paszkwil polityczny okresu Sejmu Czteroletniego

Szeroka dyskusja i zainteresowania sprawami reform ustroju dawnej Rzeczypospolitej w okresie Sejmu Czteroletniego przeszły z ław poselskich na salony, szynki i ulice. W tym czasie satyry i paszkwile były bronią wszystkich stronnictw politycznych. Kuźnica paszkwilów stronnictwa patriotów składała się co najmniej z pięciu osób i mieściła się w domu Franciszka Wielądka przy ul. Nowolipie nr 2423.[7] Różne były metody ich kolportażu. „Autor pism patriotycznych *alias* paszkwilów do fiakrów", czyli zapewne Zabłocki, tak pisze o rozpowszechnieniu tych pism:

Ekwipaże, remizy, fiakry, bryczki, wozy,
Wy jedni zaufania mego warci gońce.
Składy gorliwych moich pism, wierszy i prozy,
Panuj nad wami, ciemna nocy — gaśnij, słońce.
Niech się wszystkich stangretów oczy tobą kleją,
[. . . . . .]
Bym, gdy pisma rozrzucam, nie był postrzeżony.[8]

Dawniej przedmiotem satyry czy paszkwilu były kulisy życia dworskiego, kariery nowych dostojników i różne prywatne animozje. W okresie olbrzymiego przypływu patriotyzmu Sejmu Czteroletniego paszkwil staje się „pismem patriotycznym". Jak daleko posunęliśmy się naprzód w rozwoju życia politycznego stolicy od roku 1782, kiedy to Ignacy Krasicki tak charakteryzuje pobyt w stolicy w liście do Lehndorffa: „A więc Warszawa — znudziła mnie. Przyjechałem w czasie sejmu, i to najgłupszego sejmu, jaki się odbył od czasu żałosnej pamięci Jana Kazimierza. Dobrego

[5] J. I. Kraszewski, *Polska w czasie trzech rozbiorów 1772—1799*, t. I, s. 189, t. II, s. 45.
[6] „Polak Patriota", t. IV, 1785, cz. 20, s. 1057—1115.
[7] E. Rabowicz, *Stanisław Trembecki w świetle nowych źródeł*, Wrocław 1965, s. 63.
[8] J. I. Kraszewski, *op. cit.*, t. II, s. 132, tekst Zabłockiego.

króla zastałem udręczonego troskami, wzdychającego nad niezliczonymi błazeństwami, których chcąc nie chcąc musiał być niezmiernie cierpliwym słuchaczem i widzem [...], wystraszone twarze, ciągłe bieganie w sprawie układów, obiadowano o 11-tej, wieczerzano po północy." [9] Nie idzie tu o szczegóły tej niezupełnie ścisłej i zbyt impresyjnej charakterystyki rzadko odwiedzającego stolicę biskupa warmińskiego. Jednakże w ciągu sześciu lat sprawy życia i reform politycznych zaczęły być przedmiotem zainteresowań nieporównanie szerszych kręgów społeczeństwa.

Trudne były początki tego sejmu. Jeden z pamfletów z 1790 r. charakteryzuje w *Rozmowie na polach Elizejskich między Sołtykiem a Garnyszem* poszczególne partie sejmowe: „Trzy są partie znaczniejsze, z których każda parą najczęściej chodzi, lubo się te partie znowu podług interesu łączą i rozdzielają, chwalą i ganią, kłócą i godzą: królewska i prymasa, Potockich i Czartoryskich, Branickiego i Sapieżyńska. Pierwsza podobna jest do chorągiewki, która się za wiatrem obraca, druga do osoby nadzieję reprezentującej, trzecia — do maźnicy, białą serwetą przykrytej, a wszystko razem podobne jest do maszkary." [10]

W tym okresie prymas Michał Poniatowski wyjechał już do Włoch, Szczęsny Potocki wolał także opuścić kraj i na placu bojów sejmowych pozostały partie Branickiego i Sapiehy oraz obóz patriotów z Ignacym Potockim na czele, cieszący się coraz wyraźniejszym poparciem króla. Trzeba było jednak dwóch lat, aby te stronnictwa ukształtowały się, wykorzystując masę mało zorientowanych politycznie posłów. W początkowym już okresie obrad rozsądniejsi posłowie patrzyli z niepokojem na marnowanie czasu na sali sejmowej z powodu niepohamowanego gadulstwa. Sprzeciwia się tej szalejącej „wymowie" sejmowej Julian Ursyn Niemcewicz:

Na zgromadzonych współbraci
Puszcza wrzących słów strumienie.
Długo głupi i uczony,
Słodkiem brzmieniem omamiony,
Od wielu widząc popartą,
Słuchał jej z gębą otwartą.[11]

Bystrzejszy obserwator, Zabłocki, dostrzegł w tym metodę obstrukcji sejmowej, którą zastosowała partia konserwatywna, chcąc udaremnić wszelkie reformy. W tym celu przeciągano dyskusje nad mało ważnymi zagadnieniami lub wysyłano na trybunę zręcznych mówców, którzy mieli za zadanie rozweselenie słuchaczy. Rolę tę spełniał często kasztelan Jacek Jezierski. Anonimowy pisarz ukazał upiorną wizję uśpionych na swych miejscach uczestników sejmu na skutek długich mów deklamatorów sejmowych, począwszy od króla, który

...gdy go mucha żądłem kolnie w uszy,
Zmarszczy się coraz i ustami ruszy.[12]

Ostre pióra i obrotne wystąpienia członków stronnictwa patriotycznego służyły zarówno dalekosiężnym, jak i doraźnym celom politycznym. Zręczne satyry i pam-

[9] *Korespondencja Ignacego Krasickiego*, t. II, List z 12 XII 1782, s. 143—144.
[10] J. Nowak, *Satyra polityczna Sejmu Czteroletniego*, Kraków 1933, s. 6—7.
[11] Tamże, s. 8.
[12] Tamże, s. 10.

flety zmniejszały popularność wysoko postawionych osobistości. Satyra nie oszczędzała samego króla i jego brata Michała Poniatowskiego, kierującego w początkach sejmu prorosyjską partią posłów, którzy zyskali urągliwe określenie „pieczeniarzy". Oburzenie mas szlacheckich skierowało się także na księcia Stanisława Poniatowskiego, bratanka króla, za określenie „zgraja" użyte w przemówieniu sejmowym w odniesieniu do niesfornych oddziałów kawalerii. Dosadna odprawa szlachecka odznaczała się wyjątkową zajadłością:

Choć ci diabli w kaszę srają,
Nie nazywaj szlachty zgrają,
Młody Ciołku, chociaś panic,
Nie miej przecie szlachty za nic! [13]

Ostre wystąpienia satyryków uderzały w obóz hetmański, czyli we Franciszka Ksawerego Branickiego i jego siostrę Elżbietę Sapieżynę z synem Kazimierzem Nestorem Sapiehą. Najobszerniejszą z tych satyr napisał Franciszek Salezy Jezierski pt. *Kat krakowski,* wyśmiewając szlachecką dążność do zdobywania majątku kosztem skarbu Rzeczypospolitej oraz wysiłki całych rodów do podniesienia swej świetności:

Sapieżyno! wasz związek z twym synem i bratem,
Nie wiem za co, lecz wszyscy zwą triumwiratem.[14]

Zacięta kampania satyryków była skierowana także przeciw jednemu z sejmowych wesołków, Jackowi Jezierskiemu, który nie należał oficjalnie do pieczeniarzy partii prorosyjskiej Branickiego, lecz służył jej pośrednio swymi humorystycznymi wystąpieniami. Anonimowy autor zagadek politycznych z okresu Sejmu Czteroletniego przypomina dwukrotnie o jednym z licznych sposobów, jakim Jezierski doszedł do majątku:

Kiedy Wenus była w modzie,
Stawiał jej domki przy wodzie,

lub:

Przy wiślanym moście
Gospodarz jedyny
Częstował francą
Przybyłe Litwiny.[15]

Ogromna literatura satyryczna dotyczyła słynnej afery Adama Łodzi Ponińskiego. Rozpoczęła się ona w lecie w 1789 r., kiedy w trakcie debat sejmowych nad podatkami natknięto się na jego olbrzymie nadużycia finansowe. Hetman Branicki postarał się uprzedzić atak na siebie, wspólnika wielu z tych operacji finansowych, i sam wystąpił z oskarżeniami, chcąc uczynić Ponińskiego kozłem ofiarnym. Zarazem ułatwiono mu ucieczkę, którą scharakteryzowano w satyrze:

Adam Łodzia Poniński,
Sposobem jak złodziej,
Wylazł dziurą i uciekł
Za pomocą łodzi.[16]

[13] Tamże, s. 112—113. [14] Tamże, s. 23. [15] Tamże, s. 34—35. [16] Tamże, s.40.

Schwytano go dość szybko, jednakże powolny i mało dotkliwy sposób wymierzania mu sprawiedliwości spotkał się z wieloma zarzutami satyry politycznej.

Wychowawczo-propagandowa rola satyry politycznej uwydatnia się szczególnie przy odrębnym traktowaniu różnych polityków. Łagodną początkowo perswazją starała się ona oddziałać na posła kaliskiego, Jana Suchorzewskiego, który początkowo zadeklarował się jako gorący patriota, jednakże po roku pracy Sejmu Czteroletniego przeszedł na pozycje hetmana Branickiego. Zabłocki początkowo próbował w swych satyrach perswazji:

Pytam: kto cię wprowadził w błąd niedopuszczony,
Że cnota, patriotyzm są z hetmańskiej strony?
Mówmy z sobą po prostu, lecz mówmy roztropnie...

Jeszcze po wystąpieniach Suchorzewskiego przeciwko uchwaleniu Konstytucji satyrycy usiłowali go przekonać. Natomiast gdy opowiedział się za Targowicą, nieznani sprawcy oćwiczyli go nahajkami, a ostatecznie pognębił go anonim:

Suchorzewski był dobry wszystkim do przykładu,
Teraz o nim nie słychać, tylko coś od zadu.
Ma on głowę niezgorszą i na silnym karku,
Dostał kresy na czoło, lecz to na jarmarku,
Za ostatnie usługi swoje dla ojczyzny
Nosi gęste na dupie od batogów blizny,
A że słynął na sejmie w gorliwej wymowie,
Brzmi teraz jemu sława i w dupie, i w głowie.[17]

Oczywiście, poważna część wystąpień autorów satyr i paszkwilów politycznych nie miała tak personalnego charakteru. Dotyczyły one ogólnej tematyki obrad sejmowych, a więc polityki zagranicznej kraju z propozycjami przymierzy rosyjskich i pruskich, a więc aukcji wojska, zniesienia Rady Nieustającej, walki o sukcesję tronu czy sprawę miejską. Różne były także formy literackiej satyry: nowele, opowieści, bajki, trawestacje tekstów religijnych, politycznych lub dokumentów dyplomatycznych, formy dramatyczne, liryczne, epigramaty, epitafia, zagadki.[18] Obfitość literatury politycznej w najróżnorodniejszych formach świadczy o szerokim zainteresowaniu sprawami poruszanymi w obradach sejmowych. Oddaje ona atmosferę ogólnego rozpolitykowania szerszych kręgów mieszkańców Warszawy, niezwykłej podatności na wszelkiego rodzaju nowiny, a wreszcie żywe i pozbawione dawnej obawy reakcje publiczności na zajścia publiczne. Atmosferę tę odtwarzają doskonale relacje współczesnych. Michał Czacki, siostrzeniec marszałka Stanisława Małachowskiego, wspomina: „wreszcie latało się po ławkach poselskich, aby za tym prawem najwięcej uzyskać głosów".[19]

[17] R. Kaleta, *Nawracanie posła. Inedita Franciszka Zabłockiego*, „Pamiętnik Literacki", R. XLIX, 1958, z. 3—4, s. 151—197.
[18] J. Nowak, *op. cit.*, s. 195—199.
[19] M. Czacki, *Wspomnienia z roku 1788. Po 1792*, Poznań 1862, s. 60.

Wystąpienia polityczne w okresie Sejmu Czteroletniego

Żywe zainteresowanie szerszych kręgów ludności Warszawy projektowanymi przez sejm reformami wyrażało się niekiedy burzliwymi manifestacjami i zajściami ulicznymi. Część z bardziej burzliwych dyskusji pomiędzy różnymi grupami posłów przenosiła się poza ściany sali sejmowej. Jedno z zajść opisuje z oburzeniem podupadły szlachcic Gurski w liście do swego pracodawcy Świejkowskiego. Mianowicie 2 września 1789 r. wojewoda wołyński, Hieronim Sanguszko, poprawił krzesło posła rosyjskiego Stackelberga stojąc za nim w loży teatralnej. Na to Dionizy Mikorski, poseł wyszogrodzki, z grupy patriotów „zaczął w głos wołać, że trzeba być błaznem takim jak wojewoda wołyński, aby krzesła posłowi poprawiać. Za nim więcej młodzieży ruszyło się, osobliwie Kobryński i Szanocki, Łęczycanie, którzy głośno łajali. Szedł wojewoda na dół, większych jeszcze impertynencyji nasłuchał się, aż wyjechać musiał. Poszły te szykany aż na Foksal. Tam pijani srożyli się, ale wojewody wołyńskiego nie było. Na drugim zaś Foksalu, gdzie była kolacja [...] dla patriotów, nie tylko na wojewodę podburzali [...], ale tenże Mikorski zapiwszy się, wysadzony na stół, miał mowę bez najmniejszego związku, zachęcając do jedności przeciwnie myślących. Do trzydziestu kapeli zebrawszy chodzili [...] jedną strofę śpiewając: «Ojczyzna na nas woła, etc.». Zgoła mówili o tym Foksalu, że coś podobnego chcą zrobić do Paryża." [20]

Odgłosy wypadków paryskich odbiły się na nastrojach dworu i arystokracji w okresie wystąpienia mieszczańskiej „czarnej procesji". I tu warto wspomnieć relację tegoż Gurskiego z listu z 27 grudnia 1789 r.: „Lecz przy tych trzeba wiedzieć, jakie i ostrożności były. Warty wszędzie podwojone, pikiety mocne po ulicach z bronią nabitą, w koszarach artylerii trzech i w cekhauzie trzech oficerów ciągłych i 12 armat wytoczonych, kartaczami ponabijanych. Na odwachach także kartaczami ponabijane. Do regimentów wszystkich był wydany rozkaz, żeby się wszyscy w koszarach znajdowali." Pomimo tak silnych straży wielu magnatów drżało ze strachu. Charakterystyczna jest pod tym względem relacja samego króla z listu do Augustyna Debolego, posła polskiego w Rosji z 5 grudnia 1789 r. „Hetman Branicki czyli doprawdy, czyli wrzekomo tak się obawiał tego mniemanego buntu mieszczańskiego na dnia 25 novembra [listopada], że przy kilku nabitych parach pistoletów [...] przesiedział. A Suchodolski [Wojciech — poseł na Sejm Czteroletni] w oczach Stanisława Potockiego tak się bał wnisć na ratusz z nim dla widzenia iluminacyji, że lubo dwóch radców warszawskich przyjmowało ich tam z wielką uprzejmością, jednak sami ci mieszczanie postrzegli strach Suchodolskiego i mówili o tym ze Stanisławem Potockim [...]. Nazajutrz — jeszcze uważano bardzo niskie ukłony księcia Sapiehy, marszałka, Dekertowi, prezydentowi aktualnemu warszawskiemu. Gdy się pytano Sapiehy o przyczynę tej pokory, odpowiedział: «Nie chcę wisieć»." Poprzedniego dnia Sapieha chciał zająć część loży teatralnej Dekertów dla swych kochanek i Dekertowa przestraszyła go powiedzeniem: „Niechby książę Sapieha pamiętał, co się w Paryżu dzieje." [21]

Te obawy rozruchów mieszczańskich były jeszcze przedwczesne. Dopiero

[20] M. Klimowicz, *Archiwum Świejkowskich. Fragmenty zachowane w Bibliotece ZN im. O*, „Ze skarbca kultury", 1953, z. 4, s. 86.

[21] Tamże, s. 89; *Materiały do dziejów Sejmu Czteroletniego*, t. II, s. 367.

z 1790 r. pochodzą pierwsze wzmianki o rozruchach już nie wśród szlacheckiej młodzieży, ale wśród szerszych kręgów mieszczańskich. Jeden tajemniczy „rozruch", wymieniony jedynie w pamiętnikach Kitowicza, „pokazał się na kształt próbki francuskiego buntu. Trzech ludzi luźnych postrzeżono na ulicy Krakowskiej z przypiętymi do czapek kokardkami. Tych zaraz porwano do kordygardy marszałkowskiej i więcej nie słychać o nich ani też pytać się niebezpieczno, aby za towarzysza jednej bandy nie poczytano. Te kokardy pojawiły się w przyszłym miesiącu kwietniu rb. 1790." [22]

W tym samym okresie poruszenie wśród rzemieślników warszawskich przybrało po części formę rozruchów antyżydowskich, które współcześni traktowali jako jeden z przejawów przejęcia się mieszczaństwa rewolucją francuską. Konkurencja ruchliwego rzemiosła żydowskiego i drobnego handlu stawała się coraz groźniejsza dla konserwatywnego rzemiosła i handlu mieszczan warszawskich. Rozruchy spowodowane zostały bezpośrednio dłuższym już legalnym pobytem wzrastającej stale liczby Żydów podczas Sejmu Czteroletniego. Ich obecność na terenie miasta popierali zawsze magnaci występując przeciwko postulatom władz miejskich. Dlatego rozruchy antyżydowskie miały w tym okresie charakter nie ściśle gospodarczy, lecz także polityczny o ostrym wydźwięku antymagnackim. Rzemieślnicy i kupcy, zorganizowani w cechy i konfraternie, urządzili w dniu 20 marca 1790 r. manifestację na Rynku Starego Miasta. Zaniepokojony Dekert sprowadził trzech deputatów sejmowych dla przeprowadzenia rozmów z przedstawicielami cechów: „Jeden kuśmierz wymowny w długiej do delegatów perorze wytknął, iż przez cały ten sejm tylko jedną czapkę sprzedał, krawiec ze swej strony przydał, że tylko jeden lejbik kawalerzyście zrobił, blacharze zaś i kotlarze to za największą swoją oświadczyli krzywdę, że do podbijania koszar i innych gmachów Rzeczypospolitej Żydów nie chrześcijan wezwała." [23] Wskutek tego wydarzenia nastąpiło w dwa dni później obwołanie marszałka wielkiego koronnego wzywające do usuwania z Warszawy i jej okolic wszystkich Izraelitów poza kupcami, którym przepisy prawne pozwalały na przebywanie w stolicy w czasie sejmu. W związku z tym obwołaniem prezydent Dekert przykazywał pospólstwu, „ażeby spokojnie sprawowało się, żadnych pogróżek na Żydach nie czyniło; tudzież iżby gospodarze ludziom służącym i czeladzi zalecili, aby, gdy rugowanie Żydów następować będzie, tychże Żydów nie potrącali ani nie łajali". [24]

Ustępstwo na rzecz pospólstwa warszawskiego i interesów cechowych wzbudziło wyraźne zaniepokojenie szlachty i magnatów. Zarazem rugowanie Żydów odbywało się powoli, co wzniecało dalsze niezadowolenie mieszczan. Magistrat wezwał na 19 kwietnia 1790 roku starszych cechowych, jednakże pod ratuszem znaleźli się także wszyscy majstrowie z czeladnikami. Obecni „różnych profesyji, do kilkuset osób zebrani, przenikliwymi głosami wołać zaczęli, iż oni, przyciśnięci głodem, już to z okazyji odjętego onym przez Żydów sposobu do życia, już to przez zamknięcie fabryk w Warszawie, zgromadzili się sami na ratusz, żądając po urzędzie swym jak najprędszego, a to w trzech dniach, rugowania wszystkich Żydów". Magistrat zażądał rozejścia się manifestującego tłumu, obiecując spełnić jego postulaty.

[22] J. Kitowicz, *Pamiętniki do panowania Stanisława Poniatowskiego*, Poznań 1845, t. I, s. 145.
[23] Tamże, s. 144—145.
[24] W. Smoleński, *Mieszczaństwo warszawskie w końcu wieku XVIII*, s. 138—139.

Sytuacja jednak wciąż była napięta, a po powrocie części usuniętych rzemieślników żydowskich doszło do ich pogromu. Nie byłoby warto wspominać tu o tych zajściach, gdyby nie uporczywe wiązanie przez współczesnych tych wystąpień z wypadkami paryskimi. Zaaresztowano przywódców zajścia — krawca Foxa i kuśnierza Mariańskiego, którzy odgrażali się, że „dziś chłopcy zrobili bunt, a jutro starsi". W mieście zapanował wielki niepokój wśród możnych, obawa rewolucji spędzała wielu sen z powiek. Jeszcze w maju myślano o zakazaniu odpustu na Bielanach i uroczystej procesji Bożego Ciała, jako okazji do zebrania się większych tłumów mieszczan. Jednakże usunięcie części rzemieślników żydowskich i postawienie silniejszych wart porządkowych przywróciły spokój na ulicach Warszawy i tradycyjne uroczystości wiosenne odbyły się bez żadnych zajść antymagnackich. Sąd marszałkowski skazał przywódców buntu: Mariańskiego, Kaszubińskiego i Flaczkiewicza, na dwuletnie więzienie w Kamieńcu Podolskim z zakazem powrotu do Warszawy.[25]

Echa wypadków paryskich docierały stosunkowo prędko do Warszawy. W ostatnich latach Sejmu Czteroletniego aktywność społeczna i polityczna jej mieszkańców wzrastała szybko. Probierzem patriotyzmu i stopnia uświadomienia politycznego stał się stosunek do Konstytucji 3 Maja. W dzień jej uchwalenia wokół Zamku zebrały się tłumy mieszczan i pospólstwa, które chciały chronić króla, marszałka Małachowskiego, Ignacego Potockiego i innych posłów, aby mogli wpisać się do ksiąg miejskich. Przeciwnicy uchwalenia Konstytucji w obawie przed groźną postawą tłumów pozostali na sali sejmowej. [26]

W ostatnim roku Sejmu Czteroletniego mnożyły się kluby i zgromadzenia. Zgromadzenie Przyjaciół Konstytucji, liczące z górą sto osób, powstało po drugich wyborach poselskich i działało od 1790 r. w pałacu Radziwiłłowskim. Należało do niego wielu posłów i sympatyków Kuźnicy Kołłątajowskiej. 25 maja 1791 r. zamknięto listę założycieli i fundatorów, która wynosiła około 150 osób, później zaś liczba członków klubu doszła do 213. Należało do niego wiele osobistości ze świata politycznego.

Znacznie bardziej demokratyczny skład miał słynny Klub Liberii — lokai i służących warszawskich, wśród których znajdowała się pewna liczna aktywnej politycznie, zubożałej szlachty i mieszczaństwa. Wzbudził on szczególny niepokój króla i szybko został rozproszony. „Komisja Policji zleciła warszawskim intendentom baczną uwagę na te miejsca publiczne, w których się Francuzi, czeladź rzemieślnicza i służący zgromadzają", a więc na różne lokale na Krakowskim Przedmieściu i Starym oraz Nowym Mieście. [27] Ilość tych klubów wzrosła zapewne w 1792 r. Jakieś nieznane Towarzystwo Patriotyczne zaleciło rozlepienie swym członkom w nocy z dnia 24 na 25 maja 1792 r. następującego ogłoszenia: „«w obecnych czasach wolno jest jak psa zabić każdego, kto by mówił lub pisał przeciw Konstytucji 3 Maja, lubo kto na przyszłość coś podobnego uczyni»; ogłoszenie to dodaje, iż za wykonanie takiego zabójstwa nie tylko nikt karanym nie będzie, ale

[25] Cytaty za: J. Kitowicz, *Pamiętniki do panowania Stanisława Poniatowskiego,* Poznań 1845, t. I, s. 145—151.

[26] J. I. Kraszewski, *op. cit.,* t. II, s. 403—425; „Lud zaś radosny z tak pomyślnej dla kraju całego rewolucji w późną noc napełnił całe miasto nieustannymi okrzykami: Vivat Król! Vivat Konstytucja krajowa!", „Gazeta Warszawska", nr 35, z 7 maja 1791.

[27] B. Leśnodorski, *Polscy jakobini. Karta z dziejów Insurekcji 1794 roku,* Warszawa 1960, s. 131—146.

przeciwnie szlachcic zostanie nagrodzony, a nieszlachcic szlachectwo pozyska".[28] Odezwa ta, wydrukowana za pomocą ręcznej tłoczni w jakimś prywatnym domu, wzbudziła wiele niepokoju i świadczyła o nastrojach zorganizowanych grup mieszczan. Podejrzewano wpływy posła francuskiego, gdyż Konstytucja była symbolem reform wzorowanych na paryskich.

Okres wojny z Rosją i panowania Targowicy

Aktywizacja polityczna mieszczan warszawskich zamanifestowała się dużą ofiarnością podczas wojny z Rosją. Świadczenia na rzecz wojska płynęły hojnie także od ubogich, którzy „srebra aż do ślubnych znosili pierścionków".[29] Już po uchwaleniu Konstytucji powstały milicje mieszczańskie. 27 lipca 1791 r. król pisał do Stanisława Badeniego: „To zaś dobrze czynią mieszczanie Warszawy, iż 12 000 broni już *actu* zapisują i będą się musztrować." Patriotyczny zapał mieszczaństwa hamowany był stale obawami przed „francuską zarazą" i warty sprawowane przez bogatszych mieszczan były parodią służby wojskowej. Chęć służby z bronią w ręku, jaką przejawiali mieszczanie warszawscy, wzbudzała nieraz obawy władz. Jednakże podczas wojny Polski z Rosją w 1792 r., poza drobnymi wystąpieniami i bójkami niespokojnej młodzieży, w mieście panował spokój. Gdy większość wojska wyszła z miasta do obozu położonego za Pragą w obawie przed rozruchami pospólstwa, zorganizowano w mieście warty osiadłych, posiadających prawo miejskie, a więc zamożniejszych mieszczan. „Stali na warcie z błyszczącym karabinem, ubrani dobrze, poglądając na zegarki w kieszeniach, aby czasu dłużej nad powinność nie przeciągała następująca kolej. Wieczorem schodziły się do tych szyldwachów żony i dzieci, przypatrując się ojcom swoim, jak im pięknie pod karabinem i w patrontaszach i życząc im dobrego życia w Zamku królewskim." Stanisław August zadbał o dobre wyżywienie tej milicji i „wielkie okazywała serce do dzieła rycerskiego [...], ale gdy król podpisał konfederacyję, a Moskwa municypałów batożkuje, nie czekając obluzu pouciekała z odwachów do domów, pozrucawszy mundury i rynsztunki w kąty pochowawszy." Nie należy się temu dziwić, gdyż obóz wojskowy pod Warszawą król zwinął po kilku tygodniach. Spotkało się to z wyraźnymi drwinami pospólstwa. Nazajutrz po zlikwidowaniu obozu „pokazały się na bramach i narożnikach ulicznych poprzylepiane kartki, iż będzie grana wielka opera komiczna pod tytułem *Wyprawa na wróble albo Wielki obóz za Pragą pod karczmą Grochowa.*[30] Lud warszawski pragnął bronić stolicy. Przed kapitulacją miasta w nocy z 24 na 25 lipca przyszło do rozruchów ulicznych i wybijania szyb w pałacach targowiczan. Obawiano się „obruszenia ogólnego na modę paryską".

Ostry reżim Targowicy nie uciszył tych rewolucyjnych nastrojów. Niechęć do króla manifestowała się np. w wierszu *Do posłów grodzieńskich,* w którym grożono mu „kanonizacją Kapeta". Tłumy młodzieży i byłych wojskowych zbierały się

[28] Tamże, s. 147.

[29] J. I. Kraszewski, *op. cit.*, t. III, s. 157.

[30] E. Rostworowski, *Sprawa milicji mieszczańskich w ostatnim roku Sejmu Czteroletniego,* „Przegląd Historyczny", t. XLVI, 1955, z. 4; J. Kitowicz, *Pamiętniki do panowania Stanisława Poniatowskiego,* Poznań 1845, t. II, s. 50.

w patriotycznych kafehauzach, czyli kawiarniach, zwłaszcza zaś u Dziarkowskiego na Mostowej, gdzie „na górce" spotykali się wtajemniczeni spiskowcy. Już w pierwszym okresie przygnębienia klęską wojskową powstała obfita poezja okolicznościowa wyrażająca uczucia patriotów. Oto anonim:

Było ścinać, było palić,
Wieszać, krzyżować i dręczyć,
Aby ojczyznę ocalić,
Choćby stu zdrajców umęczyć.[31]

Istniało kilka wersji warszawskiego *Ça ira...* od 1790 r., gdy wierzono:

Wszystko pójdzie wyśmienicie,
Król wraz z narodem cnotliwym,
Zrobią go mocnym, szczęśliwym
I wrócą ojczyźnie życie

aż do wersji z 1793 roku:

Pójdzie wszystko wyśmienicie,
Skoro się w jedno złączemy,
I nieprzyjaciół wytkniemy,
I zdrajcom odbierzem życie.[32]

Warszawska ulica chciwie przechwytywała coraz nowe wiersze i piosenki okolicznościowe, przyglądając się szopce politycznej popularnego Baraniego Kożuszka. „W 1793 roku patrioci dostarczyli mu małą gilotynkę i kukły zdrajców targowiczan, które on gilotynował przed pałacem Igelströma na Miodowej. Czynności tej towarzyszyły niewątpliwie jakieś interesujące ustne komentarze lub piosenki, które się, niestety, nie zachowały." [33] O nastrojach ludności świadczyło poruszenie mieszkańców Warszawy w związku z pogłoskami o zabraniu przez Rosjan broni z arsenału w nocy z 5 na 6 lutego 1793 r. Urządzono także 3 maja 1793 r. demonstrację w kościele Św. Krzyża i w obecnym Ogrodzie Botanicznym na Ujazdowie w miejscu przeznaczonym na budowę świątyni Opatrzności.[34] Zarazem jednak w opustoszałym mieście panowało przygnębienie wywołane biedą i ostrym dozorem politycznym ze wzrastającą ilością szpiegów. Pamiętniki Kilińskiego oddają ten nastrój różnych faz przygnębienia, plotki politycznej, wielkich nadziei, planów i stosunku szerokich rzesz mieszczaństwa do Insurekcji.

Przygotowania do Insurekcji warszawskiej

Wspomnieć tu należy o spisku z 1793 r., w którym reprezentacyjną rolę odegrał Ignacy Działyński. Pomimo znacznych aresztowań przeważającej liczbie spiskowców udało się wyjechać z Warszawy dzięki dość licznym powiązaniom miejskich kół policyjnych i urzędniczych ze spiskiem i w porę zrealizowanymi ostrzeżenia-

[31] R. Kaleta, *Zarzucone wiersze z ostatnich lat Rzeczypospolitej szlacheckiej 1788—1789*, „Ze skarbca kultury", 1953, z. 4, s. 11.

[32] R. Kaleta, *Poezja antytargowicka i jakobińska*, „Pamiętnik Literacki", R. XLI, 1950, z. 3—4, s. 8—11.

[33] [L. Cieszkowski], *Pamiętnik anegdotyczny z czasów Stanisława Augusta*, s. 139; J. W. Gomulicki, *Legenda i prawda o Baranim Kożuszku*, „Stolica", 1960, nr 51—52.

[34] B. Leśnodorski, *op. cit.*, s. 375.

mi.[35] W ciągu tej ostatniej zimy 1793—1794 r. koła wojskowe myślały o powstaniu, śledząc pilnie posunięcia rosyjskie. Agitacja za powstaniem koncentrowała się w różnych kręgach społeczeństwa. Przodowały tu oczywiście ugrupowania najbardziej radykalne — „bunt w tych latach nazywał się jakobinizmem". Skład społeczny tej grupy scharakteryzował ich zażarty przeciwnik Antoni Trębicki: „Wszystkie mędrki piśmienne, wszystkie głodne literaty, cała tłuszcza uliczna, zza karet usiłująca przesiąść się do karet, wszystkie spekulanty na grosz prywatny i publiczny, wszystkie zapaleńcy ubiegający się za dziwaczną równością i wolnością [...] które do tego dążyły, aby [...] system nieładu, krwi, postrachu i łupiestwa zaprowadzić — formowali otwartą i zuchwałą partią Kołłątaja." [36] Do tak potępianej przez reakcjonistów grupy należeli nieliczni młodzi księża.

Jednym z ważnych narzędzi agitacji był teatr. Zaraz po Racławicach Wojciech Bogusławski wystawił swą sztukę *Cud mniemany, czyli Krakowiacy i górale*. Po paru dniach całe miasto umiało na pamięć śpiewki Bandosa:

Niemądry, kto wśród drogi
Z przestrachu traci męstwo;
Im sroższe ciernie, głogi,
Tym milsze jest zwycięstwo.[37]

Podobny entuzjazm budziły piosenki górali. Powtarzali je chętnie rzemieślnicy warszawscy, agitowani przez patriotycznych majstrów, zwłaszcza przez Jana Kilińskiego, i w ostatnim okresie wciągani do spisku.

Przygotowania te śledziła wzrastająca liczba szpiegów. Nie brakowało prowokatorów nawet na zebraniach spiskowych. Jeden z nich spowodował swym donosem aresztowanie Kilińskiego, który jednak zdołał przekonać Igelströma, że chciał tylko zorientować się w nastrojach spiskujących, według zaleceń lojalnego wobec Rosjan magistratu.[38] Rosyjska służba szpiegowska pracowała już od dawna i papiery ambasady rosyjskiej, zdobyte później przez powstańców, informowały o ludziach biorących pieniądze z poselstwa. Na czele rosyjskiej służby szpiegowskiej stał pułkownik Baur. Od 24 marca 1794 r. wzmożono jeszcze dozór policyjny nad miastem. Wezwano wszystkich właścicieli gospód do dozorowania gości i „donoszenia o tych, którzy by rozpowszechniali jakieś pisma burzliwe lub afisze". Magistrat tłumaczył, że powodem tego uniwersału były „gęste pisma burzliwe, paszkwile", w których wzywano do ucięcia głów króla i części magnatów. [39] Równocześnie Rosjanie usiłowali werbować do wojska bezczynną młodzież przybyłą do Warszawy z rozwiązanych oddziałów wojskowych. Płacono pięć rubli za dostawienie żołnierza polskiego. Amatorzy tych zarobków nie byli liczni: Kobylański, właściciel zajazdu na Nowym Mieście, Dernet, mieszczanin z Pragi, czy Dymitrowicz, handlarz wołów. Werbownicy stanęli podczas Insurekcji przed sądem kryminalnym, zwerbowani zaś żołnierze w czasie walk ulicznych rzucali broń i przechodzili na stronę powstańców.

[35] W. Tokarz, *Warszawa przed wybuchem powstania 17 kwietnia 1794 roku*, Kraków 1911, s. 95—99 i 129—138.

[36] A. Trębicki, *Opisanie sejmu ekstraordynaryjnego podziałowego roku 1793 w Grodnie * O rewolucji roku 1794*, s. 227.

[37] W. Tokarz, *Warszawa przed wybuchem powstania 17 kwietnia 1794 roku*, s. 176—177.

[38] *Jana Kilińskiego szewca warszawskiego, pułkownika 20 regimentu piechoty Drugi pamiętnik o czasach Stanisława Augusta*, oprac. St. Herbst, Warszawa 1958, s. 67.

[39] W. Tokarz, *Warszawa przed wybuchem powstania 17 kwietnia 1794 roku*, s. 82—89 i 160.

Nastrój niepokoju i rozsiewania przerażających wieści nasilił się w ostatnich dniach przed wybuchem powstania. Mówiono, że nabożeństwa wielkanocne mają się odbyć we wszystkich warszawskich kościołach o jednej godzinie, a wtedy wojska rosyjskie otoczą je i urządzą rzeź, do której jakoby już przygotowywano noże na Pradze. Miały być oszczędzone tylko domy, których właściciele otrzymali znaki ochronne w postaci tabakierek z pieczęciami. Groźne te pogłoski rozpowszechniali oficerowie i żołnierze rosyjscy, znękani ciągłym czuwaniem i alarmami nocnymi. Pogłoski były na rękę także targowiczanom, którzy chcieli przestraszyć buntownicze pospólstwo, i wreszcie także przywódcom powstania ze względu na możliwość ustalenia jego terminu. W pogłoskach tych była zresztą część prawdy. Na skutek wezwania marszałka Moszyńskiego nabożeństwo rezurekcyjne miało się odbyć we wszystkich kościołach o jednej godzinie, a w gmachu ambasady rosyjskiej znaleziono duży zapas tabakierek ochronnych.[40]

W czasie wypadków kwietniowych 1794 r., zwłaszcza zaś w pierwszym dniu Insurekcji, udział walczącego ludu okazał się bardzo poważny, co przyznawali niechętnie piszący o tych wypadkach szlacheccy ich uczestnicy. Ci, którzy brali udział w walkach ulicznych w dniach 17 i 18 kwietnia, uczestniczyli i później w wieszaniu zdrajców w dniach 9 maja i 28 czerwca. Wymienić tu można dla przykładu kilka nazwisk: Dominik Jasiński, handlarz sianem, „taki Jędrzej Dziekoński, handlarz kur, zgłosił się na pierwszy odgłos alarmu do koszar Działyńskich, dostał tu karabin i ładunki i poszedł razem z pułkiem na Nowy Świat. Tak samo walczyli od wczesnego ranka Stefan Klonowski, wyrobnik, i Józef Piotrowski, były podchorąży Gwardii Pieszej, obaj skazani potem na śmierć za wieszania czerwcowe".[41]

Insurekcja warszawska

Insurekcja warszawska rozpoczęła się pomiędzy 4 a 5 rano, a więc co najmniej na pół godziny przed umówionym sygnałem — wystrzałem z dział w arsenale. „Od najpierwszej zorzy już [...] Gwardia na koniach w gotowości czekała tylko sygnału. Koń tupnął, Moskal się ukazał, rycerz polski wziął to za sygnał i rzucił się w największym pędzie trzema pocztami." Gwardia Koronna, skoszarowana za Żelazną Bramą, przy kompletnym zaskoczeniu Rosjan zdobyła z miejsca baterię złożoną z dwóch dział. Zaalarmowano ludność z ulic Chłodnej, Elektoralnej i Leszna, która po uzyskaniu broni wzięła udział w walkach. Nie mogli się doczekać hasła rozpoczęcia powstania także spiskowcy na Starym Mieście. Oto świadectwo Kilińskiego, który wracał właśnie po rozdaniu ładunków żołnierzom marszałkowskim i dowiedział się, że król wie o rozpoczęciu „rewolucji". „Więc ja nie mając czego dalej czekać, zaraz krzyknąłem na ludzi moich, na wieży ratuszowej będących, aby na gwałt trąbiono i dzwoniono. Wtem oficer moskiewski z dobytym pałaszem jak najśpieszniej z Rynku leciał, którego ja pierwszego pałaszem moim, choć się bronił, za-

[40] Tamże, s. 266—273.

[41] Tamże, s. 199; W. Tokarz, *Insurekcja warszawska 17 i 18 kwietnia 1794 roku*, Warszawa 1950, s. 265; W. Tokarz, „Odpowiedź profesorowi Skałkowskiemu", *Rozprawy i szkice*, t. I, Warszawa 1959, s. 192—200; *Jana Kilińskiego... Drugi pamiętnik*, s. 32—38.

bił." [42] Józef Egerzdorff zastrzelił szyldwacha stojącego przed kancelarią rosyjską. Pojawiło się na ulicach paru studentów ze sztucerami. Po sygnale alarmowym spiskowcy biegali po domach wołając: „Zamykajcie kamienice, bo Moskale zabijają!" Zabijano i aresztowano w domach zaskoczonych oficerów. Tłumy ludności Starego Miasta zgromadziły się na Rynku. Zmuszono prezydenta Rafałowicza i magistrat do otwarcia bram ratusza, wypuszczenia milicji miejskiej, uderzenia na alarm w dzwon ratuszowy. Tłum, mający już swych przywódców, zabrał broń ze sklepów rusznikarzy, którzy nie stawili żadnego oporu. Ludzie przywiązywali sznurkami klingi do głowni, do kijów. Ze względu na konieczność uzyskania jakiejkolwiek broni ludność cywilna później wzięła udział w walkach i ciężar pierwszego natarcia spadł na wojsko. Najpóźniej, dopiero po 6 rano, wyruszyli ze swych koszar waleczni działyńczycy, gdyż pomimo zapału szeregowców i oficerów wstrzymywał ich dowódca, pułkownik Hauman. Gdy wyszli na Nowy Świat, zdążając w kierunku Zamku, zalecili tłumom pospólstwa zabranie reszty broni z koszar.[43]

Nie wszyscy mieszkańcy Warszawy wzięli udział w walkach ulicznych. Przerażony magistrat schronił się od rana na Zamek pod opiekę króla, gdzie 17 kwietnia zgromadzili się wszyscy przeciwnicy Insurekcji. Inni najbogatsi przedstawiciele szlachty i magnaterii, a także mieszczan, jeśli nie mogli wyjechać wcześniej z Warszawy, starali się przesiedzieć krytyczne dni w piwnicach, pokojach od podwórza czy po klasztorach. „Gdyby nie uboższy lud bronił — to by wszyscy obywatele poginęli, bo się tylko w kamienicach pozamykali bogatsi." Solidarność z ludem okazała natomiast biedniejsza szlachta. Wielu mężczyzn wybiegło na ulice Warszawy zaraz po pierwszych wystrzałach. Przeważnie posiadali oni przy tym własną broń. „I w moment rewolucji tutejszej — nie siedziałem w dymniku lub oknie" — mówił jeden z nich. Dobrze się spisała także, szlachecka w większości, warszawska grupa urzędników, palestranci i inni pracownicy sądowi, lekarze, młodzież szkolna wraz z częścią nauczycieli, przedstawiciele zakonów żebrzących i Francuzi, jedyni z grupy cudzoziemców. Prawie w komplecie stawił się Korpus Kadetów: „Młodzież ta, zagrzana patriotyzmem, skrycie spuszczając się nawet na linach z swych koszar pomnażała liczbę walczących obywateli, a wkrótce prawie wszyscy dorośli, omamieni powodzeniem się powstańców, pośli do boju." [44] Odznaczyła się także liczna w stolicy służba liberyjna. Niektórzy z nich umieli czytać i pisać i mieli za sobą parę lat służby wojskowej, toteż spiskowcy powierzyli wielu z nich funkcję agitatorów i dali im broń.

Przed południem, gdy przekonano się, że można pokonać Rosjan, w powstaniu zaczęło uczestniczyć coraz więcej ludzi, którzy dostawali broń w arsenale i skupili się przy szturmie na pałac Igelströma na Miodowej. Także pewna ilość Żydów, silniej związanych ze społeczeństwem warszawskim, wzięła udział w walkach ulicznych. Stwierdzono nawet w dziennikach, „że sami nawet Żydzi, ów naród tak przywiązany do obrzędów starozakonnych, w czasie świąt swoich pod bronią walczyli, to przy armatach pomagali, to na różne wysłani usługi dopełniali wszystkiego, co im poruczono, i dziś jeszcze w szabasy odbywają warty i patrole". Jednym z powstańców był np. Całek Abrahamowicz, smolarz z ulicy Złotej. Zabił on Kozaka

[42] *Jana Kilińskiego... Drugi pamiętnik*, s. 68.
[43] W. Tokarz, *Insurekcja warszawska 17 i 18 kwietnia 1794 roku*, s. 137—145.
[44] A. Magier, *Estetyka miasta stołecznego Warszawy*, s. 82.

i zdobył na nim konia i kulbakę. Konia oddał później do arsenału, ale sam przebrał się w zdobyty płaszcz kozacki i tak wybrał się po Insurekcji na Szmulcowiznę do znajomych. W rezultacie zaaresztowano go jako szpiega.[45] Jakkolwiek wypadki wzięcia przez Żydów udziału w walkach nie były zbyt częste, zmieniły one nastroje ludności Warszawy.

Ludowy charakter warszawskiej Insurekcji odbił się w pewnym stopniu na przebiegu walk w pierwszym dniu. Pospólstwo rzucało się z zapałem na napotykane punkty oporu. Zdobywano np. przez siedem godzin kamienicę Laskowskiego przy Rynku Starego Miasta naprzeciwko kamienicy książąt Mazowieckich, w której mieściła się kancelaria rosyjska, broniona przez trzydziestu żołnierzy. Spore grupy ludzi zdobywały także poszczególne domy na Nowym Mieście, zamiast obsadzić Pałac Rzeczypospolitej i bronić domów przed rabunkiem i rzezią ze strony żołnierzy rosyjskich. Pod wieczór w dniu 17 kwietnia Rosjanie zostali otoczeni na Miodowej, Długiej i w Pałacu Rzeczypospolitej na placu Krasińskich, a także w kilku jeszcze punktach miasta. Walki nie ustały w nocy oświetlanej łunami pożarów.

Zarazem w tym czasie stało się jasne, że „najszaleńsze niektórych młodych oficerów, lubo dobrze myślących, przedsięwzięcie nadspodziewanie pomyślny skutek uwieńczył". Gdy ludowi przywódcy byli w ogniu walki, powstały dwa ośrodki, w których skupili się ludzie pragnący wziąć w ręce ster powstania. Na ratuszu Starej Warszawy zgromadzili się „jakobini". Mało znani, chcieli się osłonić jakimś popularnym nazwiskiem, wysuwając byłego konstytucyjnego prezydenta miasta Ignacego Wyssogotę Zakrzewskiego. Trudną sytuację polityczną miała grupa ludzi skupiona na Zamku pod opieką króla, który miał osłonić ich niedawną targowicką i grodzieńską przeszłość. Wybrali oni na komendanta siły zbrojnej generała Mokronowskiego, związanego z dworem królewskim. Zręcznym posunięciem dyplomatycznym z ich strony było zwrócenie się do popularnego Zakrzewskiego o przyjęcie stanowiska prezydenta miasta. Następnego dnia Insurekcji polityka dworu doprowadziła do wypuszczenia reszty wojsk rosyjskich z pułapki i osłabienia ruchu ludowego. Po wyłapaniu niedobitków wojsk rosyjskich pospólstwo skierowało swą niechęć przeciw ambasadom ukrywającym cudzoziemców i przeciw targowiczanom. Nachodzono ich pałace, zwłaszcza zaś mieszkanie znienawidzonego kasztelana Jezierskiego na Bednarskiej, które ochroniła dopiero warta milicji miejskiej, przysłana przez prezydenta Zakrzewskiego.

Mieszkańcy Pragi nie mogli wziąć udziału w Insurekcji, gdyż stała tam silna załoga rosyjska, a oddziały wojsk polskich od razu przeprawiły się do Warszawy. Garść ochotników przepłynęła przez Wisłę. Wójt cyrkułowy, Paweł Grabowski, zakazał sprzedaży trunków i troszczył się pilnie o spokój pospólstwa. Kontakt między obu częściami miasta nawiązany został dopiero w sobotę, kiedy to tłumy prażan przeprawiały się przez Wisłę, aby zobaczyć wolną Warszawę. Jeszcze w niedzielę, a więc 20 kwietnia, ks. Jan Bohomolec, brat znanego komediopisarza, proboszcz praski, eks-jezuita, wygłosił kazanie, aby jego parafianie „przez porywczość nie ściągali klęski na kraj, gdyż tak jest rzecz niepodobna [...], żebyście sami to mocarstwo pokonali, jak niepodobna, żeby myszy kotom, barany wilkom, zające char-

[45] W. Tokarz, *Warszawa przed wybuchem powstania 17 kwietnia 1794 roku*, s. 178—201.

tom odpór dały".[46] Z kazania tego musiał on potem usprawiedliwiać się przed powstańczą Komisją Indagacyjną.

Dalszym etapem ludowej rewolucji były w stolicy pierwsze wypadki wieszania zdrajców w dniu 9 maja. Niepokoje zaczęły się wcześniej. Już 1 maja tłum zgromadzony przed ratuszem „mniej przyzwoicie" przedstawiał prezydentowi Zakrzewskiemu żądania wzmocnienia dozoru nad więźniami i dalszych aresztowań zdrajców. 8 maja król wyjechał na Pragę, a w Warszawie rozeszła się pogłoska, że uciekł i że Rosjanie i Prusacy podchodzą pod miasto. Uderzono w dzwony kościelne na alarm. Ludność pośpiesznie rozebrała między siebie broń. Gdy król wrócił, witano go okrzykami: „Niech żyje król, ale niech nie ucieka!" Wysłano także na Zamek deputację z żądaniem: „Ażeby król spacerów używał tylko w Saskim Ogrodzie i żeby przyjął czterech lub ośmiu adiutantów municypalnych, którzy by bezpieczeństwa jego osoby pilnowali." Rozeszła się także pogłoska, że popłoch ten spowodował kamerdyner Ankwicza w celu ułatwienia ucieczki swemu panu. To jeszcze bardziej wzburzyło lud przeciwko zdrajcom.[47]

9 maja dokonano po raz pierwszy wieszania zdrajców — targowiczan. „Dnia 9 maja wystawił lud przy pochodniach w nocy 3 szubienice przed ratuszem na Starym Mieście, a czwartą przed kościołem OO. Bernardynów na Krakowskim Przedmieściu i nazajutrz w południe wyprowadzono dekretowanych. Józef Ankwicz, marszałek Rady Nieustającej, okazał najwięcej przytomności przy wieszaniu. Miał na sobie zielony watowany kaftanik, twarz przystojną i figurę okazałą [...], celował wymową [...]. Gdy widział, że już wszystkie sposoby ratunku upadły i że trzeba koniecznie spełnić los srogi, nie tracąc fantazyji dobył złotej tabakiery i zażywszy z niej jeszcze raz tabaki, dał ją katowi, mówiąc: «weź ją, a nie męcz mnie długo»." Hetmani Ożarowski i Zabiełło byli „jak bez duszy". Józef Kossakowski, biskup inflancki, został powieszony na ostatniej szubienicy przed Bernardynami.[48] Egzekucja czterech powieszonych skończyła się o godzinie 4, a o 8 wieczór odcięto ich ciała i pochowano na polu pod Nalewkami.

Wieszanie zdrajców odbiło się żywym echem w okolicznościowej poezji Powstania Kościuszkowskiego. Mówi o nim np. *Duma dziadów farnych*:

W Starym Mieście, w tej Warszawie
Dokazują cudów prawie,
Szubienice wystawili. [...]
Pierwszy szedł nasz hetman stary,
Wódz on sławny z Alkantary,
Choć hetmani się nie boją,
Umarł z strachu śmiercią swoją.
Graf Zabiełło, wódz Pogoni,
Wódz to sławny z swych morałów,
Brat dwóch wielkich generałów,
O nim wszędzie szmer przechodził,
Że ze strachu się usmrodził.

[46] Tamże, s. 168—170; W. Tokarz, *Insurekcja warszawska 17 i 18 kwietnia 1794 roku*, s. 254.
[47] W. Smoleński, *Mieszczaństwo warszawskie w końcu wieku XVIII*, s. 222—230.
[48] J. Kitowicz, *Pamiętniki do panowania Stanisława Poniatowskiego*, Poznań 1845, t. II, s. 236—239.

Zachowało się także kilka wierszowanych nagrobków powieszonych. Oto nagrobek Kossakowskiego:

Tu leży ten, co Moskwę przywiódł do stolicy.
Zbrodniarz — umarł nie w łóżku, lecz na szubienicy.
Powieszon w samym rynku, ażeby widziano,
Jak zdrajców własnej ziemi w Polsce ukarano.

Wkładano w jego usta moralizujące pożegnanie:

Oszukałem tron, szlachtę, oszukałem księży,
Nie widziałem, że naród przecie mnie zwycięży,
Biada temu, kto zechce mieć złą sprawę z ludem:
Urwać się z szubienicy można chyba cudem.

Podobny nagrobek przygotowano dla Ankwicza:

W młodym wieku szedł w górę przez okropne zdrady,
Był posłem, kasztelanem, był marszałkiem Rady,
Rozum, piękność, wymowa szlachtę omamiało,
A pospólstwo po prostu obwiesić kazało.

Ostrze satyry uderzało także w króla i jego najbliższą rodzinę.

Książę prymas zwąchał linę,
Wolał proszek niż drabinę

mówiono o śmierci Michała Poniatowskiego. Aluzje do wypadków paryskich znaleźć można np. w wierszu:

Sen miałem przeszłej niedzieli,
Że zdrajcę jakiegoś wzięli.
Głowę mu z karku strącono,
Patrzę — aż głowa z koroną.[49]

W późniejszym terminie, 17 maja, powieszono mniej sławnych zdrajców. Za Nalewkami o 10 rano zawisł na szubienicy Wacław Rogoziński, urzędnik jurysdykcji marszałkowskiej, pomocnik Baura w kierowaniu rosyjską organizacją szpiegowską i uczestnik licznych rewizji, aresztowań i śledztw. Próbował on powstrzymać wystąpienia ludowe z dnia 17 kwietnia. Powieszono go z następującym nagrobkiem:

Dorabiał się majątku, czerniąc własną sławę,
Najemnik obcych intryg — szpiegował Warszawę,
Źle począł, bo od własnych rodaków gnębienia,
Teraz wisi. Czyż nie wart takiego wspomnienia? [50]

Przyjazd do Warszawy przywódców powstania, Ignacego Potockiego i Hugona Kołłątaja, stał się wielką manifestacją ludową. 24 maja ogromne tłumy zgromadziły się na rogatkach od strony Ujazdowa. Lud chciał Potockiego nieść na przygotowanym krześle, a Kołłątaja wieźć w powozie, wyprzęgnąwszy konie. „Lecz skromność ich tego nie dozwoliła, a lud naleganiu i prośbie usilnej ulec musiał. Zatem jeden z nich pieszo szedł po podróżnemu ubrany, otoczony licznym ludem z muzyką. Municypalni w mundurach swych konno wprzódy jechali, dając mu miejsce. [...]

[49] J. Nowak-Dłużewski, *Poezja Powstania Kościuszkowskiego*, Kielce 1946, s. 70—83.
[50] Tamże, s. 76; W. Tokarz, *Warszawa przed wybuchem powstania 17 kwietnia 1794 roku*, s. 85—89.

Drugi [Kołłątaj] dla słabości w nogach jechał w pojeździe, równą otoczony kawalkatą, paradą i aplauzem. Przybyli na ratusz byli powitani od wszystkich tam przytomnych, skąd udali się do prezydenta. Wieczorem Warszawa zapłonęła ogniem iluminacyji." [51] Przybyli utworzyli Radę Najwyższą Narodową i zaczęto przygotowywać się do oblężenia miasta przez kopanie okopów i rozwijanie przemysłu zbrojeniowego.

Umiarkowane stanowisko Rady i samego Naczelnika nie mogło zadowolić lewego skrzydła powstania. Wywołało to powtórne wypadki wieszania zdrajców w dniach 27 i 28 czerwca. Do wzburzenia ludu przyczyniały się wieści o kapitulacji Krakowa i klęskach pod Szczekocinami i Chełmem. Agitatorami byli przede wszystkim współpracownicy kuźnicy kołłątajowskiej: Konopka, Dembowski, a także księża Jelski i Mejer. Samego Kołłątaja, według popularnych pogłosek, „28 czerwca niektórzy na balkonie przypatrującego się widzieli i że się miał znakami do szyi zmierzającymi pytać, czy się egzekucja odbyła?" [52] Charakterystyczna jest zbieżność nazwisk mieszczan między uczestnikami walk o Warszawę i tymi, którzy brali udział w wieszaniu zdrajców. Tak więc o podburzanie pospólstwa oskarżano księdza Floriana Jelskiego, który prowadził nieraz osobiście lud na okopy „dla usunięcia, jak mówił, tej opinii, że stan duchowny do niczego się nie przykłada". Zeznawał później wprawdzie, że przyglądał się egzekucji biskupa Kossakowskiego jakoby tylko z ciekawości, „z jaką ceremonią degradacyja jego odbyć się ma". Zarzucano mu jednak, że był jednym z ważniejszych współpracowników głównego agitatora Kazimierza Konopki, i tylko wpływy Kołłątaja uwolniły później ich obu od szubienicy. Kary za udział w wypadkach majowych i czerwcowych były surowe. „Dekret sądu kryminalnego przeciw burzycielom spokojności publicznej na dniu 28 czerwca", podpisany przez prezydenta Zakrzewskiego 24 lipca 1794 r., skazywał Konopkę na wygnanie ze względu na jego olbrzymią popularność wśród pospólstwa warszawskiego. Na wieść o jego aresztowaniu tłumy otoczyły pałac Brühlowski. Inny z agitatorów, Jan Dembowski, skazany został na pół roku więzienia. Najpoważniejsze kary dosięgły przedstawicieli pospólstwa: na śmierć przez powieszenie skazano Józefa Piotrowskiego, przekupnia Andrzeja Dziekońskiego, mularza Tadeusza Delgierta, handlarza sianem Dominika Jasińskiego, pastucha Stefana Klonowskiego, konowała (tj. weterynarza) Tomasza Sawickiego i mularza Wawrzyńca Burzyńskiego.[53] Wszyscy niemal ci ludzie brali udział zarówno w wieszaniach zdrajców, jak w walce o wyzwolenie Warszawy.

Po egzekucjach i podczas coraz bardziej uciążliwego oblężenia stolicy opadły nastroje rewolucyjne. Burzliwe pospólstwo zaciągnęło się do wojska, pracowało w manufakturach czy służyło w milicji miejskiej. W niej wyróżniano jednak „zamożniejszych mieszczan, posiadających mundury municypalne, którym powierzono stale służbę na Zamku". Pogarszała się sytuacja gospodarcza i zaopatrzenie w żywność oblężonego miasta. Ludność odnosiła się nieufnie do papierowych biletów skarbowych. Kursowały także cetle mennicze, zwane müntzcetlami, wydawane za srebro.

[51] W. Smoleński, *Mieszczaństwo warszawskie w końcu wieku XVIII*, s. 231.

[52] J. Kitowicz, *Pamiętniki do panowania Stanisława Poniatowskiego*, Poznań 1845, t. VI, s. 229.

[53] Tamże, s. 222—229; W. Tokarz, *Warszawa przed wybuchem powstania 17 kwietnia 1794 roku*, s. 273—280.

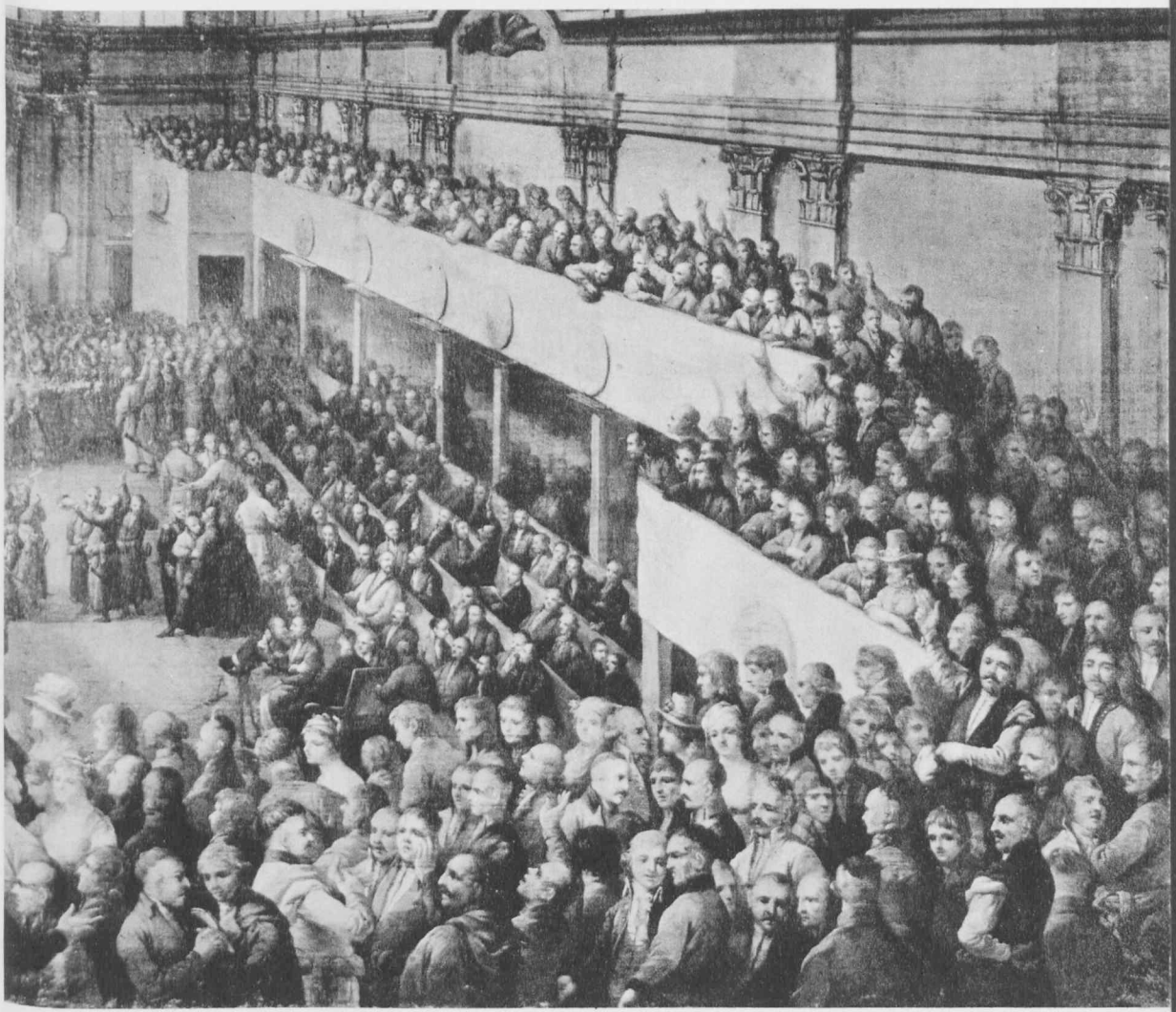

124

BIBLIOTEKA PUBLICZNA M. ST. WARSZAWY



125



126

BIBLIOTEKA PUBLICZNA M. ST. WARSZAWY 1907

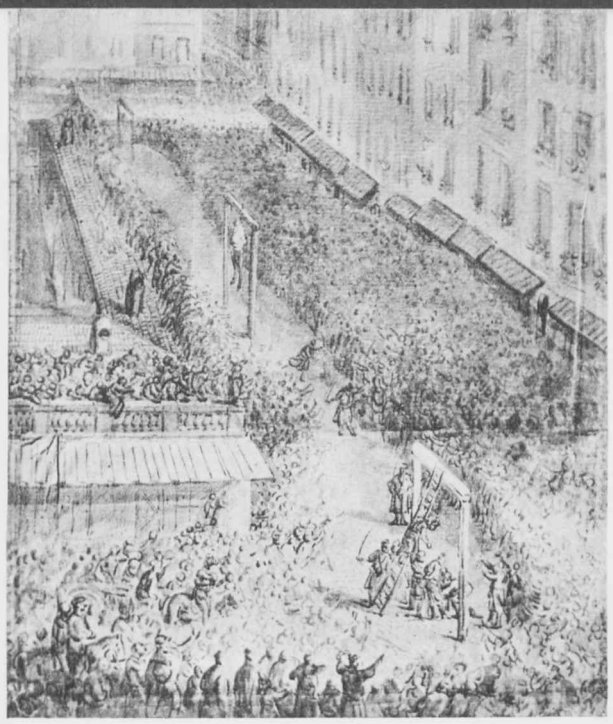

127

128



Nie miały przymusu obiegu, lecz spełniały rolę drobnej monety. Były to krótkotrwałe, bezprocentowe zobowiązania mennicy warszawskiej, która je później wymieniła na pieniądze.[54]

W oblężonym i otoczonym mieście życie toczyło się jednak wartkim strumieniem. Na ratuszu Starej Warszawy niestrudzenie urzędował drobny, trochę garbaty prezydent Zakrzewski. Opuszczał swe biurko tylko dla ratowania więźniów z rąk groźnego tłumu, czy aby zaprosić na obiad nie dbającego o siebie Naczelnika wraz z adiutantami. Pracował on niestrudzenie nad sprawami administracyjnymi miasta, odrzucając olbrzymie ilości podań o uwolnienie od służby wojskowej. Pod tym względem twarde były rządy powstańcze, a ciężar służby wojskowej spadał często na najbiedniejszych i najmniej ustosunkowanych. Niektóre z odmów, zapisanych starannym pismem prezydenta, były sformułowane dowcipnie czy wręcz złośliwie. Tak więc na podaniu o uwolnienie robotnika rzekomo „głuchego i głupiego" odpisał: „Głupiego się chętnie z domu pozbywają, a do tego i głuchego. Winszować sobie może suplikantka, że się zda i wzięty jest do wojska." Odmawiał także szlachcie i Żydom. Np. na podaniu o uwolnienie nauczyciela żydowskich dzieci odpisał: „w proroctwach żydowskich jest, iż ten tak wielki nauczyciel ma wielkiego wodza nieprzyjacielskiego zabić. Niech więc idzie do wojska". Odmawiał także uwolnienia od służby wojskowej werbownikom zaciągającym uprzednio ochotników. W trudnych czasach należało rządzić Warszawą twardą ręką, co nie przychodziło łatwo temu spokojnemu, pracowitemu człowiekowi.[55]

Ogólne rządy nad Warszawą sprawowała od 17 kwietnia do 28 maja 1794 roku Rada Zastępcza Tymczasowa, później zaś Rada Najwyższa Narodowa. W ciągu pierwszego miesiąca stolica była odcięta od dowództwa powstania, co powodowało szereg trudności w podejmowaniu bardziej doniosłych decyzji. Na plan pierwszy w rządach stolicą wysunęło się zamożne i oświecone mieszczaństwo. Nie umiało ono zużytkować ruchu ludowego i zdawało sobie sprawę z prowizoryczności swych decyzji. Od razu przystąpiła do pracy Deputacja Indagacyjna, zajmująca się badaniem papierów ambasady rosyjskiej, zawierającej listy współpracowników władz rosyjskich. Przeprowadzała ona wstępne śledztwo i kierowała winnych do Sądu Kryminalnego Księstwa Mazowieckiego i do Sądu Kryminalnego Wojskowego. Z papierów śledczych wyłania się ideologia tego pierwszego okresu warszawskiej Insurekcji. Do najważniejszych pytań, jakie zadawano oskarżonym, było wyrażenie ich stosunku do Konstytucji 3 Maja i do rewolucji francuskiej.[56]

Najbardziej radykalni uczestnicy Insurekcji — jakobini, po intensywnej agitacji ludu w okresie majowego i czerwcowego wieszania zdrajców i manifestacji, zostali rozproszeni. Dość licznie skupiali się oni w różnych klubach i zgromadzeniach. Trudno byłoby określić ich ilość. Oto wiadomość z listu z 28 stycznia 1794 roku: „Igelström w tych dniach przywołał Moszyńskiego i mówił mu, że jest na czele policji, a cierpi w mieście jakobinów, których jest więcej jak 2000. Moszyński na

[54] W. Tokarz, *Żołnierze kościuszkowscy*, Kraków 1915, s. 18; A. Grodek, *Pieniądze papierowe podczas Insurekcji 1794 roku*, Warszawa 1927, s. 18.

[55] W. Tokarz, *Rozprawy i szkice*, „Prezydent Zakrzewski przy pracy", s. 320—330.

[56] Tamże: „Warszawa za rządów Rady Zastępczej Tymczasowej", s. 202—261; „Deputacja Indagacyjna", s. 264—318; „Papiery ambasady rosyjskiej", s. 152—166.

to: «Jest przeszło 50 000, bo wszyscy uciśnieni są nimi».” W tak rozbieżnych ocenach ilościowych pierwsza była niewątpliwie bliższa prawdy, gdy szło o uświadomionych politycznie działaczy. Podczas Insurekcji Kościuszko był przeciwny wszelkim zgromadzeniom i klubom. Zgodził się jednak na zgromadzenie pod nazwą Dom Kawy, czyli Cassino w pałacu Borcha przy ul. Miodowej. Zgromadzenie Przyjaciół Konstytucji kontynuowało swą działalność w pałacu Radziwiłłowskim na Krakowskim Przedmieściu (dzisiejsze Prezydium Rady Ministrów). Związek Rewolucyjny obradował w kolegium pojezuickim na Starym Mieście w ułatwiającej te spotkania traktierni. Część radykałów występowała pod długą nazwą: Zgromadzenie Obywateli Ofiarujących Pomoc i Posługę Magistraturom Narodowym w Celu Dobra Ojczyzny, i zbierała się w pałacu Ogińskich przy ul. Rymarskiej. Bardziej poufnym miejscem spotkań w czasie Insurekcji był klasztor kapucynów przy ulicy Miodowej. W późniejszych fazach powstania miejscem zebrań jakobinów był „dom kotlarski” przy ul. Podwale. Zgromadzenie na Utrzymanie Rewolucji i Aktu Krakowskiego obradowało w dużej sali zboru ewangelickiego.[57] Działalność radykałów powstania szła w kierunku organizowania mas ludowych, aby przez nie wywierać nacisk na kolejne formy rządu. Wyliczyć wśród nich można ludzi różnego pokroju od działaczy i trybunów ludowych do myślicieli i teoretyków. Niektórzy z nich odegrali różne role polityczne w Księstwie Warszawskim, jak np. generał Zajączek czy Józef Kalasanty Szaniawski, który w starszym wieku był uciążliwym cenzorem i generalnym prokuratorem Królestwa Kongresowego.

Działania grup młodych radykałów były torpedowane przez przybierające na sile elementy konserwatywne. Znajdowały one zawsze poparcie w królu, który pomimo strzeżenia go na Zamku jak więźnia czy raczej zakładnika umiał wykorzystać obawy zamożnych mieszczan przed powstaniem ludowym. Starał się on o gesty zaznaczające sympatię dla działań powstańczych, jednakże zawsze spotykał się z nieufnością ludu. Udaremniono mu próbę ucieczki, a gdy próbował pomóc w sypaniu szańców, „przyszedł do niego jeden pan Iwaszkiewicz, któren rzekł do króla: «Najjaśniejszy Panie, racz Wasza Królewska Mość rzucić tęż rydlówkę, bo gdzie tylko sam zakładasz fundamenta, to się zaraz wywracają»”. Udaremniono także ucieczkę generałowej Grabowskiej i Chodkiewiczowej wiozących ogromną ilość klejnotów.[58]

W dniu 6 września Prusacy odstąpili od oblężenia Warszawy, co jednak nie na długo poprawiło nastroje w mieście. Po klęsce pod Maciejowicami: „Gdy ta nieszczęśliwa nowina doszła nas tu, w Warszawie [...] cóż to za płacz wielki był i narzekanie! Każdy zaraz uszy na dół opuścił, w każdym energia ustała; w Radzie zrobiło się wielkie zamięszanie.” Dnia 4 listopada Rosjanie zdobyli Pragę i urządzili pamiętną rzeź: „bez pardonu matki i najmniejszych dzieci rżną, na bagnety biorą i rzucają na ulice. Matkom zaś nie dość, że ich zabito, ale po ulicach one gołe rozkładali i między nogi spisy wtykali, tak dalece, że im gardłem wyłaziły. Inne zaś w ogień wrzucano i żywcem palono; inni, nie mogąc dostać się na most, prosto w Wisłę skakali i topili się; choćby się był kto pływaniem ratował, ale ka-

[57] B. Leśnodorski, *op. cit.*, s. 201—206.
[58] *Jana Kilińskiego... Drugi pamiętnik*, s. 121—122 i 139—140.

waleria, która prosto wpław maszerowała, końmi tratowano [...] płynących".[59] Podczas rzezi Pragi dziedziniec zamkowy zapełnił się przerażonym ludem: „Mnóstwo kufrów, skrzyń, pak, szkatułek i tłumoczków zajmowało korytarz. Kobiety wieku różnego, starcy, dzieci jak gdyby obozem mieścili się po różnych zakątkach." [60]

Dnia 9 listopada magistrat warszawski zgromadził się na ratuszu przed 9 rano, udał się do mostu i tam witał wjeżdżającego generała Suworowa. Wojsko z armatami i bagażami wchodziło do miasta przez dwa dni. Zaraz zorganizowano specjalne rządy sprawników dla rozsądzania codziennych spraw miejskich. Sądzili w nich oficerowie rosyjscy przy współudziale przedstawicieli mieszczaństwa. Wyroki zapadały surowe: „Jeden rzeźnik, a do tego cechmistrz dobrze majętny, osądzony takim sądem na 100 batogów za to, że nie było mięsa w jatkach, a które, aby było, przykaz był surowy, dawał 100 czerwonych złotych, wykupując się od plagi; lecz sąd sprawniczy nie przyjął ofiarowanego okupu, kazał go sprawić na ławie podług dekretu zapadłego i nazajutrz mięsa pełno było w jatkach." Ostre te kary uderzały w uczestników Insurekcji, np. „rzeźnika Sierakowskiego za podobnoż niedostawienie mięsa zabili na śmierć batogami na ulicy".[61] Ostre represje uderzały w zbiedniały lud stolicy.

Pół roku rewolucji warszawskiej — tak powstanie określali współcześni — pozostawiło tradycje wśród pospólstwa, które oczyściło swe miasto z najeźdźców i zdrajców. Gdy w następnym roku biskup Albertrandy potępił w słynnym kazaniu wielkanocnym rozruchy roku poprzedniego, natychmiast spotkał się z odpowiedzią poetów Marcina Molskiego i Jana Drozdowskiego:

Ale ci życzę, głupcze zagorzały,
Schowaj zawczasu miłe ci kazania,
Bo sobie nimi nie narobisz chwały,
A choć ci tego dziś nikt nie zabrania —
Jednak cię mogę uprzedzić, zły popie,
Że jeszcze na cię zrodzą się konopie.[62]

Na codzienne życie polityczne w Warszawie składały się zjadliwe satyry i paszkwile, dyskusje sejmowe, manifestacje ludowe, rozruchy uliczne i wystąpienia zbrojne, podziemna działalność jakobińskich klubów i dyskusje przy kuflu piwa zwykłych rzemieślników, błahe plotki i straszliwe zdarzenia polityczne. Codzienność życia politycznego Warszawy składała się właśnie z przeżyć i opinii różnych warstw jej mieszkańców. Wypadki polityczne zachodzące w stolicy były szczególnie ważne. Rzutowały one na sytuację całego kraju. Może w żadnym okresie swej dotychczasowej, stołecznej roli Warszawa nie przodowała w tym stopniu całej Rzeczypospolitej. Na nią były zwrócone oczy wszystkich pilniej śledzących wypadki polityczne. Właśnie przed samym upadkiem dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej Warszawa w swej żywej aktywności politycznej reprezentowała interesy całego narodu. Nawet ostrze dawnego szlachecko-mieszczańskiego antagonizmu,

[59] Tamże, s. 164 i 169.
[60] E. Rostworowski, *Ostatni król Rzeczypospolitej. Geneza i upadek Konstytucji 3 Maja*, s. 309.
[61] J. Kitowicz, *Pamiętniki do panowania Stanisława Poniatowskiego*, Poznań 1845, t. VI, s. 6—7.
[62] R. Kaleta, *Poezja antytargowicka i jakobińska*, s. 31.

316 konkurencji Starej i Nowej Warszawy i jurydyk, zostało wydatnie stępione. Dramatyczne wypadki polityczne skonsolidowały społeczeństwo miejskie, wytworzyły odporność psychiczną, manifestującą się od tej pory aż do dnia dzisiejszego błyskawiczną reakcją kpiny czy celnej anegdoty, przygotowały oświeconych działaczy do powstań i pracy organicznej czasów porozbiorowych. Okres Sejmu Czteroletniego i Insurekcji warszawskiej odegrał doniosłą rolę w ostatnich stu kilkudziesięciu latach naszej historii.

BIBLIOTEKA PUBLICZNA M. ST. WARSZAWY 1907
N. 32287

INDEKS OSÓB

Abrahamowicz Całek 308, 309
Abrahamowicz Grzegorz 149
Abramowicz Szmul 60
Ackermann Konrad Ernst 264
Adams, piwowar 70
Agrikola, płk inż. 239
Aigner Piotr 20, 44
Albani Jan Franciszek 264
Albertini Gioacchino 281
Albertrandy Jan Chrzciciel 315
Aleksandrowicz Jan 225
Aloy Jan Baptysta 282
Aloy Ludwika, zam. Rożniecka, 2 v. Potocka 270
Alvarez Emanuel 192
Amadio Giuseppe 23
Amorevoli Angelo 266
Ancuta Jan 224
Andreani, śpiewak 281
Andrychiewicz Antoni Kazimierz 110, 111
Andrychiewicz Franciszek Ksawery 227
Andrychiewicz Jakub 109—111, 113
Andrychiewicz Paweł 287
Andrychiewiczowa Anna z Fontanów 110, 111, 113
Andrychiewiczów (Andrychowiczów) rodzina 59, 109—111
Ankwicz Józef 40, 50, 106, 107, 310, 311
Anna, cesarzowa rosyjska 284
Anna Danuta, księżna mazowiecka 231
Arbes zob. D'Arbes
Armant Sophie zob. Blanchard Sophie
Assorodobraj Nina 154
August II, król polski 11, 18, 21, 64, 99, 105, 149, 157, 203, 285
August III, król polski 15, 16, 25, 30, 74, 76, 99, 106, 150, 203, 232, 263, 265, 266, 283—285, 287

Bacciarelli Anna (Annette) 101
Bacciarelli Joanna Fryderyka, ur. Richter 101
Bacciarelli Marcello 16, 17, 97, 98, 101, 201
Bacciarelli Maria (Manon), zam. Wilczewska 101
Bach, eksperymentator 211
Bacher Jędrzej 176
Baczyński Stanisław Kostka 223
Badeni Stanisław 304
Badeniowa Marianna z Wawrzeckich 125
Balsamo Giuseppe (Alessandro Cagliostro) 260
Bańkowski Piotr 205
Baranowski Bohdan 155
Baranowski Ignacy Tadeusz 221
Barbier, perukarz 172
Barozzi Giacomo zob. Vignola
Barss Franciszek 210, 223, 272
Barssowa Franciszka z Gaudzickich 277
Barszczów rodzina 57
Bartoszewicz Julian 232
Baryczków rodzina 56
Bastona Focher Marta 264
Bates, treser koni 261
Batowski Zygmunt 23, 101, 201
Battoni Pompeo 100
Bauch Teodor 213
Baudouin Jan 210, 271—273
Baudouin Piotr Gabriel 232
Baur Karl 306, 311
Beaumarchais Pierre Augustin Caron de 270, 271, 274
Beaumont Jeanne Marie Le Prince de 201
Bellotti rodzina 59
Bellotti Józef Szymon 24
Bełza Igor 282
Benezetowa Antonina zob. Dekertowa Antonina
Benini, śpiewaczka 279
Ber, właściciel szulerni 61
Berdecka Anna 24, 33, 34, 39, 48, 70, 73, 79, 146, 165, 177
Bernacki Ludwik 269, 276
Bernardi, współwłaściciel farfurni 94, 173
Bernoulli Johann 24, 29, 53, 99, 108, 189, 208, 209, 217, 218

Bertoldi Antonio 264, 266
Beyer, kupiec z Długiej 151
Bibiena Giuseppe Galli da 263
Bielawski Józef 268
Bieliński Franciszek 9, 59, 64—67, 72, 73, 76, 78, 255
Bieniecki Zdzisław 11
Biester Johann Erich 14, 53, 143, 221
Bini Marco 151
Bizesti Michał 271
Bizesti Piotr 35, 189
Blanc zob. Blank
Blanchard François 211, 212
Blanchard Sophie, ur. Armant 211, 212
Blank Piotr 22, 25, 56, 99, 258
Blanków (Blanc) rodzina 20
Bobrowski Zdzisław 41, 42, 193, 196, 232, 233, 235
Boccarella Francesca 279
Boeckler Jan 239
Boelcke Józef Ignacy 215
Bogdanowicz Szymon 38
Bogdanowiczów rodzina 59
Bogucki Jan 183, 184
Bogusławski Wojciech 271—275, 277—279, 306
Bohdziewicz Piotr 23, 35
Bohomolec Franciszek 112, 211, 215, 245, 266, 269, 271, 273, 276
Bohomolec Jan 309, 310
Boiseglin de Kerdu zob. Kerdu
Bol Ferdinand 98
Bonafini Caterina 279, 281
Bonafus Jakub 38, 39
Bonderman, perukarz 172
Bono, kupiec 191
Borch Jan Jędrzej Józef 277, 314
Borch Michał Jan 51
Borchowa Ludwika z Zyberków 270
Borde Jean Baptiste de la 205
Bordone Paris 99
Bordoni Faustina 265, 266
Borejko Piotr 140
Bormann, kupiec z Marywilu 95
Borusławski Józef 261
Borzęcki Piotr 147
Boscamp (Boskamp) Lasopolski Karol 19
Bosroger Adam Ludwik 196
Boudier de Villermet Pierre Joseph 205
Bracolini Pasquale 266
Branicka Elżbieta (Izabela) z Poniatowskich 99, 258
Branicka Elżbieta, zam. Sapieżyna, zob. Sapieżyna Elżbieta
Branicki Franciszek Ksawery 140, 210, 270, 276, 296—301
Branickich (Gryf) rodzina 22
Bratkowski Józef 270
Brückner Aleksander 195, 201, 218
Bruegel Pieter 117
Brühl Alojzy Fryderyk 270
Brühl Henryk 21
Brühlowa Marianna Klementyna z Potockich 285
Brühlówna Maria Amalia zob. Mniszchowa Maria Amalia
Bruszniakowski, krawiec 38
Brzeski Chrystian 61
Bukar Seweryn 62
Bukowski Jerzy 226
Buliński Mikołaj 37
Burzyński Wawrzyniec 312
Bussano zob. Buzana
Butrymowicz Mateusz 138
Buxhövden Fiodor Fiodorowicz 77
Buzana (Bussano) Walenty 219
Bystroń Jan Stanisław 149, 160
Byszewski Arnold 288

Cabrit zob. Kabryt
Cader, właściciel garbarni 178
Caesar Gaius Julius 97, 139
Caetani zob. Gaetani
Caffieri Jean Jacques 97
Cagliostro Alessandro zob. Balsamo Giuseppe
Calahora zob. Kalahora
Campioni rodzina 59
Canaletto Bernardo Bellotto 23, 35, 38, 45, 46, 86, 87, 97, 121, 129, 132, 138, 262
Canzachi Giovanni Camillo 264
Capella, pomocnik Torriego 259
Carlencas Félix de Juvenel de 205
Carluccio, cukiernik 151
Carosi Jan Filip 209
Carracci Annibale 98, 99, 117
Carriera Rosalba Giovanna 99
Carton zob. Charton
Casa de la, właścicielka pensji 201

Casanova Zanetta (Giovanna) 264
Casasopra Paulo 23
Castello Mateusz 15
Catai (Gattai) Katarzyna zob. Tomatis Katarzyna
Celner, właściciel domu 71
Chałuppa Wacław 59
Chambers William 52
Charton (Carton) Jakub 175
Charton Jakubowa 175
Charton, córka Jakuba 175
Chaussée zob. La Chaussée
Chevalier, perukarz 172
Chiaveri Gaetano 15
Chmielowski Benedykt 203
Chodkiewiczowa Ludwika z Rzewuskich 314
Chreptowicz Joachim Litawor 198
Chudek Józef 23, 35
Cieszkowski Ludwik 75, 102, 305
Cimarosa Domenico 274, 279, 281
Clair de, antreprener fiakrów 88—90
Clermont, modniarka 171
Collot d'Herbois Jean Marie 272
Comelli Marianna zob. Merlini Marianna
Comus (Nicolas Philippe Ledru) 213
Condé Louis 147
Corneille Pierre 266
Cornelio Luigi 266
Correggio Antonio Allegri da 99
Coxe William 18, 27—29, 143
Cumano Maria de zob. Schütterowa Maria
Curz zob. Kurtz
Czacki Michał 191, 300
Czacki Tadeusz 222, 228
Czacki, smakosz 147
Czajewski Wiktor 178
Czaplic Celestyn 29
Czapski Antoni 63
Czapski Józef 228
Czapskich rodzina 13
Czarnek Mateusz 226
Czarnowski Stefan 202
Czartoryska Elżbieta (Izabela) z Flemingów 27, 28, 51, 88, 99, 108, 109, 120, 143
Czartoryska Elżbieta (Izabela), zam. Lubomirska, zob. Lubomirska Elżbieta
Czartoryski Adam Kazimierz 28, 51, 52, 143, 196—198, 200, 201, 205, 218, 259, 270, 271, 276, 278, 297
Czartoryski Aleksander August 21, 139, 244, 256
Czartoryski Michał Fryderyk 139
Czartoryskich rodzina 13, 20—22, 57, 106, 213, 296, 298
Czechowicz Stanisław 184
Czechowicz Szymon 106, 201
Czempińska Józefa, zam. Weiglowa 111, 112
Czempińska Karolina, zam. Izbińska 111, 112
Czempińska Marianna, zam. Tańska 111, 112
Czempińska Prowidencja z Fontanów 245
Czempińska Teresa, zam. Siemianowska 111, 112
Czempińska (?), aktorka zob. Czenpińska
Czempiński Jan 235
Czempiński Jan Baptysta 111, 235, 239—241, 245
Czempiński Kazimierz 287
Czempiński Paweł 235
Czempińskich (Czenpińskich) rodzina 113, 245, 282
Czenpińska (Czempińska?), aktorka 277
Czerniecki Stanisław 147
Czeropiński Bartłomiej 114
Czesław, dominikanin 149
Czyż Jan 150

Dahaye Jan 172
Dangel Tomasz Michał 168, 169, 174
D'Arbes (Darbes) Cesare 264
Dawidson Jerzy Józef 55, 145
Dąbrowski Antoni 17, 98, 268
Dąbrowski Stanisław 243
Deboli Augustyn 301
Deibel Ksawery 23
Dekert Jan 181, 223, 295, 301, 302
Dekertowa Antonina, 1 v. Dębska, 3 v. Benezetowa 301
Delgiert Tadeusz 312
Dembowski Jan 210, 312
Dembowski Tadeusz 228
Denoyer Jan 189
Dernet, mieszczanin z Pragi 306
Descartes René 194

Descorches de Sainte-Croix Marie Louis, poseł francuski 304
Destouches Philippe 264, 266
Desymanowicz, kupiec winny 149
Deutsch Maciej 10, 72, 239
Deybel Jan Zygmunt 11, 22, 106,
Diderot Denis 7, 265, 268, 271
Dihm Jan 29, 209
Ditters von Dittersdorf Karl 274
Dmochowski Franciszek Ksawery 24, 208, 210, 217
Dmochowski Franciszek Salezy 166
Dogrumowa Maria Teresa (Maria Anna?), ur. de Neri, 1 v. Le Clerque 297
Dolci Carlo 99
Domagalski, właściciel szulerni 61
Domenichini Domenico 281
Domenichini, żona Domenica 281
Donat, snycerz 106
Donatus Aelius 192
Donherman, stolarz 106
Doux zob. Le Doux
Drewnów rodzina 56
Drozdowska Petronela 279
Drozdowski Jan 315
Dubois de Jancigny Jean Baptiste 206, 208, 209
Duchêne Maria Cecylia zob. Merlini Maria Cecylia
Duda-Dziewierz Krystyna 164
Dufour Piotr 189, 218
Dulfus Jan Feliks 61, 81, 189, 287
Dulfusów rodzina 58
Dulski Józef 66, 78, 211
Dumesnil, właściciel szkoły 199
Duninówna Barbara Urszula zob. Sanguszkowa Barbara Urszula
Duńczewski Stanisław 211
Dupont (du Pont) Jan Chrzciciel 235, 239
Duranda, poseł hiszpański 257
Dussek (Dušek) Jan Ladislav 281
Duval Henrietta 149
Duval Henryk 149, 150
Dyck Antonius van 98
Dymitrowicz, handlarz wołami 306
Działyński Ignacy 305
Dzianotów rodzina 56
Dziarkowska Felicjanna 150
Dziarkowski Hiacynt 235
Dziarkowski Jan Jakub 150
Dziarkowski Józef 150, 305
Dziekoński Jędrzej 307, 312
Dzierzbicki Teofil 40
Dzierżanowski Ignacy 226

Ebert Chrystian 58
Edling Jan Piotr 205
Egerzdorff Józef 308
Eile Henryk 229
Eisbach Karol 216
Elżbietka, kawiarka 197
Endrei W. 247
Erndtel Christian Heinrich 71
Estreicher Stanisław 125

Fergusson rodzina 56
Fichte Johann Gottlieb 61, 209
Filipowicz Marcin 138
Filsjean Jan 185
Fiorillo Federico 281
Fiszer, stolarz 106
Flaczkiewicz, przywódca pogromu Żydów 303
Fleminżanka Elżbieta (Izabela) zob. Czartoryska Elżbieta
Flüs, kapelmistrz 176
Focher Marta zob. Bastona Focher Marta
Fontaine zob. La Fontaine
Fontana Antoni 149, 189
Fontana Jakub 16, 20, 22, 35, 42, 44, 58, 75, 193, 232
Fontana Józef 44, 90
Fontanów rodzina 58
Fontanówna Anna zob. Andrychiewiczowa Anna
Fontanówna Prowidencja zob. Czempińska Prowidencja
Fookowitz Franciszek 196
Forestier, restaurator 148
Forster Georg 279
Fort le, właścicielka pensji 201
Fort (Piotr?) zob. Le Fort
Fortia de Piles zob. Piles
Fox (Fux), krawiec 303
Fragonard Jean 98
Friese zob. Fryze
Fryderyk Wilhelm II, król pruski 293
Fryze (Friese) rodzina 58, 237
Fryze Antoni 287

Fryze Jan 58
Fukierów rodzina 32, 57
Fuksberger, zarządca garbarni 178
Fux zob. Fox

Gaetani (Caetani), kapelmistrz 281
Gagatkiewicz Walenty 235
Galli da Bibiena zob. Bibiena
Galuppi Baldassare 273
Galwicz, „uczeń Comusa" 213
Gamerski Tylman zob. Tylman z Gameren
Gardel Pierre 275
Gassmann Florian Leopold 269, 274
Gattai (Catai) Katarzyna zob. Tomatis Katarzyna
Gaudzicka Franciszka zob. Barssowa Franciszka
Gaudzicka Maria 277
Gautier (Gauthier) rodzina 58
Gautier Jan 189
Gay bracia, księgarze 219
Gerżabek Antoni 98, 268
Getzker Michał 178
Ghigiotti Kajetan 106
Gidelski, eksperymentator 211
Giedroyć Franciszek 66—70, 74, 81, 155, 233—235, 237, 238
Giedroyć Jan Stefan 41
Gierowski Józef 120
Gieysztor Aleksander 20, 34, 36, 44
Gigli Bernardo 261
Gizów rodzina 56
Glayre Maurice 120
Gluck Christoph Willibald 281
Goldoni Carlo 264, 269, 273, 274
Goliński Zbigniew 139
Gołębiowski Łukasz 138, 146—148, 245, 247, 249, 285, 286
Gomulicki Juliusz Wiktor 88, 150, 187, 212, 215, 218, 219, 225, 226, 258, 259, 275, 305
Gomulicki Wiktor 187, 232, 287
Gorecki Antoni 142
Gossard Paweł 175
Gossec François Joseph 281
Gozdzka Karolina zob. Nassau-Siegen Karolina von
Górski Marcin 184
Grabowska Elżbieta z Szydłowskich 35, 289, 314
Grabowski Ambroży 125
Grabowski Paweł 309
Graefówna Regina zob. Steinerowa Regina
Graff Jan Michał 23
Grassi Józef 101
Greuze Jean Baptiste 100
Grochulska Barbara 55, 163
Grodek Andrzej 313
Gröll Michał 58, 95, 189, 207, 217, 218
Grotyński Ignacy 165
Guercino 99
Gugenmus Franciszek 166
Gurowski Roch Władysław 84, 101, 234
Gurski Wincenty 301

Hadikówna Anna zob. Lubomirska Anna
Halley Edmond 210
Hampla (Hampeln) Franciszek 34, 94, 95, 189
Hannibal 97
Hardouin Konstancja zob. Plerschowa Konstancja
Hardouin, poczmistrz 116
Harris James 140
Hasse Johann Adolf 265, 273, 280, 281
Hauman Filip Wacław 308
Heine Johann 256, 275
Hekel, zegarmistrz 106
Hempiński Jakub 278, 279
Hennequin Pierre 76, 206
Herbert George Augustus, lord Pembroke 27
Herbois zob. Collot d'Herbois
Herbst Stanisław 9, 17, 20, 34, 36, 40, 44, 48, 306
Herman Ignacy 153
Heyking Karl Heinrich von 266
Hilverding Peter 264
Hipokrates 113
Hiż Franciszek 35, 76
Hiż Jan August 77
Hofman (Jakub Fryderyk Hoffman?), chirurg 235, 236
Holstein-Böck Anna von zob. Orzelska Anna
Homola-Dzikowska Irena 215
Horatius Flaccus Quintus 117

Hube Michał 198, 206, 207, 208
Huillier zob. Lhuillier (L'Huillier)
Hurtig Kasper 23, 34, 94
Hurtigów rodzina 58
Hyam, treser koni 261

Igelström Osip Andriejewicz 274, 305, 306, 308, 314
Iwaszkiewicz, sypiący szańce 1794 314
Izbińska Karolina zob. Czempińska Karolina

Jabłonowska Anna zob. Wodzicka Anna
Jabłonowska Tekla z Czaplicôw 101
Jabłonowski Józef Aleksander 214
Jabłonowskich rodzina 22, 57
Jabłoński Tadeusz 70, 239
Jachimecki Zdzisław 273
Jackl Jerzy 264
Jacobson (Jakobson) Fryderyk 24, 41, 57
Jakubowicz Paschalis 35, 59, 185, 188
Jakubowicz Szmul 178
Jakubowiczów rodzina 56
Jan II Kazimierz, król polski 297
Jan III Sobieski, król polski 25, 51, 53, 290
Jankowski Edmund 51
Jardin de, właściciel pensji 201
Jaroszewicz Florian 218
Jaroszewski Tadeusz St. 101
Jarzewicz Henryk 94, 189, 190
Jasińska Magdalena z Łazańskich 279
Jasiński Dominik 307, 312
Jasiński Jakub 197, 209, 225
Jasiński M., malarz 23
Jaśkiewicz Jan 211
Jauch Joachim Daniel 11, 43
Jaucourt Louis de 7
Jelski Aleksander 140
Jelski Florian 210, 312
Jendrysik Augustyn 270
Jerzy II Rakoczy, książę siedmiogrodzki 30
Jezierski Franciszek Salezy 186, 210, 217, 219, 296, 299
Jezierski Jacek 62, 183, 298, 299, 309
Jędrzejewicz Alojzy 188
Jędrzejewicz Stanisław 188
Jędrzejewiczów rodzina 56, 59
Jundziłł Stanisław Bonifacy 204
Juvenel de Carlencas zob. Carlencas

Kabryt Fryderyk 25, 35, 56, 61, 128, 212, 258, 259
Kabrytowa Fryderykowa 128
Kabrytów (Cabrit) rodzina 20, 128
Kaczkowski Dominik 279
Kalahora (Calahora) Aaron Gerson 241, 242
Kaleta Roman 144, 153, 211, 213, 218, 242, 253, 259, 285, 290, 300, 305, 315
Kamieński Maciej 273
Kamińska Marianna 60
Kampfer Józef 281
Kamsetzer Jan Chrystian 17—19, 23, 42, 52, 98
Kapostas Andrzej 56, 291
Karaś Kazimierz 230
Karol Wettin, książę kurlandzki 283
Karpiński Franciszek 209
Kartezjusz zob. Descartes René
Kassata, „kunsztarz" 236
Kaszubiński, krawiec 117
Kaszubiński, kuśnierz 303
Katarzyna II, cesarzowa rosyjska 74, 102, 197, 214
Kaufmann Angelica 98, 100, 101
Kausch Johann Joseph 238
Kelera Józef 225
Kempelen, mechanik 247
Keps, właściciel domu 150
Kerdu Boiseglin de 43, 100, 232, 240, 268
Kicka Józefa z Szydłowskich 246
Kicki Onufry 246
Kifner, lekarz 234
Kiliński Jan 128, 161, 305—308, 314
Kitowicz Jędrzej 94, 112, 120, 122—128, 131, 133—135, 140—144, 148, 151, 152, 156, 158, 161, 171, 177, 182, 189, 192, 193, 207, 222—224, 250, 252, 255, 257, 261, 265, 283, 284, 292—294, 302—304, 310, 312, 315
Klemens XIV, papież 198
Klemens, służący u G. Manugiewicza 61
Klimowicz Mieczysław 139, 144, 213, 227, 256, 264, 269—271, 275—277, 301

Klipsch Karol 174
Klonowski Stefan 307, 312
Kluk Krzysztof 199, 204
Kłopocki kpt., dyrektor zespołu manufaktur 180
Kneusel, burgrabia pałacu Sapiehów 106
Kniaziewicz Karol 197
Kniaźnin Franciszek Dionizy 123, 124, 221
Knöffel Johann Christoph 15
Kobryński, Łęczycanin 301
Kobylański, właściciel zajazdu 306
Koc Jan 207
Kochański Józef 172
Koenig Ludwik 216
Kolasa Jan 205
Kolof zob. Mitzler de Kolof
Kolsonowa, właścicielka kawiarni 150
Kołłątaj Hugo 24, 35, 205, 208—210, 217, 235, 306, 311, 312
Kołłątaj Rafał 210
Komarzewski Jan Chrzciciel 297
Konarski Stanisław 192—194, 199, 205, 266
Konopczyński Władysław 288
Konopka Kazimierz 210, 312
Kopczyński Onufry 198, 208
Kopernik Mikołaj 51, 211
Korn, eksperymentator 211
Kornatowski Wiktor 191
Korsonich Eugeniusz 207
Korzon Tadeusz 165, 174, 228
Kosacka Daniela 146, 176, 177
Kossakowski Józef 40, 107, 120, 310—312
Kossowski Roch 227
Kostrzewskich rodzina 237
Kościuszko Tadeusz 101, 197, 312—314
Kott Jan 25, 26, 172, 242
Kowalska, właścicielka pensji 201
Kowalski Antoni 280
Kowecki Jerzy 274
Kowisch, kapelmistrz 176
Kownacki Andrzej 174
Kozłowski Wincenty 228, 229
Koźmian Kajetan 218, 219
Krajewski, urzędnik Komisji Skarbu Kor. 228
Krafft Per 98
Krajewski Dymitr Michał 121
Krasicki Ignacy 35, 139, 141, 208, 215, 226, 260, 266, 267, 297, 298
Krasińskich rodzina 22
Kraszewski Józef Ignacy 51, 59, 61, 62, 75, 120, 121, 260, 272, 285, 297, 303, 304
Kraushar Aleksander 206, 288, 290
Krauze Krzysztof 169
Kromer Marcin 51
Kropnitz, wicemarszałek królewski 146
Król Aleksander 25, 53, 177
Król-Kaczorowska Barbara 263, 267, 268
Kruckel Jan Jerzy 59
Krusiński Jacek 209
Krzysztofowicz Grzegorz 188
Kubicki Jakub 19, 44, 49
Kuchowicz Zbigniew 149, 152, 155, 157,
Kula Witold 154, 174, 184
Kurdybacha Łukasz 193
Kurowski Franciszek Ksawery 83, 195, 196
Kurowski Maciej 149
Kurtz (Curz) Daniel 275
Kurtz (Kurz) Joseph Felix 275
Kwiatkowski Marek 268
Kwiatkowski, szewc 161

Labruzzi Carlo 100
La Chaussée Pierre Claude Nivelle de 265
La Fontaine (Lafontaine) Leopold 235, 238
Lambert Anne Thérèse de 201
Lampi Giovanni Battista 101
Lang, właściciel kawiarni 150
Laskowski, właściciel kamienicy 309
Lasopolski Karol zob. Boscamp Lasopolski Karol
Latour rodzina 58
Latour Piotr 279
Le Brun (Lebrun) Andrzej 17, 23, 96—98, 201
Le Brun Charles 117
Lech Marian J. 153
Le Clerque Maria Teresa zob. Dogrumowa Maria Teresa
Ledoux François Gabriel 275
Le Doux, Murzyn 38

Ledoux, ur. Lex, modniarka 171
Ledru Nicolas Philippe zob. Comus
Ledwońska, właścicielka pensji 201
Le Fort (Piotr?) 181
Lehndorff Ernst Ahasverus von 18, 27, 106, 108, 297
Leonard, współwłaściciel wytwórni tkanin w Pólkowie 94
Leonardo da Vinci 99
Leonowicz Michał 184
Lessel Fryderyk Albert 20
Lessel Karol 151
Leszczyńska Wiktoria z Milewskich 277
Leśnodorski Bogusław 35, 222, 303—305, 314
Lewinówna Zofia 29
Lewiński Jan Stanisław 161, 163
Lex, księgarz 219
Lex, zam. Ledoux, zob. Ledoux
Lhuillier (Henriette Sophie?) 18, 35
Lhuillier (L'Huillier) Szymon 198, 207
Lind John 206
Linde Samuel Bogumił 205
Lipiński Tymoteusz 249
Lipski Jan Aleksander, biskup krakowski 284
Lipski, perukarz 172
Lobert Wojciech 77
Lobertów rodzina 58
Locke John 194
Loga Wiktor 184
Lokajewski Maciej 189
Lorentz Stanisław 23—25, 27, 45, 97
Lorentz, kapelmistrz 176
Louis Victor 16, 42, 96, 97
Loupi Józef Benedykt 23, 283
Lubieniecka Janina 199
Lubomirska Aleksandra zob. Potocka Aleksandra
Lubomirska Anna z Hadików 120
Lubomirska Elżbieta (Izabela) z Czartoryskich 26—28, 50, 99, 108
Lubomirska Elżbieta (Izabela), zam. Potocka, zob. Potocka Elżbieta
Lubomirska Julia zob. Potocka Julia
Lubomirska Marianna zob. Potocka Marianna
Lubomirski Kazimierz (?) 147
Lubomirski Marcin 202, 258, 259, 280
Lubomirski Stanisław 73, 78, 88—90, 181, 238, 239, 242, 244, 259
Lubomirskich rodzina 16—18, 20, 22, 57

Łazańska Magdalena zob. Jasińska Magdalena
Łazarewicz Michał 171
Łazarewiczowa Urszula 171
Łazarewiczów rodzina 59
Łęczyński, stolnik gostyński 227
Łętowska, właścicielka kamienicy 68
Łodyński Marian 205, 206, 221
Łojek Jerzy 215—217, 219
Łojko Feliks 227
Łopaciński Euzebiusz 117
Łukasiewicz Józef Kazimierz 59
Łukasiewicz Józef Michał 59, 188, 291
Łukaszewicz zob. Łukasiewicz
Łukaszewski Jan 220
Łuskina Szczepan 136, 149, 210, 214, 216—218, 247
Łyszczewskich (Łuszczewskich?) sukcesorzy 68
Łyszkiewicz Maciej 99, 112
Łyszkiewiczów rodzina 20, 56

Mackiewicz Michał 164, 165
Magier Antoni 79, 81—84, 86, 88, 112, 113, 120, 121, 128, 129, 141, 143, 145, 148—151, 161, 169, 171, 172, 176, 190, 211, 212, 215, 218, 219, 223, 240, 245, 256, 258, 259, 261, 263, 293, 308
Maione rodzina 59
Maisonneuve Joseph de 27
Makarowicz, kupiec 188
Makarowiczów rodzina 59
Makulski Franciszek 292
Malinowska Irena 43
Malinowski Karol 216, 217
Małachowski Adam 140
Małachowski Antoni 39, 40, 213
Małachowski Jacek 213
Małachowski Jan 209, 213
Małachowski Mikołaj 213
Małachowski Stanisław 53, 57, 213, 258, 290, 291, 293, 296, 300, 303
Małachowskich rodzina 23, 35
Manugiewicz Grzegorz 61, 114
Mańkowski Tadeusz 100, 174
Maraino Innocente 267
Maraszewski Jakub 149

Marciano, teatyn 207
Maria Józefa, królowa polska 263, 265, 283, 284
Maria Kazimiera, królowa polska 12, 60, 187
Mariański Jan 164, 165
Mariański, kuśnierz 303
Mario, woltyżer 261
Marivaux Pierre 264, 266
Markiewicz Maria 94
Martin, właściciel wytwórni kart do gry 177
Martucci Laurenty 113, 114
Marunowska Agnieszka zob. Truskolaska Agnieszka
Maruszewski Tomasz 210
Massalski Ignacy Józef 198
Masson, perukarz 172
Maszkowska Bożenna 94, 95
Mayerhofer (Meyerhoffer), właściciel kawiarni 150
Meissner (Meysner) Jan Gotlib 177
Mejer Józef 210, 312
Mendel bracia, szewcy 161
Mercier Louis Sébastien 272
Merlini rodzina 59
Merlini Domenico 17, 20, 22, 25, 35, 41, 42, 52, 97, 98, 101, 201
Merlini Maria Cecylia, zam. Duchêne, 2 v. Wyganowska 101
Merlini Marianna (Manon), zam. Comelli 101
Metastasio Pietro 265, 281
Metella Cecilia 26
Metkie, cukiernik 151
Meyerhoffer zob. Mayerhofer
Meysner Jan 56
Meysner Jan Gotlib zob. Meissner
Mędrzecki Adam 210
Mianowski Antoni Wincenty 210
Miączyński Kajetan 253
Michalski Jerzy 170, 222
Michalski, kancelista w Departamencie Policji 228
Mienszykow Aleksandr Daniłowicz 104
Mignotti Regina 266
Mikorski Dionizy 301
Mikulski Tadeusz 124, 221, 226, 230
Mikuta Marcin 206
Milewska Wiktoria zob. Leszczyńska Wiktoria
Minasowicz Antoni 113
Minasowicz Augustyn 188
Minasowicz Jakub 59
Minasowicz Józef Epifani 144, 207, 215, 265
Minasowiczów rodzina 59
Mini, cukiernik 150
Mitera-Dobrowolska Mieczysława 198
Mitzler de Kolof Wawrzyniec 204, 205, 209, 213—215
Młodziejowski Andrzej Stanisław 225, 247, 248
Mniszchowa Maria Amalia z Brühlów 21
Mniszchowa Urszula z Zamoyskich 239
Mniszchów rodzina 20—22, 42, 57, 106, 257
Mniszchówna Elżbieta (Izabela), zam. Radziwiłłowa, 2 v. de Ville 101
Mniszech Jerzy August 21, 157
Mniszech Józef 157
Mniszech Michał Jerzy 16, 73, 78, 85, 101, 177, 216, 302
Mock Jan Samuel 283, 284
Modreszewski, perukarz 172
Mokronowski Andrzej 309
Mokronowskich rodzina 23
Molière 264, 266, 271, 272
Molski Marcin 315
Monaldi Jakub 96—98
Montesquieu Charles Secondat de 220
Montgolfier Étienne 212
Montgolfier Joseph 212
Moore Edward 272, 278
Moranti rodzina 24, 59
Moranti Jakub 59
Moranti Teodor 59
Mori Mikołaj 261
Morot Giacomo 96
Morski Tadeusz 227
Morsztynów rodzina 11
Mostowski Tadeusz 216
Moszczeński Adam 157
Moszyński August Fryderyk 16, 17, 100, 209, 239, 256, 269, 277
Moszyński Fryderyk Józef 227, 307, 314
Moszyński Jan Kanty 283
Mottaz Eugeniusz 120
Moye, perukarz 172

Mozart Wolfgang Amadeus 273, 274, 281
Mrozińska Maria 19
Mrozowska Kamila 197, 199, 206, 209
Muradowicz Jakub 188
Muradowicz Kazimierz 188
Murano A., księgarz 219
Mycielski Stanisław 106

Nagłowski, urzędnik Departamentu Policji 228
Naruszewicz Adam 88, 105, 106, 153, 208, 212, 220, 226, 293
Nassau-Siegen Karl von 246
Nassau-Siegen Karolina von z Gozdzkich, 1 v. Sanguszkowa 246, 270
Nasson zob. Nazon
Nawarski Walenty 189
Nax Jan Ferdynand 215
Nazon (Nasson) Jan 189
Neri Maria Teresa zob. Dogrumowa Maria Teresa
Nesti Ludwik 151
Nether Henryk 201
Netto Fryderyk Chryzostom 92, 219
Neubert zob. Neybert
Neumann Jan Krzysztof 11
Neybert (Neubert) Jakub 149
Neybertowa (Neubertowa), właścicielka kawiarni 149, 150
Niemcewicz Ursyn Julian 27, 29, 102, 120, 197, 198, 206, 210, 216, 272, 274, 293, 298
Nikliborc Anna 201
Norblin Jan Piotr 102, 132, 162, 201, 271, 276
Nosikiewiczów rodzina 175
Nowak-Dłużewski Juliusz 298—300, 311
Nowicki Ignacy 35
Numan-bej Sejid 29, 52, 72, 257, 288

Ochocki Jan Duklan 104, 128
Odmieński Stanisław 184
Oemigen (Oemichen) pani 270
Oemingen, zam. Weyrauchowa, zob. Weyrauchowa
Ogiński Ignacy 285
Ogiński Michał Kazimierz 167, 275
Ogiński Michał Kleofas 281
Ogińskich rodzina 22, 282, 314
Ogrodzki Jacek 247
Okęcki Antoni Onufry 181
Okoniowa, właścicielka kawiarni 150
Okraszewski Samuel 211
Olizar, marszałek 224
Onackiewicz, zegarmistrz z Kodna 106
Orchowski Alojzy 223
Orłowski Aleksander 201
Orłowski Bolesław 211
Orzelska Anna, zam. von Holstein-Böck 149
Osiński Józef 194, 211
Ossolińska Teresa zob. Potocka Teresa
Ossoliński, podkomorzy (Kazimierz?) 120
Ossowski Michał 209
Ossowski, restaurator 278
Ossudy d', antreprener fiakrów 88—90
Ostaszewski, chorąży przasnyski 227
Ovidius Naso Publius 117, 271
Owsiński Kazimierz 272, 277—279
Ozimek Stanisław 277
Ożarowski Piotr 40, 274, 310

Pachoński Jan 245
Paciaco, treser koni 261
Paisiello Giovanni 274, 275, 281
Pappenguth Abraham 182
Parkot Wacław 220
Paszkiewicz Dionizy 153
Pauersbach Joseph 276
Paulet Jan Franciszek 176
Paulin, właściciel domu 76
Pawlikowska, aktorka 277
Pawłowiczowa Janina 51
Pembroke lord zob. Herbert George Augustus
Pencel Jan zob. Ponsel, perukarz (?)
Pergolesi Giovanni Battista 278
Perkowski, garbarz 178
Perthées Karol de 35, 206
Pęczkowski, podczaszy przasnyski 227
Pfaff Fryderyk 219
Pfleiderer Krzysztof 206, 207
Pielińska Ewa 243
Piles Fortia de 43, 100, 232, 240, 268
Pillement Jean 96
Piltz Franciszek 229
Pinck Franciszek 17, 98
Piotr I, cesarz rosyjski 284
Piotrowski Józef 307, 312

Piotrowski, fryzjer 172
Piramowicz Grzegorz 100, 101, 199, 208
Pitrot Antoine 266
Plater Kazimierz Konstanty 209
Platt Julian 226
Plersch Jan Bogumił 17, 96, 98, 116, 117, 268
Plerschowa Konstancja, ur. Hardouin 116
Plutarch z Cheronei 201
Płoński Michał 201
Pociejów rodzina 22
Podlecki Tadeusz 216
Podoski Gabriel 270, 277
Polański Włodzimierz 230
Pompeius Magnus Gnaeus 97
Poniatowska Elżbieta (Izabela) zob. Branicka Elżbieta
Poniatowska Ludwika zob. Zamoyska Ludwika
Poniatowski Józef 87, 260
Poniatowski Kazimierz 28, 29, 42, 51, 52, 99, 109, 198, 267, 270, 277, 287
Poniatowski Michał Jerzy 62, 120, 246, 258, 292, 293, 298, 299, 311
Poniatowski Stanisław 99, 201, 202, 299
Poniatowski Stanisław August zob. Stanisław August Poniatowski, król polski
Poniatowskich rodzina 10
Poniński Adam 25, 74, 75, 94, 108, 210, 227, 228, 299, 300
Ponsel, perukarz (Pencel Jan?) 172
Pont zob. Dupont
Popławski Antoni 198, 208
Pöppelmann Carl Friedrich von 11
Pöppelmann Matthäus Daniel 11
Portalupi Antoni Maria 195, 207
Poser Jan August 35
Potocka Aleksandra z Lubomirskich 99, 100, 244
Potocka Anna z Potockich 285
Potocka Elżbieta (Izabela) z Lubomirskich 100, 101
Potocka Julia z Lubomirskich 260, 270
Potocka Ludwika zob. Aloy Ludwika
Potocka Marianna z Lubomirskich, 2 v. Zubowa, 3 v. Uwarowa 101
Potocka Marianna Klementyna zob. Brühlowa Marianna Klementyna
Potocka Teresa z Ossolińskich 101
Potocki Aleksander 244
Potocki Antoni Protazy (Prot) 94, 185, 189, 190, 209
Potocki Eustachy 10
Potocki Feliks 209
Potocki Ignacy 53, 99, 100, 198, 208, 209, 298, 303, 311, 312
Potocki Jan 99, 120, 212, 220
Potocki Jan Alojzy 209
Potocki Piotr 173
Potocki Prot zob. Potocki Antoni Protazy
Potocki Stanisław 140
Potocki Stanisław Kostka 44, 52, 53, 99, 100, 301
Potocki Stanisław Szczęsny 101, 140, 257, 297, 298
Potocki Wincenty 99, 147
Potockich rodzina 10, 13, 20, 57, 99, 298
Presler, autor podręcznika rysunków 117
Prieur Jean Louis 96, 97
Prosinowska zob. Prusinowska
Prosnak Jan 202, 265, 273, 274, 280—282
Prusinowska (Prosinowska) Antonina 277
Przezdziecka Helena zob. Radziwiłłowa Helena
Przezdzieckich rodzina 257
Przyborowski Walery 35
Przybylski A. 64—67, 72—76, 78
Przyłuski Tomasz 220
Puciata Olgierd 48, 79
Putini Bartolomeo 266
Pysznic Michał 216

Quellus, restaurator 147

Raabe Jakub 113
Raabe Zuzanna 113
Rabbe zob. Raabe
Rabowicz Edmund 96, 172, 297
Racine Jean 264, 266
Radziejewska, aktorka 277
Radziwiłł Dominik 209
Radziwiłł Karol Stanisław, 46, 51, 94,

102—104, 120, 139, 140, 158, 224, 279, 288
Radziwiłł Michał Kazimierz 104, 158
Radziwiłł Udalryk 221
Radziwiłłowa Elżbieta (Izabela) zob. Mniszchówna Elżbieta
Radziwiłłowa Helena z Przezdzieckich 28, 175 (?), 282
Radziwiłłów rodzina 13, 20, 57, 102, 103, 189
Rafałowicz Andrzej 177, 181, 308
Rafałowiczowa Teresa 112
Rafałowiczów rodzina 59
Rakowski Jerzy 56, 163
Raszewski Zbigniew 271—273
Rauch Gotlib 161
Rautenstrauch Jan 178
Rawski Tadeusz 56
Rehan Franciszek 136, 154, 158, 183—185
Rembińscy, rodzice Jakuba 185
Rembiński Jakub 185
Rembrandt Harmensz van Rijn 98, 99
Reni Guido 99
Repnin Nikołaj Wasiliewicz 275, 287, 288
Revitzky (Reviczky) Karl Emerich von 24, 52
Rey Louise 266
Reychman Jan 51, 52, 73, 144, 151, 288
Riaucourt rodzina 58
Riaucourt Piotr 22, 58
Ricaud de Tirregaille zob. Tirregaille
Richter Joanna Fryderyka zob. Bacciarelli Joanna Fryderyka
Riepnin zob. Repnin
Righi Tommaso 17, 98
Rihovej Karol 180
Ringelblum Emanuel 167
Ristorini Caterina 266
Ritsch (Rytsch, Rytz) Wilhelm 234
Rizzi-Zannoni Antonio 76, 109
Roahusz, perukarz 172
Robertson, treser koni 261
Rodonto Giacomo 15
Roesler (Rössler) Franciszek Leopold 23, 34, 94, 189, 190
Roesler (Rössler) Jan Michał 23
Rogaliński Kasper 227
Rogalska, modniarka 171
Rogoziński Wacław 311
Romer, kandydat na kopistę 226
Rosalba zob. Carriera Rosalba Giovanna
Rössler zob. Roesler
Rostkowski Adam 180
Rostworowski Emanuel 296, 304, 315
Rotkiewicz Tomasz 226
Rousseau Jean Jacques 271
Rousselois Josse 269
Rożniecka Ludwika zob. Aloy Ludwika
Rubens Peter Paul 117
Rudnicki Józef 227
Rulikowski Mieczysław 275
Rummer Jan Michał 95
Rustem Jan 201
Ruszkowski, urzędnik Komisji Skarbu Kor. 228
Rutkowska Janina 48, 79
Rutkowski Andrzej 279
Ryszkiewicz Andrzej 100, 101
Rytz zob. Ritsch
Ryx Franciszek 19, 268, 271, 297
Rzadkowska Ewa 7
Rzewuska Ludwika zob. Chodkiewiczowa Ludwika
Rzewuski Franciszek 147
Rzewuski Henryk 253
Rzewuski Kazimierz 259

Sacco Giovanni Antonio 275
Sacres rodzina 58
Sacres Michał 287
Sadowski Jakub 184
Sainte-Croix zob. Descorches de Sainte-Croix
Saint-Viteau de, właściciel pensji 201
Salieri Antonio 273
Salmonowicz Stanisław 206
Saluzzo-Saluzzi Ferdinando Maria, nuncjusz, 292
Salwador, antreprener redut 256
Sandomierzanin zob. Nax Jan Ferdynand
Sanguszko Hieronim 301
Sanguszko Janusz 140
Sanguszko Paweł Karol 283
Sanguszkowa Barbara Urszula z Duninów 270
Sanguszkowa Karolina zob. Nassau-Siegen Karolina von
Sapieha Jan Fryderyk 22, 51, 104—106

Sapieha Karol Józef 158
Sapieha Kazimierz Nestor 53, 120, 140, 299, 301
Sapiehów rodzina 20, 57, 104, 106
Sapieżyna Elżbieta z Branickich 299
Sapieżyna Joanna z Sułkowskich 27
Saurin Bernard Joseph 272
Sawicki Tomasz 312
Scheidt Franciszek 211
Schipper Ignacy 167
Schmitt Tomasz 40
Schröder Sophie 264
Schroeger zob. Szreger
Schultz Karol 56, 114, 150, 178, 181 (?)
Schultz (Szultz), właściciel szulerni 61
Schulz Fryderyk 20, 25, 29, 43, 46—48, 53, 54, 62, 63, 81, 85—88, 94, 106, 114, 115, 119, 121, 123, 130, 131, 136—138, 140, 146, 148, 149, 169, 189, 190, 199, 200, 202, 220, 236, 257, 258, 260, 261, 267, 268, 275, 279, 282
Schütter Franciszek Józef 173
Schütterowa Maria, ur. de Cumano 173
Schutz Karol Bogumił 41, 291
Scipio Africanus Publius Cornelius 97
Selim III, sułtan turecki 173
Senapius, współwłaściciel fabryki tkanin w Półkowie 94
Serejski Marian Henryk 208
Seume Johann Gottfried 274
Siarczyński Franciszek 217
Siemianowska Teresa zob. Czempińska Teresa
Siemienowicz Kazimierz 258
Sierakowska Barbara 278
Sierakowski Józef 315
Sierakowski Karol 197
Sierakowski Roman 253
Sierpiński Witold 215
Simmler Andrzej 95
Sitańska Dorota 275
Sitański Leon 235, 236
Skalski Józef 237
Skałkowski Adam Mieczysław 224
Skarga Piotr 231
Skrzetuski Józef Kajetan 26, 108, 196, 208
Skwarczyński Zdzisław 186
Słomińska, wdowa po metrykancie kor. 24
Słowiński Stanisław 189
Smoleński Władysław 59, 77, 142, 150, 188, 205, 209—211, 216, 220, 221, 291—293, 302, 310, 312
Smuglewicz Franciszek 201
Sobieszczański Franciszek Maksymilian 187
Sokołowska Alina 241
Solari Bonawentura 42, 291
Sołtykowicz Józef 209
Sowiński Józef 197
Sperl (Szperl) Michał 169
Spinoza Baruch 194
Srajkozina zob. Syrakuzina
Stackelberg Otto Magnus 24, 257, 269, 270, 301
Staggi Giovachino 17
Stanisław August Poniatowski, król polski 10, 13, 15—20, 24—26, 28, 29, 35, 40—42, 44, 45, 52, 59, 62, 68, 72, 74, 75, 81, 83, 84, 91, 96—101, 103, 104, 118—121, 125, 139, 141, 143, 147, 166, 173—175, 178, 181, 182, 195, 196, 198, 201, 208, 212, 223, 226, 239, 242, 246, 251, 255—259, 261, 267—273, 275—279, 283, 285—293, 296—299, 301, 303, 304, 306, 307, 309—311, 314
Staniszewski Zdzisław 207, 218
Starzeński Michał 228
Stasiewiczówna Irena 211
Staszic Stanisław 202, 204, 209, 217
Stefani Jan 274, 281
Steiner Krystian Bogumił 206
Steinerowa Regina z Graefów 206
Stoll (Sztol) Jan Godfryd 235
Stroynowski Hieronim 208
Stubenrauch Chrystian 58
Stübert, kapelmistrz 176
Suchodolski Wojciech 227, 301
Suchorzewski Jan 300
Sulimierska Maria 31
Sułkowska Joanna zob. Sapieżyna Joanna
Sułkowski August 42, 168, 267, 269, 270, 278
Sułkowskich rodzina 41, 42, 95, 196
Suworow Aleksandr Wasiliewicz, Książę Italinski 293, 315
Swiniarski Michał 77, 210
Synoracki Jan 292

Syrakuzina (Srajkozina) 189
Szaniawski Józef Kalasanty 314
Szanocki, Łęczycanin 301
Szaster Jan 211
Szczepaniec Józef 218
Szczepanowski Michał 183
Szczepański Maciej 189
Szczerbiński Ludwik 117
Szembek Krzysztof Antoni 179
Szenic Stanisław 23, 35
Szeps Mateusz 23
Szmulowicz Szymon 228
Szperl zob. Sperl
Szreger (Schroeger) Efraim 20, 24—26, 42, 44
Sztebler, współwłaściciel dworku na Nalewkach 175
Sztol zob. Stoll
Szubalski, wspólnik Rogalskiej 171
Szubski Feliks 40
Szulecki Bartłomiej 209
Sztz zob. Schutz
Szwankowska Hanna 48, 71, 79, 113
Szwankowski Eugeniusz 10, 20, 34, 36, 44, 49, 55, 64, 75
Szweykowska Anna 281
Szydłowska Elżbieta zob. Grabowska Elżbieta
Szydłowska Józefa zob. Kicka Józefa
Szydłowski Teodor 289
Szyfler, właściciel wytwórni mydła 177
Szyleon, piekarz 146
Szymanowski Józef 208
Szymanowski, karczmarz 180
Szymański Stanisław 216
Szymkiewicz Samuel 49, 56—58, 60, 61, 75, 146, 188, 204, 222, 234, 240

Śliwicki Piotr Jacek 251
Śniadecki Jan 186, 204, 208, 210, 211
Świejkowski Leonard Marcin 301
Świerzawski Karol 277, 278
Świętorzecki, kancelista w Departamencie Policji 228
Świtkowski Piotr 215—217

Tańscy, właściciele dworku przy Marszałkowskiej 117
Tańska Marianna zob. Czempińska Marianna
Tański, kancelista w Departamencie Policji 228
Tatarkiewicz Władysław 25, 98
Tekla, prostytutka 61
Tencalla Constantino 13, 102
Teniers David 98, 99
Tepper Dawid Magnus 213
Tepper Piotr 22, 24, 45, 52, 95, 99, 128, 189
Tepper Piotr Fergusson 24, 128, 174, 190, 258
Tepperowa Filipina Maria, ur. Vallentin 128, 190
Tepperowie, synowie Piotra Fergussona 190
Tepperów rodzina 20, 56
Tepperówny, córki Piotra Fergussona 190
Terborch Gerard 98
Tężyński Gaspar 292
Thomatis zob. Tomatis
Tintoretto Jacopo 99
Tirregaille Pierre Ricaud de 75, 76
Tissot Simon André 230
Tiziano Vecello 99
Todi Luigia 279, 281
Togno Wilhelm 149
Tokarz Wacław 63, 280, 306—313
Tomatis Karol de 25, 259, 269
Tomatis Katarzyna, ur. Catai (Gattai) 25, 256
Tomkiewicz Władysław 16
Torri Antoni 173
Torri, profesor pirotechniki 259
Trembecki Stanisław 96, 157, 172, 212, 241, 242, 247, 271, 296
Tremo Paweł 139, 147
Treter Mieczysław 97
Trevano Giovanni 15
Trębicki Antoni 210, 274, 306
Triebel, berliński antykwariusz 95, 99
Trobenoff, generał 38
Truskolaska Agnieszka z Marunowskich 278, 279
Truskolaski Tomasz 278, 280
Turnau Irena 111, 119, 160, 163, 176—178, 182, 184, 211, 244, 252, 284
Turska Zofia 60, 79, 80, 183
Tycjan zob. Tiziano Vecello
Tylman z Gameren 22, 40, 64
Tyssot zob. Tissot

Tyszkiewicz Ludwik 23, 167
Tyszyński Piotr Celestyn 25
Tyzenhauz Antoni 224, 275

Unrug (Unruh), starosta hamersztyński 185
Uruski Tomasz 167
Uwarowa Marianna zob. Potocka Marianna

Valentine, tancerka 275
Vallentin Filipina Maria zob. Tepperowa Filipina Maria
Vautrin Hubert 158, 199
Vernet Joseph 99
Veronese Paolo 98
Vesalius Andreas 117
Vestris Gaetano 275
Vignola (Giacomo Barozzi) 117
Villiers Louis 269
Vogel Zygmunt 132
Voltaire 15, 264, 266, 270, 271
Vulcano Bernardo 264
Vulcano Isabella 264

Walicki Bazyli 147, 240, 241
Walterowa, uczestniczka fety na Bielanach 255
Walterów rodzina 57
Warszyckich rodzina 60
Wasilewski Franciszek Ksawery 235
Wasilewski Józef Seweryn 35, 237
Wasylewski Stanisław 290
Wawrzecka Marianna zob. Badeniowa Marianna
Wazów rodzina 97
Weiglowa Józefa zob. Czempińska Józefa
Wejnert Aleksander 148, 155, 207, 233, 250, 251
Wendorf, właściciel pałacu 24
Wernik, restaurator 148
Wessel Teodor 287
Weyrauchowa, ur. Oemingen 270
Weyssenhoff Józef 216
Węgierski Tomasz Kajetan 27, 54, 214, 215, 218—220, 225, 226, 262, 271, 289
Węgrzecki Stanisław 223
Whitworth Charles 169
Wielądko Franciszek 297
Wielądko Wojciech Wincenty 50, 147, 287, 288
Wieprzewski Karol 175
Wierzbicka-Michalska Karyna 264, 265, 276, 278
Wiesiołowski, właściciel kamienicy 95
Wilczewska Maria zob. Bacciarelli Maria
Wiliamson Jordan 116
Willink Jan Abraham 177
Witthoff Franciszek 247, 286, 287
Witthoffów rodzina 58
Witwińska Magdalena 259
Władysław IV, król polski 258
Wodyński, starosta 184
Wodzicka Anna z Jabłonowskich 125
Wodzicki Stanisław 125
Woelfl Joseph 281
Wojciechowska Wanda 160
Wolff Christian 213
Wolff Karol 94, 173
Wolter zob. Voltaire
Wołoszyński Ryszard 139
Wouwerman Philips 95, 99
Woynowski Tadeusz 146
Wójcicki Kazimierz Władysław 166, 268, 288
Wójcik Zbigniew Al. 56, 163
Wraxall Nathaniel W. 17, 46, 70, 121
Wroughton Thomas 25, 53, 259
Wrzesiński Józef 39, 49, 115, 116
Wybicki Józef 221, 224, 272
Wyganowska Maria Cecylia zob. Merlini Maria Cecylia
Wyrwicz Karol 208, 217

Zabiełło Józef 40, 310
Zabłocki Franciszek 51, 210, 271, 273, 297, 298
Zacher, właściciel garbarni 178
Zadera, garbarz 178
Zahorski Andrzej 154, 165, 174, 229
Zajączek Józef 314
Zakrzewska Maria 26, 27
Zakrzewski Wyssogota Ignacy 292, 309, 310, 312, 313
Zaleski August 186, 188
Zaleski Zygmunt 163
Załuski Andrzej Stanisław 41, 220, 221
Załuski Józef Andrzej 41, 204, 205, 220, 221

Zamoyska Ludwika z Poniatowskich 99
Zamoyska Urszula zob. Mniszchowa Urszula
Zamoyski Andrzej 198, 209, 218
Zamoyskich rodzina 13
Zannoni zob. Rizzi-Zannoni
Zatorski Aleksander Paweł 227
Zawadzki Stanisław 19, 20, 42, 43, 193
Zawadzki Wacław 14
Zbyszewski, mianowany buchalterem w Dyrekcji Tabacznej 227
Zembrzuskich rodzina 57
Zeteberg, kapelmistrz 170
Ziomek Jerzy 210
Zubowa Marianna zob. Potocka Marianna
Zubowski Ksawery 83
Zug Szymon Bogumił 20, 23, 26, 42, 45, 52, 190
Zyberkówna Ludwika zob. Borchowa Ludwika
Zygelbartowa, żona buchaltera Tepperów 128
Zygmunt III, król polski 8, 15, 74

SPIS ILUSTRACJI

ILUSTRACJE JEDNOBARWNE

1. Wpis przyjęcia prawa miejskiego m. Warszawy przez marszałka Stanisława Małachowskiego w dniu 29 kwietnia w 1791 r. Strona *recto* i *verso*. Archiwum Główne Akt Dawnych, Warszawa Ekonomiczne, nr 751.
2. Widok ogólny Warszawy od strony Pragi. B. Bellotto Canaletto. Akwaforta, 1772 r. Muzeum Historyczne m. st. Warszawy.
3. Widok Zamku królewskiego z lotu ptaka (przed r. 1939).
4. Widok Zamku królewskiego (przed r. 1939).
5. Łazienki królewskie. Widok ogólny z lotu ptaka.
6. Pałac Radziwiłłów przy Krakowskim Przedmieściu. Winieta z planu sztychowanego Warszawy z r. 1762 Ricaud de Tirregaille'a.
7. Pałac Fryderyka Sapiehy przy ul. Zakroczymskiej. Winieta z panoramy Warszawy F. C. Schmidta z r. 1740.
8. Willa podmiejska hr. Thomatisa zwana „Królikarnią".
9. Rynek Starego Miasta z ratuszem. Akwarela Z. Vogla, ok. r. 1790. Muzeum Narodowe w Warszawie.
10. Pieczęć miasta Warszawy z r. 1783. Archiwum Główne Akt Dawnych w Warszawie, Warszawa Ekonomiczne, nr 208.
11. Dziedziniec kamienicy Fukierowskiej. Rynek Starego Miasta nr 46.
12. Sień kamienicy Baryczkowskiej. Rynek Starego Miasta nr 32.
13. Portal kamienicy „Pod Okrętem", ul. Świętojańska nr 11.
14. Portal i kute drzwi wejściowe kamienicy przy ul. Piwnej nr 35.
15. Dwory i domy drewniane Powiśla. Fragment akwaforty B. Bellotta Canaletta: *Widok Warszawy od pałacu Ostrogskich do Zamku Królewskiego*, 1774 r. Muzeum Historyczne m. st. Warszawy.
16. Dworki murowane przy ul. Marszałkowskiej. Akwarela Z. Vogla: *Ulica Marszałkowska*. Muzeum Narodowe w Warszawie.
17. Ulica Leszno z ratuszem. Akwarela Z. Vogla. Muzeum Narodowe w Warszawie.
18. Widok Konwiktu Pijarów. Akwarela Z. Vogla. Muzeum Narodowe w Warszawie.
19. Rudery i pałace. Fragment obrazu B. Bellotta Canaletta: *Plac Żelaznej Bramy*, ok. r. 1779. Muzeum Narodowe w Warszawie.
20. Targ na Rynku Nowego Miasta. Fragment obrazu B. Bellotta Canaletta: *Rynek Nowego Miasta z kościołem Sakramentek*. Muzeum Narodowe w Warszawie.
21. Stragany pod Kolumną Zygmunta. Fragment obrazu B. Bellotta Canaletta: *Krakowskie Przedmieście od Placu Zamkowego*, ok. r. 1767—1768. Muzeum Narodowe w Warszawie.
22. Targ na Pociejowie. Akwarela J. P. Norblina. Muzeum Narodowe w Krakowie, Zbiory Czartoryskich.
23. Targ na konie przy ul. Królewskiej, 1791 r. Akwarela J. P. Norblina. Muzeum Narodowe w Krakowie.
24. Fragment parku z ruinami łuku tryumfalnego w Powązkach pod Warszawą. Rysunek Z. Vogla. Gabinet Rycin Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie.
25. Przywitanie w parku. Fragment rysunku J. P. Norblina: *Widok na pałac Łazienkowski*. Muzeum Narodowe w Krakowie, Zbiory Czartoryskich.

26. W parku Łazienkowskim. Fragment rysunku J. P. Norblina: *Widok na pałac Łazienkowski.* Muzeum Narodowe w Krakowie, Zbiory Czartoryskich.
27. W lasku na Bielanach. Rysunek J. P. Norblina: *Na huśtawce.* Muzeum Narodowe w Warszawie.
28. Portret marszałka wielkiego koronnego Franciszka Bielińskiego nieznanego malarza z poł. XVIII w. Muzeum Historyczne m. st. Warszawy (depozyt Muzeum Narodowego w Warszawie).
29. Na moście. Fragment akwareli Z. Vogla: *Most na palach w r. 1785.* Muzeum Narodowe w Warszawie.
30. Most na palach w r. 1785. Akwarela Z. Vogla. Muzeum Narodowe w Warszawie.
31. Pożar pałacu Krasińskich w r. 1787. Fragment rysunku J. P. Norblina. Biblioteka Kórnicka PAN.
32. Na peryferiach miasta. Fragment obrazu B. Bellotta Canaletta: *Kościół Brygidek i Arsenał.* Muzeum Narodowe w Warszawie.
33. Ruch uliczny na Krakowskim Przedmieściu. Fragment obrazu B. Bellotta Canaletta: *Krakowskie Przedmieście od strony Nowego Światu,* ok. r. 1773—1779. Muzeum Narodowe w Warszawie.
34. Kareta sześcioprzężna. Fragment obrazu B. Bellotta Canaletta: *Plac Żelaznej Bramy,* ok. r. 1779. Muzeum Narodowe w Warszawie.
35. Wóz z beczkami. Fragment obrazu B. Bellotta Canaletta: *Plac Żelaznej Bramy,* ok. r. 1779. Muzeum Narodowe w Warszawie.
36. Lektyka, XVIII w. Archiwum Dokumentacji Muzeum Narodowego w Warszawie.
37. Sanie z poł. w. XVIII. Archiwum Dokumentacji Muzeum Narodowego w Warszawie.
38. Portret króla Stanisława Augusta z klepsydrą M. Bacciarellego, r. 1793. Muzeum Narodowe w Warszawie.
39. Zamek królewski. Sala tronowa (przed 1939 r.).
40. Buduar króla w Zamku królewskim. Projekt V. Louisa z r. 1766. Gabinet Rycin Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego.
41. Łazienki, pałac Na Wodzie. Sypialnia króla.
42. Łazienki, pałac Na Wodzie. Sala Balowa zwana Białą (stan przed wrześniem 1939 r.).
43. Portret Michała Mniszcha z córką Elżbietą i pieskiem Kiopkiem M. Bacciarellego. Muzeum Narodowe w Warszawie.
44. Portret Marianny Protowej Potockiej w stroju wschodnim J. Lampiego. Muzeum Narodowe w Warszawie, Oddział w Wilanowie.
45. Portret Teresy Rafałowiczowej nieznanego malarza z r. 1761. Muzeum Historyczne m. st. Warszawy.
46. Zegar stołowy, brązowy J. Heckla (?) z poł. XVIII w. Muzeum Historyczne m. st. Warszawy.
47. Komoda fornirowana orzechem, XVIII w. Muzeum Historyczne m. st. Warszawy.
48. Kufer, XVIII w. Muzeum Historyczne m. st. Warszawy.
49. Sekretarzyk typu „bonheur du jour", wyrób warszawski, koniec XVIII w. Muzeum Narodowe w Warszawie. Oddział w Łazienkach.
50. Krzesło bukowe, wyplatane, tzw. gdańskie, XVIII w. Muzeum Historyczne m. st. Warszawy.
51. Szafa fornirowana orzechem i intarsjowana, druga poł. XVIII w. Muzeum Historyczne m. st. Warszawy.
52. Urynalik zw. „bourdalou", wyrób wiedeński z drugiej poł. XVIII w. Muzeum Narodowe w Warszawie.

53. Wanienka miedziana, XVIII w. Muzeum Historyczne m. st. Warszawy (depozyt Muzeum Narodowego w Warszawie).
54. Dama przed gotowalnią. Akwarela J. P. Norblina. Muzeum Narodowe w Krakowie, Zbiory Czartoryskich.
55. Dama w kornecie. Portret Magdaleny Petit, wychowawczyni Czartoryskich. Rysunek J. P. Norblina. Reprodukcja z książki Z. Batowskiego *Norblin*, Lwów 1911.
56. W porannym stroju. Rysunek M. Płońskiego: *Panienka*. Muzeum Narodowe w Warszawie. Oddział w Nieborowie.
57. Mieszczka z córką i służącą. Fragment obrazu B. Bellotta Canaletta: *Ulica Długa w stronę placu Krasińskich*. Muzeum Narodowe w Warszawie.
58. Pas polski z manufaktury Paschalisa Jakubowicza w Lipkowie z drugiej poł. XVIII w. Muzeum Historyczne m. st. Warszawy (depozyt Muzeum Narodowego w Warszawie).
59. Chłopiec ubrany wedle mody angielskiej. Fragment obrazu B. Bellotta Canaletta: *Plac Krasińskich*. Muzeum Narodowe w Warszawie.
60. Zwolennicy ubioru polskiego i cudzoziemskiego. Fragment obrazu B. Bellotta Canaletta: *Krakowskie Przedmieście od strony Nowego Światu*, ok. r. 1773—1779. Muzeum Narodowe w Warszawie.
61. Spódnica haftowana mieszczki warszawskiej z końca XVIII w. Muzeum Narodowe w Warszawie.
62. Gorsecik ze złotogłowiu mieszczki warszawskiej z końca w. XVIII. Muzeum Narodowe w Warszawie.
63. Tabakierka w kształcie muszli z pierwszej poł. XVIII w. Muzeum Narodowe w Warszawie.
64. Tabakierka złota, zdobiona emalią, z r. 1780. Muzeum Narodowe w Warszawie.
65. Młoteczek metalowy do zabijania insektów, XVIII w. Zbiory specjalne Głównej Biblioteki Lekarskiej w Warszawie.
66. Szczypce żelazne do fryzowania włosów, XVIII w. Muzeum Narodowe w Warszawie.
67. Zegarek kieszonkowy, złoty, wyrobu Gugenmusa, XVIII w. Awers. Muzeum Historyczne m. st. Warszawy.
68. To samo, rewers.
69. Zastawiony stół. Fragment obrazu Al. Orłowskiego (?): *Uczta w domu szlacheckim*. Muzeum Narodowe w Warszawie.
70. Uczta w domu szlacheckim. Obraz Al. Orłowskiego (?). Muzeum Narodowe w Warszawie.
71. Sprzedawca herbaty. Rysunek J. P. Norblina. Muzeum Narodowe w Warszawie.
72. Pijany szlachcic. Rysunek J. P. Norblina. Muzeum Narodowe w Krakowie, Zbiory Czartoryskich.
73. Kobieta sprzedająca flaki pod kolumną Zygmunta. Akwatinta J. P. Norblina i Debucourta. Fragment. Muzeum Narodowe w Warszawie.
74. Serwis do kawy z dekoracją w stylu dalekowschodnim wyrobu Miśni z końca XVIII w. Muzeum Historyczne m. st. Warszawy (depozyt Muzeum Narodowego w Warszawie).
75. Talerz porcelanowy wyrobu Miśni z końca XVIII w. Muzeum Historyczne m. st. Warszawy.
76. Talerzyk z serwisu do kawy z ornamentem dalekowschodnim wyrobu Miśni z końca XVIII w. Muzeum Historyczne m. st. Warszawy (depozyt Muzeum Narodowego w Warszawie).
77. Dzban gliniany, XVIII w. Komisja Badań Dawnej Warszawy.
78. Łyżka mosiężna składana, XVIII w. Muzeum Historyczne m. st. Warszawy.

79. Misa gliniana, polewana. Komisja Badań Dawnej Warszawy.
80. Sztućce srebrne: nóż, łyżka i widelec, XVIII w. Muzeum Historyczne m. st. Warszawy.
81. Waza srebrna do zup, monogramista ASV, wyrób warszawski z końca XVIII w. Muzeum Historyczne m. st. Warszawy.
82. Puchar szklany z monogramami rodziny króla Augusta III, wyrób drezdeński z ok. 1740 r. Awers. Muzeum Narodowe w Warszawie.
83. Kielich wyrobu polskiego, XVIII w. (Huta na Bielanach?). Muzeum Historyczne m. st. Warszawy.
84. Komplet szkieł Radziwiłłowskich z manufaktury w Urzeczu z lat 1770—1780: flakon tzw. „butlik", kielich w typie angielskim i szklanka (zaginione). Dawniej w Muzeum Narodowym w Warszawie.
85. Para mieszczan. Rysunek J. P. Norblina. Muzeum Narodowe w Warszawie.
86. Typy szlachty polskiej. Rysunek J. P. Norblina. Muzeum Narodowe w Warszawie.
87. Szewc. Rysunek M. Płońskiego. Muzeum Narodowe w Warszawie, Oddział w Nieborowie.
88. Cieśle warszawscy. Fragment akwareli Z. Vogla: *Widok zboru i cmentarza dysydentów*. Muzeum Narodowe w Warszawie.
89. Żyd golibroda. Akwarela J. P. Norblina. Muzeum Narodowe w Krakowie, Zbiory Czartoryskich.
90. U rzeźnika. Rysunek J. P. Norblina. Muzeum Narodowe w Krakowie, Zbiory Czartoryskich.
91. Stróż nocny. Rysunek J. P. Norblina. Muzeum Narodowe w Krakowie, Zbiory Czartoryskich.
92. Kobieta wyciągająca wodę ze studni. Fragment obrazu B. Bellotta Canaletta: *Plac Krasińskich*. Muzeum Narodowe w Warszawie.
93. Barani kożuszek. Rysunek J. P. Norblina, 1794 r. Muzeum Narodowe w Krakowie, Zbiory Czartoryskich.
94. Prostytutka. Rysunek J. P. Norblina: *Kobieta łapiąca pchły*, 1799 r. Muzeum Narodowe w Warszawie.
95. Straganiarka. Rysunek J. P. Norblina. Muzeum Narodowe w Krakowie, Zbiory Czartoryskich.
96. W sklepie ptasznika. Rysunek J. P. Norblina. Muzeum Narodowe w Krakowie, Zbiory Czartoryskich.
97. Dzieci żydowskie. Rysunek J. P. Norblina. Muzeum Narodowe w Krakowie, Zbiory Czartoryskich.
98. Sklep żydowski na Elektoralnej. Rysunek J. P. Norblina. Muzeum Narodowe w Krakowie, Zbiory Czartoryskich.
99. Zawias żelazny. Wyrób warszawski z poł. XVIII w. Muzeum Historyczne m. st. Warszawy.
100. Zamek dwuspustowy do bramy. Rewers. Wyrób warszawski, XVIII w. Muzeum Historyczne m. st. Warszawy.
101. Dzwonek z herbem Warszawy ofiarowany Radzie Miejskiej przez St. Baryczkę w r. 1628 (kopia). Muzeum Historyczne m. st. Warszawy (depozyt Muzeum Narodowego w Warszawie).
102. Szkatuła srebrna na przybory do pisania ofiarowana Radzie Miejskiej przez Wilhelma Czamera w r. 1710. Muzeum Historyczne m. st. Warszawy (depozyt Muzeum Narodowego w Warszawie).
103. Palestrant. Akwatinta J. P. Norblina z albumu *Costumes Polonais*. Muzeum Narodowe w Krakowie, Zbiory Czartoryskich.

104. Lekarze warszawscy Dupont i Marieu. Rysunek J. P. Norblina. Muzeum Narodowe w Krakowie, Zbiory Czartoryskich.
105. Widok szpitala Dzieciątka Jezus w r. 1786. Akwarela Z. Vogla. Muzeum Narodowe w Warszawie.
106. Dwa nożyki chirurgiczne, XVIII w. Zbiory specjalne Głównej Biblioteki Lekarskiej w Warszawie.
107. Komplet nożyków do puszczania krwi, XVIII w. Zbiory specjalne Głównej Biblioteki Lekarskiej w Warszawie.
108. Puszka ze szkła mlecznego do medykamentów, XVIII w. Zbiory specjalne Głównej Biblioteki Lekarskiej w Warszawie.
109. Grający w karty. Rysunek K. Wojniakowskiego. Gabinet Rycin Uniwersytetu Warszawskiego.
110. Bal w pałacu magnackim. Akwarela J. P. Norblina z albumu *Costumes Polonais: Polonez*. Muzeum Narodowe w Krakowie, Zbiory Czartoryskich.
111. Odpust na Bielanach. Fragment. Rysunek J. P. Norblina. Muzeum Narodowe w Warszawie.
112. Festyn uroczysty na lodzie 1782 r. Obraz J. P. Norblina. Muzeum Narodowe w Krakowie, Zbiory Czartoryskich.
113. Uliczni muzykanci i cyrkowcy. Fragment obrazu B. Bellotta Canaletta: *Krakowskie Przedmieście od strony Placu Zamkowego*. Muzeum Narodowe w Warszawie.
114. Reklama cyrku na ulicach Warszawy. Rysunek J. P. Norblina. Muzeum Narodowe w Warszawie.
115. Pierwszy afisz polski *Natrętów* Bielawskiego. Reprodukcja z książki L. Bernackiego, *Teatr, dramat i muzyka za Stanisława Augusta*, Lwów 1925, t. I.
116. Widok teatru publicznego na placu Krasińskich. Akwarela Z. Vogla. Muzeum Narodowe w Warszawie.
117. Scena ze sztuki *Powrót posła* J. U. Niemcewicza. Gabinet Rycin Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego.
118. Scena ze sztuki *Taczka occiarza* Merciera. Reprodukcja z książki W. Bogusławskiego, *Dzieła*, t. VIII, Warszawa 1823.
119. Koncert w parku. Obraz J. P. Norblina. Muzeum Narodowe w Warszawie (depozyt Muzeum Narodowego w Krakowie).
120. Portret śpiewaczki Reginy Mingotti A. R. Mengsa z poł. XVIII w. Gemäldegalerie, Drezno.
121. W loży teatralnej. Iluzjonistyczne freski J. Ch. Plerscha na fryzie widowni teatru „Pomarańczarnia" w Łazienkach.
122. Scena z baletu *Kleopatra* w amfiteatrze w Łazienkach. Rysunek J. P. Norblina. Przed r. 1939 w Paryżu. Własność prywatna.
123. Marionetki. Fragment obrazu J. P. Norblina. Muzeum Narodowe w Warszawie.
124. Publiczność na sali sejmowej. Fragment obrazu K. Wojniakowskiego: *Konstytucja Trzeciego Maja 1791 r.* Muzeum Narodowe w Warszawie.
125. Wjazd Augusta III do Warszawy w r. 1734. Fragment obrazu J. S. Mocka. Gemäldegalerie, Drezno.
126. Przy bramie tryumfalnej. Fragment obrazu J. S. Mocka: *Wjazd Augusta III do Warszawy w r. 1734*. Gemäldegalerie, Drezno.
127. Wieszanie zdrajców na rynku Starego Miasta 8 maja 1794 r. Rysunek J. P. Norblina. Biblioteka Kórnicka PAN.
128. Walka na Krakowskim Przedmieściu przed kościołem Św. Krzyża i Dominikanami. Muzeum Narodowe w Warszawie.

Na końcu książki: Plan Warszawy A. Rizzi Zannoniego z r. 1772. A. Rizzi Zannoni, *Cartes de la Pologne*, Paris 1772.

ILUSTRACJE WIELOBARWNE

I. B. Bellotto Canaletto, *Ulica Długa w stronę placu Krasińskich*. Fragment. Muzeum Narodowe w Warszawie.
II. Łazienki, pałac Na Wodzie. Fragment wnętrza Gabinetu portretowego.

ZDJĘCIA WYKONALI:

J. Chruszczyński nr 49; St. Deptuszewski nry: 23, 49, 72, 95; T. Kaźmierski nry: 115, 117, 118; M. Kietlińska nry: 50, 122; E. Kozłowska-Tomczyk nry: 43, 112, 128; W. Krzyżanowska nry: 77, 79; F. Kukowski nry: 90, 96; E. Kupiecki nry: 5, 8, 41; J. Langda nry: 25, 26, 127; A. Lipka nry: 15, 45, 53, 99, 100; Fr. Maćkowiak, L. Perz nr: 109; B. Mahnurowicz nr: 28; J. Michałowski nr: 31; M. Moraczewska nr: 39; A. Pietrzak nr: 38; H. Romanowski nry: 9, 17—22, 27, 32, 34, 35, 44, 54—59, 63, 64, 71, 73, 82, 85—89, 91, 93, 94, 98, 105, 110, 113, 116, 123, 124; B. Seredyńska nry: 2, 37, 61, 62; St. Sobkowicz nry: 24, 29, 33, 36, 69, 70, 92, 111, 114, 119; J. Szandomirski nr: 121; St. Turski nry: 1, 10—12, 14, 40, 46, 47, 51, 52, 65—68, 74—76, 78, 80, 81, 83, 101, 102, 106—108; W. Wolny nry: 7, 48, 60, 125, 126; klisze z Instytutu Sztuki PAN nry: 6, 13, 16, 30, 42, 120; Muzeum Historycznego m. st. Warszawy nry: 4, 97, 103; Muzeum Narodowego w Warszawie nry: 3, 84, 104.
Plan Warszawy z r. 1772: klisza Muzeum Historycznego m. st. Warszawy.
Zdjęcia barwne: J. Czarnecki.



Palais Sulkowski
Palais Branicki
Palais Primatial
Palais de Saxe
Palais de l'Evêque de Cracovie
Palais de Radziwill
Palais Bielinski
Palais de Mniszech
Palais Godzki
Palais Krasinski
Palais Czartoryski
Eglise des Missionnaires
Palais de Brühl
Palais Wielopolski
Palais d'Ostrowski
Bibliothèque Zaluski
College des Ecoles Pies
Plan de Varsovie
Levé par ordre de Son Exc.e M.r le C.te Bielinski
Grand Maréchal de la Couronne
dedié
à Son Exc.e M.r le C.te Wielhorski
G.d Maître d'Hôtel du G. D. de Lithuanie
Starosté de Kaminiec
Par son très H.ble et très Ob.t Serviteur
Rizzi Zannoni
1772
Champ de l'Election des Rois
Les Thuileries
Vistule R.
Echelles
Toises Françaises
Aulnes de Pologne
Praga
Vue de Varsovie du côté de la Vistule
Explication
1 Palais Primatial
2 de l'Ev. de Cracovie
3 Malachowski
4 Branicki
5 d'Ostrowski
6 Radziwill
7
8
9 Lubomirski
10
11 Ogiński
12
13 Wielopolski
14
15 Poniatowski
16 Sulkowski
17 Czapski
18 Ossoliński
19 Bielinski
20
21 Godzki
22 Pociey
23 Brühl
24 Mniszech
25
26 Palais Bleu
27 Potocki
28
29 Sapieha
30 Szembek
31 Rzewuski
32 Borch
33 Academ. des Ecoles Pies
34 Palais Czartoryski
35 Zamoyski
36
37 Rudzinski
38 Szaniawski
39 Hôtel des Théatins
40 Palais du C.te Siedlnicki
41 Palais de Lelewel
42 Hôtel de la Monnoie
43 Palais Prependowski
44 Dembowski
45 du Baron Le Fort
46 Bibliothèque Zaluski
47 Palais de Plater
48 Mokranowski
49 de Morizyn
50 de la Republique
51 Krasinski
52 de Prusse
Eglises
53 la Cathédrale S.t Jean
54 les Jesuites
55
56 Augustins
57 l'Hôpital
58 les Sœurs Bernardines
59
60 les Sœurs Carmelites
61 les Carmes
62 les Carmes
63 les Filles de la Visitation
64 l'Hôpital de S.t Roch
65 les Missionnaires
66 les P. Dominicains
67
68 les Sœurs Grises
69 la Redemption
70 les Recolets
71 les Sœurs de S.te Brigide
72 les Capucins
73 le College des Ecoles Pies
74 les Paulins
75 Eglise de S.t Georges
76 des Cordeliers
77 de Notre Dame
78 S.t Benon
79 les Filles du S.t Sacrem.t
80 les Freres de la Charité
81 l'Hôpital S.t Lazare
82 les Chanoinesses

SPIS RZECZY

PRZEDMOWA 5

MIASTO (*ANNA BERDECKA*) 7

POŁOŻENIE I OBSZAR WARSZAWY 7

NOWE DZIELNICE — JURYDYKI 9

PANORAMA I KRAJOBRAZ MIEJSKI 12

ZABUDOWA STOLICY (*ANNA BERDECKA*) 15

REZYDENCJE KRÓLEWSKIE — ZAMEK, UJAZDÓW, ŁAZIENKI 15

PAŁACE MAGNACKIE 19

WILLE PODMIEJSKIE — WARSZAWSKIE *MAISONS DE PLAISANCE* 25

DAWNE I NOWE KAMIENICE MIESZCZAŃSKIE 30

DWORY I DOMY DREWNIANE 36

GMACHY PUBLICZNE 40

WIELKOMIEJSKIE KONTRASTY — PAŁACE I RUDERY 45

PLACE I OGRODY (*ANNA BERDECKA*) 48

RYNKI I PLACE TARGOWE 48

PRZEDMIEJSKIE WARZYWNIKI I SADY 49

OGRODY PEJZAŻOWE — MODA ORIENTALNA 50

OGRODY PUBLICZNE W MIEŚCIE I NA PRZEDMIEŚCIACH 52

LUDNOŚĆ (*ANNA BERDECKA*) 55

LICZBA MIESZKAŃCÓW STOLICY 55

MIESZCZANIE, SZLACHTA, CUDZOZIEMCY, ŻYDZI 56

LUDZIE WYKOLEJENI — ŻEBRACY, ZŁODZIEJE, PROSTYTUTKI 60

PORZĄDKI W MIEŚCIE (*ANNA BERDECKA*) 64

ZADANIA I BUDŻET KOMISJI BRUKOWEJ 64

SPRZĄTANIE ULIC I POSESJI, ŚMIETNIKI MIEJSKIE 66

KLOAKI I USUWANIE NIECZYSTOŚCI 68

ZAOPATRZENIE W WODĘ — WODOCIĄGI, STUDNIE I ZDROJE 71

BRUKOWANIE ULIC 72

BUDOWA MOSTU NA WIŚLE 74

PLANY MIASTA 75

KOMISJA BONI ORDINIS, OSTATNIE PRACE 76

BEZPIECZEŃSTWO MIESZKAŃCÓW — STRAŻ MARSZAŁKOWSKA, PATROLE WOJSKOWE 78

OŚWIETLENIE 81

POŻARY 82

ŻYCIE WARSZAWSKIEJ ULICY (*ANNA BERDECKA*) 85

RUCH ULICZNY 85

MODNE POJAZDY — KARETY, KABRIOLETY, SANKI, LEKTYKI, FIAKRY 86

PROJEKT UPORZĄDKOWANIA WARSZAWSKIEJ ULICY 91

WNĘTRZA MIESZKALNE (*ANNA BERDECKA*) 93
ZAKUPY A MODA 93
WNĘTRZA REZYDENCJI KRÓLEWSKICH 96
SARMACKIE TRADYCJE I NOWE GUSTY W URZĄDZANIU PAŁACÓW 99
FANTAZYJNE WNĘTRZA WILLI PODMIEJSKICH 107
TRADYCYJNE MIESZKANIA RODÓW MIESZCZAŃSKICH 109
WNĘTRZA DWORKÓW MIEJSKICH 115

UBIORY (*IRENA TURNAU*) 118
MODA PARYSKA 118
LUKSUS MOŻNYCH 119
UMIAR ŚREDNIEGO STANU 130
ODZIEŻ BIEDOTY MIEJSKIEJ 135

POŻYWIENIE (*IRENA TURNAU*) 139
LUKSUS MOŻNYCH — OBŻARSTWO I SMAKOSZOSTWO 139
TROCHĘ STATYSTYKI — KTO ŻYWIŁ WARSZAWĘ? 145
LOKALE WARSZAWSKIE 147
PRZECIĘTNE POŻYWIENIE RODZIN MIESZCZAŃSKICH I SZLACHECKICH 151
WARSZAWSKIE MINIMA ŻYWNOŚCIOWE 153
TROSKA O DIETĘ I HIGIENĘ ODŻYWIANIA 156

PRODUKCJA I HANDEL (*IRENA TURNAU*) 159
WARSZTATY SŁAWETNYCH MISTRZÓW 159
KONKURENCI MISTRZÓW CECHOWYCH 166
NOWE PRZEDSIĘBIORSTWA I NOWI PRZEDSIĘBIORCY 173
POCZĄTKI KLASY ROBOTNICZEJ 179
HANDEL NA USŁUGACH MODY 186

SZKOLNICTWO I WYCHOWANIE (*ANNA BERDECKA*) 192
SZKOŁY PARAFIALNE I KOLEGIA KLASZTORNE 192
NAUCZANIE I WYCHOWANIE W SZKOLE RYCERSKIEJ 195
PROGRAM I METODY NAUCZANIA KOMISJI EDUKACJI NARODOWEJ 198
NAUCZANIE W DOMU I NA PENSJI 199
ZALĄŻKI SZKÓŁ ZAWODOWYCH I WYŻSZYCH UCZELNI 201

ŻYCIE NAUKOWE I WYDAWNICZE (*IRENA TURNAU*) 203
CZYM MIAŁA BYĆ NAUKA OKRESU OŚWIECENIA? 203
UCZENI I INSTYTUCJE 204
WIELKIE ODKRYCIA I DROBNE WYNALAZKI 210
PRASA, WYDAWCY I KSIĘGARZE 213
CZYTELNICTWO I BIBLIOTEKI 218

URZĘDNICY WARSZAWSCY (*IRENA TURNAU*) 222
MEDYCYNA I LECZNICTWO (*ANNA BERDECKA*) 231
SZPITALE I PRZYTUŁKI 231
LECZENIE SZPITALNE — PACJENCI I LEKARZE 233
KWALIFIKACJE OSIEMNASTOWIECZNEJ SŁUŻBY ZDROWIA 234
CHOROBY I LEKARSTWA 237

DOMOWI LEKARZE I ICH MOŻNI PACJENCI 240
CMENTARZE 242
RODZINNY DZIEŃ ŚWIĄTECZNY *(IRENA TURNAU)* 243
UROCZYSTOŚCI RELIGIJNE *(IRENA TURNAU)* 249
ZABAWY PUBLICZNE *(IRENA TURNAU)* 255
TEATR I MUZYKA *(ANNA BERDECKA)* 263
DWORSKI TEATR SASKI 263
TEATR SZKOLNY 266
SCENA NARODOWA 267
AKTORZY I PUBLICZNOŚĆ 276
MUZYKOWANIE I KONCERTY 280
UROCZYSTOŚCI DWORSKIE I POLITYCZNE *(IRENA TURNAU)* 283
ŻYCIE POLITYCZNE *(IRENA TURNAU)* 295
WPROWADZENIE 295
SATYRA I PASZWIL POLITYCZNY OKRESU SEJMU CZTEROLETNIEGO 297
WYSTĄPIENIA POLITYCZNE W OKRESIE SEJMU CZTEROLETNIEGO 301
OKRES WOJNY Z ROSJĄ I PANOWANIA TARGOWICY 304
PRZYGOTOWANIA DO INSUREKCJI WARSZAWSKIEJ 305
INSUREKCJA WARSZAWSKA 307
INDEKS OSÓB 319
SPIS ILUSTRACJI 335

Wydano nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego w Warszawie w opracowaniu graficznym Janusza Lewandowskiego.
Złożono czcionką Garamond i tłoczono 10 289 egzemplarzy w Drukarni Wydawniczej w Krakowie na papierze z Fabryki Papieru w Dąbrowicy. Ilustracje wykonano techniką wklęsłodrukową w Drukarni Narodowej w Krakowie.

Wydanie pierwsze 1969 r.

Zam. nr 281/68. A-070 (747). Cena zł 80.—



41/6081